

Marc Elsberg

BLACKOUT

Najczarniejszy scenariusz z możliwych

Przekład

Elżbieta Ptaszyńska-Sadowska



Książka nie może być uznana za zapis faktograficzny, mimo że wymienione w niej firmy istnieją naprawdę, a jej tematem są prawdopodobne zdarzenia, które mogłyby przebiegać w sposób ukazany w książce lub w podobny. Opisane osoby, okoliczności, myśli i dialogi są fikcyjne.

Tytuł oryginału: *Blackout* © 2012 Marc Elsberg, vertreten durch Literarische Agentur Michael Gaeb © der deutschsprachigen Ausgabe 2012 by Blanvalet Verlag, München, in der Verlagsgruppe Random House GmbH

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXV

Copyright © for the Polish translation by Elżbieta Ptaszyńska-Sadowska, MMXV

Wydanie I Warszawa

Spis treści

Dedykacja

Dzień 0. – Piątek Mediolan Rzym Ybbs–Persenbeug Brauweiler Kilka kilometrów przed Lindau Bonn Berlin Schiphol Paryż Saint-Laurent-Nouan Mediolan Blisko Bregencji Ybbs–Persenbeug Berlin Mediolan Berlin Centrum dowodzenia Stacja benzynowa blisko Bregencji Mediolan

Dzień 1. – Sobota Berlin Paryż Mediolan Gospodarstwo wiejskie w pobliżu Dornbirn Mediolan Gospodarstwo wiejskie pod Dornbirn Ybbs–Persenbeug Ratingen Paryż Okolice Bellinzony Berlin Ischgl Saint-Laurent-Nouan Mediolan Ischgl Berlin Ischgl Bruksela Ischgl Haga Ischgl Haga Mediolan

Dzień 2. – Niedziela Turyn Haga Centrum dowodzenia Ischgl Berlin Haga Paryż Haga Saint-Laurent-Nouan Ischgl Ratingen Saint-Laurent-Nouan Haga Paryż Düsseldorf Haga Paryż Haga Berlin Paryż Berlin Paryż Berlin

Dzień 3. – Poniedziałek Haga Bruksela Haga Berlin Haga Bruksela Haga Berlin Haga Ratingen Berlin Düsseldorf Haga

Dzień 4. – Wtorek Haga Nanteuil Haga Paryż Haga Centrum dowodzenia Ratingen Haga Berlin Bruksela Berlin Haga Zevenhuizen Haga Ybbs–Persenbeug

Dzień 5. – Środa Zevenhuizen Haga Centrum dowodzenia Haga Ratingen Berlin Düsseldorf Haga Ratingen Bruksela Ratingen

Dzień 6. – Czwartek Ratingen Haga Nowy Jork Haga Berlin Centrum dowodzenia Ratingen Nanteuil Ratingen Nanteuil Düsseldorf Berlin Düsseldorf Paryż Düsseldorf Ratingen Haga Düsseldorf

Dzień 7. – Piątek Haga Düsseldorf Haga Düsseldorf Haga Düsseldorf Haga Düsseldorf Ratingen Ratingen Nanteuil Düsseldorf Berlin Centrum dowodzenia Haga Ratingen Na zachód od Düsseldorfu Ratingen Między Düsseldorfem a Kolonią Bruksela Między Düsseldorfem a Kolonią Haga Między Düsseldorfem a Kolonią

Dzień 8. – Sobota Ratingen Między Kolonią a Düren Haga Między Kolonią a Düren Berlin Gdzieś pod Düren Ratingen Za Düren Centrum dowodzenia Langerwehe Orlean Blisko Akwizgran Haga Akwizgran Berlin Akwizgran Ratingen Berlin Akwizgran Haga A6 Akwizgran

Dzień 9. – Niedziela Akwizgran Haga Akwizgran Berlin Między Liège a Brukselą Berlin Bruksela Centrum dowodzenia Bruksela Ratingen Bruksela Ratingen Bruksela Haga Bruksela Bruksela EC155 Bruksela Pod Norymbergą Bruksela

Dzień 10. – Poniedziałek Bruksela Berlin Bruksela Haga Bruksela Haga Berlin Bruksela Paryż Haga Bruksela Centrum dowodzenia Haga Orlean Bruksela Haga Bruksela

Dzień 11. – Wtorek Haga Bruksela McLean Ratingen Bruksela Haga Centrum dowodzenia Haga Paryż Haga Paryż Haga Madryt Berlin Ratingen Londyn Haga

Dzień 12. – Środa Haga Ratingen Berlin McLean Haga Orlean Centrum dowodzenia Transall Brauweiler Berlin Sambuł Haga Sambuł Haga Ybbs–Persenbeug

Dzień 13. – Czwartek Rzym Haga Bruksela Berlin Haga Sambuł Haga Ratingen Haga Berlin Haga Sambuł Orlean Berlin Bruksela Orlean Berlin Bruksela Berlin Haga

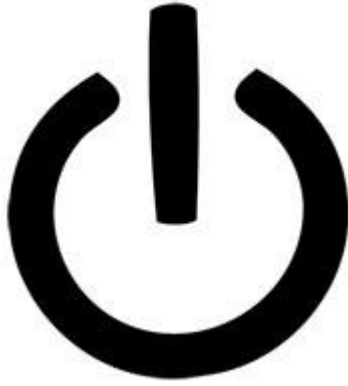
Dzień 14. – Piątek Orlean Haga Bruksela Sambuł Bruksela Berlin Haga Berlin Paryż Bruksela Sambuł Bruksela

Dzień 19. – Środa Paryż

Dzień 23. – Niedziela Mediolan
Posłowie i podziękowanie
Przypisy

Dla Urszuli

Dzień 0. – Piątek



Mediolan

Piero Manzano jak oszalały kręcił kółkiem we wszystkie strony, podczas gdy zderzak jego alfy nieuchronnie przybliżał się do jasnozielonego auta przed nim. Słyszał ślizgające się opony, w lusterku wstecznym widział reflektory samochodów jadących za nim. Zaraz nastąpi zderzenie. Zaparł się rękami o kierownicę, już słyszał w wyobraźni ten paskudny odgłos, kiedy dwie karoserie wgniatają się jedna w drugą.

Ta chwila się wydłużała. Z idiotyczną niedorzecznością pomyślał o czekoladzie, o prysznicu, który zamierzał wziąć za dwadzieścia minut w domu, o kieliszku wina na kanapie po kąpieli i o spotkaniu z Carlą albo z Paulą w najbliższy weekend.

Z gwałtownym szarpnięciem alfa stanęła milimetr od zderzaka tamtego drugiego. Manzana wcisnęło w fotel. Na ulicy było ciemno choć oko wykol, światła sygnalizatora, przed sekundą jeszcze zielone, zgasły, pozostawiając tylko mglistą poświatę na jego siatkówce. Otoczył go infernalny ryk klaksonów i zgrzyt metalu. Od lewej przybliżały się z obłądną prędkością reflektory jakiejś ciężarówki. Tam, gdzie jeszcze przed chwilą stało jasnozielone małe autko, przez deszcz iskier śmignęła niebieska ściana. Potężny wstrząs cisnął głowę Manzana o boczną szybę, jego pojazd zaczął się kręcić jak karuzela, dopóki nie zatrzymało go kolejne uderzenie.

Oszolomiony podniósł wzrok i próbował rozeznac się w sytuacji. Jeden z reflektorów samochodu oświetlał płatki śniegu tańczące nad mokrym asfaltem. Od pokrywy chłodnicy oderwała się jakaś blacha. Kilka metrów przed sobą widział tylne światła ciężarówki.

Nie zastanawiał się długo. Drżącymi palcami odpiął pas, odszukał po omacku swój telefon komórkowy i wyskoczył z auta. Apteczkę i trójkąt ostrzegawczy znalazł w bagażniku. Wprawdzie nie miał pojęcia o udzielaniu pierwszej pomocy – od egzaminu na prawo jazdy dwadzieścia pięć lat temu jego zabiegi medyczne ograniczały się do przyklejania plastra lub walki z katarem – chwycił jednak kuferek i trójkąt i puścił się pędem. Po drodze zerknął na swój samochód. Z lewej przedniej części niewiele pozostało, a lewe przednie koło ciężarówka głęboko wgniotła w sprasowaną karoserię.

Drzwi kierowcy w ciężarówce były otwarte. Manzano okrążył szoferkę i znieruchomiał.

Światła samochodów na przeciwległym pasie tworzyły upiorną scenerię. Również po tamtej stronie doszło do kilku stłuczek i ruch zamarł. Jasnozielone autko było zgniecione na szerokość fotela kierowcy i utknęło ukośnie pod zderzakiem ciężarówki. Spod jego maski albo tego, co z niej zostało, unosiła się para, przesłaniając wszystko białą mgiełką. Całkowicie zniekształcone drzwi kierowcy szarpał w tę i we w tę krępy, niewysoki mężczyzna w pikowanej kamizelce. Pewnie kierowca ciężarówki, domyślił się Manzano. Widział, że facet wrzeszczy, ale wszechobecny zgiełk klaksonów zupełnie go zagłuszał. Na miejsce wypadku podbiegało coraz więcej ludzi. Na widok tego, co zobaczył, ugięły mu się kolana.

Pod wpływem siły uderzenia fotel kierowcy został wyrwany z zamocowań i dosłownie posadzony na kolanach pasażerki. Kierowca zwiślał bezwładnie z za pasa bezpieczeństwa z dziwnie przekręconą głową, przed nim sflaczała poduszka powietrzna. Pasażerka widać było tylko jedną rękę i głowę. Twarz była umazana krwią, przymknięte powieki trzepotały. Usta poruszały się niemal niezauważalnie.

Wysiłki kierowcy ciężarówki nie przyniosły żadnego rezultatu.

– Karetka! – krzyknął do mężczyzny. – Niech pan wezwie karetkę!

Ranna pasażerka wciąż coś szeptała, Manzano jednak nic nie rozumiał. Desperacko szukał jakiejś oznaki życia w twarzy kierowcy. Przez zbitą szybę sięgnął jego szyi. Pulsu nie sprawdza się na przegubie ręki, tyle pamiętał. Nie wyczuł niczego. Gdy obmacywał szyję dalej, głowa opadła do przodu nienaturalnie nisko. Manzano odskoczył przerażony, omal nie

zwymiotował.

– Brak zasięgu! – zawołał mężczyzna w pikowanej kamizelce.

Wargi pasażerki przestały się poruszać. Jedynie małe krwawe bąbelki w kącikach ust tworzące się przy każdym oddechu świadczyły o tym, że kobieta wciąż żyje.

– Karetka! Czy ktoś wezwał karetkę?

– Już jadą! – odpowiedział jakiś mężczyzna w garniturze, na którego ramionach osiadały płatki śniegu.

Manzano nie wiedział, czy jego twarz jest mokra od śniegu, czy od łez.

Tymczasem naokoło zebrало się tylu gapiów, że światło z samochodowych reflektorów przedzierało się zaledwie wąskimi smugami do miejsca zdarzenia. Ludzie stali w śnieżycy i rozdziawiali gęby.

Manzano nawoływał, żeby się rozeszli, ale nikt nawet nie drgnął, jakby w ogóle go nie słyszeli. Dopiero teraz zauważył to, co przed wypadkiem odnotował jedynie przelotnie. Zgasły światła na ulicy. To dlatego jest tak ciemno. W ogóle ta noc wydawała się ciemniejsza niż zwykle. W tym momencie zdał sobie sprawę, że również w żadnym budynku przy Piazza Napoli i na zbiegających się tutaj ulicach nie świecą się ani okna, ani reklamy świetlne. Jedynie w dwóch oddalonych domach dostrzegł żółty blask.

– Wielkie nieba! Jak pan wygląda? – zwrócił się do niego mężczyzna w parce. – Był pan w tym aucie?

Manzano pokręcił głową.

– Dlaczego?

Mężczyzna wskazał na jego lewą skroń.

– Panu potrzebny jest lekarz. Proszę usiąść.

Teraz także Manzano poczuł pulsujące miejsce na swojej czasce, z którego coś ciepłego sączyło mu się na szyję. Dłonie miał pełne krwi – nie wiedział, czy własnej, czy ofiar wypadku. Zakręciło mu się w głowie.

Koncert klaksonów przycichł. Najgłośniejsze i niekończące się trąbienie dochodziło z pozostałości jasnozielonego autka obok. Podczas gdy Manzano zatoczył się i oparł o karoserię, bezskutecznie broniąc się przed utratą świadomości, ten przeraźliwy ton rozdzierał noc niczym ostatnie, przeciągłe wołanie o pomoc.

Rzym

Sygnal dźwiękowy pikał bez przerwy, do tego przed Valentiną Condotto mrugała na monitorach cała bateria światełek.

– Nie mam pojęcia, co się dzieje! – krzyknęła, nerwowo uderzając w klawisze. – Częstotliwość nagle skacze w górę, a potem następuje automatyczne wyłączenie. Całe północne Włochy poszły! Tak po prostu, bez uprzedzenia!

Trzy lata temu Condotto dołączyła jako operatorka systemu do zespołu centrum dyspozycyjnego w Terna na przedmieściach Rzymu. Od tamtej pory codziennie przez osiem godzin sterowała przepływem energii elektrycznej we włoskich sieciach przesyłowych, a ponadto wymianą z sieciami krajów sąsiadujących.

Kiedy po raz pierwszy weszła do tego pomieszczenia z elektronicznymi mapami na ścianach i wieloma monitorami, miała poczucie, jakby znalazła się w kulisach filmu z Jamesem Bondem. Na ścianie projekcyjnej o wymiarach sześć metrów na dwa metry na wprost niej na czarnym tle świeciły się kolorowe linie i kwadraciki. Sieć energetyczna Włoch. Po lewej i po prawej ekrany z aktualnymi danymi z poszczególnych sieci. Na biurku Condotto cztery mniejsze monitory z kolejnymi szeregami cyfr, wykresami i diagramami.

– Reszta kraju przestawiła się na żółto – odkrzyknął jej kolega, operator sieci Giuseppe Santrelli. – Mam Mediolan na linii. Chcą zwiększyć moc, ale nie dostają stabilnej częstotliwości z Enelu. Pytają, czy możemy coś zrobić.

Condotto przeklęła falę grypy. Właściwie powinna od dawna siedzieć w domu, ale kolega z kolejnej zmiany poszedł na zwolnienie lekarskie, a przewidziany zastępca leżał w łóżku już od kilku dni. Pozostała tylko ona, mimo zmęczenia.

– Sycylia też na czerwono!

System sygnalizacji: zielony kolor wskazywał, że z siecią jest wszystko w porządku. Żółty oznaczał zakłócenia. Czerwony – całkowity blackout. Dzięki europejskiemu systemowi ostrzegawczemu każdy operator w każdej chwili wiedział, jeśli gdziekolwiek w sieci groziło niebezpieczeństwo kryzysu. W czasach całkowitej globalizacji, również sektora energetycznego, była to bezwarunkowa konieczność.

Sąsiednie kraje wyglądały dobrze.

– Spróbuję przekierować trochę Francuzom, Szwajcarom, Austriakom i Słoweńcom.

Wrażliwa równowaga między sieciami ucierpiała już podczas mroźnego lutego. Jak każdej zimy poziom wody w rzekach był niski i produkcja elektrowni wodnych spadła niemal o połowę. Coroczne ograniczenie dostaw gazu przez Rosję utrzymywało się już trzy tygodnie i wywoływało poważne wąskie gardła głównie w Europie Środkowej. Zwłaszcza w godzinach szczególnego obciążenia, czyli w południe i wieczorami, konieczne było wspomóżenie elektrowni przez importowanie energii. Znaczną częścią tych procesów sterowały komputery. W milisekundach regulowały przepływem energii, pozostawiając operatorom w centrach dyspozycyjnych ostateczny nadzór, przy czym musieli oni pamiętać, że częstotliwość napięcia w sieci wynosząca pięćdziesiąt herców mogła wahać się zaledwie minimalnie, ponieważ większe wahania groziły znacznymi uszkodzeniami generatorów. Przy większych wahaniami komputery automatycznie odłączały fragmenty sieci.

Świecąca na czerwono strefa na ogromnej ścianie projekcyjnej pokazywała Valentinie Condotto, że komputery wyłączyły z sieci prawie wszystkie obszary na północ od Lacjum i Abruzji. Dotyczyło to też Sycylii. Jedyne dolna połowa włoskiego buta była jeszcze zaopatrywana w prąd. Ponad trzydzieści milionów ludzi siedziało w ciemnościach.

Nagle więcej prądu dostało się do reszty sieci, co wywołało niebezpieczne wahania

częstotliwości i doprowadziło do kolejnych automatycznych wyłączeń.

– Bęc! I już ich nie ma – stwierdził lakonicznie Santrelli. – Kalabria, Basilicata, części Apulii i Kampanii na czerwono. Pozostałe regiony na żółto. Popatrz! Francuzi i Austriacy też mają problemy!

– Przez nas? – spytała nerwowo Condotto.

– Nie mam pojęcia. Widzę tylko, że u Szwajcarów niektóre regiony na południu też są już na żółto. I, o dziwo, u Szwedów.

Condotto zakłęła. Jak ten Santrelli może być taki opanowany? Krzywa mocy znowu rosła. W zawrotnym tempie nadmiar energii gnał przez szeroko rozgałęzioną sieć, szukał odbiorców swojej nieposkromionej siły. Ten wywołany przez człowieka żywioł musiał się gdzieś wyładować. Condotto zastanawiała się gorączkowo nad jakimś rozwiązaniem, ujściem, gdzie ów uwięziony piorun nie wywołałby żadnej szkody. Wiele wskazywało na to, że nie tylko ona ma taki problem.

Ybbs–Persenbeug

Herwig Oberstätter podniósł wzrok znad pulpitu rozdzielczego i wsłuchał się jeszcze raz. Daleko ponad jego głową rozpinął się strop hali turbin, wysoki jak w gotyckiej katedrze, zbudowany ze stali i betonu, i odbijał dudnienie generatorów w dole z powrotem w przestrzeń.

Z wąskiej metalowej kładki, która obiegała halę południowej elektrowni w połowie jej wysokości, patrzył na trzy czerwone generatory. Ich komory stały w szeregu niczym wysokie jak dom cylindry i stanowiły dopiero początek całej maszynierii. Z zewnątrz przypominały potężnych, nieporuszonych gigantów, on jednak czuł energię, która wrzała w ich wnętrzu. Napędzane przez grube jak pień stalowe rury łączące je z położonymi poniżej turbinami Kaplana wirowały w każdym generatorze tonowe magnesy, kilometry zwiniętego drutu, z prędkością stu obrotów na minutę. Powstawało zmienne pole magnetyczne i wzbudzało w przewodach statora napięcie elektryczne. W ten sposób z energii kinetycznej powstawała energia elektryczna. Mimo studiów maszynoznawczych Oberstätter nigdy nie pojął do końca tego cudu. Z tego miejsca płynęła moc, która wprawiała w ruch współczesne życie przez linie wysokiego napięcia, stacje transformatorowe i linie średniego i niskiego napięcia aż po najbardziej odległe zakątki kraju. W chwili gdy ta moc się wyczerpywała, świat na zewnątrz zamierał.

Dziesiątki metrów pod nim Dunaj niósł ponad tysiąc metrów sześciennych wody na sekundę, a wielkie jak ciężarówki łopaty turbin wytwarzały połowę najwyższej osiągalnej mocy, mimo że rzeka o tej porze roku wykazywała swój najniższy stan.

Już jako dziecko Oberstätter dowiedział się w szkole, że elektrownia Ybbs–Persenbeug pochodząca z lat pięćdziesiątych dwudziestego stulecia jest jedną z pierwszych i największych elektrowni w Austrii. Między miasteczkami Ybbs i Persenbeug w Dolnej Austrii betonowa zaporą o szerokości czterystu sześćdziesięciu metrów piętrzy wody rzeki na odcinku około trzydziestu czterech kilometrów do jedenastu metrów wysokości. Ale szczegółową wiedzę zdobył dopiero wtedy, kiedy dziewięć lat temu zaczął tu pracować. Od tamtej pory kontroluje te czerwone kolosy i dogląda ich, jakby były jego dziećmi.

Wsłuchał się znowu uważnie. Przez dziewięć lat poznał swoje maszyny niemal na pamięć. A tego odgłosu nie potrafił do niczego przypisać.

Był piątkowy wieczór, ludzie wracali z pracy do domów, potrzebowali ciepła i światła i tym samym przyczyniali się do największego zużycia prądu w ciągu dnia. Chociaż austriackie elektrownie pracowały na najwyższych obrotach, o tej porze i tak konieczne było importowanie energii. Ponieważ energii elektrycznej nie da się zmagazynować, na całym świecie ludzie tacy jak on musieli wytwarzać jej dokładnie tyle, ile jej akurat potrzebowano. Jednocześnie ciągle zmiany nawyków konsumentów energii powodowały wahania częstotliwości napięcia. Za stałą poziom napięcia w sieciach odpowiadały między innymi generatory i ich prędkości obrotowe.

Nagle dotarło do niego, co słyszy. Sięgnął po swoją krótkofalówkę i połączył się z kolegami w dyspozytorni.

– Tu jest coś nie w porządku!

Przez nieprzerwany szum i trzaski głośnika usłyszał głos swojego kolegi.

– Też widzimy! Mamy nagły spadek napięcia w sieci!

Dudnienie w hali stawało się coraz głośniejsze, przerywane regularnym tłuczeniem.

Oberstätter przyjrzał się nerwowo ogromnym cylindrom i krzyknął do mikrofonu:

– To mi wygląda na podwyższone napięcie. One nie wytrzymują! Zróbcie coś!

Co oni tam bredzili o spadku częstotliwości? Te generatory są przeciążone, a nie niedociążone. Kto by nagle mógł zużyć tyle energii? Generatory zachowywały się dokładnie odwrotnie – jakby spora liczba użytkowników właśnie się odłączyła. Jeśli częstotliwość napięcia

w sieci jest do tego stopnia niestabilna, że ma to wpływ nawet na generatory, to znaczy, że na zewnątrz muszą występować poważne problemy. Czyżby gdzieś na dużym obszarze nie było prądu? To by znaczyło, że dziesiątki tysięcy Austriaków siedzą teraz po ciemku.

Oberstätter z przerażeniem obserwował, jak te martwe kolosy najpierw zaczęły wibrować, a potem podskakiwać. Jeśli liczba obrotów będzie za duża, własna siła odśrodkowa zniszczy maszyny. Pora na automatyczne odłączenie awaryjne.

– Wyłączyć! – wrzasnął Oberstätter do odbiornika. – Albo zaraz wszystko wyleci w powietrze!

Zamarł oszołomiony w obliczu tej niedającej się już poskromić siły, której hałas zagłuszał teraz wszystko. Trzy gigantyczne maszyny unosiły się i opadały regularnie, a on czekał tylko, jak wystrzelią przez strop hali niczym wentyl w ciśnieniowym kotle.

Potem zniemacka zrobiło się ciszej.

Oberstätter czuł, jak wibracje słabną. Wstrząsy mogły trwać zaledwie sekundy, ale jemu wydawały się wiecznością.

Nagła cisza robiła upiorne wrażenie. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że w hali nie palą się jarzeniówki. Świeciły tylko monitory i lampki wzdłuż drogi ewakuacyjnej.

Maszyny się zatrzymały. Prawdopodobnie w tym momencie ciemności ogarnęły połowę Dolnej Austrii. A na czole Oberstättera pojawiły się kropelki zimnego potu.

– Okej, znowu dobrze się skończyło! – powiedział nieco spokojniej do krótkofalówki. – Co się tam działo u was na górze? Dlaczego nie wyłączyliście wcześniej?

– Jakie „wyłączyliście”? Mieliśmy spadek napięcia i musieliśmy puścić więcej wody.

– Tutaj wyglądało to zupełnie inaczej. Musimy najszybciej, jak się da, podnieść napięcie i wszystko zsynchronizować.

– Nie wiem, czy to będzie takie proste – rozległ się trzeszczący głos w aparacie. – Przyjdź tutaj i sam zobacz! Nie tylko u nas tak się dzieje.

Brauweiler

– Szwecja, Norwegia i Finlandia na północy, Włochy i Szwajcaria na południu odpadły – wyliczał operator, któremu przez ramię zaglądał Jochen Pewalski. – Podobnie części krajów sąsiednich, Danii, Francji i Austrii, ale także Słowenii, Chorwacji i Serbii. E.ON melduje kilka deficytów, Vattenfall i EnBW są całkiem na żółto. Francuzi, Polacy, Czesi i Węgrzy też. I gdzieś tam plamy na Wyspach Brytyjskich.

Jochen Pewalski, szef administrujący sieciami Amprion GmbH, pracował od ponad trzydziestu lat w kompleksie niedaleko Kolonii powstałym w 1928 roku jako centrum sterowania siecią przesyłową ówczesnej nadreńsko-westfalskiej elektrowni RWE i bardzo długo znanym jako „dyspozytornia główna Brauweiler”. Gigantyczny ekran (szesnaście metrów na cztery) poprzecinany czerwonymi, żółtymi i zielonymi liniami, a także niezliczone monitory na stanowiskach pracy operatorów każdego dnia przypominały mu o odpowiedzialności, jaka ciąży na nim i na jego załodze pracującej w tym pomieszczeniu.

W Brauweiler sterowali niezawodnym rozprowadzaniem energii elektrycznej o poziomie napięcia 380 kV i 220 kV przez sieć Amprion, jedną z czterech dużych sieci niemieckich i tym samym jedną z największych sieci europejskich, i nadzorowali ten proces.

Ponadto ich zadaniem były także koordynacja i utrzymywanie równowagi systemowej na całym północnym obszarze europejskiej sieci transmisyjnej. Obszar ten obejmował Belgię, Bułgarię, Niemcy, Holandię, Austrię, Polskę, Rumunię, Słowację, Czechy i Węgry.

Od czasu uwolnienia rynku energii elektrycznej przed kilkoma laty ich zadania nabrały jeszcze większej wagi i jednocześnie stały się bardziej złożone. Prąd płynął dzisiaj tak swobodnie jak nigdy dotąd wzdłuż i wszerz Europy, z miejsca, gdzie go wytwarzano, tam, gdzie akurat panował popyt. Jeśli na przykład Austriacy nie byli w stanie wyprodukować w swoich elektrowniach wodnych wystarczająco dużo energii, by pokryła ona zapotrzebowanie w wieczornych godzinach szczytu, wtedy do gospodarstw domowych republiki docierała energia ze słowackich elektrowni atomowych. Kilka godzin później elektrociepłownie hiszpańskie pomagały Francuzom uporać się z wieczornymi obciążeniami. Ustawiczne dawanie i branie. I w ten oto sposób energia elektryczna na bieżąco równomiernie rozchodziła się po całej Europie, począwszy od sieci wysokiego napięcia aż po regionalne sieci przesyłowe, zapewniając rozsądną równowagę między wytwórcami a konsumentami.

Właśnie ta równowaga wymknęła się w kilku częściach Europy spod kontroli, czego obawiał się Pewalski.

– Jest gorzej niż w 2006 – westchnął drugi operator.

Pewalski przypominał sobie, że właśnie ten człowiek był przy tym, kiedy E.ON wieczorem czwartego listopada 2006 roku bez uprzedzenia sąsiednich sieci wyłączył linię wysokiego napięcia, aby ogromny statek pasażerski mógł być bezpiecznie przeprowadzony kanałami ze stoczni śródlądowej Papenburg na wybrzeże. Linia Landesbergen–Wehrendorf uległa natychmiastowemu przeciążeniu i została automatycznie odłączona. W następstwie tego doszło do kaskadowych wyłączeń w całej Europie. Mimo że gorączkowo próbowano temu zapobiec, Pewalski i jego koledzy obserwowali, jak około piętnastu milionów gospodarstw domowych w całej Europie znalazło się bez prądu. Dopiero po półtorej godzinie oni i operatorzy z innych krajów przywrócili normalny przepływ mocy w sieciach. Byli dosłownie o włos od generalnej awarii całego systemu europejskiego.

Obecna sytuacja wydawała się o wiele bardziej dramatyczna.

– Czechy też już są całe na czerwono – zameldował.

W 2006 roku Europa od zachodu po wschód rozpadła się na trzy obszary napięcia o

różnej częstotliwości. Prądu nie było tylko w regionie środkowym. Tymczasem eksperci sądzili do tej pory, że w takim przypadku należy liczyć się z pęknięciem między północą o wysokim poziomie wytwarzania energii a południem charakteryzującym się jej intensywną konsumpcją. Tym razem sytuacja wyglądała jeszcze inaczej. Dwadzieścia minut temu to Włosi zgłosili pierwsze problemy. Ich przyczyna była na razie niejasna, ale nie zdołano zapanować nad wyłączeniami. Już podczas trwania awarii na południu poważne trudności dotknęły także Szwedów, a potem całą Skandynawię. Widocznie zła pogoda dla elektrowni wiatrowych w najmniej korzystnym momencie pociągnęła ofiary w najróżniejszych częściach Europy.

– Musimy za wszelką cenę utrzymać niemiecką sieć, żeby nie przerwać przepływów między wschodem a zachodem – oświadczył zdecydowanym tonem Pewalski.

W jego centrali panowało istne piekło. Operatorzy przełączali prąd na pozostałe wolne linie, odłączali elektrownie, inne podkręcali, przesyłali nadwyżki mocy do elektrowni magazynujących energię, dopóki tamte jeszcze były w stanie ją przyjmować. W razie konieczności zmniejszali obciążenie i przy okazji w kilku fabrykach doprowadzali do nieplanowanych przestojów albo fundowali tysiącom ludzi życie w ciemnościach.

Pewalski obserwował, jak kolejne linie na tablicy nagle rozpałały się na czerwono.

– Dalsze odłączenia w sieciach E.ON i Vattenfall.

Kilka innych mrugało na żółto.

– Zachodnia Austria próbuje się ratować.

I znowu czerwono.

– Nie udało się.

Pewalski starał się pozostać na zewnątrz opanowany, ale w jego w głowie trwała gonitwa myśli. Dopóki w dalszych częściach Europy wytwarzano wystarczające ilości prądu i je zużywano, istniała szansa, że odłączone sieci uda im się dosyć szybko znowu przywrócić do pracy. Przy ogólnej awarii sprawa miałaby się inaczej. Reaktora atomowego czy elektrowni węglowej nie da się w ciągu kilku minut uruchomić na nowo jak elektrowni gazowej czy szczytowo-pompowej. A już na pewno nie bez energii zewnętrznej potrzebnej do rozruchu. Jeśli zostaną odłączone wszystkie francuskie elektrownie atomowe, *La Grande Nation* będzie pozbawiona przez kilka godzin, a może i dni, znacznej części swojej produkcji energii. A jeśli pecha będą miały także sąsiednie sieci, francuskiego systemu nie uda się w ogóle tak szybko ustabilizować. To samo odnosiło się z takiego czy innego powodu do każdego kraju.

– Hiszpania na żółto.

– Okej, wystarczy – rzucił stanowczo Pewalski. – Odetnijmy Niemcy. – I cicho dodał: – Jeśli się jeszcze da.

Kilka kilometrów przed Lindau

– Mam nadzieję, że nie zabraknie benzyny – powiedziała Chloé Terbanten.

Sonja Angström przeniosła wzrok z zaśnieżonej okolicy wzdłuż autostrady na tablicę rozdzielczą. Siedziała z Larą Bondoni na tylnym siedzeniu, Terbanten prowadziła, a obok niej Fleur van Kaalden wybijała sobie na udzie rytm muzyki płynącej z radia.

– Może na wszelki wypadek zatankujemy jeszcze w Niemczech – zaproponowała van Kaalden.

Musiały być już blisko austriackiej granicy; od domku w górach, który wynajęły sobie na następny tydzień, żeby pojeździć na nartach, dzieliła je może godzina drogi. Po lewej i po prawej ukazywały się już przedgórza Alp rozświetlone blaskiem księżyca wycierającego od czasu do czasu spomiędzy chmur. Tu i ówdzie Angström rozpoznawała kontury wiejskich zabudowań, których mieszkańcy musieli chyba chodzić bardzo wcześnie spać, bo było w nich zupełnie ciemno.

– Tym razem żadnych facetów! – zawołała Terbanten, kiedy ruszały, i od razu usłyszała głośny protest. – Miałam na myśli jedynie to, że żadnych ze sobą nie zabieramy – sprecyzowała ze śmiechem.

Jechały jej citroenem z bagażnikiem wyładowanym za dużymi walizkami, sportowymi rzeczami, nartami i deskami. Po drodze już raz zatankowały, wypity też kawę i poplirtowały z paroma młodymi Szwedami jadącymi na snowboard do Szwajcarii.

„Następna stacja benzynowa – 1 km”. Van Kaalden wskazała na tablicę na skraju pasa, obok której śmignęła Terbanten, mając dobre sto osiemdziesiąt na liczniku.

Angström wypatrywała świateł przydrożnej stacji, ale widziała jedynie oświetloną księżycem okolicę.

Terbanten skręciła na nitkę zjazdu ciągnącego się długim łukiem.

– Chyba musi być po drugiej stronie autostrady – stwierdziła Bondoni, kiedy otworzył się przed nimi rozległy plac z chaotyczną płataniną snopów światła.

Terbanten zahamowała.

– Co się tutaj dzieje?

Jedynie reflektory samochodów stojących w długich szeregach przy dystrybutorach rzucały jasne plamy na fasadę budynku stacji pogrążonego poza tym w całkowitych ciemnościach. Kilka stożków światła przecinało noc raz tu, raz tam – prawdopodobnie latarki w czyichś dłoniach.

Terbanten zatrzymała citroena na końcu jednej z kolejek. Przy niektórych pojazdach stali ludzie, a z ich ust wydobywały się niewielkie białe obłoczki. Przy dystrybutorach nerwowo manipulowali pracownicy stacji w firmowych kombinezonach. Terbanten zostawiła włączone światła i wszystkie cztery wysiadły z samochodu.

Angström od razu poczuła, jak zimno wpełza jej pod sweter i dżinsy. Auto przed nimi miało niemieckie tablice. Znała ten język jako tako, dlatego podeszła i spytała, co się stało.

– Awaria prądu – wyjaśnił kierowca przez na wpeł odsuniętą szybę.

Taką samą odpowiedź uzyskała od mężczyzny w kombinezonie przy jednym z dystrybutorów.

– I dlatego nie można zatankować? – upewniała się.

– Pompy dystrybutorów są napędzane elektrycznie. Bez prądu nie da się wydobyć paliwa z leżących pod nimi zbiorników.

– A nie macie żadnego awaryjnego zasilania?

– Nie. – Mężczyzna z żalem wzruszył ramionami. – Ale zaraz znowu włączą – zapewnił.

– Jak długo to już trwa? – spytała Angström, spoglądając na kolejki i zatłoczony parking pogrążonej również w ciemnościach restauracji. Piątek wieczór przed zimowym wakacyjnym weekendem.

– Może z piętnaście minut.

Może, powtórzyła w myślach Angström, wracając do koleżanek. Opowiedziała im, czego się dowiedziała.

Terbanten uderzyła dłonią w dach samochodu i krzyknęła:

– Wsiadać! Zatankujemy na następnej!

Bonn

– Już nic nie działa – oznajmił Helge Brockhorst. – To był Brandenburg, czyli całe Niemcy są wyłączone.

Opadł na swoje krzesło i wpatrywał się w ścianę projekcyjną: dwanaście sześcianów o pięćdziesięciocalowych ekranach zamontowanych w 2006 roku. Jeden z mnóstwa elementów, które czyniły ze Wspólnego Centrum Zgłoszeniowego i Nadzoru republiki i krajów związkowych – w skrócie WOZL – główne centrum sterowania kryzysowego w Niemczech.

– Telewizja wciąż działa – stwierdziła jedna z jego koleżanek reprezentująca sekcję techniczną WOZL. – Ale ludzie nie mogą już jej odbierać.

Na nieco mniejszych ekranach plazmowych leciały programy telewizyjne stacji, które były jeszcze w stanie nadawać. Przynajmniej na jednym Brockhorst spodziewał się paska wiadomości z informacją o awarii energetycznej. Tymczasem wszędzie same popołudniowe seriale, opery mydlane, jakieś *reality show*. Prawdopodobnie stacje telewizyjne też zmagaly się z sytuacją. Wszystko potoczyło się zbyt szybko. W ciągu czterdziestu pięciu minut zawalił się cały europejski system energetyczny. Jeśli informacje były prawdziwe, prąd miały jeszcze tylko Półwysep Iberyjski i część Wielkiej Brytanii. Przy ostatniej awarii obejmującej duże obszary też otarli się o podobny scenariusz, ale uporali się, zanim opinia publiczna zdążyła się o tym dowiedzieć. Wtedy w ciągu dwóch godzin zapanowali nad najgorszym. Brockhorst wątpił, by tym razem też poszło im tak szybko.

– Mam Brauweiler na linii! – zawołała do niego koleżanka z telefonem przy każdym uchu. – Mówią, że musimy liczyć się z tym, że to potrwa od czterech do pięciu godzin.

Brockhorst znał Jochena Pewalskiego, z którym właśnie rozmawiała, ze wspólnych ćwiczeń i z wielkiej awarii systemowej w 2006. Dobry fachowiec. Na pewno i tym razem zapanował nad swoją działką.

Tymczasem na miejscu byli już wszyscy współpracownicy, głównie przedstawiciele poszczególnych landów i różnych organizacji wspierających. Mówili gorączkowo jeden przez drugiego, rozmawiali przez telefony, niektórzy ze swoimi rodzinami, aby je poinformować, że awaria może potrwać dłużej. Brockhorst pomyślał o własnej żonie i trójce dzieci w domku na przedmieściach Bonn. O nich nie musiał się bać. Skoro pracuje w centrum kryzysowym, nie mógł nie mieć odpowiednich zabezpieczeń w domu. Już wiele lat temu zamontował w piwnicy awaryjny generator. W zbiorniku obok była zmagazynowana ropa na cały tydzień. Żona wiedziała, jak trzeba uruchomić ten mechanizm. To na wypadek, gdyby któregoś dnia ją powiadomił, że raczej nie wróci do domu na noc.

– Wobec tego zewrzyjmy się na krótko z centrum kryzysowym Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

– Trafne sformułowanie – zauważyła jego koleżanka.

Brockhorst zachował kamienną twarz.

– Czy w Brauweiler znają już przyczynę?

Berlin

– Co to wszystko ma znaczyć? Nie wie pan?

Minister spraw wewnętrznych, wysoki mężczyzna o czerwonej twarzy i przeredzonych włosach, stał w smokingu przed monitorem; sprawiał wrażenie zdenerwowanego. Frauke Michelsen nie przypominała sobie, by widziała go dotąd choć raz w centrum kryzysowym ministerstwa. Być może dlatego, że ona sama też rzadko tu zaglądała.

Teraz sala była pełna. Byli tutaj współpracownicy wydziałów Służby Publicznej, Technologii Informatycznych, Policji Federalnej, Bezpieczeństwa Publicznego, a także Zarządzania Kryzysowego i Ochrony Ludności. Michelsen знаła wszystkich lepiej lub gorzej. Brakowało jej własnego przełożonego, szefa Wydziału Zarządzania Kryzysowego i Ochrony Ludności w ministerstwie. Siedział na jakimś seminarium kilka budynków dalej i przekazał jej obowiązki. O przybyciu ministra go nie poinformowała. Ot, takie drobne gierki.

Po dwudziestu latach służby dyplomatycznej i pracy w administracji Michelsen dochrapała się tylko stanowiska zastępczyni dyrektora wydziału. „Na najwyższe honory jesteście zbyt błyskotliwa i zbyt dobrze wyglądasz” – oznajmił jej jeden z szefów ponad dziesięć lat temu. Postanowiła wtedy ukarać go za te kłamstwa. Do tej pory niezbyt jej się to udawało, co musiała sama przed sobą szczerze przyznać. Z pewnością nie sprzyjało też karierze jej upodobanie do czegoś mocniejszego, które sprawiało, że niekiedy bywała bardziej swobodna i szczerą, niż wymagała tego sytuacja.

Ministrowi bynajmniej nie mogła mieć za złe irytacji, bo jak wskazywał jego strój, został chyba zmuszony do nagłego opuszczenia jakiejś wystawnej gali.

Na ekranie był widoczny Helge Brockhorst ze Wspólnego Centrum Zgłoszeniowego i Nadzoru republiki i krajów związkowych w Bonn; udzielił lakonicznej odpowiedzi:

– To wszystko nie jest takie proste.

Zła odpowiedź, pomyślała Michelsen. Obraz migotał jak przy zakłóceniach elektrostatycznych. Za każdym razem zadawała sobie pytanie, czym się kierowano, lokując centrum w Bonn zamiast przy ministerstwie w Berlinie. Podobno właśnie zamierzano to zmienić.

– Jeśli pan pozwoli, panie ministrze – wtrącił sekretarz stanu Holger Rhess. – Pan Bädersdorf może to panu krótko wyjaśnić.

Akurat Bädersdorf, pomyślała Michelsen. Przez długie lata pracował dla Krajowego Związku Gospodarki Energetycznej i Wodnej, zanim grupy lobbingowe zainstalowały go bezpośrednio w ministerstwie.

– Proszę sobie wyobrazić, że sieć energetyczna to jak krwiociąg człowieka – zaczął Bädersdorf. – Może z tą różnicą, że w tym przypadku mamy do czynienia nie z jednym, ale z wieloma sercami. Są to elektrownie. Z elektrowni rozsyłany jest prąd po całym kraju, jak krew w organizmie. Przy czym istnieją różne linie przesyłu, podobnie jak w naszym ciele są różne naczynia krwionośne. Linie wysokiego napięcia można porównać do głównych tętnic, którymi można transportować duże ilości na znaczne odległości, istnieją też linie średniego napięcia, które przesyłają energię dalej, tak by sieci regionalne mogły ją dostarczyć poszczególnym odbiorcom końcowym, analogicznie jak naczynia włosowate doprowadzają krew do każdej komórki.

Dla ubarwienia eksplikacji z wprawą chwycił się w odpowiednich momentach za różne części swego ciała. Wygłaszał ten wykład nie po raz pierwszy i Michelsen musiała bez zazdrości przyznać, że robił to rzeczywiście pogładowo.

Ona nie miała wykształcenia technicznego, ale kiedy trzy lata temu objęła stanowisko, zgodnie ze swoim zwyczajem dogłębnie zapoznała się z materią będącą przedmiotem działania

resortu, w tym z zagadnieniem infrastruktury krytycznej.

– Decydujące są tutaj dwa aspekty. Po pierwsze, aby sieć była stabilna, musi panować w niej stała częstotliwość. Porównajmy to znowu z ciśnieniem u człowieka. Kiedy jest za wysokie lub za niskie, tracimy przytomność. I to właśnie stało się teraz z siecią. Po drugie, prądu nie da się magazynować. Dlatego musi płynąć bez przerwy, jak krew. A to oznacza, że musi być wytwarzany, w miarę jak jest zużywany. W ciągu dnia są to bardzo zróżnicowane ilości. Tak jak serce musi pracować szybciej, jeśli człowiek na przykład zaczyna nagle biec, podobnie elektrownie muszą dostarczać więcej energii w godzinach szczytu. Lub trzeba uruchamiać dodatkowe zakłady energetyczne. Czy na razie jest to zrozumiałe?

Potoczył wzrokiem dookoła, rejestrując skinienia wielu głów, jedynie minister zmarszczył czoło.

– Ale jak to możliwe, żeby coś takiego działo się w całej Europie? Myślałem, że niemiecka sieć energetyczna jest bezpieczna?

– I w gruncie rzeczy jest bezpieczna – odpowiedział przedstawiciel związku, jak Michelsen nazywała go w duchu. – O czym świadczy choćby to, że Niemcy straciły prąd jako jeden z ostatnich krajów i jako jeden z pierwszych wracają do równowagi. Tyle że niemiecka sieć nie jest wyspą na mapie Europy. – Nacisnął kilka klawiszy swojego komputera i na ogromnej ścianie projekcyjnej ukazała się mapa kontynentu pokryta gęstą siatką linii o różnych kolorach. – To jest ogólna mapa europejskich sieci energetycznych. Jak bez trudu można zauważyć, wszystkie są ze sobą ściśle powiązane.

– Czyli właściwie nie ma już czegoś takiego jak sieć niemiecka. – Michelsen nie mogła sobie odmówić tej uwagi.

– Tego bym nie powiedział...

Odnutowała wrogie spojrzenie sekretarza stanu, ale nie dała się zbić z tropu.

– To jak wobec tego by pan to nazwał, skoro jedna z największych sieci przesyłowych należy od jakiegoś już czasu do firmy holenderskiej?

– Niech mi wolno będzie w tym miejscu zwrócić uwagę, że Niemcy podczas negocjacji unijnych dotyczących rozdzielenia rynku wytwórców i rynku dostawców do samego końca były przeciwne całkowitemu rozdzieleniu i wspólnie z innymi krajami znalazły rozwiązania alternatywne – zauważył Bädersdorf. – Zawsze podkreślaliśmy, że taka struktura europejskiego rynku energii raczej nie ułatwia zarządzania w sytuacjach kryzysowych.

I tu niestety ma rację, przyznała w duchu Michelsen i pozwoliła mu na razie kontynuować.

Na ścianie pokazał się teraz niebieski schemat, na którym pajęczyna linii łączyła symbole elektrowni, podstacji transformatorowych, fabryk i domów mieszkalnych.

– Dawniej istnieli narodowi dostawcy energii, którzy ją zarówno wytwarzali, jak i dystrybuowali. Zarządzanie całym zaopatrzeniem w energię było skupione w jednej ręce. Wskutek liberalizacji rynku energii ta struktura uległa diametralnej zmianie. Dzisiaj mamy z jednej z strony wytwórców energii...

Ikonki elektrowni na schemacie zmieniły kolor z niebieskiego na czerwony.

– A z drugiej – administratorów sieci.

Linie łączące na grafice przybrały barwę zieloną.

– Niejako pomiędzy nimi znajdują się... – na schemacie ukazała się kolejna ikonka budynku z symbolem euro – ...giełdy energii. Tam producenci energii i jej sprzedawcy negocjują ceny. Tak więc system zaopatrzenia w prąd składa się dzisiaj z wielu podmiotów, które w takim przypadku jak ten muszą przede wszystkim skoordynować swoje działania.

Michelsen, miotana sprzecznymi uczuciami, w jednej chwili nie mogła pohamować

oburzenia na tę zamaskowaną mowę obronną lobbysty optującego za utrzymaniem ukrytego, wciąż istniejącego monopolu, a już w następnej musiała przyznać, że niektóre jego argumenty są jak najbardziej uzasadnione. Mimo to czuła się w obowiązku uzupełnić wywód:

– Których najwyższym celem nie jest optymalne zaopatrzenie ludności i przemysłu w energię, tylko zysk. Czyli trzeba pogodzić wiele różnych interesów. A w przypadku kryzysu zrobić to w ciągu kilku minut.

– Jeszcze nie znamy przyczyny awarii. Jednak może być pani pewna, że wszyscy jedziemy na tym samym wózku. W końcu zaistniała sytuacja nikomu się nie przysłużyła.

– Jak to: nie znacie przyczyny awarii? – spytał jeden z kolegów z Wydziału Bezpieczeństwa Publicznego.

– Systemy są tak dalece złożone, że nie da się natychmiast ustalić źródła dysfunkcji. Po awariach w minionych latach znalezienie konkretnych powodów często zajmowało miesiące. I zawsze miały one różny charakter. Pogoda, ludzki błąd, przestarzałe urządzenia, a nawet burza na Słońcu.

– Jak długo trzeba będzie czekać na przywrócenie pełnych dostaw? – spytał sekretarz stanu.

– Według otrzymanych informacji do jutra rana do większości regionów powinien dotrzeć prąd.

– Nie chciałabym ciągle tylko gderać – wtrąciła Michelsen – ale mówimy przecież o całej Europie. A firmy nie mają żadnego doświadczenia, jak postępować w kryzysie o takich rozmiarach. – Kobieta starała się panować nad swoim tonem. – Jestem odpowiedzialna za zarządzanie kryzysowe i ochronę ludności. Jeśli jutro rano nie ruszą publiczne środki transportu, jeśli nadal będą sparaliżowane dworce i lotniska, szkoły i biura nie będą ogrzewane, do znacznej części społeczeństwa nie dotrze woda, jeśli nie będą też świadczone usługi telekomunikacyjne i zabraknie informacji, wówczas staniemy przed ogromnym wyzwaniem. Teraz możemy się na to jeszcze jako tako przygotować.

– No więc w jaki sposób zostanie przywrócone zaopatrzenie w energię? – spytał minister. Bädersdorf uprzedził koleżankę:

– Na ogół wygląda to tak, że wokół elektrowni stopniowo reaktywuje się małe sieci i dba o to, aby była w nich zachowana stabilna częstotliwość, no i sukcesywnie się je powiększa. Następnie zaczyna się łączyć te cząstkowe sieci i je synchronizować.

– Ile czasu zajmują poszczególne kroki?

– To zależy. Od kilku sekund do kilku godzin na reaktywację. Synchronizacja idzie już dosyć szybko.

– Ale jest to newralgiczny zabieg, przez który może znowu dojść do wyłączeń, prawda? – wtrąciła kolejny raz Michelsen.

– Coś takiego zdarza się bardzo rzadko – zaproponował Bädersdorf. – Jednak przyznaję, że w tej sytuacji może to potrwać nieco dłużej.

– Awarią dotknięte są obszary w całej Europie? – upewniał się minister. – Czy jesteśmy w kontakcie z innymi krajami?

– Właśnie go nawiązujemy – potwierdził Rhess.

– W porządku, proszę powołać sztab kryzysowy i informować mnie na bieżąco. – Minister zbierał się do wyjścia. – Życzę paniom i panom jeszcze miłego wieczoru.

Dobre sobie! – pomyślała Michelsen. Ładny mi miły wieczór! Raczej długa noc przed nami.

Schiphol

Delayed.

Delayed.

Delayed.

Wszystkie linie lotnicze zapowiedziały w ostatniej godzinie opóźnienia.

– Jak długo będziemy jeszcze czekać? – spytała Bernadette, przyciskając do siebie swoją ulubioną lalkę.

– Przeczytaj sobie – odpowiedział z wyższością jej brat. – Tam, na górze, jest napisane, że nasz samolot ma opóźnienie.

– Przecież ja nie umiem czytać. Dobrze wiesz.

– Niemowlak – zadrwił z niej Georges.

– Sam jesteś niemowlak!

– Niemowlak! Niemowlak!

Bernadette zaczęła się mazać.

– *Maman!*

– Dostyc już! – ofuknął swoje dzieci François Bollard. – Georges, przestań drażnić się z siostrą!

– Czyli będziemy w Paryżu dopiero około północy – westchnęła żona Bollarda, Marie.

Wyglądała na zmęczoną.

Stali w ogromnym tłumie pasażerów zgromadzonych przed tablicami informacyjnymi. Ich samolot do Paryża powinien wznieść się w powietrze już godzinę temu. Teraz zapowiedziano start na 22.00. Bollard też czuł się wyczerpany po długim tygodniu pracy. Chciałby się znaleźć w swoim wygodnym i ciepłym łóżku i tylko spać. Zamiast tego tkwili na jednym z największych lotnisk w Europie. Nogi wrastały im w siedzenia. Dzieci były podniecone – cieszyły się, że zobaczą się z przyjaciółmi i dziadkami w Paryżu. Ale im dłużej musiały czekać, tym bardziej stawały się nieznośne. Bollard zadawał sobie pytanie, co z nimi zrobią, jeśli lot zostanie znowu przesunięty.

Długie rzędy foteli w strefach dla czekających pasażerów były przepelnione. Ludzie siedzieli też na walizkach, a przy ladach barów szybkiej obsługi kłębiły się kolejki. Bollard rozejrzał się za jakimś spokojnym kątem dla nich, ale nie było na to szans.

– A co jest tam teraz napisane? – spytała Bernadette.

– Jak to?

– No, super. – Bollard usłyszał pełen irytacji głos swojej żony i sam spojrzął na tablicę.

Cancelled.

Cancelled.

Cancelled.

Paryż

Lauren Shannon skierowała kamerę na mężczyzn stojących przed nią. James Turner, korespondent CNN we Francji, podsunął swojemu rozmówcy mikrofon pod nos.

– Znajduję się przed główną siedzibą paryskiej straży ogniowej przy Place Jules-Renard – powiedział Turner. – Obok mnie *général de division* François Liscasse kierujący oddziałem *de sapeurs-pompiers de Paris*, jak nazywa się straż pożarna tu, w stolicy Francji.

W świetle reflektora drobne płatki śniegu migotały jak robaczki świętojańskie.

Turner zwrócił się do Liscasse'a:

– Panie generale, od ponad pięciu godzin w Paryżu nie ma prądu. Czy wiadomo już, jak długo jeszcze potrwa ten stan?

Liscasse na przekór pogodzie miał na sobie jedynie niebieski mundur. Jego czapka skojarzyła się Shannon z de Gaulle'em i przypomniała jej, że paryska straż pożarna jest formacją wojskową podlegającą Ministerstwu Spraw Wewnętrznych.

– W tym momencie nie mogę podać żadnych informacji na ten temat. W całym mieście i jego okolicach pracują wszyscy nasi ludzie, czyli kilka tysięcy osób. Po Nowym Jorku mamy największy oddział straży pożarnej na świecie, dlatego mieszkańcy Paryża nawet w tych wyjątkowych okolicznościach mogą czuć się bezpieczni. Obecnie skupiamy się na uwalnianiu obywateli z pociągów metra i wind. Oprócz tego doszło do wielu wypadków drogowych i nielicznych pożarów.

– Generale Liscasse, czy wie pan, ilu ludzi jest jeszcze uwięzionych w różnych miejscach?

– Uwolniliśmy już tysiące. Trudno powiedzieć, ilu ludzi musi wykazać się jeszcze cierpliwością. Niestety, wiele osób, które utknęły w windach, z powodu przeciążenia sieci komórkowych nie jest w stanie poinformować nas o swojej krytycznej sytuacji, dlatego nasze jednostki sprawdzają dom po domu.

– Czy to znaczy, że niektórzy będą zmuszeni czekać na pomoc do jutra rana?

– Zakładamy, że prąd niedługo wróci. Ale uwolnimy każdą uwięzioną osobę, to mogę zagwarantować.

– Panie generale...

– Dziękuję. Wzywają mnie obowiązki, przepraszam...

Turner zrezygnował zatuszował odprawę, jaką dostał, patrząc prosto w kamerę:

– James Turner w *Nocy bez prądu* z Paryża. – Następnie dał Shannon znak, gdzie ma być cięcie. Postawiwszy kołnierz kurtki, powiedział do niej: – Muszę wreszcie wyciągnąć coś z tych gości z ministerstwa. Pospiesz się, jedziemy!

Jako operator i kierowca Turnera Shannon nauczyła się radzić sobie w paryskim ruchu. Wprawdzie chaos na ulicach był już trochę mniejszy, mimo to pokonanie tego krótkiego odcinka zajęło im ponad dwadzieścia minut.

– Znów brak zasięgu! – zaklął Turner i cisnął komórkę na podłogę.

Shannon niewzruszenie prowadziła dalej. Tylko gdzieś tam mijali oświetlone domy, poza tym całe miasto leżało w ciemnościach. Jeszcze daleko przed ministerstwem Rue de Miromesnil była zablokowana. Shannon, niewiele myśląc, zaparkowała auto na jakimś wyjeździe.

Mieszkała w Paryżu od dwóch lat. Zaczepiła się tutaj, kiedy po skończeniu college'u wyruszyła w świat. Początkowo chciała jeszcze studiować dziennikarstwo, ale potem zaczęła pracować jako operator dla Turnera i nie miała już tyle czasu. Turner był co prawda aroganckim dupkiem, który uważał się za Boba Woodwarda, ale ona nic sobie z tego nie robiła i mnóstwo się

nauczyła. Już dawno stała się lepszą researcherką od niego, znajdowała lepsze historie i wiedziała, jak się je powinno sprzedać. Jednak Turner nigdy nie wpuściłby jej przed kamerę, dlatego w swoim wolnym czasie Shannon robiła własne materiały i wrzucała je na YouTube.

Na piechotę doszli szybko do blokady pilnowanej przez policję.

– Prasa – poinformował Turner i pokazał swoją legitymację.

– Przykro mi – odparł mundurowy.

Turner próbował tych samych argumentów co zawsze, ale policjanci nie chcieli go przepuścić, podobnie jak trzech innych ekip dziennikarskich, które w tym czasie nadeszły.

– Proszę się odsunąć – apelował policjant.

Shannon zobaczyła reflektory kilku aut zbliżających się do budynku ministerstwa.

Samochody, nie hamując, przejechały obok nich przez wąski przesmyk szybko utworzony przez policjantów. Shannon skierowała kamerę na okna pojazdów i zrobiła szwenk, ale za przyciemnianymi szybami nie mogła niczego rozpoznać.

– No i co? – spytał Turner.

– Ja się cieszę, że zdążyłam ze szwenkiem – odparła. – Ty odpowiadałeś za przyglądanie się. To kto to był?

– Nie mam pojęcia, za ciemno.

Shannon otworzyła panel z ekranikiem i cofnęła ujęcie.

– Mamy jakąś twarz – stwierdziła. – Ale ekran jest za mały. Musimy przybliżyć to w studiu. Może zobaczymy coś więcej.

Saint-Laurent-Nouan

– A niech to jasna cholera – pomstowała Isabelle, podczas gdy jej mąż Yves Marpeaux wciągał na ciepły wełniany sweter grubą kurtkę. – To ty pracujesz w elektrowni, a my siedzimy tutaj, zaledwie piętnaście kilometrów dalej, bez światła i prądu.

W kilku warstwach swetrów i kurtek wydawała się w blasku świecy jeszcze bardziej bezkształtna niż zwykle.

– Co ja mogę na to poradzić? – mruknął Yves, wzruszając ramionami.

Cieszył się, że wreszcie może wyjść, bo już od kilku godzin musiał słuchać jej trajkotania.

– U dzieci jest dokładnie tak samo – powtórzyła nie wiadomo który raz z rzędu.

Na szczęście nigdy nie sprawili sobie nowomodnego telefonu skazanego na zasilanie prądem z gniazdka. Ich syn dodzwonił się wreszcie do nich z komórki półtorej godziny po tym, jak wszystko wysiadło. Kilka minut później odezwała się także córka. Syn mieszkał z rodziną w okolicy Orleanu, a córka – pod Paryżem.

– Próbuje przebić się już całą wieczność – tłumaczyła – ale te sieci komórkowe...

Marpeaux nie mógł powiedzieć im nic innego poza tym, że u nich także nie ma prądu.

– Wyobrażasz sobie, jak twoja matka zrzędzi?

Zamknął za sobą drzwi, zostawiając żonę w zimnym i ciemnym domu samą. Para z jego ust uniosła się wysoko w postaci białego obłoku. Niebo było pełne gwiazd.

Renault odpalił bez najmniejszego problemu. Po drodze Marpeaux szukał w radiu najnowszych wiadomości. Wiele stacji zamilkło, a te nieliczne, które działały, nadawały muzykę albo te same informacje, które Marpeaux znalazł wcześniej w internecie, dopóki jeszcze funkcjonował. W końcu dał sobie spokój.

Ciemny zimowy pejzaż z pustymi polami i pozbawionymi liści gołymi drzewami w ogóle nie wskazywał na to, że jest to jeden z najbardziej popularnych wakacyjnych regionów Francji. Wiosną znowu zaleją go miliony turystów z kraju i zagranicy, by na brzegach Loary zwiedzać słynne zamki w poszukiwaniu śladów dawnych arystokratycznych rodów, by kupować wino i właśnie tutaj, w sercu Francji, poczuć powiew savoir-vivre'u. Marpeaux sprowadził się w te okolice dwadzieścia pięć lat temu nie z powodu piękna krajobrazu, ale dlatego, że jako inżynierowi zaproponowano mu dobrze płatną posadę w elektrowni atomowej Saint-Laurent.

Po dwudziestu minutach jazdy na horyzoncie wyłoniła się sylwetka miasteczka Saint-Laurent-Nouan, nietypowo ciemna tej nocy, bez światła w oknach i na ulicach. Jak na szyderstwo w oddali wznosiły się oświetlone – choć też upiornie słabo – potężne chłodnie kominowe elektrowni. Na widok tych kolosów Marpeaux po raz kolejny doszedł do wniosku, że to właściwie dziwne, iż od dwustu lat podstawowa idea tej techniki nie uległa dalszemu rozwinięciu ani nie została zastąpiona żadnym nowocześniejszym rozwiązaniem. Przecież elektrownia jądrowa to nic innego jak gigantyczna maszyna parowa znana od początku osiemnastego stulecia. Tylko że dzisiaj zamiast drewna wykorzystuje się jako materiał napędowy rozszczepiony uran lub pluton i w ten sposób napędza się generatory.

Tutejsza elektrownia wytwarzająca nieco poniżej tysiąca megawatów mocy należała do mniejszych producentów energii jądrowej we Francji. Dwa ciśnieniowe reaktory wodne leżały bezpośrednio nad Loarą i z niej pobierały chłodziwo. Kiedy pod koniec lat osiemdziesiątych Marpeaux przystąpił do pracy w tym obiekcie, wciąż jeszcze pracowały oba starsze reaktory typu grafitowo-gazowego. Od poważnej awarii, w wyniku której stopieniu uległa część paliwa, a sam obiekt został skażony i wyłączony z eksploatacji na dwa i pół roku, minęło wtedy już siedem lat. Na początku lat dziewięćdziesiątych Électricité de France zamknęła na stałe oba starsze bloki.

Marpeaux minął punkt kontrolny przy wjeździe i zaparkował auto w tym samym miejscu,

w którym piętnaście godzin wcześniej wsiadł do samochodu, przekazawszy po nocy kierownictwo zmiany koledze.

Osiemdziesiąt procent energii elektrycznej wykorzystywanej we Francji pochodziło z elektrowni atomowych. Jeśli doniesienia z ostatnich godzin są prawdziwe i sieć całkowicie się załamała, to znaczy, że większość reaktorów została automatycznie awaryjnie wyłączona, doszedł do wniosku Marpeaux. Automatyczne mechanizmy spowodowały opuszczenie między pręty regulacyjne dodatkowych prętów bezpieczeństwa i w ten sposób reakcja łańcuchowa uległa w znacznym stopniu zatrzymaniu. Dzięki swojej pracy wiedział od dziesięcioleci to, z czego większość ludzi w ogóle nie zdawała sobie sprawy przynajmniej do czasu katastrofy w Fukushima: że wyłączony reaktor nadal produkuje parę i musi być chłodzony. Nawet jeśli temperatura jest o dziewięćdziesiąt procent niższa niż normalnie, to te dziesięć procent i tak wystarczało, by bez chłodzenia doprowadzić rdzeń reaktora do stopienia i w konsekwencji do potężnej katastrofy. W normalnej sytuacji energia zapewniająca działanie systemów bezpieczeństwa i chłodzenia pochodziła z ogólnej sieci energetycznej. Jeśli zaś ta przestawała działać, włączały się systemy awaryjne. W kompleksie Saint-Laurent na każdy blok przypadały po trzy niezależne od siebie systemy napędzane silnikami Diesla. Zapasy ropy starczały na co najmniej tydzień pracy.

Kiedy otworzył drzwi do centrum dyspozycyjnego, od razu usłyszał gorączkowe piszczenie i wycie najrozmaitszych wskaźników ostrzegawczych. Od niemal dwudziestu lat Marpeaux był operatorem reaktora, od prawie ośmiu kierował jedną z trzech zmian w ciągu doby. Takie sytuacje jak dzisiejsza już od dawna nie wywoływały u niego szybszego bicia serca. Gdy wszedł do pomieszczenia wypełnionego setkami światełek i lampek, zastał na swoich miejscach kilkunastu operatorów pracujących w spokoju i skupieniu. Jedni kontrolowali liczby, wskaźniki i lampki przed sobą, inni sprawdzali w opasłych księgach, co znaczy każdy poszczególny sygnał i czym mógł zostać wywołany. Sami doświadczeni pracownicy, którzy co najmniej dwa tygodnie w roku musieli podczas odpowiednich szkoleń rozwiązywać każdą potencjalną awarię. Kierownik zmiany przywitał go uściskiem dłoni.

- Co się dzieje?
- Wsiadł jeden silnik na bloku drugim. Już na początku.
- Inne działają?
- Bez problemu.

Marpeaux od razu pomyślał o poważnych awariach w dostawie energii w przeszłości. Na przykład w 2006 roku w szwedzkiej elektrowni Forsmark, kiedy jej załoga przez ponad dwadzieścia minut nie miała pojęcia, co się dzieje. Przeprowadzone później dochodzenie dało bardzo różne wnioski. Podczas gdy administrator elektrowni, a także szwedzki i fiński urząd nadzoru atomowego twierdzili, że ani przez chwilę nie istniało najmniejsze zagrożenie, inni obserwatorzy i analitycy, w tym także główny projektant elektrowni, byli zdania, że obiekt znajdował się o włos od katastrofy.

Poza tym im samym też już zdarzyło się działać po omacku w ciemnościach do godziny, a potem wszystko wyglądało tak niewinnie, że nawet nie zgłaszali tych incydentów władzom czy do Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej w Wiedniu. Mimo wszystko jednak niefrasobliwość kolegów trochę zaniepokoiła Marpeaux.

- Czy to ma coś wspólnego z testem?

Trzy dni temu sprawdzali dwa z trzech awaryjnych systemów prądotwórczych. Kierownik zmiany wzruszył ramionami.

– Sam wiesz, jak to jest. Dowiemy się tego może za dwa miesiące, jak wszystko przebadamy i odtworzymy.

Z każdą minutą przybywało ludzi ze zmiany Marpeaux. Zastępowali na stanowiskach swoich poprzedników, wdając się z nimi w ożywione dyskusje, które jednak nie doprowadziły do żadnych wniosków. Niektóre z sygnałów ostrzegawczych wyłączyły się, za to uruchomiły się inne.

Marpeaux polecił dwóm ze swoich pracowników, aby przyjrzeni się dokładniej awarii diesla, a potem skupił się na instrumentach.

Mediolan

– Proszę głęboko oddychać – poleciła lekarka.

Obojętnie przyłożyła zimny stetoskop do pleców Manzana.

– Przecież pani mówię, że dobrze się czuję – zapewniał.

Młoda pani doktor, jakby wyjęta prosto z telewizyjnego serialu, stanęła przed Manzanem i zaświeciła mu małą latarką prosto w oko.

– Bóle głowy? Zawroty?

– Nie, nic z tych rzeczy.

Manzano siedział z odsłoniętym torsem na leżance w maleńkim pomieszczeniu ambulatorium Ospedale Maggiore di Milano. Chociaż po krótkiej utracie przytomności ocknął się jeszcze na miejscu wypadku, sanitariusze nalegali, by go zabrać. Jego auto nadawało się tak czy inaczej już tylko na złom, więc pewnie zajmie się nim straż pożarna. A on będzie musiał załatwić sobie na przyszły tydzień samochód z wypożyczalni, żeby móc jeździć do swoich klientów – ostatecznie ich problemy komputerowe wymagają rozwiązania zaraz, a nie Bóg wie kiedy.

Jeszcze w karetce Manzano próbował dowiedzieć się czegoś o losie dwóch pozostałych ofiar wypadku. Sanitariusze nie mieli pojęcia albo nie chcieli mu powiedzieć. Odstawili go na szpitalną izbę przyjęć, gdzie musiał czekać niemal godzinę, zanim został przyjęty.

– Otworzyć usta.

Manzano grzecznie wykonał polecenie, a lekarka sprawdziła jego gardło. Co to mogło mieć wspólnego z niewielką raną na głowie, pozostawało dla niego zagadką.

– Niech pani mi to jakoś zaceruje i puści mnie do domu – zażądał.

– A ma pan kogoś, kto się tam panem zajmie?

– Czy to propozycja?

– Bynajmniej.

– Szkoda.

– Proszę wstać.

Manzano zerwał się z leżanki.

– Niech pan przejdzie wzdłuż tej fugi w podłodze tam i z powrotem.

Znowu jakieś bezsensowne ćwiczenie. Przecież nie jest pijany. Poza tym w tej ciasnej klitce do ściany miał zaledwie cztery kroki. Wrócił do lekarki, która z zadowoleniem skinęła głową i kazała mu znowu usiąść.

– Jest pan pewien, że nie chce pan tu zostać?

– Jeśli napilibyśmy się razem dobrego wina, to czemu nie. W przeciwnym razie...

– To brzmi bardzo kusząco – odpowiedziała z chłodnym uśmiechem. – Ale alkoholu używamy tutaj wyłącznie do dezynfekcji.

– Wobec tego wolę jednak przyzwoite barolo we własnym domu. Mam nadzieję, że przeświecenie możemy sobie darować.

– Możemy – potwierdziła i sięgnęła po strzykawkę.

Kiedy Manzano ujrzał igłę, zrobiło mu się słabo. Uważał, że nie jest bojaźliwy, ale jeśli chodzi o zabiegi medyczne, wpadał w panikę jak dziecko.

– W obecnej sytuacji zdjęcia rentgenowskie wykonujemy wyłącznie w razie absolutnej konieczności – oznajmiła. – W czasie awarii prądu pracujemy na generatorach zastępczych, dlatego musimy oszczędzać nasze zasoby. Zastosuję miejscowe znieczulenie, zszyję ranę i puszcę pana do domu. Uwaga, trochę zapieczę.

– Czy to konieczne? – rzucił.

– Mam zszyć ranę bez znieczulenia?

Manzano ścisnął mocno kant leżanki.

– To tutaj też nie ma prądu? – spytał, by zająć czym innym swoje myśli.

Wbił wzrok w podłogę, aby nie musieć przyglądać się lekarce, i czuł, jak oblewa go pot.

– Zdaje się, że w całym mieście. Od mniej więcej godziny mam same przypadki podobne do pańskiego, jeszcze sporo ich czeka. Mnóstwo stłuczek, bo nagle przestały działać światła. Ludzie poprzewracali się na ziemię, kiedy raptownie zatrzymało się metro. I podobne historie. Pewnie zostanie mała blizna, ale to nic złego. Dodaje mężczyźnie charakteru.

Manzano odprężył się znowu.

– Bo się wygląda jak potwór Frankensteina.

Tym razem przez twarz lekarki przemknął autentyczny uśmiech. Manzano włożył koszulę z pobrudzonym krwią kołnierzykiem, potem płaszcz, który na rękawach też był trochę poplamiony, podziękował pani doktor i wyszedł.

Przed szpitalem na próżno szukał jakiejś taksówki. Spytał mężczyznę w punkcie informacyjnym, ale on tylko ze współczuciem wzruszył ramionami.

– Jeśli uda mi się w ogóle dodzwonić, to mogę panu zamówić, ale trzeba czekać co najmniej godzinę. Publiczne środki komunikacji nie kursują, więc taksówkarze mają urwanie głowy. Jak w czasie awarii w 2003.

Całe Włochy były wtedy przez dwadzieścia cztery godziny pozbawione prądu. Pamiętał to każdy mieszkaniec półwyspu. Oby tym razem trwało to krócej.

Manzano poprosił mężczyznę, aby pokazał mu na mapie, w którym miejscu znajduje się szpital. Via Francesco Sforza. Do katedry można dojść na piechotę. W ciągu godziny, którą musiałby czekać, dotrze na własnych nogach do domu przy Via Piero della Francesca. Czuł się na siłach. Może po drodze uda mu się złapać jakiś tramwaj czy metro, bo prąd włączy pewnie lada moment. Podziękował mężczyźnie w okienku, postawił kołnierz płaszcza i ruszył przed siebie.

Na ulicach światła samochodów zlewały się w nieprzerwaną rzekę toczącą się powoli przez ciemne wąwozy domów. Ludzie na chodnikach zdawali się poruszać inaczej niż zwykle, jakby bardziej nerwowo, wykonując kanciaste ruchy. Takie przynajmniej wrażenie odniósł Manzano. Mimo płaszcza lodowaty wiatr przeszywał go do szpiku kości.

Szedł wąskimi uliczkami w kierunku katedry, przez cały czas towarzyszył mu w tle nieprzerwany koncert klaksonów. Minął świątynię i skręcił w Via Dante do Parco Sempione. Trąbienie stało się jeszcze głośniejsze. Tramwaje zatrzymały się na ulicy i blokowały ruch. Kroczył dalej przez zakorkowane ulice, w niektórych ciasnych zaułkach nie było nawet miejsca, żeby się precyzyjnie między fasadami domów a samochodami. Dotarł do Foro Buonaparte. Tu też panował chaos. Co rusz odzywały się nie wiadomo skąd sygnały pojazdów ratunkowych. Odkrył oświetlony biurowiec. Widocznie tutaj posiadano awaryjny agregat do wytwarzania prądu. Manzano pomyślał o swoim mieszkaniu. W ich domu nie było urządzeń przydatnych w takich sytuacjach. W głowie kłębiły mu się obrazy z wypadku. Próbował je przepędzić. Zastanawiał się, czy nie powinien wezwać straży pożarnej do swojego samochodu. Ma na to czas do jutra. Jutro, jutro wieczorem umówi się z Carlą gdzieś na mieście. A potem pójdzie do niej. A może lepiej z Julią? Zobaczymy, czy lekarka miała rację z tą blizną.

Większość sklepów, obok których przechodził, była już zamknięta, mimo że szyldy z godzinami otwarcia mówiły co innego.

Z zafascynowaniem stwierdził, że nagle dostrzega rzeczy, które dopóki były oświetlone, pozostawały dla niego niewidoczne. Na przykład dziwaczne logotypy nad sklepami czy budynek, obok którego oświetlonych okien wiele razy przechodził, ale dopiero teraz pierwszy raz zwrócił

uwagę na fasadę. W maciupkim sklepiku spożywczym kręciła się w świetle świecy czyjaś pochylona postać. W szklanych drzwiach wisiała tabliczka z napisem „Chiuso”, ale Manzano mimo wszystko zapukał.

Starszy mężczyzna w białym fartuchu podszedł do drzwi i zmierzył go krytycznym wzrokiem. Potem otworzył. Nad wejściem zadźwięczał dzwonek.

– Słucham pana.

– Czy mógłbym jeszcze coś kupić?

– Ale tylko za gotówkę. Elektroniczne płatności nie działają.

To, że w ogóle w tym sklepie są możliwe, zaskoczyło Manzana. Poczł zapach szynki, sera i chleba. Wyjął portfel i przeliczył, ile w nim jest.

– Mam jeszcze czterdzieści.

Starszy pan zmierzył go od góry do dołu.

– Żona? Dzieci?

Czy on sprzedaje wyłącznie ojcom rodziny?

– Nie.

– Czyli dla pana powinno wystarczyć. Nie wygląda pan na obżartucha. Co się panu stało w głowę?

Sprzedawca zostawił drzwi otwarte i zniknął za ladą.

– Mały wypadek przez brak prądu.

W sklepiku było ciepło. Manzano czuł, jak pałają mu policzki.

– Niech pan sobie urządzi miły wieczór przy blasku świec, coś dobrego do jedzenia, bez telewizji. Może jakaś dobra książka – powiedział staruszek.

Manzano wybrał bresaolę, salami finocchietta, taleggio, ser kozi, marynowane grzyby i karczochy, do tego połówka białego chleba. Mężczyzna zapakował wszystko do torby z prostym napisem „Alimentari Pisano”.

– Butelka czerwonego wina?

– Dziękuję, jestem zaopatrzony.

Zostały mu jeszcze dwadzieścia cztery euro. Pożegnał się i opuścił sklep przy ponownym akompaniamencie dzwonka.

Od trzech lat Manzano mieszkał na trzecim piętrze starej kamienicy przy Via Piero della Francesca. Żadnego światła w wejściu, na klatce schodowej nie widział przed oczami własnej ręki. Z ciemności dochodziły liczne głosy – jedne przeklinały, inne błagały, jeszcze inne uspokajały.

Z ledwie co zipiającej windy nie skorzystałby, nawet gdyby był prąd. Szedł po omacku do przodu, przesuwając dłonią po ścianie.

Gdzieś od góry migotało światło. Schody wiły się jak spirala, w której środku znajdowała się winda. Między pierwszym a drugim piętrem zebrała się wokół kabiny chyba z połowa mieszkańców kamienicy wyposażona w latarki i świece, wszyscy mówili jeden przez drugiego i uspokajali uwięzionych w windzie.

– Czy pomoc już jedzie? – spytał Manzano.

– Nie możemy się dodzwonić ani do straży, ani na numer ratunkowy – odpowiedział notariusz Carufio z czwartego piętra. – Obie linie są bez przerwy zajęte. Co się panu stało?

– To nic takiego. – Manzano próbował dodzwonić się przez swoją komórkę na numer ratunkowy. – Moja sieć jest przeciążona – stwierdził. – A kto tam utknął?

– Kuzynka ze swoją córką – lamentował Carufio, po czym znowu zwrócił się do nich: – Biedna, ona ma naprawdę pecha! Już raz coś takiego przeżyła w czasie tej wielkiej awarii w 2003.

– Jeśli się tu do niczego nie przydam, to pójde do siebie na górę. Miałem wypadek. Też przez brak prądu.

– Oczywiście, oczywiście – odparł Carufio. – Nie musimy sterczeć tu wszyscy. Dziękuję za pomoc.

Gdy znalazł się już w swoim mieszkaniu, za sprawą tych niezwykłych okoliczności przeżył chwilę prawdziwego zadziwienia, że w znajomym otoczeniu można poruszać się w sposób tak oczywisty: dłoń uniosła się na właściwą wysokość, aby trafić do dziurki od klucza, a potem jednym ruchem po omacku dosięgła wieszaka na płaszcz, odstawiła teczkę z laptopem i zakupy, na oślep znalazła drzwi do łazienki.

Po splukaniu sedesu rezerwuar wydał charczący odgłos. Manzano nie usłyszał cichego szumu, z jakim pojemnik zwykle ponownie napełniał się wodą. Odkręcił staroświeckie krany przy umywalce – odpowiedziały takim samym odgłosem jak klozet i wypluły z siebie kilka kropli, po czym z bulgotaniem zamilkły. Manzano jeszcze raz sprawdził spluczkę w sedesie. Przycisk nie stawiał żadnego oporu, nie było więcej wody.

– Świetnie.

Tego już za wiele, uznał. Bez prądu może jakiś czas wytrzymać. Ale bez wody? Jeszcze taki usmarowany jak teraz.

Kiedy rozległo się pukanie do drzwi, aż podskoczył.

– Uch, duchy – usłyszał zza drzwi głos swojego sąsiada Carla Bondoniego.

Ze świeczką w dłoni oświetlającą jedynie jego pomarszczoną twarz i dziką aureolę siwych włosów wyglądał jak stary mężczyzna z malowidła Caravaggia. Kiedy zobaczył Manzana, zawołał z przerażeniem: – Boże drogi, co ci się stało?

– Miałem mały wypadek.

– W całym mieście nie ma prądu – oznajmił Bondoni. – Mówili w radiu.

– Wiem – odpowiedział Manzano. – Powyłączana sygnalizacja na skrzyżowaniach. Moja alfa romeo nadaje się na złom.

– Już wcześniej się nadawała.

– Ty to umiesz pocieszyć człowieka.

– Masz, zapal sobie za nią świeczkę – zaproponował Bondoni, podsuwając mu jedną. – Przynajmniej nie będziesz musiał siedzieć po ciemku.

Manzano przytknął ją do płomienia sąsiada.

– Dzięki. Ja też mam gdzieś kilka. Ale teraz łatwiej je znaleźć.

– Skoro jesteś inżynierem i specjalistą od technologii informacyjnych, nie mógłbyś coś poradzić na cały ten pasztet? Telewizor nie działa, internet też martwy, człowiek nawet nie wie, co się dzieje. A wszystkiemu winne są pewnie te nowomodne liczniki prądu.

Manzano był głodny. Znał Bondoniego wystarczająco długo, by od razu się domyślić, jaki jest cel całej tej gadki emeryta. Bez telewizji było mu nudno, szukał jakiejś rozrywki. A co tam, w końcu nie mam żadnych specjalnych planów na dziś wieczór, pomyślał Manzano.

– Wejdz. Zimno tu na korytarzu. Jadłeś już coś?

– Pewnie masz jakąś czarującą brunetkę...

– Nie dzisiaj. A zwłaszcza nie w tym stanie.

– Młodzińcze, przecież to tylko szrama. Dodaje ci uroku.

– Już to dziś słyszałem. A młody nie jestem już od dawna.

– O nieba! Co ja bym dał, żeby mieć czterdzieści trzy lata!

– No to wchodzisz czy nie?

– Skoro tak ładnie prosisz...

Bondoni zamknął za sobą drzwi i poszedł za gospodarzem do kuchni. Manzano umył

sobie ręce wodą z butelki. Znalazł całą paczkę długich świec i połowę opakowania świeczek do podgrzewacza. Zapalił kilka i porozstawiał w różnych miejscach. Tymczasem Bondoni trajkotał jak najęty, wyklinał dostawców prądu, elektrownie wodne, spółki telewizyjne i oczywiście polityków, którzy są wszystkiemu winni. Manzano otworzył lodówkę, aby włożyć do niej kupione jedzenie.

– Ona też czerpie prąd z gniazdka – stwierdził lakonicznie Bondoni, kiedy dostrzegł spojrzenie Manzana rzucone w głąb ciemnej czeluści. – Wystaw to lepiej na balkon, chociaż bez ogrzewania i tu niedługo zrobi się całkiem zimno. – Zachichotał.

– Jak to bez ogrzewania?

– Przestało działać. Ale nie narzekaj. Po wojnie...

– ...byłeś niemowlakiem i pamiętasz tyle co nic.

– No, no, nie pozwalaj sobie... – Bondoni udawał obrażonego.

Manzano wystawił to, co mogło się szybko zepsuć, na podziurawiony śnieżny dywan przykrywający stare płytki. W oknach innych mieszkań zauważył słaby blask świec.

Przekopywał szufladę z różnymi rupieciami.

– Gdzieś tu muszę mieć jeszcze latarkę. No, nakryj już do stołu.

Wziąwszy kilka butelek z wodą i jedną świeczkę, poszedł do łazienki i umył się, na ile to było możliwe. Włożył świeżą koszulę i dżinsy, po czym przeszedł składowy i swój pokój do pracy. Natknął się na kilkanaście starych i nowych komputerów, całą masę części komputerowych, na stare radio walizkowe, aż wreszcie w nierozpakowanym od przewodniczki pudle znalazł latarkę, która nawet działała. Przyniósł ją do kuchni razem z radiem. W tym czasie Bondoni przygotował kolację. Wyciągnął w jego stronę dwie butelki wina. Oczywiście dwie z tych lepszych z zapasów Manzana.

– Ta czy ta?

– Barolo. – Przypominało mu lato, zapach pinii w słońcu. – Jeszcze szybko sprawdzę skrzynkę z bezpiecznikami.

– Pójdę z tobą!

Podobnie jak we wszystkich włoskich domach przez całe dziesięciolecie poniżej bezpieczników wisiała duża czarna skrzynka z typową tarczą licznika i polami odczytu, na których cyfry rosły wolniej albo szybciej i pokazywały zużycie prądu. Od kilku lat na jej miejscu znajdowało się płaskie białe pudełko tak zwanego inteligentnego licznika prądu.

– W kuchni można by to wziąć za klepsydrę do jajek – marudził Bondoni. – W sypialni za zegar elektroniczny, a w łazience za ciśnieniomierz. To wszystko wygląda identycznie. W środku są pewnie te platynowe ustrojstwa.

– Masz na myśli płytki.

– Wszystko jedno. Bezduszne chipy, które można przebrać, za co się chce. Już to *Form follows function* uważałem za potworność, ale to tutaj... jak to się nazywa? „Forma wynika z braku pomysłowości”? – Jego kościsty palec wskazał na szary wyświetlacz. – I też nic nie pokazuje. Martwy licznik!

– Jak nie płynie prąd, to nie ma czego liczyć.

Wrócili do kuchni. Manzano nalał wina do kieliszków.

– Zawsze na wszystko znajdziesz odpowiedź – mruknął Bondoni.

– Po prostu nie lubię takiego wybrzydzenia na nowe techniki w wykonaniu ludzi, którzy bardzo chętnie korzystają z okularów, telefonów i rozruszników serca. To też były kiedyś nowe wynalazki i na nie jakoś nikt nie narzeka.

– Oho! Wyznawca postępu. Niech ci będzie: za twój piękny nowy świat. *Salute!*

– I za twoją emeryturę. *Salute!*

Blisko Bregencji

– Tu też już nic nie działa! Ani jednej stacji benzynowej, gdzie można by zatankować! – krzyczała Terbanten. – To niepojęte!

Angström wychyliła się między dwoma przednimi siedzeniami i obserwowała chaos za szybą. Zaczął mocno padać śnieg. Widok podobny jak na poprzednich stacjach: dziesiątki samochodów zaparkowanych jak popadnie, niektórzy próbowali znaleźć drogę z tego bałaganu. Zerknęła na wskaźnik paliwa w citroenie Terbanten. Żółta lampka sygnalizowała, że została im już tylko rezerwa.

– Na tej reszcie benzyny nie dotrzemy już do domku – stwierdziła. – Mamy dwie możliwości: albo poczekamy tutaj, aż zaczną znowu działać dystrybutory...

– Co może potrwać całą noc – zauważyła Terbanten.

– Albo zjedziemy z autostrady i poszukamy jakiegoś noclegu na dzisiaj – zaproponowała van Kaalden.

– Ale długo i tak nie możemy szukać – wtrąciła Terbanten. – Bo daleko nie ujedziemy. Lepiej, żebyśmy nie utknęły na jakiejś bezimiennej lokalnej austriackiej szosie. Tu przynajmniej będziemy marznąć blisko źródła.

Angström próbowała zasięgnąć rady swojego smartfona.

– Co za absurd, że ciągle nie ma internetu. Mogłybyśmy szybko i prosto znaleźć jakieś schronienie w okolicy.

Zegar pokazywał 22:47.

– Myślałam, że o tej porze będę już od dawna siedziała ze szklaneczką ponczu przed jakimś przytulnym kominkiem – westchnęła. – No to jak: kto jest za szukaniem hotelu, a kto za czekaniem tutaj? Głosujemy!

Rozległ się chór czterech głosów:

– Czekamy.

– Jestem głodna – dodała Bondoni.

– Sklep i restauracja wyglądają na zamknięte – zauważyła Terbanten.

– Pójdę sprawdzić. I tak muszę do toalety. Kto idzie ze mną?

– Ja – odpowiedziała van Kaalden.

Angström też się do nich przyłączyła, a Terbanten została w samochodzie.

Ubrane w swoje sportowe kurtki człapały między innymi samochodami w stronę sklepu. Wiele aut było pustych. Niektóre miały włączone silniki, w innych pasażerowie otulili się ciepłymi ubraniami, a w jeszcze innych spali za szybami pokrytymi lodem. Z jednego pomachało im jakieś dziecko.

– Niesamowite – powiedziała Bondoni.

Stacja benzynowa była rzeczywiście zamknięta na cztery spusty. Obeszły cały budynek i znalazły toalety z tyłu. Ledwie otworzyły drzwi, uderzył je okropny smród. Angström zdołała jeszcze rozpoznać umywalkę, ale głębiej było już zbyt ciemno, aby móc cokolwiek zobaczyć.

– Za żadne skarby nie skorzystam z tej toalety – oświadczyła.

Poszły dalej, do zajazdu. Angström odkryła w oknach ledwie dostrzegalny migoczący blask. Drzwi były otwarte. Z wnętrza dobiegały głosy.

– Tam ktoś jest – stwierdziła Bondoni.

Słabe światło przeświecało przez rzeźbioną szybę dużych dwuskrzydłowych drzwi. Kiedy weszły do sali, Angström poczuła smak przygody, nie niebezpiecznej przygody, tylko raczej tego rodzaju jak dawniej podczas burzy na wakacyjnym obozie. Wszystkie stoły były zajęte. Na niektórych migotały płomienie świec. Goście rozmawiali, jedli, milczeli, spali. Tu było

zdecydowanie cieplej niż na dworze. Do jej nozdrzy dotarł zapach stęchlizny. Wyszedł im naprzeciw mężczyzna w puchowej kurtce z czarną muszką pod brodą.

– Mamy komplet – oznajmił. – Ale jeśli znajdą gdzieś panie jakiś wolny kąt, mogą panie zostać.

– Da się coś zjeść? – spytała Angström.

– Wiele już nie ma. Proszę najlepiej iść do kuchni. Obsługa wyda paniom coś z tego, co jeszcze zostało i nadaje się do jedzenia. Przyjmujemy tylko gotówkę. Światło, woda, sanitariaty, kuchenki, lodówki, ogrzewanie, terminale płatnicze – nic nie działa. Właściwie od trzech godzin mam wolne. Ale przecież nie możemy tych ludzi tak po prostu wyrzucić.

– Czyli żadnej toalety.

– Nie, przykro mi.

– To gdzie się chodzi za potrzebą?

Ybbs–Persenbeug

Dziewięciu mężczyzn wpatrywało się nieporuszenie w monitory pulpitu rozdzielczego.

– No, dalej!

Oberstätter przycisnął guzik. Przez trzy godziny bez przerwy dzwonili, dyskutowali, dokonywali symulacji. Nadal nie wiedzieli, co spowodowało awarię prądu.

Wiedzieli tylko jedno: niemal cała Europa była pozbawiona energii elektrycznej. Elektrownie wodne takie jak Ybbs–Persenbeug nad Dunajem należały do najważniejszych, ponieważ bez żadnej pomocy mogły w każdej chwili podjąć pracę na nowo, aby przywrócić zaopatrzenie w energię. Wiedzieli także, dlaczego doszło do awaryjnego wyłączenia ich elektrowni. W wyniku braku prądu na dużych obszarach nastąpił raptowny wzrost częstotliwości w sieciach, którego nie dało się już skorygować. W odpowiedzi na to systemy informatyczne licznych elektrowni w ciągu kilku sekund automatycznie je wyłączyły, aby ochronić generatory przed zniszczeniem. Oberstätter nie mylił się więc, odnosząc w którymś momencie wrażenie, że generatory wręcz tętnią. Nadal nie potrafił zrozumieć, dlaczego koledzy na wskaźnikach w centrum dyspozycyjnym chcieli widzieć coś wręcz odwrotnego. Miał nadzieję, że cały agregat nie uległ uszkodzeniu.

Teraz próbowali na nowo uruchomić elektrownię. W przeciwieństwie do ekspresu do kawy tu nie wystarczyło tylko przycisnąć guzika. Stopniowo musieli puścić wodę na turbiny, dołączyć generatory, pamiętać o wentylach ciśnienia i innych elementach, aby w końcu skierować prąd do sieci.

– Stop! – rzucił jeden z jego kolegów. Wskazał palcem na ekran. – Niebezpieczeństwo zwarcia przy XCL jeden trzy sześć dwa. Już na samym początku. Super. Armin, Emil, zejście na dół i sprawdźcie.

– Czyli znowu co najmniej jedna godzina zwłoki – jęknął jeden z wywołanych.

– Nie mamy innego wyjścia – odparł Oberstätter. – Dopóki wszystko nie będzie w porządku, nie możemy się włączyć.

Sięgnął po telefon i wybrał numer sztabu kryzysowego w centrali.

Berlin

Michelsen starała się zapanować nad swoim głosem, zanim powiedziała do słuchawki: – Proszę się zwrócić do naszego biura prasowego. Poza tym za kilka minut odbędzie się konferencja prasowa i zostanie opublikowany komunikat ministerstwa.

Rzuciła słuchawkę.

– Skąd ta kreatura ma ten numer? Ci dziennikarze!

Podobnie jak inni Michelsen podczas minionych godzin na dobre zainstalowała się w centrum kryzysowym Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Podczas gdy na początku miano nadzieję na szybką zmianę sytuacji, ostatnie informacje nie zapowiadały niczego dobrego. Zebrała nerwowo swoje materiały i pospieszyła do jednego z operatorów przed wielkimi monitorami. Na ekranie był znów widoczny Helge Brockhorst ze Wspólnego Centrum Zgłoszeniowego i Nadzoru republiki i krajów związkowych w Bonn.

– ...tak samo w czwartym rejonie. Kilka miejskich zakładów energetycznych zapewnia na razie podstawowe dostawy prądu, ale raz po raz ulegają one przerwaniu. Kilka krajów związkowych rozważa ogłoszenie stanu klęski żywiołowej.

Czyli nic nowego. Od lat było wiadomo, że taka sytuacja może kiedyś nastąpić. Częściowo się na nią przygotowano. W Niemczech radzenie sobie z sytuacjami kryzysowymi należało do kompetencji landów. W razie zagrożenia dla całego kraju koordynację działań przejmowano na szczeblu federacji, dlatego co dwa lata odbywało się szkolenie o wymyślnej nazwie Federalny Trening ds. Zarządzania Kryzysem, w skrócie LÜKEX. Ćwiczone podczas niego współpracę poszczególnych federalnych resortów ze sztabami kryzysowymi landów, służbami ratowniczymi i osobami prywatnymi ze struktur krytycznych. Ostatnio wzięło w nim udział siedem ministerstw federalnych, urząd kanclerski, federalne biuro prasowe, rozmaite federalne organy bezpieczeństwa, federalne i krajowe jednostki odpowiadające za ochronę ludności, organizacje humanitarne jak Czerwony Krzyż, a także wiele firm komunikacyjnych, telekomunikacyjnych, zaopatrzeniowych i medycznych, które testowały swoje scenariusze działania w sytuacji kryzysowej. Michelsen modliła się o to, aby uczestnicy tamtego szkolenia nadal zajmowali swoje stanowiska i byli odpowiednio wyposażeni. Jak rozległe i kompleksowe było tamto ćwiczenie, dowodził choćby czas poświęcony na jego przygotowanie – dwa lata. A prawdziwe wydarzenia, jak sama wiedziała z doświadczenia w mniej poważnych wypadkach, i tak zawsze niosły jakieś niespodzianki, o których wołała teraz nawet nie myśleć. Od tej chwili należało natychmiast przystąpić do organizowania kryzysowych scenariuszy we wszystkich dziedzinach życia, począwszy od najpilniejszej pomocy ludności, przez służby ratownicze jak straż pożarna, Czerwony Krzyż, pogotowie techniczne i inne, które uwalniały ludzi uwięzionych w windach i kolejkach metra, po utrzymanie bezpieczeństwa publicznego przez policję, bieżące informowanie społeczeństwa o sytuacji i działaniach, jakie każdy obywatel mógł sam podjąć. Należało także zadbać o zapewnienie opieki medycznej oraz o zaopatrzenie w wodę i żywność. Michelsen wiedziała, że ważne instytucje jak szpitale czy określone urzędy są wyposażone we własne generatory. Również wiele dużych zakładów przemysłowych czy kombinatów rolnych jest w stanie przetrwać bez dostaw prądu z zewnątrz przez kilka godzin lub kilka dni. Jeśli chodzi o transport publiczny, dostęp do wody czy żywności, sytuacja wyglądała już gorzej. Lista potrzeb obejmowała wszystkie sfery życia codziennego osiemdziesięciu milionów mieszkańców Niemiec. Oraz – jeśli można było wierzyć otrzymanyom informacjom, a raczej tak – kilkuset milionów ludzi w całej Europie, co sprawiało, że wszystko stawało się jeszcze trudniejsze. W przypadku regionalnych awarii i katastrof w minionych latach zawsze istniała możliwość uzyskania pomocy z zewnątrz, z innych landów, a w ostateczności – także z zagranicy. Jednak w

obecnych warunkach „zewnątrz” oznaczało bardzo daleko. Nawet z Rosji dochodziły meldunki o zakłóceniach w sieci, choć na razie nie odnotowano tam żadnych wyłączeń. Już od dłuższego czasu pozostawano w kontakcie z Centrum Monitoringu i Informacji przy Komisji Europejskiej w Brukseli. EuMIC odgrywał w odniesieniu do całej Europy taką samą rolę jak centrum kryzysowe Ministerstwa Spraw Wewnętrznych w odniesieniu do Niemiec: koordynowało, organizowało i informowało.

Michelsen szła szybkim krokiem do wyjścia, mijając po drodze salkę, w której minister spraw wewnętrznych w trakcie wideokonferencji wciąż jeszcze omawiał sytuację ze swoimi europejskimi odpowiednikami. Na korytarzu czekało na niego siedmiu kolegów z rozmaitych wydziałów. Po chwili wszyscy razem ruszyli do biura prasowego prowadzeni przez rzecznika ministra.

Między nim a orszakiem za jego plecami trwała ustawiczna wymiana pytań i odpowiedzi.

– Czy już znana jest przyczyna?

– Nie. Nie ma nic potwierdzonego. Wersja dla mediów: obecnie najważniejsze jest przywrócenie zaopatrzenia w prąd. Badaniem przyczyny zajmiemy się wtedy, gdy ludzie będą mogli znowu ogrzewać swoje mieszkania, robić zakupy i dostać się do pracy.

– Przewidywany koniec awarii?

– Trudno powiedzieć. Do tej pory dostawcy byli dosyć optymistyczni, ale już od sześciu godzin próbują bez skutku podnieść sieci. Wersja dla mediów: dostawcy pracują intensywnie nad przywróceniem dostaw energii.

– Jak to możliwe, żeby coś takiego wydarzyło się w całej Europie? To przecież nienormalne!

– Niestety, w nowoczesnych, ściśle ze sobą powiązanych sieciach energetycznych może dochodzić do czegoś takiego. Dlatego właśnie minister już od dłuższego czasu przywiązuje najwyższą wagę do modernizacji sieci i systemów energetycznych na poziomie europejskim.

– Służby pomocnicze?

– Nieprzerwanie pracują. Straż pożarna uwolniła w minionych godzinach tysiące ludzi z wind i kolejek podziemnych. Czerwony Krzyż i inne organizacje troszczą się o chorych, ludzi starszych i podróżnych, którzy utknęli na drogach i ulicach.

– Jak to?

– Bez prądu nie da się zatankować.

– To przecież niesłychane!

– Niestety.

– I to akurat w pierwszy dzień ferii zimowych w niektórych landach.

– Federalna Agencja Pomocy Technicznej działa na pełnych obrotach.

– A wojsko?

– Jest w gotowości, aby w razie potrzeby wesprzeć służby ratownicze.

– Co poradzimy ludziom, jeśli jutro nadal nie będą mieli prądu?

Mediolan

– ...w regionach dotkniętych awarią wciąż pozostają zamknięte szkoły i urzędy.
Bondoni pochylił się jeszcze bardziej nad starym radiem tranzystorowym Manzana, z którego dochodził brzęczący głos spikera.
– A skąd mam wiedzieć, które regiony będą jeszcze jutro dotknięte awarią?
– Sam się przekonasz – odpowiedział Manzano, dając mu znak, że chce słuchać.
– ...ponieważ może dojść do zakłóceń w systemie komunikacji publicznej, władze proszą o tworzenie wspólnot i samopomocy w zakresie dojazdów. Zaleca się także unikania zbędnych kursów samochodami.

On nie mógł teraz odbywać nawet niezbędnych kursów swoim autem i był ciekaw, ile pieniędzy dostanie z ubezpieczenia za tego starego gruchota.

– ...urlopowicze i weekendowi wycieczkowicze powinni wziąć pod uwagę to, że na stacjach benzynowych w regionach dotkniętych awarią nie zdobędą benzyny. Podróżujący koleją muszą liczyć się ze znacznymi opóźnieniami i licznymi odwołaniami pociągów z rozkładów jazdy. Komunikacja lotnicza została na razie całkowicie zawieszona. Dotyczy to oczywiście także pasażerów w pozostałych częściach Europy.

– Europy? – zaskrzeczał Bondoni. – To przecież niemożliwe! Pewnie znowu solidnie przesadzają!

Manzano przypomniały się kuzynka signora Carufio i jej córka uwięzione w windzie. Dopiero przed godziną strażacy uwolnili je z pułapki, w jakiej się znalazły.

– ...dostawcy energii pracują intensywnie nad przywróceniem dostaw prądu.
– Mam nadzieję – mruknął Bondoni i nalał wina już z drugiej butelki.

Pobłażliwie nastroszony po pierwszej Manzano kazał mu otworzyć Serralunga. W takich warunkach dało się całkiem nieźle przetrwać brak prądu. Właściwie nie musieli wysłuchiwać tych mrozących krew w żyłach wiadomości. Wyłączył radio. W milczeniu popijali wino, potem rozmawiali przez cały wieczór o wszystkim i o niczym. Manzano czuł trochę w głowie alkohol, rana pulsowała.

Miał wrażenie, że od chwili, gdy wyłączono prąd, czas płynął jakoś wolniej. Z pełną świadomością przysłuchiwał się ciszy. Podobnie jak wcześniej w drodze do domu również teraz nieoczekiwanie zauważał to, czego normalnie nie dostrzegał. To, czego brakowało. Delikatnego szumu lodówki. Bulgotania wody w rurach. Zbyt głośno nastawionych telewizorów lub urządzeń stereo u sąsiadów. Pozostawał tylko niekiedy ciężki oddech Bondoniego, donośne przełykanie, ocieranie jego koszuli o sweter, gdy stawiał kieliszek na stole.

– Pora spać – oznajmił staruszek i wstał, pojękując.

Zegar nad drzwiami kuchni rzeczywiście pokazywał już kilka minut po pierwszej. Manzano odprowadził sąsiada do drzwi. Natychmiast ogarnęło go osobliwe uczucie. Odsunął je na bok i chciał już poklepać Bondoniego po ramieniu na pożegnanie, gdy zdał sobie sprawę, że coś jest inaczej. Z otwartych drzwi do jego pokoju do pracy padał słaby blask światła.

– Poczekaj chwilę – zwrócił się do niego i wszedł do pokoju, którego oba okna wychodziły na ulicę.

– Latarnie na ulicach znowu się świecą!

Bondoni stał już przy nim. Manzano przycisnęła włącznik lampy. Raz i drugi. Raz i drugi. W pokoju było nadal ciemno.

– Dziwne. Dlaczego na zewnątrz jest światło, a tu nie ma?

Manzano wyszedł znowu do przedpokoju i otworzył szafkę z bezpiecznikami. Wszystkie dźwignienki były we właściwej pozycji, również ta główna. Na wyświetlaczu licznika widniało:

„KL 956739”.

– Znowu jest prąd – bąknął bardziej do siebie niż do Bondoniego. – Przyciśnij włącznik obok drzwi.

Klik, klak. I nic.

– Wobec tego sprawdzmy jeszcze raz dokładnie.

– O co chodzi?

Ale Manzano zniknął powtórnie w swoim pokoju do pracy i po chwili wrócił z laptopem.

– Co ty robisz? – spytał Bondoni.

Podczas gdy komputer powoli się uruchamiał, Manzano zastanawiał się, jak ma wyjaśnić swojemu sześćdziesięcioletniemu sąsiadowi, który co prawda używał komputera do pisania e-maili i surfowania po internecie, ale poza tym niewiele się na nim znał, co teraz zamierza zrobić.

– Kiedy montowali te nowoczesne liczniki, z wrodzonej ciekawości dokładnie obejrzałem sobie wtedy te małe skrzyneczki. – Wystukał coś na klawiaturze i mówił dalej: – Te liczniki to w gruncie rzeczy takie małe komputerki. – Oszczędził Bondoniemu detali, w tym momencie bowiem nie były takie ważne, nie powiedział na przykład tego, że mają chipy, ale ze względu na koszty nie wyposażono ich w twarde dyski. – Dlatego nazywa się je licznikami inteligentnymi. Dzięki nim dostawca energii może odczytać nie tylko dane dotyczące twojego zużycia, ale także sterować zdalnie licznikiem. Odbywa się to za pomocą sterownika PLC. Przy tej technice dane przesyłane są za pośrednictwem kabla energetycznego, co akurat nie jest bez znaczenia.

– No wiem, wiem, oni mogą mi nawet wyłączyć prąd – powiedział Bondoni.

– Wcześniej też już to robili, kiedy nie zapłaciłeś rachunku.

– Ja zawsze płaciłem!

– Do tej pory nikt ci nie wyłączył prądu. Ani nie przykręcił. O ile wiem, oni mają prawo co najwyżej ograniczyć twoje zużycie, ale nie całkiem pozbawić cię energii. Firma energetyczna używa w tych celach różnych kodów.

– Takich jak ten, który teraz widać?

– Właśnie.

– I co równie dla nas interesujące: my też możemy uzyskać dostęp do tej małej skrzyneczki, jeśli się tylko trochę postaramy.

Bondoni zachichotał.

– Co prawdopodobnie nie jest do końca legalne.

Manzano wzruszył ramionami.

– A jak uzyskać ten dostęp? – spytał sąsiad.

– Bardzo prosto: przez interfejs podczerwieni. Taka opcja jest dzisiaj niemal w każdym komputerze. Albo w twojej komórce. Właśnie wtedy zrobiłem coś takiego. Żeby sobie obejrzieć, co ta skrzyneczka potrafi – i w jaki sposób to robi.

W tym celu trochę zmodyfikował swój ówczesny komputer. Za pomocą odpowiedniej dodatkowej karty i stosownego oprogramowania przekształcił go w radio programowalne, dzięki czemu mógł on działać jak odbiornik radiowy odbierający sygnały wysokiej częstotliwości, a także je rozumieć i wytwarzać. W tym także sygnały linii zasilających PLC, za pomocą których firma energetyczna sterowała licznikiem.

– To takie proste? – nie mógł uwierzyć Bondoni.

– Dla osób takich jak ja, owszem – odpowiedział Manzano obojętnie.

– I nie potrzeba żadnych kodów dostępu? Takie dane nie są jakoś zakodowane?

– Jasne, że są. Ale tego rodzaju kody zwykle da się szybko złamać. A jeśli chodzi o hasła, to zdziwiłbyś się, co można znaleźć w internecie, jeśli tylko się wie, gdzie szukać.

– Ale coś takiego to już na pewno nie jest legalne.

Teraz Manzano zaśmiał się szyderczo.

– W końcu warto wiedzieć, od kogo człowiek zależy, no nie?

Na ekranie pokazała się informacja, której szukał.

– Udało mi się wtedy odczytać kody sterujące. To jest ich lista. Za pomocą tego na przykład dostawca energii każe podać bieżące zużycie. A ten służy mu do obniżenia zużycia do dwustu watów. Jest też kod, który przywraca pełny dostęp do sieci, inny pozwala zrestartować licznik, jeszcze inny umożliwia załadowanie od nowa pamięci programu.

Bondoni uważnie studiował listę. Potem podniósł wzrok z powrotem na licznik.

– Ten kod z wyświetlacza jest na twojej liście. I to na czerwono.

– I właśnie tu zaczyna się robić ciekawie. Liczniki produkowane są przez firmę amerykańską, także na rynek USA. Tam stosuje się częściowo inne kody. Również w odniesieniu do funkcji, które we Włoszech w ogóle nie są używane. Na przykład polecenie całkowitego odłączenia od sieci: *disconnect order*. Widzisz tutaj?

Bondoni odczytał powoli szereg liter i cyfr:

– KL dziewięć pięć sześć siedem trzy dziewięć. A niech to diabli! – Jego twarz obłana niebieskim blaskiem ekranu laptopa przypominała Manzanowi jakieś widmo. – Czy to znaczy, że Amerykanie wyłączyli cię z sieci?

– Nie. Wiem tylko, że *disconnect order* nie istnieje wprawdzie we włoskim manualu, ale mimo to działa. Wypróbowałem to swego czasu. Ale teraz najważniejsze: ponieważ ta funkcja nie jest przewidziana we Włoszech, licznik nie wysyła do dostawcy energii żadnych informacji, kiedy *disconnect order* zostaje aktywowany.

– Moment, moment! Wyjaśnij staremu człowiekowi: czy to znaczy, że to polecenie odłączenia zostaje aktywowane, a w firmie energetycznej w ogóle o tym nie wiedzą?

– Jak na starego człowieka z butelką wina we krwi załapujesz piekielnie szybko.

– Ale jak to możliwe, że to polecenie w ogóle zostaje nagle aktywowane?

– I to jest właśnie pytanie. Może jakiś błąd w systemie. Ale podsunąłeś mi pewien pomysł. Chodź. – Pchnął sąsiada w kierunku drzwi. – Sprawdźmy, co robi twój licznik.

Manzano czekał niecierpliwie, aż palce Bondoniego, trochę niezdarne ze starości i od wina, zdołały w końcu wsunąć klucz do zamka.

Urządzenie Bondoniego pokazywało tę samą chińszczyznę znaków. Manzano stał przed niewielką skrzyneczką z otwartymi ustami.

– A niech mnie szlag... jeśli to ma być przypadek!

– To mi się nie podoba – szepnęła Manzano. – Zupełnie mi się to nie podoba. – Idąc z powrotem korytarzem, zawołał: – Spróbujemy coś zrobić.

Znalazłszy się już u siebie, podniósł laptopa z podłogi, gdzie go zostawił.

– Mógłbyś przynieść z kuchni jakieś krzesło? Albo dwa, jeśli ty też chcesz.

– Na nieba, a co ty nagle w środku nocy jesteś taki pełen wigoru?

– Najpierw diabli by cię wzięli, teraz znowu kolej na niebo.

– Trzeba ze wszystkimi żyć po dobremu.

Podczas gdy Bondoni z hałasem przyciągnął z kuchni dwa krzesła, Manzano starał się połączyć laptopa za pomocą podczerwieni z licznikiem. Usiadł na jednym z krzeseł i czekał na nawiązanie komunikacji.

Bondoni przycupnął obok niego i z ciekawością wpatrywał się w komputer.

– Co teraz?

– Teraz pobawimy się w firmę energetyczną. Za pomocą laptopa mogę porozumiewać się z licznikiem. Wydaję po prostu polecenie przyłączenia nas z powrotem do sieci. Zobaczymy, co

się stanie.

Wstukał kod.

Z kuchni dobiegło krótkie pyknięcie, które przeszło w ciche buczenie.

– Sprawdź wyłącznik.

Bondoni posłusznie wykonał polecenie. W przedpokoju zapaliły się dwie lampy.

– Święta Madonno! Mógłbyś zrobić coś takiego i u mnie?

– Pod warunkiem, że przestaniesz przyzywać wszystkich świętych i diabły. Spróbuj w kuchni. I zobacz, czy działa lodówka.

Bondoni ponownie zniknął w kuchni, a chwilę później Manzano dojrzał w niej światło. Słyszał, jak otworzyły się drzwi lodówki z charakterystycznym przytłumionym kłębnięciem gumowej izolacji.

– Działa! – zawołał Bondoni.

– To teraz idziemy do ciebie.

W ciągu kilku minut przeprogramował licznik sąsiada, po czym staruszek miał znowu prąd w swoim mieszkaniu. Od razu poszedł do toalety, Manzano zaś przyglądał się zdjęciom na ścianie. Fotografie z wakacji ukazujące Bondoniego z jego zmarłą żoną i z córką. Słyszał plusk intensywnego strumienia wpadającego do wody w sedesie. A potem głucho bulgotanie w rezerwuarze.

– Ale wody ciągle nie ma – oznajmił Bondoni.

– Cholera! Czyli mogę zapomnieć o prysznicu. – Manzano wskazał na zdjęcia. – Co słyszać u twojej córki?

Wiedział, że pracuje w Brukseli w Komisji Europejskiej. Ale nigdy nie pamiętał, w jakim resorcie.

– Świetnie! Wyobraź sobie, że niedawno znowu awansowała. Nie uwierzysz, ile ona tam teraz zarabia. I to wszystko z moich podatków.

– To przynajmniej pieniądze zostają w rodzinie.

– Ale czynsze w tej Brukseli są horrendalne. Dzisiaj wyjechała na narty. Do Austrii. Jakby we Włoszech nie można było cudnie spędzić zimowego urlopu!

Manzano też już poczuł ucisk w pęcherzu. Nic dziwnego po butelce wina. Życzył dobrej nocy Bondoniemu, który podziękowawszy mu za wino i światło, zamknął za nim drzwi.

Znalazłszy się z powrotem w swoim mieszkaniu, Manzano niemal przestraszył się jasności. Przez ułamek sekundy żałował tych chwil ciszy i spowolnienia. Nawet jeśli nieustanna paplanina sąsiada znacznie je zakłóciła. Zgasił światło w przedpokoju i zamknął skrzynkę z bezpiecznikami. W salonie włączył laptopa do gniazdka, żeby go naładować. Następnie stanął przy oknie i spojrzał w dół na ulicę. Poza latarniami ulicznymi wszędzie ciemno. Nic niezwykłego o tej porze nocy.

Myśl o obcym kodzie w jego liczniku nie dawała mu spokoju. Wszedł do internetu, jego operator wyraźnie pracował na awaryjnym zasilaniu. Szukał najświeższych informacji o awarii, włączył telewizor i przebiegł przez wszystkie kanały. Niektóre nie działały. Na pozostałych leciały nocne programy, te co zawsze. Jedynie w RAI i w kanale informacyjnym podawano na pasku w dolnej części ekranu: „Brak prądu w wielu częściach Europy. Relacja wkrótce”.

Również w internetowych serwisach znanych gazet, do których udało mu się wejść, znajdowało się zaledwie kilka artykułów. I też pochodziły już przed kilku godzin. Na Twitterze znalazł mnóstwo wpisów, ale większość autorów jedynie donosiła z irytacją o braku prądu albo pytała, czy w innych miejscach wciąż jeszcze jest i co oznaczają informacje, że awarią dotknięte są także inne części Europy. Prawie wszystkie wpisy powstały dobrych kilka godzin temu. Potem natknął się na tweety hiszpańskie, angielskie, francuskie, niemieckie i holenderskie, z których

wywnioskował, że również w tych krajach doszło do przerw w dostawie energii.

Może wejść jeszcze na swoje fora specjalistyczne? Ziewnął i przetarł sobie oczy. Wyraźnie wartość informacyjna tego, co się dookoła dzieje, jest zbyt mała dla tradycyjnych mediów, aby na szybko sklecono choćby kilka artykułów. Czyli nie może być aż tak źle. Dziennikarze w taką zimną noc woleli zaszyć się pod ciepłą kołdrą i pewnie mieli nadzieję, że rano będzie po wszystkim, pomyślał Manzano. Powinienem pójść w ich ślady, uznał. Ale przedtem muszę jeszcze sprawdzić, czy ktoś oprócz niego natrafił na ten kod. A nawet jeśli nie, to trzeba koniecznie zostawić wiadomość na forach. A może powinien zadzwonić do firmy energetycznej? Tylko na chwilę przymknie oczy, da im odpocząć, choćby krótko.

Berlin

O drugiej w nocy Michelsen kazała zamówić dla siebie taksówkę. Jazda przez ciemne ulice miasta była przygnębiająca. Taksówkarz chciał porozmawiać o tej nadzwyczajnej sytuacji, ale odpowiadała monosylabami, więc wkrótce zamilkł. W radiu leciał nocny jazz. Również media spały o tej porze. Cały czas gorączkowo rozmyślała o tym, co ją czeka, jeśli po powrocie do ministerstwa za kilka godzin nadal nie będzie prądu.

Bardzo by się ucieszyła z prysznica, bo w ciągu dnia nieźle się napociła. W mieszkaniu było jednak zimno, a woda nie leciała ani z kranów, ani z rezerwuaru w toalecie. Spodziewała się tego. Mimo to czuła, jak poczucie zawodu pogłębia jeszcze jej zmęczenie.

Również dlatego, że – jak stwierdziła z zawstydzieniem – nie jest przygotowana na taką sytuację.

A przecież to właśnie Ministerstwo Spraw Wewnętrznych oferowało swoją broszurę *Zabezpieczenie przed nagłymi wypadkami* aż w ośmiu różnych językach, a wszystkie informacje w niej zawarte znajdowały się też na stronach ministerstwa. Michelsen dosyć dawno temu przejrzała je pobieżnie. Teoretycznie wszystko wiedziała. Ale jak większość ludzi nie brała poważnie ostrzeżeń, dopóki wszystko toczyło się normalnie. Klasyczna ilustracja porzekadła, że szewc bez butów chodzi. Jako zastępca szefa Wydziału Zarządzania Kryzysowego i Ochrony Ludności nie miała zalecanych zapasów wody i żywności na dwa tygodnie ani radia na baterie. W ostateczności mogę skorzystać z radia samochodowego, pomyślała. Poza tym w takiej sytuacji jestem i tak wyłącznie w biurze, więc po co jakiegokolwiek zapasy w domu?

Resztką sił przy użyciu paru chusteczek odświeżających umyła się byle jak. Na piżamę wciągnęła gruby wełniany sweter. Włożyła też ciepłe skarpety. Zegar elektryczny w radiu oczywiście nic nie pokazywał. Nastawiła budzik w swoim telefonie komórkowym na wpół do czwartej. Ciarki przeszły ją po plecach na myśl o poranku; zasnęła więc z niemą modlitwą o to, aby po przebudzeniu się wszystko było w porządku.

Centrum dowodzenia

Chętnie zobaczyłby teraz Europę z międzynarodowej stacji kosmicznej. Tam, gdzie zwykle pobłyskiwały delikatne żyłki i pulsujące węzły sieci oświetleniowej, obecnie z kosmosu widać było tylko rozległe ciemne przestrzenie. Według pierwszych relacji i pomiarów co najmniej dwie trzecie kontynentu zostały pozbawione prądu, a obszar ten miał się jeszcze powiększyć. Usiłował sobie wyobrazić decydentów, jak bezradnie szukają przyczyn, podejrzewają pogodę, problemy techniczne lub ludzkie zaniedbanie, a w rzeczywistości nie zdają sobie sprawy z rozmiarów katastrofy, bo jeszcze kilka godzin temu sądzili, że ją opanują. Nadal tak myśleli. Ci, którzy uważali tę awarię za krótkotrwały incydent mijający po kilku godzinach podobnie jak w poprzednich latach, świetnie nadający się do opowiadania potem zabawnych anegdot lub beztroskich historii z dreszczykiem, mogą sobie i tym razem snuć różne opowieści. Ale bynajmniej nie frywolne o gwałtownym wzroście liczby urodzin po dziewięciu miesiącach ani nie nostalgiczne o spaniu w śpiworze czy myciu się w rzece jak swego czasu – ale byliśmy wtedy młodzi! – na obozie młodzieżowym. Po kilku dniach rozumieją, że ich historie będą przypominać raczej te, które dotychczas znali tylko z reportaży z regionów dotkniętych wojną albo klęskami żywiołowymi w dalekich krajach i na innych kontynentach. Po kilku tygodniach uświadomią sobie, że ich opowieści będą brzmiały jak niemal już zapomniane wspomnienia dziadków i pradziadków z czasów po wojnie, która spustoszyła Europę i świat, wspomnienia, których nigdy nie brano na poważnie, bo snuto je tak dawno temu i z wielką melancholią. A potem, stopniowo, bardzo powoli, najpierw jedna osoba, później kolejne rozumieją, że czas opowieści dobiegł kresu, bo historia znowu pisze się od nowa.

Stacja benzynowa blisko Bregencji

Angström obudził coraz intensywniejszy szum. Kiedy uniosła głowę, poczuła ból w karku. Widocznie zasnęła w niewygodnej pozycji. Od razu sobie przypomniała, że znajduje się w pozbawionym prądu zajeździe przy autostradzie, w którym wylądowała wraz z setkami innych podróżujących. Otworzyła oczy. Jeszcze odurzona snem zauważyła, że ludzie podnoszą się z miejsc i – poszeptując – zmierzają ku wyjściu. Na swoim ramieniu poczuła głowę van Kaalden. Wyprostowała się ostrożnie i zaczęła przysłuchiwać się narastającemu szmerowi. Coraz więcej osób się budziło, każdy rozglądał się wokoło, z ciekawością obserwował ruch w sali.

Dokąd oni wszyscy się wybierają? Angström wstała i ruszyła przed siebie. Był to marsz z przeszkodami, bo musiała omijać tych, którzy znaleźli miejsce do spania już tylko na podłodze. Jednocześnie sprawdziła kieszenie kurtki, aby upewnić się, czy ma portfel. W kieszeni spodni wyczuła komórkę. W powietrzu unosił się zapach wilgotnych ubrań, potu, roztopionego śniegu, zimnej zupy. Miała chłodne ręce i twarz, co znaczy, że w sali się oziębiło. Jeszcze nie zdążyła dotrzeć do wyjścia, gdy ktoś powiedział na cały głos:

– Stacja benzynowa znowu działa.

Szmer natychmiast się nasilił. Kiedy Angström znalazła się wreszcie blisko drzwi, ludzie zaczęli napierać na nią od tyłu i wypchnęli ją na zewnątrz.

Uderzyło ją przenikliwie zimno. Na niebie nie było gwiazd. Na ciemnym parkingu rozlewało się światło z przystacyjnego sklepu, w którym tłoczyli się dziko gestykulujący ludzie.

Przeszła na drugą stronę, poprawiła sobie od niechcienia włosy i postanowiła wejść do sklepu. Od razu zauważyła, że wiele regałów i lodówek prawie świeci już pustkami. Głosy wokół niej pobrzmiwały coraz większą irytacją i zawodem. W końcu zrozumiała, że dystrybutory nadal nie działają. Inaczej wyobrażała sobie swój urlop na nartach. Nagle poczuła się zmęczona, brudna i głodna.

Zebrała się jednak w sobie i ściągnęła z regału chleb, gotowe kanapki, ciastka i napoje, po czym stanęła w kolejce do kasy.

– Tylko gotówka! – Mężczyzna za ladą powiedział to dialektem, którego w ogóle nie rozumiała.

Angström najczęściej płaciła kartami, dlatego również w tę podróż prawie nie wzięła gotówki. Wyjęła portmonetkę, wyciągnęła z niej jeden z nielicznych banknotów, odebrała resztę i opuściła sklep.

Z zajazdu płynął potok ludzi, którzy podobnie jak ona uwierzyli plotce. Zrobiło się jej zimno, postanowiła więc poszukać pozostałych.

Przecisnęła się pod prąd z powrotem do wnętrza budynku. W środku panowało wielkie poruszenie. Powietrze było ciężkie, ona sama zaś miała wrażenie, że wszystko się do niej lepi. Męczył ją głód i chciała do toalety.

Miejsce, w którym spędziła noc, okazało się puste. Angström nie mogła nigdzie wypatrzeć swoich przyjaciółek. Ruszyła więc na dół, o poziom niżej, gdzie znajdowały się toalety. Ale zaraz zawróciła. Panowały tam egipskie ciemności, a nieznośny smród zatkał jej nos już na schodach. W nocy, kiedy przycisnęła je potrzeba, przykucnęły na skraju parkingu za jakimiś krzakami. Teraz też wolała wybrać tamto miejsce. Ale ponieważ przedtem chciała zostawić zakupy w samochodzie, ruszyła do citroena, w którym czekała już na nią reszta.

– Nasze śniadanie – oznajmiła, podnosząc wysoko pakunek.

– Super – odparła van Kaalden, wskazując na sklep. – Bo my nie dostałyśmy w nim już prawie nic.

– Ale benzyny nadal nie ma – uzupełniła Angström.

- Już słyszałyśmy – odpowiedziała Bondoni.
- I co teraz? – spytała van Kaalden.
- Muszę na stronę – oświadczyła Angström, wciskając pozostałym zakupy do ręki.

W pierwszym świetle brzasku pobiegła do żywopłotu oddzielającego parking od łąk i lasu. Mimo zimna jeszcze przed krzakami poczuła wyraźnie nosem, że teren z tyłu za nimi zamienił się w zbiorową latrynę. Ruszyła wzdłuż żywopłotu w nadziei, że trochę dalej nie będzie może tak okropnie. Oddalona ze sto metrów od stacji, na samym końcu parkingu odważyła się w końcu wejść między zarośla. Ziemia była usiana białymi, mokrymi strzępami papieru. Angström wolą nie przyglądać się zbyt dokładnie. Zaledwie dwa metry dalej dostrzegła czyjąś przycupniętą postać. Bąknęła coś niezrozumiałego pod nosem, co miało brzmieć jak przeprosiny, i pospieszyła dalej, pilnie uważając, gdzie stawia stopy. Znowu ktoś tam stał. Jakaś kobieta trzymała małe dziecko, aby mogło się załatwić. Angström zaklęła w duchu. Wreszcie znalazła miejsce, w którym wydawała się nieobserwowana. Po nocy miała przy sobie jeszcze kilka zwykłych i wilgotnych chusteczek. Najszybciej jak się dało, zrobiła swoje i pospiesznie opuściła zarośla.

W aucie Bondoni i Terbanten przeżuwały kanapki. Angström dosiadła się do nich na tylne siedzenie. Było tak zimno i wilgotno, że widziała wydychane przez siebie powietrze. Z radia dochodził głos spikera. Właśnie mówił o tym, że obywatele proszeni są o rezygnowanie ze zbędnych podróży.

– Dowcipniś – skwitowała Angström.

– Mówią, że ostatniej nocy nie było prądu w połowie Europy – relacjonowała Bondoni. – A w niektórych rejonach może jeszcze trochę potrwać, zanim będzie znowu.

– W połowie Europy? – Angström odwinęła swoją kanapkę. – Jak to możliwe? Powiedzieli też coś o tej okolicy?

– Nie. Jak cię nie było, próbowałam dowiedzieć się czegoś więcej. Ale nikt nic nie wie. Pracowników stacji ta sytuacja zupełnie przerasta.

– No to co robimy? – spytała Terbanten. – Przecież nie będziemy tkwić tutaj na zimnie ani przesiadywać na tym spontanicznym biwaku z jego higienicznymi atrakcjami.

– Może zadzwonić po taksówkę – zaproponowała Angström. – Albo sprawdzić, czy nie da się znaleźć jakiegoś publicznego środka komunikacji, którym mogłybyśmy dojechać na miejsce. Do najbliższego dworca kolejowego czy przystanku autobusowego powinno nam wystarczyć benzyny. Samochód i resztę bagażu odbierzemy potem.

– A jeśli na naszej kwaterze też nie ma prądu?

– Przynajmniej nie trzeba będzie dzielić toalety z setkami obcych ludzi i będzie łazienka i kominek.

Van Kaalden zawtórowała:

– Brrr, tu jest obrzydliwie. Nie zostanę tu ani sekundy dłużej.

– No to się zastanówmy. – Angström powtórzyła znowu swoje propozycje.

– Taksówka będzie droga – wtrąciła van Kaalden. – Chociaż z drugiej strony, jak podzielić na cztery...

– Tylko najpierw trzeba ją gdzieś zdobyć – zauważyła Terbanten.

Angström wykręciła się, żeby wyciągnąć swoją komórkę z kieszeni spodni.

– Nie ma zasięgu – stwierdziła zawiedziona. – Jeszcze to na dodatek.

Na parkingu ktoś zaczął trąbić, jakby to mogło w czymkolwiek pomóc. Mimo to odzywały się kolejne klaksony. Ani van Kaalden, ani Terbanten czy Bondoni nie widziały związku.

– Nie ma prądu, zasięgu, benzyny, czego jeszcze może zabraknąć? – Terbanten musiała

krzyżeć, żeby pozostałe ją słyszały, bo tymczasem chyba każdy na parkingu próbował wyładować swoją wściekłość.

– Odbiło im? – prychnęła Angström.

– Chyba też miałabym ochotę się przyłączyć! – zawołała van Kaalden.

– To przecież nic nie da – zauważyła Angström.

– Po prostu trzeba spuścić powietrze – zaproponowała van Kaalden. – Czasami to dobrze robi.

Tak musi brzmieć stado bawołów, pomyślała Angström. Na szczęście stado samochodów nie mogło rzucić się bezmyślnie w jednym kierunku i wszystkiego zdewastować na swojej drodze. Nic nie powiedziała, tylko z niepokojem przysłuchiwała się narastającemu rykowi.

Mediolan

Manzano aż podskoczył. Leżał na kanapie z laptopem na kolanach i trząsał się z zimna. Która to godzina? Jeszcze ciemno. Latarnie uliczne zgasły. Otworzył klapę komputera, którego wcześniej nie wyłączył. Zegar pokazywał za pięć siódma. Ale znaczek tuż obok zirytował go znacznie bardziej. Aby naładować baterię, podłączył laptopa do gniazdka. Jednak ikonka wyraźnie mówiła, że urządzenie nie jest naładowane. W tym momencie przypomniało mu się także, że przed zaśnięciem włączył również telewizor. Ekran był czarny. Lampa stojąca obok kanapy też nie świeciła. Odstawił komputer i po omacku znalazł wyłącznik na ścianie. Nic. Przyniósł z kuchni latarkę i poszedł do skrzynki z bezpiecznikami. Wyświetlacz licznika był znowu ślepy. Bez większej nadziei sprawdził wyłącznik w przedpokoju. Lampa na suficie nie zareagowała. Znowu nie było prądu. Manzano wrócił do salonu i wyjrzał na ulicę. Nigdzie ani jednego światła.

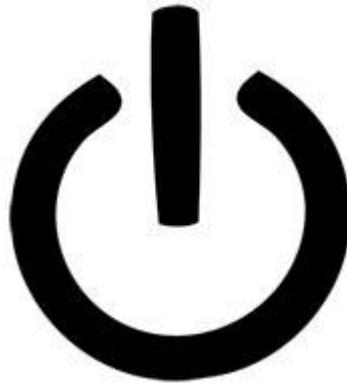
Wprawdzie laptop nie był jeszcze całkiem rozładowany, ale nie miał połączenia z internetem. Przeklinając w duchu, Manzano chciał już zamknąć klapę, gdy uprzytomnił sobie, że router WLAN jest zależny od sieci elektrycznej i dlatego nie mógł działać. W konsekwencji pozbawiony zasilania był także modem DSL. Po krótkim zastanowieniu przyniósł z pokoju do pracy starszy model laptopa i kabel modemowy, włączył komputer bezpośrednio do gniazdka telefonicznego i usiadł obok pod ścianą. To urządzenie miało wbudowany modem telefoniczny, a hasło potrzebne do zalogowania się w sieci na szczęście zapisał sobie w specjalnym dokumencie. Szybko obliczył, jaką rezerwę mają łącznie wszystkie baterie. Trzy godziny w nowszym komputerze, około piętnastu kolejnych w dwóch innych laptopach, no i miał też do dyspozycji kilka zapasowych baterii w swoim pokoju do pracy. Co prawda powoli i z zakłóceniami, ale udało mu się połączyć z internetem.

Zalogował się na jednym z forów technicznych i szybko sprawdził wpisy z ostatnich godzin. Żadnej wzmianki o tym dziwnym kodzie, który znalazł minionej nocy i go dezaktywował.

Manzano napisał krótką informację, przedstawiając w niej kod i cały kontekst. Ciekawe, czy ktoś na to zareaguje. Potem poszukał numeru telefonu Enelu, dostawcy energii. Jego telefon komórkowy tkwił nadal w kieszeni spodni. Dopiero kiedy zaczął wybierać znaleziony numer, zauważył, że nie ma zasięgu.

Skorzystał z programu w komputerze do prowadzenia rozmów telefonicznych. Nikt nie odebrał połączenia. Jakie jeszcze pozostały mu możliwości? Cofnął się na stronę Enelu i zanotował adres centrali w Mediolanie. Nie miał nadziei, że zostanie tam wpuszczony, dlatego poszukał też adresu najbliższego komisariatu policji.

Dzień 1. – Sobota



Berlin

– Blisko siedemdziesiąt procent terytorium republiki jest w dalszym ciągu pozbawione prądu – mówił z ekranu Brockhorst z Centrum Zgłoszeniowego i Nadzoru.

Michelsen czuła się tak, jakby zderzyła się ze ścianą. Budzik w telefonie wyrwał ją ze stanu bardziej przypominającego brak świadomości niż sen. Jej mieszkanie najwyraźniej nie znajdowało się w żadnym z tych nielicznych rejonów zaopatrzonych w energię elektryczną. Zastanowiła się przez chwilę, czy nie może załatwić swojej najpilniejszej porannej potrzeby w biurze. Jednak nie. A to oznaczało konieczność pójścia do toalety, w której nie dawało się spuścić wody. Zdegustowana i zdesperowana kilkakrotnie przyciskała guzik spłuczki w absurdalnej nadziei, że może choćby jakaś strużka wody przetransportuje to, co właśnie wydalila, do kanalizacji. Na próżno. Jej poranna toaleta zamiast tradycyjnego gorącego prysznica składała się z kolejnego przetarcia się chusteczkami odświeżającymi. Miała ich jeszcze z kilkanaście. Nowych na razie z pewnością nie dostanie, zdawała sobie z tego sprawę. Dopóki nie będzie prądu, supermarkety i drogerie na pewno pozostaną zamknięte.

– I w perspektywie żadnej poprawy – zauważył jakiś kolega.

– Co przybliży nas do katastrofy – odpowiedziała Michelsen.

W centrum kryzysowym Ministerstwa Spraw Wewnętrznych panowała niezmiennie nerwowa atmosfera. Ale tu przynajmniej było ciepło i działały toalety oraz oświetlenie w łazienkach, gdzie mogła się porządnie umalować, uczesać i może w którymś momencie nawet weźmie prysznic. Prawdopodobnie z tego właśnie powodu był już znowu na miejscu także sekretarz stanu.

– Czym się zajmują te półgłówki z firm energetycznych? – wyklinała jedna z koleżanek z Wydziału Bezpieczeństwa Publicznego. – Dlaczego temu nie zaradzają?

– Premierzy nie ogłoszą tak szybko stanu klęski żywiołowej – pouczył ją sekretarz stanu Rhess.

Ogłoszenie klęski żywiołowej leżało w Niemczech w kompetencji landów. Odpowiadał za to urzędnik administracji centralnej zazwyczaj w randze członka rządu kraju związkowego. W praktyce ostatnie słowo miał oczywiście premier danego rządu.

– Panowie premierzy powinni spróbować pójść sobie do toalety w moim mieszkaniu – powiedziała Michelsen. – Albo w trzydziestu milionach innych niemieckich gospodarstwach domowych. Wyobraźcie sobie, co będzie, jeśli przez kolejny dzień rezerwuary będą puste. Na przykład w czteroosobowej rodzinie.

– Będzie śmierdziało po prostu niemożliwie – przekomarzała się koleżanka.

– I bardzo szybko dojdzie do zagrożenia epidemiologicznego. Najpóźniej jutro rano musimy z powodu ryzyka epidemii przystąpić do ewakuacji wieżowców pozbawionych wody i umieszczenia milionów ludzi w kwaterach zastępczych. Ale te muszą do tej pory być gotowe. To jest tylko jedno z wielu gigantycznych działań, które jak najszybciej musimy podjąć, tylko jak mamy to wszystko zorganizować bez ogłoszenia stanu klęski żywiołowej? Potrzebujemy wsparcia policji, a przede wszystkim wojska. Służby ratownicze już robią bokami. Nie możemy im jeszcze dodawać obowiązków. Poza tym... – musiała nabrać powietrza, żeby się uspokoić – ...mamy jeszcze całkiem inny problem. Zarówno podczas szkoleń i symulacji, jak i podczas rzeczywistych awarii w przeszłości chodziło wyłącznie o poszczególne regiony republiki. Przypomnijmy sobie powódź wywołaną wylewem Odry, a pozostając przy prądzie, awarię w Münsterland. We wszystkich przypadkach możliwe było ściągnięcie wsparcia i odpowiednich materiałów z innych części Niemiec. Nie wiem, czy wszyscy tu obecni zdają sobie sprawę, że w obecnej sytuacji jest inaczej, mamy bowiem do czynienia z katastrofą obejmującą cały kraj.

Berlin nie otrzyma pomocy z Brandenburga, a Badenia-Wirtembergia z Bawarii. Oczywiście poinformowaliśmy już EuMIC, lecz nie wysłaliśmy jeszcze wołania o pomoc. Ale nawet gdy to zrobimy, mogę się założyć, że jeśli sytuacja się nie zmieni, oni w tej Brukseli bardzo szybko utoną w podobnych wezwaniach z całej Europy. Do protokołu: opowiadam się za tym, aby pan minister zasugerował landom ogłoszenie stanu klęski żywiołowej. I to szybko.

Sekretarz stanu Rhess spojrział na nią tak, jakby wylała mu na świeżą koszulę kieliszek czerwonego wina.

– Kilka minut temu rozmawiałem przez telefon z osobami kierującymi naszymi największymi usługodawcami sektora energetycznego – oznajmił ze złośliwym uśmiechem. – Zapewniają, że w ciągu najbliższego przedpołudnia na większości obszarów zostanie przywrócony stan sprzed awarii.

W głowie Michelsen zadudniło, jakby Rhess wymierzył jej potężny policzek. Dlaczego nie powiedział tego, zanim ona rozpoczęła swoją tyradę? To ją jeszcze bardziej sprowokowało.

– A kto powiedział, że można na tym polegać? Coś takiego słyszymy już od dwunastu godzin. A rezultatów nie widać. Czy ma pan świadomość, że w wielu szpitalach w naszym kraju awaryjne agregaty prądotwórcze wystarczają tylko na dwadzieścia cztery do dwudziestu siedmiu godzin? I że w przypadku niektórych minęła już połowa tego czasu? Jak pan myśli, co będzie się działo za kilka godzin na oddziałach położniczych z wcześniakami i na oddziałach intensywnej terapii? – Michelsen klasnęła w ręce. – No! Proszę! Niech pan opowie to swoim „osobom kierującym”! – Powinna się uspokoić, bo jej irytacja wywoływała tylko opór. Sekretarz stanu nienawidził takich emocjonalnych wybuchów. – Pan też już słyszał coś takiego, Brockhorst? – zwróciła się w stronę komputera, z którego mężczyzna z Centrum Zgłoszeniowego i Nadzoru wciąż śledził dyskusję.

– No więc...

Michelsen uzmysłowiła sobie, że swoim pytaniem postawiła go w niezręcznej sytuacji. Zwłaszcza że nie mógł potwierdzić informacji podanej przez sekretarza.

– Zapomnijmy o tym. – Zamknęła na chwilę oczy i przepędziła wszystkie myśli jak chmury. Już prawie całkiem rozluźniona zwróciła się do Rhessa: – Mam nadzieję, że osoby kierujące dotrzymają słowa.

Paryż

– Mamy tony materiału – oznajmił Turner, otworzywszy gwałtownie drzwi do redakcji, jednak od razu zamilkł, gdy w ciemności zobaczył jedynie kilka świecących monitorów i parę świeczek. – Co tu się, u diabła, dzieje?

– A dlaczego przez całą noc byliśmy w drodze? – spytała drwiąco Shannon. – Brak prądu. Jak widać, nie mamy tu żadnego awaryjnego systemu prądotwórczego.

– Zgadza się – odezwał się Eric Laplante. Jego twarz była oblana niebieskim blaskiem padającym z ekranu laptopa. – Działają już tylko komputery przenośne, i to te, które były w pełni naładowane. Właśnie staram się o kolejne.

– No to super – stwierdził Turner. – Mamy całe godziny materiału i nie możemy go wykorzystać?

– Poprzycinać i zmontować możemy go na laptopach – wtrąciła Shannon. – Niektóre mają odpowiednie oprogramowanie. Większy problem będzie prawdopodobnie z dystrybucją materiału, zgadza się, Eric?

– Internet wprawdzie działa – odpowiedział Laplante – ale musieliśmy przestawić się na łącze satelitarne, bo nasze serwery i routery oczywiście nie funkcjonują bez prądu. Przez to mamy dosyć ograniczone możliwości.

– Ale tak czy inaczej możemy wstawić relację online – rzekła Shannon.

– A co macie? – spytał Laplante.

– Uwolnienie z windy przez straż pożarną, ludzi uwięzionych w metrze, scenki z Gare du Nord, gdzie nie działają tablice ogłoszeniowe, automaty z biletami, brak prądu w sklepikach i odwołanie większości pociągów, kilka wypadków samochodowych, głównodowodzącego straży pożarnej, chaos w supermarketach i centrach handlowych oraz przed nimi.

Shannon podłączyła kamerę do komputera, aby przegrać materiał.

– Zostaliśmy nawet wpuszczeni do mieszkań, w których nie ma ani światła, ani ogrzewania, ani wody w toaletach. Ale mamy też pozytywne scenki: szpital, którego system prądotwórczy działa bez zarzutu, pomagający sobie nawzajem ludzie, którzy pożyczają innym żywność albo wodę lub wnoszą starszym osobom zakupy po schodach, ponieważ windy przestały działać.

Turner pokazał już pierwsze ujęcia na ekranie.

– To nam się przyda – powiedział, widząc scenę w metrze.

Tylko dlatego, że przez cały czas jesteś w kadrze, pomyślała Shannon. Przewinęła do ujęć przed ministerstwem. Kiedy zajechał samochód, zatrzymała. Za przyciemnionymi szybami był widoczny zarys twarzy. Uaktywniła kilka filtrów, kontury uległy wyostrzeniu, zaznaczyły się kontrasty.

– Znam tę twarz... – bąknął Turner.

Ale nie znasz nazwiska, pomyślała Shannon.

– To jest Louis Oiseau. Szef Électricité de France we własnej osobie – wyjaśniła.

– Przecież wiem – odparował Turner.

– To świetne intro – zauważyła Shannon. – Boss od prądu zmierzający z tajną misją do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

Turner zniknął na ekranie za tumanem płatków śniegu.

– Nie – stwierdził. – To nikogo nie zainteresuje.

– Nie powiedziałbym – wtrącił znowu Laplante. – W końcu pół kraju leży w ciemnościach. To samo może dotyczyć innych państw. Sytuacja jest wciąż niejasna.

– No właśnie! – zawołała Shannon. – I wtedy damy tę scenę z ministerstwa. Najpierw

ludzkie dramaty, a na końcu pytanie: czy będzie jeszcze gorzej?

– Lauren, proszę cię – jęknął Turner. – Ty jesteś tu operatorem. Dziennikarzami i redaktorami jesteśmy my.

Beze mnie byś zginął, pomyślała Shannon. Zagryzła jednak zęby i nic nie powiedziała.

Mediolan

– Co dokładnie chce pan zgłosić? – Mężczyzna w mundurze za kuloodporną szybą miał mocno podkrążone oczy.

W recepcji komisariatu policji czuć było zimnym kalafiolem i uryną. Za Manzanem stały w kolejce dwie inne osoby. Przez niewielkie otwory w szybie jeszcze raz opisał historię z kodem. Na ladzie przed sobą postawił swojego laptopa.

– A na kogo chce pan złożyć doniesienie?

– Nie wiadomo. To nie jest teraz takie ważne, o wiele ważniejsze jest poinformowanie jednego z dostawców energii. Panu na pewno łatwiej będzie się z nim skontaktować niż mnie.

– Czyli jednak podejrzenie. – Mężczyzna spojrział na niego w taki sposób, jakby miał ochotę pożegnać go kopniakiem. – I z tego powodu ja mam dzwonić do Enelu? – wrzasnął. – Drodzy państwo, naprawdę nie macie nic lepszego do roboty? Nie widzicie, co się dzieje? Moi koledzy wyrabiają całe pensum nadgodzin, próbują zapanować nad komunikacyjnym chaosem, nie pozwolili włamywaczom wykorzystywać sytuacji, zaprowadzić porządek na dworcach. Na dodatek my sami też tu zamarzamy, a ja mam teraz zajmować się jakąś teorią spiskową? Nawet sobie nie wyobrażacie, ilu wariatów przyszło tu poprzedniej nocy, a każdy z nich wiedział, dlaczego nie ma prądu. Jeden dopatrywał się działania sił pozaziemskich, drugi przypisywał wszystko Chińczykom, jeszcze inni – Rosjanom, Amerykanom, terrorystom, wolnomularzom, a nawet rządowi czy niecodziennym konstelacjom planet albo w ogóle zbliżającemu się końcowi świata. Dlaczego więc miałbym wierzyć pańskim bzdurom?

Kiedy mężczyzna zaczął krzyczeć, Manzano w pierwszej chwili się przeraził, ale zaraz potem poczuł w sobie narastający gniew. Zrozumiał, że rozsądnymi argumentami nic nie wskóra. Gdy więc policjant zaczerpnął powietrza, odpowiedział mu głośno i bardzo zdecydowanie:

– Z jednej prostej przyczyny. Bo jeszcze raz przedstawię panu swoje zgłoszenie, ale tym razem wszystko także nagram. Żeby miał kto ponieść odpowiedzialność, kiedy potem wszyscy będą zadawać pytanie, dlaczego policja nic nie zrobiła, mimo że była poinformowana.

Poruszył swoim telefonem komórkowym, uruchomił przycisk nagrywania i po raz drugi wyjaśnił w niewielu zdaniach, jakiego dokonał odkrycia, wymienił datę, godzinę i miejsce. Następnie skierował aparat na funkcjonariusza i polecił:

– Proszę się przedstawić!

Oszupiały policjant wlepił w niego oczy. Wreszcie wycedził przez zęby jakieś nazwisko.

– Dziękuję. – Manzano wyłączył telefon. – Możemy teraz kontynuować?

Za swoimi plecami usłyszał pomruk niezadowolenia. Zignorował go. Wówczas zaszczekał jakiś męski głos:

– Faktycznie nie ma pan niczego ważniejszego do roboty? Skradziono mi samochód!

Manzano odwrócił się w stronę krzykacza. Był nim wysoki mężczyzna w brązowym płaszczu, nad którego kołnierzem wisiały kosmyki przetłuszczonych włosów.

– To policja ma się zajmować takimi głupotami?! – uzupełnił przepalonym głosem. – Niech pan oszczędzi karabinierowi swoich wymysłów!

Manzano nie dawał się zastraszyć, chociaż tamten był co najmniej dwa razy cięższy od niego.

– Czyli pan też chce ponosić odpowiedzialność za to, że przyczyna braku prądu nie zostanie najszybciej jak to możliwe usunięta.

Zanim jego adwersarz zdążył odpowiedzieć, Manzano poczuł, jak ktoś chwyta go za rękę i wrywa mu z dłoni telefon.

– Zaraz się przekonamy – usłyszał za sobą głos policjanta z przeszklonej dyżurki.

Manzano bronił się, chciał się obrócić, ale drugi funkcjonariusz mocno go trzymał. Obaj musieli wyjść z kabiny, gdy jego uwagę odwrócił człowiek w brązowym płaszczu z kolejki.

– Niech pan mnie puści!

– Spokojnie! Bo jak nie, to aresztuję pana za stawianie oporu władzy państwowej.

Manzano zdołał zapanować nad wzbierającą w nim furią. Przyglądał się bezradnie, jak jeden z *carabinieri* przyciska różne przyciski w jego telefonie.

– Proszę – oznajmił w końcu zadowolony. – Oto pański telefon. Możliwe, że przepadło kilka danych, ale lepsze to niż strata całego telefonu, prawda? Alfredo, myślę, że teraz możemy pozwolić panu iść do domu.

Manzano zastanowił się krótko nad odpowiednią reakcją, ale się rozmyślił, sięgnął po swój telefon, wcisnął pod pachę laptop i bez słowa opuścił komisariat.

Na ulicy panował już poranny ruch. Ciągłe jeszcze dygocząc ze złości, Manzano biegł chodnikiem, polując na taksówkę. Wreszcie dwie ulice dalej udało mu się jakąś zatrzymać.

Ledwie wsiadł do środka i podał taksówkarzowi adres Enelu, mężczyzna za kierownicą od razu zaczął pomstować. Ponieważ publiczne środki lokomocji nie kursowały, wszystkie ulice miasta były zapełnione.

– To chyba dobrze dla pana – odpowiedział mu Manzano. – Dzisiaj każdy, kto nie ma własnego samochodu, potrzebuje taksówki.

– Ale niech pan popatrzy, co tu się dzieje! Przecież nie dam rady nawet przejechać. Więcej kursów niż normalnie na pewno nie zrobię. A podnieść ceny mi nie wolno. Choć słyszałem już o kolegach, którzy bez skrupułów wykorzystują sytuację i żądają podwójnej zapłaty. Enel – przypomniał sobie życzenie Manzano. – Pan tam pracuje?

– Nie.

– Szkoda. A już miałem nadzieję, że mi pan wyjaśni, co się dzieje.

– Ale mimo wszystko mogę. Tylko pytanie, czy chce się panu mnie wysłuchać – odpowiedział Manzano bardziej sobie niż jemu.

– Pół Europy, wprost trudno sobie wyobrazić. Mówią o tym w każdych wiadomościach. – Mężczyzna podgłośnił mały telewizorek zamontowany obok deski rozdzielczej.

Wyraźnie poruszony dziennikarz przedstawiał najświeższe wiadomości. Opowiadał o chaosie na lotniskach i dworcach. Jako ilustracja służyły obrazy przepelnionych poczekalni. Na całym kontynencie utknęły w różnych miejscach setki tysięcy podróżujących. Urzędy, szkoły, banki i liczne sklepy były zamknięte. Dzieci chodzące do szkoły oczywiście się cieszyły, dostrzegając dobre strony sytuacji.

– Obłęd, prawda? – rzucił kierowca. – Jak w 2003. – Roześmiał się. – Przynajmniej już wiemy, jak to jest. I wiemy, jak sobie radzić.

Oby tak rzeczywiście było, pomyślał Manzano, wypierając wspomnienie o incydencie w komisariacie.

Za szybą przesuwwały się fasady domów wyglądające niczym kulisy. Ciemne wystawy. Ciemne wejścia do domów. Ciemne okna. Jakby zewsząd uszło życie. Mimo obecności ludzi Mediolan wydawał się miastem duchów.

Manzano niemal całkiem się wyłączył, gdy nagle wpadło mu do ucha zdanie, które całkowicie przykuło jego uwagę.

– Niech pan podgłośni – poprosił taksówkarza.

– ...awaria objęła Europę praktycznie od północy po południe...

Na małym ekraniku ukazała się mapa kontynentu, Włochy i Szwecja w ciemnym kolorze, a potem stopniowo także pozostałe kraje.

– Czy on właśnie powiedział, że pierwsze wyłączenia zaczęły się we Włoszech i w

Szwecji? – spytał Manzano.

– Tak. A dlaczego?

Manzano przeszył dreszcz. Usiłował powstrzymać atakujące go myśli.

– Bo Szwecja i Włochy jako jedyne kraje w Europie już niemal wszędzie stosują inteligentne liczniki prądu.

I tam był początek całego blackoutu. Gęsia skórka na plecach niemal sprawiała ból. Manzano czuł, jak ogarnia go panika, nad którą nie potrafił zapanować.

– No i co z tego? – spytał kierowca.

Podejrzanie, jakie zrodziło się w głowie Manzana tuż po odkryciu kodu, teraz zamieniło się w pewność. Ktoś przejął włoską i szwedzką sieć energetyczną oraz prawdopodobnie także znaczną część sieci europejskiej. W bezprecedensowej akcji ów ktoś dosłownie wyłączył kontynent. Fachowcy wielokrotnie dyskutowali podobne scenariusze, ale nigdy na taką skalę. Już teraz straty szły w miliardy. Stan ten w żadnym wypadku nie mógł trwać dłużej, bo już po kilku dniach zapanowałby chaos, a w ciągu kolejnego tygodnia doszłoby do totalnej anarchii. Nikt sobie nawet nie wyobrażał, że coś takiego jest możliwe. Mylono się.

Na szczęście, kiedy byłem w komisariacie, jeszcze nic o tym nie wiedziałem, pomyślał Manzano. Bo ci idioci od razu wzięliby mnie za wariata i przymknęli. To samo pomyślałby sobie taksówkarz, gdybym mu powiedział, co sędzę. Usiłował zastanowić się trzeźwo. Fantazując, uznał w duchu. To tylko przerwa w dostawie prądu. Takie rzeczy już się zdarzały. To minie. Za kilka godzin będziemy się z tego śmiać.

Nagle sam sobie wydał się śmieszny. Co według niego może opowiedzieć jednemu z największych dostawców energii elektrycznej w Europie? W tym momencie taksówka zatrzymała się przed pałacem ze szkła Enelu.

Płacąc za kurs, zdał sobie sprawę, że to jego ostatnia gotówka.

Drzwi wejściowe były zamknięte, a przed nimi szereg ochroniarzy powstrzymywał napierających dziennikarzy, gapiów i wzburzonych klientów. Manzano naliczył co najmniej dziesięć ekip telewizyjnych, kilkunastu fotografów i mnóstwo osób, których nie potrafił niczemu przyporządkować.

Przecisnął się przez tłum, po czym oświadczył jednemu z ubranych na czarno ochroniarzy, że musi dostać się do środka. Za jego plecami, w holu, świeciło się tylko kilka punktowych lampek nad ladą recepcji, za którą dwie kobiety gdzieś dzwoniły, a jeden mężczyzna wgapił się w ekran.

– Dzisiaj nikogo nie wpuszczamy.

Manzano cierpliwie po raz drugi przedstawił swoje odkrycie i oznajmił, że musi porozmawiać z kimś decyzyjnym. Z tyłu pchali się dziennikarze, nie zwracając na niego uwagi. Ochroniarz odwrócił się i powiedział coś szeptem do małego mikrofonu znajdującego się przy jego ustach.

Manzano wziął głęboki oddech i najzwyczajniej w świecie przeszedł obok niego. Nim jednak dotarł do drzwi, drogę zagroził mu inny ochroniarz, podczas gdy tamten pierwszy syczał przez zęby jakieś rozkazy. Manzano nic sobie z tego nie robił. Teraz przynajmniej nie miał reporterów za plecami.

– Niech pan posłucha – parsknął na mężczyznę przed sobą. – Wiem, co wywołało cały ten pasztet. I muszę poinformować o tym pańskich przełożonych. Jak pan potem zamierza wyjaśnić swoim szefom, że mi pan w tym skutecznie przeszkodził? A może mi pan wierzyć, że stanie pan przed taką koniecznością!

Ochroniarz wymienił niepewne spojrzenie z kolegą, po czym znowu rzucił coś do mikrofonu, nie spuszczać oka z Manzana, który lustrował go z poważną miną. W końcu

powiedział:

– Niech pan idzie.

Manzano podszedł za nim do długiej lady recepcyjnej. Trzy siedzące za nią urzędniczki sprawiały wrażenie zagubionych. Jedna z nich zwróciła się do niego z ponurą miną:

– Proszę poczekać. Zaraz ktoś do pana przyjdzie.

Manzano rozumiał wszelkie środki ostrożności w miejscu takim jak to, ale miał już coraz mniej cierpliwości. Gdyby ci ludzie domyślali się, co on podejrzewa i co być może czeka ich w najbliższych dniach, natychmiast by go przepuścili. Usiadł w jednym z eleganckich foteli, ale im dłużej czekał, tym mniej sensowny wydawał mu się jego pomysł.

Dwadzieścia minut później chciał już sobie pójść, lecz akurat w tym samym momencie pojawił się menedżer młodego pokolenia o wyglądzie jak z obrazka: wysoki, przystojny, nienagannie ostrzyżony i nawet w takim dniu jak ten – w garniturze i pod krawatem. Jedyne podkrążone oczy zdradzały, że minionej nocy spał mniej niż zwykle. Przedstawił się jako Mario Curazzo. I od razu spytał:

– Skąd mogę mieć pewność, że nie jest pan dziennikarzem?

– Bo nie mam kamery ani nic do nagrywania. Poza tym nie chcę się od pana niczego dowiedzieć, tylko to ja mam panu coś do przekazania.

– To brzmi wypisz wymaluj jak słowa dziennikarza. Jeśli się okaże, że kradnie pan mój czas, wyrzucę pana własnymi rękami.

Manzano nie miał najmniejszych wątpliwości, że młody mężczyzna byłby w stanie to zrobić, Curazzo był bowiem o głowę wyższy od niego i sprawiał wrażenie bardzo wysportowanego.

– Czy mówi panu coś KL 956739? – zadał pytanie Manzano.

Curazzo popatrzył na niego bez wyrazu. Po czym odpowiedział:

– To kod do liczników energii, którego u nas nie stosujemy.

Teraz Manzano przeżył zaskoczenie. Albo ten temat to specjalność Curazza, albo facet jest naprawdę w tym dobry. Lub oni już się orientują.

– To dlaczego dziś w nocy był na moim liczniku?

Kolejne nic niemówiące, ale przenikliwe spojrzenie. Manzano zastanawiał się, czy ma też wyjawic, że zabawiał się w hakera i dezaktywował kod. W końcu za coś takiego prawdopodobnie grozi jakaś kara. Jednak jako programista miał prawo czuć się dumny. W krótkich słowach zrekapitulował wydarzenia ubiegłej nocy.

Curazzo słuchał go z kamienną twarzą, ale na koniec powiedział:

– Proszę za mną.

Prowadził go przez puste przeszklone korytarze.

– Nie dostaliście jeszcze żadnych meldunków na ten temat? – spytał Manzano.

– To mogą nam powiedzieć kompetentne osoby – odparł Curazzo lakonicznie.

Doszli do ogromnego pomieszczenia, którego jedną ścianę pokrywały gigantyczne monitory. Przy ustawionych w koło stołach siedziały przed niezliczonymi ekranami komputerów dziesiątki ludzi. Ten obraz skojarzył się Manzanowi z pokładem statku kosmicznego z jakiegoś serialu telewizyjnego. Większość z obecnych musiała cierpieć na brak snu, co dało się poznać po zaczerwienionych oczach, nieogolonych twarzach i zmierzwionych włosach. W przeciwieństwie do jego towarzysza wszyscy tutaj pozdejmowali marynarki i pracowali z podwiniętymi rękawami koszuli. Powietrze było nieświeże. Szmer rozmów wypełniał całą salę.

– Centrum kontroli – rzucił Curazzo.

Zatrzymał się z nim przy grupce osób pochylonych nad jednym ze stołów. Gdy go przedstawił, Manzano ujrzał wypalone twarze. Curazzo wyjaśnił, dlaczego go tu przyprowadził.

Towarzystwo nie wydawało się specjalnie poruszone, on zaś po raz kolejny opowiedział swoją historię.

Starszy mężczyzna z rozpiętą pod szyją koszulą i rozluźnionym krawatem spytał:

– I kiedy się pan obudził, prądu znowu nie było. Jest pan pewny, że to wszystko się panu po prostu nie przyśniło?

Plakietka na jego piersi wskazywała na L. Trappano.

Manzano poczuł, że robi się czerwony.

– Jestem pewny na sto procent. Nie dostaliście do tej pory podobnych zgłoszeń?

Mężczyzna pokręcił głową.

– Czy ten kod mógł zostać aktywowany przypadkowo?

– Nie.

– W wiadomościach słyszałem, że zaczęło się od wyłączeń we Włoszech i w Szwecji. To prawda?

– Tak, to były pierwsze kraje.

– Akurat oba, w których praktycznie już wszędzie są w użyciu inteligentne liczniki. Nie uważa pan, że to osobliwy zbieg okoliczności?

– Pana zdaniem doszło do jakichś manipulacji przy licznikach? – spytał mężczyzna z wąsem i starannie ułożoną fryzurą. Na identyfikatorze na jego piersi Manzano przeczytał nazwisko U. Parigi.

– Skoro mnie się udało, to dlaczego nie miałyby się udać też komuś innemu?

– Dziesiątkom milionów w całym Włoszech?

Nad włamaniem się do całego systemu energetycznego Manzano nigdy dotąd na poważnie się nie zastanawiał. Ale jeśli zdołał wejść do jednego licznika, to prawdopodobnie mógłby dostać się też do innych. Z jakimś wirusem czy robakiem.

– Problemem nie są liczniki – odezwał się Trappano, zwracając się do pozostałych kolegów, jakby chciał im przypomnieć o czymś, o czym dyskutowali już wcześniej. – Mamy do czynienia z niestabilnością w sieci, nad którą musimy z powrotem zapanować. – A patrząc na Manzana, rzekł: – Dziękuję, że się pan do nas pofatygował. Pan Curazzo odprowadzi pana.

Manzano już otwierał usta, by coś odpowiedzieć, gdy Curazzo delikatnie ujął go za łokieć.

W drodze do wyjścia Manzano namawiał Curazza do sprawdzenia liczników i podzielenia się ustaleniami z innymi firmami. Mógł liczyć tylko na to, że zasiał ziarno wątpliwości, które w najbliższych dniach wejdzie i nie da im spokoju. Nie robił sobie jednak wielkich nadziei. W recepcji poprosił o wezwanie taksówki z terminalem płatniczym, aby mógł zapłacić kartą.

– Teraz nie dostanie pan takiej – wyjaśniła kobieta z recepcji.

Manzano, zmęczony po krótkiej nocy i zirytowany bezskuteczną próbą przekonania o swoich racjach, obliczył w duchu, ile czasu zajmie mu dojście do domu na piechotę. Był zbyt dumny, aby pożyczyć pieniądze na taksówkę od Curazza.

Z zewnątrz dochodziły nawoływania dziennikarzy. To nasunęło mu pewien pomysł. Ucisnął dłoń Curazza i ruszył do wyjścia.

Pewnie tak czują się gwiazdy filmowe na czerwonym dywanie, pomyślał, zmierzając w stronę kamer. Ale raczej na festiwalu kina niezależnego, biorąc pod uwagę niezbyt wielką liczbę reporterów. Nie było też błysku fleszy. Jednak niektórzy coś do niego krzyczeli.

– Co się dzieje?

– Kiedy znowu będzie prąd?

– Kiedy zarząd wyda oświadczenie?

– Pracuje pan tutaj?

Ostatnie pytanie pochodziło od młodej kobiety, której nie było widać pod bezkształtnym pikowanym płaszczem, kapturem obszytym futerkiem i ogromnymi okularami.

Manzano nie miał żadnego doświadczenia w kontaktach z mediami. Nie był nieśmiały, ale też nie przepadał za zamętem wielkich ludzkich zbiorowisk. Jeśli jednak chciał rozgłosić swoją nowinę, powinien zwrócić się do jak najszerszych kręgów.

– Kto z państwa zauważył, że dziś w nocy na krótko pojawił się prąd? – Nie czekając na odpowiedź, zaczął, z nabytą już swobodą, opowiadać o swoim odkryciu na liczniku we własnym mieszkaniu.

Nie zdążył powiedzieć więcej niż trzy zdania, gdy kamery i twarze odwróciły się od niego. Zdezorientowany przerwał w pół słowa i rozejrzał się wokół siebie. Z siedziby firmy wyszedł Mario Curazzo i dał znak przedstawicielom mediów, aby podeszli bliżej.

– Szanowni państwo – rozpoczął. – Za godzinę zarząd zaprasza na konferencję prasową. Jeśli mają państwo ochotę ogrzać się przez ten czas przy kawie...

Nim Manzano zaczerpnął powietrza, całe stado dziennikarzy ruszyło w towarzystwie ochroniarzy do wnętrza budynku za Curazem, który znikając w drzwiach, rzucił jeszcze w jego stronę drwiące spojrzenie.

Nagle wiatr wydał się jeszcze bardziej lodowaty. Manzano nie wiedział za bardzo, gdzie się znajduje, bo jadąc tutaj, zdał się całkowicie na taksówkarza. Poza tym musiał do toalety, a nigdzie w zasięgu wzroku nie widział żadnego otwartego baru. W którym kierunku powinien pójść, jeśli chce dotrzeć do domu?

Bondoni wyrzwał z okna pokoju na ulicę. W mieszkaniu było nietypowo cicho. Był ubrany w gruby wełniany sweter i w zimowy płaszcz, mimo to trzął się z zimna. Jeszcze nabawi się zapalenia płuc! Próbował wybrać numer komórki swojej córki. Zero zasięgu. Podała mu adres kwatery w Tyrolu, dokąd pojechała razem z koleżankami.

Bondoni nie martwił się o nią. Jego córka to silna kobieta. Miała to po swojej matce.

Żona Bondoniego zmarła trzy lata temu. Nie lubił o tym myśleć. I od pewnego czasu nie zdarzało mu się na szczęście to tak często jak wcześniej.

Właśnie zamierzał wypróbować telefon stacjonarny, gdy usłyszał charakterystyczny szum. Włączyły się lodówka i terma w kuchni. Zapaliła się też lampa stojąca przy jego fotelu telewizyjnym, która uruchamiała się automatycznie, jeśli była włączona do gniazda. Z różnych części domu dochodziły przytłumione okrzyki zdziwienia i radości. Bondoni westchnął z ulgą. Oparł się o kaloryfer i czekał, aż poczuje od niego ciepło. Bez sensu. Przecież to zawsze trochę trwa. Włączył telewizor i przeskakiwał z kanału na kanał. Wszędzie tylko wiadomości o awarii zasilania. Reporterzy stali zmarznięci przed parlamentem, ratuszami, elektrowniami oraz szklanymi biurkami firm energetycznych i pełnym emocji głosem informowali o najnowszym rozwoju sytuacji, a z ich ust unosiła się para. Pokazywano różnego rodzaju wykresy i wyjaśniano, dlaczego to czy tamto nie funkcjonuje.

Widok masztu.

Stacje bazowe telefonii komórkowej były zasilane przez sieć energetyczną. Jeśli ona przestawała działać, zastępowały ją awaryjne baterie, które w zależności od operatora i kraju podtrzymywały zasięg co najwyżej jeszcze przez kilka godzin. Dlatego teraz nie dawało się już zadzwonić przez komórkę.

Chyba że prąd wrócił, tak jak stało się u nas, pomyślał Bondoni. Być może z tego powodu nie mogłem złapać mojej córki, doszedł do wniosku.

– Tradycyjne telefony stacjonarne otrzymują energię bezpośrednio przez kabel telefoniczny – objaśniał dalej lektor, a jego wywód uzupełniały odpowiednie obrazy. – Toteż jeśli ktoś posiada stary aparat i do punktów przyłączeniowych dociera prąd, wtedy da się jeszcze od

biedy skomunikować przez sieć stałą.

To ciekawe, uznał Bondoni. Czyli to dlatego u mnie od czasu do czasu to działało. Ale teraz, kiedy wrócił już prąd, nie jest to – miał nadzieję – takie ważne.

W innej stacji jakaś kobieta z futurystycznym kołnierzem mówiła do mikrofonu, że awaria o europejskim zasięgu wywołała podjęcie określonych kroków przez odpowiednie instytucje UE. Bondoni pomyślał w tym momencie znowu o córce. Może powinien spróbować jeszcze raz się do niej dodzwonić.

„Numer jest czasowo nieosiągalny”.

Przypomniawszy sobie o swojej toalecie. Wyszedł i zanim otworzył do niej drzwi, zaczerpnął głęboko powietrza, mając nadzieję, że przywrócono też zaopatrzenie w wodę. W muszli klozetowej pływały nadal jego poranne odchody, nie roztaczając bynajmniej różanego aromatu, choć dzięki zimnu fetor był trochę łagodniejszy. Nacisnął spłuczkę. Krótkie bulgotanie, woda strzeliła z hałasem. Zaraz potem z rezerwuaru doszedł kojący charakterystyczny szmer napełnianego z powrotem zbiornika.

Obrócił się zadowolony. Jego spojrzenie padło na skrzynkę bezpiecznikową. Z ciekawością dokładnie się jej przyjrzał. Na wskaźniku licznika widoczne były jakieś cyfry, jak zawsze. Bondoni już miał zatrzaskać drzwiczki, gdy nagle odczyt się zmienił na KL 956739.

Od razu rozpoznał ten kod. Co to może znaczyć? Po chwili litery i ciąg cyfr zniknęły, a ekranik zrobił się szary. Jednocześnie w mieszkaniu zaległa absolutna cisza. Wciąż z dłonią na drzwiczkach Bondoni nasłuchiwał szumu termy, buczenia lodówki, trajkotania z telewizora. Chociaż ich nie słyszał, wszystkie te odgłosy były wciąż obecne niczym fantomowy ból. Sprawdził wyłączniki światła – nie działały. Pełen nadziei czekał, że za chwilę wszystkie urządzenia znowu ożyją. Jakby chcąc im w tym pomóc, obszedł całe mieszkanie i nacisnął każdy wyłącznik, każdy guzik – w telewizorze, ekspresie do kawy. Na próżno.

Czy jego sąsiad, haker komputerowy, to zauważył? Bondoni poszedł do niego i nacisnął dzwonek przy drzwiach. Czekał. Wreszcie zdał sobie sprawę, że przecież dzwonek nie działa. Zapukał. Jeszcze raz. Czy to możliwe, że Manzana nie ma w domu? Gdzie on mógł się wybrać w taką pogodę, i to bez samochodu?

Gospodarstwo wiejskie w pobliżu Dornbirn

Angström zapukała powtórnie w ciemnobrązowe rustykalne drzwi. Ich samochód stał na drodze dziesięć metrów dalej przy końcu ogrodzenia. Terbanten i van Kaalden siedziały w środku. Bondoni, która też mówiła trochę po niemiecku, czekała obok niej. Słyszały muczenie krów.

Opuściły stację benzynową wyjazdem dla personelu i zatrzymały się przy pierwszych zabudowaniach, żeby spytać o drogę do najbliższego dworca kolejowego.

Nikt nie otwierał. Były pewne, że skoro są zwierzęta, to gospodarstwo musi być zamieszkane. Obeszły więc naokoło dom, żeby poszukać kogoś w oborze. Wrota stały lekko uchylone. Ryczenie krów było teraz tak głośne, że Angström zapukała jedynie dla przyzwoitości i pchnęła wrota. Charakterystyczny zapach przepełnił je obie przyjemnym, ciepłym uczuciem, a ich oczom ukazało się długie przejście, po którego obu stronach stały krowy. Nigdzie ani jednego człowieka.

– Halo? – zawołała ostrożnie Angström, ale zaraz się zorientowała, że musi krzyknąć głośniejsze, jeśli chce się przebić przez odgłosy zwierząt.

– Halo?!

Nikt nie odpowiedział.

Ruszyły powoli środkowym przejściem, wypatrując gospodarzy.

– Dlaczego te zwierzęta tak ryczą? – wrzasnęła Bondoni. – To normalne?

– Nie mam pojęcia – odpowiedziała Angström równie głośno.

W końcu odkryły prawie schowaną pod krowim brzuchem i zgiętą wpół postać siedzącą na taborecie.

– Halo! Przepraszam! – zawołała jeszcze raz Angström.

Mężczyzna, po którego twarzy od razu było widać częste przebywanie na świeżym powietrzu, obrzucił ją nieufnym spojrzeniem. Nie wstając ze stołka ani nie cofając rąk spod krowiego brzucha, powiedział coś, czego Angström nie zrozumiała.

Na ile pozwał jej słaby niemiecki, przedstawiła się i wyjaśniła, o co jej chodzi.

Twarz mężczyzny nie stała się przyjaźniejsza, ale teraz przynajmniej się podniósł i wytarł sobie dłonie o coś w rodzaju fartucha. Był ubrany w gumki i dziurawy, w wielu miejscach pocerowany sweter. Za nim dostrzegła wiadro z mlekiem stojące pod krowim wymieniem.

I znowu Angström nie zrozumiała, co on mówi. Z uśmiechem na ustach podsunęła mu pod nos mapę drogową. Chłop najpierw zmierzył nieznajomą wzrokiem, a potem przesunął palcem po mapie. Jednocześnie wyjaśnił, teraz w trochę bardziej zrozumiałym języku, jak mają jechać do najbliższej stacji kolejowej.

– Ale czy tam jeżdżą pociągi, tego nie wiem – dodał. – Pewnie dużo jest odwołanych.

Angström podziękowała, Bondoni również. Tuż przed odejściem Angström spytała jeszcze gospodarza:

– Dlaczego te krowy tak strasznie ryczą?

– Bołą je wymiona – wyjaśnił ponuro mężczyzna. – Jak nie ma prądu, nie działają dojarki. Dlatego moja żona, ja i dwóch sąsiadów musimy robić wszystko ręcznie. A to trwa. Mamy ponad sto krów. U niektórych wymiona są bliskie pęknięcia. Dlatego przepraszam panią, ale muszę wracać do dojenia.

Angström pochwyliła spojrzenie Bondoni i zrozumiała, że obie pomyślały o tym samym.

– Czy to trudne?

– Co?

– No, dojenie. To znaczy, czy trudno się tego nauczyć?

Mężczyzna zdawał się szacować jej możliwości.

– Pan pomógł nam, to może my mogłybyśmy pomóc panu. Na drodze są jeszcze dwie nasze koleżanki.

– Właściwie to nie takie trudne – bąknął. Powtórnie zlustrował ją od góry do dołu. Po czym się roześmiał. – Jeśli chcą panie spróbować...

Mediolan

Manzano dotarł do Via Piero della Francesca przemarznięty do szpiku kości. Szedł przez miasto trzy godziny. Wiele by dał za gorący prysznic. Tymczasem w jego mieszkaniu było pewnie co najwyżej jakieś dziesięć stopni. Przynajmniej moje zapasy nie będą szybko potrzebowały lodówki, pomyślał. Nie zdjął płaszcza. Pośpnie stwierdził, że nawet nie może sobie zrobić espresso. O gorącej herbacie też oczywiście mógł tylko pomarzyć. Zajrzał do skrzynki bezpiecznikowej. Wskaźnik licznika był martwy. Brak prądu w sieci i w konsekwencji brak nadziei na przeprogramowanie z jego strony. Manzano czuł się jak lew zamknięty w klatce, który drepcze za żelaznymi kratami tam i z powrotem, nie będąc w stanie nic zrobić. Policja, dostawcy i media – nikt mu nie wierzył, nikt nie brał go na poważnie albo wręcz nie chciano go w ogóle słuchać. Nie mógł ani zadzwonić do swoich klientów, ani się do nich wybrać. Postanowił jeszcze trochę powęszyc i uzbrojony w laptopa i ciepły koc rzucił się na kanapę.

Połączenie z internetem nie było już możliwe.

Zamknął laptopa, kiedy ktoś zapukał do drzwi.

– I jesteś tego całkiem pewny?

Manzano stał przed swoją skrzynką z bezpiecznikami i przyglądał się wnikliwie martwemu ekranikowi licznika, obok niego tkwił Bondoni.

– Wprawdzie jestem stary, ale nie ślepy i zidiociały.

Manzano poczuł znowu ten sam dreszcz, który przeszył go tego dnia już kilka razy i nie miał nic wspólnego z zimnem.

– Co za kretyni – syknął.

– Kto taki?

Manzano opowiedział, gdzie był od samego rana i kto nie chciał go wysłuchać albo nie brał na poważnie.

– Niby dlaczego?

– Co niby dlaczego?

– No niby dlaczego mieli cię wysłuchać albo potraktować poważnie?

– Jestem pewien, że ktoś manipuluje siecią. Co prawda nie znam się na tym zbyt dobrze, ale według mnie to wygląda tak: ktoś ni z tego, ni z owego dezaktywuje wszystkie liczniki. W konsekwencji dochodzi do raptownego wzrostu częstotliwości w sieci. W rezultacie następuje reakcja łańcuchowa i w końcu nic nie działa. Wtedy firmy energetyczne próbują na nowo uruchomić sieci. I nawet im się to udaje. Ale ledwie prąd zaczyna płynąć, nasz nieznamy sabotażysta zaczyna od początku. A firmy energetyczne nie mają pojęcia, dlaczego znowu wszystko jest martwe.

– Bo nie chcą cię słuchać.

– No właśnie.

– Bo ta twoja teoria brzmi cholernie niedorzecznie. – Zanim Manzano zdążył mu cokolwiek odpowiedzieć, Bondoni uniósł rękę w obronnym geście. – Ja ci wierzę! Musisz jednak przyznać...

– Wiem, wiem. No to co mam zrobić? Do kogo mogę się jeszcze zwrócić?

– Hm, jeśli nikt we Włoszech nie chce cię wysłuchać, musisz spróbować gdzie indziej.

– Cudowny pomysł – zadrwił Manzano. – No to kto taki ci przychodzi do głowy?

Amerykański prezydent?

– Unia Europejska.

– Świetnie! Rzeczywiście brzmi obiecująco.

– Posłuchaj mnie może wreszcie, zamiast się ze mnie nabijać! No pomyśl! Kto pracuje w

Brukseli?

Manzano powoli zaczęło świtać, do czego zmierza jego sąsiad.

– Twoja córka. No to na co my czekamy?

Bondoni zrobił strapioną minę.

– Lara jest na nartach w Austrii.

– Racja, wspominałeś o tym. No to trzeba do niej zadzwonić.

– Już próbowałem.

– I jej nie złapałeś. Super! Czyli jesteśmy w tym samym miejscu.

– Zaraz spróbuję znowu – oznajmił Bondoni.

Manzano przypomniał sobie, że jego sąsiad ma wciąż staromodny telefon stacjonarny.

Nieraz z tego powodu podśmiewał się z niego. Ale nie teraz.

Obaj przeszli do jego mieszkania. Bondoni nie dodzwonił się do swojej córki, w słuchawce zalegała martwa cisza. Popatrzył bez wyrazu na sąsiada.

– Może jest gdzieś w górach na trasie – powiedział Manzano.

– Albo jeszcze w drodze.

– Albo w ogóle nie wyjechała. Czy w Brukseli ma telefon stacjonarny?

– Też już próbowałem. I do biura także. Nie ma jej tam.

– A dokąd, mówiłeś, ona się wybierała?

– Do Tyrolu, a dokładnie do Ischgl. Zostawiła mi adres. Na wszelki wypadek.

– Byłem tam kiedyś. – Manzano zastanowił się przez chwilę. – Masz jeszcze te zapasowe kanistry, których używasz, kiedy cena benzyny jest niska? – spytał.

Między brwiami Bondoniego pojawiła się bruzda.

– Jak to?

– Tak czy nie?

– Tak.

– A bak w twoim fiacie jest w miarę pełny?

– Chyba tak. Ale... – Bondoni zrozumiał. Zirytowany zaczął kiwać palcem, jakby zabraniał małemu dziecku jakiejś psoty. – Nie. Nie. I jeszcze raz nie. Ty chyba sobie żartujesz!

– A masz jakiś lepszy pomysł? – Manzano wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Albo coś sensowniejszego do roboty? Wystarczy nam cztery, pięć godzin. No i... – pociągnął za kołnierzyk jego płaszcz – ...w samochodzie można włączyć ogrzewanie.

Gospodarstwo wiejskie pod Dornbirn

– Ale super! – Terbanten przycisnęła się do kaflowego pieca w kuchni wiejskiego domu.

Angström siedziała ze wszystkimi przy dużym, starym stole i jadła to, co wystawiła gospodyni: ciemny chleb, masło, ser, boczek. Do tego świeże, jeszcze ciepłe mleko prosto od krowy. Wszyscy sięgnęli po nie z ochotą, tylko van Kaalden go nawet nie tknęła, co Angström od razu zauważyła. Ona sama z trudnością trzymała szklankę. Miała tak sztywne przedramiona, jak zdarzało się jej to dawniej, kiedy zbyt długo pływała na desce surfingowej bez trapezu. Rozmawiały z mieszkańcami domu i ich pomocnikami, żartowały razem z nimi z własnej nieporadności przy dojeniu, podczas gdy gospodarz naśladował ich ruchy swoimi grubymi palcami, sam śmiejąc się do łez. Jednocześnie cały czas się zastanawiały, co mają teraz zrobić. Kiedy jeden z sąsiadów domyślił się, że mają za mało benzyny, aby dotrzeć do celu, spytał:

– A daleko to jeszcze?

– Z godzinę drogi, około sześćdziesięciu kilometrów.

Wyglądał na trochę starszego od właściciela gospodarstwa, jego twarz i dłonie były jednoznacznie metryką.

– Czyli dziesięć litrów powinno wam wystarczyć – zwrócił się do nich wprost. – Mam akurat pełny bak, więc trochę mógłbym wam dać.

Angström przetłumaczyła koleżankom jego słowa i ucieszona skinęła głową ku mężczyźnie.

– Chętnie skorzystamy! Oczywiście zapłacimy.

– No jasne – powiedział mężczyzna z obojętną miną. – Cztery euro za litr.

Angström lekko zatkało. To ponad dwa razy drożej niż normalnie. Wymieniła spojrzenie z Bondoni. Zdaje się, że były tego samego zdania. Żadnych emocji. Popyt i podaż nie mają nic wspólnego ze sprawiedliwością czy przyzwoitością. Najważniejsze, że wystarczy im benzyny.

Gdy skończyły jeść, jeszcze raz podziękowały gospodarzowi. On zaś wcisnął im do rąk prowiant na drogę składający się z czterech butelek letniego mleka prosto od krowy, bochenka chleba, masła i solidnego kawałka domowego boczku.

Sąsiad ustawił się już swoim samochodem dostawczym za citroenem. Przez wężyk wetknięty do baku ściągał paliwo do kanistra. Potem wlał je do ich samochodu. Angström zapłaciła, dziękując mu powtórnie. Dziesięć minut później były już na autostradzie.

– Kąpiel! Królestwo za kąpiel! – wykrzyknęła van Kaalden, obwąchując się pod pachami, jakby w ten sposób mogła się pozbyć zapachu obory.

Ybbs–Persenbeug

Spokojnie i niepowstrzymanie Dunaj torował sobie drogę przez krajobraz. Po jego obu stronach bielily się pola, a na nich stały pod szarym niebem zabudowania gospodarskie i gołe kikuty drzew.

Zapora elektrowni to tylko iluzja ludzkiej władzy, pomyślał Oberstätter. Możemy spowolnić nurt rzeki, spiętrzyć wody, ale nie jesteśmy w stanie całkiem jej zatrzymać ani tak naprawdę mieć nad nią kontroli, jak pokazały powodzie ostatnich lat.

Śnieg przestał padać. Wpatrzony w kłębiące się wiry Oberstätter kolejny raz zaciągnął się papierosem i zastanawiał się nad wydarzeniami ostatnich dwudziestu czterech godzin. W ogóle nie pojechał do domu, mimo że w którymś momencie pojawił się zespół z nocnej zmiany. On i jego koledzy przespali się krótko na jakichś polowych łózkach. Cały czas starali się na nowo uruchomić elektrownię. Jednak komunikaty o błędzie wciąż uniemożliwiały puszczenie jej w ruch. I za każdym razem odpowiednia ekipa ruszała sprawdzić kwestionowany element. Nie znajdowała jednak żadnej usterki. Od strony technicznej wszystko wydawało się w porządku. Ale co z tego? Skoro program zgłaszał błąd, musieli to skontrolować.

Próby automatycznego sterowania elektrowniami podejmowano już od lat dwudziestych ubiegłego stulecia. Przełom nastąpił dopiero w latach sześćdziesiątych wraz z rozwojem techniki komputerowej. Od tej pory coraz więcej zadań przejmowały właśnie komputery. Bez nich kierowanie nowoczesną elektrownią byłoby równie niemożliwe jak administrowanie systemem sieci energetycznych. Oberstätterowi nasunęło się w tym momencie skojarzenie z własnym samochodem. Jego pierwsze auto, popularny garbus, było jeszcze normalną maszyną, mechanicznym urządzeniem. Wózek, którym teraz jeździ, to komputer na kółkach. Żeby znaleźć usterkę, mechanik nie wchodzi pod podwozie ani nie robi nura pod maskę, tylko przykłada niewielkie urządzenie diagnostyczne do sterownika w silniku i odczytuje pamięć błędów pojazdu.

Oberstätter doskonale pamiętał, jak to rok temu wydał majątek na naprawę samochodu swojej żony. System zgłosił usterkę dotyczącą płynu hamulcowego. W warsztacie wymieniono wszystkie przewody, jednak komputer pokładowy nadal zgłaszał dysfunkcję. „Może chodzi o same hamulce”, stwierdził mechanik i zainstalował nowe klocki hamulcowe. Treść komunikatu nie uległa zmianie. W końcu mechanik oznajmił, że trzeba wymienić tak zwaną magistralę. Nowy komputer nie meldował już żadnego błędu.

Oberstätter zgasił papierosa, zostawił niedopałek w popielniczce i wrócił do dyspozytorni.

– To musi być software – zwrócił się do kierownika zmiany.

– Też mi to przyszło do głowy – odpowiedział tamten. – Pytanie tylko, od czego mamy zacząć.

W elektrowni znajdują zastosowanie różne programy. Najbardziej złożone to Supervisory Control and Data Acquisition Systems, nazywane krótko systemami SCADA. Służą one nadzorowaniu danego obiektu oraz sterowaniu nim i składają się z najrozmaitszych elementów, począwszy od bardzo wyspecjalizowanych urządzeń wykonawczych, jak sterowniki i czujniki, a skończywszy na zwyczajnych komputerach opartych na programie Windows. Systemy SCADA sterują coraz bardziej skomplikowanymi procesami technologicznymi we współczesnym świecie, na przykład procesami produkcyjnymi w przemyśle, infrastrukturą tak kompleksowych obiektów jak porty, lotniska, dworce kolejowe, siedziby koncernów, centra handlowe czy stacje kosmiczne. To dzięki nim jest możliwe, że garstka ludzi przeprowadza przez morza gigantyczne kontenerowce, kilkudziesięciu pracowników obsługuje halę fabryki samochodów, a na lotniskach całego świata każdego dnia przewijają się miliony przylatujących i odlatujących podróżnych.

– Nie mam pojęcia. Systemy SCADA zostały przecież dokładnie przetestowane. Poza tym i tak się do nich nie dostaniemy. Zacząłbym od komputerów z systemem Windows. Już w 2004 byłem przeciwny zastosowaniu windowsów w naszej branży, bo są zbyt niepewne. Przecież sam Microsoft się boi, kiedy ktoś posługuje się Win2K bez żadnych ścieżek zabezpieczeń, ale tego z kolei zabrania nam producent oprogramowania.

Kierownik zmiany wpatrywał się przez ogromną szybę w halę maszynowni. Oberstätter domyślał się, co dzieje się w jego głowie. Jeśli postanowi przerwać próby uruchomienia elektrowni, dopóki nie zostaną sprawdzone systemy operacyjne, może minąć kilka dni. Ostateczną decyzję musi podjąć operator.

– Mam nadzieję, że nikt nam nie wrzucił Stuxneta – powiedział Oberstätter.

– To kiepski żart.

– Wcale nie żartuję.

Jesienią 2010 roku wirus o tej nazwie stał się szeroko znany, gdy zaatakował komputery w irańskiej elektrowni atomowej. Również chińska agencja informacyjna donosiła, że robak spowodował zakłócenia w kilkuset zakładach przemysłowych w Państwie Środka. Później znaleziono go jeszcze w wielu innych miejscach. Także ponad połowa wszystkich niemieckich elektrowni została nim zainfekowana, ale dzięki specjalnej konstrukcji robaka ukierunkowanej na zaatakowanie określonego modelu sterownika żadna z nich nie została uszkodzona.

Podejrzewano, że Stuxneta opracowały izraelskie i amerykańskie służby bezpieczeństwa, a jego celem była irańska elektrownia atomowa, lecz to tylko spekulacje. Prawdziwi twórcy wirusa i faktyczny cel jego powstania jeszcze długo pozostaną tajemnicą. Przypuszcza się, że prace nad nim pochłonęły siedmiocyfrową kwotę dolarów i wymagały zaangażowania niemałego zespołu specjalistów z różnych dziedzin. Warto zaznaczyć, że autorzy tego robaka dysponowali szczegółową wiedzą o procesach technologicznych przebiegających w zaatakowanych obiektach, którą musieli wykraść od firm produkujących systemy operacyjne. Tak czy inaczej, Stuxnet nie był efektem niewinnych trików jakiegoś nastolatka bawiącego się na swoim domowym komputerze.

– W każdym razie kontynuowanie tego, co robiliśmy do tej pory, nie ma sensu – stwierdził w końcu zwierzchnik Oberstättera. – Wstrzymujemy próby uruchomienia. Zawiadomię centralę.

Ratingen

Na rozległym parkingu stały tylko pojedyncze samochody, ale i tak było ich więcej niż zwykle w każdą lutową sobotę. Ogromny teren wokół pokrywała cieniutka warstwa śniegu. Podmuchy wiatru porywały wysoko w górę obłoki białego puchu, odsłaniając szary asfalt. W tym martwym zimowym krajobrazie wysoki, dziesięciopiętrowy sześcian ze szkła i betonu sprawiał wrażenie jakby zagubionego. Nad budynkiem wznosił się na tle burego nieba napis z niebieskich liter: „Talaefer AG”. W niektórych oknach paliło się światło.

James Wickley zaparkował swojego roadstera SLS na miejscu oznakowanym wizerunkiem limuzyny, którą jeździł w ciągu tygodnia jako samochodem służbowym. Ale była już sobota, więc pozwolił sobie na wizytę w głównej siedzibie firmy sportowym wozem, który kosztował kilka razy więcej, niż wynosi roczna pensja przeciętnego pracownika firmy Talaefer AG.

Był prezesem zarządu i często w sobotę można było go zastać w biurze. Jeśli człowiek dużo pracuje i przynosi firmie mnóstwo pieniędzy, może od czasu do czasu przejechać się odpowiednim autem, uważał. Oczywiście nigdy nie udałby się takim wozem do klienta. Na co dzień wystarczał mu mercedes klasy S, który w zależności od potrzeby i ochoty prowadził sam albo korzystał z kierowcy.

Wyskoczył z samochodu i zebrał poły płaszcz razem, aby przejść kilka kroków dzielących go od wejścia. Przyjrzał się własnemu odbiciu w szklanych drzwiach, sprawdził ostry przedziałek we włosach, którego nie zdołał naruszyć nawet najmocniejszy podmuch wiatru, i zlustrował swą szczupłą sylwetkę.

W piwnicy budynku znajdowały się na szczęście awaryjne agregaty prądotwórcze, które umożliwiały mu teraz skorzystanie z windy i ogrzewały jego gabinet na najwyższym piętrze.

Rzucił płaszcz na krzesło i włączył swojego laptopa. Podczas gdy ten się uruchamiał, on spojrzał na zdjęcie na przeciwległej ścianie. Czarno-biała fotografia w ramach ukazywała młodego mężczyznę ubranego w stylu lat siedemdziesiątych przed staroświeckim komputerem.

Pierwszy system sterowania stworzył w 1973 roku Bruno Talaefer. Założona przez niego gdzieś na prowincji Nadrenii Północnej-Westfalii firma w ciągu niewielu lat rozwinęła się w koncern działający na całym świecie. W połowie lat osiemdziesiątych Talaefer uczynił z niej spółkę akcyjną notowaną na giełdzie i wtedy wycofał się z bezpośredniej działalności, stając się członkiem rady nadzorczej. Od samego początku opracowywali systemy kontroli i sterowania dla rozwijającego się przemysłu i logistyki transportu, a niedługo potem dołączyły też rozwiązania dla dostawców energii elektrycznej. Umiejętnie towarzyszyli w roli partnera wielkich producentów instalacji przełomowi strukturalnemu tej branży dokonującemu się od początku lat osiemdziesiątych. Dziś ponad dwadzieścia procent obrotów i zysków firmy pochodziło z zaangażowania w ten właśnie sektor gospodarki.

James Wickley urodzony w Bath jako dziecko dyplomaty dorastał w Londynie, Singapurze i Waszyngtonie, kształcił się w Cambridge i na Harvardzie, od czterech lat jako prezes zarządu firmy Talaefer AG spodziewał się prawdziwego boomu w najbliższej przyszłości. Po deregulacji rynków europejskich w ostatnich dziesięcioleciach zbliżał się następny przełom. Wprowadzenie tak zwanych sieci inteligentnych rozpałiło wyobraźnię w firmach na całym świecie. Podstawowa koncepcja była prosta. Do tej pory energię wytwarzali główni wielcy producenci i przesyłali ją do końcowego odbiorcy za pośrednictwem sieci, które tymczasem zostały zintegrowane w skali międzynarodowej. Ten system jeszcze jako tako działał. Zapotrzebowanie na energię jest wiadome. Energię elektryczną dostarczają nieprzerwanie elektrownie wodne, węglowe i jądrowe, a w okresach szczytu bardziej zmienne zapotrzebowanie

pokrywają określone elektrociepłownie, zwłaszcza zasilane gazem.

W przyszłości energię elektryczną będzie wytwarzać więcej podmiotów, w tym także mniejszych. Na dodatek ich produkcja będzie się opierać na tak niezawodnych dostawcach jak słońce czy wiatr. A za niewiele lat rozwinie się w pełni dosyć młoda jeszcze dziedzina przemysłu oparta na *energy-harvesting*. Dzięki konwersji energii mechanicznej (drgań) w energię elektryczną możliwe będzie pozyskiwanie jej na przykład podczas chodzenia z mikroelektrowni umieszczonych w podszewkach butów.

Z tymi niezliczonymi drobnymi, niezależnymi i nieprzewidywalnymi dostawcami prądu klasyczne sieci nie będą w stanie współpracować. Już dzisiaj wciąż rosnąca liczba wiatrowni i systemów solarnych stanowi coraz większe zagrożenie dla stabilności sieci. Sytuacja może zupełnie wymknąć się spod kontroli, jeśli w przyszłości każde gospodarstwo domowe, wręcz każdy człowiek stanie się indywidualną minielektrownią i będzie się pozbywał energii, gdy wyprodukuje jej w nadmiarze.

Istotną rolę odegrała także decyzja polityczna, zgodnie z którą kraje europejskie w ciągu kilkudziesięciu lat miały się uniezależnić od surowców kopalnych, jak ropa naftowa i węgiel, a nawet od energii atomowej. Niemcy na przykład wybrały masową rozbudowę wiatrowni. Gigantyczne farmy wiatrowe na Morzu Północnym mają zaopatrywać energochłonne obiekty przemysłowe na południu kraju. Obrońcy środowiska przeżywają rozterkę, przez dziesięciolecia bowiem walczyli o wykorzystywanie alternatywnych źródeł energii, aby teraz musieć stwierdzić, że wiatraki, linie wysokiego napięcia i zbiorniki retencyjne szpecą krajobraz. Firmom budowlanym było w to graj, sąsiadom tego rodzaju inwestycji trochę mniej. W tym momencie rozwoju do gry wkroczyły jeszcze inteligentne sieci elektroenergetyczne, które ostatecznie mają same sobą sterować i zarządzać. Niezliczone wysoce wrażliwe czujniki ulokowane we wszelkich możliwych punktach sieci będą mierzyć w czasie rzeczywistym jakość prądu i jego napięcie. Za pośrednictwem tej zmyślnej sieci różne małe elektrownie zostaną przyłączone do elektrowni wirtualnych. Konsumenci otrzymają liczniki inteligentne. Według planów Unii Europejskiej do 2020 roku systemem tym zostaną objęte znaczne obszary Europy. Niektóre państwa, na przykład Holandia, na razie zwolniły tempo realizacji tych projektów bądź też w ogóle je wstrzymały albo ze względu na koszty, albo z obawy o bezpieczeństwo.

Każdy znaczący koncern, który dostrzegł w nowym trendzie choćby minimalne powiązanie ze swoim właściwym obszarem działania, ochoczo wskakiwał do tego pociągu. Począwszy od klasycznych firm elektronicznych i technicznych, przez gigantów telekomunikacyjnych wykorzystujących własne kompetencje w dziedzinie komunikacji i usieciowienia, skończywszy na producentach samochodów, którzy chcieli teraz instalować swoje silniki także w przychodniach lekarskich czy w budynkach administracji.

Ale jak na razie musieli przywrócić do życia istniejący system. Jak pokazywał jego komputer, w tej chwili nie udało mu się nawet połączyć z internetem.

Przeszedł do dużej sali konferencyjnej, gdzie już czekali przedstawiciele kierownictwa, których wczoraj wieczorem umówił na dzisiaj, w razie gdyby awaria nadal trwała.

– Od operatorów, inżynierów czy poszczególnych elektrowni nie mamy do tej pory żadnych informacji zwrotnych – oznajmił dyrektor dystrybucji. – Zorganizowałem u nas *call center*, w razie gdyby nasi klienci potrzebowali wsparcia.

– To dobrze – powiedział Wickley. – Mamy na miejscu wystarczająco dużo techników?

– Na razie tak – odparł dyrektor personalny. – Właśnie powiadamy dodatkowych, o ile to możliwe. Liczymy jednak na to, że awaria zostanie wkrótce usunięta, poza tym nie spodziewamy się raczej jakiegoś wzmożonego zalewu pytań przed poniedziałkiem rano, choćby dlatego, że sieci telefoniczne właściwie nie działają. Przypuszczam, że do tego czasu

zapotrzebowanie na pomoc z naszej strony będzie zdecydowanie mniejsze albo w ogóle żadne, a jednocześnie nasi ludzie znajdują się już wtedy wszyscy w firmie.

– Też mam taką nadzieję – odparł Wickley. – Komunikacja zewnętrzna?

To pytanie dotyczyło szefa biura prasowego, chudego mężczyzny o wcześniej posiwiałych włosach.

– Do tej pory żadnych pytań ze strony mediów – odpowiedział. – Mimo to mam zamiar najszybciej jak to możliwe umówić się z kilkoma wybranymi dziennikarzami na nieoficjalne rozmowy, żeby zwrócić uwagę na niezawodność naszych produktów, a także na najwyższe kompetencje naszych inżynierów i twórców oprogramowania, zwłaszcza w kontekście najnowszych projektów, które nas czekają.

– Doskonale! Ten człowiek po prostu myśli. I tu dochodzimy do najważniejszego punktu dzisiejszego spotkania. – Pochylił się do przodu i powiódł wzrokiem po twarzach zgromadzonych wokół stołu blisko dwudziestu mężczyzn. – Ta awaria to dla nas gigantyczna szansa! Za kilka godzin się skończy, ale każdy będzie ją pamiętał. I o to my musimy się postarać. – Zerwał się z krzesła. – Nasze zadanie polega teraz na tym, żeby uzmysłwić osobom na stanowiskach decyzyjnych, że koncepcje konkurencji są krótkowzroczne albo iluzoryczne i niezbędne jest wprowadzenie radykalnych innowacji. – Które zgodnie z jego szacunkami miały przynieść Talaefer AG w najbliższym dziesięcioleciu dwucyfrowy wzrost zysków. – Chciałbym... – w tym miejscu wywołał wzrokiem dyrektora dystrybucji – ...żebyśmy już od poniedziałku rano zaczęli umawiać spotkania ze wszystkimi osobami, które o tym decydują. – Teraz nie będzie już musiał wspierać własnych interesów fundowaniem luksusowych podróży studyjnych do dalekich krajów, lecz jedynie zwykłymi prezentacjami faktów i produktów firmy Talaefer. Oparł obie dłonie na stole i przenikliwym wzrokiem popatrzył na swoich współpracowników. – Proszę najpóźniej do poniedziałku wieczór przedstawić mi najważniejsze prezentacje. Awaria ma być w nich punktem wyjścia i głównym wątkiem. – Po minach obecnych widział, że nikt się tego raczej nie spodziewał. Prawdopodobnie rodziny większości z nich siedziały w zimnych domach bez wody, odcięte od świata, czekając na jak najszybszy powrót ojców. A teraz będą musiały poradzić sobie bez nich. – Do roboty, moi panowie! Pokażmy światu, czym jest energia!

Paryż

Kiedy Shannon obudziły dźwięki głośnej muzyki, przeklęła swojego współlokatora Émile'a. Czysze w Paryżu były niebotyczne, na swój pokój we wspólnym mieszkaniu na Montparnasse wydawała połowę miesięcznej pensji, więc nie mogła być wybredna. Dopiero kiedy przykryła sobie głowę poduszką, żeby móc dalej spać, zastanowiła się, skąd może dochodzić ta muzyka. Zza okna słychać było uliczny szum. Usiadła na łóżku, starając się obudzić.

W samym podkoszulku i szortach poczłapała do przedpokoju, potem do łazienki, odkręciła krany, całkiem staroświeckie, jeden z ciepłą wodą, drugi z zimną, obmyła sobie twarz wodą, wypłukała usta, żeby pozbyć się nieprzyjemnego posmaku, i zaspana spojrzała w lustro. Potargane brązowe włosy opadały jej na twarz.

Leciała woda. Skądś dobiegała muzyka. W toalecie też wszystko działało.

Shannon narzuciła na siebie płaszcz kąpielowy i poszła do kuchni. Marielle i Karl siedzieli przy późnym śniadaniu, w radiu leciał francuski hip-hop. Podobał się jej jeszcze mniej niż angielski, zwłaszcza zaraz po przebudzeniu, ale dzisiaj cieszyła się, że go słyszy.

– Cześć – przywitała pozostałych. – Znowu jest prąd?

– Na szczęście – powiedział Karl.

Przysadzisty Niemiec z czarnymi lokami był jednym z czwórki jej współmieszkańców. Marielle pochodziła z okolic Tuluzy, Émile z Bretanii i był jeszcze Darek ze wsi gdzieś we wschodniej Polsce.

Shannon naląła sobie kawy i mleka do filiżanki.

Czyli szef Électricité de France niepotrzebnie pędził na łeb na szyję do ministerstwa, pomyślała. Albo jednak jego pojawienie się w nim – no bo czego innego by tam szukał? – przyniosło właśnie pożądany skutek, to znaczy błyskawiczne przywrócenie dostaw prądu.

– Ale nie wszędzie – wyjaśniał Karl z pełnymi ustami i niemieckim akcentem. Nie miała jednak prawa się z niego śmiać, bo jej amerykański zaśpiew był nie mniej wyraźny. – W wielu częściach kraju ludzie nadal marzną. Moi rodzice u mnie w domu pewnie też.

– Rozmawiałeś z nimi? – spytała Shannon.

– Nie. Nie mogłem się dodzwonić. Ale w wiadomościach podawali, że w innych krajach było to samo. Mówią, że to przeciążenie z powodu zimy.

Shannon smarowała sobie kromkę chleba miodem.

– Prawie cała komunikacja miejska w Paryżu znowu działa – zauważyła Marielle.

– To dobrze – powiedział Karl. – Spieszę się na uniwersytet.

– W sobotę?

Wzruszył bezradnie ramionami, po czym wstawił brudne naczynia do zlewu i zniknął.

Shannon opowiedziała o swojej nocy i spytała Marielle, jak było u nich w mieszkaniu.

– Dało się wytrzymać – odrzekła. – Włożyłam sweter, przykryłam się jeszcze jedną kołdrą i wszystko przespałam.

– Najlepsza metoda.

Shannon wzięła gorący prysznic, a potem zasiadła do laptopa i przegrała cały materiał z ostatniej nocy. Była tylko współpracownicą Turnera, dlatego z niewykorzystanymi przez niego zdjęciami mogła zrobić, co chciała. Weszła na kilka portali informacyjnych i sprawdziła swoje konta na społecznościówkach. Na koniec zmontowała mały reportaż ze swoich ujęć i wstawiła go na YouTube.

Później ubrała się ciepło i poszła kupić coś do jedzenia. Nieduży market dwie ulice dalej był otwarty. Po drodze próbowała dopatrzeć się skutków pozostawionych przez awarię, ale

paryżanki i paryżanie przeszli już nad wszystkim do porządku dziennego.

Wracając, spotkała przed wejściem do domu sąsiadkę. Annette Doreuil, po sześćdziesiątce, zawsze bardzo zadbana, również szła ze sprawunkami.

– Shannon! – zawołała sąsiadka. – Ale to był wieczór wczoraj, co?

– Oj tak, całą noc przejeździłam po mieście – odpowiedziała Shannon, gdy razem szły do windy. – Prąd pojawił się stopniowo dopiero około szóstej rano.

– Nasza córka z rodziną chciała przylecieć z Amsterdamu, ale wszystkie loty zostały odwołane.

– Jaka szkoda, tak się pani cieszyła na przyjazd wnuków.

Kabina szarpnęła, zatrzymała się między piętrami, Shannon poczuła, jak zaciska się jej żołądek, na szczęście po chwili winda ruszyła dalej.

– Jeszcze by tego brakowało – zaśmiała się nerwowo pani Doreuil.

Obie zamilkły, patrząc przez szybki w drzwiach na przesuwane się kondygnacje, aż wreszcie dotarły na czwarte piętro. Shannon odetchnęła z ulgą, że może już wyjść z zamknięcia. Może teraz będzie częściej chodzić po schodach.

– Proszę pozdrowić męża. Mam nadzieję, że wnuki jednak niedługo państwa odwiedzą.

– Ja też mam taką nadzieję.

Okolice Bellinzony

Na autostradzie panował mniejszy ruch niż zwykle. Bondoni przekazał mu kierownicę. Po wyjechaniu z Mediolanu Manzano nacisnął pedał gazu autobianchi 112 z siedemdziesiątego roku do dechy, osiągając prędkość stu czterdziestu kilometrów na godzinę. Auto Bondoniego mające niemal tyle samo lat co Manzano i utrzymane w nienagannym stanie było jednak tak głośnie, że mogli się ze sobą porozumiewać, wyłącznie wrzeszcząc, co spowodowało, że konwersacja między nimi szybko zamarła. Bondoni włączył radio i razem śledzili najświeższe wiadomości i specjalne komunikaty nadawane przez większość stacji.

Niestety, bak nie był całkiem pełen, na co liczył Manzano, ale sąsiad miał w garażu wystarczająco wiele kanistrów z rezerwą paliwa, aby bez najmniejszych obaw mogli pokonać te niespełna czterysta kilometrów. W malutkim bagażniku leżały cztery pojemniki, a w każdym po dwadzieścia litrów benzyny. Mogliby na niej nawet wrócić do domu, nie musząc szukać stacji benzynowej. Manzano miał nadzieję, że nie będzie to konieczne. Z radia nie płynęły jednak dobre wiadomości. Duża część Europy była nadal bez prądu.

Dotarli już do Szwajcarii, zostawili za sobą Lugano i zmierzali w kierunku Bellinzony, kiedy wskaźnik paliwa na desce rozdzielczej osiągnął czerwony zakres.

– Musimy dolać benzyny – powiedział Manzano, kiedy dostrzegł znak informujący o pobliskim parkingu.

Cztery ciężarówki ustawione w szeregu zajmowały jego lewą połowę, po prawej stały trzy samochody osobowe. Obok jednego z nich jakiś mężczyzna chodził tam i z powrotem, paląc papierosa. Manzano i Bondoni wysiedli z auta, rozprostowali nogi, po czym Piero otworzył kłapę bagażnika, wyjął kanister i zaczął wlewać paliwo do baku.

Przysłuchiwał się cichemu bulgotaniu, podczas gdy za jego plecami od czasu do czasu autostradą przemykało jakieś auto. Próbował sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz napełniał bak z kanistra. I czy w ogóle kiedykolwiek coś takiego mu się zdarzyło. Przecież stacje benzynowe są wszędzie. To naturalne.

– Hej! Widzę, że ma pan niezłą minicysterne – zawołał ktoś obok niego, śmiejąc się gardłowo z własnego dowcipu. Palacz, już bez papierosa, zerkał z ciekawością do bagażnika autobianchi.

Manzano nie słyszał jego kroków. Nie lubił takich numerów. I tego faceta też nie. Jak bez ceregieli zaglądał do środka ich samochodu; nie podobał mu się ton jego głosu.

– Mamy przed sobą jeszcze daleką drogę.

– A gdzie to pan się wybiera z takim ładunkiem?

Co mu do tego?

– Do Hamburga – skłamał Manzano.

– Wow! To faktycznie długa droga jak na taką mydelniczkę na kółkach.

Manzano opróżnił kanister, zamknął go, wstawił do bagażnika. Jednocześnie ponad dachem wozu zauważył, że od strony auta palacza zmierza ku niemu dwóch innych facetów. Podobał mu się równie mało jak ich kompan. Zatrzasnął kłapę.

– No, no, niech pan się liczy ze słowami – zdenerwował się Bondoni. – To oldtimer!

– I to widać – roześmiał się mężczyzna. – Czymś takim nigdy pan nie dotrze do Hamburga. Może niech pan lepiej odsprzeda nam jeden kanister? Albo dwa?

Manzano chwycił już klamkę w drzwiach kierowcy, gotowy wsiąść do środka.

– Przykro mi. Przecież panu powiedziałem, że przed nami daleka droga, więc przyda nam się każda kropla.

Towarzysze palacza właśnie zbliżyli się do nich. Jeden ustawił się przed maską, drugi

podszedł do Bondoniego, który właśnie chciał zająć miejsce pasażera.

W tym momencie palacz chwycił Manzana za ramię.

– A może jednak by się pan zastanowił?

Manzano popatrzył na niego bez lęku, potem na jego rękę na swoim ramieniu. Gdy tamten nie zwolnił uścisku, spróbował go odtrącić, ale wtedy przytrzymał go ten drugi.

– Puśćcie mnie – powiedział spokojnie. Czuł jednak, jak napina się w nim każdy mięsień i zalewa go fala gorąca.

– Potrzebujemy benzyny – oznajmił napastnik. – Na razie grzecznie pana prosiłem.

Manzano nie miał wątpliwości. Gwałtownym ruchem kopnął go między nogi. Facet zupełnie się tego nie spodziewał, zgiął się wpół i puścił Manzana, który odepchnął go od siebie. Mężczyzna potknął się do tyłu i upadł na asfalt. Manzano wskoczył do samochodu. Bondoni, wykorzystując moment zaskoczenia, dosłownie rzucił się na siedzenie przy kierowcy.

Manzano przyciągnął swoje drzwi, zablokował je i jednocześnie drugą ręką przekręcił kluczyk w stacyjce. Tymczasem jego napastnik znowu stanął na nogi. Typ przed maską zaparł się o nią z całej siły, jakby w ten sposób mógł zatrzymać samochód. Bondoni usiłował zamknąć swoje drzwi, jednak trzeci z mężczyzn już włożył ręce do środka i targał nim z całej siły. Manzano włączył bieg, nacisnął pedał gazu, silnik zaryczał. Palacz szarpał za klamkę w jego drzwiach. Facet z przodu nie odsunął się ani odrobinę na bok. Przez ułamek sekundy ich spojrzenia się spotkały, potem Manzano puścił sprzęgło. Autobianchi wyrwało do przodu, zagradzającego im drogę mężczyznę rzuciło na przednią szybę, skąd sturlał się na ziemię, porywając za sobą palacza. Trzeci biegł razem z nimi, wciąż usiłując wyciągnąć klnącego na cały głos Bondoniego. Manzano dodał gazu. We wstecznym lusterku widział, jak palacz puścił się teraz za nimi. Ten sprzed maski leżał na ziemi. Bondoni pożegnał wreszcie kopniakiem trzeciego i zatrzasnął drzwi. Manzano wrzucił wyższy bieg i wypadł z wyjazdu, podczas gdy jego pasażer, wiszący niemal odwrotnie na swoim fotelu, z wielkim wysiłkiem starał się zająć pozycję siedzącą.

– Co to było? – spytał bez tchu.

– Współcześni rozbójnicy – odpowiedział Manzano, którego puls po prostu szalał. Co chwila sprawdzał w lusterku, czy napastnicy nie jadą za nimi.

Zastanawiał się, czy przypadkiem nie zrobił poważnej krzywdy jednemu z nich. Musiał jednak przyznać, że nie był zdolny do współczucia, raczej kipiał wściekłością z powodu bezczelnego ataku. Niestety, nie zapamiętał numeru rejestracyjnego. W gruncie rzeczy powinien zgłosić ich na policję. A może to on popełnił wykroczenie, ruszając, mimo że na drodze stał mu człowiek?

– Co za łobuzy – wyklinał Bondoni. – Mój śliczny samochodzik. Ten idiota wgniótł mi z przodu karoserię!

Miejmy nadzieję, że cała ta awaria niedługo się skończy, pomyślał Manzano. Bo do czego to jeszcze mogłoby dojść, skoro ludzie już teraz tak wariują, zastanawiał się, ciągle spoglądając we wsteczne lusterko.

Berlin

Z okien budynku, który dzielił ministerstwo od ulicy Alt-Moabit, Michelsen obserwowała przyjazd czarnych limuzyn. Minister spraw wewnętrznych zaprosił prezesów najważniejszych niemieckich producentów i dostawców energii elektrycznej na spotkanie. Dzwoniąc do nich, Michelsen nazwała je naradą kryzysową. Dla wszystkich tych bossów oznaczało ono solidne zmycie głowy, z czego zdawali sobie sprawę, nie mieli jednak wyboru. Każdy, kto by nie przyszedł, mógł się liczyć w przyszłości ze znacznymi utrudnieniami ze strony polityków, więc przybyli wszyscy.

W niewielkiej salce konferencyjnej czekała za jej plecami grupa ministerialnych urzędników tworzących rdzeń operacyjnego sztabu kryzysowego. Rozmawiali ze sobą albo przeglądali dokumenty. Niektórzy mieli pod marynarkami grube swetry albo kamizelki. Minister siedział w jednym z gabinetów obok i rozmawiał przez telefon satelitarny.

Michelsen wymyśliła niespodziankę. Ministrowi się spodobała. Zamiast zbierać się w sali konferencyjnej ministerstwa, wynajęli jedno z pomieszczeń w budynku od ulicy. Kancelaria adwokacka była zamknięta z powodu awarii. Temperatura we wnętrzach spadła już do dwunastu stopni. Pod marynarką garsonki Michelsen miała bieliznę termoaktywną, która nie odznaczała się przez ubranie. Nawet ze swojego miejsca wysoko na trzecim piętrze dostrzegła konsternację szefów koncernów, kiedy wysiedli z samochodów i szukali adresu. Każdy z nich był już nieraz w ministerstwie i pewnie sądził, że musiała nastąpić jakaś pomyłka. Nie działały dzwonki ani mechanizmy automatycznie otwierające drzwi. Na dole wyszedł im naprzeciw jeden z urzędników, który potem wskazał im drogę na trzecie piętro. Winda niestety nie działała. Michelsen stała przy oknie, dopóki ostatni z mężczyzn nie zniknął w wejściu. Z nieznacznym uśmiechem podeszła do drzwi sali i czekała na pierwsze pukanie.

Minęło kilka minut. Michelsen nie chciała pozbawić się tej przyjemności i osobiście otworzyła drzwi. Ujrzała przed sobą dwóch panów w sile wieku. Pod białymi i siwymi włosami żarzyły się czerwone czaszki. Porozpinali swoje drogie zimowe płaszcze. Spod nich ukazały się równie drogie garnitury. Z klatki schodowej dochodziły znowu czyjeś ciężkie kroki. Michelsen zaprosiła dwóch pierwszych gości do środka i czekała na następnych. Mężczyźni wspinali się powoli na trzecie piętro. Wszyscy ubrani w ciemne płaszcze i garnitury. Krawaty w stonowanych kolorach. Ten i ów z trudem łapał oddech.

– Proszę wejść. To tutaj. Pan minister już czeka.

W salce konferencyjnej potrząsanie dłoni. Nowi przybysze zdejmowali swoje płaszcze. Niektórzy mieli jeszcze krople potu na czole. Po kilku minutach wszyscy zajęli miejsca.

Jeden z prezesów – Michelsen pamiętała go jako szefa zarządu E.ON – sprawiający wrażenie raczej wysportowanego, zacierał ręce, jakby chciał je sobie rozgrzać. Akurat jego wspinaczka po schodach nie kosztowała wiele wysiłku i teraz jako pierwszy zaczął odczuwać zimno.

Gdy do sali wszedł minister, wszyscy wstali.

– Proszę usiąść, drodzy panowie – powiedział na powitanie.

Posłuchali go i opadli na krzesła, jedynie asystent sekretarza stanu stał nadal przy tablicy magnetycznej w rogu.

– Wybraliśmy na dzisiejsze spotkanie dosyć niezwykle lokum. Niestety, z powodu braku prądu nie mogę zaproponować panom ani kawy, ani herbaty. Prosiłbym także o przełożenie korzystania z toalety na później lub wybranie takiego miejsca, gdzie jest możliwy dostęp do wody i działają stosowne urządzenia.

Następnie minister również zajął miejsce za stołem.

– Chciałbym, abyśmy podczas tego spotkania nie zapominali ani przez sekundę, przez co od dwudziestu czterech godzin przechodzi około sześćdziesięciu milionów niemieckich obywateli i obywateli.

Michelsen ukradkiem obserwowała reakcje szacownych gości. Większość z nich zachowała na pozór zainteresowane twarze, jedynie u niektórych kąci ust przez ułamek sekundy uniosły się w drwiącym uśmiechu.

– Podczas gdy my w ministerstwie i panowie w swoich gabinetach prezesów dzięki awaryjnym agregatom prądowórczym siedzimy sobie w przyjemnym ciepłku, wszyscy inni zmagają się z zimnem, ciemnością, brakiem wody, brakiem dostępu do żywności, lekarstw i pieniędzy. Myślę, że ta sytuacja jest panom znana.

Dyskretnie dał znak asystentowi, który odwrócił pierwszy arkusz na tablicy.

Z jakiegoś powodu moment ten wywołał w Michelsen wzruszenie. Od lat bowiem na ekran rzucały obrazy i wytwarzały też dźwięk różne zaawansowane technicznie multimedialne urządzenia, a teraz oto posługiwali się starymi, niezastąpionymi kartkami papieru, które na dodatek musiał ktoś przewracać własnymi rękami. Nagle przypomniała sobie czasy bez telefonów komórkowych, samochody, które nie były komputerami na kółkach i w których dawało się zastąpić wgnieciony zderzak częścią ze złomowiska, pisanie listów i kartek pocztowych zamiast e-maili, esemesów i wpisów na portalach społecznościowych. Ta chwila nostalgii szybko jednak minęła. Michelsen zdawała sobie bowiem sprawę, że organizacja współczesnego świata już od dawna opiera się na precyzyjnym zarządzaniu elektronicznym. Podobną rolę jak ziemia, po której stąpamy każdego dnia, czy powietrze, którym oddychamy, odgrywa na co dzień niewidoczna sieć pomocników, przemknęło jej przez głowę. Ale zaraz wróciła myślami do tablicy magnetycznej.

Rozwinięto na niej mapę Niemiec. W większości była koloru czerwonego, jedynie gdzieś tam widniały zielone plamy.

– Na drogach, dworcach i lotniskach panuje chaos. Gospodarka już teraz odnotowuje straty rzędu kilkuset milionów.

Znak ręką. Następny arkusz. Ogromna czerwona liczba: – 200 000 000 €.

– Od dwudziestu czterech godzin słyszę z waszych firm, że już niedługo wszystko będzie w porządku. Tymczasem pierwsze kraje ogłosiły stan klęski żywiołowej.

Kolejna kartka. Znowu mapa. Nadrenia Północna-Westfalia, Nadrenia-Palatynat, Hesja, Hamburg, Badenia-Wirtembergia, Bawaria, Brandenburgia, Saksonia – wszystko na czerwono.

– Sądziłem, że nasze sieci energetyczne są bezpieczne. Z zagranicy nie możemy oczekiwać pomocy, ponieważ tam dzieje się to samo co u nas. I to wy, panowie, jesteście za to odpowiedzialni. Mam już dosyć waszych tłumaczeń. – Spojrzał przenikliwie na każdego z obecnych, po czym kontynuował: – Powiedzcie w końcu, o co chodzi. Wyłóżcie karty na stół. Czy musimy ogłosić stan klęski żywiołowej w całej republice?

Michelsen obserwowała twarze zgromadzonych. Czy doszło do jakiejś zмовы zarządów? Prawdopodobnie. Jeśli tak, to mają pewnie jakąś strategię. Czy też nie są zgodni? W takim przypadku każdy z nich czeka teraz, że któryś jako pierwszy się zdemaskuje. Wymieniano spojrzenia. Robiący wrażenie zdecydowanego pięćdziesięciolatek o bujnej siwej czuprynie z przedziałkiem po lewej stronie niezauważalnie się naprężył. Curd Heffgen jest prezesem ogromnego operatora sieci przesyłowych. Michelsen wiedziała także, że poza tym stoi na czele Federalnego Związku Gospodarki Energetycznej i Wodnej oraz kieruje stowarzyszeniem lobbującym w interesie niemieckiego przemysłu energetycznego. Tego zadania bynajmniej mu nie zazdrościła. To z pewnością jeden z najtrudniejszych sektorów w Niemczech. Przecież od lat zarzuca się tej branży podbijanie cen i oszukiwanie konsumentów. Jednocześnie grupa ta musiała

spełniać określone wytyczne polityczne i chyba żadne inne stowarzyszenie nie reprezentowało i nie skupiało tak diametralnie różnych interesów. Gdy duzi operatorzy sieci domagali się wydłużenia okresu eksploatacji elektrowni atomowych, mniejsi, jak przedsiębiorstwa miejskie, widzieli w tym naruszenie konkurencji rynkowej. Kiedy forsowano alternatywne źródła energii, operatorzy często wpadali w kłopoty, byli bowiem prawnie zobowiązani do odbioru mocno zmiennej produkcji energii z coraz większej liczby wiatrowni i systemów solarnych, co z kolei zagrażało stabilności częstotliwości w sieci. Niełatwo było dogodzić wszystkim. A teraz jeszcze musimy mówić za wszystkich.

– Przyznaję – zaczął Heffgen – że nie udało nam się do tej pory zsynchronizować większych fragmentów sieci.

Szacunek, pomyślała Michelsen. Podnosi wysoko na drągu nie tylko hełm, ale też głowę. Ciekawe, w co trafi grad strzałów.

– Co między innymi bierze się z tego – kontynuował – że nie ma większych zakresów sieci. Ale również na poziomie regionalnym było to niemożliwe. Częstotliwość na nielicznych obszarach, na których przywrócono prąd, jest zbyt zmienna.

Jaki tam szacunek, zrozumiała wreszcie Michelsen. Ten pocziwiec tylko elegancko zaintonował znajomą śpiewkę „to nie nasza wina”.

– Może kolega reprezentujący producentów to wyjaśni.

Czyli przekazał pałeczkę dalej. Ale rozżarzoną. Kto ją przejmie? Heffgen oparł się wygodnie na krześle i skrzyżował ręce na piersi, dając w ten sposób do zrozumienia, że powiedział już dość.

– Może pan, von Balsdorff? – zachęcił minister.

Zagadnięty, nieco otyły i o porowatej cerze palacza, nerwowo zwilżył sobie wargi językiem.

– Hm. W elektrowniach występuje więcej problemów, niż można by się spodziewać w takim przypadku – oznajmił. – Do tej pory nikt z nas nie miał do czynienia z podobną sytuacją. Podczas symulacji przyjmowano wskaźnik awaryjności na poziomie do trzydziestu procent. A teraz osiągnął on wartość więcej niż podwójną. Ciągłe badamy...

– Czy chce pan przez to powiedzieć – przerwał mu minister niebezpiecznie cicho – że w ciągu najbliższych godzin nie jest pan w dalszym ciągu w stanie zagwarantować przywrócenia podstawowego zaopatrzenia w prąd?

Von Balsdorff spojrzął na ministra wyraźnie strapiiony.

– Zaangażowaliśmy do pracy wszystkie nasze dostępne zasoby. Ale nie możemy niczego zagwarantować. – Przygryzł wargi.

– A reszta panów? – minister zwrócił się do zgromadzonych.

Odpowiedziało mu pełne zakłopotania kręcenie głowami.

Michelsen poczuła coś, czego doświadczyła już kilka lat temu, gdy dwaj policjanci zapukali do drzwi jej mieszkania i spytali, czy jest córką Thorstena i Elviry Michelsenów. Patrząc na twarze innych, poznała, że oni też powoli zaczęli rozumieć. Mimo niskiej temperatury w sali zaczęła się pocić, a serce podeszło jej do gardła.

Ischgl

Angström przyglądała się z ulgą ośnieżonym szczytom, które strzelały wokół niej w niebo. Znalazszy się tuż u celu podróży, wszystkie były rozbawione i marzyły o kąpieli, porządnej toalecie, gorącej wodzie, czystych, ciepłych łóżkach i wieczorze spędzonym przed kominkiem.

– Czy tylko mi się zdaje, czy wyciągi nie działają? – spytała van Kaalden, kiedy zauważyły pierwsze trasy zjazdowe.

– Na to wygląda.

– Też brak prądu.

– Czy któraś z was próbowała kiedyś skitouru? – spytała Angström.

– Tylko nie to! – wykrzyknęła Terbanten. – Przyjechałam tu na wypoczynek.

– Ale to może być cudowne. Albo wypożyczymy sobie biegówki. I wyciągi nie będą nam potrzebne.

– Dzisiaj tak czy inaczej nie wybierzemy się już na narty – stwierdziła Bondoni. – A jutro, miejmy nadzieję, będzie po wszystkim.

Droga wiała się w górę. Angström wypatrywała wioski, w której wynajęły sobie kwatery. Dziesięć minut później znalazły się już na miejscu. Pod pionową ścianą stało blisko siebie kilkanaście malowniczych drewnianych domków. Z niektórych kominów unosił się dym. Postawiły samochód na niewielkim parkingu, który był prawie pełen. Na pierwszym domku wisiał szyld z napisem „Recepcja”.

W środku powitała ich młoda kobieta w stroju regionalnym. Angström wciągnęła głęboko zapach drewna wypełniający pomieszczenie. Wyjaśniła, dlaczego się spóźniły. Recepcjonistka uśmiechnęła się i wyraziła radość, że w ogóle udało im się dotrzeć.

– Wielu naszych gości wciąż jeszcze nie dojechało. – Spisała ich nazwiska i dane. – Pokażę paniom domek.

Poprowadziła je wąskimi i wysypanymi piaskiem ścieżkami do niższego szeregu domków. Angström podziwiała widok na dolinę i ciągnące się po drugiej stronie pasmo gór.

– Nas też dotknęła ta awaria – tłumaczyła kobieta. – W domkach nie ma światła elektrycznego, nie działa ogrzewanie i brakuje wody.

Angström wymieniła spojrzenia z koleżankami i zauważyła wyraz zawodu w ich oczach.

– Ale – dodała pospiesznie ich gospodyni – dokładamy starań, aby pobyt u nas mimo wszystko był jak najprzyjemniejszy. Można powiedzieć, że dzięki odpowiedniemu zaprojektowaniu całego tego kompleksu mamy szczęście w nieszczęściu.

Otworzyła drzwi i zaprosiła je do środka. Z niewielkiej sionki weszły do małej, ale przytulnej izby z rustykalną ławą w rogu i kaflowym piecem. Na ścianach wisiały makatki z wyhaftowanymi na nich mądrościami ludowymi.

– Jak widać, domki są wyposażone w piece kaflowe, które ogrzewają całość, więc nie będą panie marzły. Drewna u nas nie brakuje.

Poprowadziła je dalej do maciupeńskiej kuchni. Angström stwierdziła, że na zdjęciach zamieszczonych w internecie pomieszczenia wyglądały na większe. Ale było ciepło, przytulnie i ładnie pachniało. To wystarczyło.

– W kuchni też można palić drewnem. Nie wiem, czy panie będą same sobie gotować, w każdym razie można rozpuszczać śnieg i podgrzewać na płycie wodę do mycia. A śniegu też nie brakuje. – Roześmiała się. – Zupełnie jak za dawnych czasów! Zabawnie, prawda?

Zaraz jednak spoważniała i pokazała im jeszcze dwie małe sypialnie, do których dostały się po wąskich i stromych schodach prowadzących na górę. W każdej stały dwa

pojedyncze łóżka po lewej i prawej stronie okna. Umeblowanie każdej izdebki uzupełniała szafa. Angström zadała sobie pytanie, jak dwie osoby mogą w niej pomieścić strój narciarski i ubrania na cały tydzień.

– A tu jest łazienka. O, proszę, przygotowaliśmy już wiadra, żeby można było nanosić w nich do wanny śniegu i rozpuścić go gorącą wodą. – Widząc pełne powątpiewania spojrzenia gości, dodała: – Oczywiście za te wszystkie niewygodności otrzymają panie zniżkę. Uważam, że warto spojrzeć na to od pozytywnej strony. Tu mogą panie sobie napalić i się ogrzać, a nawet wziąć gorącą kąpiel, co prawda przy trochę większym wysiłku niż normalnie, ale to i tak dużo więcej, niż teraz może sobie pozwolić większość ludzi. Mogą też panie używać toalety. Trzeba tylko zawsze mieć jedno wiadro pełne wody. Na wszelki wypadek wstawiliśmy już dwa do środka.

Niefrasobliwość, z jaką ich gospodyni przedstawiała te wszystkie niedostatki i prowizoryczne rozwiązania, sprawiła, że Angström nie wiedziała, czy ma się śmiać, czy złościć. Postanowiła zastosować się do sugestii kobiety i dostrzegać pozytywne strony.

– Mimo przeciwności mogą panie korzystać nawet z sauny, którą zaraz pokażę, i z restauracji, bo oba te domki są dostosowane także do ogrzewania drewnem. – Znalazły się znowu w izbie na dole. – Oczywiście mam nadzieję, że jutro rano wszyscy nasi goście będą mogli cieszyć się już z pełnego komfortu swoich kwater. Dodam jeszcze, że w recepcji jest działający telefon, w razie gdyby telefony komórkowe pań nie miały tu zasięgu.

Zgodnie z obietnicą pokazała im jeszcze saunę i restaurację. Potem przyniosły swoje bagaże i zaczęły się urządzać.

– Kto pierwszy weźmie kąpiel?

Rzuciły monetą. Tą szczęściarą okazała się van Kaalden.

– Najpierw dojenie krów, a teraz dźwiganie śniegu w kubłach – sarknęła Terbanten.

– Jeszcze sto lat temu tak żyła większość ludzi – zauważyła Angström, nabierając śniegu do wiadra. – I w przeciwieństwie do nas bez widoku na to, że następnego dnia wszystko się zmieni na lepsze.

– Jakie to szczęście, że żyję w innych czasach – stwierdziła Bondoni.

– Potraktujmy to po prostu jak zabawną przygodę – odparła Angström, taszcząc do domku dwa wiadra śniegu.

Saint-Laurent-Nouan

Co prawda zmiana Marpeaux nie zdołała uruchomić minionej nocy uszkodzonego diesla, ale za to pozostałe awaryjne systemy pracowały bez zarzutu. Marpeaux pojechał o świcie z ulgą do domu i przespał się kilka godzin. Potem wsiadł do swojego samochodu i włączył radio. Spiker przekazywał dobre nowiny. Podczas gdy rozległe obszary Europy nadal pozostawały bez prądu, francuscy operatorzy odzyskali kontrolę nad siecią przynajmniej w kilku regionach. Spodziewano się, że do wieczora w przeważającej części kraju zostanie przywrócony podstawowy dopływ prądu.

Marpeaux próbował dodzwonić się do swoich dzieci, ale sieci komórkowe były nadal nieczynne albo przeciążone. W obliczu tych oficjalnych zapowiedzi również jego żona zawiesiła swoje skargi i dygocząc z zimna, wyczekiwała rychłego włączenia ogrzewania.

Kiedy wieczorem obejmował swoją zmianę, jego poprzednik przywitał go dobrymi wiadomościami.

– Kilka minut temu przyszło polecenie, żeby przygotować reaktor do pracy na najwyższych obrotach.

Była to procedura, którą Marpeaux kierował, ćwiczył albo obserwował dziesiątki razy w swoim zawodowym życiu. Ryzykowna część operacji polegała na tym, żeby tak skoordynować ten moment z operatorami, by doprowadzona do sieci energia nie spowodowała wahania napięcia. Marpeaux wiedział, co ma teraz do roboty.

– Jest już zasilanie?

– Od trzech godzin dostajemy nieprzerwanie prąd.

A więc system chłodzenia nie jest już uzależniony od dieslowskich agregatów.

– Co z tymi uszkodzonymi dieslami?

– Naprawione.

– I przetestowane?

– Gotowe do startu. Powodzenia przy uruchomieniu. Dobranoc.

Mediolan

– A co, jeśli on ma rację? – spytał Curazzo Trappana. – To byłoby bądź co bądź jakieś wyjaśnienie tych nagłych awarii na tak dużym obszarze.

– Niech pan wreszcie przestanie! Mamy dosyć kłopotów.

– Ale tylko załóżmy – nie ustępował Curazzo. – Niech pan spojrzy na oś czasu. –

Przyniósł jakiś diagram ze stolika obok. – Awaria zaczęła się wczoraj wieczorem. Nagle, bez widocznego powodu, w wielu regionach. Potem nastąpiła reakcja łańcuchowa. W nocy próbowaliśmy podnieść sieć. Na wielu obszarach się udało. Jeśli chodzi o Mediolan, zgadza się to z czasem podanym przez tego faceta. O, tutaj. Ale niecałą godzinę później prąd znowu znika na dużej powierzchni. Jakby ktoś tylko czekał, aż my puścimy prąd, żeby wtedy przejąć gospodarstwa domowe z sieci i wywołać pozostające poza kontrolą wahania częstotliwości, które ponownie doprowadziły do załamania.

Trappano zmierzył Curazza wzrokiem.

– Przecież nikt nie może przejąć tak po prostu milionów gospodarstw domowych z sieci. Nie chcę o tym więcej słyszeć, dopóki nie zweryfikujemy wszelkich sensownych możliwości.

Ischgl

Manzano podziękował mężczyźnie, który w świetle latarki objaśnił im drogę. Alpendorf była właściwie prawie niewidoczna. Ulice spowijały ciemności. W wielu oknach dostrzegł słaby blask świc. Powinien się bardzo cieszyć, że w takich warunkach w ogóle kogoś spotkał. Oddał mapę Bondoniemu.

– Mam nadzieję, że damy radę bez łańcuchów na oponach – rzucił.

Mężczyzna powiedział mu przed chwilą w łamanym angielskim, że jeśli chcą dotrzeć do narciarskiej kwatery córki Bondoniego, czeka ich jazda pod górę krętą alpejską drogą.

– Mam nadzieję, że Lara tam w ogóle jest – odparł jego towarzysz podróży. – Cała ta wyprawa tutaj to wariacki pomysł.

Na zakrętach snopy światła z reflektorów ukazywały ściany śniegu po obu stronach drogi. Po półgodzinie jazdy w głębokiej ciemności nagle dostrzegli przed sobą kilka jasnych punkcików.

– To musi być tutaj.

Znaleźli wjazd w białej ścianie. Zaparkowali na świeżo odsnieżonym placu, na którym stały jeszcze inne auta. Manzano włączył latarkę i przyjrzał im się bliżej.

– Ten ma belgijskie numery. Nie wiesz, jakim samochodem one tutaj się wybrały?

– Nie mam pojęcia.

Na jednym z drewnianych domków wisiała tablica z napisem „Recepcja”. Weszli do środka. Powitała ich młoda kobieta w regionalnym stroju. Obok lady recepcji stały fotele i kanapa zsunięte przed otwartym kominkiem, w którym przyjemnie trzaskał ogień.

Manzano wyjaśnił, kim są i kogo szukają. Recepcjonistka spojrzała na nich podejrzliwie, ale w końcu potwierdziła, że Lara Bondoni i trzy inne pensjonariuszki zameldowały się jakieś trzy godziny temu.

– Na szczęście! – wykrzyknął Bondoni. – Ale dlaczego dopiero teraz?

Kobieta zaprowadziła ich do domku.

– Tata?! Co ty tutaj robisz? I ty też, Piero?

Manzano znał Larę właściwie tylko z widzenia. Widywał ją, gdy odwiedzała ojca. Lubił ją. Była niską, żywą osobką o ciemnobrązowej czuprynie przesłaniającej niemal całą twarz.

– Wejdźcie! Co ci się stało w czoło? – spytała, wskazując na zszytą ranę Manzana.

– Miałem mały wypadek – powiedział, a przed oczami znowu ukazały mu się obrazy uwieczonych w samochodach ofiar.

Za Larą Bondoni wyłoniła się druga kobieta. Ją także ocenił na jakieś trzydzieści pięć lat. Była wyższa, szczupła i miała długie, gładkie ciemne włosy tworzące interesujący kontrast z jej niebieskimi oczami. Lara przedstawiła ją jako Chloé Terbanten.

Domek wydawał się mały, ale przytulny. W otwartym kominku w izbie trzaskał ogień. Na narożnej ławie biegnącej pod dwiema ścianami siedziała z wysoko uniesionymi nogami trzecia kobieta. Kiedy obaj weszli do środka, wstała. Była mniej więcej podobnego wzrostu co Terbanten. Mimo grubego narciarskiego swetra w norweski wzór Manzano mógł z łatwością się domyślić jej kobiecych kształtów. W twarzy wyróżniał się sympatyczny zadarty nos z kilkoma piegami. Jasne włosy sięgały do brody, a niebieskie oczy zdawały się świecić. Zatrzymały się krótko na jego czole, ale ich właścicielka o nic nie spytała. Nawet mogłoby mi się chyba tutaj spodobać, pomyślał Manzano. W towarzystwie trzech kobiet.

– Sonja Angström – przedstawiła ją Lara Bondoni. – Szwedzka część naszego kwartetu. Czwarta, Holenderka, leży jeszcze na górze w wannie.

– Macie ciepłą wodę? – wykrzyknął Bondoni. – I wannę?

Jego córka się roześmiała.

– Tylko wtedy, kiedy na to ciężko zapracujemy. Ale chyba nie chcesz mi powiedzieć, że przyjechaliście tu z Mediolanu ze względu na gorącą kąpiel.

Berlin

Michelsen nie pochwałała decyzji rządu, zgodnie z którą nie zalecono landom ogłoszenia stanu klęski żywiołowej. Wolała jednak zachować swoją opinię dla siebie.

Zadowolona była natomiast z powołania rozszerzonego sztabu kryzysowego. Na następny dzień przewidziano dodatkowe posiedzenie rządu oraz specjalne obrady gabinetu z szefami rządów wszystkich krajów związkowych, o ile do tej pory sytuacja nie ulegnie radykalnej poprawie.

Jeszcze intensywniej zostaną też włączone w ten proces instytucje europejskie, choć rząd nie chciał na razie domagać się pomocy. Ale jak wynikało z dostępnych informacji, owej pomocy mogłyby udzielić i tak nieliczne kraje. Norwegia, Francja oraz kilka innych państw reaktywowało częściowo swoje sieci, ale nadal nie brakowało tam problemów.

Po zamachach terrorystycznych 11 września 2001 roku w całym świecie zachodnim całkowicie zmieniono sposób myślenia o ochronie ludności, również w Niemczech. Do tej pory nadmiernie polegano na instytucjach regionalnych w obrębie poszczególnych krajów. W nowym tysiącleciu zrozumiano, iż ochrona ludności i prewencja kryzysowa dotyczą tak wielu sfer życia społeczeństwa, że są one zadaniem całego państwa, dlatego też należy wykształcić systemy, które obejmowałyby wszystkie podmioty – państwowe, publiczne i prywatne.

Zarówno na poziomie narodowym, jak i międzynarodowym w kolejnych latach stworzono – albo przynajmniej zainicjowano – struktury, które w sytuacjach kryzysowych miały umożliwić lepszą komunikację i pomoc na dużym obszarze. Wraz z powołaniem w ramach Ministerstwa Spraw Wewnętrznych Urzędu Federalnego do spraw Ochrony Ludności i Pomocy Kryzysowej powstała w Niemczech nawet odrębna instytucja zajmująca się tymi zagadnieniami.

Do tej pory do sztabu kryzysowego należeli wyłącznie urzędnicy ministerstwa. Teraz stworzono międzyministerialny zespół koordynujący, który składał się z przedstawicieli szczebla federalnego i krajów związkowych. Kierownictwo nad nim objęło Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, a konkretnie sekretarz stanu Rhess. Bezpośredni przełożony Michelsen, kierownik Wydziału Zarządzania Kryzysowego i Ochrony Ludności, nadal się nie pokazał i nikt nic o nim nie wiedział. Należało mieć nadzieję, że nic mu się nie stało.

Poszerzony sztab zajął kilka pomieszczeń wokół sali, w której dotychczas omawiano sytuację i odbywano narady. Urządzono jeszcze jedną salę konferencyjną, oprócz tego obszerny pokój do pracy dla personelu kontaktowego i zespołu koordynującego. Tam siedzieli wszyscy urzędnicy pochodzący z innych ministerstw. Mieli stały dostęp do Wspólnego Centrum Zgłoszeniowego i Nadzoru, utrzymywali kontakt ze sztabami kryzysowymi w ich własnych siedzibach oraz ze sztabami w poszczególnych landach. Dla przewodniczącego zespołu koordynującego przeznaczono gabinet, a także salkę, w której odbywały się narady i prowadzono bieżące prace. Cała ta część budynku była dostępna wyłącznie dla upoważnionych osób, które wyposażono w odpowiednie karty zbliżeniowe do elektronicznie zamykanych drzwi. Awaryjne agregaty prądotwórcze zapewniające rezerwę na kilka tygodni umożliwiały funkcjonowanie wszelkich urządzeń technicznych.

Awaria prądu dotykała wielu dziedzin życia, począwszy od komunikacji, przez zaopatrzenie w żywność, po kwestie bezpieczeństwa. Michelsen naliczyła przedstawicieli wystarczającej liczby ministerstw. W sumie obok odgrywającego główną rolę Ministerstwa Spraw Wewnętrznych reprezentowanych było pięć resortów: Ministerstwo Rolnictwa, Gospodarki Żywnościowej, Ochrony Konsumentów, Ministerstwo Transportu, Budownictwa i Rozwoju Miast, Ministerstwo Zdrowia, Ministerstwo Środowiska, Ochrony Przyrody i Bezpieczeństwa Reaktorów Atomowych oraz Ministerstwo Spraw Zagranicznych.

W salach panowała ożywiona krzątanina. Urzędnicy sprawdzali swoje komputery i telefony, upychali materiały na biurkach i w szafkach na kółkach pod nimi. Wszyscy byli przygotowani na kolejną długą noc. Michelsen w czasie ostatniej wizyty w swoim lodowato zimnym mieszkaniu zabrała ubrania i kosmetyki na trzy dni. Wolała nie dać się zaskoczyć, skoro już i tak nie mogła być w domu. Akurat zamierzała zadzwonić do kogoś z obsługi technicznej, gdy podeszła do niej pospiesznie pracownica Ministerstwa Środowiska, Ochrony Przyrody i Bezpieczeństwa Reaktorów Atomowych. Tuż za nią wyłonił się urzędnik Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

– Właśnie dostaliśmy wiadomość z Czech – powiedziała kobieta.

Michelsen zerknęła na jej plakietkę z nazwiskiem: Petra Majewska.

– W elektrowni Temelín doszło do awarii.

Michelsen poczuła, jak po jej plecach przesuwają się w dół zimne dłonie. Ta elektrownia jądrowa była od wielu lat poddawana krytyce z powodu wątpliwych standardów bezpieczeństwa i leżała zaledwie sześćdziesiąt kilometrów od niemieckiej granicy.

– Czeskie władze są znane ze swej wstrzeźliwości, jeśli chodzi o informowanie o incydentach w ich reaktorach – zauważyła Michelsen, a zimna dłoń na jej plecach przesunęła się znowu do góry. – Z czym wobec tego musimy się liczyć, skoro mówią coś z własnej woli?

– Według wersji oficjalnej – kontynuowała Majewska – nie działają dwa z trzech agregatów dieslowskich zasilających awaryjnie jeden z bloków. Czesi podkreślają, że mimo to trzecia maszyna zapewnia bezpieczne działanie reaktora i że sytuacja jest całkowicie pod kontrolą.

Boże drogi, pomyślała Michelsen, oby to była prawda. Temelín leżał na wschód od Niemiec, a wiatry wiały zwykle w tamtym kierunku. Ale pogoda zawsze mogła się zmienić. Przecież po katastrofie w Czarnobylu, położonym znacznie dalej na wschodzie, opady radioaktywne rozniosły się po całej Europie. Do dzisiaj, mimo upływu ponad ćwierćwiecza, w wielu częściach Bawarii nie wolno spożywać miejscowych grzybów i dziczyzny z powodu zbyt dużej zawartości substancji rakotwórczych. Michelsen wolała nie myśleć o konieczności ewakuacji w obecnych warunkach setek tysięcy ludzi z rozległych obszarów.

– A co mówi Międzynarodowa Agencja Energii Atomowej w Wiedniu? Czy oni też dostali jakąś informację?

Mam nadzieję, pomyślała Michelsen. Wiedeń dzieli od Temelína niecałe dwieście kilometrów.

– Tę samą – potwierdziła Majewska.

– Przynajmniej tyle – westchnęła Michelsen.

Już nieraz się zdarzało, że instytucje narodowe i międzynarodowe otrzymywały różne informacje. Podczas gdy przez MAEA dana awaria była klasyfikowana na poziomie 0 czy 1 w skali INES, wobec Austriaków i Niemców bagatelizowano ją jako „ćwiczenie”. Tuszowanie i lekceważenie usterek stanowiły powszechną praktykę stosowaną przez wielu operatorów także w innych krajach.

– Proszę śledzić sytuację na bieżąco. W razie potrzeby trzeba włączyć ministerstwo – oznajmiła Michelsen. – Musimy jak najszybciej się dowiedzieć, co tak naprawdę się tam dzieje. Zwłaszcza gdyby sytuacja miała ulec pogorszeniu.

Lodowata łapa znowu chwyciła ją mocno za kark.

Ischgl

– Czy zdaje pan sobie sprawę, co to będzie znaczyć, jeśli się okaże, że ma rację?

Manzano od razu zwrócił uwagę, że Angström ma wokół oczu kurze łapki od śmiechu. Ale oczywiście nie zamierzał czterdziestoletniej kobiecie prawić komplementów z powodu jej zmarszczek, nawet jeśli mu się podobały.

Gdy wyjaśnił, z jakiego powodu tu przyjechali, najpierw zapadła cisza. Słysząc było jedynie trzaskanie palącego się drewna. Właśnie dołączyła do nich van Kaalden z mokrymi włosami schowanymi pod ręcznikiem.

– Jasne, że mam rację – odparł Manzano. – Jestem tego pewien. Teraz chodzi o to, co możemy zrobić. Co musimy zrobić. – Potoczył wzrokiem po wszystkich po kolei. – Niech się panie zastanowią. Awaria trwa już od ponad dwudziestu czterech godzin w całej Europie. Mimo zapewnień powtarzanych w radiu trudno spodziewać się poprawy sytuacji. Przecież coś takiego jeszcze nigdy dotąd się nie zdarzyło!

– Nawet w 2003 roku już po jednym dniu wszystko wróciło do normy – przypomniała Lara Bondoni. – To co proponujesz?

– Ty pracujesz w Brukseli przy Unii Europejskiej. Czy jest tam ktoś, komu moglibyśmy przedstawić moje obserwacje?

– Nie tylko ja tam pracuję – odpowiedziała Lara Bondoni. – Sonja też.

– Po tym wszystkim, co od pana usłyszałam – odezwała się Angström – obawiam się, że z naszego urlopu będą nici.

– Włosi nie chcieli z tobą rozmawiać o twoim odkryciu. Myślisz, że w Unii będzie inaczej? – spytała go Bondoni.

– Nie jechałbym czterysta kilometrów dla głupiego kaprysu. Możecie mi wierzyć: to naprawdę poważna sprawa. I to bardzo, bardzo poważna.

– Jak sądzisz, Sonja, czy to leży w zasięgu twoich kompetencji?

Angström pokiwała głową w zamyśleniu.

– Bezpośrednio nie. Na razie. Ale wiem, do kogo się zwrócić.

Bruksela

Terry Bilback wreszcie znowu czuł się dobrze w swoim miejscu pracy. W biurze zrobiło się ciepło, w toalecie była woda, z kranów leciał wrzątek. Oświetlenie, komputer, internet, a nawet automat z kawą zaczęły z powrotem działać – w przeciwieństwie do wyposażenia w jego superdrogim mieszkaniu na przedmieściach Brukseli, skąd dotarł dzisiaj na Avenue Beaulieu swoim autem, bo miejskie środki transportu nie jeździły.

Wolał się jednak zbyt nie cieszyć. Podobnie jak koleżanki i koledzy z Centrum Monitoringu i Informacji Unii Europejskiej, nazywanego krótko MIC, on też liczył się z tym, że wkrótce może ponownie zabraknąć prądu.

Nic takiego jednak się nie stało. Wręcz przeciwnie. Przed południem dotarły pierwsze meldunki i prośby z krajów członkowskich.

Zatrudniające około trzydziestu urzędników najróżniejszych narodowości MIC pracowało dwadzieścia cztery godziny na dobę i spełniało trzy funkcje. Po pierwsze, stanowiło centrum komunikacji dla całej Europy. W razie katastrofy do niego spływały prośby o wsparcie oraz oferty pomocy ze wszystkich państw członkowskich. Oprócz członków Unii obsługiwało też Norwegię i Islandię. W każdym z tych krajów istniała jego kontaktowa ekspozytura, która współpracowała z MIC w obu kierunkach. Na przykład w Niemczech rolę taką odgrywało wspólne dla szczebla centralnego i landów Centrum Zgłoszeniowe i Nadzoru.

Drugie zadanie MIC polegało na informowaniu wszystkich członków, a także szerokiej opinii publicznej, o aktualnych działaniach i podejmowanych interwencjach. Za pośrednictwem *MIC Daily* ostrzegano przed ewentualnymi klęskami żywiołowymi jak powodzie czy pożary lasów.

Po trzecie, MIC wspierało koordynację udzielanej pomocy na dwóch poziomach. W centrali porównywano potrzeby i oferty, ustalano deficyty i szukano odpowiednich rozwiązań. W rejonu dotknięte katastrofą wysyłało w razie konieczności ekspertów MIC.

Wspólne dla wszystkich sytuacji było dotychczas jedno: prośba o pomoc przychodziła z jednego kraju. Oferty wsparcia napływały z wielu państw. Ale już od tego popołudnia uległo to zmianie. Jedna za drugą pojawiały się zapowiedzi, że prawdopodobnie potrzebna będzie pomoc, między innymi we Włoszech, w Hiszpanii, Liechtensteinie, Danii, Czechach, na Słowacji, w Słowenii, Grecji i na Węgrzech.

Znikąd natomiast nie docierały oferty pomocy. Jeśli jakiś kraj jeszcze nie zwrócił się o wsparcie, znaczyło to, że właśnie walczone w nim o wyjaśnienie sytuacji. Bilback pierwszych konkretnych wniosków spodziewał się w ciągu najbliższej nocy, chyba że do tej pory zaopatrzenie w energię elektryczną zostanie przywrócone.

Nasuwało się jedno podstawowe pytanie: skąd wziąć pomoc?

Zastanawiał się, czy nie będą musieli przedłużyć dzisiaj swojej zmiany. O ile sytuacja się nie zmieni, przydadzą im się chyba wszyscy będący do dyspozycji współpracownicy. Tak czy inaczej, do własnego mieszkania specjalnie go nie ciągnęło. W gruncie rzeczy nie ma nic przeciwko pozostaniu tutaj na noc. W budynku jest nawet kilka kabin prysznicowych, więc w ostateczności mógłby z którejś skorzystać.

Odezwwał się jego telefon. Znowu. Dzwonił przez cały dzień. Tego numeru nie znał. Kierunkowy z Austrii.

– Witaj, Terry! Mówi Sonja Angström.

– Cześć, Sonju! Dotarłaś na miejsce bez przeszkód?

Angström roześmiała się głośno.

– Z przeszkodami. Na stacjach benzynowych nie działają pompy.

- I co zrobiłyście?
- Wydoiłyśmy krowy.
- Co takiego?
- Opowiem ci innym razem. Posłuchaj. Na pewno jesteś w potwornym stresie, ale może jednak znajdziesz dla mnie chwilę?
- Czy tam, gdzie teraz jesteś, mają prąd? Jeśli dobrze odczytałem numer kierunkowy, to chyba Austria?
- Tak, Austria. Nie, nie ma tu prądu. A u was?
- Gdzie pracuje zasilanie awaryjne, tam jest okej. Na przykład w naszym biurze. Ale jest nerwowo, jak pewnie możesz sobie wyobrazić.
- Macie już prośby o pomoc?
- Jeszcze nie. Ale pewnie niedługo zaczną napływać, jeśli się nic nie zmieni.
- Właśnie dlatego dzwonię. Usłyszałam tu ciekawą historię. Tyle że my nie jesteśmy właściwym partnerem do rozmowy. Chyba najlepszy byłby Europol, ale nie mam tu żadnego ich numeru.
- A o co chodzi?
- To najlepiej ci wyjaśni znajomy mojej przyjaciółki, z którą wybrałam się tutaj na urlop. Nazywa się Piero Manzano, jest włoskim programistą i odkrył coś dosyć niepokojącego.

Ischgl

Gdy Manzano skończył swoje wyjaśnienia w niemal bezbłędnym angielskim, Angström zauważyła, że między jego brwiami nagle pojawiły się dwie głębokie bruzdy.

– Co to znaczy, że pan nie jest kompetentny? – krzyknął Włoch do słuchawki.

Dała mu znak, żeby przekazał jej telefon.

– Typowa biurokracja – złościł się, wręczając jej aparat.

– Terry, co się dzieje?

– Chciałem mu właśnie powiedzieć, co powinniśmy zrobić, ale on od razu warknął...

– Ma niezbyt dobre doświadczenia z kompetentnymi władzami we Włoszech.

– Rozumiem. Ale to, co on opowiada, zalatuje jakąś teorią spiskową. Co to za gość?

– Wydaje się rozsądny.

– Jeśli on ma rację, to istnieją właściwie tylko trzy możliwości: usterka techniczna. Ale to musiałyby być jakiś idiotyczny przypadek. Alternatywa to przestępstwo z premedytacją albo wręcz działanie terrorystyczne. Wolę nawet o tym nie myśleć. W strukturach Unii właściwym organem byłoby wtedy Biuro Pełnomocnika do spraw Antyterroryzmu albo Europol.

– Tyle że w obu przypadkach brak numeru zgłoszeniowego, a ja oczywiście nie mam przy sobie żadnych kontaktów.

– Mogę ci jakieś podać.

– Lepiej by było, gdyby ktoś zadzwonił z wewnętrznego numeru.

– Masz na myśli mnie...? – Nabrał powietrza. – A skąd mam wiedzieć, czy ja się kompletnie nie zbłąźnię, jak wyjadę z taką historią?

– Na pewno nie. Może nawet zostaniesz bohaterem, który jako pierwszy przekazał tę wiadomość.

– Dobrze wiesz, co się dzieje z posłańcami złych wiadomości.

– Jeśli ta teoria jest słuszna, to twoja wiadomość okaże się dobra, bo będzie oznaczać, że wiadoma jest przyczyna tej masowej awarii. A tym samym możliwe stanie się jej usunięcie.

Po drugiej stronie zalegała cisza. Po chwili padły pytanie i prośba.

– Mówiłaś, że jak się nazywa ten gość? Podaj mi jego dane. Nazwisko, data urodzenia, adres.

Angström spytała Manzana.

– A po co mu to? – zdziwił się Włoch.

– Bo wolałby wiedzieć, od kogo przekazuje informacje.

– Piero Manzano, urodzony trzeciego czerwca sześćdziesiątego ósmego, zamieszkały przy Via Piero della Francesca w Mediolanie.

Powtórzyła to Bilbackowi. Słyszała w słuchawce stukanie w klawiaturę, a potem głos kolegi:

– Daj mi kilka minut. Jak się z tobą skontaktować? Dzwonić pod numer, który mi się wyświetlił?

– Próbuj.

Angström odłożyła słuchawkę. Następnie zrelacjonowała rozmowę obecnym.

– Biuro Pełnomocnika do spraw Antyterroryzmu albo Europol! – zdenerwował się stary Bondoni. – Kto to jest? Pracuje w tym bałaganie i nie wie, do kogo ma zadzwonić?

– Zupełnie jak u nas w koncernie – westchnęła Terbanten. – Przy niektórych sprawach nie mam pojęcia, czy mam iść do marketingu, do reklamy, czy może do sprzedaży albo relacji inwestorskich.

– I dokąd idziesz? – spytała Lara Bondoni.

- Do wszystkich.
- To samo zrobi teraz Terry – powiedziała Angström.
- Uwierzę dopiero, jak oddzwoni – bąknął Manzano.

Haga

François Bollard stał przy oknie w salonie i patrzył na deszcz za szybą. Powoli robiło się ciemno. Na trawniku w niewielkim ogródku stały wszystkie naczynia, jakie znaleźli w domu: wiadra, miski, garnki, duże szklanki, plastikowe pojemniki, głębokie talerze. Za jego plecami bawiły się dzieci. Żona Marie siedziała na kanapie i czytała przy świetle świec. W kominku palił się ogień. To jedyne pomieszczenie w całym domu, gdzie było ciepło.

Bollardowi podobał się pomysł podjęcia pracy w mieście, które wydawało mu się symbolem Europy i jej wspólnej administracji. Pełne przepychu mieszczańskie kamienice świadczyły o jego bogatej historii, a rządowi i królowej podobało się w spokojnej Hadze bardziej niż w Amsterdamie. Rząd miał tu swoją siedzibę, królowa – rezydencję. On zaś zamieszkiwał z żoną i dwójką dzieci ładny domek z dziewiętnastego wieku położony piętnaście minut spacerem od morza, o stromych schodach i z dużą ilością drewna. Dzieci uczęszczały do szkoły międzynarodowej, żona pracowała jako tłumaczka.

Kiedy rok temu otrzymał tę propozycję, nie pozostawiono mu wiele czasu do namysłu. Ale moment był doskonały. Bernadette właśnie miała rozpocząć naukę w szkole podstawowej, a Georges przechodził do gimnazjum. Co prawda znaleźli już i jedną, i drugą w Paryżu, ale w międzynarodowych szkołach w Hadze nie brakowało miejsc, jeśli się zapłaciło. Jako francuski pracownik Europolu mógł sobie na to pozwolić. Poza tym po latach spędzonych w ministerstwie Bollard miał nadzieję, że w międzynarodowym środowisku będą go czekać nowe wyzwania. A dalsze perspektywy po powrocie z dwuletniego pobytu za granicą zapowiadały się bardzo nęcąco – pod warunkiem, że cały czas będzie dbał o podtrzymywanie kontaktów. Ale w tym był zawsze dobry. Można to robić i z Hagi, dlaczego nie? Od Paryża dzieliła go odległość pięciuset kilometrów. Godzina samolotem, o ile nie odwołano lotu jak wczoraj wieczorem.

Nie ustawili się w długiej kolejce tych, którzy potrzebowali informacji. Na ich szczęście Schiphol nie był dla nich stacją przesiadkową ani nie leżał setki kilometrów od ich domu. Wsiedli do samochodu i godzinę później znaleźli się w Hadze. To była osobliwa jazda. Zwykle oświetloną autostradę spowijały ciemności, panował duży ruch.

Bollard podszedł w przedpokoju do drzwi prowadzących do ogrodu; założył kalosze i kurtkę przeciwdeszczową. Wyszedł na trawnik i przelał wodę z siedmiu prawie pełnych naczyń do dużego wiadra, po czym znowu rozstawił je na murawie. Wiadro zaniósł do łazienki na pierwszym piętrze i wylał z niego wodę do napełnionej w jednej czwartej wanny. Następnie wyniósł je z powrotem do ogrodu i wrócił do salonu.

– Czy nie mógłbyś skombinować gdzieś dla nas agregatu prądotwórczego? – spytała Marie.

– W Europolu nie ma żadnych, a przynajmniej nie do celów prywatnych.

Żona westchnęła.

– To nienormalne. Już dawno powinien być prąd.

– Tak można by pomyśleć – stwierdził Bollard.

– Przecież ty też masz do czynienia z infrastrukturą krytyczną.

– Dopiero jeśli sytuacja ma coś wspólnego z terroryzmem. A tutaj nic na to nie wskazuje.

– Nic dziwnego – odparła Marie. – Bo te tępaki z poszczególnych krajów wolą widzieć tylko czubek własnego nosa niż spojrzeć na całość.

Ten mały grot wykierowany w niego trochę go zirytował. Nie był wielkim eurofanem; praca akurat przy instytucji europejskiej stanowiła dla niego jedynie stopień do lepszej pozycji w Paryżu. Marie lubiła mu dokuczać, wytykając mu tę sprzeczność. Mimo to czuł się zmuszony do obrony swojej instytucji.

- Albo całkiem po prostu nie mają o czym mówić.
- Oby Bóg cię wysłuchał.

W tym momencie zadzwonił telefon stacjonarny. Bollard wyszedł pospiesznie do przedpokoju, gdzie na małym stoliku stał aparat, i podniósł słuchawkę. Dzwoniący przedstawił się jako Duńczyk ze służby prasowej. I chciał połączyć brytyjskiego kolegę, który z kolei miał telefon z Austrii od jakiegoś Włocha. Bollard przetrwał jeszcze usłyszaną informację, gdy coś kliknęło na linii.

Brytyjczyk, niejaki Terry Bilback, pracował w Centrum Monitoringu i Informacji UE w Brukseli i opowiadał mu właśnie dosyć osobliwą historię o jakichś kodach we włoskich licznikach. Bollard przysłuchiwał się uważnie, potem zadał pytanie. W odpowiedzi jego rozmówca podał mu nazwisko, jakieś dane i numer telefonu. Pod nim może zastać tamtego Włocha i dowiedzieć się więcej.

Bollard odłożył słuchawkę. Zastanawiał się nad tym, co usłyszał. Następnie wybrał kierunkowy do Austrii.

Ischgl

Manzano skończył rozmawiać.

– No i? – spytała Angström, kiedy dołączył do wszystkich pozostałych siedzących przed kominkiem w domku recepcji.

Wszyscy patrzyli na niego z napięciem.

– To był ktoś z Europolu – wyjaśnił. – Podobno chce zawiadomić władze we Włoszech i w Szwecji.

– Mam nadzieję, że nie drogą służbową – wtrąciła van Kaalden. – Bo wtedy jeszcze długo posiedzimy tu sobie przy tym piekielnym ogniu.

Oby to porównanie nie stało się bardziej realne niż w tym momencie, pomyślał Manzano. O możliwych konsekwencjach swojego odkrycia rozmawiał z Francuzem z Europolu bardzo krótko i cicho. Wolał odsunąć od siebie tę zatrwazającą myśl.

– Czy dla mnie też się znajdzie coś do picia? – spytał z udawaną wesołością.

Lara Bondoni wręczyła mu kubek z parującym aromatycznym napojem.

– Postarałyśmy się już o kwatery dla was. Z powodu sytuacji nie wszyscy goście dojechali i kilka domków jest wolnych. W jednym z nich możecie dzisiaj przenocować. Na pewno jest tu sto razy przytulniej niż w waszych lodowatych mieszkaniach! – Roześmiała się i uniosła swoje naczynie.

Manzano wypił trunek, licząc na to, że alkohol rozwieje jego mroczne przeczucia.

– A teraz niech mi pani dokładniej opowie, gdzie pracuje – zwrócił się do Angström. – Wygląda na to, że ma pani całkiem niezłe kontakty.

Haga

Bollard wszedł do salonu.

– Muszę na krótko wpaść do biura.

Marie podniosła na niego wzrok.

– Teraz? W sobotę wieczór? – Przyjrzała mu się uważnie, próbując wyczytać coś z jego twarzy. Wiedziała, co to znaczy, kiedy go pilnie wzywano.

– Czy mam się martwić?

– Nie – skłamał.

Jazda samochodem przez ciemne ulice zajęła mu tylko dziesięć minut. W centrali Europolu w Statenkwartier paliło się światło w kilku oknach. Budynek został zbudowany zgodnie z najnowszymi wymogami ochrony środowiska. Na szczęście uwzględniono również wymogi bezpieczeństwa i wyposażono go w awaryjne agregaty prądowe. Do nowej siedziby wprowadzili się dopiero w 2011 roku. Oprócz Europolu w kompleksie mieściły się także: Organizacja ds. Zakazu Broni Chemicznej (OPCW), Międzynarodowy Trybunał Karny dla byłej Jugosławii (ICTY) i World Forum Convention Center. Poza tym odbywano w nim też różnego rodzaju konferencje i szkolenia.

Bollard odszukał Daga Arnsby'ego, który skierował do niego tamtego Włocha.

– Miałeś szczęście, że mnie złapałeś. Miałem być w Paryżu.

– Wiem – odpowiedział korpulentny mężczyzna o ciemnych kręconych włosach. – Ale jak widzę, dobrze zrobiłem.

– Tego jeszcze nie jestem pewien. W każdym razie super, że jesteś. Musimy zajrzeć do bazy danych.

Przysunął sobie krzesło i usiadł obok Arnsby'ego.

– Sprawdź, czy przypadkiem nie mamy czegoś na niejakiego Piera Manzana.

Od 2005 roku Europol prowadził zautomatyzowany system informacji, do którego państwa członkowskie wrzucały dane o skazanych i podejrzanych. W kolejnej bazie danych znajdowały się informacje na temat świadków i ofiar przestępstw, osób kontaktowych, towarzyszących i informatorów. Do nich dostęp mieli tylko analitycy, tacy jak Arnsby. Bollard przypominał sobie raz po raz wybuchające dyskusje o ochronie danych osobowych. Mało kto przestrzegał zasad i mechanizmów kontrolnych tak jak Dag.

Arnsby wstukał nazwisko Włocha.

– To on? – spytał.

Na monitorze pojawiło się zdjęcie mężczyzny w średnim wieku. Miał dosyć ostre rysy, wysunięty podbródek, wąski nos, krótkie ciemne włosy, brązowe oczy i jasną cerę.

– Piero Manzano – przeczytał głośno Bollard. – Metr osiemdziesiąt siedem wzrostu, siedemdziesiąt osiem kilo wagi, czterdzieści trzy lata. Programista. Przez długie lata należał do stowarzyszenia włoskich hakerów, którzy włamywali się do sieci komputerowych różnych firm i instytucji państwowych, żeby wykrywać luki w zabezpieczeniach, dlatego pod koniec lat dziewięćdziesiątych doczekał się nawet wyroku, ale w zawieszeniu. Poza tym pojawia się na demonstracjach popierających śledztwo „Mani pulite”. W 2001 został na krótko aresztowany podczas protestów przeciwko szczytowi G8 w Genui.

Bollard przypominał sobie tamte wydarzenia. Genua oznaczała klęskę wizerunku włoskiej policji. W trakcie zamieszek, do jakich doszło w związku ze spotkaniem na szczycie ośmiu szefów rządów najbardziej wpływowych i najbogatszych państw świata, jeden z demonstrantów został zastrzelony, a setki odniosło poważne obrażenia, ponieważ część włoskiej policji interweniowała ze skrajną brutalnością. Kilku urzędników stanęło później w związku z

tym przed sądem i otrzymało wyroki. Inni uniknęli kary z powodu przedawnienia.

– A więc to taki gagatek – powiedział Bollard raczej do siebie.

Od najmłodszych lat włączony w system powiązań i relacji tej części francuskiej klasy średniej, która uważała się za przynależną do klasy wyższej, patrzył na aktywistów wszelkiej maści, a zwłaszcza lewego skrzydła, ze sceptycyzmem. Mimo że od samego początku potępiał akcję włoskich kolegów, nigdy nie pozwoliłby sobie na to, by stanąć naprzeciw nich podczas jakiejś demonstracji. Potrafił jednak zrozumieć, że trudno reagować rozsądnie, gdy jest się obrzucanym kamieniami.

– Oficjalnie pracuje jako samodzielny doradca IT. Wprawdzie istnieje podejrzenie, że nie zaprzestał swojej dawnej działalności, tyle że brak na to dowodów. Ale jeśli nie podobają mu się kody w jego liczniku, to, jak z tego wynika, raczej wie, o czym mówi – podsumował Arnsby.

– Obawiam się, że masz rację. Nawet zasugerował, co trzeba zrobić. Powiedział, że włoska spółka energetyczna powinna jako pierwsza sprawdzić logi w routerach. Cokolwiek to znaczy.

– Jeżeli on mówi prawdę, to może być tak, jak podpowiada mi mój niedoinformowany mózg.

Bollard podczas krótkiej jazdy do biura nie myślał o niczym innym. Rozważył wszystkie możliwości i scenariusze.

– Nie chciałbym siać paniki, ale może być źle. I to bardzo.

– Chcesz powiedzieć, że skoro ktoś jest w stanie infiltrować całą sieć we Włoszech, manipulować nią i ją sparaliżować, to uda mu się to samo także gdzie indziej?

Bollard tylko uniósł brwi i wysunął do przodu podbródek.

– W każdym razie nie można tego całkiem wykluczyć.

– Co w takiej sytuacji należy zrobić?

– Poinformować kierownika Departamentu Operacyjnego. On przekaże to dyrektorowi i do odpowiednich wydziałów w firmie. Pewnie wszyscy zbiorą się na naradę.

– Do tej pory już dawno będziemy mieli znowu prąd – wtrącił Arnsby. – Jest sobota. I to wieczór.

– Ale mnie udało ci się złapać. Jeśli sytuacja okaże się poważna, trzeba będzie się skontaktować z biurami łącznikowymi danych państw, czyli Włoch i Szwecji.

– A twoim zdaniem jako kierownika Wydziału Antyterrorystycznego sytuacja jest poważna? I dlaczego Szwecji?

– Ten gość... – Bollard wskazał na ekran komputera – ...przypuszcza, że w Szwecji jest podobna historia, bo tam też wszyscy mają już inteligentne liczniki. Powiedziałem mu, że to chyba jeszcze nie powód do awarii w całej Europie.

– I co on na to?

– To, co przypuszczasz. Że ten potencjalny nieznajomy musiał maczać palce także gdzie indziej.

– Ale gdzie?

– Nie wiadomo. I na tym polega problem.

– Czy to może zrobić jedna osoba?

– Jasne, że nie. I tu mamy drugi problem.

– I to całkiem spory.

– Lepiej nie wywoływać wilka z lasu.

– Powinieneś poinformować wszystkie biura łącznikowe.

– Nie przesadzajmy. Rozmawiamy zupełnie hipotetycznie. Jeśli już, to zareagować powinni przede wszystkim Włosi i Szwedzi. Powinni sprawdzić. I to szybko, żebyśmy wreszcie

coś wiedzieli.

– A co, jeśli ten typ tylko struga ważniaka? Udaje mądralę?

Bollard wykrzywił usta.

– Wtedy zbłąźnię się przed wszystkimi kolegami. A Europol stanie się pośmiewiskiem współpracowników ze wszystkich krajów. No i mediów.

– Piękna perspektywa. I co zrobisz?

Mediolan

W ciągu ostatnich trzydziestu sześciu godzin Curazzo spał tylko sześćdziesiąt minut. Jako asystent zarządu do spraw technicznych znajdował się na pierwszej linii frontu, podobnie jak reszta zespołu w centrum kryzysowym. Powietrze było ciężkie, ludzie rozdrażnieni. Już dawno nie pozostał ślad po formalnej korporacyjnej dyscyplinie: kołnierzyki w koszulach porozpinane, marynarki gdzieś rzucone, rozerwane i zgniecione opakowania po artykułach spożywczych leżały na stołach i na podłodze. Zanosilo się na to, że niebawem zaopatrzenie w jedzenie i picie może stać się problemem. Zapasy kantyny zostały prawie wyczerpane. Supermarkety i sklepy były zamknięte, restauracje także. Zlecono już odpowiednim osobom, aby postarały się jednak coś zdobyć.

Wszystko jedno, na kogo spojrzal, w twarzy każdego dostrzegal tylko zmęczenie i wyraz zawodu.

– Nic z tego nie rozumiem – powiedział Franco Solarenti, stojący na czele technicznego zespołu kryzysowego. – Nie pracuje mnóstwo elektrowni. Osiemdziesiąt procent ma problem z ponownym uruchomieniem. Co rusz nadchodzą meldunki o usterkach. Niektóre stacje transformatorowe też nie działają.

– To, że kilka elektrowni mogło ucierpieć wskutek wahania napięcia, jest całkiem możliwe – zauważył jeden z głównych inżynierów. – Ale żeby aż tyle...

– No cóż, przy tych działaniach oszczędnościowych ostatnich lat... – wtrącił Solarenti. – Już dawno ostrzegałem.

– Moi panowie, takie gadanie nic nam nie da – powiedział Franco Tedesci z zarządu technicznego. – Tu potrzebne jest jakieś rozwiązanie. I to szybko.

Curazzo pokiwał głową trochę nieobecny duchem. W kieszeni spodni odezwało się jego walkie-talkie. Recepcja informowała, że ktoś chce rozmawiać z zarządem.

– Kto taki?

– Policja.

– Już idę.

Nic nie mówiąc, opuścił salę i poszedł do holu wejściowego.

Dwaj mężczyźni nie wyglądali na policjantów. Jeden przedstawił się jako *dottore* Ugo Livasco, drugi jako *ingegnere* Emilio Dani.

– Czym mogę panom służyć?

– Dostaliśmy z Europolu wniosek o wszczęcie śledztwa – wyjaśnił *ingegnere*. – Otrzymali państwo sygnały, że doszło do manipulacji we włoskich licznikach, co mogło spowodować masową awarię prądu.

Curazzo poczuł, jak krew uderza mu do głowy. Przypomniał mu się ten gość z wczoraj. Kiedy zarząd mimo dwóch podjętych przez niego prób zupełnie nie zainteresował się tym tematem, nikt już później o tym nie myślał. Curazzo szybko odzyskał panowanie nad sobą.

– To jest niemożliwe – podtrzymał stanowisko reprezentowane przez zarząd. – Nasze systemy są przetestowane i bezpieczne.

Dani wzruszył ramionami.

– Może mi pan wierzyć, że wolałbym spędzać sobotni wieczór w inny sposób. Zwłaszcza że mam w domu specjalny generator na takie okazje – zauważył zadowolony. – Byłoby miło, gdybyśmy mogli wspólnie popracować nad sprawą. I za kilka godzin nie będziemy już pamiętać o tym podejrzeniu.

Po dwóch dniach i nocach na nogach każdy w centrali Enelu miał bladą twarz. Ale w tym momencie wszyscy zrobili się trupio bladzi. Nie musieli długo szukać. Policijni specjaliści od IT

zapropowali, żeby na początku sprawdzić logi w routerach.

– Dlaczego akurat to?

– Taką otrzymaliśmy sugestię.

W ciągu kilku minut je znaleźli.

Inteligentne liczniki prądu we włoskich domach i przedsiębiorstwach były połączone ze sobą za pośrednictwem routerów jak każda sieć komputerowa. Z nich można było odczytać logi, które dokumentowały wszystkie sygnały wysłane do liczników.

– Rzeczywiście jest tu polecenie, aby przerwać połączenie z siecią energetyczną.

Blisko pięćdziesięciu mężczyzn zebrało się przed dużym ekranem, na którym kierujący zespołem kryzysowym Solarenti pokazywał odpowiednie dane i grafiki. Dla osób niemających nic wspólnego z programowaniem były to tylko niezrozumiałe kolumny liter i cyfr. Curazzo słuchał wyjaśnień z gęsią skórą na całym ciele.

– Ale to polecenie nie wyszło od nas – kontynuował Solarenti. – Tylko z zewnątrz. Ktoś wgrał je do jednego licznika, a z niego stopniowo zostało przeniesione do wszystkich w całym kraju. Do tego nie trzeba nawet wirusa. Jako drogę przekazu wykorzystano pewnie radio.

Zrobił pauzę. Wszyscy wstrzymali oddech. Curazzo słyszał tylko cichy szum maszyn.

– Boże drogi – powiedział ktoś w grobowej ciszy.

– Jak to się mogło stać?! – wykrzyknął ktoś inny. – A co z naszymi systemami bezpieczeństwa?

– Właśnie próbujemy to ustalić.

– Czyli innymi słowy ktoś rzeczywiście wyłączył nam światło – stwierdziła kolejna osoba. – I to w całym kraju.

– Nie tylko wyłączył – odpowiedział Solarenti. – I to jeszcze pogarsza sytuację. Najpierw ten ktoś odłączył gospodarstwa domowe i przedsiębiorstwa od sieci. W konsekwencji sieci się załamały. Kiedy w końcu w niektórych rejonach udało nam się je jako tako ustabilizować, kolejne obce polecenie włączyło liczniki. W wyniku tego zbyt wielu odbiorców wróciło nagle do sieci, co doprowadziło do wahań napięcia i znowu wszystko wysiadło.

– Czyli ktoś bawi się z nami w kotka i myszkę!

– To jest zła wiadomość. Ale mamy też dobrą. Skoro znamy już przyczynę, możemy zablokować to polecenie wyłączenia światła. Właśnie nad tym pracujemy. Za dwie godziny pozbędziemy się kłopotu.

Podczas gdy na filmach w takim momencie jak ten rozlegały się brawa i wiwaty, w centrum kryzysowym nadal zalegała cisza. Niektórzy szeptali między sobą. Powoli docierało do nich znaczenie usłyszanych słów. Włoska sieć energetyczna padła ofiarą ataku – na razie jeszcze nie wiadomo czyjego ani z jakiego powodu. Nie otrzymano żadnych żądań od szantażystów ani gróźb.

– To katastrofa – jęknął Tedesci. – Drodzy panowie – zwrócił się do policjantów, którzy stali obok niego. – Najważniejsze w tej sytuacji to zachować spokój.

Obaj popatrzyli na niego krytycznym wzrokiem.

– To w żadnym wypadku nie może dotrzeć do opinii publicznej. – Tedesci kontynuował pospiesznie cichym głosem. – I właściwie wcale nie musimy meldować o tym Europolowi. Przecież panowie słyszeli: za dwie godziny będzie po wszystkim!

Ingegnere Emilio Dani poruszył w zadumie głową, *dottore* Ugo Livasco zaś zmierzył członka zarządu z niewzruszoną miną.

– Drodzy panowie – powtórzył Tedesci z niecierpliwością w oczach. – Od 2001 do 2005 zainwestowaliśmy w ten system trzy miliardy euro, zainstalowaliśmy trzydzieści milionów liczników w całym Włoszech! Czy zdaje pan sobie sprawę, co może wywołać taka wiadomość?

Ingegnere potaknął. Curazzo odniósł wrażenie, że w ten sposób dawał wyraz jedynie temu, że pojmuje, ale bynajmniej nie ma zrozumienia dla prośby członka zarządu.

Dottore Livasco nie omieszkał się wtrącić:

– Jestem w stanie zrozumieć pańskie obawy, ale przecież nie można wykluczyć, że ten, kto dopuścił się tych manipulacji, coś podobnego zrobił też w innych krajach. Mamy obowiązek ostrzec innych.

– Porównywalny system jest na razie tylko w Szwecji. Jeśli Szwedzi coś u siebie znajdują, na pewno to zgłoszą.

– O tym, czy ta informacja zostanie upubliczniona, zdecyduje ktoś inny. My musimy prowadzić śledztwo.

– Ale te gryzipiórki z Brukseli...

– Europol ma siedzibę w Hadze – sprostował Livasco.

– Wszystko jedno! Przecież oni tam nie mają nic lepszego do roboty i od razu wszystko roztrąbią, żeby tylko nabić sobie punkty! – Tedesci mówił z furią. – Zaraz zadzwonię do mojego przyjaciela, pana premiera. Niech on zdecyduje, co mamy zrobić. To jest sprawa bezpieczeństwa narodowego!

Twarz Livasca nabrała jeszcze surowszego wyrazu. Na jego ustach pojawił się nieznacznym uśmiech.

– Obawiam się, że to nie należy do jego kompetencji. Ale proszę zadzwonić do swojego przyjaciela, jeśli ma pan ochotę. Ja w tym czasie skontaktuję się z Europolem.

– Pan podlega ministrowi spraw wewnętrznych? – spytał Tedesci.

– Owszem. On oczywiście też zostanie powiadomiony. I z pewnością przekaze wszystko panu premierowi.

– Mam wrażenie, że pan mnie nie rozumie – syknął przez zęby Tedesci. – Czy zależy panu na karierze w policji?

Uśmiech Livasca miał teraz odcień sarkastyczny. Znowu zmierzył wzrokiem swojego rozmówcę.

– Czyja kariera wisi tu na włosku, to jeszcze się okaże.

Curazzo obserwował, jak współpracownik Solarentiego szeptał mu coś do ucha. Solarenti podszedł do nich. Członek zarządu do spraw technicznych Tedesci patrzył na niego z nieporuszoną miną.

– Mam jeszcze jedną dobrą wiadomość – oświadczył Solarenti, spoglądając na gości i wskazując na zieloną siatkę sieci energetycznej na ekranie.

– Kody musiały zostać wprowadzone do systemu za pośrednictwem liczników. Z tych liczników rozprzestrzeniły się stopniowo po całym kraju.

Z trzech punktów rozlewał się po liniach sieci czerwony kolor, aż w końcu cały schemat zmienił kolor z zielonego na czerwony.

– Dzięki zarejestrowanej w logach informacji o czasie każdego zdarzenia możemy odtworzyć przebieg tego procesu. I zidentyfikować liczniki wyjściowe.

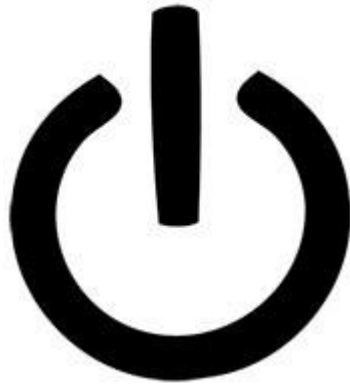
Kolor czerwony stopniowo zniknął. Na schemacie pozostały w całym kraju tylko trzy pierwsze czerwone punkty.

– Chce pan przez to powiedzieć – spytał *dottore* z policji – że znamy dokładną lokalizację, gdzie włamywacze przemyślili sygnały do liczników?

Solarenti pokiwał głową.

– Każdy adres. A mamy ich trzy.

Dzień 2. – Niedziela



Turyn

– To tutaj – powiedział Valerio Binardi.

Miał przed sobą obite dębowym fornirem drzwi do mieszkania. Po prawej dzwonek bez nazwiska lokatora. Tuż obok stał jego kolega Tomaso Delli. Mimo zimowego chłodu Binardi czuł, że poci się pod hełmem. W jego dolnej części miał zamontowany blisko ust mikrofon, przez który wydawał polecenia swoim ludziom.

Za nim stało sześciu mężczyzn z Nucleo Operativo Centrale di Sicurezza, w skrócie NOCS, jednostki antyterrorystycznej Polizia di Stato. Kuloodporne kamizelki, gotowe do strzału pistolety maszynowe, pełna gotowość do ataku.

Sześciu innych czekało przy otwartych oknach w lokalu piętro wyżej, by w odpowiedniej chwili spuścić się na rozkaz po linach i wtargnąć do mieszkania od zewnątrz. Na dachach budynków po drugiej stronie ulicy leżało sześciu strzelców wyborowych z bronią wyposażoną w noktowizory. Przy wejściu do domu i wokół całego kompleksu budynków rozstawione były oddziały. Wóz techniczny i pojazdy biorące udział w akcji zaparkowały za rogiem.

Niezwykła cisza będąca następstwem braku prądu utrudniała zbliżenie się do obiektu. Nawet dla jednostki, której motto brzmiało *Sicut nox silentes* – „Cicha jak noc”.

Nie wiedzieli, czy w mieszkaniu ktoś jest. Rozkaz dotarł do nich niecałe dwie godziny temu. Śmigłowce przetransportowały ich w okolicę miejsca operacji, czyli na obrzeża Turynu. Usłyszeli, że na dłuższą obserwację nie ma czasu.

Podczas szybkiej odprawy precyzyjnie uzgodniono szczegóły akcji. W tym samym czasie w dwóch innych miejscach Włoch do akcji miała przystąpić także inna jednostka NOCS i oddział Gruppo di Intervento Speciale, czyli antyterrorystyczna sekcja karabinierów.

Binardi nie wiedział, na kogo polują. Ale jedno było dla niego jasne: jeśli do akcji przystępują jednocześnie obie włoskie formacje antyterrorystyczne, to znaczy, że sytuacja jest poważna. Ponownie zerknął na swój zegarek na ręce. Szósta rano. Jeszcze nie świtało.

Przez radiotelefon dostał sygnał do rozpoczęcia akcji.

Taran wyrwał drzwi wejściowe z zawiasów. Zaraz potem w przedpokoju eksplodowały granaty łzawiące. Wpadli do środka. W mieszkaniu było ciemno. Binardi pchnął mocno pierwsze drzwi. Toaleta. Pusta. Drugie drzwi. Łazienka. Pusta. Drzwi do salonu stały otwarte na oścież. W deszczu drzazg i kawałków tynku właśnie wskakiwali do niego od zewnątrz koledzy. Za sobą słyszał tupanie ciężkich butów. Szybko obrzucił spojrzeniem pokój. Nikogo. Oprócz starej kanapy tylko kilka regałów. Zostało jeszcze dwoje zamkniętych drzwi. Tam był drugi zespół, Binardi ze swoimi ludźmi tutaj. Pokój z piętrowym łóżkiem. Z górnego posłania wpatrywały się w niego szeroko otwarte oczy dziecka. Odruchowo uniósł broń. Maluch zaczął krzyczeć. Potem także drugi w łóżku na dole. Binardi rozejrzał się nerwowo, starał się kryć kolegę, który już dopadł do łóżka, sprawdził pod nim, odrzucił kołdry. Nikogo więcej w pokoju. Trzymali broń w gotowości. I jedno, i drugie dziecko wcisnęło się z piskiem w kąt swojego posłania.

Dwadzieścia sekund później Binardi usłyszał w słuchawce przy hełmie krótki meldunek swoich ludzi.

– Para dorosłych w sypialni, chyba ich obudziliśmy. Poza tym pusto.

– Zabezpieczyć – rzucił Binardi.

Poczuł, jak fala adrenaliny powoli w nim opada. Wyglądało na to, że mogli zadzwonić do drzwi.

Haga

Bollard wyłączył projektor. Od ubiegłej nocy stało się jasne, że muszą oszczędzać dosłownie każdą kroplę ropy w swoich agregatach prądowórczych.

Po rozmowach telefonicznych z kolegami z Włoch i Szwecji pojechał do domu, zostawiając im oczywiście swój numer. Z nadzieją, że w ciągu najbliższego dnia otrzyma odwołanie alarmu, położył się do łóżka w zimnej sypialni. Dzwonek telefonu wyrwał go ze snu około czwartej nad ranem. Pierwsi odezwali się Szwedzi, niecałe pół godziny później – Włosi. W obu krajach ustalono, że doszło tam do manipulacji sygnałów w licznikach.

Dopiero od niedawna zaczęto prowadzić dyskusje nad niebezpieczeństwami kryjącymi się w nowoczesnych sieciach energetycznych. Większość ekspertów uważała, że współczesne systemy są zbyt kompleksowe i zbyt dobrze zabezpieczone, by można było unieszkodliwić je na dłużej na dużym obszarze. Europejskie sieci przesyłowe są zarządzane na ogół zgodnie z kryterium N-1. Oznacza to, że w każdym momencie może ulec wyłączeniu jeden z elementów sieci – stacja transformatorowa, linia przesyłowa czy elektrownia – nie powodując obciążenia innych wewnętrznych elementów systemu. A już w żadnym razie takie jednostkowe zdarzenie nie może wywołać awarii, czyli braku prądu. Jednak w następstwie większych defektów lub wskutek niesprzyjających warunków pogodowych może dojść do nałożenia się w czasie wielu takich zdarzeń. Ponadto mimo wszelkich przepisów i środków ostrożności często również ludzkie błędy prowadzą do naruszenia tego kryterium i w konsekwencji do wyłączeń. Celowe ataki na sieci energetyczne w Europie miały dotychczas jedynie sporadycznie skutki ponadregionalne. Ich sprawcami byli najczęściej narodowi ekstremiści, jak na przykład podczas „nocy pożarów” w Południowym Tyrolu w 1961 roku. Choć opinia publiczna dotychczas o tym nie wiedziała, zdarzały się oczywiście akty sabotażu, których celem były nieduże miejscowości i małe miasta, przeprowadzane przez grupy przestępcze po to, aby wyłączyć oświetlenie ulic, systemy alarmowe, częściowo także linie telefoniczne i inne elementy infrastruktury. W ten sposób zapewniały sobie one korzystne warunki do dokonywania zorganizowanych napadów i włamań. Teraz jednak sytuacja wyglądała inaczej.

Trzydzieści minut później Bollard siedział przy swoim biurku w Statenkwartier. Zwołał każdego, kogo udało mu się złapać. Biura łącznikowe z Włoch i Szwecji przysłały tymczasem raport po wstępnych ustaleniach. O siódmej rano zebrała się większość zespołu. W salce konferencyjnej zgromadziło się w sumie osiemnaście osób. Po raz kolejny zwrócił uwagę na to, jak mało jest wśród nich kobiet. Z personelu kierowniczego brakowało właściwie tylko dyrektora Europolu, Carlosa Ruiza. Hiszpan poleciał w czwartek na posiedzenie Interpolu w Waszyngtonie. Miał brać udział w naradzie przez stałe łącze.

– To musi być ściśle skoordynowana akcja – zaczął Bollard. – Koledzy z Włoch i Szwecji zidentyfikowali po trzy punkty wprowadzenia danych. Jednostki specjalne sprawdziły podejrzane mieszkania w ciągu dwóch godzin. Trwa ustalanie dokładnej tożsamości ich aktualnych lub wcześniejszych mieszkańców. Nie można wykluczyć, że także w pozostałej części Europy awarie zostały wywołane z premedytacją, tyle że nie przy wykorzystaniu liczników, bo tam przeważają nadal urządzenia analogowe. Sporządziłem pierwsze dossier dla oficerów łącznikowych wszystkich państw członkowskich. Dowiedzą się z niego o ustaleniach dokonanych we Włoszech oraz w Szwecji i w związku z tym otrzymają odpowiednie dyspozycje. Należy sprawdzić wszystkie systemy istotne dla zaopatrzenia w energię elektryczną, począwszy od elektrowni po operatorów. Po tym spotkaniu drogą służbową poinformujemy oczywiście szczegółowo o aktualnym stanie Komisję Europejską, Interpol i inne organy przewidziane przez procedury. – Bollard przerwał na chwilę. – Sądzę, że wszyscy jesteście świadomi powagi sytuacji. Ta operacja

może okazać się najważniejsza od czasu powstania naszej organizacji.

Z głośnika komputera, na którego ekranie widoczna była twarz dyrektora Ruiza przebywającego w Waszyngtonie, usłyszeli następujące słowa:

– Wszystkie urlopy muszą być natychmiast przerwane. Wszyscy pracownicy muszą jak najszybciej znaleźć się na swoich stanowiskach. Pani Teneeren – zwrócił się do szefowej wydziału komunikacji korporacyjnej – jaka strategia komunikacyjna wobec opinii publicznej jest przewidziana w takim przypadku?

Brytyjka, atrakcyjna czterdziestolatka, poprawiła sobie żakiet.

– Biorąc pod uwagę to, jak duża liczba instytucji i firm zostanie włączona w ten proces, musimy liczyć się z tym, że wcześniej czy później dojdzie do przecieków informacji. Wszelkie pytania powinny być kierowane do mnie i tylko ja będę udzielała na nie odpowiedzi. Nasze oficjalne stanowisko będzie brzmiało, że Europol wspólnie z władzami danych krajów bada możliwość manipulacji, ale na razie nie będziemy niczego potwierdzać.

– Czy to prawda – spytał dyrektor – że wszystko zaczęło się od informacji od jakiegoś włoskiego programisty, który przejechał czterysta kilometrów, żeby móc się z nami skontaktować, a wcześniej jego rewelacji nie potraktowały poważnie ani lokalne władze, ani lokalni operatorzy?

– Ten mężczyzna pojawia się w naszej bazie – odpowiedział Bollard.

– W jakim kontekście?

– Włamywanie się do sieci IT firm i urzędów w celu zwrócenia im uwagi na braki w standardach bezpieczeństwa. Po prostu haker. I to chyba dosyć dobry, to znaczy dostaje się tam, gdzie chce. Co prawda minęło już kilka lat.

– *White hat* czy *black hat*? – spytał Ruiz.

– Trudno powiedzieć – odrzekł zaskoczony Bollard.

Nie sądził, że dyrektor zaznajomiony jest z materiałem również tylko powierzchownie. Dla Bollarda wszyscy hakerzy byli przestępcami. Nawet jeśli *white hats* włamywały się do obcych sieci rzekomo wyłącznie po to, aby odkryć w nich luki w zabezpieczeniach, to nadal hakerzy ci pozostawali włamywaczami. *Black hats* jeszcze do tego kradły i niszczyły. – Poza tym w latach dziewięćdziesiątych brał udział w demonstracjach za „Mani pulite”. Po zamieszkach w związku ze szczytem G8 w Genui został nawet aresztowany.

– Czy to możliwe, że on ma z tym coś wspólnego?

Bollard musiał przyznać, że o tym nie pomyślał.

– Chce pan powiedzieć, że ogarnęły go wyrzuty sumienia, kiedy zdał sobie sprawę z konsekwencji?

– Nie da się tego wykluczyć – rzekł Ruiz. – A gdyby tak było, mógłby zaprowadzić nas do swoich zleceniodawców, ewentualnie do wspólników.

– Ale równie dobrze może nie mieć z tym nic wspólnego.

– Jeśli jest czysty i taki uczciwy, jak pan mówi, niewykluczone, że nam pomoże. Raz już to zrobił. Przyda się nam każdy dobry fachowiec, przydadzą się też ochotnicy. Jeżeli jednak maczał palce w tym sabotażu, to trzymając go w pobliżu, będziemy jednocześnie mogli go mieć na oku.

– Ale jednocześnie wprowadzimy wroga we własne szeregi – zauważył Bollard.

Myśl, że miałyby współpracować z jakimś lewicowym pseudorewolucjonistą, zupełnie mu się nie podobała.

– To znajdzie się w dobrych rękach – rzucił Ruiz. – Proszę o tym pamiętać.

Centrum dowodzenia

Odpowiedź dyrektora Europolu go zaskoczyła. Kanciasta twarz mężczyzny o krótkich siwych włosach na ekranie komputera nie zdradzała przy tym żadnych emocji. Równie obojętne pozostały twarze członków całego zespołu, który zebrał się w salce przed kamerą, aby odbyć telekonferencję ze swoim szefem.

Że też akurat to gniazdo biurokracji, Europol, jest takie otwarte. Chcą się wykazać, pomyślał. Dlatego chwytają się wszystkiego. Był bardzo ciekaw, kiedy na ekranie pojawią się jak spłoszone kury ludzie z Berlina, z Paryża i jeszcze nie wiadomo skąd.

Jak chcą, niech sobie sprowadzają tego Włocha. Chociaż trochę pokrzyżował szyki, i tak nie będzie w stanie pomóc Europolowi. Sami się przekonają, i to szybko. Nie mają pojęcia, co ich czeka. Powinni byli jednak się z tym liczyć. Przecież chyba nie sądzili, że zawsze będą mogli tak postępować. Wszelkie znaki na ziemi i niebie mówiły to od lat, ale nikt nie zamierzał ich brać na poważnie. Teraz dopiero się dowiedzą, co znaczy bezradność. To był dopiero początek.

Ischgl

Angström miała wrażenie, że składa się z gigantycznej głowy, przy której jej tułów wisi niczym jakiś wyrostek. Dziwne, że ta wielka głowa zmieściła się pod poduszką. Słyszała, jak w drugim łóżku oddycha Fleur. Ostrożnie uchyliła powieki i wyjrzała przez milimetrową szparkę. Przez zasłony w czerwono-białą kratkę do ich sypialni wpadało przytłumione pomarańczowe światło, które paliło ją w oczy jak świetlna reklama. Opuściła z powrotem powieki i przekleła w duchu poncz. Powoli usiadła na łóżku i postawiła stopy na podłodze. Poczowała zimno. Ruszyła po omacku do toalety. Przeraziła się lodowatą deską sedesu. Nacisnęła spłuczkę. Nic. Wtedy znowu sobie przypomniała. Dalej nie ma prądu. Spłukała wodą z wiadra postawionego w toalecie. Poszła do łazienki. Zerknęła przelotnie w lustro. Przydałby się teraz gorący prysznic, pomyślała. Zamiast niego umyła sobie twarz wodą z rozpuszczonego śniegu. Przynajmniej obudziła się na dobre. W swojej kosmetyczce znalazła proszki od bólu głowy. Zrobiła sobie byle jaki makijaż, poprawiła włosy, wróciła do sypialni i po cichu się ubrała. Fleur niewzruszenie spała dalej. W wygodnych spodniach i norweskim swetrze Angström zeszła na dół. Była pierwsza. W kafłowym piecu leżały już tylko zwęglone resztki drewna. Kiedy dmuchnęła, rozżarzyły się na nowo. Dołożyła dwa bierwiona i zostawiła otwarte drzwiczki, żeby lepiej ciągnęło.

Umowa przewidywała dostarczenie śniadania pod drzwiami. Angström była ciekawa, czy również w tych warunkach było to aktualne.

Na dworze świeciło słońce. Właśnie wzniosło się nad przeciwny szczyt, pozostawiając dolinę jeszcze w cieniu. Biel śniegu była oślepiająca, jednak Angström upajała się ciepłymi promieniami grzejącymi jej skórę. Na wycieraczkę pod drzwiami stał kosz. Pochyliła się nad nim: w środku było ciemne pieczywo, masło, szynka, ser, kielbasa, dżem i nawet dwa termosy z herbatą i z kawą. Zniosła kosz do kuchni, naląła sobie herbaty do filiżanki, po czym usiadła z nią w słońcu na ławce przed domkiem.

Jak tu spokojnie, pomyślała. Aż trudno uwierzyć, że gdzieś tam mogą być takie kłopoty. Ale może już od dawna jest wszystko w porządku, tylko tu, na górę, jeszcze nie dotarł prąd.

Angström zamknęła oczy i poddała się pieszczocie promieni słonecznych. W dłoniach czuła gorącą filiżankę.

– Już nigdy nie tknę ponczu.

Przed nią stał Manzano, nie zasłaniając słońca. Roześmiała się głośno:

– To samo sobie przyrzekłam, ledwie wstałam.

Zaczerpnął głęboko powietrza, odwrócił się i wskazał ręką na góry.

– Wspaniałe, prawda? Aż trudno sobie wyobrazić, że nie wszędzie jest tak pięknie.

– To prawda – odpowiedziała. – A gdzie jest ojciec Lary?

– Jeszcze śpi. Ostatnie trzydzieści sześć godzin było dla niego dosyć wyczerpujące. W końcu nie jest już najmłodszy.

– Dla ciebie chyba też te godziny nie były relaksujące, sądząc po tym, co nam opowiedziałeś.

Teraz on się roześmiał.

– Ani dla was. Ja przynajmniej nie musiałem doić żadnych krów.

Angström nie mogła sobie dokładnie przypomnieć, co wczoraj naplotła, ale wciąż jeszcze czuła ból mięśni w przedramionach.

– Napijesz się herbaty czy kawy?

– Nie chcę, żeby wam przez nas czegośkolwiek zabrakło.

– Możemy zamówić potem więcej.

– Wobec tego proszę trochę kawy.

Angström poszła do kuchni po kubek i termosy. Usłyszała, że ktoś krząta się po łazience na górze. Powoli budził się cały domek. Wyszła na dwór. Manzano usiadł obok niej na ławce i ujął ciepły kubek w obie dłonie. Oparł głowę o ścianę i zamknął oczy.

– To był miły wieczór – powiedział. – Mimo wszystko.

– Tak – zgodziła się i zrobiła to samo co on.

Manzano okazał wczoraj spore zainteresowanie jej pracą w EuMIC-u, a potem zaczęli gawędzić o świecie, Bogu i wielu innych rzeczach. Barwna grupka gości wytrzymała przy kominku w domku recepcji do trzeciej nad ranem. Angström odniosła wrażenie, że Włoch bardzo podobał się van Kaalden. Szczególnie głośno śmiała się z jego żartów i wypijała najwięcej ponczu ze wszystkich. Angström nie chciałyby być dzisiaj na jej miejscu.

– No i co, gołąbeczki? – W drzwiach stała Terbanten z filiżanką w ręku. – Znajdzie się przy was jeszcze miejsce dla mnie?

Jeśli chodzi o Angström, obecność Chloé akurat w tym momencie wydawała się jej całkiem zbędna. Było tak przyjemnie.

– Proszę – powiedział Manzano, nie otwierając oczu i poklepując dłonią wolną część ławki.

Koniec spokoju. Terbanten bez przerwy coś paplała, Manzano od czasu do czasu rzucał jakiś komentarz. Angström właśnie miała wstać, gdy usłyszała skrzypienie czyichś kroków po śniegu.

Jedna z dziewczyn z recepcji szła dróżką między domkami.

– Panie Manzano, był do pana telefon od niejakiego pana Bollarda. Zadzwonili jeszcze raz za dziesięć minut. Mówił, że to pilne.

Manzano stał w domku recepcji ze słuchawką przy uchu. Miał teraz bardzo trzeźwą głowę. Angström była obok niego.

– To niedobrze – powiedział po angielsku do słuchawki. – Wolałbym się mylić.

– My też – odpowiedział Bollard po drugiej stronie.

– Czy znaleziono już także coś innego?

– Gdzie?

– Nie wiem. W innych krajach. W sieciach dystrybucyjnych. W elektrowniach. Przecież sam pan mówił, że awaria w Szwecji i we Włoszech nie może sparaliżować całej Europy.

– Wezwaliśmy poszczególne państwa do wszczęcia dochodzenia.

– Do wszczęcia dochodzenia?

– Więcej nie możemy zrobić. Nie mamy do tego dość ludzi. I tu doszliśmy do drugiego powodu mojego telefonu. Nie będę owijał w bawełnę. Znam pańską historię. Zdaje się, że jest pan dobry w tym, co pan robi. Nasz szef chciałby, żeby został pan naszym konsultantem w tej sprawie. Tu, w Hadze.

Manzano zaniemówił na chwilę. Firmy i urzędy wcale nie tak rzadko współpracowały z hakerami, którzy wcześniej włamywali się do ich systemów. Niektórzy z nich, podejmując swoje akcje, wybierali wyłącznie takie cele, dzięki którym mogli potem liczyć na lukratywne zlecenia. Jak głosiła plotka, jedna czwarta wszystkich amerykańskich hakerów współpracowała z FBI chcącym mieć kontrolę nad działającą w ukryciu sceną.

– Wie pan, że miałem wyrok?

– Bo był pan wystarczająco dobry, by dostać się do pozornie superzabezpieczonych sieci koncernów i urzędów.

– Nie. Bo byłem tak głupi, że się dałem złapać.

– Od tamtej pory nic takiego się panu nie przytrafiło?

– A kto powiedział, że znowu próbowałem?

– Nikt. Ale może stał się pan po prostu sprytniejszy. No więc jak będzie? Zaprasza pana osobiście nasz szef. I pewnie nie poskąpi grosza – dodał Bollard.

Manzano przeniósł spojrzenie za okno na biały śnieg, który błyszczał w słońcu. Spodziewał się wszystkiego, ale nie tego, że o współpracę poprosi go policja. Jakoś nigdy dotąd nie traktowała go przyjaźnie. Został przez nią aresztowany, ośmieszony i zlekceważony. Dlaczego więc miałby kooperować z tymi ludźmi? Powróciły znowu wspomnienia z Genui. Bez żadnych skrupułów mundurowi zastrzelili wtedy jednego z demonstrantów. Manzano stał naprzeciw nich, naprzeciw zwartych szeregów policjantów w hełmach z osłonami na twarzach, uzbrojonych w tarcze i pałki. Te ostatnie poczuł nawet na własnej skórze, mimo że tylko wykrzykiwał coś razem z innymi i nic poza tym. Tamci ruszyli na niego i na pozostałych i zaczęli walić na chybił trafił.

– Nie jestem przekonany, czy tego chcę – powiedział w końcu.

Poinformował odpowiednie władze, teraz ich kolej, żeby wykonać swoją robotę.

– Proszę się jeszcze nad tym zastanowić – odparł Bollard i podyktował mu swój numer.

– Muszę tylko uprzedzić pana o jednym: jeśli się pan zdecyduje, będzie pan zobligowany do zachowania całkowitej tajemnicy na temat wszystkiego, czego się pan dowie w ramach tej działalności.

Tajemnica, jasne, nieodłączna część tego proceduru. Żadnej otwartości. Ta uwaga tylko umocniła przekonanie Manzana.

– Nie sądzę, bym był dla was odpowiednią osobą – powiedział.

– Proszę to jeszcze przemyśleć. Zadzwoń do pana ponownie za godzinę.

Angström śledziła rozmowę Manzana z narastającym niepokojem. Z jego odpowiedzi wyciągnęła własne wnioski. Kiedy wyszli na dwór, potwierdził jej obawy. Poprzedniego wieczoru, nie chcąc psuć sobie nastroju zatrwającą perspektywą, zaledwie wspomnieli o skutkach długotrwałego braku prądu. Dzięki pracy w Centrum Monitoringu i Informacji Angström orientowała się w tej kwestii chyba najlepiej ze wszystkich. Mieli już do czynienia z podobnymi sytuacjami przy innych okazjach, na przykład po trzęsieniu ziemi na Haiti. Trudno było zapomnieć obrazy z telewizji i bezpośrednie relacje kilka dni po katastrofie. Miliony ludzi w niewyobrażalnych warunkach higienicznych, bez wody, żywności i opieki medycznej, na ulicach pełno plądrujących złodziei, rozpaczliwe sceny w nielicznych punktach pomocy, całkowite załamanie się wszelkiego porządku. Odsunęła te myśli. W Europie mamy działającą administrację i sprawne systemy pomocy, upomniała samą siebie. Ale jak długo tak będzie w obecnych okolicznościach?

Po drodze do domku Angström zadała mu pytanie:

– Dlaczego nie chcesz pojechać?

Manzano wzruszył ramionami.

– Jak wiesz, nie mam dobrych doświadczeń z policją. Poza tym zastanawiam się, czy ja rzeczywiście byłbym w stanie im pomóc.

– Już raz to zrobiłeś. Dlaczego więc nie spróbować ponownie?

– Nie jestem specjalistą w tej dziedzinie. To bardzo specyficzne systemy.

– Ale wciąż IT.

– To zupełnie tak, jakbyś zamiast pomocy po klęsce żywiołowej miała nagle zorganizować mistrzostwa świata w lotach narciarskich. I to z dnia na dzień.

– To całkiem co innego. Ale rozumiem twój punkt widzenia.

Kiedy znaleźli się z powrotem w domku, pozostali nakryli już do stołu. Również stary Bondoni wygrzebał się wreszcie z pościeli. Manzano opowiedział im nowiny.

– Oczywiście, że jedziesz! – oburzył się jako pierwszy Bondoni. – Chyba że chcesz

pozostawić nasze ocalenie w rękach tych typów?

– Nie bądź taki melodramatyczny – poprosił go Manzano. – Oni mają prawdziwych fachowców.

– Tacy z nich profesjonalisci, że aż skromny włoski haker musiał zwrócić im uwagę na te kody.

– Wcześniej czy później sami by to odkryli.

– Zdaje się, że raczej później. Nie, mój drogi, tak łatwo nie wykręcisz się od odpowiedzialności. Ostatecznie nie jesteś już nastolatkiem, który przez przekorę dzieli świat na czarny i biały.

– Nigdy tego nie robiłem. Jeśli już, to co najwyżej na bity i bajty.

– To dlaczego wtedy ruszyłeś przeciwko kordonom policji? Żeby ratować świat. A teraz właśnie możesz to zrobić.

Żeby nie musieć odpowiadać, Manzano odgryzł wyjątkowo duży kęs bułki.

– Daj mu spokój – powiedziała do swojego ojca Lara. – On sam musi zdecydować.

Bondoni westchnął.

– W porządku. Ale niech wie. To znaczy, że dalej nie będzie wody, ogrzewania, a niedługo także nic do jedzenia. Jeśli tak, to wolę już być tutaj niż w domu. – Posmarował sobie kromkę masłem i dżemem.

– Wcale nie musi tak być – sprzeciwił się Manzano. – Ponieważ dostawcy prądu we Włoszech i w Szwecji wiedzą już o tych kodach, na pewno będą umieli je dezaktywować. I wtedy wszystko powinno już funkcjonować normalnie.

– Ale przecież sam mówiłeś, że ten, kto za to wszystko odpowiada, mógł też namieszać gdzie indziej – wtrąciła Angström.

– To tylko przypuszczenie. Ten człowiek z Europolu mówi, że awarie we Włoszech i w Szwecji nie mogą spowodować zablokowania sieci w całej Europie.

– Czy to znaczy, że u nas w domu nadal nic nie działa? – spytała van Kaalden.

– Na razie raczej nic – odpowiedziała Angström.

– To zostaję tutaj.

– Przecież po to tu przyjechałaś – zauważyła Terbanten. – Dzisiaj jest pierwszy dzień naszego urlopu, już zapomnieliście? I nie dajmy go sobie popsuć.

Twój urlop się skończył, zanim się jeszcze zaczął, tylko nie chcesz tego zauważyć, pomyślała Angström. Spostrzegła, że wszyscy otrząsnęli się już z początkowego szoku. Jakby Manzano opowiedział o jakiejś katastrofie, na przykład o rozbiciu się samolotu, co na krótko wszystkim wstrząsnęło, ale szybko zostało zapomniane. Angström straciła apetyt. Zastanawiała się, czy oni zdają sobie sprawę z ewentualnego znaczenia tej wiadomości. Może lepiej, żeby nie byli go świadomi.

– O ile dobrze zrozumiałem, czym się zajmujesz w Brukseli – odezwał się Manzano – twoi koledzy będą mieli w najbliższych dniach sporo roboty.

Angström skinęła głową.

– Też o tym pomyślałam. Dlatego jeśli mimo wszystko zdecydujesz się polecieć do Hagi, to spytaj tego Bollarda, czy może zorganizować bilety dla dwóch osób.

Manzano spojrział na nią rozdrażniony.

– Z Hagi do Brukseli są tylko dwie godziny jazdy samochodem – wyjaśniła. – Teraz przyda się tam każdy.

Berlin

Teren koszar przy Treptower Park w oczach Jürgena Hartlandta, funkcjonariusza policji kryminalnej Wydziału ST 35 Federalnego Urzędu Kryminalnego, odzwierciedlał jak żadne inne miejsce w Berlinie zmienną historię konfliktów międzynarodowych dwudziestego i początku dwudziestego pierwszego wieku. To stąd wyruszały kiedyś do boju cesarskie bataliony, potem z tego samego terenu rozpiezchały się po mieście oddziały policji, aby chronić prawo i porządek w stolicy młodej republiki. Gdy zaś państwo znalazło się pod dyktando narodowych socjalistów, Wehrmacht szkolił w byłej szkole wojsk lądowych siły militarne użyte później w niszczylielskiej wojnie. Po drugiej wojnie światowej w koszarach zajętych przez Armię Czerwoną rozlokowała się w 1949 roku organizacja o cynicznej nazwie Policja Ludowa. Gdy samowładni przywódcy tak zwanej Niemieckiej Republiki Demokratycznej odgradzili murem berlińskim społeczeństwo kraju od reszty świata, stacjonujące tu oddziały straży granicznej wypełniały swoje zadania w trwającej właśnie zimnej wojnie. Wraz ze zniknięciem żelaznej kurtyny w 1989 roku nie miały już nic do roboty. Cały kompleks przejęła Bundeswehra, ale już niedługo jej miejsce zajęły osoby z całego świata ubiegające się o azyl, czyli ofiary i zwiastuny nowego globalnego konfliktu, który ostatecznie doprowadził do obecnego przeznaczenia obiektu. Po generalnym remoncie w ostatnich latach ubiegłego stulecia, po atakach terrorystycznych w USA w 2001 roku, pod berlińską siedzibą Federalnego Urzędu Kryminalnego policyjne oddziały służby bezpieczeństwa państwa walczyły przeciwko międzynarodowemu terroryzmowi, a od 2004 roku dołączyło do nich nowo stworzone Wspólne Centrum Obrony przed Terroryzmem (das Gemeinsame Terrorismusabwehrzentrum, GTAZ).

Hartlandt pracował w tym kompleksie od pięciu lat. Do jego pierwszych zadań należało ustalenie sposobu zaciągu do tzw. grupy z Sauerlandu, islamistycznej radykalnej organizacji terrorystycznej, której członkowie zostali skazani na długoletnie więzienie za planowanie ataków bombowych. W ciągu minionych lat często zdarzały mu się momenty zwątpienia, ale jeszcze nigdy nie było ono tak silne jak w to niedzielne przedpołudnie. Nie zaglądając nawet do własnego pokoju, od razu skierował swe kroki do wyznaczonej sali konferencyjnej, gdzie z twarzami pełnymi napięcia czekało już kilku innych kolegów.

Zajął miejsce, wymienił się z obecnymi swoimi przemyśleniami. Po kwadransie pojawił się w końcu szef GTAZ i krótko przywitał wszystkich.

– Dzisiaj rano otrzymano potwierdzenie ze Szwecji i z Włoch, że w tamtejszych sieciach doszło do manipulacji, które doprowadziły do awarii. – Mimo nerwowego poszeptywania obecnych mówił dalej: – Biorąc pod uwagę skalę zjawiska w całej Europie, można się raczej liczyć z kolejnymi zgłoszeniami tego rodzaju.

Przedstawił pokrótce bieżącą sytuację, która była znacznie poważniejsza, niż Hartlandt sądził na podstawie informacji z radia. Należało się spodziewać, że prądu może nie być przez wiele dni, niewykluczone, że będzie konieczna ewakuacja i podjęcie innych środków zaradczych w odniesieniu do dziesiątków milionów ludzi.

Na pytanie o sprawców powiedział tylko tyle:

– Nieznani. Na tę chwilę nie możemy wykluczyć ani politycznie, ani religijnie umotywowanego ataku terrorystycznego; ale równie dobrze mogło to być też działanie kryminalne lub akt o charakterze wojennym.

Ostatnie słowa ponownie wywołały pomruk obecnych w sali.

– Moi drodzy – powiedział na koniec. – Za dwie godziny chcę mieć na biurku pierwszy raport, dlatego nic nie wiedzieliśmy o czekającym nas tego rodzaju zdarzeniu, zawierający również wszystkie fakty i informacje, które w zaistniałych okolicznościach wymagają nowej

interpretacji. Hartlandt, panu powierzam koordynację prac.

Haga

Marie Bollard upychała walizki w aucie. Przydźwigała je na dwa razy, bo było ich kilka. Dzieci niosły razem nieduży plecak ze swoimi ulubionymi zabawkami.

– Jedziemy na wakacje – cieszyła się Bernadette.

– Ale ja nie chcę wyjeżdżać – marudził Georges.

– Georges, przestań już, proszę. Przecież w piątek miałaś ochotę polecieć do babci i dziadka do Paryża.

– Ale nie poleciliśmy.

Wiedziała, że ostatniej nocy coś musiało się wydarzyć. Jej mąż siedział bardzo długo w pracy, a kiedy już wrócił, był wyjątkowo spięty, bardziej nawet niż przed narodzinami ich pierwszego dziecka, chociaż oczywiście bardzo się starał to ukryć. Nie mógł i nie chciał jej niczego powiedzieć. Zaproponował natomiast, żeby na kilka dni przenieśli się gdzie indziej. W miejsce, gdzie jest prąd, jedzenie i ciepła woda. Paryż nie wchodził w rachubę z prostego powodu: nie mieli wystarczająco dużo benzyny w baku, by móc dotrzeć do jej rodziców.

– A tata też z nami pojedzie?

– Tata musi pracować. Dołączy do nas wieczorem.

Marie Bollard zamknęła drzwi wejściowe do domu. Wąska uliczka z ładnymi starymi mieszczkańskimi willami po obu stronach wyglądała jak zawsze. Niebo zasnuwały chmury.

Sprawdziła, czy dzieci są prawidłowo zapięte, i po chwili ruszyła. Ruch był większy niż zazwyczaj. Nic dziwnego – wszyscy przesiedli się do samochodów. Włączyła radio. Mówiono o awarii prądu i puszczano nagrane komentarze przechodniów. Jeden narzekał na nieudolne firmy energetyczne, ktoś inny uważał, że do całej sytuacji należy podejść na spokojnie i z dystansem, miał tylko nadzieję, że jak najszybciej zacznie działać jego toaleta – dodał ze śmiechem. Marie Bollard zastanowiła się, skąd rozgłosnie radiowe biorą prąd potrzebny do emisji.

– Mamo, a dokąd jedziemy? – spytał Georges.

– Niedaleko. Za kwadrans będziemy na miejscu.

– To po co nam tyle bagażu?

– Zostaniemy tam przez kilka dni.

Za Zoetermeer Marie Bollard zjechała z autostrady. Cały czas kierowała się wskazówkami damskiego głosu z urządzenia GPS, aż w końcu zajechała przed okazałym domostwo.

Dom o szachulcowej fasadzie był zwieńczony nisko opadającą strzechą. Na wysypanym żwirze dziedzińcu stały samochód terenowy, dwa auta osobowe i traktor. Zaparkowała tuż obok.

– Wysiadać, dzieci!

Stała przed kunsztownie ozdobionymi drewnianymi drzwiami i nacisnęła mosiężną klamkę. Otworzyła jej kobieta w mniej więcej takim samym wieku jak ona. Była ubrana w sztruksowe spodnie, koszulę w kratkę i wełniany sweter. Miała sympatyczną twarz i jasne włosy.

Bollard przedstawiła się, a po niej to samo zrobiły dzieci.

– Mój mąż rozmawiał z panią – powiedziała.

– Maren Haarleven – odezwała się gospodyni z uśmiechem. – Witam. Czy macie ochotę się czegoś napić, czy najpierw chce pani obejrzeć pokój?

– Może najpierw pokój.

W środku było ciepło. Dom wyglądał na zadbane, ale minione stulecie wyraźnie odcisnęły na nim piętno i nie pozostawiły wielu prostych ścian. Urządzone były ze smakiem w stylu wiejskiego dworku. Haarleven poprowadziła ich po wąskich i stromych schodach na pierwsze piętro. W długim korytarzu po obu stronach znajdowało się po kilkoro drzwi. Kobieta

otworzyła jedne z nich.

Pokój wydawał się przestronny i jednocześnie przytulny. Stały w nim wyściełane kanapy i fotele obite materiałem w duży kwiatowy wzór, nie brakowało też wiejskich antyków, dominowała biel.

– To jeden z naszych apartamentów – wyjaśniła pani Haarleven. – To jest salon. Obok znajduje się kuchnia z dużym stołem, łazienka i dwie sypialnie.

– Łazienka!

Gospodyni odkręciła na próbę kran. Pocięła woda. Bollard stłumiła westchnienie ulgi. Pomyślała o prysznicu, który chyba już niedługo będzie mogła wziąć.

– Po prostu cudownie!

– Tak. – Haarleven się roześmiała. – Nam żadna awaria prądu niestraszna. Proszę za mną, coś pani pokażę. A potem każemy przynieść na górę wasze rzeczy.

Gdy znaleźli się znowu na dworze, gospodyni poszła z nimi na tył domu. Po obu stronach stały dwa ogromne budynki gospodarcze. Haarleven skierowała się do tego po lewej i otworzyła duże wrota. Bollard ujrzała wielką halę, w której na posadzce roilo się od piskląt. Z sufitu zwisały lampy nagrzewające.

– To jest nasza hodowla drobiu.

Georges i Bernadette zapiszczeni z zachwytu.

– I niech pani spróbuje sobie wyobrazić, że tu nagle zabrakłoby światła. W ciągu kilku godzin wszystkie te pisklęta by zamarzły.

Zamknęła wrota i przeszła na koniec budynku do nowoczesnej przybudówki z metalowymi drzwiami. W środku było ciemno i mrocznie. Bollard rozpoznała jedynie dużą zieloną skrzynię, od której odchodziło mnóstwo różnych rurek i przewodów.

– Mamy własną elektrownię blokową – objaśniła pani Haarleven. – Palimy w niej drewno i pellety. Dzięki temu jesteśmy maksymalnie niezależni od ogólnej sieci energetycznej, a ponieważ korzystamy też z własnej studni, nawet nie zauważyliśmy tu skutków tej masowej awarii. – Zamknęła z powrotem drzwi. – No może jedynie tyle, że nagle także w ziemie mamy gości. Dzisiaj rano wszystko zostało wynajęte w ciągu pół godziny. Zdaje się, że w większości przez kolegów pani męża. Nie mam pojęcia, co się dzieje.

Już niedługo poczujemy to wszyscy na własnej skórze, pomyślała Marie, a jej mroczne przeczucia tylko jeszcze bardziej się pogłębiły.

Paryż

– Szanowni państwo – powiedział Guy Blanchard do kamer. Jeszcze raz poprawił sobie mały mikrofon zaczepiony za uchem. – Nadarza się dziś doskonała okazja, aby zwrócić uwagę, że skrót CNES powinien być znany Francuzkom i Francuzom, ale także Europie i reszcie świata, nie tylko jako Centre National d'Études Spatiales, czyli Państwowy Ośrodek Badań Kosmicznych, ale przede wszystkim jako Centre National d'Exploitation Système – centrala francuskich sieci energetycznych, do której kierownictwa mam zaszczyt się zaliczać. Bez Centre Système agencja kosmiczna nie miałaby prądu nawet do zagotowania kawy. – Z wyraźnym samozadowoleniem spojrział na hordę dziennikarzy tłoczących się w centrum prasowym. Był oswojony z kamerami i lampami błyskowymi. – Trzeba otwarcie powiedzieć, że ogólnoeuropejska awaria z przedwczoraj wieczór nie oszczędziła też francuskiej sieci. Pragniemy serdecznie przeprosić za to, że obywatele zostali pozbawieni światła i ogrzewania, ale jak z pewnością niektórzy z państwa mieli okazję zauważyć, w wielu regionach udało się w ciągu jednej nocy przynajmniej częściowo przywrócić zasilanie – w przeciwieństwie do naszych sąsiadów i większości krajów europejskich. Są obszary, gdzie musimy prosić jeszcze o cierpliwość, ale również tam to kwestia zaledwie godzin. Tym samym dobitnie potwierdziliśmy wydajność i sprawność francuskiego systemu zaopatrzenia w energię elektryczną. Pozwolę państwu, że pokrótce przedstawię rozwój minionych wydarzeń. Całość mojej prezentacji znajdują państwo na DVD dołączonym do teczki prasowej, a także w sekcji prasowej na stronach internetowych Réseau de Transport d'Électricité i Électricité de France.

Na dużym ekranie za jego plecami pokazała się prezentacja obsługiwana przez asystenta.

– Awaria na tak masową skalę postawiła nas przed ogromnymi wyzwaniem. Oto jeden z przykładów: jak wszyscy państwo wiedzą, Francja czerpie przeważającą część energii z elektrowni jądrowych. Wyłączenie i ponowne włączenie reaktorów atomowych w tak krótkim czasie nie było bynajmniej łatwym zadaniem, ale zostało wykonane wprost podręcznikowo. – Blanchard pozwolił sobie na krótki rzut oka na ekran, by sprawdzić, czy pokazywane na nim obrazy odpowiadają tokowi jego wywodu. – To pozwoliło nam stworzyć już po kilku godzinach wokół tych elektrowni niejako zielone wyspy, gdzie przywrócono prąd; wyspy, które potem sukcesywnie poszerzaliśmy. – Na widocznej za nim mapie kraju małe punkty rozrastały się w większe plamy. – Podczas następnych godzin zdołaliśmy te regionalne pojedyncze sieci stopniowo zsynchronizować i dzięki temu zapewnić niemal połowie obywateli podstawowe zasilanie w prąd.

– Monsieur Blanchard. – W miniaturowym głośniczku w uchu usłyszał głos swojej asystentki.

Nie dając się wyprowadzić z równowagi, kontynuował swój wykład:

– Tym samym jesteśmy jednym z nielicznych krajów w Europie, gdzie udało się uzyskać kontrolę nad sytuacją.

– Monsieur Blanchard. To bardzo ważne. – Głos w uchu irytował go.

– Opierając się na stabilnych francuskich sieciach, będziemy mogli pomóc pozostałym państwom.

– Proszę zakończyć konferencję prasową.

Co takiego?

– Proszę zakończyć konferencję prasową. To bardzo pilne.

Co znowu jest takie pilne? – zadał sobie pytanie, jednocześnie zwracając się do dziennikarzy zgromadzonych w sali:

– To tyle na dzisiaj. Dziękuję państwu za przybycie.

Posypał się grad pytań. Nie zwracając na to uwagi, Blanchard wyszedł zza pulpitu i zniknął za drzwiami sąsiedniego pokoju.

Asystentka czekała już na niego z szeroko otwartymi oczami.

Blanchard od razu ją zrugął:

– Jeśli nie złożył nam wizyty co najmniej prezydent, to może się już pani pakować!

– Coś o wiele gorszego – odpowiedziała kobieta. – Proszę iść natychmiast do głównej sali kontrolnej.

– Co się stało? Niech pani wreszcie powie!

– Oni nie wiedzą. I właśnie w tym jest problem.

Blanchard wszedł do windy. W sali pełnej stanowisk pracy wyposażonych w monitory operatorzy dyskutowali z ożywieniem. Niektórzy stali z rękami opartymi na stołach i wpatrywali się w ekrany, inni gorączkowo telefonowali. Ogromna ściana projekcyjna ukazywała obraz ostatnich godzin. Niektóre regiony były zielone, inne czerwone. Ekrany monitorów na stołach były wszystkie niebieskie.

Poczuł, jak ściska mu się żołądek. Ruszył do pierwszego lepszego operatora. Na barwnym ekranie odczytał jedynie komunikat o błędzie:

```
DRIVER_IRQL_NOT_LESS_OR_EQUAL
```

```
stop: 0x00000001 (0x000003E8, 0x00000002, 0x00000001, 0x903A7FC4)
```

```
RT86WIN7. sys-adress 9003A7FC4BASE at 90397000
```

```
Datestamp 49a65b16
```

– Co, u diabła, się stało?

Mężczyzna, doświadczony pracownik, pokręcił bezradnie głową.

– Wszystko zniknęło. *Blue screens*¹ we wszystkich komputerach. Wygląda na totalną awarię.

– Jak? Kiedy?

– Około dziesięciu minut temu. Najpierw pojawiły się kłopoty z niektórymi stacjami roboczymi, a potem stopniowo wszystko padło.

– Niech to szlag! Okej... okej. – Blanchard zastanawiał się gorączkowo.

Wprawdzie nie mieli teraz kontroli nad sytuacją, ale to jeszcze nie oznacza wyłączenia sieci. Przynajmniej na razie. To tak, jakby nocą płynęli statkiem po morzu z popsutymi światłami i przyrządami sterowniczymi, ale silnik wciąż pracował. I wszystko będzie dobrze, dopóki nie trafią na górę lodową, klify albo wysoką falę. Dopiero kiedy pojawią się błędy, które operatorzy będą musieli skorygować manualnie, znajdując się w kłopotcie.

Jeden z operatorów zamachał słuchawką telefoniczną nad swoją głową.

– Mam na linii Operation Centre! – krzyknął.

Tam operatorzy nie kontrolowali stanu sieci, tylko serwery, które nią sterowały. Zdaje się, że na statku, który sunął bez narzędzi nawigacyjnych przez noc, zaczął dławić się silnik.

– OC melduje awarie serwerów.

– K...! Niech pan pošle tam Alberta Procteta! Proszę powiedzieć, że już do nich jadę! W razie czego proszę mnie tam łapać! – Blanchard w pośpiechu opuścił salę.

Turner wpatrywał się bezradnie w pustą mównicę, z której przedstawiciel Centre National d'Exploitation Système po prostu nagle zniknął i nie odpowiedział na ani jedno pytanie.

– Co to było? – zwrócił się do Shannon.

Pozostali dziennikarze patrzyli po sobie nie mniej zdezorientowani. Pomieszczenie wypełnił szum wypowiedzanych na głos pytań i domysłów. Niektórzy zdecydowanie domagali się wyjaśnienia i przyjscia kogoś kompetentnego. Jednak podium pozostawało nadal puste. Po kilku minutach obecni zaczęli zbierać swoje rzeczy. Shannon i Turner również. Wychodząc, większość

uskarżała się na nieprofesjonalne podejście do mediów. Shannon nic nie mówiła. Nie potrafiła powiedzieć dlaczego, ale odniosła wrażenie, że za tym nieoczekiwanym przerwaniem autoreklamy wygłaszanej przez Blancharda kryło się coś więcej. Ktoś taki jak on kochał kamery i flesze. Bez ważnego powodu nie zrezygnowałby tak łatwo z tego występu. Zanim dotarli do wyjścia z budynku, Shannon nabrała niemal pewności, że musiało się coś stać. Z ulicy dochodził odgłos klaksonów, przez szklane drzwi widać było, jak ludzie na chodniku przepychają się między sobą albo gorączkowo rozmawiają i dziko gestykują, a niektórzy nerwowo piszą coś w swoich telefonach.

Na dworze było szaro, wiał przenikliwie zimny wiatr. Shannon nie musiała długo się zastanawiać nad przyczyną tej nerwowości. Żadna z witryn przy ulicy nie była oświetlona, sygnalizacja na skrzyżowaniach nie działała. Już zaczęły się tworzyć korki.

– No nie, znowu – jęknął Turner. – Przecież dopiero co usłyszeliśmy od tego dupka, że już po wszystkim.

– Wobec tego wracamy tam – zaproponowała Shannon. – Są nam winni wyjaśnienie.

Odwróciła się w stronę budynku i w tym momencie zauważyła, że ochroniarze zamykają drzwi od środka.

W Operation Centre Blanchard zastał taki sam chaos jak w centrum kontroli. Jedno spojrzenie na monitory wyjaśniło mu wszystko.

Szef IT Albert Proctet, młody mężczyzna w kolorowej koszuli i z trzydniowym zarostem, czekał na niego ze zmarszczonym czołem. Wskazał na monitory, na których obok wielu zielonych kontrolnych wskaźników świeciło też kilka pomarańczowych i jeden czerwony.

Każda lampka symbolizowała jeden z serwerów sterujących siecią i ją nadzorujących. To, że jeden czy drugi od czasu do czasu się wyłączał, nie było niczym niezwykłym. System został tak skonstruowany, że wówczas funkcję jednego serwera przejmował drugi.

– Systemy zastępcze się włączyły, ale potem padł też pierwszy z nich.

A to oznaczało, że jedna ze stacji przekaźnikowych sieci energetycznej nie mogła być sterowana i została zablokowana. W normalnych warunkach to żaden problem – redundancja zasilania dba o to, aby prąd popłynął przez inne stacje przekaźnikowe i inne łącza. Ale teraz walczyli już z siecią coraz bardziej przypominającą patchworkowy dywan, którego kawałki już prawie nie trzymały się razem. Każda odłączona stacja przekaźnikowa mogła ponownie pozbawić cały region dopływu prądu.

Jeden z mężczyzn obecnych w sali poprosił Blancharda do telefonu.

– Centrum kontroli!

Przycisnęła słuchawkę do ucha.

– Co jest?

– Właśnie straciliśmy region szósty – poinformował głos po drugiej stronie.

Blanchard wyobraził sobie ogromny podświetlony schemat sieci na ścianie centrum, na którym jedna siatka zielonych linii właśnie zrobiła się czerwona.

Tymczasem na monitorach przed jego oczami trzy pomarańczowe światełka właśnie też zmieniły się w czerwone. Siadło sterowanie trzech kolejnych stacji.

– Region drugi przechodzi na żółty – odezwał się jego rozmówca z centrum kontroli.

– Region drugi i piąty czerwony, czwarty: żółty, już czerwony. Co się dzieje? Znowu tracimy całą sieć!

Pozbawiony narzędzi nawigacyjnych statek odbywający nocny rejs stracił też zasilanie. Bezradnie dryfował nie wiadomo dokąd.

Haga

– Jak pan to sobie wyobraża? – spytał Manzano. Sam zadzwonił do Bollarda, uprzedzając jego powtórny telefon do Ischgl. – Co miałbym robić? I gdzie?

– Tutaj, w Hadze – odpowiedział Bollard, zastanawiając się, co mogło spowodować zmianę nastawienia jego rozmówcy. – Akurat do nas dociera masa różnych informacji. Mógłby nam pan pomóc w ich analizie.

– Mam ze sobą ubranie tylko na trzy dni. Połowa jest już nieświeża. Pralki nie działają. Sklepy pozamykane.

– Znajdziemy jakieś rozwiązanie.

– Gdzie miałbym mieszkać?

– W hotelu. W niektórych działa awaryjne zasilanie.

– I są w nich jeszcze wolne pokoje? Bo przypuszczam, że jeśli tylko kogoś stać na coś takiego, to pewnie już zapewnił sobie taki luksus.

Słuszne zastrzeżenia, uznał Bollard, który najchętniej zostawiłby faceta tam, gdzie teraz jest. Ale dyrektor Ruiz miał inne życzenie.

– Unia ma wystarczająco dużo wynajętych pokoi w hotelach w Hadze.

– Haga. A jak ja się tam dostanę?

– Zorganizuję panu przelot.

Po prostu nie wierzę, że to robię. To przecież jeden z tych typów, z którymi powinienem właściwie walczyć. A ja mu jeszcze posyłam samolot.

– Słucham? Myślałem, że transport lotniczy jest wstrzymany.

– Proszę zostawić to już mnie.

– Jedna z pracowniczek EuMIC-u chciałaby polecieć ze mną – oznajmił Manzano. –

Mówi, że jest potrzebna w Brukseli.

– Bardzo proszę. W samolocie jest dość miejsca.

Saint-Laurent-Nouan

Marpeaux w pierwszej chwili nie wiedział, co go obudziło, dopóki nie usłyszał, jak pomstuje jego żona. Leżał nadal w łóżku i próbował jednak zasnąć. Przewrócił się na drugi bok. Żona znowu na coś wyklinała, a potem rozległo się szuranie jej stóp. Przetarł sobie oczy, wstał, poszedł do toalety, nacisnął guzik spłuczki – brak wody. Spróbował jeszcze raz, bez skutku. Także w kranie tylko zacharczało i nie skapnęła ani kropla. Marpeaux jęknął i sprawdził, czy jest światło. No nie, tylko nie to!

– Znowu nie ma prądu – oznajmiła jego żona, stojąc w drzwiach łazienki z rękami podpartymi na biodrach.

Marpeaux wzruszył ramionami.

– A co ja mogę?

Pokręciła głową.

– Tylko mówię...

Czyli nie ma co liczyć na gorący prysznic. Ubrał się, a potem wykręcił numer elektrowni. Po trzecim dzwonku ktoś odebrał.

– To ja, Yves – wyjaśnił kierownikowi zmiany. – Wszystko w porządku? – W tle słyszał sygnały ostrzegawcze.

– Jeszcze nie wiem – odpowiedział tamten nerwowo. – Właśnie mamy znowu za sobą szybkie wyłączenie.

To dlaczego on nie wie, czy wszystko jest w porządku? – zadał sobie pytanie Marpeaux.

– Co to za sygnały, które słyhać?

– Znowu coś z awaryjnym zasilaniem. Nie mogę rozmawiać. Na razie.

Przez kilka sekund Marpeaux przysłuchiwał się sygnałom w słuchawce, po czym ją odłożył. Jego kolega pracował w elektrowni od jedenastu lat, od trzech był kierownikiem zmiany. Chyba jeszcze nigdy nie był tak zestresowany jak przed chwilą, stwierdził Marpeaux.

Szybko wyszedł do przedpokoju, włożył kurtkę i rzucił do swojej oszołomionej żony:

– Muszę do pracy.

Ischgl

Po śniadaniu usiedli na ławce przed domkiem. Ten, dla kogo nie starczyło miejsca, wystawił sobie leżak. Angström uważała całą tę sytuację za surrealistyczną. Ale co mieli zrobić? Szloch i szczykanie zębami nikomu by nie pomogły. Ale atmosfera była napięta, więc szybko zapomnieli o swoich porannych przysięgach i zamówili butelkę prosecco. Tylko ona i Manzano nic nie pili. Po południu van Kaalden i Terbanten wybierały się pobiegać na nartach. Angström miała spore wątpliwości, czy im się to uda, bo otworzyły już trzecią butelkę.

Około dwunastej podeszli do nich dwaj mężczyźni w mundurach.

– Piero Manzano i Sonja Angström? – spytał niższy z nich.

Angström nagle się wyprostowała. Manzano potwierdził, że to on.

– Jesteśmy z policji. Przyjechaliśmy, żeby państwa zawieźć na miejsce. W dolinie czeka śmigłowiec.

Paplanina pozostałych ucichła. Oboje wynieśli z domku swoje już spakowane torby.

Angström uścisnęła koleżanki.

– Bawcie się dobrze – powiedziała do nich.

– Szczęśliwej podróży.

Zauważyła w ich twarzach troskę i lęk, które i jedna, i druga usiłowały zagłuszyć alkoholem. Przy pożegnaniu wszystko wyszło na wierzch. Widziała, jak Manzano serdecznie objął Bondoniego. Nigdy by się nie spodziewała po nich takich gestów. Ale widocznie każdy był świadom wagi chwili.

– Naprawdę mogę cię tutaj zostawić samego? – spytał Manzano ojca Lary.

– Przecież nie będę tu sam, tylko w czarującym towarzystwie.

Manzano zwrócił się do Lary:

– Nie masz nic przeciwko temu, że on tu zostaje? Pewnie inaczej wyobrażałyście sobie swój urlop.

Lara Bondoni otoczyła ramieniem swego ojca.

– I tak za rzadko go widuję. Szkoda tylko, że wy musicie jechać.

Puściła ojca i uściskała Manzana.

– Powodzenia!

Policjanci zwieźli ich samochodem terenowym do doliny. W drodze nie rozmawiali wiele. Po dwudziestu minutach zatrzymali się na pokrytym śniegiem polu tuż obok helikoptera. Kiedy wysiedli, jego śmigło zaczęło się ociężale obracać.

– Jeszcze nigdy nie leciałam czymś takim! – zawołała Angström do Manzana przez hałas silnika, kiedy biegła pochylona w stronę samolotu.

– Ja też nie! I nie znoszę latać!

Ratingen

Na basenie mimo przedpołudnia panował mrok. Woda nie była jeszcze bardzo zimna. Trzydzieści minut pływania pozwoliło Wickleyowi porządnie się rozgrzać. Wyszedł na chłodne powietrze. Energicznie wytarł ręcznikiem włosy, wysuszył się i wskoczył w płaszcz kąpielowy. W drzwiach stanęła jego żona z kocem narzuconym na ramiona.

– Naprawdę uważasz, że w tych okolicznościach zaproszenie jest aktualne? – spytała.

– Nie dostaliśmy żadnego odwołania – odpowiedział Wickley. – Poza tym właśnie się odświeżyłem.

– Jeśli o mnie chodzi, wolałabym gorący prysznic – westchnęła. – Poza tym, kto ci miał powiedzieć, że zaproszenie jest nieaktualne? Nie da się do nas dodzwonić ani przez telefon stacjonarny, ani przez komórkowy. Do Balsdorffów prawdopodobnie też nie. Więc jak mieliby nas poinformować?

– Siegmund von Balsdorff jest prezesem jednego z największych koncernów energetycznych w kraju. Należy przypuszczać, że po pierwsze, ma w domu agregat prądotwórczy...

– W przeciwieństwie do nas...

– ...i dlatego, po drugie, nie przyjdzie mu w ogóle do głowy, że u jego gości może być inaczej.

– Jak to można się pomylić... A właściwie to dlaczego go nie mamy?

– ...a już poza wszystkim innym: jeśliby on naprawdę chciał odwołać zaproszenie, to na pewno znalazłby drogę, aby nas o tym powiadomić, choćby przez konnego posłańca.

– Perspektywa znalezienia się w ogrzewanym domu ma oczywiście niezaprzeczalny urok.

– Przestań już – powiedział Wickley i wziął żonę w objęcia. – Siedziałaś do tej pory przy gorącym kominku i na pewno nie zmarzłaś.

– Ale zamiast wejść do wanny czy pod prysznic, musiałam dygotać w tym lodowatym basenie, żeby choć trochę się odświeżyć – poskarżyła się.

Wickley pogłaskał ją po włosach.

– Jeśli nie masz ochoty, to przyszedł mi do głowy pewien pomysł, jak inaczej moglibyśmy się rozgrzać.

Wsunął swą zimną dłoń pod jej bluzkę, na co ona krzyknęła i odskoczyła w bok.

– Przekonałeś mnie! – zawołała. – Jedziemy do Balsdorffów.

Saint-Laurent-Nouan

Marpeaux trzymał się z tyłu. Obok niego stali rzeczniczka i sam dyrektor elektrowni. Centrum dyspozytorskie rozbłyskiwało jak świąteczna choinka. Prawie wszyscy operatorzy tkwili przed pulpitemi z grubymi księgami w rękach i szukali wyjaśnień dla otrzymywanych komunikatów. Kierownik zmiany biegał tam i z powrotem, tu zamienił z kimś kilka słów, tu wydał jakieś polecenie. Potem jeszcze gdzieś zadzwonił. Na koniec podszedł do Marpeaux i dyrektora.

– Ciśnienie i temperatura w pierwotnym obiegu chłodzenia ciągle rosną – poinformował. Marpeaux zauważył, że jego czoło pokryte jest kropelkami potu.

Wszystkie czynne we Francji elektrownie jądrowe były zasilane przez reaktory wodne ciśnieniowe (PWR). W odróżnieniu od reaktorów wodnych wrzących (BWR), zastosowanych na przykład w elektrowni Fukushima-Daiichi, mają one dwa oddzielne obiegi czynnika roboczego – pierwotny i wtórny. W reaktorach PWR wysoka radioaktywność występuje tylko w obiegu pierwotnym. W wytwornicy pary gorąca woda z obiegu pierwotnego przepływa przez tysiące rurek w kształcie odwróconej litery „U” i oddaje ciepło wodzie w obiegu wtórnym. Woda w obiegu pierwotnym ma temperaturę 300–350°C i ciśnienie 12–16 MPa (120–160 atmosfer), zawsze wyższe od ciśnienia odpowiadającego temperaturze nasycenia pary. Dzięki tak wysokiemu ciśnieniu woda w obiegu pierwotnym nie wrze pomimo wysokiej temperatury. W obiegu wtórnym ciśnienie jest niższe i woda zamienia się w parę. Para wytworzona w obiegu wtórnym ma ciśnienie 5–6 MPa (50–60 atmosfer) i temperaturę 270–300°C. Po osuszeniu jest kierowana na turbiny obracające generatory prądu.

Zastosowanie dwóch obiegów czynnika roboczego zdecydowanie zmniejszało ryzyko wycieku substancji radioaktywnych i dlatego reaktor tego typu uważany był za stosunkowo bezpieczny. Jednak nie w tym momencie.

Marpeaux gorączkowo zastanawiał się nad niezliczonymi możliwymi przyczynami anomalii – począwszy od usterki agregatów zasilających, przez niedomknięte lub źle otwarte wentyle, po błędy w elektronicznym sterowaniu systemem lub defekty, których do tej pory nikt nie znał. Odnotowane w ostatnich dziesięcioleciach na całym świecie awarie pokazały jedno: wiele z nich eksperci uważali za niemożliwe – dopóki się nie zdarzyły.

– Silniki Diesla? – spytał Marpeaux.

– Dwa nie zaskoczyły, a ten, który ostatnim razem wysiadł, działa. Na miejscu pracują już trzy zespoły i wszystko sprawdzają.

Musieli jak najszybciej odzyskać kontrolę nad temperaturą w obiegu pierwotnym, a także nad ciśnieniem w zbiorniku reaktora. Jeszcze mieli na to dosyć możliwości, zanim zostaną zmuszeni do podjęcia bardziej drastycznych kroków, na przykład wypuszczenia radioaktywnej pary, aby zmniejszyć ciśnienie w zbiorniku.

Marpeaux mimo woli od razu przyszedł do głowy dwa przypadki częściowego stopienia się rdzenia reaktora, które zdarzyły się w historii Saint-Laurent. Zarówno w 1969, jak i w 1980 roku nastąpiły one w dawno już unieruchomionych reaktorach typu Magnox w starego typu blokach A1 i A2. Francuski Urząd Nadzoru Nuklearnego nadał im 4. stopień w Międzynarodowej Skali Zdarzeń Jądrowych INES i uznał za największe katastrofy, jakie kiedykolwiek zdarzyły się we Francji. Oba bloki były niewykorzystywane przez lata, a dekontaminacja i ponowne uruchomienie pochłonęły krocie. Kilka lat później zamknięto je całkowicie.

– W Paryżu nie będą się cieszyć – zauważył dyrektor.

Marpeaux zadał sobie pytanie, czy jego szef ma na myśli Électricité de France, czy rząd,

czy jednych i drugich. Ta awaria zdarzała się nie w porę, bo w obecnej sytuacji nie da się ostrzec społeczeństwa ani przez telewizję, ani przez radio. Ale może to nawet lepiej, póki położenie nie jest krytyczne. Jednak o wiele bardziej niepokoiło Marpeaux to, że tak naprawdę nie mają pojęcia, co dzieje się w reaktorze. Mniej więcej od godziny lecieli samolotem bez pilota.

Haga

Helikopter wylądował na lotnisku wojskowym pod Innsbruckiem. Stamtąd poleciecieli niedużym odrzutowcem do Hagi. Na pokładzie był też austriacki oficer łącznikowy Europolu. Przedstawił im stan wiedzy o bieżącej sytuacji albo to, co jemu było wiadomo na ten temat. Ponad trzy czwarte Europy nadal pozostawało bez prądu. W kilku niewielkich regionach i w paru miastach udało się przywrócić podstawowe zasilanie w energię. Manzano próbował ostrożnie się zorientować, czy Austriak słyszał cokolwiek o problemie kodów we włoskich i szwedzkich licznikach. Jeśli tak, to nie dał tego po sobie poznać.

Kiedy wyszli z samolotu na holenderskim lotnisku, powitał ich zimny wiatr i krople deszczu. Przy ostatnim stopniu ruchomych schodków czekał na nich mężczyzna w ciemnym zimowym płaszczu. Miał krótko ostrzyżone rudawe włosy, które zaczynały się lekko przerzedzać. Manzano zwrócił uwagę na jego przenikliwe spojrzenie. Przedstawił się jako François Bollard.

– Co się panu stało w głowę?

Manzano musiał chyba przygotować się na to, że jeszcze nieraz będzie o to pytany. Może powinien ułożyć sobie jakąś dowcipną odpowiedź, nie był jednak w nastroju do żartów.

– Na skrzyżowaniu zgasła sygnalizacja – wyjaśnił krótko.

– Rozumiem. Najpierw zawieziemy pana, panie Manzano, do hotelu. Do mojego biura można z niego dojść na piechotę. Za dwie godziny jest już pierwsza narada, w której ma pan wziąć udział. Dla pani, pani Angström, zorganizowaliśmy samochód, który zawiezie panią do Brukseli. Czeka już przed hotelem.

– Dziękuję. Mam nadzieję, że nie zabraknie w nim benzyny – rzuciła Angström.

– Instytucje rządowe mają wystarczające rezerwy paliwa, aby zapewnić komunikację w ważnych celach służbowych – odparł Bollard.

Manzano trochę żałował, że będzie musiał obejść się bez towarzystwa Angström. Polubił jej bezpośredni i energiczny styl bycia. Poza tym ona potrafiła słuchać i miała poczucie humoru.

– Skoro mamy współpracować, to pewnie będzie pan chciał korzystać ze swojego komputera – powiedział Bollard. – Zresztą wszystkie nasze są nam potrzebne. Oczywiście musimy sprawdzić pański sprzęt, czy nie ma w nim żadnego wirusa. Nie ma pan nic przeciwko temu?

Manzano nieco się zawahał.

– Pod warunkiem, że przy tym będę – zgodził się w końcu.

Jechali ulicami, przy których stały piękne zabytkowe domy poświadczające dawne bogactwo tego starego kupieckiego miasta. Manzano był pierwszy raz w Holandii. Zatrzymali się akurat przed jakimś budynkiem pozbawionym wyrazu. Nad wejściem widniał napis „Hotel Gloria”.

– Mam trochę bezczelne pytanie – zaczęła Angström. – Czy mogłabym pójść do twojego pokoju i wziąć prysznic? W swoim mieszkaniu w Brukseli na pewno nie będę mogła sobie na to pozwolić.

– Oczywiście – odpowiedział Manzano, ucieszony, że moment pożegnania przesunął się nieco w czasie.

Bollard wcisnął mu niewielki plan miasta do ręki i pokazał na nim drogę do głównej siedziby Europolu.

– Proszę się zgłosić w recepcji. Ktoś po pana zejdzie.

Hotel Gloria był pozbawionym wdzięku funkcjonalnym budynkiem. We foyer stały nowoczesne, designerskie meble. Okazało się, że w hotelu nie oferowano standardowych pokoi,

tylko apartamenty z serwisem. Jego składał się z niewielkiego przedpokoju, aneksu kuchennego, toalety, łazienki i dużej sypialni z biurkiem i wydzielonym kącikiem wypoczynkowym. Był urządzony praktycznie i nowoczesnie. Manzano zastanowił się przez moment, co on miałby w tej małej kuchni gotować. Przecież nie znajdzie żadnego otwartego sklepu spożywczego, gdzie mógłby kupić jakieś produkty.

– Posiłki podawane są w restauracji na dole – wyjaśnił pracownik hotelu. – Ale menu jest dosyć ograniczone.

Podczas gdy Manzano rozpakowywał swój skromny bagaż, Angström zniknęła w łazience. Gdy przeglądał potem foldery reklamowe hotelu, słyszał szum wody pod prysznicem. Przez chwilę puścił wodze fantazji, a potem sprawdził telefon. Wybrał numer pensjonatu w Ischgl. Poprosił sympatyczną kobietę z recepcji, aby przekazała Bondoniemu i koleżankom Angström, że oboje szczęśliwie dolecieli do Hagi. Potem odłożył słuchawkę, rzucił się na kanapę i włączył telewizor. Prawie wszędzie obraz był czarny albo zaśniewony. Wreszcie natrafił na jakieś wiadomości po angielsku.

Reporterka w mechatym płaszczu stała przed ogromną halą. Za jej plecami krzatali się mężczyźni w białych kombinezonach.

– ...zaczynają się psuć. Kiedy stoję tu, na dworze, nie jest mi wcale ciepło, w końcu mamy tylko dziewięć stopni. Ale po dwudziestu czterech godzinach bez prądu również w tej hali chłodniczej nie jest o wiele zimniej.

Kamera przesunęła się na ogromne, otwarte w tej chwili zasuwane drzwi, przez które można było zajrzeć do środka. Na wysokich regałach piętrzyły się na paletach stopy kartonowych opakowań.

– Ta hala należy do jednego z największych koncernów spożywczych na świecie. Jest w niej zmagazynowanych blisko dwa tysiące ton żywności o wartości wielu milionów euro. Wystarczyłoby jej do wyżywienia dużego miasta przez cały dzień.

Na ekranie pokazał się ubrany na biało pracownik, który otworzył jeden z kartonów i wyciągnął z niego niewielką paczkę. Manzano nie mógł rozpoznać, co to jest. Mężczyzna rozciął ją, wsunął rękę do środka i pokazał do kamery kawałek mięsa. Było zielone.

– Towary z tego magazynu nie nadają się już do użytku, a takich chłodni jak ta jest w Europie mnóstwo. Być może mieszkańcy północnej i środkowej części naszego kontynentu narzekają teraz, że u nich jest jeszcze zimniej niż tutaj, w Wielkiej Brytanii, ale tam przynajmniej artykuły spożywcze także bez prądu są dobrze schłodzone i nadal są jadalne. Mary Jameson, Dover.

Tyle że wielu mieszkańców tych zimnych krajów nie może swoich dobrze schłodzonych, a być może nawet wciąż zamrożonych produktów rozmrozić i przyrządzić bez prądu, pomyślał Manzano.

Angström wyszła z łazienki w dżinsach i swetrze. Wycierała sobie ręcznikiem włosy.

– Ach, jak cudownie jest wziąć prysznic! Co nowego?

– Nic, czego byśmy już nie wiedzieli.

– Tylko wysuszę włosy i znikam.

Wróciła do łazienki. Manzano usłyszał buczenie suszarki i ponownie skupił się na relacji w telewizorze. Spiker w studiu zapowiedział kolejny reportaż:

– Przykład z Danii pokazuje, że wcale nie wszędzie ludzie cieszą się tak z zimna, jak sugerowała to przed chwilą Mary.

Na ekranie pojawił się obraz ulicy. Grubo opatuleni przechodnie przemykali po chodniku, z ich ust wydobywały się obłoki pary.

– Temperatura tutaj, w Aarhus w Danii, wynosi zero stopni. Od kiedy zabrakło prądu,

większość mieszkańców nie ma jak ogrzewać swoich mieszkań – komentował głos lektora. – Na początku wystarczały ciepłe ubrania. Jednak ostatniej nocy pewien mężczyzna z tego domu... – w tym momencie pojawiło się zdjęcie kilkupiętrowego budynku z muru pruskiego – ...wpadł na inny pomysł. – Czyjeś dłonie potarły zapalniczkę. – Chciał rozpaść w swoim mieszkaniu ognisko, żeby się rozgrzać.

Nagle obraz zrobił się czarny. Manzano pomyślał, że to już koniec oglądania, ale po chwili oślepiło go jaskrawe światło, które przeszło w pomarańczowe migotanie. Rozchwiany obraz został pochłonięty przez płomień, które buchnęły z dwóch okien. Gdy kamera się oddaliła, Manzano zobaczył, że pali się cały dom. Na ulicy błyskały światła straży pożarnej. Na drabinach stali strażacy z wężami gaśniczymi w rękach.

– Skutki tego pomysłu były katastrofalne. Nie dało się opanować ognia i trzystuletni budynek doszczętnie spłonął. Poważnie ucierpiały także sąsiednie domy.

Sanitariusze z noszami, na których leżało coś pod przykryciem. Manzano domyślił się, że to czyjeś zwłoki.

– Mężczyzna zmarł, podobnie jak osiemdziesięcioletnia kobieta z mieszkania piętro wyżej.

Ludzie w nocnych koszulach, osmoleni, kaszlący, z zapłakanymi twarzami.

– Dwanaście osób odniosło ciężkie obrażenia. Ewakuowano ponad osiemdziesięciu mieszkańców i umieszczono w prowizorycznych lokalach zastępczych.

Na ekranie pojawił się znowu prezenter w studiu. Manzano z podziwem patrzył na jego twarz wyrażającą profesjonalne poruszenie.

– To były dwa przykłady, jakie skutki...

Angström stanęła przy drzwiach ze swoją torbą podróżną.

– Jestem gotowa.

Manzano wyłączył telewizor. Odprowadził ją na dół, do holu.

Spojrzała na niego poważnie.

– Powodzenia – rzuciła, po czym go uścisnęła.

– Tobie także – odpowiedział i też ją uścisnął.

Być może nieco mocniej, niż to przyjęło się między osobami znającymi się bardzo krótko.

– Kiedy to wszystko już się skończy, może wychylimy wspólnie kieliszek, dobrze? – zaproponowała, gdy w końcu odsunęli się od siebie.

Zauważył, że raczej zmusiła się do uśmiechu.

Podła mu swoją wizytówkę. Na odwrocie zapisała prywatny adres i numer telefonu.

– Zadzwoń, jak już dotrzesz na miejsce – poprosił.

– O ile jeszcze będą działać telefony...

Wsiadła do samochodu i pomachała mu na pożegnanie. Patrzył na jej jasną czuprynę widoczną przez tylną szybę. Zanim auto zniknęło za zakrętem, jeszcze raz się odwróciła.

Manzano poczuł ucisk w gardle. Potem ulica opustoszała.

Deszcz padał coraz mocniej.

Paryż

– No więc, jaka jest sytuacja?

Blanchard otarł pot z czoła. W centrali komputerowej CNES zwołał specjalistów od oprogramowania. Kilkunastu mężczyzn siedziało w skupieniu nad laptopami podłączonymi do gniazda kabli.

– Mamy poważną infekcję systemu – oznajmił Albert Proctet.

– Infekcję? – wrzasnął Blanchard. – Co to znaczy: infekcję? – Zauważył, że zanadto się uniósł, i szybko zniżył głos. – Przecież mamy jeden z najlepszych systemów zabezpieczających w całej Francji. A pan mi mówi, że ktoś go zainfekował?

Proctet wzruszył ramionami.

– Inaczej nie da się wyjaśnić tych spadków. Właśnie skanujemy systemy programem antywirusowym. Na razie nic nie wiadomo. Ale to zajmie jeszcze trochę czasu.

– To niesłychane! – Blanchard znowu stracił panowanie nad sobą. – Kilka godzin temu stałem przed dziennikarzami i wynosiłem pod niebiosa niezawodność francuskich sieci! Kompromitujemy się przed całym światem! Po jakie лихо wydajemy ciężkie miliony na te wszystkie systemy, kiedy byle kto może sobie tutaj wejść i po prostu je unieszkodliwić? A co z kopiami bezpieczeństwa?

Podobnie jak większość dużych operatorów sieci również CNES miał kopię swojej centrali, włącznie ze wszystkimi systemami, która to w razie czego przejmowała sterowanie.

– To samo – wyjaśnił Proctet. – Ktoś był bardzo skrupulatny.

– Ktoś tu nieźle pokpił sprawę! – wybuchnął Blanchard. – Za coś takiego musi polecieć parę głów. Tego możecie być pewni.

– Akurat teraz przyda się każda głowa – zwrócił mu uwagę Proctet z niewzruszonym spokojem.

Widać było, że Blanchard wprost kipiał w środku, słysząc zuchwałe słowa młodego mężczyzny. Niestety, było w nich dużo racji.

– Jak wygląda rozkład jazdy? – spytał, powściągając emocje.

– Na podstawie standardowych procedur instalacyjnych konfigurujemy właśnie jeden komputer – wyjaśnił Proctet. – Uruchomimy go i przetestujemy. To zajmie kilka godzin. Problem polega na tym, że obecnie wiele pakietów software'owych, które będą nam potrzebne do prac, jest dostępnych tylko przez internet. A jak wiadomo, z nim też są problemy; jest przeciążony i przez awarię prądu częściowo zablokowany.

Blanchard jęknął.

– To wszystko po prostu nie może być prawdą! Dlaczego nie mamy tego wszystkiego u siebie na DVD czy na serwerach?

Proctet uśmiechnął się krzywo.

– DVD niestety nie dysponujemy, a serwery są zainfekowane.

– No to jaka to jest architektura bezpieczeństwa! – parsknął znowu Blanchard, ale natychmiast się opanował. – Okej. I co dalej?

– Potem sprawdzimy systemy. Wezwaliśmy też kilku specjalistów. Już do nas jadą.

Düsseldorf

– To bezczelność! – oburzał się Siegmund von Balsdorff. – Wepchnął nas do lodowato zimnej sali konferencyjnej i prawil nam kazania jak jakimś uczniakom.

W wianuszkę wokół Wickleya stali poza prezesem zarządu największego niemieckiego koncernu energetycznego przedstawiciele kadry zarządzającej z różnych branż oraz jeden popularny aktor telewizyjny. Wickley większość znał pobieżnie z innych okazji towarzyskich, niektórych zaś trochę lepiej z racji kontaktów zawodowych.

– Przekonująca inscenizacja – zauważył menedżer mediów Kostein, spotykając od razu zdziwione spojrzenie Balsdorffa. Koncern, w którym pracował Kostein, należał do preferowanych przez Balsdorffa partnerów w kwestiach komunikacji zewnętrznej. – Z punktu widzenia techniki komunikacji – dodał pospiesznie Kostein. – Choć może trochę przedramatyzowana. Być zdany przez dwa dni jedynie na kominek i wodę do mycia z basenu to, muszę przyznać, dosyć zabawne. Człowiek czuje się trochę jak za skautowskich czasów. Nawet już piekliśmy kiełbaski nad ogniem – roześmiał się.

Inni mu zawtórowali.

– Tak to się kończy – wtrąciła doradczyni biznesowa van Kolck – kiedy wyłącza się kolejne elektrownie atomowe, nie zastanawiając się wystarczająco głęboko nad przebudową systemów energetycznych.

Podobnie jak wszystkie inne znane firmy konsultingowe również ta kierowana przez van Kolck w minionych latach ukierunkowała własne zespoły doradcze na zagadnienie energii, opracowała i opublikowała ekspertyzy, zorganizowała sympozja, zafundowała szefom firm, politykom i wyższym urzędnikom państwowym luksusowe podróże studyjne – wszystko po to, by dowieść własnej kompetencji w danej dziedzinie albo przynajmniej stwarzać jej pozory i pogłębić niezbędne kontakty. Doradcy szacowali potrzeby przemysłu i władz w zakresie konsultingu na miliardy. I robili wszystko, aby je zarobić. Już dawno stało się rzeczą normalną, że ustawy są wprowadzane uchwalane przez członków Bundesratu, ale pisane przez przedstawicieli przemysłu wyposażonych w najlepsze kontakty i kuszące argumenty wszelkiego rodzaju, niezależnie od tego, czy chodziło o sektor finansowy, medyczny, czy właśnie energetyczny.

– Wtedy ludzie zaczynają różnie myśleć – powiedział Uwe-Hans Debberlein, założyciel jednej z największych w Niemczech wytwórni sprzętu do elektrowni wiatrowych i jeden z największych operatorów tych elektrowni.

– Naturalnie – odrzekła van Kolck. – Pan jest oczywiście za rozwojem energii wiatrowej, bo dzięki niej się bogaci.

– W Niemczech można też z sukcesem wykorzystywać energię słoneczną – wtrącił Achim Breden, prezes dużego przedsiębiorstwa budującego odpowiednie instalacje.

Debberlein wybuchnął śmiechem.

– Też bym tak twierdził, gdyby moja firma zainwestowała miliardy w projekt Desertec.

– Świetna inicjatywa! – rzucił bełkotliwie Noot. Mimo że dochodziła dopiero druga, aktor wyraźnie nie skąpił sobie grzanego wina, które przemarznięty kelner przynosił z dużych pojemników stojących na tarasie. – Wprowadzcie uniezależniamy się od ropy naftowej, ale nie od humorów arabskich dyktatorów. Zamiast ropą teraz będą nas szantażować słońcem. Doprawdy wspaniała alternatywa!

– Sytuacja w tych krajach ulega zmianie – przypomniał Breden. – Ruchy demokratyczne...

Noot uderzył się dłonią w czoło.

– Aha, to teraz rozumiem, skąd się biorą te tak zwane ruchy demokratyczne! Ale trzeba

przyznać, że to o wiele subtelniejsza gra niż to, co Bush zrobił w Iraku.

– Muszę zadać to pytanie! – Jutta Dorein, dyrektorka jednej z prywatnych klinik, nie mogła powstrzymać swojej ciekawości. – Panie von Balsdorff, jak to możliwe, że u pana tutaj jest światło i w ogóle wszystko działa?

Gospodarz uśmiechnął się konspiracyjnie i kiwnął głową.

– Zapraszam państwa, coś państwu pokażę.

Cała grupka ruszyła za nim przez hol wejściowy, po drodze dołączyło do nich jeszcze kilkoro innych gości, którzy akurat usłyszeli o tej wycieczce. W rezultacie grono blisko dwudziestu osób zeszło po schodach do piwnicy.

Wickley znał tego rodzaju urządzenia, choć nie te stojące w domu Balsdorffa.

Gospodarz na wstępie objaśnił pokrótce zasadę działania ogniwi paliwowych. Przez długie lata technika ta była całkowicie lekceważona jako zbyt droga, ale odkrycie nowych technologii i surowców sprawiło, że zaczęto się nimi coraz bardziej interesować. W przeciwieństwie do silników, których działanie opiera się na spalaniu paliwa takiego jak ropa naftowa, ogniwa paliwowe zamieniają w reakcjach chemicznych energię pozyskaną z gazu czy wodoru na prąd.

– Mamy tu też nowoczesny inteligentny licznik prądu – kontynuował wykład von Balsdorff. – Właściwie to jest to coś więcej niż licznik, to system zarządzania energią elektryczną w całym domu, który dzięki niemu staje się domem inteligentnym. – Wyjął telefon komórkowy.

– Mogę nim sterować nawet z komórki.

– Och, ma pan tutaj zasięg? – spytała ucieszona jakaś kobieta.

– Nie. Ale na niewielką odległość wystarczy też bluetooth.

– Co takiego? – Wickley usłyszał, jak ta sama kobieta pyta swojego sąsiada.

W następnym pomieszczeniu von Balsdorff zaprezentował kompaktowe urządzenie mikrogeneracyjne.

– Ono też produkuje więcej prądu, niż zużywa się w przeciętnym gospodarstwie domowym, i resztę może odprowadzić do sieci. Dokładnie takie same modele nasi partnerzy oferują już w sprzedaży. – Na koniec gospodarz klasnął w dłoń, jakby chciał przepędzić stadko gęsi z podwórza. – No, ale dosyć tego! W końcu nie spotkaliśmy się dzisiaj, żeby pracować!

Wszyscy wycofali się z powrotem na górę. Przechodząc przez hol, Wickley dostrzegł kątem oka, że przybyli jacyś nowi goście. Mężczyzna z domowego personelu wyszedł im naprzeciw, skinął krótko głową, gdy oni coś do niego powiedzieli, następnie podszedł do von Balsdorffa, który wyłonił się z drzwi do piwnicy jako ostatni. Szepnął panu domu coś dyskretnie do ucha, na co ten od razu ruszył do nowo przybyłych, służącemu zaś gestem ręki dał do zrozumienia, że pozostałych gości ma zaprowadzić z powrotem do salonu. Mężczyźni sprawili na Wickleyu dziwne wrażenie. Nie wyglądali jak goście. Stanął z boku i obserwował rozgrywającą się scenę z drugiego końca holu. Obaj nieznajomi nawet nie zdjęli płaszczy, tylko z naciskiem mówili coś do von Balsdorffa. On natomiast słuchał ich uważnie, kilka razy potaknął głową. W końcu wyszli, ale po chwili wrócili z ciężkimi walizkami. Gospodarz zaprowadził ich do drzwi obok schodów. Dopiero teraz Wickley mógł zobaczyć jego twarz. Nie różniła się kolorem od białych ścian domu. Jeszcze kilka minut temu zdrowo opalony prezes wydawał się teraz o dziesięć lat starszy.

Po kilku minutach spędzonych za tamtymi drzwiami wyszedł sam do holu i wrócił do gości zgromadzonych w salonie. Wickley dołączył do niego.

– Praca nawet w weekend? – spytał żartobliwie.

– Słucham? Ach... – Von Balsdorff machnął ręką. – Sam pan wie, jak to jest.

Po czym wmieszał się w towarzystwo. Znowu uprzejmie się uśmiechał, przysłuchiwał się z zainteresowaniem, dowcipkował. Tylko jego twarz miała nadal taki kolor, jakby przed chwilą

dowiedział się o śmierci własnych dzieci.

Haga

Jak wynikało z planu miasta pozostawionego przez Bollarda, Manzanowi wystarczy dziesięć minut, żeby dojść do centrali Europolu. W hotelu pożyczono mu parasol. Po drodze zastanawiał się znowu nad osobliwym rozwojem sytuacji. Najbardziej nurtowało go pytanie, dlaczego Europol go tu ściągnął. Jego dawna sława hakera wydawała się niewystarczającym powodem, a o jego aktywności po wyroku wiedzieli raczej tyle co nic. Oczywiście Bollard nie mylił się, przypuszczając, że Manzano bynajmniej nie siedział potem bezczynnie. Odnosił nawet pewne sukcesy, tyle że był już ostrożniejszy. Odkrycie kodu też chyba nie stanowiło dostatecznie silnego motywu. W rezultacie te rozważania nie doprowadziły go do żadnego wniosku, więc pomyślał o Sonji Angström. Czy dotarła szczęśliwie do Brukseli?

W kompleksie budynków w ogóle nie dało się zauważyć jakiegokolwiek awarii. Jaskrawe światło widoczne w kilku oknach kontrastowało z szarością dnia. Zaaferowani ludzie przemierzali dziedzińce i hole. Manzano zgłosił się w recepcji, skąd po kilku minutach odebrał go osobiście Bollard.

Gdy jechali windą na czwarte piętro, spytał go – jak zwykle po angielsku:

– Czy coś pan jadł?

– Tak, w hotelu była ryba i ziemniaki.

– A jak pokój?

– Bieżąca ciepła woda, ogrzewanie, nawet telewizor. Nie mogę narzekać. Muszę jeszcze tylko rozwiązać problem z ubraniami.

– Proszę mi podać swój rozmiar i czego mniej więcej pan potrzebuje. Zajmę się tym.

Manzano nie był bynajmniej fanatykiem mody, jednak pomyślał, że ktoś obcy ma mu wybierać ubranie, nieszczególnie mu się podobał. Być może choćby dlatego, że przypominało mu to czasy dzieciństwa, kiedy robiła to za niego matka.

Bollard wprowadził go do gabinetu świeżo urządzonego jak spod igły. Czuć w nim było jeszcze zapach imitacji skóry na fotelach. Przy niewielkim stole konferencyjnym czekał kolejny mężczyzna – niski, gruby, z laptopem przed sobą. Bollard wymienił brzmiące z francuska nazwisko i oznajmił:

– On przeskanuje pana komputer.

Manzano z ociąganiem oddał mu swój sprzęt. Podczas gdy gość za stołem go uruchamiał, Bollard wręczył Włochowi jakiś dokument.

– Zobowiązanie do zachowania poufności.

Manzano przekartkował tekst, mając jednocześnie na oku monitor swojego laptopa.

Standardowe sformułowania, które znał z wielu umów ze swoimi prywatnymi zleceniodawcami. Nie spodziewał się, że usłyszy tutaj jakieś wyjątkowe tajemnice albo że zostanie zobligowany do ich dochowania. Cała sytuacja dotyczyła tak wielu podmiotów i tylu ludzi, że utrzymanie przez długi czas istotnych informacji pod kluczem wydawało się zupełnie niemożliwe. Wcześniej czy później ktoś na pewno gdzieś coś chlapnie – czy to z próżności, czy z politycznej kalkulacji, z zazdrości lub z jeszcze innych powodów. Nabazgrał swoje nazwisko na dole formularza i oddał go Bollardowi. Następnie odwrócił się znowu do specjalisty IT, który nie próbował ani wykasować jego danych, ani nic mu zainstalować.

– Napije się pan herbaty? – spytał go Bollard. – A może kawy?

– Poproszę o kawę.

Bollard zamówił przez telefon dwie kawy, po czym podszedł znowu do Włocha.

– Zaraz się odbędzie nasze pierwsze spotkanie poświęcone omówieniu sytuacji. Pozostali uczestnicy to ludzie z Europolu albo eksperci, z którymi już od dawna współpracujemy.

Stopniowo pozna pan ich wszystkich. Niektórzy są dosyć trudni w kontaktach, ale każdy jest wyśmienity w swojej dziedzinie.

Rozległo się pukanie do drzwi. Młoda kobieta przyniosła kawę.

– A z czym pana zdaniem mamy do czynienia? – spytał Manzano.

– Przeanalizujemy to na spotkaniu.

Napili się kawy.

– Pan pochodzi z Francji, prawda? – spytał Manzano. – Jak długo jest pan już w Hadze?

– Od roku.

– Kiedy tutaj szedłem, widziałem, że w normalnych domach nigdzie nie ma prądu. Czy mogę spytać, jak jest u pana?

Bollard odpowiedział wprost:

– W naszym domu nic nie działa, więc umieściłem swoją rodzinę przejściowo w miejscu, które ma niezależne źródła zasilania.

Zadzwoił telefon. Bollard odebrał. Manzano słyszał głos drugiego mężczyzny w słuchawce, ale nie rozumiał, co tamten mówi.

– Aha – powiedział Francuz. I po chwili: – Okej. To niedobrze.

Rozłączył się, podszedł do swojego biurka i sprawdził coś w komputerze.

– Nie jest dobrze – powtórzył.

Z rozmachem uderzył w jeden z klawiszy. Zazgrzytała drukarka obok biurka. Bollard wyjął z niej zadrukowane kartki papieru i pomachał nimi przed sobą.

– Interesujące nowiny.

Spojrzał na zegar.

– Cholera! Przepraszam pana. Zaraz zaczynamy, ale muszę jeszcze zadzwonić w dwa miejsca.

– To wy możecie jeszcze gdziekolwiek dzwonić?

– Mamy tutaj awaryjne zasilanie, które podtrzymuje także naszą centralę telefoniczną.

Połączenia zamiejscowe czasami jeszcze się udają, ale lokalne już są niemożliwe.

Bollard wybrał numer, odczekał, a potem odezwał się po francusku:

– Halo, *maman*.

Czyli jego matka. Manzano uczył się francuskiego przez cztery lata w szkole i był w nim wtedy całkiem dobry. Resztką tej umiejętności i pokrewieństwo z jego językiem ojczystym pozwoliły mu z grubsza zrozumieć rozmowę telefoniczną Bollarda.

Francuz ostrzegął swoją matkę:

– Nie, nic więcej nie mogę teraz powiedzieć. Najpóźniej jutro albo pojutrze dowiecie się na pewno więcej. Posłuchaj mnie teraz uważnie: przynieście z garażu stare radio i postarajcie się je uruchomić. Jeśli nie macie baterii, to spróbujcie je gdzieś zdobyć. Włączcie na jakąś stację informacyjną. Oszczędzajcie zapasy żywności. Pilnujcie, żeby studnia działała. Spróbuję poza tym przysłać do was Doreuilów z Paryża. Proszę, żebyście byli dla nich mili. Daj mi teraz tatę. – Zamilkł nadal ze słuchawką przy uchu.

Tymczasem mały grubas zamknął laptopa Manzana i powiedział:

– Wszystko w porządku. Dziękuję.

– Czy internet jest jeszcze dostępny? – spytał go Manzano.

– Dla większości nie. Ale my mamy bezpośrednio połączenie z siecią szkieletową. Jak na razie wszystko działa.

Odwróciwszy się do nadal rozmawiającego przez telefon Bollarda, uniósł kciuk do góry i wyszedł.

Manzano schował swój komputer do teczki i mimo woli przysłuchiwał się dalszej

rozmowie.

– Cześć, tato. Powiedziałem już trochę *maman*. Prawdopodobnie przyjadą do was Doreuilowie. To, co teraz ode mnie usłyszysz, zachowaj wyłącznie dla siebie. Jutro z samego rana idźcie do banku i podejmijcie tyle gotówki, ile tylko możecie dostać. Nie chciałbym cię straszyć, ale postaraj się mieć swoje strzelby sprawne i przygotowane do strzału. No i w miarę dużo amunicji.

Manzano nie wierzył własnym uszom. Rozmówca Bollarda chyba też nie. Francuz stał skupiony, gdy jego ojciec powiedział coś po drugiej stronie.

– Mówię tylko, że masz być przygotowany. Ale ani słowa o tym *maman* ani Doreuilom. Miejmy nadzieję, że moje obawy są bezpodstawne. Kocham was, *salut*.

Manzano przyglądał się Bollardowi z zaniepokojeniem. Ten facet nie wyglądał mu na kogoś, kto tak po prostu mówi do swoich rodziców „kocham was”. Zastanawiał się więc, co za informacje przekazano mu kilka minut temu. Tymczasem Francuz wybrał nowy numer. Znowu odezwał się po francusku. Po kilku zdaniach Manzano się zorientował, że tym razem zadzwonił do swojego teścia. Ta rozmowa nie przebiegała tak płynnie. Ze zdań rzucanych przez Bollarda dośpiewał sobie resztę.

– Jedźcie do moich rodziców do Nanteuil. Czekają na was.

– ...

– Nie zadawajcie teraz żadnych pytań. Po prostu zróbcie to, co wam mówię. Jak najszybciej.

– ...

– Tym razem prąd nie wróci tak szybko.

– ...

– Zabierzcie więcej ciepłych ubrań. To może potrwać kilka dni. Kto wie, czy nie dłużej.

– ...

Ze zniecierpliwieniem:

– Tak! Może nawet tydzień albo więcej.

– ...

– Moi rodzice mogą ogrzewać dom drewnem, mają własną studnię i parę kur.

– ...

– Postarajcie się wziąć z bankomatu tyle gotówki, ile tylko się da. Jeśli jeszcze znajdziecie jakiś działający.

– ...

– Tak! A jeżeli nie znajdziecie, to od razu jutro rano idźcie u moich rodziców do najbliższego banku i podejmijcie tyle, ile to możliwe.

– ...

– Nie mogę ci tego teraz powiedzieć. Zaufaj mi. Tylko nikomu nie powtarzaj. I pospieszcie się, żebyście zdążyli wydostać się z Paryża, zanim inni też będą próbowali zrobić to samo.

– ...

– Ona i dzieci są bezpieczne. Nie martwcie się. Ściskam was.

Rozłączył się. Jego twarz wyglądała na bledszą i bardziej pomarszczoną niż wcześniej. Zakłopotany spojrzął na Manzana.

– Pora na nasze spotkanie. Idziemy.

W sali konferencyjnej dominował długi owalny stół. Na jednej ścianie wisiały wielkoformatowe ekrany projekcyjne. Większość obecnych stanowili mężczyźni; Manzano zauważył jedynie trzy kobiety. Bollard wskazał mu miejsce, sam zaś usiadł dalej, pod ekranami.

Po lewej stronie Włocha siedział krępy mężczyzna około pięćdziesiątki z sumiastym wąsem. Na jego okrągłym nosie tkwiły duże okulary w złotej oprawce. Przedstawił się po angielsku jako Jan Lenneding, pracownik Europolu.

Sąsiad po prawej był nieco młodszy i miał ostre rysy twarzy.

„Triathlon – pomyślał Manzano – może Ironman”.

On też pracował dla Europolu.

Gdy Manzano wyjaśnił, że został zaangażowany w roli doradcy, obrzucono go spojrzzeniami pełnymi zaskoczenia.

– Dzień dobry państwu. – Bollard wstał. Mówił po angielsku. – O ile taki dzień można nazwać dobrym.

Trzymał w ręku małego pilota. Na dużym monitorze nad jego głową pokazała się mapa Europy. Przeważająca część kontynentu była pokryta czerwonym kolorem. Norwegia, Francja, Włochy, Węgry, Rumunia, Słowenia, Grecja i liczne mniejsze regiony w innych krajach były zacieniowane na czerwono-zielono.

– Ten obszar to teren naszego działania. Już wyjaśniam, co będzie jego celem. Od niemal czterdziestu ośmiu godzin znaczna część Europy pozbawiona jest prądu, mimo że w niektórych rejonach został on przejściowo przywrócony. To te zacieniowane miejsca na mapie. Od dzisiejszego przedpołudnia wiemy, że nie jest to bynajmniej przypadek. Już w nocy powstało podejrzenie, że we Włoszech i w Szwecji do inteligentnych liczników indywidualnych gospodarstw domowych przemycono kod.

Wąsaty sąsiad Manzana pochylił się ku niemu i szepnął:

– To by znaczyło, że nie są znowu takie inteligentne.

– Manipulacje w sieciach dwóch krajów nie wyjaśniają jednak załamania się systemu na rozległym obszarze kontynentu. Podczas wcześniejszych kryzysów zdestabilizowane systemy były izolowane, dzięki czemu reszta w ciągu kilku godzin mogła być przywrócona do równowagi. Tym razem się to nie udało, co daje powód do niepokoju.

Na ekranie za jego plecami ukazały się wykresy i diagramy kołowe w różnych kolorach.

– W scenariuszach symulacyjnych wielkopowierzchniowych wyłączeń prądu przyjmuje się, że w wyniku wahania częstotliwości może dojść do uszkodzeń w pewnej liczbie elektrowni. Szacunki mówią o dziesięciu do trzydziestu procent.

Na grafikach zmieniła się wielkość różnych słupków i wycinków tortów.

– Jak wynika z informacji, obecnie w większości krajów odsetek ten jest znacznie wyższy. W niektórych osiąga nawet osiemdziesiąt procent.

Przez salę przeszedł pomruk.

– Zdecydowanie więcej elektrowni, niż przypuszczaliśmy, ma trudności z ponownym uruchomieniem.

W tym momencie rozległ się czyjś męski głos:

– Zakłócenia w wyniku wahania częstotliwości powinny być neutralizowane przez automatyczne wyłączenia awaryjne. Czy zniszczone zostały generatory, czy trafo?

– To byłaby katastrofa – zauważył ktoś inny.

– Na razie mamy za mało pewnych danych. Pierwsze meldunki mówią raczej o bliżej niezdefiniowanych problemach przy próbie uruchomienia.

– Stuxnet? – spytał kolejny. – Czy coś podobnego?

– Właśnie jest to sprawdzane. Oczywiście upłynie trochę czasu, zanim dowiemy się czegoś konkretnego.

– Bliżej niezdefiniowane problemy – powtórzył jeden z obecnych. – To raczej nie brzmi jak uszkodzenie generatora.

– To prawda – potwierdził Bollard. – Operatorzy jeszcze szukają przyczyn. Trzeci element układanki – kontynuował – pojawił się dzisiaj rano.

Za jego plecami znowu ukazała się mapa pokolorowanej i pocieniowanej Europy.

– Od godziny dziesiątej w wyniku zawieszenia się komputerów doszło do zablokowania central licznych operatorów. Dotyczy to Norwegii, Niemiec, Wielkiej Brytanii, Francji, Polski, Rumunii, Włoch, Hiszpanii, Serbii, Węgier, Słowenii i Grecji.

Zacieniowane dotąd obszary przyjęły jednolity czerwony kolor. Z sali dochodziły okrzyki przerażenia i odgłosy świadczące o nagłym zrozumieniu, co tak naprawdę się dzieje.

– W konsekwencji wiele z trudem podniesionych sieci padło z powrotem. To, co w każdej z poszczególnych central początkowo wyglądało na nieszczęśliwy zbieg okoliczności, niebawem okazało się oczywiście czymś zgoła innym. Szanowni państwo, ktoś przypuszcza atak na Europę.

W sali zaległa cisza.

– Czy wiadomo kto? – spytał w końcu mężczyzna przy przeciwległym końcu stołu.

– Nie – odpowiedział Bollard. – Operatorom udało się ustalić liczniki, przez które do systemu zostały wprowadzone te nieszczęsne kody. W każdym kraju po trzy. Cztery z domów i mieszkań, do których przypisane są te liczniki, są zamieszkane.

Bollard pokazał zdjęcia przysłane prawdopodobnie z Włoch i ze Szwecji. Na niektórych z nich Manzano rozpoznał typowe detale włoskich urzędzeń.

– Mieszkańcy wszystkich tych lokali twierdzą jednogłośnie, że przed awarią złożyli im wizytę serwisanci miejscowych spółek energetycznych. Mimo początkowych wątpliwości w końcu uznali ich za wiarygodnych. Teraz przy udziale właśnie tych mieszkańców sporządzane są portrety pamięciowe owych rzekomych serwisantów. Miejscowe organa miały trudności z uzyskaniem danych dotychczasowych lokatorów pustych mieszkań, ponieważ banki danych przestały działać z powodu braku zasilania. Udało się do nich dojść dopiero dzięki zastosowaniu awaryjnych generatorów. Jak wynika ze wstępnych ustaleń, żadna z osób nie ma ani kryminalnej, ani w ogóle żadnej innej podejrzananej przeszłości. Jednak przez brak prądu z każdym dniem coraz trudniej jest cokolwiek ustalić.

– Czy w wyniku tych ustaleń zostanie ogłoszony stan wyjątkowy?

– Ta decyzja leży w gestii poszczególnych państw, ewentualnie NATO. Tylko problem polega na tym, że nie znamy agresora. Czy są to jakieś siły spoza Europy? Terrorysty? Czy zwykli przestępcy? W pierwszym przypadku stan wyjątkowy jest prawdopodobny. Natomiast zwalczanie ataków terrorystycznych i zorganizowanej przestępczości to już sprawa policji. Tym samym naszej organizacji przypada niezwykle ważne zadanie. Przede wszystkim bardzo proszę oficerów łącznikowych w poszczególnych krajach o ścisłą współpracę. Działanie w pojedynkę w sytuacji ogólnoeuropejskiego zagrożenia nie ma najmniejszego sensu. Pełną dokumentację dotyczącą przypadku szwedzkiego i włoskiego znajdziecie w swoich e-mailach i na serwerze pod zakładką „Blackout”. Proszę przekazać ją jak najszybciej wszystkim odpowiednim instytucjom narodowym. Z drugiej strony istotne dla nas są wszelkie informacje o ewentualnych manipulacjach w innych krajach. Musimy wiedzieć o problemach z elektrowniami czy zablokowaniu centrów dyspozycyjnych we Francji czy gdziekolwiek indziej. – Bollard popatrzył znowu na obecnych. – Tak więc starajcie się przekazywać jak najszybciej wszystkie nowe informacje, jakie uzyskacie. Nasz specjalny zespół odpowiednio je uporządkuje i prześle właściwym organom w innych krajach.

– A jak to przedostanie się do opinii publicznej... – jęknął mężczyzna po lewej od Manzana.

– Na razie nic takiego się nie stanie – powiedział zdecydowanym tonem Bollard.

Manzano czekał na Bollarda przed salą.

- Pan mówił to poważnie? – spytał.
 - Co?
 - Że ludzie nie zostaną poinformowani, na co powinni się przygotować?
 - Obywatele dowiedzą się, że awaria potrwa jeszcze kilka godzin, a w niektórych rejonach być może kilka dni. Informacje o ataku mogłyby wywołać panikę.
 - Ale w niektórych rejonach to nie będzie tylko kilka dni!
 - Rządy wszystkich krajów w Europie podejmują już odpowiednie działania. Takie sytuacje były ćwiczone. Proszę pamiętać, że to, o czym tu mówimy, jest objęte całkowitą tajemnicą.
 - Oczywiście – odparł Manzano, nie kryjąc swej dezaprobaty.
- Bollard spojrział na niego przenikliwie, po czym ruszył w stronę swojego gabinetu. Włoch poszedł za nim. Musiał powiedzieć jeszcze jedno.
- Oprogramowanie używane do sterowania sieciami energetycznymi i elektrowniami jest, z jednej strony, bardzo złożone, a z drugiej – wyjątkowo specjalistyczne. Na całym świecie istnieje zaledwie kilka firm, które są w ogóle w stanie dostarczyć taki software. Wspomniano już o Stuxnecie. Czy dałoby się sporządzić listę wszystkich elektrowni, operatorów i innych firm energetycznych mających obecnie problemy oraz dostawców software’u dla każdego z tych klientów?
- Mimo braku zaproszenia wszedł do gabinetu Bollarda.
- Proste to z pewnością nie będzie. I prawdopodobnie nie takie oczywiste, jak się panu wydaje. A do czego pan zmierza?
 - Jeszcze nie wiem.
- Bollard popatrzył na niego z lekkim powątpiewaniem.
- Mam pewne podejrzenie – wyjaśnił Manzano. – Gdybym mógł dostać takie dane przynajmniej z kilku krajów, bardzo by mi to pomogło.
- Bollard skinął głową.
- Zobaczę, co się da zrobić.

Paryż

Oczywiście winda w domu, w którym mieszkała Shannon, nie działała, podobnie jak wszystkie publiczne środki komunikacji. Wchodziła więc na górę po schodach. Była wycieńczona, ale przynajmniej się rozgrzała.

Z redakcji do domu szła dwie godziny na piechotę. Po drodze zrobiła kilka zdjęć małym aparatem, ale w końcu wyładowała się w nim bateria.

Dotarwszy na swoje piętro, zobaczyła przed drzwiami sąsiadów walizki i torby. Bertrand Doreuil wystawiał właśnie na korytarz kolejny bagaż. Przed przejściem na emeryturę ten wysoki i chudy mężczyzna o przerzedzonych siwych włosach był jakimś wysokim urzędnikiem w którymś z ministerstw. Tyle Shannon o nim wiedziała. Znała go jako zabawnego rozmówcę i uczynnego sąsiada.

– Dobry wieczór, monsieur Doreuil. Ucieka pan? – spytała ze śmiechem. – Trudno się dziwić.

Doreuil spojrział na nią z lekkim rozdrażnieniem.

– Ależ skąd. Wybieramy się na kilka dni z wizytą do teściów naszej córki.

– Pańska żona nic o tym nie wspominała.

– Zaprosili nas tak spontanicznie.

Shannon rzuciła okiem na bagaż. Nie wyglądało to na przygotowanie do kilkudniowego wyjazdu, ale raczej do podróży dookoła świata.

– Chyba musieli państwo zabrać mnóstwo prezentów dla gospodarzy – zauważyła. – Mam nadzieję, że tam przynajmniej jest prąd.

Za plecami sąsiada pokazała się jego żona.

– Och, w razie czego Bollardowie ogrzeją dom drewnem. A jak zgłodniejemy, to po prostu zabiją jakąś kurę – zażartowała.

Mąż uśmiechnął się kwaśno.

– Wracam właśnie z konferencji prasowej, na której jakaś ważna osobistość zapewniała nas, że niedługo wszystko będzie działać.

– Na pewno – zaszczebotała madame Doreuil.

– Tyle że powiedziano nam to jeszcze przed tym ostatnim wyłączeniem. A czy do państwa nie wybierała się przypadkiem córka z rodziną?

– Owszem, ale z powodu tych kłopotów musieli przełożyć swój przyjazd. Zięć na razie nie może w ogóle opuszczać Hagi.

Mąż rzucił swej żonie surowe spojrzenie. Annette Doreuil uśmiechnęła się do niego niepewnie, po czym zwróciła się znowu do Shannon:

– Ach, czy byłaby pani tak miła i zajęła się naszą pocztą?

Trochę za dużo było tych achów i ochów. Całe to nerwowe zamieszanie nie pasowało do zazwyczaj opanowanych państwa Doreuilów.

– Ależ oczywiście – odparła Shannon tak niefrasobliwie, jak tylko potrafiła, podczas gdy w jej głowie aż wrzało od gorączkowych myśli.

Widziała kilka razy zięcia sąsiadów. O ile dobrze pamiętała, zajmował jakieś kierownicze stanowisko w Europolu, zdaje się, że odpowiadał za zwalczanie terroryzmu. Dlaczego ktoś taki jak on nie mógł opuścić swojego miejsca pracy z powodu awarii prądu? I dlaczego Doreuil zmierzył swoją żonę takim srogim wzrokiem, kiedy tylko o tym wspomniała? Dziennikarski instynkt Shannon nagle się obudził.

– Czy u państwa córki wszystko w porządku? – spytała.

– Co prawda u nich też nie ma elektryczności, ale poza tym jest dobrze. Właśnie

rozmawialiśmy dzisiaj z zięciem... – odpowiedziała pani Doreuil.

– Skarbie – przerwał jej mąż – chyba mamy już wszystko. Powinniśmy wyruszać, żeby nie dotrzeć na miejsce zbyt późno. Przecież wiesz, że Bollardowie chodzą spać z kurami.

– Może pomogę państwu znieść bagaże? – zaproponowała Shannon. – Widzę, że trochę się tego nazbierało, a winda nie działa.

– To... – zaczęła pani Doreuil.

– ...nie będzie konieczne – dokończył za nią pan Doreuil. – Ale dziękujemy za chęć pomocy.

Shannon westchnęła z wdzięcznością ku niebiosom, że ani właścicielka jej mieszkania, ani pozostali współlokatorzy nie zainwestowali w żaden luksusowy, supernowoczesny telefon. Przez staromodny aparat stacjonarny po paru próbach udało się jej dodzwonić do redakcji. Tam też – po doświadczeniach ostatnich dni – wygrzebano jakiś stary model i teraz z niego korzystano.

– Coś się musi dziać – oznajmiła z przekonaniem Laplante'owi. Turnera nie było. – Poinformuj korespondentkę w Brukseli!

– Nie mam jak się z nią skontaktować.

– Wobec tego pojedę do Hagi. Samochodem będę tam za pięć godzin.

– Myślałem, że nie masz samochodu.

– No właśnie. Może byś mi pożyczył swój...

– A jak ja dostanę się do domu i do pracy? Przecież nic nie kursuje...

– Wydawca mógłby załatwić mi samochód z wypożyczalni...

– Bo masz jakieś mgliste przypuszczenie? Nic z tego.

– Eric, posłuchaj, wiem, że na pewno coś w trawie piszczy. Człowiek, który w Europolu odpowiada za walkę z terroryzmem, nie może opuszczać Hagi i wyjechać nawet na kilka dni do rodziny. Niby dlaczego?

– Po prostu ogólna gotowość.

– Proszę cię, nie wyjeżdżaj mi z czymś takim! Czyli was to nie interesuje?

– Mogę dalej próbować złapać naszych korespondentów w innych krajach Beneluksu.

– Do tej pory to nie będzie już aktualne.

Odłożyła słuchawkę. Uruchomiła swojego laptopa i przez stary modem telefoniczny połączyła się z internetem.

Niektóre strony nie działały. Inne otwierały się powoli i co rusz się zawieszały. Jednak Shannon się nie poddawała. Zaczęła szukać w katalogach międzynarodowych danych kontaktowych Europolu i François Bollarda w Hadze. Znalazła europejski urząd policji, nigdzie natomiast nie zauważyła prywatnego numeru telefonicznego zięcia swoich sąsiadów. Za to natknęła się na pewien adres.

Tylko w jaki sposób dostać się do Hagi? Współczesne pociągi nie pojedą bez prądu. Może jest jakaś linia autobusowa? Wyszukiwarka wypuła kilka wyników. W normalnej sytuacji rzeczywiście kursował autobus nocny. Czyli nad ranem byłaby na miejscu. Shannon spojrzała na zegarek. Autobus wyjeżdżał za pięć godzin. Jeśli nie jest odwołany. Sprawdziła, ile ma pieniędzy w portmonetce. Siedemdziesiąt euro. To mogło nie wystarczyć. Przeszukała wszystkie torby, ubrania i szuflady w swoim pokoju. W końcu uzbierała w sumie sto czterdzieści euro. Nadal za mało.

Zbiegła na dół i popędziła do najbliższej filii swojego banku. W radiu mówili, że sporo bankomatów wciąż działa i że podobno już jutro banki będą otwarte. Przesunęła swoją kartę z góry na dół w urządzeniu tuż przy drzwiach, które faktycznie zaraz się otworzyły i pozwoliły wejść do pomieszczenia z bankomatem. Na jego ekranie były widoczne te same napisy co

zawsze.

Sprawdziła stan swojego konta.

2167 euro.

Skromne oszczędności wieloletniego włączenia się z kamerą.

Shannon podjęła półtora tysiąca.

Wcisnęła pieniądze do kieszeni spodni i szybko wróciła do domu.

Worek żeglarski wypakowała ciepłymi ubraniami. Wzięła też obie swoje kamery cyfrowe, wszystkie baterie i zasilacze, jakie tylko znalazła, no i na koniec laptopa. Dojście na piechotę do przystanku autobusowego zajęłoby jej co najmniej półtorej godziny. Wykręciła więc numer korporacji taksówkowej i czekała w kolejce na połączenie z dyspozytorką. Po dziesięciu minutach zrezygnowała. Może uda jej się złapać jakąś taksówkę na ulicy. Włożyła puchową kurtkę i ciepłe kozaki, zarzuciła na ramię worek, jeszcze raz się rozejrzała po pokoju i wyszła. Na klatce schodowej było całkowicie ciemno.

Haga

Z głową nabitą myślami Manzano szedł szybko przez deszcz do hotelu. Zastanawiał się, czy ma zadzwonić do Sonji Angström. Zostawiła mu przecież swój numer do pracy. W końcu się zdecydował. Po kilku sygnałach odezwał się obcy głos. Manzano spytał o swoją nową znajomą.

– Ona jest na urlopie! – usłyszał w odpowiedzi.

Nie czuł się w obowiązku wyjaśniać osobie po drugiej stronie, że Angström niebawem powinna się pojawić na swoim stanowisku. Rozłączył się. Uznał, że pewnie jest jeszcze w mieszkaniu, by się przebrać. Ten numer też mu dała, więc zadzwonił. Tym razem w słuchawce nie odezwał się w ogóle żaden sygnał.

Manzano rzucił się na łóżko i zalogował się do sieci Europolu. Ten mały gruby wyposażył jego komputer w Network Access Control, więc gdy teraz chciał wejść do sieci korporacyjnej, najpierw laptop był poddawany kontroli dostępu zdalnego. Przy tej okazji Europol mógł odtworzyć i prześledzić wszystkie czynności Manzana na tym sprzęcie. Nie ulegało wątpliwości, że w takiej instytucji tego rodzaju środki ostrożności są niezbędne, zwłaszcza gdy ściągano sobie na kark kogoś obcego.

Bollard polecił mu, aby zapoznał się z kilkoma materiałami. W jednym z folderów znajdowały się ważne informacje dla wszystkich członków zespołu. Manzano kliknęła w odpowiednią ikonkę.

– I co on robi?

Bollard zastukał tylko raz w drzwi i wszedł do środka, nie czekając na zaproszenie. Ten pokój różnił się od innych hotelowych pokoi tym, że na biurku i wokół niego piętrzyły się góry sprzętu elektronicznego. Na trzech niedużych ekranach widać było czarno-biały podgląd innego pokoju. Na środkowym Bollard rozpoznał Manzana, który siedział na swoim łóżku z laptopem na kolanach. Coś czytał w skupieniu. Od czasu do czasu uderzał palcem w klawiaturę.

Przekonanie odpowiednich holenderskich organów do śledzenia i podsłuchiwania Manzana nie kosztowało Bollarda specjalnie dużo wysiłku. Kiedy Włoch siedział jeszcze w samolocie, w jego pokoju zainstalowano kamery i mikrofony. Dwa piętra wyżej przez dwadzieścia cztery godziny na dobę obserwowali go specjaliści funkcjonariusze. Kiedy wychodził z hotelu, deptały mu po piętach dwa zespoły. Wprawdzie Bollard nie sądził, by w osobie Manzana mieli pośród siebie jednego ze sprawców, ale wolał nie ryzykować.

– Nic specjalnego – odpowiedział jego cień, gburowaty trzydziestolatek w dżinsowej kurtce. – Dzwonił trzy razy.

– Dokąd?

– Raz do MIC w Brukseli. Pytał o Angström. Potem na jej prywatny numer. Ale nie zastał jej ani tu, ani tam. Trzeci telefon był do Austrii. Do pensjonatu pod Ischgl. Zostawił wiadomość i swój numer dla niejakiego Bondoniego i powiedział, że zadzwoni jeszcze raz. Od tamtej pory siedzi na łóżku i czyta coś w komputerze.

– Cały czas tylko czyta?

– O ile mogę zobaczyć – tak.

– Okej. Wobec tego znikam. Proszę mnie zawiadomić, gdyby próbował zrobić coś nietypowego.

Bollard zastanowił się, czy nie powinien jednak pojechać do domu. Pryszyć mógł wziąć w biurze, do spania nie potrzebował koniecznie ogrzewania, poza tym w każdej chwili mógł być szybko z powrotem w pracy, no i nie zużyłby dużo benzyny. Ale z drugiej strony nie chciał zostawić Marie i dzieci samych w pierwszy wieczór w obcym miejscu.

Na ulicach było więcej samochodów niż zwykle. Ludzie mieli jeszcze w bakach dość

paliwa. W najbliższych dniach to się zmieni, pomyślał Bollard. Wskaźnik w jego aucie znajdował się w połowie wysokości. Po wydarzeniach ostatnich godzin centrala zapewniła wszystkim nieodzownym pracownikom dostęp do rezerw przeznaczonych dla służb pomocniczych i władz.

Przed okazałym wiejskim domem stało zaparkowanych kilkanaście samochodów. Bollard zatrzymał się przy nich, po czym podszedł do drzwi i zadzwonił. Wpuściła go do środka jasnowłosa kobieta w koszuli w kratkę, która przedstawiła się jako właścicielka, Maren Haarleven.

– Proszę wejść – powiedziała. – Pańska rodzina je właśnie kolację.

Bollard wszedł za nią do przestronnej izby, w której stało kilka dużych stołów. Wszystkie były zajęte. Niektóre twarze wydawały mu się znajome, bo kiedy zapewnił tu miejsce swoim bliskim, przekazał ten adres także paru kolegom.

Dzieci przywitały go radosną paplaniną o gospodarstwie i zwierzętach. Podczas kolacji nie rozmawiali o awarii. Dopiero kiedy dzieci zasnęły, Marie spytała go po cichu:

– Powiesz mi, co się dzieje?

– Będziecie musieli zostać tu przez kilka dni. Dzieciom chyba się podoba.

– W wiadomościach mówili, że u nas znowu nie ma prądu.

Bollard wiedział, że żona, mówiąc „u nas”, miała na myśli Francję. Skinął więc głową.

– Rozmawiałem ze swoimi rodzicami. I z twoimi też.

– Jak sobie radzą?

– Dobrze – odpowiedział z uśmiechem. – Poprosiłem twoich rodziców, żeby wybrali się w odwiedziny do moich.

Zmarszczyła czoło.

– Po co?

– Na wypadek gdyby awaria miała potrwać dłużej.

– Niby dlaczego?

– Nigdy nie wiadomo.

– A dlaczego akurat do nich? Bo tam taki ładny krajobraz? I żeby jeszcze raz pooglądali sobie zamki nad Loarą?

– Bo tam jest własna studnia, ogrzewany drewnem kominek i trochę kur.

Rodzice Bollarda już kilkadziesiąt lat temu zrezygnowali z prowadzenia dużego gospodarstwa na rzecz pensjonatu ze śniadaniem, pola wydzierżawili. Od tamtego czasu ceny ziemi poszły tak horrendalnie w górę, że kilka sprzedanych hektarów uczyniło z nich ludzi jeszcze bardziej zamożnych. Jedyne na własne potrzeby trzymali wciąż kilka świń, krów i trochę kur.

Jego żona spojrzała na niego z wyraźnym niepokojem w oczach, ale nie naciskała więcej. Zdawała sobie sprawę, że on nie zawsze może powiedzieć jej wszystko o swojej pracy.

– No dobrze – stwierdziła ze wzruszeniem ramion. – Mam nadzieję, że jakoś ze sobą wytrzymają.

Berlin

W Urzędzie Kanclerskim Michelsen bywała do tej pory tylko przy oficjalnych okazjach. I jeśliby to od niej zależało, wolałaby nie być tu teraz obecna z takiego powodu. Nie przyszła sama. Wraz z nią zjawili się członkowie sztabu kryzysowego reprezentujący wszystkie branże. W ciągu niewielu godzin, pod ogromną presją, przygotowali prezentację. O ile można to było nazwać prezentacją. Przedstawiony w niej scenariusz kojarzył się Michelsen z obrazami piekła na obrazach Hieronima Boscha. W wyniku przedpołudniowej informacji wkroczyli w całkiem nowe stadium. Wszędzie wyczuwało się skrajną nerwowość. Przy wejściu zostali sprawdzeni przez pracowników bezpieczeństwa, po czym młody mężczyzna zaprowadził ich wszystkich do dużej sali konferencyjnej na drugim piętrze. Dwaj inni młodzi ludzie pomogli jej podłączyć laptopy. Nie mówiono wiele. Każdy ograniczał się do wymiany jedynie niezbędnych informacji. Szok był zbyt głęboki. Racjonalne, profesjonalne działanie albo przynajmniej stwarzanie jego pozorów wydawało się jedyną strategią umożliwiającą panowanie nad własnymi emocjami. Michelsen sama dziwiła się sobie, że jest taka spokojna. Wiedziała jednak, że to stan przejściowy. Wcześniej czy później wszystko wybuchnie. Oby tylko nie stało się to w niewłaściwym momencie.

W milczeniu czekali na swoją publiczność. Michelsen zauważyła, że wszyscy unikają swoich spojrzeń. Nikt nie chciał się przyznać, że ma strach w oczach. Na jednej ze ścian wisiało w dwóch rzędach dziesięć monitorów. Na kilku były widoczne twarze starszych mężczyzn. Niektórzy z nich już wczoraj po południu brali udział w spotkaniu szefów firm energetycznych z kanclerzem, Michelsen rozpoznała Heffgena i von Balsdorffa. Poprawiali sobie marynarki albo wyrównywali materiały leżące na kupce przy komputerze, przed którego kamerą widocznie siedzieli. Czas płynął. Niebo nad Berlinem było tak ponure jak jej myśli. Przemknęło jej przez głowę, że należy do bardzo uprzywilejowanych, bo nadal może siedzieć w ciepłych pomieszczeniach. Głośne kroki wyrwały ją z zadumy.

Pierwszy wszedł do środka kanclerz Niemiec. Zdecydowany, elegancki, poważny. Podał każdemu rękę. Był szczupłym mężczyzną o lekko pochylonych plecach, co było typowe dla osób wyjątkowo roslých, a chcących wyglądać na niższe. Ostre rysy jego twarzy przypominały Michelsen i wielu innym Niemcom szefa państwa, który w zbiorowej pamięci narodu wciąż uchodził za najbardziej imponującego i najskuteczniejszego – Konrada Adenauera. To podobieństwo niewątpliwie przyczyniło się do jego sukcesu w wyborach. Obejmując władzę, był jednak o trzydzieści lat młodszy od swojego pierwowzoru w tym samym momencie kariery politycznej i reprezentował inny obóz ideologiczny. Skutki kryzysu ekonomicznego sprawiły, że program socjalny stał się znowu nośny społecznie, a jeszcze bardziej kuriozalne było to, że akurat człowiek szybko pnący się w górę w biznesie zyskał sympatię działaczy socjaldemokratycznych i wyborców. Michelsen na niego nie głosowała. Uważała go za pozbawionego zasad oportunistę, lecz kiedy się lepiej zastanowiła, doszła do wniosku, że w gruncie rzeczy podobnie ocenia większość polityków zajmujących najwyższe stanowiska w państwie. Być może wynikało to z tego, że dorastała w czasach, gdy w polityce zdawało się chodzić jeszcze o idee i o nic innego. Musiała jednak przyznać, że obecny kanclerz jak na razie przeprowadzał kraj przez kryzys ekonomiczny lepiej niż większość jego zachodnich kolegów. Również teraz emanował energią i zdecydowaniem. Wraz z nim przybyli wszyscy członkowie rządu i premierzy krajów związkowych z wyjątkiem premiera Szlezwicka-Holsztynu, którego z powodów zdrowotnych reprezentowała jego zastępczyni. Uściski dłoni trwały kilka dobrych minut. Potem wszyscy zajęli swoje miejsca.

– Dziękuję państwu za przybycie i witam także tych uczestników spotkania, którzy są z

nami obecni dzięki satelicie – rozpoczął swoje wystąpienie kanclerz.

Z każdego z dziesięciu monitorów na przeciwległej ścianie spoglądała teraz ta sama twarz.

– Rozwój wydarzeń w ostatnich godzinach nadaje naszemu zebraniu zupełnie odmienne znaczenie niż to, z jakim je wczoraj zwoływaliśmy. Dzisiejsze ustalenia we Włoszech i w Szwecji, jak również najświeższe wypadki we Francji i w innych krajach nie pozwalają nam już sprowadzać obecnej sytuacji wyłącznie do nieszczęśliwego zbiegu okoliczności. Europejskie służby bezpieczeństwa przypuszczają, że mamy do czynienia z szeroko zakrojonym atakiem na systemy energetyczne na naszym kontynencie. Aby unocznić nam wszystkim, co to konkretnie oznacza dla Niemiec, poprosiłem poszczególne ministerstwa o przedstawienie obrazu bieżącej sytuacji oraz scenariusza tego, co nas czeka. – Przerwał na chwilę i napił się wody.

Michelsen spodziewała się w tym miejscu jakiegoś apelu albo dramatycznego wezwania i prośby o uwagę. Tymczasem kanclerz, zwracając się w stronę zgromadzonych, powiedział jedynie:

– Panie i panowie, proszę.

Michelsen zauważyła dyskretną wymianę spojrzeń między ministrem spraw wewnętrznych a sekretarzem stanu Rhessem, uzupełnioną nieznacznym skinieniem głowy przez ministra.

Rhess wstał z miejsca i zaczął mówić:

– Od blisko czterdziestu ośmiu godzin znaczna część Niemiec pozbawiona jest prądu. Z pewnością wszystkim z państwa znana jest treść raportu *Zagrożenia i słabe punkty współczesnych społeczeństw – na przykładzie długotrwałej przerwy w dostawie prądu na dużym obszarze kraju* opracowanego przez Komisję ds. Edukacji, Badań Naukowych i Szacowania Skutków Rozwoju Techniki wiosną 2011 roku.

Mogę dać głowę, że nikt go nie przeczytał, pomyślała Michelsen.

– Oto wstępna ocena, jakie konsekwencje mają dla społeczeństwa ostatnie wydarzenia.

Zmontowali w jedną całość fragmenty kilku telewizyjnych materiałów z ostatnich dni. Na dużym ekranie na szerszej ścianie sali ukazały się ujęcia ciemnego supermarketu pozbawionego ludzi.

– Zaczniemy od zaopatrzenia w żywność. Przeważająca część mieszkańców kraju nabywa artykuły spożywcze w supermarketach i halach targowych. Te źródła są na razie w większości niedostępne. Koleżanka Michelsen, zastępca dyrektora Wydziału Zarządzania Kryzysowego i Ochrony Ludności w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, wyjaśni państwu krótko, dlaczego tak się dzieje.

Michelsen wstała i przejęła głos. Pokazała obrazy portów. Wśród morza kontenerów gigantyczne dźwigi podnosiły ze statków ogromne metalowe skrzynie. Kolejny obraz to pociągi towarowe. Potem kamera najechała na wysokie góry towarów w magazynach i chłodniach.

– Niemal cały łańcuch produkcyjny i dostawczy artykułów spożywczych nie funkcjonuje, ponieważ wszystkie współczesne systemy opierają się na elektronice – zaczęła swoje wystąpienie.

Ekran pokazywał hale wypełnione krowami, cisnącymi się jedna obok drugiej w ciasnych metalowych boksach.

– Weźmy na przykład jeden z naszych podstawowych produktów spożywczych, mleko. Normalnie mamy w Europie kłopot z jego nadmiarem, co zmusza nas do wylewania morza mleka albo do sprzedawania go po dumpingowych cenach krajom Trzeciego Świata. Mleko to pochodzi z na wpół przemysłowych wytwórni mających tysiące krow, z zakładów, które funkcjonują jedynie dzięki zastosowaniu niezliczonych automatycznych urządzeń do karmienia, dojenia i

nagrzewania. Te wielkie przedsiębiorstwa dysponują awaryjnymi systemami zasilania zdolnymi pracować przez kilka dni. Nieliczne są nawet całkiem samowystarczalne. Ale to i tak niewiele im pomoże, bo wszystkie mleczarnie, które zajmują się odbieraniem mleka od producentów i jego przetwarzaniem, nie są w stanie wykonywać swoich zadań, ponieważ ich ciężarówki mają puste zbiorniki na paliwo. I nie ma ich czym napełnić, albowiem pozbawione prądu stacje benzynowe nie są w stanie przepompować benzyny z podziemnych zbiorników do dystrybutorów.

Kolejka samochodów na stacji benzynowej.

– Ale nawet gdyby dało się odebrać mleko i przewieźć je do zakładów przetwórczych, to i tak nie pracują w nich żadne maszyny.

Obrazy pustych mleczarni, błyszczące metalowe rury, nieruchome taśmy transmisyjne.

– Idźmy dalej. Wyprodukowane już artykuły są zmagazynowane w ogromnych chłodniach. A te, jak się państwo domyślają, bez prądu nie chłodzą. A w każdym razie niezbyt długo, w zależności od wyposażenia.

Swoje słowa zilustrowała odpowiednimi ujęciami.

– Ale nawet gdyby towary się nie popsuley, to pojawia się znowu problem transportu. Bez paliwa nie da się dostarczyć niczego z magazynów do sklepów. Wcale nie lepiej wygląda sytuacja w supermarketach, które są całkowicie uzależnione od elektroniki. Cały proces składania zamówień i składowania odbywa się za pośrednictwem komputerów, ale tylko gdy jest prąd. Zaledwie po kilku godzinach awarii pracownicy nie wiedzą, jakie towary są jeszcze w magazynie, a jakich brak. Dramatyzm sytuacji przejawia się na dodatek w takich zwyczajnych drobiazgach jak drzwi, które otwierają i zamykają się automatycznie, czy kasy, przy których nikt nie może za nic zapłacić. Część personelu nie dociera do swoich miejsc pracy, ponieważ nie działają publiczne środki transportu, a paliwa w prywatnych samochodach też już brakuje. Oczywiście drzwi można otworzyć ręcznie. Zapłatę za zakupy można podliczyć ołówkiem na papierze. Nietrudno sobie jednak wyobrazić, że w istniejących okolicznościach wiele supermarketów pozostanie jednak zamkniętych. A te, które mimo wszystko będą dostępne, wskutek braku dostaw szybko zaczną świecić pustkami. To był tylko przykład mleka, ale sytuacja wygląda podobnie w przypadku wszystkich innych produktów spożywczych. Lecz to, niestety, nie koniec historii – kontynuowała, przywołując na ekran obrazy gigantycznych obór. – Powróćmy ponownie do początku. Bo jeśli chodzi o produkcję mleka, w najbliższych dniach czeka nas prawdziwa katastrofa, której raczej trudno będzie zapobiec. Kto z państwa dorastał na wsi albo chociaż raz spędził wakacje z dziećmi w gospodarstwie, na pewno nieraz słyszał muczenie krów rano, gdy ich wymiona są pełne i gdy zwierzęta domagają się dojenia. Dokładnie tego samego domagają się teraz w tych wszystkich oborach, w których brak jest prądu. Te krowy hodowane są w celu produkcji mleka. Każda z nich daje go do czterdziestu litrów dziennie. Proszę sobie wyobrazić ich wymiona nieopróżniane od dwóch dni. Gospodarze są w stanie wydoić ręcznie znikomą liczbę zwierząt, pozostałe zaś w nieopisany sposób cierpią. I gdybyśmy nawet w najbliższych godzinach wyposażyli dotknięte awarią gospodarstwa w agregaty prądotwórcze, to i tak dla wielu pomoc przyszlaby za późno. Miliony krów zdechną wśród ogłuszającego ryku i w niewyobrażalnych cierpieniach z powodu rozdętych wymion, bo na ubój na taką skalę brakuje nam środków i personelu.

Na myśl o tym napłynęły jej do oczu łzy. Na ekranie płonęły całe góry trudnej do zidentyfikowania rozdętej padliny. Zdjęcia pochodziły z okresu epidemii BSE w latach dziewięćdziesiątych, kiedy w Anglii z konieczności zabito miliony krów, a potem je spalono.

– Musimy przygotować się na podobne obrazy w najbliższych dniach, tylko nie jestem pewna, czy mimo wszystko uda nam się do tego dojść, ponieważ do przeprowadzenia takiej akcji potrzebne są wózki widłowe i koparki, a one wymagają paliwa. Sytuacja jest podobna we

wszystkich innych hodowlach. Wyobraźmy sobie fermy z tysiącami kurczaków w hali ogrzewanej sztucznym światłem. W całej Europie miliony drobiu zmarzną i padną z głodu. Choć świnie nie są tak delikatne, po paru dniach stanie się z nimi to samo.

Michelsen musiała zaczerpnąć powietrza.

– Ten sam problem dotyczy przemysłowej hodowli warzyw i owoców. Nawadnianie, ogrzewanie i oświetlenie nie działają, a najpóźniej za kilka dni również w zakładach dysponujących systemami awaryjnymi wszystko stanie. Nietrudno się domyślić, jakie to będzie miało skutki dla tych przedsiębiorstw. Wszystkie splajtują. A to oznacza powstanie w średniej perspektywie krytycznej sytuacji w zakresie zaopatrzenia w żywność, bo jeśli nawet w najbliższych dniach przywrócimy zaopatrzenie w energię, to bieżąca produkcja jest już i tak zahamowana i zostanie wznowiona dopiero za parę tygodni czy miesięcy. W wielu przypadkach radykalnie wzrośnie niebezpieczeństwo epidemii. Trzeba będzie zorganizować strefy przeznaczone na kwarantannę. Szczęściem w nieszczęściu jest niska temperatura w znacznej części kraju – dzięki niej rozkład nie postępuje tak szybko. Ale na południu przewiduje się w najbliższych dniach wzrost temperatury do kilku stopni powyżej zera. Dla nas, ludzi, to nadal przejmująco zimno, ale dla szczątków zwierząt są to idealne warunki do rozkładu.

Zamilkła na chwilę, aby słuchacze mogli przetrawić to, co usłyszeli. Widziała po ich twarzach, że przedstawione przez nią obrazy odniosły skutek.

– To tyle, jeśli chodzi o jedną z priorytetowych kwestii, czyli o zaopatrzenie w żywność. Ale jak państwo przed chwilą widzieli, każde zagadnienie zazębia się z innym. Jeszcze ważniejsze jest chyba zaopatrzenie w wodę. W wielu regionach już teraz jest z tym ogromny kłopot. Pompy, które pompują wodę do budynków mieszkalnych, a potem rozprowadzają ją wyżej, na piętra, nie działają. Nie wiem, jak jest w państwa domach, ale ja u siebie w mieszkaniu nie mam ani kropli, czyli nie mogę się ani kąpać, ani wziąć z kranu wody do picia. Powiedzmy, że kilka dni bez prysznicy da się przeżyć, w ostateczności wszyscy wokół będą tak samo nieprzyjemnie pachnieć jak my; każdy z nas ma też pewnie jakiś zapas napojów. Jednak woda potrzebna jest także do wielu innych celów. Wystarczy wymienić ten dosłownie najbardziej palący, czyli gaszenie pożarów. Na ogół straż pożarna ma własne ujęcia, ale one też są zależne od prądu. Na wsiach zazwyczaj wykorzystuje się wodę z naturalnych otwartych zbiorników, takich jak strumienie czy stawy, jeśli są takie w okolicy, dlatego tam ten problem nie jest tak duży jak w miastach. Co prawda niebezpieczeństwo powstania pożaru w wyniku spięcia elektrycznego w domach i zakładach przemysłowych spadło niemal do zera, za to istnieje realna groźba wzniesienia ognia przez to, że ludzie będą próbowali gotować czy choćby trochę się ogrzać przy kuchenkach kempingowych czy wręcz przy otwartym ogniu. Również w przemyśle, a zwłaszcza w różnych gałęziach przemysłu chemicznego, należy liczyć się z większą liczbą pożarów z powodu niedziałania systemów bezpieczeństwa i ochrony przeciwpożarowej. Zaopatrzenie w wodę jest niezwykle istotne jeszcze z innego względu. Już teraz w połowie niemieckich gospodarstw domowych nie działa kanalizacja, co jak wiadomo, nie pozostaje bez wpływu na poziom higieny i powoduje zagrożenie epidemiologiczne. Proszę sobie wyobrazić kilkunastopiętrowy blok, w którym nie ma wody w toaletach. A jak się właśnie dowiadujemy, nie można liczyć na to, że ta sytuacja w następnych dniach ulegnie zmianie. Szanowni państwo! – Zwracając się wprost do słuchaczy, chciała nadać swym słowom szczególną wymowę. – Musimy natychmiast, dziś, przystąpić do ewakuacji na dużą skalę do lokali zastępczych. Już na tym etapie powinna ona objąć ponad dwadzieścia milionów ludzi.

W sali zapanowała śmiertelna cisza. Wszyscy siedzieli z oczami utkwionymi w ekran, na którym Michelsen pokazywała ujęcia z obozów pomocy po powodzi w Nowym Orleanie i po trzęsieniu ziemi w Japonii. Hale sportowe, centra kongresowe, zadaszone stadiony wypełnione

po brzegi łózkami polowymi. Gdzieś z boku długa kolejka ludzi po wydzielane artykuły spożywcze. Niemcy znali takie obrazy jedynie w kolorze czarno-białym, z ludźmi w podartych, staromodnych ubraniach, jako dokumentację ilustrującą ostatnią wojnę, której większość z obecnych na sali nie mogła pamiętać, bo minęło od niej już tyle lat. I nikt nie potrafił sobie wyobrazić, że podobne sceny miałyby się w tym kraju kiedykolwiek powtórzyć.

– A ten problem zazębia się z kolejnym, który omówi teraz kolega Torhüsen z Ministerstwa Zdrowia. Oddaję mu głos.

Michelsen usiadła. Wywołany Torhüsen, przysadzisty mężczyzna około pięćdziesiątki, po którym wyraźnie było widać brak snu, ociężale podniósł się z krzesła.

Pozdrowił obecnych przytłumionym głosem.

– Problemy związane z poziomem higieny i niebezpieczeństwo epidemii w wyniku padania zwierząt to tylko jeden aspekt zagadnienia. Niemiecka służba zdrowia należy zasadniczo do najlepszych na świecie. Pozwolę państwu, że krótko zarysuję obecną sytuację. Z jednej strony mamy szpitale. Wszystkie one są wyposażone w systemy własnego zasilania, które umożliwiają funkcjonowanie tym placówkom przez czterdzieści osiem godzin do tygodnia – w zależności od obiektu. Te pierwsze znajdują się już teraz w obliczu bardzo poważnych kłopotów. Niektóre zaczynają przenosić swoich pacjentów do innych szpitali, ale w nich też wkrótce zabraknie łóżek. Trzeba też zaznaczyć, że również w klinikach mających rezerwy na następne dni w warunkach zasilania awaryjnego bynajmniej nie jest możliwa normalna praca.

Pojawiły się obrazy oddziałów intensywnej opieki medycznej z widocznymi na pierwszym planie aparatami, przewodami i różnego rodzaju urządzeniami.

– OIOM-y i oddziały dla wcześniaków nie pracują normalnie.

Na widok nagich, czerwonych, pomarszczonych noworodków o cienkiej jak pergamin skórze, przez którą widać było każde naczynko, leżących w szklanych inkubatorach, Michelsen ścisnęło się gardło.

– W niektórych budynkach szpitalnych nie można korzystać z wind lub jest to możliwe tylko w ograniczonym zakresie. Co to znaczy dla pacjentów, zwłaszcza w razie konieczności przetransportowania osób przykutych do łóżek, nietrudno sobie wyobrazić. Jeszcze gorsza sytuacja jest w przychodniach i izbach przyjęć.

Na ekranie pojawiła się poczekalnia pełna chorych i poszkodowanych. Michelsen zauważyła, że mimo woli zacisnęła usta.

– Również w tych placówkach nie da się już korzystać z pełnego wyposażenia i z całej aparatury. A trzeba pamiętać, że wskutek braku sygnalizacji świetlnej na ulicach dochodzi do zdecydowanie większej liczby kraks, a także w gospodarstwach domowych częściej zdarzają się wypadki i w związku z tym przybywa rannych do opatrzenia i leczenia. Służby ratownicze są już skrajnie przeciążone. Kolejne zagrożenie jest wynikiem łagodniejszych temperatur. W najbliższych dniach spodziewamy się skokowego wzrostu infekcji wirusowych. Jeśli będziemy mieli pecha, to nasili się także fala zachorowań na grypę. Chorzy nie będą się mogli udać do lekarzy domowych, bo wielu z nich już od kilku dni nie dociera do swoich gabinetów z powodu braku benzyny we własnych pojazdach i w środkach komunikacji publicznej, poza tym bez dostępu do komputera i tak niewiele mogą zdziałać. Następną przeszkodę stanowią dla pacjentów apteki. Te są albo zamknięte, albo mają ten sam problem co wszystkie sklepy. Nie działają w nich ani kasy elektroniczne, ani systemy zarządzające zamówieniami i stanem zapasów. Oznacza to, po pierwsze, że w obecnej chwili pacjenci mogą płacić wyłącznie gotówką. Ale, jak za chwilę dokładnie przedstawi to państwu jeden z kolegów, ponieważ zasoby papierowych pieniędzy w bankach i bankomatach uległy znacznemu ograniczeniu, większość z nas ma coraz mniej gotówki w portfelach. W rezultacie apteki, mówiąc wprost, odmawiają sprzedaży niezbędnych środków.

Da się temu zaradzić przez wydanie odpowiedniego zarządzenia, co oczywiście zrobimy w trybie natychmiastowym, lecz tak czy inaczej po kilku dniach w większości aptek wyczerpią się zapasy leków, a nowych dostaw nie będzie. Jest to problem szczególnie dotkliwy dla przewlekle chorych, którzy muszą przyjmować lekarstwa regularnie, na przykład dla osób chorych na serce czy na cukrzycę.

Torhüsen wypił łyk wody, po czym mówił dalej.

– Zresztą przewlekle chorzy są w dzisiejszej sytuacji szczególnie zagrożeni. Tysiące ludzi w Niemczech musi poddawać się dializie, niektórzy codziennie. Większość stacji dializ nie jest przygotowana na taką sytuację jak obecna, są to bowiem najczęściej gabinety prywatne, które teraz mogą wysyłać swoich pacjentów tylko do szpitali, a te są w stanie przyjąć jedynie najcięższe przypadki. Stoimy tu w obliczu setek, jeśli nie tysięcy ludzkich tragedii.

Michelsen znowu zauważyła, że odruchowo przygryzła dolną wargę. Kilka lat temu w bezradnej rozpacz obserwowała powolne umieranie przyjaciółki cierpiącej na nieuleczalną chorobę neurologiczną. Jak potworne musi być dzisiaj poczucie bezsilności chorych i ich bliskich, gdy wiedzą, że przecież istnieją środki ratujące życie, tylko przestały być dostępne. Jednak Torhüsen nie miał litości.

– W pułapki śmierci (przykro mi, ale inaczej nie da się tego nazwać) zamienia się domy starców i domy opieki. O ile placówki te są w ogóle wyposażone w systemy awaryjnego zasilania, to w większości z nich właśnie wyczerpują się rezerwy. Skutki nietrudno sobie wyobrazić. Czy ktoś z państwa ma w takim miejscu rodzica wymagającego stałej opieki? – Powiódł wzrokiem po sali. Oczywiście nikt nie udzielił odpowiedzi na jego pytanie, ale cisza mówiła sama za siebie. – Nie ma sztucznego odżywiania, nie działa także inna aparatura medyczna, na przykład służąca podtrzymywaniu funkcji życiowych. Kuchnia przestaje pracować, brakuje żywności, wody. Pranie piżam i bielizny pościelowej nie jest możliwe, stan higieny woła o pomstę do nieba. Nie funkcjonuje ogrzewanie i w ciągu zaledwie kilku godzin pomieszczenia się wychładzają. Wielu pensjonariuszy nie jest w stanie poruszać się samodzielnie, a również tutaj nie jeżdżą już windy, więc przemieszczanie się jest utrudnione. Część personelu nie ma jak dotrzeć do pracy, dlatego ci, którzy są na miejscu, są wycieńczeni.

– Boże drogi – rozległ się czyjś szept.

Michelsen próbowała dostrzec kątem oka, komu wymknęło się to westchnienie. Sądząc po bladych twarzach, mógł to być każdy z obecnych. Do tej pory chyba jeszcze nikt z nich nie zdawał sobie sprawy z konsekwencji w całym ich przerażającym wymiarze. A przecież do końca prezentacji było jeszcze daleko.

– Potrzebny jest cały zestaw działań, aby zapewnić obywatelom i najciężej chorym opiekę przynajmniej na podstawowym poziomie. I trzeba to zrobić bezzwłocznie. Mam tu na myśli między innymi stworzenie medycznych centrów pierwszej pomocy, specjalne rozporządzenia dotyczące wydawania leków i wszelkie wsparcie, jakie możemy otrzymać od jednostek sanitarnych Bundeswehry. Przygotowaliśmy odpowiednie plany. Dziękuję państwu za uwagę.

Torhüsen usiadł, a dwa krzesła dalej wstał Rolf Viehinger kierujący Wydziałem Bezpieczeństwa Publicznego w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. Mimo niespełna sześćdziesięciu lat wciąż jeszcze wyglądał tak, jakby był członkiem jednostki do zadań specjalnych Federalnego Urzędu Kryminalnego. Oszczędny w gestach, ale każdy jego ruch miał dużą siłę wyrazu. Kiedy Michelsen przyszła do ministerstwa, nawet wpadł jej w oko i niewiele brakowało, a miałyby z nim romans, jednak przeszkodę stanowiły jego prawicowe poglądy, z których nie robił tajemnicy. Coś takiego było nie do zaakceptowania przez Michelsen, której dziadek, bojownik ruchu oporu, po przejściu obozów koncentracyjnych stał się wrakiem człowieka. Mimo to nie mogła nie przyznać, że wykonywał swe obowiązki rzetelnie i sumiennie.

– W sytuacjach kryzysowych – zaczął – często budzi się w ludziach to, co w nich najlepsze. W ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin dało się zaobserwować przejawy społecznej solidarności na wręcz niepojętą skalę. Zupełnie obce sobie osoby pomagają w potrzebie jedna drugiej. Formacje ochotnicze służb ratowniczych, takich jak Czerwony Krzyż czy straż pożarna, są aktywne jak nigdy dotąd, mimo że przecież ich członkowie muszą troszczyć się także o własne rodziny. Tego rodzaju zjawisko obserwujemy co jakiś czas właśnie w takich wyjątkowych sytuacjach, proszę przypomnieć sobie choćby powódź nad Odrą sprzed kilku lat. Nie powinniśmy jednak się oszukiwać, bo im dłużej będzie trwać ten stan, tym bardziej te wszystkie struktury osłabną. Kiedy lodówki u wszystkich opustoszeją, zaczniemy się rozglądać za jedzeniem. Głód, pragnienie, zimno bardzo szybko spowodują, że fasada przyzwoitości zacznie się kruszyć. Jeśli jak najszybciej nie zapewnimy podstawowego zaopatrzenia w żywność, wodę i leki, już wkrótce musimy się liczyć z plądrowaniem miast i najrozmaitszymi wykroczeniami. Również sąsiedzi przestaną być tak pomocni i przyjaźni jak do tej pory. Nie mówiąc już o tym, co się stanie, gdy ludzie się dowiedzą, co jest prawdziwą przyczyną awarii. A temu nie da się zapobiec. Ta informacja tylko podsyci ich strach. A strach nigdy nie jest dobrym doradcą. Kolejny problem stanowią będą w niedługim czasie tak zwane wyspy, jak je nazywamy między nami.

Na ekranie pokazała się mapa.

– Niektóre niemieckie miasta i regiony zdołały zapewnić sobie przynajmniej na razie dostęp do energii, czy to dzięki działającym w ich okolicy elektrowniom, czy też w inny sposób. Jak państwo widzą, są one rozsięte po całym Niemczech. Dzięki temu około dwudziestu do trzydziestu procent społeczeństwa może korzystać z infrastruktury istotnej dla życia. Mimo niesprawnych systemów komunikacji wiadomość o tym rozniesie się tak czy inaczej i mieszkańcy części kraju pozbawionych prądu będą próbowali dostać się do tamtych oaz. W najlepszym razie znajdą dach nad głową u swoich krewnych czy znajomych. Wielu innych zatrzyma się na ulicy. Konflikty między miejscowymi a uciekinierami są w takiej sytuacji nieuniknione, dlatego musimy jak najszybciej przygotować te regiony na taki napływ ludzi, ale przede wszystkim nie dopuścić do tego, aby przybrał on niekontrolowane rozmiary.

Michelsen nieuchronnie pomyślała o dyskusji na temat azylantów i imigrantów rozpalającej od lat całe Niemcy, która nagle zyskała całkiem nowy wymiar. Ciekawe, na jak długo wystarczy miejscowym w takich okolicznościach cierpliwości wobec uciekinierów z własnego kręgu kulturowego. Co się stanie, gdy na przykład właściciele domów jednorodzinnych poczują się zagrożeni masowym napływem rodaków z innych części kraju? Gdy ci z łóżek polowych stłoczonych w namiotowych miasteczkach zaczną zazdrośnie zerkać na śliczne domki z działającą toaletą i prysznicem? Gdy liczba uciekinierów przerośnie wyraźnie liczbę miejscowych?

– Sądziłem – wtrącił minister spraw zagranicznych – że wiele gmin jest już samowystarczalnych energetycznie. Przecież niektóre produkują nawet więcej prądu, niż same potrzebują.

– Niestety, to nie do końca jest prawda – odezwał się sekretarz stanu Rhess. – Po pierwsze, tylko nieliczne gminy są rzeczywiście samowystarczalne. Większość z tych, o których czytamy, dopiero przystąpiła do programu albo co najwyżej częściowo się uniezależniła. Poza tym, i to jest tu najważniejsze: praktycznie we wszystkich przypadkach samowystarczalność nie oznacza niezależności fizycznej, jedynie rachunkową. Wprawdzie gminy te produkują być może więcej prądu, niż same zużywają, co znaczy, że w normalnych warunkach nie muszą od nikogo go kupować, ale energię wytworzoną i tak odprowadzają do regularnej sieci, z którą nadal są powiązane. Gdy zatem owa sieć przestaje działać, cała ta ich własna produkcja na nic się nie

zdaje, ponieważ one same nie są w stanie stworzyć stabilnej minisieci. Ogólna struktura sieciowa nie jest dostosowana do tych miniaturowych rozwiązań wyspowych.

– Czy to znaczy, że takie gminy są co prawda w stanie wyprodukować prąd, ale już nie mogą dostarczyć go odbiorcom? – spytał z niedowierzaniem minister.

– Tak, właśnie dokładnie tak jest. To samo dotyczy wielkich elektrowni – potwierdził Rhess. – Ale przerwaliśmy panu, kolego Viehinger. Proszę kontynuować.

– Oczywiście we wszystkich służbach bezpieczeństwa wprowadzono blokadę urlopów. Mimo to będziemy potrzebowali wsparcia policji i Bundeswehry.

– Chodzi o pomoc cywilną czy wojskową? – spytała minister środowiska.

– Odpowiednio do potrzeb – odparł krótko minister spraw wewnętrznych.

– Dziękuję za wasze wyjaśnienia – włączył się kanclerz. – Pan minister poinformował mnie przed chwilą, że nie jesteśmy jeszcze gotowi. Proponuję zatem krótką przerwę na rozprostowanie nóg. Za dziesięć minut możemy kontynuować.

Przy powszechnym szumie wszyscy wstali z miejsc, palacze pospieszyli do wind, aby wyjść na dwór. Tylko nikt nie sięga po telefon komórkowy, jak to zwykle w takich momentach robią tacy zaferowani ludzie jak oni, stwierdziła Michelsen. Zdaje się, że do wszystkich wreszcie dotarło, że sieci komórkowe na razie nie działają.

– I co o tym myślisz? – szepnął do niej Torhüsen.

– Powiedziałabym, że są w szoku – odpowiedziała mu równie cicho.

Członkowie gabinetu i premierzy krajów związkowych stali w grupkach z poważnymi minami i dyskutowali – niektórzy spokojnie, inni nerwowo. Do uszu Michelsen dobiegły określenia: „ustawy wyjątkowe” i „sytuacja wyjątkowa”.

Paryż

Żadna taksówka się nie zatrzymała. Shannon przemierzyła na piechotę niemal całe miasto, od Ile de la Cité aż do Gare du Nord, skąd odjeżdżały autobusy. Nie działały latarnie uliczne, sygnalizatory na skrzyżowaniach i oświetlenie wielu budynków. Jedyne światło dawały reflektory samochodów. Krótco po dziesiątej wieczorem dotarła do dworca. Tutaj też prawie wszędzie było ciemno, żarzyło się tylko kilka lampek awaryjnych. Przy wejściach do hali dworcowej kłębiły się tłumy ludzi. Ponieważ Shannon nie wiedziała, gdzie znajduje się terminal autobusowy, wcisnęła się do środka. Spowita w ponurym mroku hala została zamieniona przez podróżnych, którzy z konieczności tu utkwili, w gigantyczne schronisko. Wszędzie na podłodze siedzieli i leżeli ludzie. Niektórzy kłęli. Dzieci marudziły i płakały. W okienkach kasjerki próbowały uspokajać czekających. Mimo zimna powietrze było duszne i nieświeże, od czasu do czasu dało się wyczuć odór fekaliiów.

Shannon szukała tablic z informacjami. Podświetlane ekrany z godzinami przyjazdu i odjazdu były martwe. Przebiła się wzdłuż i w poprzek przez całą halę i wreszcie znalazła jedną tablicę, na której ledwie dało się rozpoznać znak graficzny autobusu. Miała nadzieję, że nie odnosił się tylko do miejskich linii. Poszła w kierunku wskazanym przez strzałkę – musiała wyjść z budynku i dotarła na parking, na którym jeden przy drugim stały autobusy, między nimi zaś zagubieni albo czekający ludzie ze swoim bagażem. Dziesięć minut później znalazła w końcu autobus do Hagi. Spojrzała w górę – nie wydawał się jeszcze pełny. Na wszelki wypadek spytała kierowcę.

– *Oui, La Haye* – wymienił francuską nazwę Hagi.

– Czy po drodze będzie pan musiał zatankować? – spytała.

Dzięki jednemu tematowi, jakim zajmowała się przez dwa ostatnie dni, wiedziała, że większość stacji benzynowych nie działa. A nie miała ochoty zostać gdzieś po drodze w połowie trasy.

– *Non.*

– Gdzie mogę kupić bilet?

– Dzisiaj wyjątkowo u mnie. Okienka są zamknięte. Ale przyjmuję tylko gotówkę.

Pięćdziesiąt sześć euro.

Shannon zapłaciła i poszukała sobie wolnego miejsca. Z tyłu znalazła nawet dwa niezajęte obok siebie. Jeśli będzie miała szczęście, może nikt nie usiądzie przy niej. Niemal siedem godzin jazdy autobusem to średnia przyjemność. A jeszcze mniejsza ze spragnionym towarzystwa albo cuchnącym sąsiadem. Upchnęła swój worek żeglarski na półce pod sufitem i wybrała fotel przy oknie. Co to w ogóle za idiotyczny pomysł, przemknęło jej przez głowę. Co ja sobie wyobrażam? Ale teraz było już za późno. W pojeździe będzie przynajmniej ciepło. Kierowca uruchomił silnik. Przy każdym wsiadającym pasażerze Shannon modliła się, żeby zajął miejsce gdzie indziej, tylko nie przy niej. Dopisało jej szczęście. Niedługo potem autobus ruszył i powoli opuścił teren dworca.

Shannon złożyła swoją puchową kurtkę i wcisnęła ją sobie jako poduszkę między głowę a szybę.

Za oknem przesuwwały się cienie miasta, potem kontury rozmyły się jeszcze bardziej, aż wreszcie pod bezgwiezdnym i bezksiężycowym niebem krajobraz pogrążył się w całkowitych ciemnościach. Shannon wpatrywała się w czarną otchłań i nie myślała o niczym.

Berlin

Następny w kolejności był sekretarz stanu Rhess.

– Mówi się, że pieniądze rządzą światem – rozpoczął swoje wystąpienie.

No ładnie, pomyślała Michelsen. Takie zdanie w ustach przedstawiciela rządu. Nie spodziewała się po nim takiej odwagi.

– Pytanie, kto będzie rządził, jeśli nagle zabraknie pieniędzy?

Czekała zaintrygowana, jak on zamierza wybrnąć z tej pułapki.

– Kolega Torhüsen już to zasugerował. Co prawda sfera finansów publicznych jest stosunkowo najlepiej przygotowana do takiej sytuacji, z jaką mamy obecnie do czynienia: banki są w stanie jako tako funkcjonować przez kilka dni, klienci mogą podejmować gotówkę w kasach, ale w wielu bankomatach już nie. Zaopatrzenie filii w pieniądze jest jednak zapewnione dopóty, dopóki samochodowa flota bankowa ma benzynę. Po trzech czy czterech dniach mniejsze filie zostaną zamknięte, a po tygodniu również te większe. Proszę zajrzeć do swoich portfeli. Ile gotówki mają państwo przy sobie? Ustanie obiegu pieniądza będzie miało katastrofalne skutki także dla gospodarki. Firmom zabraknie środków na pensje dla pracowników, na opłacenie towarów i dostawców. Giełdy są dobrze wyposażone, podobnie Europejski Bank Centralny i instytucje clearingowe, za których pośrednictwem odbywają się transakcje finansowe. Kłopot natomiast będą mieli zwykli obywatele oraz firmy chcące korzystać z usług finansowych. W wyniku niedziałania sieci telefonicznych i internetu można będzie coś załatwić tylko przez osobiste pojawienie się w banku. Oznacza to, że giełdy europejskie mogą i pewnie będą działać. Należy się jednak liczyć z bolesnymi spadkami kursów. Prawdopodobnie nastąpi też spadek obrotów. Ale gdy tylko wyjdzie na jaw informacja o planowym ataku, giełdy na całym świecie przeżyją rzeź. Wartość niemieckich przedsiębiorstw drastycznie się obniży, wiele z nich w kolejnych miesiącach padnie ofiarą prób przejęcia przez koncerny zagraniczne. Nie zapominajmy też o małych i średnich firmach niedysponujących środkami, które pozwoliłyby im przetrwać po takich stratach. Chociaż więc zgadzam się z opinią, że w obecnej sytuacji musimy przede wszystkim myśleć o zaopatrzeniu w podstawowe dobra, uważam też, że w żadnym wypadku nie powinniśmy tracić z pola widzenia aspektów średnio-i długoterminowych.

Michelsen doszła do wniosku, że Rhess na razie nie rozwinął swojego prowokacyjnego wstępu, tylko po prostu go zagadał. Niech mu będzie. To też jakaś strategia. A w końcu chodzi o rzeczy znacznie ważniejsze.

– Najpilniejsze tematy zostały już omówione. Oprócz jednego: komunikacji wewnętrznej i ze społeczeństwem. Obecny stan komunikacji należy określić niestety jako katastrofalny. Stacjonarne i komórkowe sieci telefoniczne w większości przestały działać już w nocy z piątku na sobotę. To samo dotyczy wewnętrznego systemu radiowego instytucji państwowych i służb bezpieczeństwa.

– Wielkie nieba, kto wyraził na coś takiego zgodę? – wykrzyknął ktoś z obecnych.

Rhess zignorował to zastrzeżenie i mówił dalej:

– W sobotę komunikacja między urzędami centralnymi, krajowymi i służbami ratowniczymi była prawie niemożliwa. Dopiero w ciągu dzisiejszego dnia udostępniono systemy zastępcze i wystarczająco doposażono awaryjne systemy zasilania najważniejszych obiektów, dzięki czemu jesteśmy w stanie porozumiewać się ze sobą przynajmniej szcątkowo. Ale nadal nie mamy stałego kontaktu z wieloma regionami. Stamtąd my czy centra kryzysowe w krajach związkowych nie otrzymują żadnych informacji albo co najwyżej od czasu do czasu wpadnie im coś przez satelitę czy od radiotelegrafistów amatorów.

Michelsen zauważyła, że wiele osób kręci głową, wyraźnie nie mogąc zrozumieć.

– Bundeswehra mogłaby udostępnić specjalną sieć polową, która stanowiłaby w wielu miejscach istotne odciążenie, tyle że takie rozwiązanie nie jest bynajmniej energooszczędne, a jego realizacja nie jest możliwa bez dostępu do paliwa. Jak najszybciej powinniśmy włączyć do działania radiowców amatorów, których jest znacznie więcej, niż się nam wydaje, i którzy dysponują dosyć solidnym sprzętem. Tyle że również oni w którymś momencie staną przed problemem wyczerpanych baterii. A satelity są przeciążone.

Przerwał na chwilę, po czym ciągnął:

– Niezwykle ważne są informacje przekazywane społeczeństwu. Oczywiście istnieją instrukcje i broszury, w których każdy może przeczytać, jak należy postępować w przypadku awarii prądu. Ale tak z ręką na sercu: kto z nas zaglądał ostatnio do czegoś takiego, mimo że dotyczy to zakresu naszych obowiązków? Tak czy inaczej Ministerstwo Spraw Wewnętrznych wydało kiedyś broszurę, w której zaleca się mieć w domu radio zasilane na baterie. Kto z państwa ma takie? A jeśli nawet, kto ma też niezbędne baterie? Przyzwyczailiśmy się do świata, który oparty jest na telewizji, internecie i telefonach komórkowych. Niektórzy z nas zrezygnowali już z telefonów stacjonarnych. Nic by nam one jednak dziś nie pomogły, ponieważ rezerwy energii elektrycznej lokalnych centrali telefonicznych wynoszą od piętnastu minut do ośmiu godzin. Również sieci komórkowe są martwe. A nawet gdyby działały, to przecież baterie aparatów już dawno uległy wyczerpaniu i nie da się ich na nowo naładować. Internet dla przeciętnego obywatela też jest w gruncie rzeczy niedostępny, ewentualnie tylko dla tych, których komputer jest nadal zasilany przez prąd. To samo dotyczy radia i telewizji. Mówiąc krótko: ludzie są zdani w coraz większym stopniu na plotki i pogłoski. A to może stać się całkiem szybko niebezpieczne, dlatego musimy koniecznie zadbać o właściwą komunikację. Proponuję, by zorganizować ją przy wykorzystaniu służb pomocniczych. Ratownicy medyczni, straż pożarna, policja i agencja pomocy technicznej częściowo dysponują jeszcze własnymi zdolnymi do działania sieciami komunikacji. Oczywiście ich obecne zasoby też są bardzo ograniczone, dlatego nie ma co marzyć o dotarciu z informacjami do wszystkich. Mimo to służby te oprócz swoich tradycyjnych zadań muszą teraz wziąć na siebie także rolę służb informacyjnych.

Michelsen doskonale pamiętała, że wielokrotnie debatowali nad tą kwestią. Oczywiście istniały możliwości przekazywania informacji w sytuacjach kryzysowych, ale były one niezwykle skromne. Na przykład oparty na połączeniu satelitarnym system ostrzegawczy SatWaS, dzięki któremu władze centralne mogły bezpośrednio wysyłać wiadomości do stacji radiowych i telewizyjnych. Ale gdy nie działają ani radia, ani telewizory, przydatność takiego systemu jest żadna. Podobnie rzecz się miała z innymi systemami ostrzegawczymi, na przykład z deNis oraz z serwisami dostępnymi przez komórkę i przez internet.

– Czy istnieją jakieś prognozy mówiące, kiedy będziemy w stanie przywrócić dostawę prądu na terenie całego kraju? – spytał kanclerz Niemiec. – Przecież wiele elektrowni nadal działa.

– Dostawcy i operatorzy sieci nie mają już odwagi wypowiadać się na ten temat – odrzekł Rhess. – Przede wszystkim wciąż nie wiemy, które elementy systemu są dotknięte awarią. To mogą być elektrownie, ale równie dobrze sieci dystrybutorów. Po prostu nie wiadomo. I dlatego nie da się formułować żadnych prognoz.

– A co z elektrowniami jądrowymi? – spytał minister gospodarki.

– Wszystkie zostały wyłączone – odparła minister środowiska.

– Ale mimo to, o ile się orientuję, muszą być nadal chłodzone. Czy systemy awaryjnego zasilania nie są oparte na generatorach Diesla? Na jak długo wystarczy ich rezerwa?

– Jak wynika z kontroli bezpieczeństwa niemieckich elektrowni jądrowych przeprowadzonej po wydarzeniach w Fukushima, we wszystkich starczy paliwa na co najmniej siedemdziesiąt dwie godziny...

– Siedemdziesiąt dwie? Tylko? – wykrzyknął ktoś z sali.

– ...a w większości na dużo dłużej. Według tego samego raportu pokontrolnego administratorzy tych obiektów potwierdzają...

„Administratorzy potwierdzają”, jak słyszę coś takiego..., pomyślała Michelsen.

– Cytuję słowa raportu: *Wynikające z umowy ustalenia lub ustne uzgodnienia dotyczące dostaw materiałów pomocniczych i napędowych: administratorzy wykazują częściowo znaczne zapasy ropy naftowej i paliwa napędowego na terenie obiektu. W niektórych z nich normalna praca jest tym samym możliwa przez wiele tygodni. Brak wypowiedzi na temat ochrony tych materiałów przed czynnikami zewnętrznymi i na temat bezpiecznego transportu. Z wyjątkiem kilku wszystkie obiekty mają dostęp do mobilnych agregatów zasilających w najbliższym otoczeniu. W tych przypadkach okres dyspozycyjności mobilnych agregatów wynosi znacznie mniej niż siedemdziesiąt dwie godziny.*

To znaczy, że niektóre z nich muszą najpóźniej do jutra wieczór być zaopatrzone w paliwo, pomyślała Michelsen. Takiego scenariusza, z jakim mają teraz do czynienia, prawdopodobnie nikt się nie spodziewał. Trzeba więc sprawić, by w najbliższym czasie diesel i agregaty znalazły się tam, gdzie są niezbędne, w przeciwnym razie...

– Jesteśmy w kontakcie z odpowiednimi zakładami – kontynuował minister. – I gwarantujemy, że wystarczająco dużo paliwa dotrze wszędzie tam, gdzie jest ono niezbędne. Materiały napędowe należy natychmiast poddać racjonowaniu, pozostawiając do nich swobodny dostęp wyłącznie urzędom centralnym, służbom ratunkowym i innym bezwzględnie ich potrzebującym jednostkom. Tymczasem Międzynarodowa Agencja Energii Atomowej w Wiedniu i władze francuskie informują o bardzo poważnej sytuacji w elektrowni jądrowej Saint-Laurent i drobniejszych kłopotach w innych obiektach.

– Gdzie to dokładnie jest?

– W Regionie Centralnym, na południe od Paryża.

– Zagrożenia dla naszego terytorium?

– Na razie nie istnieją.

Minister gospodarki pokiwał w zadumie głową, ale na razie zadowolił się uzyskaną odpowiedzią.

Michelsen nie chciała wywoływać wilka z lasu i nie wspomniała o problemach w krajowych elektrowniach atomowych. Co prawda na razie nie były one znaczące, ale z czasem mogły wywołać równie katastrofalne skutki jak niedziałające systemy awaryjnego zasilania i systemy bezpieczeństwa. Do elektrowni jądrowych docierało do pracy coraz mniej członków załogi, a obecni tam ludzie odbywali nie wiadomo już którą zmianę i byli kompletnie wyczerpani, co tylko drastycznie zwiększało ryzyko popełnienia błędu. Wielu ze standardowych zabiegów nie wykonywano w ogóle lub w bardzo ograniczonym zakresie – regularne czyszczenie i dekontaminacja ubrania i strojów ochronnych to najniewinniejsze z nich.

Sekretarz stanu Rhess wyrwał Michelsen z zamyślenia.

– Ale na koniec mam dobrą wiadomość – powiedział. – Współpraca międzynarodowa układa się do tej pory znakomicie. Przewidziane umowami dwustronnymi procesy i te wynikające z obecności w Unii Europejskiej przebiegają tak, jak powinny. Dzięki tej ponadnarodowej kooperacji udało się nam między innymi niezwykle szybko ustalić, że mamy do czynienia ze świadomą manipulacją sieci energetycznych, a nie z nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności. Dlatego proszę, abyście państwo dalej jak najmocniej wspierali tę

ogólnoeuropejską współpracę. Również wtedy – dodał – gdy nie będziemy w stanie ani udzielić pomocy, ani jej przyjąć. To może się okazać jednym z największych wyzwań nadchodzących dni, dlatego Ministerstwo Spraw Zagranicznych zaczęło już sondować zakres ewentualnej pomocy międzynarodowej, oczywiście w porozumieniu z odpowiednimi instytucjami w Brukseli. Jeszcze raz dziękuję państwu za uwagę.

– Pomoc międzynarodowa? – spytał premier Brandenburgii. – A kto może jej dziś udzielić?

– Stany Zjednoczone, Rosja i Turcja w pierwszej kolejności.

– Będą nam przysyłać paczki żywnościowe? – rzucił ironicznie Brandenburczyk.

– Chodzi o znacznie więcej – odrzekł Rhess. Wciąż jeszcze nie usiadł na swoim miejscu.

Kolejne pytanie zadała premier Hesji:

– Czy wiadomo, kto dopuścił się tej manipulacji i dlaczego?

– Nie – odpowiedział minister spraw wewnętrznych. – Trwa intensywne dochodzenie.

– Nasuwa się pytanie – zabrał głos minister obrony – dlaczego akurat Europa? Kto ma w tym interes? I jaki? Ekonomicznie nikt nie zyska na załamaniu jednego z największych i najsilniejszych rynków na świecie. Ponad pół miliarda konsumentów chętnie kupuje towary z Rosji, Chin, Japonii, Indii i Stanów Zjednoczonych. Jeśli źle się wiodzie Europie, cierpią na tym także inne duże gospodarki narodowe. To samo dotyczy ataku militarnego. Stosunki dyplomatyczne z wielkimi narodami są dobre, nawet jeśli ostatnio, jak wiadomo, dochodziło do pewnych napięć na linii z Rosją i Chinami. Oczywiście jesteśmy w stałym kontakcie z dowództwem NATO. Ale obecnie nic nie wskazuje na jakiegokolwiek wrogie działania ze strony któregokolwiek z państw.

– Zorganizowana akcja przestępcza w celu wymuszenia okupu? – rzucił minister zdrowia.

– Do tej pory nie wpłynęły żadne żądania. Poza tym ktoś, kto czegoś takiego by się dopuścił, musi liczyć się z tym, że będzie ścigany na całym świecie.

– Czyli pozostajemy przy obecnie najbardziej prawdopodobnym wariantcie: akcie terrorystycznej – powiedział szef resortu spraw wewnętrznych.

– Ale aż na taką skalę? – spytał z niedowierzaniem minister transportu.

– Może nie przewidziano, że to wszystko przybierze takie rozmiary. Pamiętamy jedenastego września w Nowym Jorku. Terrorysty chcieli uderzyć w wieże World Trade Center. Prawdopodobnie nie liczyli się z tym, że się zawała.

– Ale dlaczego Europa? – powtórzył minister transportu. – Wiadomo przecież, że najwyższym celem islamistów są Stany Zjednoczone.

– Nie zapominajmy o Madrycie i Londynie w 2005 roku – zwrócił uwagę minister spraw wewnętrznych. – I o udaremnionych zamachach na pociągi w Niemczech w 2007 oraz o wielu podobnych zdarzeniach. Jesteśmy członkiem koalicji przeciwko terroryzmowi. Niemieccy żołnierze walczą w Afganistanie, popieramy bojkot Iranu... Czy mam wymieniać dalej? Jeśli ktoś szukałby powodów, znajdzie ich niemało.

– Szanowni państwo – przerwał dyskusję kanclerz. – Uważam, że najważniejsze w tej chwili to chronienie ludności i zapewnienie porządku publicznego. Dziękuję Ministerstwu Spraw Wewnętrznych i jego pracownikom za wyczerpujące prezentacje. W obliczu istniejącej sytuacji proponuję ogłoszenie we wszystkich krajach związkowych stanu wyjątkowego. Rząd przejmie koordynację działań. Sztab kryzysowy pod kierownictwem Ministerstwa Spraw Wewnętrznych został już powołany i pracuje na bieżąco. Parlament albo stosowna stała komisja opracują w najbliższych godzinach odpowiednie podstawy prawne, aby utrzymać w kraju bezpieczeństwo i porządek.

– Jakie informacje przekazemy społeczeństwu? – spytał Rhess.

Kanclerz rzucił krótkie spojrzenie na swojego rzecznika.

– Dopóki nie poznamy motywów sprawców, będziemy utrzymywać, że do awarii doszło z niewyjaśnionych przyczyn – odpowiedział rzecznik szefa rządu. – Każda inna informacja wywołałaby w obecnej sytuacji jedynie niepokój.

– Czy nie powinniśmy pozostawić tej oceny obywatelom? – spytała Michelsen.

– Chce pani ryzykować wywołaniem paniki? – odpowiedział pytaniem rzecznik.

Nigdy nie mogła zrozumieć tej aroganckiej, wyniosłej postawy sił rządzących, czy to w gospodarce, nauce, czy polityce.

– Jak uczy nas doświadczenie – odparła – prawda wcześniej czy później i tak wyjdzie na jaw.

– W tym przypadku lepiej będzie, jeśli nastąpi to później – stwierdził kanclerz.

– Co jak zwykle doprowadzi do jeszcze większej katastrofy – bąknęła pod nosem

Michelsen, kręcąc głową.

Rhess zaś dodał:

– Poza tym musimy taki komunikat uzgodnić na poziomie międzynarodowym. Żadne państwo nie może w obecnej sytuacji wyjść przed szereg. To leży w interesie nas wszystkich.

Kanclerz wstał z miejsca.

– Panie i panowie, dziękuję państwu. Spotkamy się najpóźniej jutro o dwunastej w południe na codziennej odprawie.

Paryż

Jeszcze tylko brakowało tu Ambrose'a Tollégo, pomyślał Blanchard.

Sekretarz prezydenta nie miał nawet trzydziestu lat, był ubrany jak model z ekskluzywnego magazynu dla panów i puszył się tak, jakby to on sam stał na czele rządu.

Monsieur le Président oddelegował Tollégo po ostatnim całkowitym wyłączeniu prądu, aby informował go na bieżąco oraz by zasygnalizował Blanchardowi i wszystkim innym w CNÉS, że wzbudzili niezadowolenie najwyższego urzędu.

W obecności sekretarza prezydenta Alberta Procteta opuścił fatalistyczny spokój z popołudnia, ale głównym powodem zdenerwowania i niepokoju, jaki rozsiewał szef IT, były wyniki niedawno przeprowadzonych testów.

– Przy takim stanie wyposażenia informatycznego nie mamy co marzyć o przywróceniu stabilnych dostaw prądu – oznajmił Blanchard.

Było to przyznanie się do porażki, więc doskonale zdawał sobie sprawę, że zostanie za to pociągnięty do odpowiedzialności – jeśli nie w najbliższych godzinach, to najpóźniej wtedy, gdy wszystko znowu będzie normalnie działać.

Od trzeciej po południu praktycznie cała Francja była ponownie bez prądu. Niemal wszystkie serwery sterujące stacjami transformatorowymi przestały pracować, zawiodły także najistotniejsze systemy operacyjne.

– Mówiłem już państwu o serwerach testowych, które uruchomiliśmy bezpośrednio po wystąpieniu „niebieskich ekranów”, i stworzeniu sytuacji niejako warunków laboratoryjnych – odezwał się Blanchard. – Niestety, wynik tych prób nie okazał się zadowalający: ponowna instalacja systemów przy zastosowaniu dotychczasowych procedur instalacyjnych nie przyniosła rozwiązania problemu. Ktoś naprawdę solidnie zainfekował systemy. Nasze *know-how* już nam nie wystarcza. Wezwaliśmy ekspertów zewnętrznych. Jeszcze dziś w nocy przystąpią do pracy.

– Dziś w nocy? – spytał chłodno Tollé. – A dlaczego nie natychmiast?

– Oni też walczą z takimi samymi przeszkodami jak wszyscy. Nie mogą skontaktować się ze swoimi współpracownikami, muszą zadbać o własne rodziny i tak dalej...

– Wobec tego na kiedy mam zapowiedzieć panu prezydentowi przywrócenie dostaw prądu?

– W obecnej chwili nie jesteśmy w stanie tego ocenić – przyznał Blanchard ze skrucą.

Dlaczego temu nadętemu gogusiowi udaje się wpędzić go w takie zakłopotanie? – dziwił się sam sobie w myślach.

– Pan prezydent nie przyjmie tego do wiadomości.

– Będzie musiał – rzekł Proctet ku zaskoczeniu Tollégo.

Blanchard widział, jak pracują szczęki sekretarza. Wreszcie, z trudem panując nad własnym głosem, wysłannik prezydenta rzekł:

– Proszę powiedzieć, czego wam potrzeba, żeby wszystko przyspieszyć, a ja postaram się to załatwić.

Blanchard zastanowił się, ile to już razy miał jakieś życzenia do polityków. Panie i panowie politycy jak zawsze zaczynali działać dopiero wtedy, kiedy sytuacja robiła się poważna. Wtedy nagle ci zbawcy narodu zrzucali odpowiedzialność za swoje wcześniejsze zaniedbania na innych, a sami odgrywali bohaterów. Blanchardowi zrobiło się niedobrze, ale nie miał siły nawet na to, żeby zwymiotować.

Berlin

Michelsen piła kolejne espresso. Marzyła o łóżku. Ale zamiast tego dosypała jeszcze kawy do maszyny, potem napełniła sobie filiżankę i wróciła na swoje miejsce pracy.

Zadanie, przed jakim stali, było prawie niewykonalne. Mieli do czynienia z katastrofalną sytuacją we wszystkich sferach życia. Michelsen chciała wyrobić sobie ogólny obraz, nie tracąc z oczu najważniejszych punktów i spraw.

Zaczęła spisywać na komputerze.

Woda

Żywność

Pomoc medyczna

Dach nad głową

Komunikacja

Porządek publiczny

Transport

Pieniądze/Finanse

Pozostała infrastruktura

Dostawcy

Sytuacja międzynarodowa

Czy to wszystkie najważniejsze punkty? Jeśli o czymś zapomniała, doda potem.

Otworzyła nową stronę. Na samej górze napisała: Dzień 2. (niedziela)

W tym miejscu skopiowała jeszcze raz wcześniejsze punkty po kolei i pod każdym dopisała swoje notatki.

Woda

Bieżący status nieznany; brak w wielu częściach Republiki.

Władze regionalne i kraje związkowe nie zdołały na razie w pełni ocenić sytuacji. Nowe ustalenia spodziewane nie wcześniej niż jutro.

Żywność

Jutro, czyli w pierwszy dzień powszedni od rozpoczęcia awarii, większość sklepów spożywczych pozostanie zamknięta. Nieliczne otwarte nie otrzymały żadnych nowych dostaw. Produkty mrożone uległy już zepsuciu. Przystąpiono do organizowania punktów wydawania żywności i ciepłej zupy.

Opieka medyczna Brak materiałów napędowych w szpitalach; część personelu nie dociera do pracy; dużo aptek jest zamkniętych, w otwartych brak dostaw; wiele gabinetów lekarskich nie pracuje; braki w domach opieki i domach starców.

Dach nad głową Zorganizować miejsca noclegowe.

Komunikacja Uczyć społeczeństwo samopomocy; kanclerz będzie musiał poinformować o ataku (na razie nie chce).

Porządek publiczny Na razie OK; lokalne wąskie gardła; duża solidarność między ludźmi.

Transport

Kolej sukcesywnie usuwa z torów składy pociągów; zobowiązać firmy transportowe; rezerwy paliwa wystarczające; ruch samochodów osobowych na drogach nie większy, niż oczekiwano; zadbać o dziesiątki tysięcy ludzi, którzy utknęli na stacjach benzynowych i lotniskach.

Pieniądze/Finanse Podejmowanie pieniędzy w kasach bankowych; płatności elektroniczne niedostępne.

Pozostała infrastruktura Krytyczna sytuacja w niektórych obiektach przemysłowych

(głównie chemicznych).

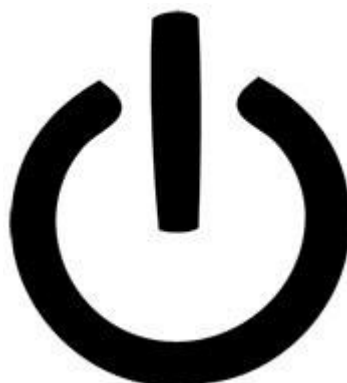
Dostawcy

Sytuacja trudna do oceny; wyspy prądu stanowią ok. dwudziestu procent całego obszaru kraju; w niektórych zaopatrzenie w energię tylko przez kilka godzin dziennie; zapas diesla w elektrowniach jądrowych na co najmniej trzy dni.

Zapewnić uzupełnienie rezerwy!!!

Sytuacja międzynarodowa Pierwsze uzgodnienia (UE, NATO, ONZ, dwustronne); problemy w elektrowni atomowej Saint-Laurent (F), Temelín (CZ), w różnych fabrykach.

Dzień 3. – Poniedziałek



Haga

Shannon obudził klujący ból w karku, ale po chwili stwierdziła, że chyba ocknęła się z innego powodu. Silnik autobusu przestał warczeć, nie czuła żadnych wibracji. Otworzyła oczy. Chyba miała napuchnięte powieki. Na zewnątrz panowała noc. Shannon słyszała odgłosy pasażerów, którzy wstawali z miejsc, szukali swojego bagażu i kierowali się do wyjścia. Powoli rozprostowała zdrętwiałe nogi i wyjrzała przez okno, żeby dojrzeć coś, po czym mogłaby się zorientować, gdzie się znajdują.

W ciemnościach odkryła tablicę: Haga.

Przetarła sobie oczy i spojrzała na zegarek: dochodziła siódma. Autobus dojechał z opóźnieniem. Włożyła puchową kurtkę i pomyślała z rozmarzeniem o gorącym prysznicu i aromatycznej, parującej kawie. Sądząc po widoku za oknem, nie mogła się spodziewać ani jednego, ani drugiego. Ciemne ulice, ślepe budynki, prawie żywego ducha. Poczekala, aż wszyscy wysiądą, po czym ona też opuściła autobus. Dotkliwy chłód chwycił ją za policzki, nos i uszy. Naciągnęła kaptur na głowę i wygrzebała z kieszeni kurtki rękawiczki.

Usiłowała się zorientować, gdzie jest. Zdaje się, że tutaj też wylądowała na kolejowym dworcu. Nie był duży i przypominał jej stacje we francuskich mniejszych miastach. W czasie swojej podróży po Europie odwiedziła kiedyś w Holandii tylko Amsterdam.

Przeszła do głównego budynku. W hali żarzyło się kilka lamp. Część podróżnych stała bezradnie na środku, rozglądając się za obsługą, inni czekali przy dwóch otwartych okienkach.

Shannon zagadnęła po angielsku pierwszą lepszą osobę.

– Mówi pan po angielsku?

– Trochę.

– Jest pan stąd?

– Tak.

Podetknęła mu pod nos kartkę, na której zapisała adres François Bollarda.

– Nie wie pan przypadkiem, gdzie to jest i jak się tam dostać?

Mężczyzna spojrział na świstek papieru, po czym powiedział:

– Stąd to mniej więcej pół godziny drogi na piechotę. Albo niech jedzie pani taksówką, jeśli jakaś złapie.

Shannon poprosiła nieznajomego, aby opisał jej w przybliżeniu trasę. Mężczyzna wymienił kilka obco brzmiących nazw ulic i skrzyżowań, które z trudem zanotowała na kartce. Potem podziękowała i ruszyła przed siebie. Nie zamierzała wypatrywać taksówki, bo musiała oszczędnie gospodarować pieniędzmi. Burczało jej w brzuchu. W swoim żeglarskim worku miała kilka batonów czekoladowych, więc zjadła teraz jeden. Szła ulicami, przy których stały ładne stare domy z czerwonej cegły podobne do tych w Amsterdamie. Również tutaj latarnie uliczne nie oświetlały jej drogi. Tu i ówdzie dostrzegała słabe migotliwe światło w oknach. Świece, domyśliła się. Nie spotkała ani jednego człowieka, za to minęło ją kilka samochodów.

Mężczyzna z dworca dobrze opisał jej trasę. Mijała każdą wymienioną przez niego ulicę. Szła szybkim krokiem, żeby nie zmarznąć, i zastanawiała się, co ma powiedzieć François Bollardowi. Jej wyprawa tutaj teraz wydawała się jeszcze bardziej absurdałna niż poprzedniego wieczoru, kiedy wsiadała do autobusu. A jednocześnie pchała ją tutaj jakaś tajemnicza siła. Shannon postanowiła się jej poddać.

Po niespełna półgodzinie dotarła do celu. Zatrzymała się przed domem, jeszcze raz sprawdziła adres. Nazwisko widniejące przy dzwonku utwierdziło ją w przekonaniu, że wszystko się zgadza. Zięć jej sąsiadów mieszkał ze swoją rodziną w bogato zdobionym ceglany budynku z końca dziewiętnastego wieku przy ulicy, na której znajdowały się wyłącznie takie domy. Przed

nimi stały zaparkowane drogie niemieckie i szwedzkie auta.

Przez chwilę obserwowała fasadę, szukając znaków świadczących o tym, że ktoś jest w środku. Kiedy zimno zaczęło wdzierać się przez każdą szczelinę jej ubrania, zapukała wreszcie w drewniane drzwi. Odczekała chwilę, po czym zapukała znowu. Ponieważ nie było prądu, nawet nie próbowała użyć dzwonka. Zapukała kolejny raz. Nasłuchiwała, czy ze środka dochodzą jakieś odgłosy. Nic. Zapukała ponownie. Odczekała.

Po dziesięciu minutach zrezygnowała. Nikogo nie było. Czuła, jak jej twarz zalewa gorąca fala wstydu. O tym nie pomyślała, nie spodziewała się tego: François Bollarda nie ma w domu. Może jednak z żoną i z dziećmi pojechał do Francji? Albo przeprowadzili się wszyscy razem do jakiegoś hotelu, który ma awaryjne zasilanie. Nagle ogarnęło ją obezwładniające zmęczenie ostatnich dni, ba, ostatnich lat, na dodatek było jej zimno, skręcała się z głodu, chciało jej się pić i marzyła o gorącym prysznicu. Zaczęła dygotać. Poczowała się strasznie samotna i do oczu napłynęły jej łzy. Jej usta drżały, nie mogła złapać powietrza, zaczęła głęboko oddychać, żeby się uspokoić. Wreszcie wyciągnęła z kieszeni tę samą kartkę co na dworcu i przeczytała zapisany przez nią na odwrocie adres Europolu.

Bruksela

Angström miała tak zmarznięty nos, że niemal ją bolał. Naciągnęła śpiwór aż pod oczy i czekała, kiedy się trochę rozgrzeje. Potem ze śpiwora, w którym zaszyła się pod kocem, odważyła się wyjąć jedną rękę. Przycisnęła guzik nocnej lampki. Nic. Nadal nie ma prądu. Schowała z powrotem rękę i zaczęła się zastanawiać nad konsekwencjami.

Ona wiedziała więcej niż większość mieszkańców Europy. Gdy potwierdziły się przypuszczenia Manzana, zdała sobie sprawę, że awaria może potrwać znacznie dłużej.

Manzano. Ciekawe, co u niego?

Rozmyślała dalej, na ile jest przygotowana do takiej sytuacji. Czego będzie potrzebować? Wody, o czym przekonała się już wczoraj wieczorem. Jedzenia. Pieniądzy. Powinna chyba jak najszybciej wstać i sprawdzić, czy nie da się znaleźć jeszcze jakiegoś otwartego supermarketu i banku.

Wyczołgała się z posłania, poszła do toalety, którą wczorajszego wieczoru udało się jej raz splukać. Ale do rezerwuaru nie naleciała już woda. Mimo to usiadła na lodowatej desce i zrobiła, co musiała. Nie bez nadziei nacisnęła przycisk spłuczki, jednak na próżno. Przyniosła z kuchni butelkę wody mineralnej i wylała ją do sedesu.

Odrobiną wody z drugiej butelki załatwiła skromną poranną toaletę. Termometr za oknem pokazywał cztery stopnie powyżej zera. Po jej stronie temperatura nie mogła wynosić więcej niż dwanaście stopni. Mżawka zrosiła powierzchnię szyby. Angström włożyła świeży T-shirt, na to grubą bawełnianą koszulę i wełniany sweter. Długie majtki pod džinsy. Skafander, ciepłą wełnianą czapkę, rękawiczki, kozaki.

Normalnie jeździła do pracy transportem miejskim, bo w Brukseli nie miała własnego samochodu. Jeśli był jej potrzebny, korzystała z wypożyczalni. Dzisiaj wyprowadziła z przedpokoju swoją holenderkę i zamknęła za sobą drzwi na klucz.

Na ulicy nie było choćby najmniejszego światła. Przypomniała sobie, gdzie w okolicy są supermarkety i sklepy spożywcze, po czym wsiadła na rower i zaczęła energicznie pedałowac, żeby się rozgrzać.

Haga

Bollard prawie w ogóle nie spał. Już przed szóstą wykradł się z łóżka, ubrał się po cichu i opuścił nieduże mieszkanko w wiejskim gospodarstwie. Pół godziny później siedział już przy swoim biurku w Statenkwartier. Nie był jedyny. W biurze spędziła noc połowa jego zespołu.

Janis Christopoulos, trzydziestotrzyletni Grek, przywitał go z plikiem wydruków w ręku.

– Wreszcie mamy te portrety pamięciowe z Włoch i ze Szwecji. W sumie sześć sztuk.

Podeszli do ogromnej ściany w centrum dowodzenia, na której wieszali wszystkie wydrukowane informacje. Christopoulos dodał trzy wizerunki do sekcji szwedzkiej i trzy do włoskiej. Portrety samych mężczyzn. Jak zwykle na komputerowych rysunkach twarze wydawały się pozbawione wieku i duszy. To musi mieć coś wspólnego z oczami, pomyślał Bollard.

Pięć razy ciemne włosy, dwa razy bardzo rzadkie, jedno wąsy, dwie brody. Na jednym zdjęciu oczy przypominały skośne oczy Azjaty.

– Według wypowiedzi rozpiętość wieku wynosi od dwudziestu do czterdziestu lat; wzrost podany z boku – wyjaśniał Christopoulos. – Czterech na sześciu określono jako raczej południowy czy nawet arabski typ urody. Zdaniem jednego ze świadków był wśród nich też ktoś z Ameryki Południowej albo z Azji.

Christopoulos wzruszył ramionami.

– No cóż, tak to jest ze świadkami... W Szwecji z kolei ktoś widział blondyna.

Ani w Szwecji, ani we Włoszech nikt nie miałby żadnych podejrzeń, gdyby w jego domu pojawił się serwisant wyraźnie obcego pochodzenia, pomyślał Bollard. Podobnie byłoby we Francji.

– Te same portrety pamięciowe zostały wysłane do dostawców, ale oni raczej nie rozpoznają nikogo. Jak wynika z poszczególnych grafików, te firmy nie miały zaplanowanych w tamte dni i pod tamtymi adresami żadnych wizyt serwisowych.

– To jest już jakiś początek. Niewykluczone więc, że te typki rzeczywiście miały z tym coś wspólnego.

– Porównujemy uzyskane informacje z naszymi bankami danych. Interpol i Stany Zjednoczone robią to samo.

– To wszystko?

– Jeśli chodzi o ustalenia na ten temat, niestety tak. Przyszło jeszcze kilka meldunków z MAEA z Wiednia. Czeski Temelín nadal zgłasza problemy z systemem chłodzenia, ale władze twierdzą, że poziom zagrożenia wynosi 0 w skali INES, ta sama sytuacja jest w fińskim Olkiluoto i we francuskim Tricastin.

Bollard wyobraził sobie mapę swojego kraju i odetchnął z ulgą. Wymieniona elektrownia znajduje się na południu, ponad pięćset kilometrów od regionu Loary i jego rodziców. Pamiętał, że w minionych latach obiekt ten często trafiał na pierwsze strony gazet z powodu awarii, również dlatego że podobno usiłowano je częściowo tuszować.

– Najbardziej niepokojące informacje napływają niestety właśnie z Francji – kontynuował Christopoulos. – W Saint-Laurent mają chyba poważny kłopot z systemem chłodzenia.

Bollard poczuł się tak, jakby ktoś zacisnął mu na szyi szeroki pasek. Elektrownia w Saint-Laurent leżała zaledwie dwadzieścia kilometrów od domu jego rodziców.

– Na razie sytuacja nie jest jasna. Rosną temperatura i ciśnienie.

– Który stopień w skali INES?

– Jeszcze nie wiadomo.

– Przepraszam pana – powiedział Bollard.

Pospieszył do swojego biura i od razu włączył komputer. W internecie nie znalazł żadnej wzmianki o rzekomej awarii. Może nie poinformowano jeszcze opinii publicznej? Spojrzał na zegarek. Za kilka minut ósma. O tej porze rodzice zwykle już nie spali. Wykręcił ich numer.

Żadnego sygnału. Bollard nerwowo uderzył w widełki, powtórnie wybrał numer. Znowu cisza. Czy to możliwe, żeby centrala Europolu została uszkodzona? Chcąc to sprawdzić, zadzwonił do jednego z kolegów w Brukseli, o którym wiedział, że na pewno odbierze.

– Dzień dobry, tu François Bollard. Przepraszam, że przeszkadzam, ale musiałem przetestować naszą centralę.

– W porządku – odparł tamten. – Mnie też już się to zdarzało.

Jeszcze raz zadzwonił do rodziców. W słuchawce dał się słyszeć tylko cichy szum. W komputerowym rejestrze odszukał numer ich osoby kontaktowej we francuskim urzędzie nadzoru nuklearnego.

– *Autorité de sûreté nucléaire, bonjour.*

Bollard wymienił nazwisko osoby, z którą chciał rozmawiać.

– Nie ma go jeszcze w biurze – odpowiedziała uprzejmie telefonistka.

– Wobec tego proszę mnie połączyć z jego zastępcą.

– Niestety, też go jeszcze nie ma. Awaria prądu. Rozumie pan? Mamy trudności z dotarciem do pracy.

Bollard zacisnął zęby, aby nie wybuchnąć krzykiem.

Będzie musiał spróbować później. Odłożył słuchawkę. Potem przypomniał sobie, że ma spotkanie.

Berlin

Za kwadrans ósma funkcjonariusz policji kryminalnej Hartlandt stał z książeczką oszczędnościową przed najbliższą filią swojego banku. Przed nim czekało już kilkanaście osób. Niektórzy przechodnie na próżno próbowali skorzystać z bankomatu obok wejścia. Hartlandt potupywał nogami i uderzał rękami o tułów, żeby nie zmarznąć. Za nim utworzyła się jeszcze dłuższa kolejka. Niektórzy z czekających rozmawiali, wymieniali się doświadczeniami, klęli na władze. Hartlandt zastanawiał się, gdzie jeszcze mógłby znaleźć otwarty supermarket albo przynajmniej sklep spożywczy. Punkt ósma wszyscy wdarli się do hali kasowej.

W środku było przyjemnie ciepło.

– Ile? – spytał pracownik banku po drugiej stronie wysokiej lady, gdy Hartlandt podał mu swoją książeczkę.

– Dziesięć tysięcy – odpowiedział mu przytłumionym głosem.

– To prawie wszystko – zauważył zdziwiony mężczyzna.

– Tak – potwierdził Hartlandt. – Bankomat na zewnątrz nie działa.

– Został odłączony od sieci wewnętrznej – wyjaśnił pracownik, kładąc jednocześnie na ladzie jeden banknot za drugim. – Żeby zasilanie awaryjne w środku wytrzymało dłużej.

Hartlandt podzielił stosik na dwie części, złożył każdy z plików na pół i wsunął głęboko do przednich kieszeni dżinsów. Kiedy wychodził z banku, w hali kasowej było sporo ludzi, ale nie panował w niej tłok.

Gdyby oni wszyscy wiedzieli, pomyślał. I zadał sobie pytanie, dlaczego właściwie nie wiedzą.

Haga

Manzano siedział rozciągnięty na kanapie w hotelowym pokoju i grzebał w komputerze. Ktoś zapukał do drzwi.

Do środka wszedł Bollard.

– Dobrze pan spał? – spytał.

– I dostałem nawet przyzwoite śniadanie – odpowiedział Manzano.

– To chodźmy na zakupy – zaproponował Bollard.

Francuz wydawał się jakiś zmieniony. Jeszcze bardziej napięty. Manzano odniósł takie wrażenie.

– Sklepy są znowu otwarte?

– Dla nas tak.

Bollard jechał razem z nim przez puste ulice. Po drodze pokazywał Włochowi jakieś ciekawostki.

Manzano spytał go, jak trafił do Europolu w Hadze.

– Motywy takie jak zawsze – wyjaśnił Bollard. – Interesujące wyzwania. Perspektywa kariery.

Przejechali właśnie obok dużego domu mody. Bollard zaparkował w bocznej uliczce.

– Wejdzimy wejściem dla dostawców – powiedział. Z bagażnika wyjął jakąś torbę.

Do środka wpuściła ich kobieta w średnim wieku, ale najpierw Bollard zamienił z nią kilka słów i pokazał jej legitymację.

Wewnątrz było tak ciemno, że Manzano prawie nic nie widział. Bollard wyciągnął z torby dwie duże latarki. Jedną wręczył Włochowi. Snopem światła drugiej wędrował po rozległej przestrzeni wypełnionej regałami i wieszakami pełnymi ubrań.

– Niech pan sobie coś wybierze.

– Czuję się jak włamywacz – rzucił Manzano.

– To chyba dla pana nic nowego – odparł Bollard.

Manzano wprawdzie nie zrozumiał uwagi Bollarda, ale nie podobał mu się jego ton.

– Przecież jest pan hakerem – dodał Francuz.

Manzano nie miał najmniejszej ochoty ciągnąć tego wątku.

Jednak Bollard nie dawał za wygraną.

– Włamując się do systemów, też pan narusza czyjąś własność.

– Nie włamywałem się, tylko wykorzystywałem luki w zabezpieczeniach. I ani niczego nie kradłem, ani nie niszczyłem. – Manzano poczuł się zmuszony do wytłumaczenia.

Aby zakończyć rozmowę na ten temat, poświecił latarką w innym kierunku, w stronę koszul.

– A jak zapomni pan zamknąć u siebie drzwi – nie ustępował Bollard – to uważa pan, że to w porządku, jeśli ktoś zupełnie obcy wparuje panu do mieszkania?

– Nie byłbym zły, gdybyś ktoś zwrócił mi uwagę na to przeoczenie.

– Czy ktoś włamał się panu kiedyś do domu? Zna pan to uczucie, kiedy człowiek wie, że ktoś u niego był? Tylko nie wiadomo kto. I czy przyjdzie znowu. Czy następnym razem zrobi coś złego. Zapewniam pana, że to bardzo podłe uczucie. Nawet jeśli nic nie zostanie skradzione ani zniszczone.

– Chce się pan ze mną kłócić czy współpracować? – spytał Manzano. Uniósł do góry jakiś sweter. Przyłożył go do siebie. – Ten byłby dobry.

Funkcjonariusz holenderskiej policji kryminalnej widział na monitorze, jak Bollard wyszedł z hotelowego pokoju razem z Włochem.

– Teraz na mnie kolej – powiedział do swojego partnera. – Na razie.

Zszedł dwa piętra niżej. Zapasowym kluczem elektronicznym bez trudu otworzył sobie drzwi. Laptop Manzana stał na biurku. Hasło do niego udało im się odczytać już wcześniej przez kamery monitorujące. Włożył pamięć USB i wydał kilka poleceń. Dwie minuty później na komputerze był już zainstalowany program. W ciągu kolejnych trzech został dobrze schowany – tak, by Włoch nie mógł go odkryć. Następnie nieproszony gość wyłączył laptopa i zostawił go dokładnie w tym miejscu, w którym go zastał. Potem podszedł do drzwi, spojrział jeszcze raz kontrolnie za siebie, wyłączył światło i opuścił pokój równie szybko i dyskretnie, jak się do niego dostał.

Bruksela

Jadąc rowerem, Angström najpierw wytropiła otwarty bank. Z pół tysiąca euro w kieszeni popedałowała dalej i jakieś dwadzieścia minut później znalazła supermarket, którego wejście przypominało otwór w ulu – tylu ludzi tłoczyło się do środka i z powrotem. Przy skąpym awaryjnym oświetleniu kupujący przeciskali się między regałami jak w sobotnie popołudnie przed świętami Bożego Narodzenia. Największy ścisk panował przy kasach.

Angström zdobyła jeden z ostatnich wózków na zakupy. Świadoma celu przepychała się przez tłum do działu z napojami, gdzie ze skromnego już asortymentu wzięła sobie cztery zgrzewki wody w butelkach. Czyjeś łokcie wwiercały się jej w bok, wózki taranowały plecy i najeżdżały na pięty. Dział z mrożonkami ominęła sporym łukiem, bo klienci bili się tam o towary, których ceny tak radykalnie obniżono, by jeszcze dało się je sprzedać, zanim nie będą się już w ogóle nadawać do spożycia. Resztę wózka wypełniła wszelkiego rodzaju konserwami, co kosztowało ją sporo wysiłku. Teraz pchała go przed siebie.

Kolejka do kasy miała co najmniej trzydzieści metrów długości.

– Tylko spokojnie! – nawoływał ktoś z klientów z desperacją. – Przecież my nie jesteśmy temu winni! Proszę się ustawić! Bo będę musiała wezwać kogoś z ochrony!

– Co za główniana firma! – wrzasnął ktoś inny. – Nie będę tu sterczeć przez cały dzień i czekać, aż pani się nauczy liczyć!

– Spokojnie, proszę państwa! Wszyscy zostaną obsłużeni! Robimy, co możemy!

– Jakoś nie widać!

– No właśnie!

– Szybciej tam z przodu!

Angström stanęła na końcu kolejki. Przed nią było co najmniej sześćdziesiąt osób. Jedni czekali cierpliwie, inni gestykulowali i pokrzykiwali.

– O co chodzi? – jakaś kobieta przed nią spytała mężczyznę stojącego obok.

– Nie działają skanery i kasy – wyjaśnił. – Kasjerki liczą wszystko ręcznie. A ponieważ nie znają cen większości towarów, muszą ciągle sprawdzać. Niewykluczone, że nie umieją nawet porządnie liczyć. To może trwać i trwać!

W kolejce obok Angström zauważyła mężczyznę, który wepchnął sobie do kurtki kilka paczuszek, porzucił wyładowany w połowie wózek i przeciskał się wzdłuż szeregu ludzi do przodu.

– Proszę mnie puścić! Ja nic nie mam.

Angström zawahała się przez chwilę, a potem zawołała: – Hej, hej, proszę pana! Jest pan pewien?

Mężczyzna zatrzymał się zirytowany, odwrócił się i zaczął szukać wzrokiem osoby, która go zatrzymała.

– Tak, tak, pan! – krzyknęła Angström.

– A czego mam być pewien?

– Że nic pan przy sobie nie ma. Może niech pan lepiej sprawdzi kieszenie w kurtce.

Teraz zainteresowali się nim także inni. Mężczyzna obmacał swoją kurtkę i nadal udawał niewinnego. W końcu podszedł do porzuconego wózka.

– Stuknięta! – syknął przez zęby do Angström. – Co to panią obchodzi?

Dyskretnie przełożył zawartość kieszeni z powrotem do wózka.

– Mamo, ja chcę do domu – marudziło jakieś dziecko za nią.

Mała dziewczynka trzymała za rękę nieco starszego chłopca.

– Jeszcze troszeczkę, skarbie – odpowiedziała matka.

– Ja chcę siusiu!

No jasne.

– Wytrzymaj jeszcze chwilę.

– Ale mnie się bardzo chce – kaprysiła mała.

– Przestań wreszcie! Jesteś już na tyle duża, że możesz trochę poczekać!

– Nieee!

– Proszę cię, Janine. W nagrodę będziesz mogła sobie wybrać potem przy kasie coś słodkiego.

– To ja też sobie coś wybiorę! – odezwał się chłopiec.

– Tak, ty też.

– Ale jemu wcale nie chce się siusiu!

– Chce mi się!

Angström zamknęła oczy i zastanowiła się przez chwilę, czy nie powinna może lepiej zostawić tego wózka i wrócić do domu bez jego zawartości. Potem uzmysłowiła sobie, że i tak nie przewiezie tego wszystkiego rowerem, bo nabrała zdecydowanie za dużo. Musiałaby pchać wózek do samego domu. A co z rowerem? Położy go na wierzchu czy będzie prowadzić drugą ręką? Nie, ten ostatni wariant nie wchodził w rachubę, bo wózek był za ciężki. Policzyła szybko, że stąd do siebie ma co najmniej trzy kilometry albo może ponad cztery.

– Stać! Zatrzymać się!

Angström usłyszała przekleństwa, pojękiwania z bólu, odgłosy bijatyki. Potem na krótką chwilę zaległa cisza.

– Wstać!

– Niech pan mnie puści!

– Myśli pan, że jak nie ma prądu, to może pan bezkarnie kraść i uciec!

Angström zadała sobie pytanie, jak długo jeszcze będzie musiała czekać. Ludzie nie potrafili pogodzić się z zaistniałą sytuacją i stawali się coraz bardziej agresywni i głośni.

– Jeśli ktoś bez zakupów chce opuścić sklep, proszę przejść przy kasie całkiem z prawej!
– powtarzał raz po raz czyjś głos z przodu.

Zbliżając się przeraźliwie wolno do kasy, Angström obserwowała kasjerkę. Kobieta rzeczywiście najpierw oglądała każdy towar po kolei, potem przewracała kartki w zeszycie, w którym przy słabym świetle ledwie mogła cokolwiek odczytać, szukała konkretnej ceny i następnie zapisywała ją na kartce, a następnie wszystko razem podliczała.

Angström postanowiła nie liczyć razem z nią, mimo że nie ufała jej umiejętnościom rachunkowym.

Haga

Shannon przez kolejne trzy kwadransy maszerowała w zimnie do centrali Europolu. W recepcji na dole nowoczesnego budynku poinformowano ją, że François Bollarda jeszcze nie ma. Ale po sprawdzeniu przez telefon portier powiedział, że niedługo ma się zjawić.

Niewiele myśląc, Shannon usiadła na jednej z kanap. Tu było ciepło i mogła skorzystać z toalety, a nawet od biedy trochę się umyć. Potem spytała mężczyznę z recepcji, czy są jakieś nowe informacje dotyczące awarii prądu. Nie znał żadnych i nie miał ochoty rozmawiać.

Nie czekała długo. Zegar nad wejściem pokazywał kilka minut po dziesiątej, gdy ujrzała Bollarda wchodzącego do holu. Obok niego szedł jakiś dryblas ze świeżo zszytą raną na czole i niósł kilka toreb z zakupami.

Shannon zastanowiła się krótko, skąd on mógł je wziąć, bo po drodze tutaj nie minęła ani jednego otwartego sklepu, ale zaraz zerwała się z miejsca i ruszyła w ich stronę.

– Dzień dobry, panie Bollard. Lauren Shannon – przedstawiła się – jestem sąsiadką pana teściów w Paryżu.

Bollard zmierzył ją uważnie wzrokiem.

– Co pani tutaj robi? Czy moim teściom coś się stało?

– Chętnie bym to usłyszała od pana – odparła Shannon.

– Proszę iść dalej, ja zaraz do pana dołączę – zwrócił się do swojego towarzysza po angielsku. Kiedy tamten znalazł się już poza zasięgiem słuchu, Bollard odezwał się do Shannon: – Przypominam sobie panią. Kiedy ostatnio się widzieliśmy, pracowała pani dla jakiejś stacji telewizyjnej.

– I nadal pracuję. Wczoraj po południu pańscy teściowie wyjechali na łeb na szyję z Paryża tuż po telefonie pracownika Europolu odpowiadającego za walkę z terroryzmem. O ile dobrze zrozumiałam, wybierali się do pana rodziców, panie Bollard. Pańskiej teściowej wymknęło się niechcący zdanie, które nie daje mi spokoju.

– Domyślam się, skoro w środku nocy przygnało panią z Paryża aż tutaj. Nie rozumiem jednak, co ja mógłbym mieć z tym wspólnego. Wszyscy przedstawiciele mediów proszeni są o kontaktowanie się z naszym biurem prasowym.

Shannon nie spodziewała się, że Bollard powie jej coś z własnej nieprzymuszonej woli. Uznałaby wtedy, że rzeczywiście przyjechała tu na próżno, bo gdyby paplał bez zahamowań, oznaczałoby to, że już dawno wysłano do wszystkich międzynarodowych agencji informację prasową.

– Czyli nie musimy się obawiać, że te problemy z prądem są wynikiem ataków terrorystycznych ani tego, że będą jeszcze trwały długo?

– O to, kiedy wróci prąd, musi pani spytać producentów, nie mnie.

Wyraźnie się wykręcał.

– A więc za tymi wyłączeniami nie kryją się żadne ataki?

– Na ile jest pani zorientowana w europejskim systemie dystrybucji energii elektrycznej?

– Widzę i słyszę, że on nie funkcjonuje. To wystarczy.

Nie mylił się. Ona nie miała o nim pojęcia.

– Niezupełnie – odpowiedział z uśmiechem pełnym współczucia. – Trzeba pani wiedzieć, że jest to system niezwykle złożonej natury. Nie da się go wyłączyć tak po prostu jak światła w pani pokoju. A teraz proszę mi wybaczyć. Na wszelkie pytania chętnie udzieli pani odpowiedzi nasz rzecznik prasowy.

– Wobec tego dlaczego pańscy teściowie wyjechali na wieś? – zawołała za nim. – Do rolników, którzy mają własną studnię, mogą ogrzać dom drewnem i, jak powiedziała madame

Doreuil, po prostu zabić sobie kurę, jeśli będą potrzebować czegoś do jedzenia.

Bollard odwrócił się i znowu podszedł do niej. Ona zaś mówiła dalej: – Odniosłam wrażenie, że oni doskonale się orientowali, iż ta sytuacja potrwa dłużej. A od kogo mogliby to wiedzieć?

Powtórnie zmierzył ją pobłażliwym spojrzeniem jak dorosły krnąbrne dziecko.

– Z pełnym szacunkiem dla pani fantazji i zaangażowania, pani...

– ...Shannon, Lauren Shannon.

– ...ale jestem bardzo zajęty. I bynajmniej nie tym, o czym pani myśli. Proszę wracać do Paryża.

Shannon patrzyła za nim, dopóki jego postać nie zniknęła na schodach. Potem zrekapitulowała sobie w pamięci całą rozmowę. Jej pytań o zamachy terrorystyczne nie zbył kategorycznie jako absurdalnych, stwierdziła. Zamiast jednoznacznie zaprzeczyć, pouczył ją o złożonym charakterze systemu dystrybucji energii. Podeszła z powrotem do kanapy, o którą stał oparty jej żeglarski worek. Znowu poczuła głód. Z bocznej kieszeni wyciągnęła ostatniego batona.

I co teraz?

– Może zaniosę teraz swoje zakupy do hotelu – powiedział Manzano.

Bollard skinął głową.

– Dam panu znać, kiedy przyjdą listy producentów SCADA. Doszedł pan do czegoś?

– Na razie brak rewelacji.

Manzano studiował diagram na ścianie. W pomieszczeniu stanowiącym centrum dowodzenia Bollarda na całej dłuższej ścianie zaczęli umieszczać otrzymywane informacje. I tak w jednym miejscu wisiały notatki dotyczące kodów we włoskich licznikach, obok wszystko, co dostali do tej pory od Włochów na temat mieszkań, do których liczników wprowadzono te kody, czyli dane osobowe właścicieli i mieszkańców z ostatnich lat, wywiady z sąsiadami i kolegami z pracy. W innym miejscu znajdowały się podobne informacje ze Szwecji. Oprócz tego po trzy portrety pamięciowe.

Kolejną wysepkę stanowił kompleks informacji z francuskiego CNES-u i centrów zarządzania siecią w kolejnych krajach, które poprzedniego dnia także znalazły się bez prądu. Jak na razie nie stali się od tego wszystkiego ani trochę mądrzejsi.

Na dworze trochę się ociepliło i zaczynało kropić. Manzano przyspieszył kroku, by dotrzeć do hotelu przed deszczem. Idąc, obserwował mijanych przechodniów i ludzi w przejeżdżających samochodach. Wciąż nie przeczuwali, co ich czeka. W końcu znalazł się w ciepłym hotelowym holu.

– Przepraszam, czy ja przypadkiem nie widziałam pana wcześniej w towarzystwie François Bollarda? – odezwał się kobiecy głos po angielsku.

Za nim stała młoda kobieta opatulona w puchową kurtkę z niewielkim workiem żeglarskim w ręku. Oprócz nich i portiera nie było w lobby nikogo. Jej twarz wydała mu się znajoma.

– Ach tak, to pani jest tą kobietą z siedziby Europolu – odpowiedział także po angielsku.

– Mieszkam po sąsiedzku z teściami Bollarda w Paryżu – wyjaśniła.

Dla Manzana jej angielski brzmiał tak, jakby była Amerykanką.

– Co pani tu robi?

– To jest hotel. Szukam pokoju.

– Obawiam się, że wszystko jest zajęte.

– A co pan tu robi? Pan też jest z Europolu? Dlaczego pan tu mieszka?

– Akurat teraz wiele osób przeniosło się do lokali zastępczych. Niemal każdy, kto miał

taką możliwość. Tutaj działa awaryjne zasilanie. Ale ja chciałem raczej wiedzieć, co pani robi w Hadze?

– Jestem dziennikarką. Widziałam, jak wczoraj po południu teściowie Bollarda w popłochu wyjeżdżali z Paryża. Nie sądzę, aby teściowie człowieka odpowiadającego w Europolu za walkę z terroryzmem wybierali się w taką podróż bez powodu podczas największej awarii prądu w historii Europy. Bollard nie chciał mi nic powiedzieć.

– Czyli pani szła za mną od samego Europolu.

– Muszę wywąchać, co się dzieje. Po to tłukłam się tu całą noc autobusem.

– Widać to po pani.

– Jaki pan szarmancki, dziękuję.

Shannon była niewysoką, szczupłą kobietą o zgrabnej głowie i średnio długich ciemnoblonde włosach. W jej oczach była zuchwałość, a małe usta zdradzały zdecydowanie.

– Cała noc w autobusie? I nie ma pani pokoju? Jadła już pani śniadanie?

– Parę batonów.

Manzano podszedł do portiera.

– Czy znajdzie się jakiś wolny pokój?

– Nie – odpowiedział mężczyzna.

Manzano zwrócił się ponownie do młodej kobiety.

– Tak myślałem. Chyba powinna pani wrócić najbliższym autobusem do domu.

– Tam też nie ma prądu.

– Ale przynajmniej ma pani dach nad głową.

Kobieta wzruszyła ramionami.

– Jak się pani nazywa? – spytał Manzano.

– Lauren Shannon.

– To nie brzmi jak francuskie imię i nazwisko.

– Jestem Amerykanką.

– Amerykanka w Paryżu, jak miło. Jeszcze tylko brakuje, żeby tańczyła pani jak Gene

Kelly.

– Muszę pana rozczarować. A pan?

– Piero Manzano.

– Czyli też nie Francuz.

– Jestem Włochem.

– Widzę, że ta Haga to międzynarodowa dziura.

– Cała noc w autobusie – powtórzył Manzano. – Pewnie miałyby pani ochotę na prysznic.

– I to jaką! – westchnęła.

– Wobec tego zapraszam do siebie.

Zmierzyła go podejrzliwie.

Manzano roześmiał się szczerze.

– Proszę sobie niczego nie wyobrażać! Po prostu wolę jeść obiad z osobami, które nie są nieświeże. Bo przecież chyba jest pani też głodna.

W jej spojrzeniu nadal była nieufność.

Manzano odwrócił się w stronę schodów.

– Jak pani woli. Wobec tego życzę pani powodzenia.

Zaczął wchodzić po stopniach.

– Niech pan poczeka! – zawołała Amerykanka.

Zatrzymał się i poczekał, aż go dogoni.

– W ogóle pan nie skomentował powodu, dla którego przyjechałam do Hagi.

- A co miałem powiedzieć?
- Czy mam rację.
- W czym?
- W tym, że za tą awarią kryje się coś więcej niż tylko ludzki błąd czy usterki techniczne.
- A skąd ja miałbym to wiedzieć?
- Bo widziałam pana z Bollardem.
- Pani nie zamierza zrezygnować?
- Na tym polega moja praca.
- A w mojej pracy obowiązuje mnie tajemnica. Nawet gdybym coś wiedział, nie wolno by mi było tego wyjawić.
- Czyli coś pan wie.
- Tu jest mój pokój.

Manzano przyłożył plastikowy prostokąt do elektronicznego zamka. Zapaliła się zielona lampka, rozległo się kliknięcie i drzwi dały się otworzyć. W tym momencie Manzanowi przemknęła przez głowę myśl, co będzie z tymi zamkami, gdy przestanie płynąć prąd z awaryjnych agregatów.

Shannon postawiła swój worek w przedpokoju.

– Proszę wziąć prysznic – zaproponował Manzano – a potem pójdziemy na dół coś zjeść. To prawdziwy luksus w obecnej sytuacji.

Podczas gdy jego nowa znajoma zajmowała się sobą w łazience, on wepchnął zakupy do szafy. Potem sprawdził w internecie najświeższe informacje. Hotel, podobnie jak Europol, miał specjalne łącze z siecią szkieletową, wciąż jeszcze działające bez zarzutu. Pojawiły się pierwsze pogłoski o akcjach policji we Włoszech i Szwecji mających rzekomo związek z wyłączeniami prądu. Kilku ekspertów wyrażało wątpliwości, by obecne awarie mogły mieć zwyczajne przyczyny. Brak jakichkolwiek komentarzy na ten temat ze strony czynników oficjalnych. Manzano uważał, że to błędna strategia. Przecież rządy wszystkich krajów już wiedzą, że mają do czynienia z atakiem. I rządzący z pewnością zdają sobie sprawę również z tego, że znaczna część społeczeństwa będzie musiała obyć się bez prądu prawdopodobnie jeszcze przez kilka dni.

Shannon wyszła z łazienki. Wycierała ręcznikiem włosy.

- Coś fantastycznego, wielkie dzięki!
- Nie ma za co.
- Jakież nowiny?
- Nic specjalnego.
- Miał pan rację! – zawołała. – Jestem piekielnie głodna!

Dziesięć minut później Shannon siedziała już z Manzanem w hotelowej restauracji. Połowa stolików była zajęta. Dziwny gość z tego Włocha, pomyślała. Nie bardzo wiedziała, co ma o nim sądzić. Do tej pory był miły, nienatoczywy i jakby dawał do zrozumienia, że coś wie. Wolą ją jednak mieć się na baczności.

- Mamy skróconą kartę – oznajmił kelner.
- Lepsze to niż nic – odparł Manzano. Zamówił sandwicza z tostowego chleba. Shannon zdecydowała się na hamburgera.
- Z czym się pan zderzył? – spytała, wskazując na jego czoło.
- Wypadek samochodowy, kiedy wyłączyli sygnalizację na ulicach.
- Jest pan pracownikiem Europolu?
- Pracuję dla Europolu. Zaangażował mnie Bollard.
- Po co?
- A dla jakich mediów pani pracuje?

– Dla CNN.

Pokazała mu legitymację.

– To oni nie mają tu swoich ludzi? – spytał Manzano.

– Właśnie jestem.

– I jak pani nadaje swoje materiały? Bez prądu? Jak wysyła je pani do wydawcy? Jak potem trafiają na ekrany? Pomijam już to, że teraz prawie nikt nie może oglądać telewizji.

– W Europie – odrzekła. – Nadaję wiadomości online, dopóki jeszcze działa jakaś część internetu.

– Co nie potrwa już długo – zauważył Manzano. Rozejrzał się dookoła, jakby się obawiał, że ktoś go obserwuje. Pozostali goście nie zwracali na nich uwagi. Zniżył jednak głos: – Ja też jestem tutaj dopiero od wczoraj. O tym, co tu robię, nie wolno mi mówić, musiałem podpisać klauzulę poufności. – Uśmiechnął się do niej. – Ale nikt nie może zabronić mi powiedzieć, co odkryłem, zanim zjawiłem się w Hadze.

Kiedy skończył, Shannon nie mogła usiedzieć na swoim miejscu.

– Dlaczego jeszcze nie poinformowano o tym ludzi? – rzuciła rozgorączkowanym szeptem.

– Władze obawiają się paniki.

– Ale obywatele mają prawo wiedzieć!

– Dziennikarze zawsze tak mówią, żeby usprawiedliwić swoje wścibstwo!

– Może o dziennikarskiej etyce podyskutujemy innym razem! Poza tym mam wrażenie, że nie powiedział mi pan tego wszystkiego po to, żebym teraz trzymała język za zębami.

– No nie.

– W pana pokoju jest dostęp do internetu. Mogę z niego skorzystać?

– Nie jestem pewien, czy zadziała. Zdziwiłbym się, gdyby nie był monitorowany przez Europol.

– No i co z tego? Wrzucę swój artykuł na serwer, zanim zdążą się zorientować.

– To nie będzie konieczne. W całym hotelu jest WLAN, bo z bezpośredniego połączenia z siecią szkieletową internetu, które tutaj mają, często korzystają goście Europolu i dyplomaci.

– Ale na pewno trzeba znać kod dostępny wyłącznie mieszkańcom hotelu.

– Dam pani swój.

– Nie boi się pan, że pana wyrzucą?

– To oni chcą czegoś ode mnie, a nie odwrotnie.

– Po czymś takim może już nie?

– Proszę zostawić to mnie.

– Pan też jest tego zdania... no, że może wybuchnąć panika?

– Interesujący pomysł – odpowiedział. – Wywołać panikę na całym kontynencie... A pani w to wierzy?

Shannon zawahała się przez chwilę. Wiedziała, że szansę na taki materiał dziennikarz dostaje tylko raz w życiu, a nie każdemu się to trafia.

– Moim zdaniem nie doceniamy ludzi – odpowiedziała w końcu. – W przeciwieństwie do scenariuszy z krzykliwych filmów katastroficznych do tej pory nie doszło nigdzie do żadnych niepokojów ani grabieży, wręcz przeciwnie, wszyscy sobie nawzajem pomagają, są przyjaźni.

– Bo jeszcze mają zapasy w spiżarniach.

– Wie pan co? Według mnie informacja o celowym sabotażu systemu energetycznego może ludzi tylko jeszcze bardziej zbliżyć. Przecież żeby zmierzyć się ze wspólnym wrogiem, trzeba trzymać się razem!

– Pani chyba minęła się z powołaniem. Byłaby pani dobrym ministrem propagandy.

– Nie wiemy, o czym rozmawiali – powiedział policjant do Bollarda. – Było za głośno. Bollard patrzył w zadumie na monitor laptopa, na którym widoczne były obrazy z pokoju Manzana. Włoch siedział na łóżku z komputerem na kolanach. Wydawał się pracować.

– Gdzie ona teraz jest?

– Na dole, w restauracji. Ma swojego laptopa. Coś pisze.

Bollard był myślami gdzie indziej. Nadal nie udało mu się skontaktować z rodzicami. Ani z MAEA, ani od władz francuskich nie napłynęły do Europolu żadne nowe meldunki na temat sytuacji w elektrowni jądrowej Saint-Laurent. Zmusił się do koncentracji.

– I oczywiście nie wiemy, co ona tam pisze.

– Luc właśnie próbuje to ustalić. Podłącza się do WLAN-u.

Bollard wstał.

– Informujcie mnie na bieżąco.

„Nasz korespondent w Sztokholmie rzeczywiście uzyskał potwierdzenie informacji o sabotażu”, przeczytała Shannon w odpowiedzi e-mailowej Erica Laplante’a. Biuro w Paryżu dotarło do niej przez łącze satelitarne.

Shannon szybko wystukała kolejnego e-maila na klawiaturze.

„Przecież wam mówiłam. Tu jestem u samego źródła. Jeśli mam pracować nad tym dalej, wydawca musi przejąć koszty zakwaterowania i wypożyczonego samochodu. O ile jeszcze uda mi się tu cokolwiek dla siebie znaleźć”.

„OK”, nadeszła zgoda. Laplante dołączył też dane firmowej karty kredytowej.

„Powodzenia, Lauren”.

Shannon zacisnęła pięść w triumfalnym geście. Ruszyła do recepcjonisty.

– Ma pan może jakiś wolny pokój?

– Przykro mi.

– A może mógłby mi pan załatwić coś gdzie indziej?

– Próbowałem już coś zorganizować dla naszych stałych gości. Wszystkie hotele i pensjonaty z awaryjnym zasilaniem są wyprzedane do ostatniego miejsca.

– A jakiś samochód da się wypożyczyć?

– Można spróbować. Chce pani z jakiejś określonej firmy?

– Z takiej, która ma sprawne auto z pełnym bakiem.

Portier kilkakrotnie próbował się połączyć, wreszcie udało mu się przeprowadzić krótką rozmowę. Zakrył dłonią słuchawkę i powiedział do Shannon: – Dodzwoniłem się tylko do jednej wypożyczalni. Został im jeden jedyny samochód. Ale nie jest tani.

– Ile?

– Sto pięćdziesiąt euro dziennie.

– Co to za auto? Ferrari?

– Porsche.

– Chyba pan żartuje.

– Zdaje się, że to ostatni wolny samochód z pełnym bakiem w całej Hadze i okolicy.

Tańsze są już wszystkie wypożyczone, a większość wypożyczalni jest zamknięta.

Shannon wzruszyła ramionami. Laplante dostanie szau.

– No trudno.

– Ale musi pani zapłacić gotówką.

Shannon zamarła. Laplante na razie się nie wścieknie. Jeśli ona chce mieć to auto, musi wyłożyć pieniądze z własnej żelaznej rezerwy.

A co tam! Teraz to już wszystko jedno! Poprosiła, żeby recepcjonista opisał jej drogę.

Godzinę później włożyła kluczyk do stacyjki srebrnego sportowego auta, przez którego

karoserię ciągnęły się na całej długości kolorowe pasy jak w samochodzie wyścigowym. Ostrożnie wcisnęła sprzęgło i wrzuciła bieg. Motor zaryczał. Pracownik wypożyczalni spojrział na nią z niepokojem. Pomachała mu i ruszyła w stronę wyjazdu z garażu.

Zanim dotarła do hotelu, nauczyła się panować nad bolidem przynajmniej w miejskim ruchu.

Zapukała do drzwi Manzana. Kiedy jej otworzył, wyznała otwarcie: – Mam problem. Muszę zostać tu do jutra, a w całym mieście nie da się znaleźć ani jednego wolnego pokoju. Pomyślałam sobie, że skoro mi pan już tak bardzo pomógł, to może...

- Co takiego? Chce się pani u mnie schronić?
- Nikogo tu nie znam.
- A zięć pani paryskich sąsiadów, pan Bollard?
- On nie chce ze mną nawet rozmawiać.
- Pani ma jednak zaufanie do ludzi – parsknął Włoch, kręcąc głową. – Nie boi się pani dzielić łóżka z kompletnie obcym facetem?
- Pokoju!
- ...tu jest tylko jedno podwójne łóżko. Sofa jest za mała, żeby się na niej przespać.
- Nie ruszę się ze swojej połowy – obiecała Shannon.
- Biada pani, jeśli pani chrapie – powiedział na koniec Manzano.

Berlin

W koszarach przy Treptower Park praca aż furczała. Przez cały dzień Hartlandt i jego koledzy przeglądali dane z ubiegłych lat, a jednocześnie gromadzili wciąż napływające nowe informacje, analizowali je, klasyfikowali. O ile napływały. Przejście z radia analogowego na specjalną linię UKW zarezerwowaną wyłącznie dla różnych służb bezpieczeństwa przeprowadzone dopiero w ostatnich latach stanowiło rzeczywiście, i to od pierwszej nocy, decydującą różnicę. Przez całe dziesięciolecia niemieckie organizacje i instytucje wykonujące zadania z zakresu bezpieczeństwa porozumiewały się w sytuacjach awaryjnych za pośrednictwem systemu analogowego. Z powodu trudności z szyfrowaniem w latach osiemdziesiątych opracowano systemy cyfrowe, które stopniowo znalazły zastosowanie w większości krajów. Podczas gdy bezprzerwowo zasilacz awaryjny UPS gwarantował pracę od czterech do ośmiu godzin, to działający na baterie poprzednik radiotelefonów TETRA wystarczał jedynie na dwie godziny. Od soboty rano robiono wszystko, aby stacje nadawcze wyposażyć w awaryjne zasilanie, a aparaty w dodatkowe baterie. Mimo to wiele regionalnych jednostek poszczególnych organizacji i instytucji mogło się porozumiewać jedynie okresowo albo wcale – zarówno między sobą, jak i ze swoimi centralami.

Wspólnie z kolegami Hartlandt analizował ostatnie informacje napływające z firm wytwarzających i dystrybuujących energię elektryczną.

Gdzieś tam tysiące inżynierów pracowało nad znalezieniem błędów i przyczyn wyłączenia prądu, podczas gdy dziesiątki zespołów serwisowych sprawdzało najważniejsze magistrale.

– O wiele za dużo elektrowni ma problemy z ponownym uruchomieniem – stwierdził jeden z kolegów pochylony nad stosem wydruków. – Dlatego nie daje się zbudować wystarczającej liczby wysp i zsynchronizować sieci.

– Ale doszły meldunki o co najmniej dwóch uszkodzeniach – zauważył Hartlandt, przeglądając swoje listy.

– W rozdzielnicach Osterröfeld i Lubeka-Bargerbüch w Szlezwiku-Holsztynie pożary zniszczyły wiele stacji transformatorowych.

– No, cudownie – skomentował kolega Hartlandta z naprzeciwka. – To znaczy, że nie będą działały przez kilka najbliższych miesięcy.

Nie było to jednak jeszcze takim wielkim dramatem. Jak bowiem zauważył Hartlandt, niemieckie sieci regionalne korzystały z zasilania z kilku stron. Jeśli ulegała wyłączeniu jedna linia zaopatrująca, zawsze istniała inna, która ją zaopatrywała. Ale awaria rozdzielnic w dużej liczbie albo tych szczególnie istotnych mogła być rzeczywiście bolesna, zwłaszcza w obecnej sytuacji.

– Miejmy nadzieję, że skończy się na tych dwóch.

Jednak Hartlandt już nie słuchał. Właśnie nadeszła nowa informacja. Nadawca, jeden z największych operatorów, dołączył kilka zdjęć.

– Popatrzcie na to! – Hartlandt zawołał swoich kolegów.

Na fotografiach koślawa konstrukcja masztu wysokiego napięcia leżała w poprzek jakiegoś brązowego pola i przypominała Hartlandtowi podstawę kolejki górskiej. Niektóre z ramion wyciągały się niemo ku szaremu zimowemu niebu, na ich końcach zwiślały resztki kabli niczym zerwane sznurki gigantycznej kukły.

– Ten maszt runął w wyniku wysadzenia w powietrze – powiedział Hartlandt.

Haga

– To oznacza – Bollard zwrócił się do współpracowników zebranych w centrum kryzysowym przy Europolu. – że ktoś wykorzystuje chaos wywołany przez awarię i teraz niszczy już nie tylko software, ale także hardware systemu dystrybucji energii. – Wskazał na mapę. – Właśnie przyszedł meldunek z Hiszpanii. Tam też wysadzono w powietrze maszt wysokiego napięcia. A przecież nie wiemy, czy takich aktów sabotażu nie zdarzyło się już więcej. Operatorzy i dostawcy z całą pewnością nie dysponują odpowiednią liczbą zespołów serwisowych, żeby móc skontrolować wszystkie obiekty i linie. Do tej pory sprawdzono zaledwie znikomą część wszystkich.

– A może to jacyś nieźrównoważeni psychicznie – zasugerował ktoś z sali.

– Albo ktoś posuwa się konsekwentnie krok po kroku, żeby wywołać jak największe spustoszenie – odpowiedział Bollard. – Ataki na software były chyba jedynie wstępem.

Wprawdzie ciągle jeszcze nie wiemy, jak zostały przeprowadzone i przez kogo, ale wszystkie ekspertyzy mówią zgodnie jedno: po kilku dniach możliwe będzie przywrócenie w podstawowym zakresie dostaw prądu. Zupełnie inaczej natomiast sprawa wygląda, gdy fizycznie niszczone są strategicznie ważne obiekty jak rozdzielnice czy magistrale. Wielu z tych elementów nie da się szybko naprawić, co utrudnia unormowanie sytuacji.

Ratingen

– Te argumenty to bzdura – zaperzył się Wickley w centrum Talaferu. – Producenci będą musieli dostarczyć użytkownikom jakichś innych.

Na ścianie widniał szereg haseł rzuconych z projektora:

- Pranie w godzinach obowiązywania tanich taryf
- Zarabianie pieniędzy na akumulatorach samochodowych
- Indywidualne zarządzanie zasobami energii
- Już widzę gospodynię domową albo tym bardziej pracującą zawodowo matkę – gorączkował się Wickley – która włącza swoją pralkę tylko przy szczególnie korzystnych taryfach albo pozostawia to automatowi. Czyli byłoby to o godzinie drugiej w nocy, co oznacza, że pranie leżałoby mokre jeszcze co najmniej przez cztery godziny i rano, po wyjęciu z pralki, trąciłoby już lekko stęchliźnie. Bo przecież w środku nocy nikt nie będzie zajmował się rozwieszaniem bielizny...

Dwóch słuchaczy w sali kiwało głowami z wyrazem aprobaty, pozostali siedzieli, czekając na dalszy ciąg. Wickley zaprosił na przegląd prezentacji nie tylko członków zarządu odpowiedzialnych za dystrybucję i technikę oraz szefa do spraw rozwoju i dyrektora działu komunikacji korporacyjnej, ale także innych przedstawicieli kierownictwa. Obecnych było także czterech członków agencji PR. Termin tego poniedziałkowego spotkania został ustalony już wcześniej. Z powodu niedziałania połączeń telefonicznych i internetowych odwołanie go nie było możliwe, dlatego czwórka z Düsseldorfu musiała mimo wszystko pofatygować się do Ratingen.

– Poza tym konsumenci bardzo szybko sobie policzą i zobaczą, że różnice w taryfach w ciągu doby są tak znikome, że po prostu nie opłaca się ze względu na nie wywracać do góry nogami całego rytmu dnia. Dojdą do wniosku, że dla pięciu euro oszczędności rocznie coś takiego nie ma najmniejszego sensu. Przecież już teraz to widzimy: każdy wie, że pozostawianie telewizorów, komputerów, sprzętu hi-fi i innych urządzeń w stanie czuwania pożera prąd i kosztuje pieniądze, średnio kilkaset euro na gospodarstwo domowe. I co? Czy ludzie je wyłączają? Nie. Zwycięża wygoda. Ale to przykład tylko małej bitwy w całym teatrze wojny, jakim jest indywidualne zarządzanie zasobami energetycznymi. Oferując konsumentom wielką nową wolność, próbujemy ich zachęcić do przestawienia się na nowe technologie.

Pokręcił głową.

– Prąd płynie z gniazdka. Od pokoleń. I ludzie nawet się nad tym nie zastanawiają. Po prostu tak jest i tak ma być. To oczywistość. Mają dość innych problemów, nad którymi muszą sobie łamać głowę: jak jutro dowiozę dzieci punktualnie do szkoły i czy dotrę na czas do pracy? Kto odbierze je po południu i pójdzie z nimi do lekarza, jeśli pracodawca zażąda ode mnie kilku niepłatnych godzin nadliczbowych? Kiedy zrobię zakupy, zatroszczę się o coraz słabszych rodziców, jak spłacę kredyty, zadbam o własną emeryturę, nie mówiąc już o wszelkich kłopotach w pracy? Dziś zorganizowanie normalnego dnia zwykłej rodziny wymaga umiejętności, o których wielu z kolegów po prostu nie ma zielonego pojęcia. Na dodatek nikt nie dostaje za to tak horrendalnych pieniędzy jak my. A seniorzy? Często nie potrafią porządnie obsługiwać własnego telefonu komórkowego czy komputera. I teraz jeszcze mielibyśmy wymagać od tych ludzi, żeby sterowali zużyciem prądu właśnie za pomocą tej komórki albo komputera? Wie pan, co ja bym odpowiedział na ich miejscu? Możecie mnie... no, wiadomo co. Takie rzeczy mogą się spodobać co najwyżej jakimś zakręconym na punkcie techniki inżynierom. Dla reszty ludzkości to jest prawdziwy koszmar!

O tym, że inteligentne liczniki mogły być jednocześnie doskonałymi narzędziami kontroli

i stanowić świetne zbiory danych, przeciwko czemu protestowali już działacze na rzecz ochrony danych osobowych, wołał nie wspominać. Oparł się o blat stołu i popatrzył na zebranych.

– Oczekujemy od ludzi, ni mniej, ni więcej, zmiany modelu życia na co dzień. Ale taka zmiana musi mieć swój początek w ich głowach, w przeciwnym razie nasza rewolucja się nie uda, a tym samym stracimy możliwości zysku. Nikt dziś nie zrozumie, dlaczego nagle ma mieć więcej zachodu przy czymś, co do tej pory ot tak, po prostu, płynęło ze ściany. I jeszcze na domiar złego ma do tego dopłacać! Ani przemysł energetyczny, ani władza nie przedstawiły na razie żadnych atrakcyjnych argumentów. Bo może to rzeczywiście jest fałszywa koncepcja. Moim zdaniem powinniśmy naszym potencjalnym klientom z przemysłu oferować więcej niż tylko same produkty. Oprócz nich oni potrzebują jeszcze odpowiednich argumentów sprzedażowych przeznaczonych dla konsumentów. I to znacznie mocniejszych od tych, które tu dzisiaj słyszymy i widzimy. To – w tym momencie zwrócił się do Hensbecka – będzie pana zadanie na najbliższe dni. Zna pan nasze produkty, zna pan wszystkie prezentacje. Proszę opracować przekonujące argumenty, proszę przedstawić ludziom prawdziwą wartość dodaną. Bo, proszę mi wierzyć, ta niby wolność wyboru i samozarządzania, która i tak ostatecznie kończy się czekaniem w kolejce i rozmową z niekompetentnym doradcą w telefonicznym centrum obsługi, to absurd.

Hensbeck skinął głową. No bo co miał powiedzieć? Otrzymał zadanie było jasne.

Wickley spojrzął na hasła na ścianie.

– A co się tyczy tej prezentacji...

Tekst zniknął. W sali zaległa taka sama ciemność, jaka panowała już od godziny za oknem.

– Co się dzieje...?

Jeden z pracowników dłużył coś przy pilocie obsługującym rzutnik. Inny podskoczył do wyłączników przy drzwiach. Klikanie nimi nic nie dało. Wickley sięgnął po słuchawkę aparatu telefonicznego stojącego na stole, wybrał numer sekretarki. Nie usłyszał żadnego sygnału. Wykręcił jeszcze raz. Linia była martwa.

Wypadł jak burza z sali. Na korytarzu było jeszcze ciemniej. Nigdzie nie paliło się światło. Pospieszył do swego biura. W sekretariacie rozpoznał sylwetkę swojej asystentki, która nerwowo uderzała w klawiaturę telefonu.

– Nic nie działa – powiedziała.

– Proszę zapalić świece!

Kobieta milczała.

– Nie mamy świeczek – przyznała w końcu.

Wickley opanował się, by nie zakląć. Cały kontynent przygotował się już do nowej sytuacji, tylko oni nie zdążyli!

– No to niech się pani o jakieś postara! – wrzasnął i wyszedł znowu na korytarz.

Słyszał na nim głosy. Uczestnicy narady opuścili salę i błąkali się po omacku. Nie zwracając na nich uwagi, Wickley ruszył w stronę wind. Kilka osób poszło za nim.

– James?

Wickley rozpoznał głos członka zarządu do spraw dystrybucji.

– Szukam Luecka – rzekł Wickley.

– Pomożemy ci.

Windy oczywiście też nie działały. Ciemną klatką schodową zszedł na czwarte piętro, na którym znajdowała się administracja budynku. Za sobą słyszał tupot kilku par nóg.

Po długim, również tutaj ciemnym korytarzu kręcili się ludzie, których słyszał, ale prawie nie widział.

- Gdzie jest Lueck? – wrzasnął w ciemność.
- Na dole! – odpowiedział jakiś męski głos. – W piwnicy, przy awaryjnych generatorach! Wickley zszedł jeszcze niżej. Po drodze natknął się na kolejnych pracowników.
- Widział ktoś Luecka?
- Od paru minut nie widzę w ogóle nic – rzuciła jakaś kobieta.

Wickley oburzył się tą bezczelnością, ale po chwili zdał sobie sprawę, że przecież nie każdy jest w stanie rozpoznać go jedynie po głosie. Poza tym musiał przyznać sam przed sobą, że nie ma pojęcia, gdzie są awaryjne generatory. Stracił już orientację, na którym piętrze się znajduje. Po prostu schodził coraz niżej, dopóki nie skończyły się schody. Po omacku znalazł jakieś drzwi, za którymi było ciemno jak w nocy.

- Lueck? – krzyknął.

Nikt nie odpowiedział. Zawołał jeszcze raz.

W drzwiach na końcu korytarza pojawił się snop światła z latarki.

- Tu jestem – usłyszał Wickley, zmierzając już długimi krokami w tamtą stronę.

Luecka, szefa zarządzania kryzysowego, zastał w sporym, ale przytłaczająco niskim pomieszczeniu wypełnionym maszynami, kablami i rurami, które w blasku latarki zdawały się pracować. Obok niego stało dwóch pracowników ubranych w szare robocze kombinezony z logo firmy Talaefer na plecach.

Lueck był sprężystym, niedużym mężczyzną o rzadkich włosach i z dużymi okularami na nosie.

- Co tu się, u diabła, dzieje? – syknął Wickley przez zęby, starając się mimo wszystko panować nad sobą.

W świetle latarki Luecka zobaczył, że właśnie dotarli tu za nim członkowie zarządu do spraw dystrybucji i techniki oraz jeszcze trzy inne osoby, wśród nich Hensbeck i jedna z jego współpracownic.

Lueck oświetlił wielki kocioł w głębi pomieszczenia.

- Agregat zasilający wysiadł – oznajmił.

Wickley czuł, jak zalewająca go fala wściekłości sięgnęła już skroni.

- Jesteśmy jednym z najważniejszych dostawców sprzętu dla przemysłu energetycznego i sami nie mamy prądu! Czy nie zdaje pan sobie sprawy, że wystawiamy się na pośmiewisko? – Jego głos odbijał się ostrym echem wśród wszystkich tych metalowych konstrukcji.

– Zasilanie awaryjne jest, to znaczy: było obliczone na trzy dni. Widocznie doszło do zbyt dużych obciążeń. Ale i tak paliwo prawie się już skończyło – odpowiedział Lueck. – Trzy lata temu odrzucono pomysł zainstalowania niezależnego źródła zasilania rezerwowego o dłuższym czasie działania. O ile pamiętam, ze względu na koszty.

Jak on śmie mu to wypominać! Niestety, Wickley aż za dobrze pamiętał tamto posiedzenie zarządu, na którym uznano, że pięć milionów euro na taką instalację to pieniądze wyrzucone w błoto. I członek zarządu, do którego kompetencji należały kwestie bezpieczeństwa, oczywiście się z tym zgodził. Już nie pracował w firmie. Gdyby był w niej dalej, Wickley teraz by go wykończył za to, że we właściwym czasie nie opowiedział się za tamtym projektem, bo to do jego zadań należała obrona strategicznie ważnych inicjatyw mimo sprzeciwu większości. Dobrze, że rozstali się już z tym nieudacznikiem.

- W sobotę uczyniłem pana odpowiedzialnym za zapewnienie podstawowego zaopatrzenia w prąd, dopóki nie zacznie on z powrotem płynąć z sieci!

– Potrzebujemy części zamiennych i diesla – odparł Lueck. – Ani jednego, ani drugiego teraz nie dostaniemy.

- To niech pan załatwi jakieś przenośne urządzenia zasilające!

– One, podobnie jak cysterny z paliwem, potrzebne są gdzie indziej.
– Przepraszam bardzo, a kto może być ważniejszy niż jedno z największych przedsiębiorstw w regionie?

– Szpitale, służby ratownicze, agencja pomocy technicznej, tymczasowe kwatery dla ludności... – wymienił Lueck prowokująco spokojnie.

Wickley nienawidził Luecka za to, że przyparł go do muru argumentami, których nie dało się odeprzeć. Na razie był zdany na niego, lecz jak tylko to wszystko się skończy, już on weźmie go w obroty.

– Proszę poinformować władze, że jesteśmy zmuszeni posłać naszych pracowników do domu.

– Jedna czwarta i tak dziś nie przysłała – rzekł Lueck obojętnie. – Brakuje benzyny, nie działa komunikacja.

Wickley zastanowił się przez chwilę, po czym powiedział do wszystkich:

– To wszystko na dzisiaj. Jutro działamy dalej. Spotykamy się o czternastej. A pan – zwrócił się do Luecka – niech się postara, żeby jutro rano znowu wszystko działało. W przeciwnym razie nie będzie miał pan czego szukać w Talaferze w przyszłości.

Berlin

Michelsen piła chyba już piętnastą kawę tego dnia. Podobnie jak w poprzednie noce również w tę ostatnią prawie nie zmrużyła oka. Po ogłoszeniu poprzedniego wieczoru przez kanclerza stanu wyjątkowego nie zdążyła do tej pory nawet nic zjeść. W centrum kryzysowym zrobiło się tłoczno, ponieważ zespół uległ znacznemu rozszerzeniu. Zwerbowano wszystkich, do których udało się dotrzeć. Część współpracowników już się nie pojawiła.

Michelsen większość czasu spędzała na rozmowach telefonicznych z szefami służb ratowniczych. W nieustającym gwarze nie słyszała nawet własnego głosu. Federalna Agencja Pomocy Technicznej i Bundeswehra zaczęły organizować tymczasowe kwatery dla ludności. We wszystkich niemieckich miastach wyposażali sale gimnastyczne, hale sportowe, centra rozrywkowe i inne odpowiednie lokale w materace, łóżka polowe, koce, przenośne sanitariaty, żywność i podstawowe medykamenty. Na swojej liście pod punktem „Dach nad głową” mogła dopisać te działania jako pozytywne.

Na dotkniętych awarią obszarach policja jeździła po okolicy i wzywała ludzi przez megafony, aby udawali się do tymczasowych obozów. Pierwszeństwo miały rodziny z dziećmi, chorzy i osoby w podeszłym wieku. Niestety, zwłaszcza do tej drugiej i trzeciej grupy pracownicy musieli dotrzeć sami, liczni samotni starsi ludzie bowiem nie dosłyszeli tych apeli bądź też nie byli w stanie o własnych siłach opuścić mieszkania – przemarznięci, od dwóch dni pozbawieni wody i może jedzenia, niemogący skorzystać z windy. Kto nie miał krewnych albo życzliwych sąsiadów, musiał czekać, aż policjanci, którzy chodzili od drzwi do drzwi, znajdą ich i poinformują, co mają zrobić, bądź też wezwą karetkę.

Jednocześnie na terenie całej republiki agencja pomocy technicznej przystąpiła do instalowania agregatów prądotwórczych w placówkach o newralgicznym znaczeniu, między innymi w siedzibach lokalnych władz, dużych przychodniach, gospodarstwach rolnych. Było ich oczywiście zbyt mało, by starczyło dla wszystkich potrzebujących. Czyli minus na jej liście pod punktem „Pomoc medyczna” i „Pozostała infrastruktura”. Federalne rezerwy paliwa też zostały rozdzielone, ale wiele szpitali stało już przed koniecznością zawieszenia pracy, ponieważ zapasy ropy potrzebnej do zasilania agregatów zastępczych uległy wyczerpaniu.

Rząd federalny utrzymywał strategiczną rezerwę paliwową w wysokości ponad dwudziestu pięciu milionów ton, aby pokryć zapotrzebowanie na ropę naftową i jej produkty pochodne na mniej więcej dziewięćdziesiąt dni. Podczas gdy ropa naftowa znajdowała się głównie w podziemnych wyrobiskach solnych w Dolnej Saksonii, produkty pochodne były zgromadzone w naziemnych zbiornikach na terenie całego kraju, co miało tę dobrą stronę, że do napełniania cystern można było wykorzystać siłę ciężkości i uniezależnić się od pomp. Zadanie Michelsen w najbliższych dniach będzie polegało więc nie tyle na zgromadzeniu odpowiedniej ilości dostępnego paliwa, ile raczej na znalezieniu odpowiedniej liczby samochodów i kierowców, aby dowieźć je na czas tam, gdzie go potrzebowano.

Również w punkcie „Sytuacja międzynarodowa” nie miała wiele dobrego do odnotowania. W pozostałych krajach nie działo się bynajmniej lepiej. Zwłaszcza w Skandynawii, nad którą przesunął się wyż znad Rosji, co spowodowało, że w Sztokholmie temperatura spadła do minus osiemnastu stopni. W Niemczech na szczęście temperatura utrzymywała się w okolicach zera, a na południe od Alp była nawet dodatnia. W elektrowni jądrowej Saint-Laurent systemy chłodzenia prawie lub nawet całkowicie nie działały, ale jak jest naprawdę, nie było wiadomo. Nie ujawniając żadnych informacji na ten temat opinii publicznej, Międzynarodowa Agencja Energii Atomowej w Wiedniu sklasyfikowała zaistniałą sytuację jako incydent, czyli nadała jej drugi stopień w skali INES. Oznaczało to, że elektrownia musiała wypuścić

radioaktywną parę, aby obniżyć ciśnienie w reaktorze. Michelsen wołała nie myśleć o tym, że przy braku ropy za kilka dni podobny przerażający scenariusz czeka liczne elektrownie w całej Europie.

Niemieccy operatorzy twierdzili, że ich obiekty dysponują jeszcze zapasami na co najmniej trzy dni i wtedy zatroszczą się o ich uzupełnienie, zwracając się o wsparcie z rezerw federalnych. Na ile te informacje są wiarygodne, Michelsen nie potrafiła powiedzieć, ponieważ kontakt z lokalnymi władzami nadal był fragmentaryczny.

Również punkty „Transport” i „Komunikacja” nie dawały powodów do radości. Kolej wciąż jeszcze zmagala się z usuwaniem pociągów stojących na torach, niektóre ważne odcinki nadal były nieprzejezdne, uniemożliwiając przewóz zaopatrzenia. Nastawnie i zwrotnice dawało się obsługiwać wyłącznie ręcznie. Transport osobowy całkowicie wstrzymano. Nawet na terenie tak zwanych wysp energetycznych dochodziło do licznych wyłączeń i znacznych opóźnień. Poza tym Michelsen nie podobało się to, że społeczeństwo nadal nie zostało poinformowane o celowym ataku na systemy energetyczne. Na razie wciąż jeszcze udawało się utrzymać tajemnicę, ale wcześniej czy później bomba wybuchnie.

Pewnym zielonym światełkiem był porządek publiczny. Mimo katastrofalnych warunków nie zgłoszono żadnych większych zająć. Nie odnotowano poważnych grabieży ani radykalnego wzrostu przestępczości, ale może wynikało to jedynie z tego, że przez szczątkowe sieci informacyjne nie wszystko do nich docierało. Przy punkcie „Informacja” musiała zaznaczyć, że niemal w połowie kraju organy władzy i służby pomocnicze mogą komunikować się zaledwie w ograniczonym zakresie lub wcale – zarówno między sobą nawzajem, jak i z federalnym sztabem kryzysowym.

Stosunkowo dobrze wyglądała sytuacja w zakresie dostępu do pieniędzy, co jednak niewiele pomagało, ponieważ większość sklepów była wciąż zamknięta. Michelsen obawiała się powstania czarnego rynku. To zjawisko dodatkowo podkopałoby zaufanie do instytucji państwowych.

– A niech to szlag – zaklął siedzący obok niej Torhüsen z Ministerstwa Zdrowia.

Widziała, jak się nagle wyprostował i wlepił wzrok w szereg ekranów, na których były widoczne obrazy z kilku jeszcze działających stacji telewizyjnych. Dopiero teraz zauważyła, że także prawie cała reszta obecnych w sali zrobiła to samo. Ustał gwar rozmów. Ktoś nastawił głośniejszą dźwięk.

– Popatrz – powiedział Torhüsen – na CNN.

Na jednym z ekranów ciemnowłosa młoda kobieta mówiła prosto do kamery. Podpis poniżej głosił, że nazywa się Lauren Shannon i że mówi z Hagi.

Na pasku w dole ekranu przez cały czas przesuwala się jedna informacja:

„Awarie prądu w całej Europie – podejrzenie ataku terrorystycznego. Włochy i Szwecja potwierdzają manipulacje w ich sieciach energetycznych”.

Michelsen poczuła, że coś w niej pękło. Teraz ludzie poznają przyczynę tego koszmaru nie od rządu czy z ust kanclerza, ale z telewizji. Tym samym instytucje państwowe po raz kolejny tracą na wiarygodności. Oby się to nie zemściło w kolejnych dniach.

– Na szczęście prawie nikt nie może uruchomić swojego telewizora – szepnął Torhüsen.

– Mimo to jeszcze przed północą każdy obywatel tego kraju będzie znał tę wiadomość – odpowiedziała Michelsen, nie odrywając wzroku od obrazu. – Możesz być pewien. I wolę nie wiedzieć, do jakich rozmiarów urośnie do momentu, kiedy dotrze do wszystkich.

Teraz brakuje tylko relacji z uszkodzonej francuskiej elektrowni jądrowej, pomyślała.

Düsseldorf

Służący zaprowadził Wickleya do Siegmunda von Balsdorffa, którego dom był nadal ciepły i jasny.

– Drogi przyjacielu! – przywitał go gospodarz z szeroko rozłożonymi ramionami. – Co za nieoczekiwana wizyta.

– Słuchałem wiadomości – powiedział Wickley.

– Jak wszyscy – odparł z powagą von Balsdorff.

– Od kiedy o tym wiesz?

– Od wczoraj. Wieczorem odbyło się posiedzenie rządu i sztabu kryzysowego.

Niektórych z nas poproszono o udział w nim przez łączność satelitarną.

– Jaka jest sytuacja?

Von Balsdorff spojrział w bok. Zdawał się zastanawiać.

– Oni nie wiedzą.

– Was też dopadło?

– Dowiedziałem się podczas kolacji, kiedy tu u mnie byliście. Większość operatorów, którzy do nas należą albo w których mamy udział. Także elektrownie.

– Od tych dwóch facetów z walizeczkami, którzy pojawili się tak dyskretnie po zwiedzaniu piwnicy?

– Przynieśli telefon satelitarny. Żebym mógł się połączyć z centralą i z Berlinem.

– W wiadomościach była mowa o Włoszech, Szwecji i jeszcze nieznaney liczbie operatorów. Wiadomo coś więcej?

– Mniej więcej wiadomo, kogo to dotknęło. Ale w jaki sposób, to dopiero sprawdzają eksperci. Nietypowe kłopoty zgłaszają też elektrownie.

Wickley poczuł, jak ściska mu się żołądek.

– Nikt się z nami nie skontaktował.

– Podobno niektóre nie są w stanie powrócić do pracy.

– Nasi technicy są w gotowości. Kto za tym wszystkim stoi?

– To dopiero jest zagadka. – Dostrzegł niedowierzanie w oczach Wickleya. Wzruszył ramionami. – Chyba faktycznie nikt nie wie.

– Da się przewidzieć koniec?

– Niespecjalnie.

Haga

– Powiniennem natychmiast zerwać z panem umowę! – szalał Bollard.
Shannon obserwowała tę burzliwą wymianę zdań z kanapy w pokoju Manzana.
– O swojej pracy tutaj nie powiedziałem ani słowa – wyjaśniał Manzano. – Tak jak się umawialiśmy. Ale podejrzenie Shannon potwierdziło pańskie własne biuro prasowe.
– Bo pan wypaplał jej o kodach we włoskich licznikach – zirytował się Francuz.
– A to odkryłem jeszcze przed rozpoczęciem naszej współpracy. Gdyby dziennikarze trochę gruntowniej pogrzebali, wiedzieliby to dużo wcześniej, bo już w pierwszą noc po zniknięciu prądu napisałem o tym na jakimś forum technicznym w internecie. Wywiązała się nawet dyskusja. Tyle że nie przedostała się do głównych mediów i do szerokiej opinii publicznej – kontynuował Manzano. – Albo dotarła, ale pod postacią zniekształconej plotki. Dementi władz dopełniło dzieła.

– No to teraz koniec. Większość rządów i niektóre spółki energetyczne potwierdziły już informacje pańskiej przyjaciółki – powiedział Bollard, wskazując na Shannon.

Na ekranie telewizora ukazywały się obrazy sprawozdawców, którzy podchwycili wersję przedstawioną przez Shannon. Od późnego wieczoru każda działająca stacja nadawała program specjalny. Manzano zadawał sobie pytanie, kto jeszcze to ogląda. Na szczęście niewielu było takich. Shannon na samym początku poprosiła swoich kolegów, aby powiedzieli też o tym, że nigdzie nie doszło do poważnych społecznych niepokojów.

– Wszyscy oczekują teraz obrazów walk ulicznych – mówiła do nich. – Informacje o ludzkiej solidarności są większą niespodzianką i mają większą wartość jako news. A poza wszystkim innym lepiej przysłużą się ludziom niż scenki pokazujące awanturników.

Mimo to większość materiałów ilustrowały ujęcia burzliwych wydarzeń z przeszłości lub fragmenty filmów katastroficznych. Skupiano się w nich głównie na negatywnych aspektach, jak uliczne niepokoje, grabieże, pokazywano zwłoki ludzi i zwierząt.

Bollard westchnął.

– I co ja mam teraz z panem zrobić?

– Pozwolić mi dalej pracować. Albo odesłać mnie do domu.

Szczęki Francuza poruszały się nerwowo.

– Przynajmniej teraz koniec z całym tym bawieniem się w tajemnicę – oznajmił wreszcie i tymi słowami zakończył ich rozmowę, po czym wyszedł.

– No to wywołaliśmy lawinę – stwierdził Manzano. W tej samej chwili pomyślał o Bondonim. Ciekawe, jak też wiedzie mu się daleko w górach. Jemu i trzem kobietom. – Jestem zmęczony – powiedział.

– Ja też.

– Połóż się pierwsza.

Kiedy Shannon szykowała się do snu, on oglądał uważnie telewizję. Amerykanka wyszła z powrotem z łazienki w T-shircie i szortach. Manzano spytał ją:

– Nie musisz zebrać więcej materiału?

– To, co najważniejsze, zrobiłam – odpowiedziała. – O resztę powinni postarać się teraz inni. Ale wygląda na to, że w następnych dniach nikt nie będzie miał kłopotu ze znalezieniem materiału. Jeśli jeszcze ktokolwiek będzie mógł go oglądać. – Zamilkła na chwilę, a potem odezwała się znowu. – Dzięki, że mogłam tu zostać. I że mi to wszystko opowiedziałeś.

– Nie ma za co.

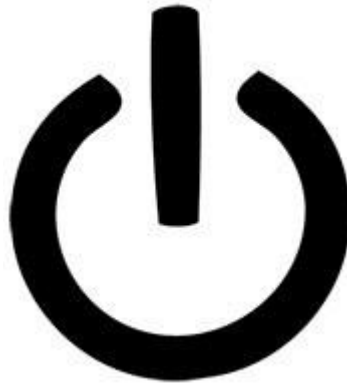
Ciągle jeszcze trochę się dziwił, że tak bez wahania gotowa była spędzić noc w jednym pokoju z zupełnie obcym mężczyzną. Przecież ona mogłaby być prawie jego córką, zastanawiał

się w duchu. I jest całkiem niebrzydka.

Manzano poszedł do łazienki. Czuł się zmęczony. Był ciekaw, jak długo jeszcze hotelowe agregaty będą dostarczać prąd i ciepłą wodę.

Kiedy wrócił do pokoju, Shannon leżała już na swojej połowie łóżka pod kołdrą. Oddychała głęboko i jednostajnie. Manzano wyłączył po cichu telewizor, też się położył i od razu zasnął.

Dzień 4. – Wtorek



Haga

Shannon obudziła się zrana z potem. Miała jakiś koszmar. Ciężko dysząc, próbowała zorientować się, gdzie jest. Ściany hotelowego pokoju migotały na niebiesko i pomarańczowo jak w dyskotekach. Obok niej ktoś przewracał się niespokojnie na łóżku. Jasne, to ten Włoch. Zdziwiła się, jak mogła tak bez wahania położyć się do łóżka z obcym facetem, choć nic między nimi nie było. Spojrzała na jego głowę od tyłu, na ramiona w rozświetlanej migotaniem ciemności. Nawet nie próbował się do niej zbliżyć. Może nie interesował się kobietami albo ona nie jest w jego typie. Właściwie to nie wiedziała, czy on się jej podoba. Był od niej dużo starszy. Oparła się na łokciach, odegnała resztki koszmarnego snu i zastanowiła się, skąd bierze się ten poblask. Wstała, podeszła do okna i rozsunęła zasłony.

Kawałek dalej przy tej samej ulicy palił się dom. Płomienie wydobywały się z okien i sięgały aż po dach. W niebo wznosił się gęsty dym. Na jezdni stało mnóstwo oddziałów straży pożarnej, z dwóch wysokich drabin lały się strumienie wody w to piekło. Strażacy biegali gorączkowo, ewakuowali mieszkańców sąsiednich budynków. Ludzie w piżamach, z kocami narzuconymi na ramiona. Shannon sięgnęła po omacku po swoją kamerę leżącą na biurku i zaczęła nagrywać.

– Pewnie ktoś znowu próbował rozpalić ognisko w mieszkaniu, żeby trochę je ogrzać. – Usłyszała za swoimi plecami i lekko drgnęła.

Nie zauważyła, że Manzano też wstał.

– Dobrze nam mówić w naszym ciepłym hotelowym pokoju – odpowiedziała. – To już czwarty dzień bez prądu i ogrzewania. Ludzie są zdesperowani.

Przybliżyła obraz. W oknie na najwyższym piętrze, z którego buchał gęsty dym, zauważyła jakiś ruch.

– Boże drogi...

Ktoś, trzymając się ramy okna, wyszedł na zewnątrz. Jakaś kobieta w okopconej piżamie, z potarganymi włosami zakrywającymi twarz. W ciemnym otworze ukazała się jeszcze jedna postać, mniejsza.

– Tam jeszcze ktoś jest – wymamrotała, nie opuszczając kamery. – Dziecko...

– A niech to... – powiedział szeptem Manzano.

Shannon, dalej filmując, zerknęła kątem oka na ulicę. Rozciągnęła jeszcze wyżej jedną z drabin. Również z dachu domu obok zaczął wydobywać się dym. Jednocześnie strażacy rozkładali pod oknem płachtę strażacką.

Kobieta na górze wzięła dziecko na ręce. Stała na parapecie, wolną ręką trzymała się framugi, wychylała się jak najdalej do przodu, aby uciec przed dymem.

– Drabina nie sięgnie tak wysoko – wyszeptał Manzano.

Z okna buchnęły płomienie. Kobieta puściła się framugi, zakołysała się, straciła równowagę.

Nanteuil

Annette Doreuil uchyliła powieki i spojrzała w ciemność. Poczła w sypialni inny zapach niż zwykle. Po chwili uświadomiła sobie, że jest u Bollardów, w jednym z pokoiów przeznaczonych dla wczasowiczów. Teraz, zimą, jedynymi gośćmi byli oni, Doreuilowie, rodzice ich synowej.

Annette pomyślała najpierw, że to pewnie z powodu obcego miejsca nie mogła spokojnie spać. W Paryżu rzadko cierpiała na bezsenność. Ale przecież była w Nanteuil nie po raz pierwszy. Co prawda musiało upłynąć ładnych parę lat, zanim odwiedzili rodziców François, studenta prawa, którego ich córka poznała już prawie dwadzieścia lat temu. Początkowo Annette nie chciała się nawet przyznać do zastrzeżeń, jakie miała wobec przyjaciela ich jedyne dziecko. Jako syn rolników gdzieś z prowincji właściwie w ogóle nie wchodził w rachubę, mimo że jego manieri dowodziły dobrego wychowania. Dopiero po pięciu latach trwania znajomości poznali rodziców François osobiście, gdy ci przyjechali odwiedzić swego syna w Paryżu. Dwa lata później, z okazji ślubu, wybrali się po raz pierwszy do Nanteuil.

Posiadłość Bollardów okazała się stuletnim dworkiem, a jego właściciele wykształconymi i światłymi ludźmi. Annette Doreuil schowała więc swoje uprzedzenia i od tamtej pory razem z mężem spędziła w tej przepięknej okolicy nad Loarą niejednokrotnie cały tydzień albo nawet dwa. Mimo to nie czuła się tu jak u siebie w domu. Nieznośne warunki wywołane awarią prądu, zagadkowe aluzje zięcia i gorączkowy wyjazd z Paryża już pierwszej nocy u Bollardów nie dawały jej spać. No i jeszcze wczoraj wieczorem te wiadomości. Bollard usłyszał je w radiu samochodowym, jedynym sprzęcie elektronicznym w domu, który jeszcze działał. Wychodził regularnie co kilka godzin do garażu, żeby sprawdzić, czy jest coś nowego. Tuż przed pójściem do łóżek wpadł do ich pokoju i opowiedział.

O spaniu nie było już oczywiście mowy. Bollard próbował dodzwonić się przez swój staroświecki telefon stacjonarny do syna, jednak bezskutecznie. Przez długie godziny dyskutowali we czwórkę poruszeni, co mogą znaczyć usłyszane wiadomości, aż wreszcie zmęczenie wzięło górę. Annette długo przewracała się potem z boku na bok, słysząc obok siebie równomierny oddech swego męża, któremu udało się już zasnąć. Teraz też spał spokojnie, jedynie od czasu do czasu dobywało się z jego ust krótkie pochrapywanie, ale do niego zdążyła się już przyzwyczaić.

Lecz do jej uszu dotarł jeszcze inny dźwięk. Jakby jakiś głos jednostajnie coś powtarzał. Gdzieś daleko. Zaczęła nasłuchiwać. Monotonna litania, z której nie rozumiała ani słowa, stawała się coraz głośniejsza, zdawała się przybliżać. Potem zapadła cisza.

Po kilku sekundach zaczęło się znowu. Jeszcze głośniejsze, ale jeszcze bardziej niezrozumiałe. Doreuil próbowała wychwycić poszczególne słowa. Która mogła być godzina? Sięgnęła po omacku po swój zegarek leżący na nocnym stoliku. Podniosła go pod same oczy. Jeśli dobrze widziała świecące wskazówki, musiało być dopiero tuż po czwartej.

Teraz trochę zrozumiała: „Domy”.

I znowu mamrotanie. Co to miało znaczyć? Dlaczego o czwartej nad ranem jeździ po okolicy samochód z megafonem – bo chyba o coś takiego chodziło – i ogłasza wiadomości w sposób, w jaki zwykle zapowiadano przyjazd cyrku albo coś reklamowano?

Znowu udało się jej wychwycić kilka pojedynczych słów, które jednak nie układały się w nic sensownego. Usiadła na łóżku i potrząsnęła mężem.

– Bertrand, obudź się! Posłuchaj!

Wyrwany brutalnie ze snu burknął:

– O co chodzi?

– Posłuchaj! Na dworze coś obwieszczają, w samym środku nocy!

Zaszeleściła pościel, co znaczyło, że jej mąż też się podniósł.

– Co się dzieje? Która godzina?

– Pst! Parę minut po czwartej. Co oni mówią?

Mężczyzna znowu coś bąknął i przetarł sobie twarz.

Oboje przysłuchiwali się przez chwilę.

– Nie rozumiem ani słowa – wymamrotał w końcu.

Po chwili żona usłyszała szuranie jego stóp po podłodze, a potem skrzypnięcie otwieranego okna i okiennic.

– ...proszę czekać na kolejne komunikaty – ogłaszał donośnie metaliczny głos.

Po krótkiej przerwie rozległ się znowu. Ale jakby się oddalał.

– Proszę pozostać w swoich domach i nie otwierać okien.

Zlewające się w jedno słowa nadal było trudno zrozumieć, ale Annette Doreuil zdołała już wychwycić ich sens: – Nie istnieje żadne zagrożenie i nie ma powodu do niepokoju. Proszę włączyć radio i czekać na kolejne komunikaty.

Jej mąż odwrócił się do niej.

– Czy on powiedział...?

– Trzeba mieć zamknięte okna.

– Ale dlaczego?

– No zamknij!

Bertrand Doreuil zatrzasnął oba skrzydła.

– Zapomniałem o okiennicach.

– Zostaw.

Głos dochodzący z zewnątrz stał się już zupełnie niewyraźny. Ale teraz, kiedy Annette знаła już treść obwieszczenia, miała wrażenie, że i tak wysłuchała jakiejś chińszczyzny.

Jej mąż podszedł z powrotem do łóżka.

– Co to może znaczyć?

Annette Doreuil wstała i włożyła szlafrok.

– Spytaam Bollardów.

Latarką, którą na wszelki wypadek położyła na nocnym stoliku, oświetlała sobie drogę do drzwi. Mąż szedł za nią. Na korytarzu spotkali gospodarza.

– Też to słyszałeś? – spytała Annette.

– Mamy pozostać w domach i nie otwierać okien.

– Ale dlaczego?

– Nie mam pojęcia – odpowiedział Bollard.

Haga

Shannon obudziła się z napuchniętymi powiekami. Druga połowa łóżka była pusta. Z łazienki nie dochodziły żadne odgłosy. Przetarła sobie twarz dłonią, wstała i podeszła do okna. To nie był sen. Dom naprzeciwko zamienił się w czarną ruinę. Jeszcze raz obejrzała w kamerze nagrania z nocy. Prawdziwy koszmar. Kobieta z dzieckiem na płachcie strażackiej, której strażacy nie zdążyli w porę rozłożyć. Mężczyźni w uniformach pochyleni nad niedającymi znaku życia ciałami. Shannon zatrzymała film. Zastanawiała się, czy nie powinna go skasować.

Nie spieszyła się z poranną toaletą. Kiedy wreszcie ją skończyła, chwyciła kamerę i zeszła na dół na śniadanie. Przy stolikach siedziało niewiele osób. Nie miała apetytu, z trudem przełknęła kawałek chleba z miodem i parę łyków kawy.

W hotelowym garażu czekało porsche. Ostrożnie wyprowadziła bolid na ulicę. Obciach, pomyślała. O wiele bardziej wołałaby jakiś niewielki, mniej rzucający się w oczy samochód. Shannon nie wiedziała, jak duży ruch panuje normalnie w Hadze. Teraz był umiarkowany. Obraz tamtej dwójki ciężko rannych lub martwych osób nie dał jej spokojnie spać. Wciąż jeszcze miała go przed oczami. Na szczęście nikt jej nie ponaglał i mogła jechać całkiem powoli. Obserwowała. Na ulicy było sporo pieszych i rowerów. Jedna kamera leżała na siedzeniu pasażera, druga oraz rezerwowe baterie na podłodze poniżej.

Ludzie sprawiali wrażenie, jakby się dokądś spieszyli. Na najbliższym skrzyżowaniu odkryła, dokąd tak pędzą. Na ulicy po prawej nieprzebrany tłum oblegał budynek, który, jak stwierdziła Shannon po podjechaniu bliżej, był supermarketem. Nieliczni szczęśliwcy wybiegali już z niego z pełnymi po brzegi wózkami na zakupy, pilnie uważając, aby nikt im niczego nie zwędził.

Shannon zatrzymała się, wysiadła, zaczęła filmować. Nie zamierzała prosić nikogo o wypowiedź, bo każdy skupiony był jedynie na tym, by albo dostać się do środka, albo zabezpieczyć swoje zakupy. Kierowała obiektyw na rozgorączkowane twarze, otwarte szeroko usta, ręce, które popychały lub szarpały osobę stojącą z przodu. Nagrywała potykających się, starych i słabych, których odtrącano na bok. Uwieczniała wózki z zakupami wyłaniające się z tego tumultu, osłaniane przez prowadzące je osoby nie tylko rękami, ale całym ciałem.

Keczup, musztarda – po co ludziom coś takiego? – zadawała sobie pytanie Shannon, wciąż patrząc na mały moniterek, który odzwierciedlał obraz świata. Zdaje się, że każdy wrzuca do kosza to, co tylko uda mu się złapać, uznała. Czy to była chciwość, strach, bezmyślność? Czy bez mojego materiału pokazanego wczoraj wieczorem w telewizji byłoby inaczej?

Wsiadła z powrotem do porsche. Z ryczącym silnikiem pozostawiła za sobą to zamieszanie.

– Przeanalizujmy wszystko – powiedział Bollard. Stał przed ścianą zawieszoną meldunkami w ich zaimprovizowanym centrum kryzysowym. – Zacznijmy od Włoch. Tam udało się już sprawdzić mieszkańców zajmujących w ostatnich latach mieszkania, do których liczników wprowadzono fałszywe kody. – Wskazał na cały rząd zdjęć ukazujących lokale i ich lokatorów. – Szczególnie intensywnie zajęto się oczywiście tymi, którzy mieszkali tam w ostatnich miesiącach czy latach. To zupełnie niepozorni ludzie o nieposzlakowanej reputacji, pomijając wykroczenia podatkowe, które we Włoszech nie są uznawane za przestępstwa. Nadal ani śladu rzekomych współpracowników spółki energetycznej. – Bollard odwrócił się w stronę zdjęcia przedstawiającego nowoczesny licznik stosowany we włoskich domach. – Wiemy już także trochę więcej o tym, co wydarzyło się we Włoszech. Technicy włoskiej grupy energetycznej Enel sprawdzili protokoły dostępu do zapory sieciowej w internecie i stwierdzili, że niemal od osiemnastu miesięcy dokonywano podejrzanych ataków na wewnętrzne systemy

operacyjne i firmowe bazy danych. Adresy IP nieproszonych gości wskazują na Ukrainę, Maltę i Republikę Południowej Afryki. Prawdopodobnie w ten sposób zdobyli dane dostępne liczników. Poza tym routery zostały tak skonfigurowane, żeby fałszywe kody mogły się rozprzestrzenić po całej sieci. Atak, jak wiadomo, nastąpił potem w kilku etapach.

– Nie do końca rozumiem – odezwała się któraś z koleżanek. – Jak to możliwe, żeby atakujący w ogóle dostali się do takich informacji i potem dzięki nim mogli wniknąć do sieci i dokonać manipulacji liczników?

– Dla profesjonalistów jest to wykonalne. Od lat osoby niewiadomej proweniencji wchodzi praktycznie do każdej sieci o krytycznej infrastrukturze. Niektórzy uważają, że są to hakerzy, według innych kryją się za nimi konkretne państwa, od Chin i Rosji począwszy po Iran albo Koreę Północną. Jest wiele różnych sposobów, by przeniknąć do wewnętrznych sieci firm energetycznych, na przykład specjalne strony internetowe, po których odwiedzeniu można złapać konia trojańskiego albo innego wirusa, „zgubione” pamięci USB, które przypadkiem znajduje pracownik, czy podstępne e-maile. Słaby punkt zawsze stanowią ludzie. Nie bez powodu wiele instytucji i firm już od dłuższego czasu zakazuje swoim pracownikom stosowania takich nośników pamięci lub pozwala im na odwiedzanie jedynie określonych stron internetowych. Człowiek jest tylko człowiekiem i nie zawsze robi to, co mu się każe. Poza tym tak drażliwe systemy powinny być oczywiście oddzielone od siebie nawzajem pod względem hardware’u, tymczasem w wielu przypadkach nie są samodzielne, ponieważ nie jest to po prostu wykonalne. I w wyniku tego możliwe jest dostanie się do danych wewnętrznych. A jeśli chodzi o liczniki prądu, sprawa jest jeszcze prostsza: przecież w każdym domu wisi takie urządzenie, można kupić też używane, choćby na eBayu. Wystarczy je potem rozłożyć i wszystko jasne. Na dodatek w internecie można znaleźć tony literatury na ten temat i mnóstwo rekomendacji, między innymi od samych producentów. Jeśli ktoś dokładniej przestudiuje te skrzyneczki, szybko dojdzie do wniosku, że one są wprost stworzone do czegoś takiego, bo mogą przekazywać dane drogą radiową.

– Ale przecież taki licznik nie przyjmie dowolnych danych przekazanych przez całkiem nieznaną liczniki. Potrzebny jest chyba jakiś rodzaj uwierzytelnienia.

– Owszem, i jest ono wymagane, ale atakujący przez infiltrację wewnętrznych sieci IT i baz danych Enelu pewnie je rozszyfrowali. Przy odrobinie szczęścia mogli je nawet znaleźć w internecie. Wprost nie do wiary, czego to można się w nim dogrzebać, jeśli się tylko wie, gdzie i jak szukać. Jeśli więc znany jest sposób uwierzytelnienia, reszta to dziecinna zabawa. Ale mamy też powody, by przypuszczać, że w przypadku włoskich źródeł danych proces uwierzytelnienia był raczej mało skomplikowany. W tym przypadku atakujący musieli prawdopodobnie jedynie zasymulować żądane źródło danych i wgrać dany kod inicjujący.

– I w takie systemy ma być wyposażona w najbliższych latach cała Europa?

– No cóż – skomentował Bollard. Zwrócił się ku kolejnemu szeregowi zdjęć. – Przejdźmy teraz do Szwedów. Atakujący działali tam w zasadzie według tej samej metody. Też trzy gospodarstwa domowe posłużyły jako ogniska infekcji, a ich mieszkańcy okazali się czysti i wolni od wszelkich podejrzeń. Tak więc kody wprowadzili przypuszczalnie do liczników podobnie jak we Włoszech faceci podający się za serwisantów firmy energetycznej. Do tej pory dysponujemy jedynie przybliżonymi opisami tych osób. – Stanął przed mapą Europy wiszącą pośrodku ściany. – Obok ataków na systemy informatyczne od niedawna mamy też do czynienia z przypadkami podpalania stacji transformatorowych i wysadzania masztów. Na razie nie widać w tych ostatnich działaniach żadnej systematyki i z tego powodu trudno złapać sprawców.

Bollard zakończył wystąpienie, podziękował za uwagę i pospieszył do swojego biura. Od razu sprawdził w komputerze, czy nie ma jakichś nowych doniesień z Saint-Laurent. Dziś rano

francuski Urząd Nadzoru Nuklearnego poinformował, że incydent w tamtejszej elektrowni jądrowej osiągnął już trzeci stopień w siedmiostopniowej skali zagrożeń nuklearnych INES. Ludność mieszkająca w promieniu dwudziestu kilometrów od elektrowni została wezwana do nieopuszczania domów. Po raz nie wiadomo który Bollard wybrał numer swoich rodziców. W słuchawce zalegała cisza.

Shannon musiała zjechać na sąsiedni pas, aby ominąć tłum oblegający kolejny budynek. Dopiero po chwili zobaczyła, że tutaj ludzie tłoczą się nie do supermarketu, ale do banku. Dwie minuty później stała między nimi.

– Zostało mi już tylko siedemdziesiąt euro w portfelu – powiedział jej zdenerwowany, okrągławy mężczyzna prosto do kamery. – I za wszystko, co daje się jeszcze kupić, trzeba płacić gotówką. A czy wiadomo, jak długo to potrwa? Więc przyszedłem, żeby wziąć trochę pieniędzy, a tu coś takiego! – Wzburzony wskazał ręką za siebie. – Jeśli banki już teraz nie mają pieniędzy, to co będzie za kilka dni? Jutro przyjdę tu z samego rana.

– Jak to? – dopytała Shannon. – Zabrakło w banku pieniędzy?

– Mówią, że dziś już nie mają, bo za dużo ludzi podjęło. Dopiero jutro dostaną świeżą gotówkę. Wszyscy czekaliśmy na próżno.

Shannon sfilmowała jeszcze parę kobiet i mężczyzn, którzy z furią walili pięściami w szyby banku, aż wreszcie zrezygnowali i się rozeszli. Potem skierowała kamerę na napisaną odręcznie na kartce informację zawieszoną po drugiej stronie drzwi.

Gesloten vanwege een technische storing. Vanaf morgen kunt u weer geld opnemen. We vragen uw begrip voor het feit dat het maximale bedrag dat u per persoon kunt opnemen EUR 250 is.

Closed due to technical disruption. You can get money as of tomorrow. We ask you kindly for your understanding that the maximum amount for withdrawal will be 250 euro per person.

Tak więc bank został zamknięty. Pieniądze miały być dopiero następnego dnia, ale tylko po 250 euro na osobę. Shannon dostrzegła w środku pracowników banku, którzy stali w grupkach i ze sobą rozmawiali. Zapukała kilka razy w szybę, aż wreszcie ktoś się odwrócił. Pokręcił głową. Gdy pokazała mu kamerę, zignorował ją zupełnie.

Paryż

– Potrzebuję efektów – oświadczył zmęczonym głosem Blanchard. – Prezydent, minister spraw wewnętrznych i wszyscy inni żądają naszych głów. Na szczęście nie mają nas kim zastąpić.

Nie chciał już pamiętać, jak jeszcze kilka dni temu tym samym groził obecnym w sali. Tymczasem na szafocie leżała jego własna głowa. Od dwóch dni cały dział IT i ponad dwudziestu zewnętrznych specjalistów od przestępczości informatycznej pracowało dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Kilka minut później zadzwonił do niego Proctet.

– Mamy rezultaty, owszem – oznajmił – ale niezbyt pomyślne.

Blanchard na chwilę zamknął oczy. Ujrzał topór spadający na jego kark. Wszystko mu jedno.

– Znaleźliśmy fragmenty software'u wywołującego zakłócenia. Ten software jest w systemie już od ponad osiemnastu miesięcy, czyli atak przygotowywany był od dawna. A to z kolei oznacza, że wszystkie nasze zabezpieczenia danych są bezużyteczne, bo też zostały zainfekowane.

– To sięgnijmy do starszych.

Proctet pokręcił głową.

– Możemy o tym zapomnieć. Półtora roku w epoce technologii cyfrowej to jak całe stulecie w rzeczywistym wymiarze. Osiemnomiesięczne zabezpieczenia danych są już beznadziejnie przestarzałe.

– Więc co teraz?

– Musimy wyczyścić wszystkie komputery.

– Ale są ich setki!

– Na początek wystarczy wyczyścić kilkadziesiąt – powiedział Proctet. – Tyle że jest jeszcze coś.

Blanchard starał się nie patrzeć na stojącego przed nim młodego człowieka zbyt przerażonym wzrokiem.

– Co takiego? – spytał, wstrzymując oddech.

– Nieliczne serwery – zaczął wyjaśniać Proctet – które jeszcze działały, próbowały uzyskać dostęp do komputerów, z którymi właściwie nie mają nic wspólnego...

– Chce pan powiedzieć...

– Tak, zgadza się, zainfekowane są także serwery.

– To jest katastrofa – wymamrotał Blanchard. – Ile czasu może zająć cała operacja?

– Tydzień – rzekł Proctet bardzo cicho. Mimo to usłyszał go każdy w pokoju. Po chwili dodał: – Co najmniej.

– Nie ma mowy! – krzyknął Blanchard. – Widział pan dziś rano wiadomości? W samym środku Francji istnieje zagrożenie katastrofy atomowej, jeśli w Saint-Laurent nie dostaną jak najszybciej prądu do układów chłodzenia reaktora!

Haga

Bollard, zupełnie wytrącony z równowagi, przesunął niżej stronę z najnowszą sensacyjną wiadomością:

Operatorzy potwierdzają kontrolowany wyciek radioaktywny

(05.26) Électricité de France, spółka operacyjna elektrowni jądrowej w Saint-Laurent, potwierdza kontrolowaną emisję niewielkiej ilości pary radioaktywnej w celu zmniejszenia ciśnienia w zbiorniku reaktora. W bliskim otoczeniu elektrowni stwierdzono lekkie podniesienie radioaktywności. „Odpowiada ona poziomowi skażenia pasażera lotu transatlantyckiego” – wyjaśnił rzecznik spółki.

Urząd Nadzoru Nuklearnego: „Brak uszkodzeń w osłonach reaktora”

(06.01) Francuski Urząd Nadzoru Nuklearnego ASN informuje, że zbiornik reaktora bloku 1. w Saint-Laurent nie jest uszkodzony. Układy chłodzenia bloku 2. pracują bez zarzutu.

Blok 2. ma wspomóc blok 1.

(09.33) Jak informuje operator elektrowni jądrowej, jeden z trzech najważniejszych układów chłodzenia sprawnego bloku 2. ma najszybciej, jak to możliwe, przejąć pracę uszkodzonych systemów bloku 1. Tymczasem eksperci uważają takie rozwiązanie za niemożliwe i niebezpieczne.

Rząd: „Pozostałe elektrownie jądrowe bezpieczne”

(10.47) Rząd francuski oświadcza, że od rozpoczęcia awarii systemu energii elektrycznej doszło do niewielkich zakłóceń w trzech pozostałych elektrowniach jądrowych. Są to: Tricastin na południu kraju, Le Blayais pod Bordeaux i Cattenom przy granicy francusko-niemieckiej. Jednocześnie podkreśla, że nie istniało i nie istnieje żadne zagrożenie dla zdrowia i życia ludności.

MAEA potwierdza awarie w całej Europie, ale jednocześnie odwołuje alarm

(11.12) Międzynarodowa Agencja Energii Atomowej (MAEA) w Wiedniu potwierdza incydenty w czternastu obiektach jądrowych w dziesięciu krajach Europy. Dotychczas nie ustalono, które z nich są następstwem wyłączenia prądu. Wszystkie zostały sklasyfikowane w międzynarodowej skali zdarzeń jądrowych INES na poziomie 1 i nie stanowiły ani krótkoterminowego, ani długoterminowego zagrożenia dla mieszkańców i środowiska.

EBC: zastrzyk finansowy w wysokości 200 miliardów

(12.14) Europejski Bank Centralny wesprze rynki gigantycznymi sumami. Po dwucyfrowych spadkach kursów walut w poniedziałek i kolejnych poważnych turbulencjach we wtorek EBC wyasygnowało kolejne 200 miliardów euro. W następstwie skrócenia czasu działania giełdy w dniu wczorajszym akcje licznych przedsiębiorstw europejskich zostały dziś wycofane z obiegu. Szczególnie dotknęło to dostawców energii, zakłady chemiczne i branżę samochodową.

Nie odrywając wzroku od ekranu, Bollard wybrał numer telefonu swoich rodziców i przyłożył słuchawkę do ucha. Usłyszał tylko znany mu nieszczęsny cichy szum.

– Rany boskie... – krzyknęła Shannon, gdy Manzano akurat wszedł do pokoju. Siedziała na brzegu łóżka, obok niej leżały na pościeli dwie kamery, z których jedna była połączona

przewodem z laptopem spoczywającym na jej kolanach. Ale to nie komputer ją interesował, wlepiła wzrok w telewizor.

– Popatrz! – rzuciła. – Jeszcze to na dodatek!

Na ekranie prezenterka wiadomości CNN informowała:

– ...giełdy azjatyckie poważnie ucierpiały w wyniku wiadomości z wczorajszego wieczoru. Indeks Nikkei spadł ponownie o jedenaście procent, a obejmujący wszystkie spółki notowane na rynku podstawowym indeks giełdowy Topix odnotował spadki nawet o trzynaście procent. Szanghaj stracił dziesięć procent, a Hang Seng aż piętnaście.

– A czego się spodziewałaś? – spytał Manzano. – Mam nadzieję, że przed puszczeniem wczoraj w świat swoich nowin postawiłaś na spadki.

Manzano nie miał wielkiego pojęcia o rynkach finansowych, jednak było dla niego zupełnie jasne, że rewelacje Shannon wywołają dalsze spadki kursów na wszystkich międzynarodowych giełdach. Kto zdążył odpowiednio zareagować, mógł zarobić całkiem sporo pieniędzy.

– Nie o to mi chodzi – odpowiedziała. – Spójrz na wiadomość z ostatniej chwili.

Na czerwonym pasku w dole ekranu przesuwiała się informacja: „Awaria we francuskiej elektrowni jądrowej. Usterka systemu chłodzenia. Wyciek pary radioaktywnej. Wkrótce specjalna relacja”.

Manzano zauważył, że Shannon nerwowo obgryza sobie paznokcie.

– ...łączymy się teraz z naszym korespondentem we Francji Jamesem Turnerem.

– Cholera, cholera, cholera! – syknęła Shannon. – A mnie tam nie ma!

– Powinnaś się cieszyć.

Amerykański dziennikarz stał na jakimś polu, daleko w tle Manzano rozpoznał zarys wież chłodniczych reaktora.

– Znajduję się w sercu Francji, w pobliżu słynnych zamków nad Loarą. Jednak, począwszy od dzisiaj, tamta idylla należy już do przeszłości. O świecie przez megafony samochodów jeżdżących po okolicy wzywano mieszkańców, aby nie wychodzili z domów i nie otwierali okien. Jak czytamy w oficjalnym oświadczeniu, awaryjne systemy chłodzenia bloku 1. elektrowni atomowej Saint-Laurent przestały działać. Na razie nie wiadomo, od jak dawna utrzymuje się taka sytuacja. Znajdujemy się w odległości około pięciu kilometrów na drugim brzegu Loary. Nie ma jeszcze żadnych informacji na temat uszkodzeń samego rdzenia reaktora...

– Ten drań przez tyle lat mnie gnoił, a teraz ma znowu *top story*!

– Przecież największą *top story* dałaś wczoraj ty.

– Nic nie jest tak stare jak wiadomość z wczoraj.

– ...uszkodzenie to może mieć poważne skutki dla środowiska.

– Jak to w ogóle możliwe, żeby on stamtąd nadawał? – zdziwił się Manzano.

– Prawdopodobnie z satelitarnego wozu transmisyjnego. Ma zasilanie z silnika samochodu i drogą radiową nadaje materiał bezpośrednio przez satelitę. Piekielnie droga operacja, zwłaszcza teraz, kiedy pewnie wszystko kosztuje kilkakrotnie więcej niż normalnie.

– ...według doniesień Agencji Reutera czynniki odpowiedzialne były świadome tych problemów już od pewnego czasu. Tym bardziej niezrozumiałe wydaje się to, że społeczeństwo zostało poinformowane dopiero teraz.

– Mieli dość innych kłopotów – zauważył Manzano. – A przynajmniej tak będą się tłumaczyć.

Za plecami reportera na miejscu wież chłodniczych pojawił się nagle jakiś obłok.

– Co prawda na razie...

Manzano usłyszał głuchy huk nawet w telewizorze.

– Wow, co to było? – Turner odwrócił się raptownie, kierując spojrzenie na rosnącą chmurę. – Nastąpił wybuch! – krzyknął do mikrofonu. – W elektrowni jądrowej doszło właśnie do wybuchu!

– Na twoim miejscu wziąłbym nogi za pas – bąknął Manzano.

– Wybuch! Nic innego nie przychodzi mu do głowy? – prychnęła Shannon.

– Człowieku, spieprzaj stamtąd! – rzucił Manzano.

Tymczasem Turner odwrócił się ponownie do kamery. Chmura za nim zaczęła się powoli unosić, stawała się przejrzysta.

– Widziałeś? Nagrałeś to? Cholera! Możemy zobaczyć to jeszcze raz! Halo, studio?

Ze studia natychmiast puszczono to samo ujęcie w zwolnionym tempie i z przybliżonym obrazem elektrowni. Mimo to nie widać było nic więcej niż za pierwszym razem. Na miejscu wież rozrastała się biała chmura.

– Niech to szlag – szepnęła Shannon.

– No co, nadal chciałybyś tam być? – spytał Manzano.

Obłok za Turnerem stopniowo się rozpląwał, z powrotem zaczęły się zarysowywać kontury wież chłodniczych.

– Co tam wybuchło? – spytał dziennikarz retorycznie, albowiem jego operator nie mógł udzielić mu odpowiedzi. – Proszę państwa, drodzy widzowie...

Ta nerwowa paplanina reportera działała już Manzanowi na nerwy, mimo że z drugiej strony doskonale rozumiał emocje tamtego faceta. Sam czuł, jak ogarnia go coraz większe napięcie. Dobrze pamiętał dni po katastrofie w Fukushima w 2011 roku, kiedy niczym uzależniony siedział bez przerwy w internecie i śledził najświeższe informacje, nie wspominając już o jedenastym, dwunastym i trzynastym września, gdy z kolei tkwił dniami i nocami przed telewizorem i jak zakłęty oglądał wciąż powtarzane obrazy.

– ...spróbujemy uzyskać więcej informacji od osób odpowiedzialnych i połączymy się ponownie – oznajmił Turner.

Na ekranie pojawił się obraz ze studia, głos przejęła prezenterka, na której twarzy wyraźnie malowało się przerażenie.

– *Well, good luck, James* – powiedziała, nerwowo przesuwając przed sobą kartki. – Gdy będziemy mieli nowe wiadomości z Francji, powtórnie połączymy się z Jamesem Turnerem.

– Cholera... – powtórzyła cicho Shannon.

– Zgadza się – rzucił Manzano. – Mam nadzieję, że nasz przyjaciel Bollard nie ma w tamtej okolicy żadnych przyjaciół.

W przerwach między naradami Bollard raz po raz sprawdzał najświeższe doniesienia. Niestety, nie brzmiały one dobrze.

Wybuch w elektrowni jądrowej Saint-Laurent

(13.09) We francuskiej elektrowni jądrowej doszło dziś w południe do wybuchu. Dotychczas nie podano jego przyczyn. Eksperci podejrzewają eksplozję wodoru w budynku reaktora. Na razie nie wiadomo, czy doszło do skażenia radioaktywnego.

Operator potwierdza: ranni w elektrowni Saint-Laurent

(13.35) Électricité de France informuje, że w wyniku eksplozji rannych zostało trzech pracowników. Nie doszło jednak do ich napromieniowania, oświadcza spółka.

Reaktor po eksplozji nieuszkodzony

(14.10) Jak informuje Urząd Nadzoru Nuklearnego ASN, osłona i jądro reaktora po

wybuchu w środkowofrancuskiej elektrowni Saint-Laurent nie uległy naruszeniu. Prawdopodobnie nie doszło do żadnego wycieku radioaktywnego. Mimo to rząd wzywa ludność zamieszkałą w promieniu trzydziestu kilometrów do pozostawania nadal w pomieszczeniach zamkniętych.

– No to niby dlaczego, skoro rzekomo nie doszło do wycieku? – ryknął Bollard w stronę monitora.

Znowu wybrał numer rodziców. Kolejny raz bez skutku. Usiłował też dodzwonić się w różne miejsca w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, w Urzędzie Nadzoru Nuklearnego, w policji. Chociaż większość z nich to były numery nieoficjalne, z nikim nie udało mu się połączyć. Linie były albo zajęte, albo martwe.

Centrum dowodzenia

Eksperci w drodze do Saint-Laurent

(14.18) Rząd francuski i MAEA wysłały do Saint-Laurent zespół ekspertów. Specjaliści mają dotrzeć na miejsce pod wieczór. Ich zadaniem będzie udzielenie pracownikom obiektu pomocy przy doprowadzeniu reaktora do stanu niestanowiącego zagrożenia.

Operator: dalsze incydenty niemożliwe

(14.55) Rzecznik Électricité de France nie spodziewa się dalszych incydentów w uszkodzonej elektrowni jądrowej Saint-Laurent. Eksperci skłaniają się ku przypuszczeniu, że doszło do eksplozji gazu piorunującego. Dwie godziny po wybuchu w bliskim otoczeniu obiektu odnotowano lekkie podniesienie poziomu radioaktywności. Rzecznik nie wypowiedział się na temat ewentualnych uszkodzeń elektrowni. Zapewnił on, że nie istnieje żadne zagrożenie dla ludności, mimo to apeluje do mieszkańców w promieniu trzydziestu kilometrów o pozostawanie nadal w domach.

To prawda, z tym się nie liczyli. Saint-Laurent nadawało całej sytuacji nowy wymiar, nie do końca zgodny z ich intencjami. Nie chodziło o to, żeby Europa stała się pustynią. Przeciwnie. Musimy to przerwać, argumentowali niektórzy, zanim dojdzie do czegoś jeszcze gorszego. On był innego zdania. Nawet jeśli Saint-Laurent miałoby nie być odosobnionym przypadkiem. Na przerwanie jest i tak za późno: nawet gdyby wyjawili te szkodliwe kody oraz systemy, w których one tkwią, naprawienie ich trwałoby kilka dni. Poza tym przecież wiedzieli, że nie obejdzie się bez ofiar. Wielu ofiar. Byli gotowi to zaakceptować. Każda zmiana wymaga ofiar.

– Jak to sobie wyobrażacie? – pytał krytyków. – Przecież nie można tak po prostu sobie wstać i wyjść. To by było równoznaczne z rezygnacją ze wszystkich naszych celów. Celów, dla których oni też ponieśli ofiary. Wielkie ofiary. Poddanie się teraz to byłaby kolejna kapitulacja. Ponowne oddanie innym przestrzeni działania i pola do interpretacji. Temu społeczeństwu, które jest opętane przez pieniądz i władzę, przez porządek, efektywność i wydajność, przez konsumpcję, rozrywkę i ego oraz przez myśl, jak wyrwać dla siebie maksymalnie dużo ze wszystkiego. Dla tego społeczeństwa nie liczą się ludzie tylko zwiększanie zysków. Dla nich wspólnota to jedynie czynnik kosztowy. Środowisko to źródło zasobów. Wydajność jest jego modlitwą, porządek relikwiarzem, a ego bogiem. Nie, nie mogą teraz przestać.

Ratingen

– To jest katastrofa – oznajmił Wickley. – Dla każdego z nas. Przełom w sektorze energetycznym, nowoczesne sieci, Smart Grid and Co., o tym wszystkim możemy w najbliższych latach zapomnieć.

Sala konferencyjna na piętrze zarządu była mniej zapełniona niż poprzedniego dnia. Znowu kilka kolejnych osób nie stawiało się dziś w pracy, również z kierownictwa. Agencję PR-owską reprezentowało też nie czterech, tylko dwóch przedstawicieli – Hensbeck i jego asystentka. Wszyscy siedzieli w płaszczach albo w puchowych kurtkach.

Wickley chciał zwołać ich z samego rana, ale niektórzy mieli spotkania poza firmą, a Hensbeck był oczywiście nieosiągalny. Chyba trzeba będzie z powrotem wprowadzić konnych posłańców albo gołębie pocztowe, pomyślał.

Lueckowi nie udało się zorganizować ani nowego generatora, ani dodatkowego paliwa. Ponieważ nie działały sieci telefoniczne, nie był w stanie nawet się skontaktować z odpowiednimi instytucjami. Pojechał więc sam autem do Düsseldorfu, nie mając pojęcia, do kogo ma się zwrócić i czy w ogóle zostanie gdziekolwiek wpuszczony. Samo znalezienie odpowiednich adresów było trudne, bo teraz wszyscy zapisywali je na serwerach, laptopach, w telefonach komórkowych, których baterie już dawno wyzionęły ducha. U niego w domu od lat nie mieli książki telefonicznej. Lueck nie wrócił jeszcze ze swojej misji.

– Wielu europejskich operatorów potwierdziło ataki na ich systemy IT – mówił Wickley. – Dowiedziałem się nieoficjalnie, że w niektórych przypadkach trzeba liczyć się z tym, że naprawa zajmie kilka dni albo dłużej.

– Paradoksalnie te złe wiadomości i katastrofalna sytuacja – wtrącił Hensbeck – stwarzają też pewną szansę. Czyż nie mam racji? Uświadamiają bowiem, że obecne systemy nie nadają się do niczego i że konieczna jest zmiana.

– Z całym szacunkiem dla pańskiego pozytywnego myślenia, Hensbeck, ale to nie jest takie proste. Przyczyna awarii jest już jasna: systemy IT. Czyli akurat ten fragment całego systemu produkcji i dystrybucji energii, który miał odgrywać w następnych latach kluczową rolę w przejściu na inteligentne sieci elektroenergetyczne i w ich rozbudowie. Miał być częścią naszego głównego biznesu i jądrem naszych wizjonerskich przyszłościowych projektów! Rozumie pan? Przecież obok sieci energetycznej miała powstać sieć służąca komunikacji, której zadaniem byłoby sterowanie infrastrukturą elektroenergetyczną. To, z czym od lat walczą banki, firmy zajmujące się płatnościami mobilnymi i ubezpieczeniami, dotknęło teraz także naszą branżę, tyle że ze skutkiem o wiele poważniejszym, jak mamy właśnie okazję się przekonać. Holandia już jakiś czas temu zaprzestała wprowadzania inteligentnych liczników. Powód: względy bezpieczeństwa. Kiedy zatem opadnie już kurz po całym tym zamieszaniu, nastąpi ponowna ewaluacja wszystkich projektów opartych na IT i ich wstrzymanie.

– Nasze produkty były produkowane z zachowaniem najwyższych standardów bezpieczeństwa – rzucił członek zarządu do spraw technicznych. – To jest nasz atut.

– To samo twierdzili szefowie zaatakowanych w ostatnich latach banków, instytucji, urzędów i innych jednostek. Jak się potem okazywało, wcale nie zawsze było to zgodne z prawdą. Może pan zagwarantować, że nasze systemy są zupełnie bezpieczne?

– Żaden system nigdzie nie będzie zupełnie bezpieczny – odparł członek zarządu. – Jednak w naszej branży dalece przewyższamy wszelkie standardy przemysłowe.

– To jest argument używany przez przemysł jądrowy do najbliższej wielkiej awarii atomowej oraz przez sektor finansowy do najbliższego krachu. On już nie wystarcza. Przede wszystkim chciałbym, abyśmy gruntownie przeanalizowali wszystkie nasze przyszłe projekty.

Jeden raz, i kolejny, i znowu.

– Przydałby się do tego prąd – bąknął ktoś na tyle głośno, aby Wickley mógł usłyszeć. Nie zwrócił na to uwagi.

– Ponadto po tych rewelacjach musimy całkowicie zrewidować naszą strategię komunikacyjną. Po tak zmasowanym ataku na systemy w branży energetycznej, zwłaszcza w zakresie dostarczania energii, istnieć będzie tylko jeden temat: bezpieczeństwo. Ochrona środowiska i kwestie klimatyczne pójdą w zapomnienie. Dobrze będzie, jeśli Europa w ogóle się z tego podniesie. Już dziś jestem w stanie sobie wyobrazić głosy polityków: będą argumentować dokładnie tak samo, jak dzisiaj robią to kraje rozwijające się. Aby utrzymać choćby w przybliżeniu poziom życia wyborców, Niemcy odstąpią od energii atomowej, szybko będą powstawać elektrownie gazowe i węglowe bez przestrzegania standardów ochrony środowiska – najważniejsze, żeby tylko produkowały energię i ją dostarczały.

– A dlaczego nie wykorzystać okazji i jeszcze bardziej nie przyspieszyć rozbudowy odnawialnych źródeł energii? – chciał wiedzieć Hensbeck.

Wickley zaczynał się zastanawiać, dlaczego ten człowiek zajmuje się opracowywaniem strategii komunikacyjnej firmy Talaefer. Nie wydawał się odpowiednio zorientowany w istocie sprawy.

– Ponieważ do rozwoju odnawialnych źródeł energii i licznych zdecentralizowanych drobnych producentów potrzebne są inteligentne sieci elektroenergetyczne. A jej skromne załączki właśnie zostały wysadzone w powietrze, w przenośnym sensie. Ataki we Włoszech i Szwecji zaczęły się właśnie przez liczniki inteligentne, które według dyrektyw Unii Europejskiej do 2020 roku miały zostać wprowadzone w całej Europie.

– To przecież była prawdziwa okazja dla hakerów, terrorystów czy wrogo nastawionych państw – odezwał się znowu Hensbeck. – Dlaczego wprowadzono do użycia tak ryzykowne urządzenia? To zupełny brak odpowiedzialności.

– Włosi chcieli po prostu ukrócić sport narodowy, jakim jest podkradanie energii – wyjaśnił członek zarządu do spraw technicznych. – Na początku nowego tysiąclecia bezpieczeństwo nie było jeszcze takim wielkim tematem.

– Co takiego? Wręcz przeciwnie. Przecież powstał nawet taki film akcji... – zaprotestował Hensbeck.

– Wiem, o który panu chodzi. *Szklana pułapka 4.0*. Absurdalna historia...

– Ale temat został poruszony.

– Oczywiście, tyle tylko, że pokazane tam zagrożenia skwitowano jako brednie wymyślone przez katastrofistów. Prawdziwa waga zagadnienia dotarła do wielu odpowiedzialnych osób dopiero w ostatnich latach. Poza tym nie bez znaczenia jest też kwestia kosztów. Bezpieczeństwo kosztuje.

– Ale, jak widzimy, unikanie ich kosztuje jeszcze więcej.

– Sądząc po tym, w jakim pan jest wieku, z pewnością przypomina pan sobie czas, kiedy chyba właśnie we Włoszech zapoczątkowano proces decyzyjny dotyczący tej potężnej inwestycji. Przypuszczam, że jest pan w stanie sobie wyobrazić, jak bardzo był on żmudny i jak się włóki. To trwało całe lata! A chyba zdaje pan sobie sprawę, co obecnie znaczą lata w przypadku jakiegokolwiek urządzenia technicznego. W gruncie rzeczy tamte liczniki inteligentne w momencie ich instalacji były już przestarzałe. A gdyby nawet nie były wtedy, to dzisiaj już na pewno trącą myszką. To jest podstawowy problem współczesnej techniki, na który nikt dotąd nie znalazł rozwiązania.

– Apple chyba jednak znalazł – zaproponował Hensbeck. – Konsumenci niecierpliwie wypatrują ich nowych produktów i są gotowi zapłacić setki euro za najnowszą komórkę, za

najnowszy ekran 3D, najnowszy tablet czy cokolwiek innego, co zostanie wymyślone, mimo że poprzedni model spokojnie służyłby jeszcze ze trzy lata.

Wickley postanowił przejść pałeczkę. On sam nieraz miał podobne myśli, ale to przecież nie on jest od tego, aby wymyślać odpowiednie koncepcje i strategie komunikacji.

– Jeśli uda się panu nakłonić konsumentów do tego, aby regularnie co dwa lata wydawali ochoczo po sto euro na nowy inteligentny licznik, to zostanie pan bardzo bogatym człowiekiem, bo nikt oprócz nas nie ma optymalnych programów i serwisów w tym zakresie. Jesteśmy, by tak rzec, *App store* przemysłu elektroenergetycznego.

Hensbeck spojrział na niego w zadumie.

– Za którego oferty trzeba dodatkowo płacić – zauważył.

– W końcu nasi inżynierowie też mają dzieci, które muszą za coś wyżywić – odpowiedział Wickley.

Później, kiedy ludzie od PR-u już poszli, a na dworze zaczynało zmierzchać, Wickley zwrócił się do członka zarządu do spraw technicznych:

– Czy dostaliśmy meldunki od operatorów elektrowni?

– Jak do tej pory nie. Tyle że znowu nie działa nasze dotychczasowe *call center*. Sieci telefoniczne padły tak szybko, że tak czy inaczej nie dało się do nas dodzwonić. Właśnie próbujemy utworzyć nowe w Bangalore.

Podobnie jak wiele innych koncernów zaawansowanych technologii od sześciu lat ich wydział do spraw rozwoju mieścił się w tym południowoindyjskim mieście, które stało się ostatnio światowym centrum przemysłu software'owego. Raz albo dwa razy do roku Wickley odwiedzał tę placówkę, której liczba pracowników wzrosła od chwili powstania sześciokrotnie do stu dwudziestu osób.

– Jednak komunikacja przez satelitę jest teraz uciążliwa, są one przeciążone – kontynuował członek zarządu. – Mamy nadzieję, że jutro się uda. Ale i tak nie spodziewam się wielu zgłoszeń. Nasze elementy SCADA są bezpieczne, a ludzie mają teraz inne zmartwienia.

Wickley wciąż jeszcze miał w uszach zdanie wypowiedziane przez van Balsdorffa: „Także elektrownie zgłaszają nietypowe kłopoty...” i dlatego powiedział:

– Gdyby coś nadeszło, proszę mnie natychmiast poinformować.

Haga

Shannon zmontowała swoje materiały i wrzuciła je do internetu. Telewizor był cały czas włączony.

Manzano wszedł do pokoju.

– Co nowego?

Rzucił się na łóżko, otworzył swojego laptopa i w czasie, w którym komputer się uruchamiał, śledził wiadomości w telewizji.

– Hm – odpowiedziała mu Shannon z lekkim roztargnieniem, patrząc na jego laptopa i na zabawną zieloną naklejkę na klapie.

Wiadomości z Saint-Laurent nie brzmiały dobrze. Nieostre ujęcia z dużej odległości ukazywały elektrownię, a nad nią unoszący się dym.

– To, co widzimy, to jest para z wież chłodzących – wyjaśniała prezenterka. – Po wybuchu w południe sytuacja nadal nie jest jasna...

Równolegle Manzano przebiegł szybko wzrokiem ostatnie wiadomości w internecie. Ograniczał się głównie do tytułów.

Giełdy europejskie zamknięte

Zatrzymanie produkcji we wszystkich europejskich fabrykach samochodów Munich Re szacuje dotychczasowe straty na poziomie 1 biliona euro Z ostatniej chwili: sześciu rannych pracowników Saint-Laurent; dwóch napromieniowanych Mistrzostwa świata w hokeju na lodzie w Sztokholmie odwołane 2000 ofiar awarii prądu w samych Niemczech

Greenpeace: silnie podwyższony poziom radioaktywności w okolicy Saint-Laurent USA, Rosja, Chiny, Turcja przygotowują pomoc Region Bochum znowu ma przejściowo prąd

Interpol publikuje portrety pamięciowe podejrzanych Dowództwo NATO omawia sytuację

Ceny ropy naftowej wciąż spadają

Agencja atomowa: Saint-Laurent to nie Czarnobyl ani Fukushima – W Japonii w pierwszych dniach też tak mówili – bąknął Manzano. – Dopóki się nie okazało, że reaktor był poza kontrolą od pierwszej chwili.

Berlin

- To będzie sygnał dla ludzi – oznajmił minister spraw wewnętrznych.
- Którego nikt nie zobaczy – odparł rzecznik Urzędu Kanclerskiego.

Michelsen z zakłopotaniem przysłuchiwała się dyskusji, która wywiązała się podczas rutynowej odprawy wokół kwestii, czy kanclerz w obecności mediów ma odwiedzić miejsce tymczasowego pobytu i jeden ze szpitali. Jakby nie mieli nic ważniejszego do roboty. Michelsen spojrzała na swoją listę. Już dawno przestała zapisywać każdy detal. Dla ogólnego oglądu sytuacji wystarczało jej kilka punktowych notatek.

Woda

W wielu wyspach prądu dostępna tylko przez kilka godzin; w regionach bez prądu prawie całkowity brak; uruchomiono hydranty awaryjne; akcja rozdziału wody; brak informacji z części regionów z powodu trudności komunikacyjnych; awaryjne zasilanie dla pomp i sprzętu do odprowadzania ścieków częściowo zainstalowane; niewystarczający wolumen prądu awaryjnego, zapotrzebowanie zgłaszają m.in. szpitale.

Żywność

Masowe wykupywanie towarów w jeszcze otwartych supermarketach; zorganizowano punkty rozdzielania żywności i wydawania zupy; z powodu braku możliwości transportu zaopatrzenie krytyczne.

--> Poprawić!

Opieka medyczna

Koncentracja na najważniejszych szpitalach, przenoszenie pacjentów w toku; brak leków w szpitalach, kwaterach tymczasowych i aptekach; dializy i domy opieki – stan dramatyczny. --> Konieczne przeniesienia.

Dach nad głową

Zorganizowano 187 miejsc tymczasowego pobytu; 156 w przygotowaniu.

Komunikacja

Awaryjne zasilanie w celu zapewnienia komunikacji między rządem/centralą, krajami związkowymi i organizacjami pomocowymi częściowo odbudowane; komunikacja z jednostkami regionalnymi trudna lub niemożliwa; przepływ informacji znacznie opóźniony; trwają prace nad uruchomieniem sieci polowej Bundeswehry.

– Koniec dyskusji – oznajmił kanclerz federalny, wykonując zdecydowany gest ręką. – Odwiedzimy miejsce tymczasowego pobytu i jeden szpital. – A zwracając się do swojego rzecznika, dodał: – Proszę ustalić termin na jutro. Ze mną mają pojechać najważniejsze osoby decyzyjne, aby też mogły wyrobić sobie obraz sytuacji.

Przeszli do następnego tematu. W ciągu trzydziestu kolejnych minut Michelsen mogła uzupełnić swoją listę na dzień dzisiejszy.

Porządek publiczny

Pojedyncze przypadki grabieży, zwiększona liczba włamań; stan informacyjny niezadowolający; zakłady karne nie odnotowały ucieczek; kilkakrotne próby buntu więźniów w zakładzie karnym Kassel 1, Fuhlshüttel; więzienia dla kobiet w Berlinie, Mannheim, Regensburgu pod kontrolą.

Jednak, jak informował jeden z kierowników resortu, sytuacja w zakładach karnych stawała się coraz bardziej niebezpieczna. Również w więzieniach zaczynało brakować personelu. Pełniące służbę załogi pracowały w warunkach fizycznej i psychicznej presji. Więźniowie otrzymali zakaz spacerów na dziedzińcu i swobodnego poruszania się po zakładzie, częściowo zredukowano racje wody i żywności, stan sanitariatów był katastrofalny. U osadzonych wzrastał

też poziom agresji, która najpierw kierowała się przeciw słabszym kolegom, a w końcu obracała się przeciw strażnikom. W tej sytuacji administracja więzień będzie zmuszona skupić się wkrótce wyłącznie na zapobieganiu incydentom albo na przenoszeniu więźniów do większych zakładów, aby móc ograniczyć liczbę personelu. Michelsen wolała nie myśleć o wiążącym się z tym wysiłku organizacyjnym i logistycznym, o ryzyku ucieczek podczas transportów ani o warunkach w przepełnionych do granic możliwości placówkach.

Transport

Szlaki kolejowe w większości odblokowane; wznowiono przewóz towarów; opracować we współpracy z innymi krajami główne szlaki transportowe i zaopatrzeniowe.

Pieniądze/finanse

Masowe wybieranie pieniędzy z banków.

Pozostała infrastruktura

Nie odnotowano żadnych wyjątkowych wydarzeń; z niektórych regionów brak informacji.

Dostawcy

Koniec awarii niewiadomy; wyspa energetyczna Szlezwik--Holsztyn stracona; niemieckie elektrownie jądrowe: dwa diesle przestały pracować (Brokdorf, Gundremmingen C), urządzenia zastępcze działają; nowe diesle w drodze.

Sytuacja międzynarodowa

Ewakuacja elektrowni jądrowej Saint-Laurent; Temelín w stanie krytycznym; pożary w obiektach przemysłowych z wydzielaniem substancji szkodliwych o stopniu zagrożenia 7 – wszystkie w bezpiecznej odległości od niemieckiej granicy.

Stacje telewizyjne ciągle jeszcze nadawały swoje materiały, choć tych, którzy mogli je oglądać, było już niewiele. Należeli do nich Michelsen i jej koledzy z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Informacja z poprzedniego wieczoru rozeszła się błyskawicznie. Jej skutek był zgodny z przewidywaniami: nieliczne supermarkety przeżywały dziś prawdziwe obłędzenie.

Nikt też nie spodziewał się innej reakcji w sprawie, o której właśnie rozmawiano w studiu wiadomości stacji ARD. Jasnowłosa prezenterka zaczęła:

– ...naszym gościem jest doktor Cornelius Ydén z Banku Federalnego. Panie doktorze, przede wszystkim dziękuję za przybycie, co w panujących okolicznościach z pewnością nie było łatwe.

– To ja dziękuję za zaproszenie.

– Panie doktorze, proszę powiedzieć: czy przeżywamy run na banki?

Ydén, mężczyzna po pięćdziesiątce o siwych włosach i ostrych rysach, odparł:

– Nie. To są pojedyncze przypadki podejmowania pieniędzy.

Informacje otrzymane dotychczas przez Michelsen i kolegów ukazywały zupełnie inny obraz sytuacji. Co najmniej dwieście filii banków w całym kraju zamknęło swoje podwoje już około południa, a niektóre nawet wcześniej. A dane te dotyczyły jedynie siedmiu największych instytucji bankowych i związku kas oszczędnościowych.

– ...dostęp do gotówki w Niemczech jest zagwarantowany – zapewniał Ydén. – Przed awarią prądu w całym kraju było w obiegu około czterdziestu miliardów euro w gotówce, dwa razy tyle znajdowało się w portfelach konsumentów. Tymczasem mamy prawo zakładać, że nawet jeśli awaria potrwa jeszcze kilka dni, ludzie i tak nie będą potrzebować dużo pieniędzy na codzienne życie. Wiele sklepów jest zamkniętych. Woda i żywność wydawane są przez lokalne władze za darmo. Tak więc obawa, że nie starczy nam gotówki, jest zupełnie nieuzasadniona. Dlatego Bank Federalny radzi obywatelom, aby, jeżeli w ogóle, podejmowali na razie tylko tyle, ile to naprawdę konieczne.

– Czyli czterdzieści milionów niemieckich gospodarstw domowych ma do dyspozycji sto dwadzieścia miliardów euro. Gdyby rozdzielić te środki równomiernie, na każde gospodarstwo przypadłyby trzy tysiące euro. Ale wiele osób ma zdecydowanie mniej w kieszeni. Czy zatem lęk obywateli i obywateli o to, że nie starczy im pieniędzy, nie jest zrozumiały?

Michelsen cieszyła się, że prawie nikt nie mógł oglądać czy słyszeć tej rozmowy. Powstał już bowiem czarny rynek na niektóre towary, głównie na wodę, żywność i lekarstwa. Jeśli władze nie będą potrafiły zagwarantować odpowiedniego zaopatrzenia, czarny rynek zdominuje normalny handel, a to nie tylko podkopie zaufanie społeczeństwa do państwa, ale spowoduje też wyciągnięcie ludziom pieniędzy z kieszeni. Mimo to Ydén miał rację: potrzeba chwili nakazywała zachowanie rozsądku.

– To są zupełnie irracjonalne lęki, które, przyznaję, mogą stać się samospełniającymi się proroctwami. I na tym polega istota wspomnianego przez panią szturm na banki. Ludzie widzą, jak inni stoją przed bankiem, i boją się, że oni już nie dostaną pieniędzy. W ten sposób tłum staje się coraz większy, a w konsekwencji narasta też strach. W którymś momencie bankom rzeczywiście może zabraknąć gotówki, dlatego uciekają się one do prostych środków zaradczych, jak ograniczenie wypłacanych kwot. Nasi klienci powinni wiedzieć jedno: nie należy się bać tego, że instytucje bankowe jutro splajtują i wszystkie pieniądze przepadną. Nie mamy przecież do czynienia z kryzysem finansowym.

Ładnie się wykręcił, pomyślała Michelsen, mając jednocześnie nadzieję, że jego rozmówczyni tak łatwo mu nie daruje. Przecież to oczywiste, że banki też mogą wpaść w bardzo poważne kłopoty, i to nie tylko krótkoterwale, ale średnio- czy wręcz długoterminowe, ponieważ wiele firm nie przetrwa skutków awarii, a wtedy one pozostaną z miliardami niespłaconych kredytów. Lecz na razie rzeczywiście najważniejsze to zapobiec klasycznej panice bankowej.

– Tak więc, proszę państwa, nie ma podstaw do obaw, że nie wystarczy nam pieniędzy – podsumowała prezydentka z poważną twarzą. – Dziękuję panu. Naszym gościem był doktor Ydén z Banku Federalnego.

Co nie udało się kryzysowi finansowemu, uda się awarii prądu?

Bruksela

– Tak więc liczba próśb o pomoc pozostaje w normie – podsumował posiedzenie Zoltán Nagy, przewodniczący Centrum Monitoringu i Informacji. – Jeśli chodzi o Saint-Laurent i Temelín, nimi zajmuje się Międzynarodowa Agencja Energii Atomowej w Wiedniu, która wysłała tam ekspertów i informuje nas na bieżąco.

Omawiali aktualną sytuację przez trzydzieści minut. Była znacznie poważniejsza, niż przypuszczali. Nie znali jeszcze tylko do końca raportu o wypadkach technicznych.

– Przyszło zapytanie z Hiszpanii w związku z eksplozją w zakładach chemicznych Abracel pod Toledo. Doszło do emisji gazów trujących. Władze nie znają jeszcze dokładnej liczby ofiar, prawdopodobnie jest ich co najmniej kilkadziesiąt. Tysiące osób trzeba było ewakuować, częściowo także ze zorganizowanych ostatnio tymczasowych obozów. Stany Zjednoczone i Rosja chcą wysłać na miejsce ekipy techniczne, które mają pomóc w uszczelnieniu przecieków. Do podobnych wypadków i ofiar śmiertelnych doszło też w brytyjskim Sheffield, norweskim Bergen, w Szwajcarii blisko Berna i w bułgarskim Pleven. Na razie żadne z tych państw nie poprosiło o pomoc międzynarodową, liczba ofiar w każdym przypadku wynosi po kilka osób. Są nimi wyłącznie pracownicy przedsiębiorstw, w których doszło do tych katastrof. Musimy jednak być przygotowani na to, że taka pomoc będzie tam jednak potrzebna. Poza tym lista obejmuje jedynie zgłoszone nam oficjalnie zdarzenia, a przecież nie da się wykluczyć, że doszło też do innych, o których nie wiedzą nawet władze w danych krajach. Komunikacja nadal jest wszędzie dziurawa. To tyle na temat bieżącej sytuacji. Następne posiedzenie za trzy godziny.

Nagy już miał zamiar wstać, ale coś mu się jeszcze przypomniało.

– Aha, byłbym zapomniał, otrzymaliśmy informację z brukselskiego zakładu komunikacji miejskiej. Aby służby publiczne mogły pracować chociaż w minimalnym zakresie, postanowiono zorganizować transport autobusami wahadłowymi, które będą jeździć na sześciu liniach wokół miasta w promieniu czterdziestu kilometrów. Będą kursować dwa razy dziennie i zabierać wyłącznie pracowników określonych instytucji, takich jak policja, ministerstwa i najważniejsze departamenty Komisji. W tej liczbie mieścimy się my. Już jutro rano mogą państwo wsiąść w określonych punktach miasta i dojechać tutaj, a wieczorem wrócić w ten sam sposób do domu. Jako bilet służy legitymacja pracownicza. Trasy poszczególnych linii i przystanki początkowe znajdują państwo na tablicy ogłoszeń.

Berlin

Hartlandt aż podskoczył, kiedy ktoś klasnął za jego plecami.

– Pobudka! – zawołał kolega.

Rozejrzył się oszołomiony. Chciał zdrzemnąć się chociaż przez krótką chwilę, broda opadła mu na pierś.

– Mam wiadomości, od których zaraz wytrzeźwiejesz – powiedział. – Strażacy, którzy gasili pożar rozdzielnic Osterrönfeld, nie mają wątpliwości, że to było podpalenie.

– Cholera! A dlaczego dowiadujemy się o tym dopiero teraz?

– Bo oni mają tam pełne ręce roboty. I nie nadążają z ustalaniem przyczyn.

Hartlandt zerwał się z miejsca i stanął przed ogromną mapą Niemiec wiszącą na ścianie. Zaznaczyli na niej różnymi kolorami wszystkie do tej pory znane uszkodzenia. Pod różnokolorowymi główkami pinezek gdzieś nie było w ogóle widać mapy.

– Czyli... to pewnie nie przypadek – wymamrotał. – Od początku awarii dostaliśmy zgłoszenia o pożarach w ośmiu rozdzielnicach. To są te różowe łebki. Pierwsze były w Szlezwiku-Holsztynie i Dolnej Saksonii, a więc na północy. Potem stopniowo dochodziły kolejne. Do niedawna za przyczynę uznawano zwarcia. – Podeszedł do swojego biurka, zaczął grzebać w papierach. – Masz. – Wręczył swojemu koledze jakąś kartkę. – To jest lista wszystkich spalonych rozdzielnic. Połącz się z miejscowymi oddziałami straży pożarnej. Niech natychmiast sprawdzą przyczyny pożaru. Oprócz tego potrzebuję danych, o której dokładnie godzinie w każdym miejscu wybuchł pożar. Skontaktuj się też z operatorami sieci i ustal, czy mają kolejne uszkodzone rozdzielnice, o których my na razie nic nie wiemy. No, ruszaj się!

Haga

Manzano słuchał relacji w telewizji tylko jednym uchem. Od kilku godzin zajmował się analizą otrzymanych od Bollarda materiałów dotyczących dostawców oprogramowania do sterowania elektrownią. Im bardziej się w nie zagłębiał, tym silniejsze stawało się jego podejrzenie.

– Może powinniśmy coś wyłączyć – zauważył od niechcienia. – W którymś momencie w hotelu też wyczerpią się zapasy diesla.

– Te kilka minut czy nawet godzin nie odgrywa już większej roli – odpowiedziała Shannon, która leżąc na łóżku, nie odrywała wzroku od ekranu telewizora.

– ...jak dowiadujemy się z kręgów zbliżonych do europejskich operatorów sieci elektroenergetycznych – mówiła właśnie prezenterka – przywrócenie do pracy zaatakowanych systemów elektronicznych może potrwać do dziesięciu dni.

– Rany boskie – wymamrotała Shannon.

– Informacja ta nie została do tej pory potwierdzona oficjalnie. Mamy też świeże doniesienia z elektrowni jądrowej Saint-Laurent w środkowej Francji. Łączymy się z naszym przebywającym na miejscu korespondentem Jamesem Turnerem.

– Spójrz no na tego gościa – odezwała się ze złością Shannon. – Oby jego informacje brzmiały lepiej, niż on wygląda.

Manzano niechętnie uniósł wzrok. Szczelnie opatulony nieulubiany kolega Shannon patrzył prosto w kamerę. Wiatr szarpał jego kapturem i gwizdał w mikrofonie.

– Międzynarodowa Agencja Energii Atomowej oceniła sytuację w Saint-Laurent w skali międzynarodowych zdarzeń jądrowych INES na poziomie 4 – krzyczał pod wiatr do mikrofonu – i tym samym oficjalnie potwierdziła, że mamy tu do czynienia nie z incydem, ale z awarią! Jednocześnie i rząd, i operatorzy przyznają, że ludność w najbliższym otoczeniu elektrowni jest narażona na niewielkie promieniowanie, przekraczające jednak w bardzo małym stopniu promieniowanie naturalne. Bardziej niepokojące jest to, że stopień 4. w skali INES jest równoznaczny z tym, że musiało dojść do uszkodzenia rdzenia reaktora lub jego osłon. Na ile są one poważne, nie podano do wiadomości! Ponadto nastąpiło skażenie części personelu mogące mieć skutki nieobojętne dla zdrowia. W dotychczasowych dziejach energii jądrowej wydarzyło się jedenaście wypadków o tym lub wyższym stopniu w skali INES. Systemy chłodzenia bloku 1. nadal nie pracują, a przyczyna ich uszkodzenia nie jest wciąż znana! Nie ma też jasności co do źródła wybuchu!

– Jasne, jasne – zrzędziła Shannon. – Im mniej wie, tym więcej gada.

– Organizacje ochrony środowiska natomiast informują, że w odległości kilometra od elektrowni stwierdzono bardzo wysoki stopień napromieniowania! Według ich danych wynosi ono do dwustu milisiwertów na godzinę! Dla porównania: 0,01 milisiwerta na godzinę uznawane jest za wartość graniczną stanowiącą podstawę dla długoterminowego ewakuowania ludności. Jeśli powyższe pomiary są wiarygodne i wymienione wielkości będą się nadal utrzymywać, oznacza to, że elektrownia uległa znacznie poważniejszemu uszkodzeniu, niż do tej pory utrzymywano.

– W ciągu kilku dni klasyfikacja podniesiona do czwartego stopnia – zauważył Manzano i ponownie przeniósł wzrok na ekran komputera. – Diabelnie to przypomina Czarnobyl i Fukushima.

– Czarnobyla nie przeżyłam, więc nie wiem – powiedziała Shannon. – Ale z Fukushima masz rację. Miejmy nadzieję, że sytuacja w Saint-Laurent dalej nie potoczy się tak samo. Popatrz! – Wskazała na mapę na monitorze swojego laptopa. – Wyobraź sobie, że musieliby tak

jak w Fukushima ustanowić w promieniu trzydziestu albo więcej kilometrów strefę zamkniętą. Przecież znalazłyby się w niej skarby zamków nad Loarą! A jeśli miałyby być tak jak w Czarnobylu, wtedy trzeba by wyłączyć co najmniej połowę środkowej Francji!

– ...nie pozostaje nadal bez wpływu na międzynarodowy rynek finansowy – mówiła prezenterka wiadomości. – Giełdy europejskie nie pracują. Kilka godzin przed zamknięciem sesji niektóre z firm na giełdach amerykańskich odnotowały niemal dwudziestoprocentowe straty. Na giełdzie nowojorskiej kilkakrotnie zawieszano sesję, kiedy Dow Jones w ciągu krótkiego czasu stracił ponad dziesięć procent. Rozważa się wcześniejsze zamknięcie sesji podobnie jak wprowadzenie przejściowego zakazu transakcji spekulacyjnych obliczonych na zniżkę notowań określonymi akcjami. W szczególności ucierpiały akcje przedsiębiorstw europejskich. Na przykład wartość papierów Volkswagena od początku awarii spadła zaledwie podczas dwóch sesji niemal o siedemdziesiąt procent, nie lepiej sytuacja wygląda w przypadku innych europejskich producentów samochodów. Europejskie banki i firmy ubezpieczeniowe straciły nawet do dziewięćdziesięciu procent kapitału giełdowego. Coraz częstsze są głosy pochodzące głównie ze strony firm, aby przejściowo wycofać papiery z handlu, ponieważ przy obecnych cenach firmy te stają się bezbronnymi ofiarami wrogich przejęć przez konkurentów.

– Ale kto w tej sytuacji chciałby je kupować? – zdziwiła się Shannon.

– Ja na pewno nie – odrzekł Manzano.

– I pewnie dlatego musisz wciąż jeszcze pracować – odpowiedziała Shannon zuchwale. – Jestem głodna.

– Ja też.

– Wobec tego zatańczmy na tym wulkanie i coś zjedzmy, dopóki jeszcze jest to możliwe.

Zevenhuizen

Niewiele brakowało, a François Bollard wjechałby w samochód zaparkowany na drodze dojazdowej do domu. W świetle reflektorów zauważył, że jest zastawiona autami aż pod sam budynek. Skręcił więc na łękę i przez nią podjechał bliżej. W niektórych pojazdach leżeli ludzie owinięci w ciepłe ubrania i koce. Co oni tu wszyscy robią? Także placyk przed samym domem był pełen samochodów. Między nimi stało kilka osób, które odwróciły się w jego stronę, gdy wysiadł i zatrzasnął drzwiczki. Nie dając po sobie poznać, że jest zdziwiony, zmierzał w kierunku wejścia.

– Już cię nie wpuszczą! – zawołał ktoś do niego.

– A może on jest z tych lepszych! – krzyknął inny drwiąco.

Kilku mężczyzn odprowadziło go aż do samych drzwi. Bollard nacisnął klamkę. W tym samym momencie czyjaś dłoń wciągnęła go do środka i natychmiast zatrzasnęła drzwi. Na zewnątrz rozległy się gniewne okrzyki. Przed nim stał Jacob Haarleven. Wydawał się roztrzęsiony. Dopiero teraz Bollard usłyszał głośny gwar dochodzący z głębi domu.

– Nie możemy przyjąć wszystkich – wyjaśnił Haarleven i ruszył przed siebie.

Kiedy mijali jadalnię, Bollard zrozumiał, co gospodarz ma na myśli. Stoły były zsunięte na bok, a na podłodze leżało co najmniej czterdzieści osób ciasno ściśniętych jedna obok drugiej. Bollard poczuł nieświeży zapach niemytych ciał, ktoś chrapał, ktoś inny jęczał przez sen.

– Mówiłem im, że nie mamy już miejsc i że wszystkich nie wyżywimy – kontynuował mężczyzna. – Ale co miałem zrobić? Tu są dzieci, chorzy i starsi. Przecież nie mogę pozwolić, żeby marzli na dworze! W dwóch innych pomieszczeniach jest tak samo.

– A tamci pod drzwiami?

Haarleven spojrzał na niego bezradnie.

– Mam nadzieję, że nie stracą rozsądku.

– A co zamierza pan zrobić jutro rano, kiedy ci wszyscy ludzie obudzą się głodni?

Gospodarz wzruszył ramionami.

– Zastanowię się nad tym jutro. Możemy tylko improwizować. Jeśli wkrótce nie będzie znowu prądu, stanimy przed gigantycznym problemem.

Bollard był pełen podziwu dla postawy tego mężczyzny. A może on jest jedynie naiwny?

– Pan przecież pracuje w Unii...

– W Europolu – sprostował Bollard.

– Nie mógłby pan czegoś zrobić dla tych ludzi?

– A co z władzami? Przecież są zorganizowane miejsca tymczasowego pobytu.

– Ci ludzie mówią, że za mało.

– Dziś już nic nie mogę poradzić – odpowiedział. – Jutro zobaczę, co da się zrobić.

To znaczy mógł jedynie zadzwonić do urzędu miasta i spytać, dlaczego nie ma wystarczająco dużo kwater dla ludzi. I ostatecznie na policję, aby ochronić dom Haarlevena i mieszkające w nim osoby. Tyle że potrafił już sobie teraz wyobrazić, co usłyszy w obu tych miejscach.

Bollard poszedł po schodach do pokoi zajmowanych przez jego rodzinę. Ledwie otworzył drzwi, żona wprost rzuciła się na niego.

– Masz jakieś wiadomości od naszych rodziców?

Akurat na takie powitanie się nie cieszył.

– Jeszcze nie. Ale na pewno wszystko jest w porządku.

– W porządku? – W jej głosie pobrzmiwał ton hysterii, który Bollardowi zdecydowanie się nie podobał. – Dwadzieścia kilometrów dalej dochodzi do katastrofy w elektrowni atomowej,

a ty mówisz, że na pewno wszystko jest w porządku?

– Gdzie dzieci?

– Już śpią. Nie zmieniaj tematu.

– To nie jest żadna katastrofa. Rząd mówi...

– A co innego rząd może powiedzieć? – krzyknęła bliska płaczu.

– Obudzisz dzieci.

Zaczęła ze szlochem walić pięściami w jego pierś.

– To ty ich tam wysłałeś!

W Bollardzie wezbrały gniew i bezsilność. Przycisnął ją tak mocno do siebie, że nie mogła ruszyć rękami. W pierwszej chwili próbowała się bronić, ale on nie zwalniał uścisku, dopóki nie poczuł, że się poddała i wciąż łkając, opadła bezwładnie na jego tors.

Dopiero cztery dni, pomyślał, a już puszczają nam nerwy. Zamknął oczy i pierwszy raz od dzieciństwa pomodlił się w duchu. Boże, jeśli istnieje, spraw, proszę, aby naszym rodzicom nic się nie stało!

Haga

– My to mamy dobrze – stwierdziła Shannon. Z wyraźnym upojeniem nawijała makaron na widelec. – Po dzisiejszym dniu zdałam sobie z tego sprawę.

– No zwłaszcza ty – odpowiedział Manzano. – Jak sobie tak jeździsz tym swoim porsche.

– Możesz mi wierzyć, że wolałabym bez porsche nadać relację, że znowu wszystko jest w porządku. No i co, doszliście do czegoś?

– Moja droga – powiedział Manzano z krzywym uśmiechem. – Rozumiem, że potrzebujesz dalszego ciągu, bo chcesz powtórzyć swój wczorajszy wyczyn, zwłaszcza że twój ulubiony kolega z Francji skupia teraz na sobie całą uwagę. Ale nawet nie próbuj. Moja praca, jak już ci mówiłem...

– ...jest objęta tajemnicą. Zrozumiałam.

– Lepiej opowiedz mi coś o sobie.

– Najważniejsze już wiesz. Dorastałam w Vermont, w dziurze zabitej dechami. Później zaczęłam studia w Nowym Jorku, a potem ruszyłam w świat i w końcu rzuciło mnie jak statek na mieliznę do Paryża.

– Całkiem niezłe miejsce jak na katastrofę.

– Nie najgorsze.

– To jest to najważniejsze. A mniej ważne? Zwykle bywa bardziej interesujące.

– Nie w moim przypadku.

– Słabiutka ta historia, pani żurnalistko.

– A twoja jest lepsza?

– Jeszcze nie sprawdziłaś?

Shannon uśmiechnęła się przebiegle.

– Jasne, że sprawdziłam. Ale wiele o tobie nie ma. Chyba wiesz niezbyt fascynujące życie.

– Zgadzam się z Chińczykami, którzy ciekawego życia życzą tylko swoim wrogom.

– I mogłeś sobie tak po prostu wyjechać z Mediolanu? Żadnej żony, dzieci?

– Nic z tych rzeczy.

– Dlaczego?

– Czy to ważne?

– Pytam z czystej ciekawości. Zboczenie zawodowe. Poza tym o czymś przecież musimy rozmawiać.

– Jakoś tak wyszło.

– Czyżbyś szukał Miss Right? Myślałem, że tak robią tylko kobiety.

– Na przykład ty?

Roześmiała się. Podobał mu się jej śmiech.

– A co z twoimi rodzicami? Mieszkają we Włoszech?

– Nie żyją.

– Przykro mi.

– Zginęli w wypadku samochodowym. Dwanaście lat temu.

Pamiętał tamten dzień, kiedy otrzymał wiadomość. Dziwne odrętwienie i brak emocji.

– Brakuje ci ich?

– Tak naprawdę... nie. – Zdał sobie sprawę, że już dawno przestał o nich myśleć. – Może mielibyśmy sobie jeszcze coś do powiedzenia. Człowiek do pewnych rzeczy dojrzewa późno w życiu. Ale potem i tak mimo wszystko o nich nie mówi. Sam już nie wiem. A twoi?

– Rozstali się, kiedy miałam dziewięć lat. Zostałam z mamą. Ojciec wyprowadził się do

Chicago, potem przeniósł się do Seattle. Rzadko go widywałam.

– A od kiedy jesteś w Europie?
– Rozmawiam przez Skype’a z mamą. Czasami z tatą. Za każdym razem mówią, że muszą mnie koniecznie odwiedzić. Jeszcze nigdy nie byli w Paryżu. Ale na razie żadne z nich nie przyjechało.

– Rodzeństwo?
– Przyrodnia siostra i przyrodni brat, dzieci z drugiego małżeństwa taty. Nie znam ich.
– Czyli jesteś jedynaczką.
– Tak jakby – odpowiedziała, po czym wykrzywiwszy twarz w ponurym grymasie, dodała teatralnym tonem: – Uparta. Samolubna. Bezwzględna.

– Moje przyjaciółki też tak zawsze o mnie mówią.
– Obecna również?
Po minie Manzana nie dało się wywnioskować odpowiedzi.

– A jak ona zareaguje, jak się dowie, że dzielisz ze mną łóżko? – spytała Shannon.
– Ode mnie się nie dowie.

Użył liczby pojedynczej, bo nie miał ochoty wyjaśniać swoich luźnych relacji z Julią i Carłą, a już tym bardziej się z nich tłumaczyć. Przebiegła mu jeszcze przez głowę Sonja Angström.

– A jak tam Mister Right? – spytał, aby odwrócić uwagę od siebie.
– Kiedyś się pojawi – odpowiedziała Shannon i wypła łyk wina. Spojrzała na niego zuchwale ponad brzegiem kieliszka.

– Szanowni państwo, jako największy nadawca publiczny w Holandii dotychczas korzystaliśmy z przywileju zapewniającego nam wystarczający dostęp do zasilania awaryjnego i dzięki temu mogliśmy informować państwa na bieżąco o rozwoju sytuacji. Obecnie paliwo potrzebne jest pilniej do innych celów, na przykład w miejscach tymczasowego pobytu, w których w całej Europie przebywa dziś łącznie sto pięćdziesiąt milionów ludzi, a także służbom ratowniczym i szpitalom. W obliczu tych okoliczności jesteśmy zmuszeni maksymalnie ograniczyć czas emisji naszych programów. Informacje na temat aktualnej sytuacji nadawane będą teraz w pięciominutowych serwisach o każdej pełnej godzinie od godziny szóstej rano do północy. Pozostałe programy zostają na razie zawieszane. Prosimy państwa o wyrozumiałość. Dobranoc.

Ybbs–Persenbeug

Oberstätter biegł przez puste korytarze. Obecnych było jedynie kilku techników, minimalna obsada dla ponownego uruchomienia elektrowni – gdyby im się to wreszcie jakoś udało.

Zadawał sobie pytanie, co będzie dalej. Już w tej chwili straty były miazdzące. Rolnicy w ich sąsiedztwie stracili znaczną część swojego pogłowia. Zwierzęta albo zamarzły, albo padły z głodu, mnóstwo krów zdechło w potwornych męczarniach z powodu przepełnionych wymion. Całymi dniami słyhać było na przestrzeni wielu kilometrów przeraźliwe ryczenie z bólu. Ojciec jednego ze znajomych zmarł na atak serca, ponieważ karetka nie przyjechała na czas.

Niektórzy po prostu zwiali, czego nawet nie brał im za złe. Kiedy wyciekła informacja, że niektóre gminy austriackie zdołały utrzymać podstawowe zaopatrzenie, coraz więcej ludzi próbowało się tam dostać.

On sam żył tutaj jeszcze jak w małym rajku. Podobnie jak jego koledzy on też od czasu do czasu przywoził tu swoich bliskich, żeby przynajmniej mogli się ogrzać i przez kilka godzin pooddychać normalnością.

Oberstätter wszedł do południowej generatorowni.

– Jesteście gotowi? – spytał przez krótkofalówkę.

W dyspozytorni pięciu inżynierów obserwowało teraz w napięciu armaturę. Od godziny przechodzili po kolei przez wszystkie czynności, aby przywrócić elektrownię do pracy. Do tej pory wskaźniki nie sygnalizowały niczego złego. Jeszcze jeden przycisk i generatory zaczną znowu wytwarzać prąd.

– Dalej! – usłyszał trzask z głośnika.

Z głębokim warkotem dwa czerwone olbrzymy widoczne przed nim zaskoczyły.

– Działają! – wrzasnął Oberstätter do mikrofonu.

– No, jednak się udało! – odkrzyknął mu kolega.

Oberstätter odczuł wreszcie ulgę. Przez cztery dni na różnych etapach aktywacji wciąż otrzymywali komunikaty o błędach, sprawdzali wszystkie elementy, wiele z nich nawet wymienili.

– A niech to szlag! – usłyszał Oberstätter z głośnika.

– Co jest?

– Mają za wysokie obroty!

– Nie, przecież bym słyszał – zawołał.

– Ale tak mówią wskaźniki.

– Niemożliwe.

– To zbyt ryzykowne. Wyłączamy.

– Zostaw, niech pracują! – zażądał Oberstätter. – W razie czego same się wyłączą.

– A jak nie?

– Tutaj wszystko brzmi normalnie.

– Na podstawie wskaźników powinniśmy wyłączyć – zaskrzeczało w głośniku. – Nie mamy wyjścia. Nie możemy narażać generatorów!

Ciche dudnienie w hali stawało się coraz słabsze i głębsze, aż wreszcie całkiem ucichło.

– Cholera jasna! – szepnął Oberstätter.

Wszedł na górę do swoich kolegów.

– To nie maszyny – stwierdził. – Generatory mruczały jak koty. Coś jest nie tak z oprogramowaniem.

– System SCADA? – spytał sceptycznie kolega informatyk. – Sprawdzony gruntownie.

– Nie zapominaj o Stuxnecie.

– To był wysoce skomplikowany program. Myślisz, że ktoś napisał go właśnie dla nas?

Przecież są bardziej interesujące cele.

– Sprawdź logi. I tak nie masz nic specjalnego do roboty.

Mężczyzna, pomrukując coś pod nosem, skupił się na swoim monitorze. Pozostali czterej koledzy posłusznie zgromadzili się wokół niego. Najpierw zajęli się logami urządzeń pomiarowych.

– Wartości pomiarowe mieszczą się wszystkie w zielonym polu, zgadza się?

– Tak.

Następnie porównali te wielkości z logami software'u sterującego w tym samym czasie.

– Widzisz, logi urządzeń pomiarowych różnią się od tych z software'u. Dwa różne systemy pokazują dla tego samego zdarzenia różne wyniki. To jest dokładnie to, z czym bez przerwy mieliśmy do czynienia w ciągu ostatnich dni. Dostajemy komunikat o błędzie, wymieniamy dany element, komunikat o błędzie wprowadzie znika, ale pojawia się inny. Przecież nie może się popsuć aż tyle części, ile wymieniliśmy przez te dni. Przysięgam wam, maszyny działają bez zarzutu. To tylko oprogramowanie cały czas nas nabiera.

– Jeśli jest tak, jak mówisz, to mamy problem.

– Jaki?

– Błąd, o którym mówisz, musi tkwić w kodzie źródłowym oprogramowania SCADA. A kod jest tajemnicą firmy, która programuje SCADA.

– Czyli to oni muszą go poszukać.

– Z powodu jakiegoś tam podejrzenia? Komunikaty o błędzie mogą wynikać z wielu innych rzeczy.

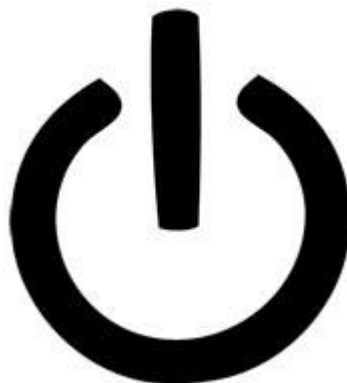
– Na przykład?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Nie wiem. No bo dlaczego ten błąd miałby pojawić się akurat teraz? I w jaki sposób miałby się tam znaleźć?

– Moim zdaniem ta teza nie jest wcale taka niedorzeczna – sprzeciwił się jeden z kolegów. – Możemy przynajmniej zgłosić to centrali w Wiedniu. Zobaczymy, co powiedzą.

Dzień 5. – Środa



Zevenhuizen

François Bollard miał za sobą kolejną niespokojną noc. Jego żona po wieczornym wybuchu wzięła coś na uspokojenie i szybko zasnęła. On wprawdzie też się położył, ale niedługo potem wstał i godzinami patrzył przez okno, które wychodziło na zastawiony samochodami dziedziniec. Kiedy w końcu wszyscy wyczekujący na nim ludzie powiadali do swoich pojazdów, Bollard wrócił do łóżka i trochę się zdrzemnął.

Jeszcze przed świtem obudziły go odgłosy, których nie potrafił zidentyfikować. Z trudem zwłókł się znowu z pościeli i po omacku podszedł do okna. Przed bramą zebrała się grupa około dwudziestu osób, domagając się, by ją wpuścić. Bollard ubrał się i szedł na dół. W korytarzu zastał wzburzoną zgraję, która próbowała zmusić Jacuba Haarlevena, aby otworzył drzwi. Gospodarz ze strzelbą trzymaną w poprzek piersi jeszcze panował nad tłumem.

Chociaż czas służby w policji, włącznie z akcjami tłumienia manifestacji i demonstracji, Bollard miał już dawno za sobą, to natychmiast zdał sobie sprawę, że właściciel domu nie ma szansy w tej konfrontacji. Z zewnątrz dochodziło głucho łomotanie w drzwi, w środku ludzie szemrali wrogo. Wiedział, że koniecznie musi zabrać Haarlevenowi broń, zanim ten w desperacji zrobi coś głupiego.

– Proszę się cofnąć – powiedział gospodarz do ciżby przed sobą i opuścił strzelbę. – Otworzę drzwi, ale musicie być i tak świadomi, że nie możecie tutaj zostać. Zajmą się wami odpowiednie organizacje i instytucje.

– Skoro do tej pory tego nie zrobiły, to już nie zrobią! – zawołał ktoś z tłumu.

– Tak jest!

– Im wszystko jedno, czy umrzemy z głodu, czy z pragnienia!

– Albo z zimna!

Bollard zastanawiał się, gdzie jeszcze mógłby umieścić swoją rodzinę. Wyglądało na to, że powinni wrócić do domu. Drewna do kominka mają dość. Tylko nic do jedzenia i nic do picia. On sam na razie dostawał jakiś prowiant w pracy. Ale jak długo jeszcze?

Przed zwartą grupę ostrożnie wysunęła się jakaś kobieta. Była w piątym albo szóstym miesiącu ciąży.

– Niech pan nam pomoże, prosimy pana – błagała. Odwróciła się do pozostałych: – Uspokójcie się. Wrzaskiem nic nie wskóramy.

– Przecież już pomogłem – odpowiedział Haarleven. – Ale nie mam miejsca dla wszystkich tych sprzed domu. I nie mam tyle jedzenia.

W pomieszczeniu obok rozległ się brzęk szkła, potem jakiś hałas i znowu brzęk. Kobieta drgnęła, Haarleven mocniej ścisnął broń, ona zaś zrobiła krok do przodu. Reszta cofnęła się nieco, a Bollard szybkim ruchem chwycił strzelbę i delikatnie zmusił gospodarza, aby ją opuścił.

– Ktoś wybił szybę! – zawołał jakiś kobiecy głos z jadalni. – Przestańcie!

Bollard zauważył na schodach swoją żonę z zatroskaną twarzą. Gestem ręki dał jej znak, aby wróciła na górę. Podjął decyzję i poszedł za nią.

– Pakujemy się – oświadczył. – Szybko.

Nie czekała na żadne wyjaśnienia.

Dwadzieścia minut później znieśli cały swój bagaż na dół po schodach, żeby od razu się stąd wynieść.

Haarleven, siedząc teraz na krześle przy drzwiach z bronią między nogami, powitał ich zaskoczoną miną.

– Wyjeżdżamy – wyjaśnił Bollard. – Zapłaciłem za tydzień z góry, więc nie jesteśmy nic winni. Wypuści nas pan?

Gospodarz ostrożnie uchylił drzwi, wypchnął Bollarda z rodziną na dwór i natychmiast zatrzasnął je z powrotem.

Odbyło się to tak błyskawicznie, że oblegający nawet nie zdążyli zareagować. Bollardowie zaciągnęli swoje rzeczy do samochodów i wepchnęli je do bagażników. Kilka innych aut musiało odjechać na bok, aby przepuścić zastawiony całkowicie pojazd Marie.

– Dzieci pojedą ze mną – powiedział Bollard.

Gdy kilka minut później wyjechał na drogę, na tablicy rozdzielczej zapaliło się światełko rezerwy paliwa. To niemożliwe, żeby zużył tyle benzyny. Kiedy dotarł tu wczoraj wieczorem, miał jeszcze połowę baku.

Tuż przed granicą miasta jadąca za nim żona mrugnęła kilka razy światłami, dając mu w ten sposób jakiś sygnał. Bollard zwolnił, ale Marie zatrzymała się już na poboczu i zatrąbiła kilka razy. Wrzucił wsteczny bieg.

– Zostańcie! – powiedział do dzieci i wysiadł.

– Skończyła mi się benzyna – rzekła Marie. – A wiem na pewno, że bak był prawie pełen, kiedy przyjechałam tam przedwczoraj. Od tamtej pory nigdzie się nie ruszałam.

– Czyli się nie myliłem – odparł. – Ja też już jadę na rezerwie.

Sprawdzili korek wlewu paliwa. Był wyłamany.

Przełożyli bagaże, zepchnęli jej samochód jeszcze bardziej na skraj drogi i ruszyli wszyscy razem jego autem.

– Mam nadzieję, że dojedziemy do domu – rzucił Georges z tylnego siedzenia.

– Kiedy to się skończy? – szepnęła Marie ze łzami w oczach.

Haga

Już w domu François pomógł żonie przy wyładowaniu walizek z wozu, a potem pojechał do Europolu.

A więc wróciła. Ale nie dlatego, że wszystko minęło. Najpierw rozpałała ogień w kominku w salonie, żeby chociaż w jednym pokoju było w miarę ciepło. Kiedy zrobiła porządek z bagażami, sprawdziła lodówkę. Mrożonki i szybko psujące się produkty zużyła już w pierwsze dni awarii. Ponieważ mieli mieszkać na wsi, nie zadbali o zrobienie zapasów. Teraz większość rzeczy pozostałych do jedzenia nie nadawała się już do spożycia. W spiżarni znalazła kilka różnych konserw, które wystarczą im może na jeden dzień albo dwa, co prawda w przedziwnych zestawieniach smakowych, ale to chyba nie najlepsza pora na wysokie wymagania. Musi szybko rozeznac się w sytuacji. Może sąsiedzi wiedzą, gdzie można zdobyć coś do jedzenia. François wspominał coś o takich miejscach. Może on też się orientuje. Potem spróbowała włączyć telewizor i telefon, mimo że nie miała najmniejszych wątpliwości, iż nie wydadzą z siebie dźwięku. Ciekawe, jak czują się rodzice?

Komisarz UE: sytuacja w Saint-Laurent poważna

Komisarz do spraw środowiska Roman Padarecu nie krył zaniepokojenia awarią we francuskiej elektrowni jądrowej. Jednocześnie wyraził przekonanie, że sytuacja jest pod kontrolą. Dotychczas doszło do uwolnienia tylko niewielkich ilości substancji promieniotwórczych niegroźnych dla ludności Francji i Europy. „Musimy wspólnie pokonać problemy, z powodu których cierpią setki milionów ludzi. W tej sytuacji niezbędne jest zachowanie spokoju i solidarność”.

„Sytuacja jest pod kontrolą!”, powtórzył w myślach Bollard, wpatrując się w monitor i nie wierząc ani sekundę w te słowa. Podobnie jak w zapewnienie o niewielkim i niegroźnym skażeniu. To, że w centrali Europolu działały telefony, niewiele mu pomogło. Po raz nie wiadomo który tego ranka wybrał numer swoich rodziców, a kiedy nikt się nie zgłosił, próbował zadzwonić się do francuskiego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, Urzędu Nadzoru Nuklearnego oraz do policji w Nanteuil, Blois i Orleanie. Cztery z linii były martwe, w ministerstwie nikt nie odebrał. Sięganie po telefon stało się już dla Bollarda pozbawionym jakiegokolwiek sensu rytuałem. W głębi ducha bowiem wiedział, że i tak nikt nie będzie w stanie udzielić mu informacji o losie jego rodziców i Doreuilów.

USA: Reaktory i sieci energetyczne bezpieczne

Organizacje ekologiczne i członkowie Kongresu USA po masowej awarii prądu w Europie domagają się rewizji polityki energetycznej. Członkowie rządu określili amerykańskie reaktory jako bezpieczne. Wydarzenia w Europie unaoczniają znaczenie szybkiej rozbudowy sieci energetycznych w sieci inteligentne. Zarzut, jakoby awaria w Europie została wywołana przez ataki na inteligentne elementy informatyczne sieci, odparli jako „wprowadzanie w błąd”.

Ogromne spadki na giełdach azjatyckich

Giełdy azjatyckie już trzeci dzień z rzędu rozpoczęły sesję z dwucyfrowymi spadkami. Japoński Topix stracił do południa 9 procent, Hang Seng – 8 procent, Sensex – 10,7.

Sprzeczne informacje na temat uszkodzenia reaktora

„W Saint-Laurent mogło dojść do uszkodzenia powłoki reaktora” – poinformował ekspert francuskiego Urzędu Nadzoru Nuklearnego. Jeśli powłoka została uszkodzona wokół prętów

paliwowych, może nastąpić uwolnienie do otoczenia dużej ilości substancji radioaktywnych. Operator z kolei powołuje się na dokonane pomiary, które potwierdzają, że w ciągu minionych godzin nie doszło do istotnego podniesienia poziomu zagrożenia. Organizacje ekologiczne zdecydowanie temu zaprzeczają, utrzymując, że w oddalonym o piętnaście kilometrów Chambord, gdzie znajduje się największy z zamków w dolinie Loary, stwierdzono napromieniowanie o wartości jednego mikrosiwerta na godzinę. Oznacza to dziesięciokrotne przekroczenie wielkości uznawanej za bezpieczną.

Z ostatniej chwili: ewakuacja ludności we Francji

Ministerstwo Spraw Wewnętrznych Francji potwierdza, że w departamencie Loire-et-Cher przystąpiono do ewakuacji ludności w promieniu pięciu kilometrów od elektrowni jądrowej Saint-Laurent. Dotyczy to wielu wsi i miasteczek na obu brzegach Loary. Do ludności zamieszkującej obszar w promieniu trzydziestu kilometrów od elektrowni wystosowano apel o nieopuszczanie w dalszym ciągu domów. Na tym terenie znajdują się między innymi takie miasta jak Blois ze słynnym zamkiem i Orlean. Nie wyklucza się dalszej ewakuacji.

– O Boże – jęknął Bollard. Nanteuil leży między Blois a Saint-Laurent. Znowu sięgnął po telefon.

Ograniczenie podejmowanej gotówki do 100 euro dziennie

Po wczorajszym szturmie na banki w większości krajów Europejski Bank Centralny wzywa do zachowania spokoju. „Rezerwy gotówkowe są zagwarantowane” – zapewnił prezes Jacques Tampère. Aż do odwołania każdy klient banku może podjąć 100 euro dziennie. Tampère zaprzecza, jakoby niektóre banki stały u progu bankructwa. „Musimy teraz wszyscy zachować rozsądek” – apelował. Wiele oddziałów bankowych, zwłaszcza na prowincji, pozostaje nadal zamkniętych, ponieważ nie można zaopatrzyć ich zarówno w gotówkę, jak i w paliwo do agregatów prądotwórczych. Tampère potwierdził, że EBC wyasygnował kolejne sto miliardów euro na wsparcie rynków finansowych.

Radioaktywna chmura przesuwana się w kierunku Paryża?

Od wczesnego rana niepokój wywołują doniesienia, jakoby chmura radioaktywnego pyłu z Saint-Laurent przesuwała się pod wpływem wiatru w kierunku Paryża. Jak informuje operator elektrowni, grupa energetyczna EDF, w dniu wczorajszym z elektrowni została wypuszczona radioaktywna para w celu obniżenia ciśnienia w reaktorze. Według EDF była to ilość niezagrażająca zdrowiu. Francuskie służby meteorologiczne potwierdzają, że nawet przy obecnym kierunku wiatru – z południa – Paryżowi nie grozi żadne niebezpieczeństwo. Saint-Laurent leży sto sześćdziesiąt kilometrów na południe od stolicy. W przypadku gdyby chmura rzeczywiście dotarła do Paryża, zaleca się nie opuszczać zamkniętych pomieszczeń.

Ktoś zapukał do drzwi Bollarda.

– Proszę.

Manzano wszedł do środka.

– Ma pan chwilę?

Bollard odłożył słuchawkę i poprosił gościa do małego stolika.

– Strasznie pan bladny – zauważył Włoch.

– Mało spałem w ostatnie dni.

– Nie tylko pan – westchnął Manzano. Postawił przed Bollardem swojego laptopa. –

Przypomina pan sobie dane dostawców software'u dla elektrowni, o które pana prosiłem?

– Tak.

– Chyba odkryłem, skąd mogły się wziąć te zagadkowe problemy techniczne w elektrowniach. Ich oprogramowanie jest z jednej strony bardzo specyficzne, a z drugiej – wyjątkowo złożone i skomplikowane do tego stopnia, że zmasowany atak na tyle elektrowni byłby właściwie zbyt pracochłonny i wymagałby zbyt dużego zachodu. Od czego zatem taki atakujący mógłby zacząć? Zadałem sobie po prostu pytanie, od czego ja bym zaczął, gdybym miał wystarczająco dużo czasu i pieniędzy. Przede wszystkim potrzebna by mi była bramka, jakieś wejście, coś, co mimo wszelkich różnic w większości systemów sterujących elektrowniami jest takie samo. Idąc tym tokiem myślenia, nietrudno dojść do wniosku, że czymś takim są systemy SCADA, czyli oprogramowanie wykorzystywane przez elektrownie, ponieważ na całym świecie pochodzi od zaledwie kilku dostawców. Ci producenci opracowują oczywiście dla każdej elektrowni specyficzne rozwiązania, ale niektóre elementy software’u są dla wszystkich jednakowe. Jeśli więc uda mi się pogrzebać przy niektórych z nich i coś zmienić, to moja wygrana.

– Ale przecież systemy SCADA dzięki ich określonej strukturze są wyjątkowo bezpieczne – wtrącił Bollard. – Poza tym i tak trzeba by było przeniknąć do aparatury każdej elektrowni i każdorazowo pokonać zabezpieczenia. To też wymaga dużo energii i czasu. – Nagle ściągnął brwi. – Chyba że...

– ...robi to jakiś wtajemniczony pracownik producenta systemów SCADA – dokończył Manzano myśl Bollarda. – Mam powody, by przypuszczać, że właśnie tak mogłoby być w tym przypadku. Mówię „mogłoby być”, ale to chyba przesadna ostrożność. Bo w ostatnich latach SCADA stała się coraz mniej bezpieczna.

– W jakim sensie mniej bezpieczna? – spytał Bollard.

– Relatywnie bezpieczne i pewne były systemy SCADA tylko pierwszej generacji, w których producenci stosowali każdorazowo własną architekturę i własny protokół software’owy. Współczesne systemy posługują się w coraz większym stopniu rozwiązaniami standardowymi, które może pan znaleźć w każdym komputerze i w internecie. To ułatwia, rzecz jasna, obsługę, ale drastycznie obniża poziom bezpieczeństwa – wyjaśniał Manzano. – Muszę jednak zastrzec, że moje podejrzenie opiera się wyłącznie na statystyce.

Otworzył na ekranie laptopa mapę Europy pokrytą wieloma niebieskimi punktami.

– To są według aktualnego stanu dotknięte awarią elektrownie. Zrobiłem sobie proste porównanie z odpowiednimi dostawcami software’u. Wynik jest zdumiewający.

Nacisnął jeden z klawiszy. Większość niebieskich punktów na mapie zmieniła kolor na czerwony.

– Wszystkie te elektrownie zostały wyposażone przez jednego i tego samego producenta systemu SCADA. – Zrobił pauzę, aby pozwolić wybrzmieć swoim słowom. – Dla pewności wykonałem oczywiście jeszcze jedno zestawienie. Pozostała jedna czwarta elektrowni korzysta z wyposażenia wyprodukowanego przez innych dużych wytwórców SCADA. Reasumując: przytłaczająca większość nadal nieczynnych elektrowni pracuje na systemach tego samego producenta, firmy Talafer AG.

Centrum dowodzenia

Włoch powoli stawał się coraz bardziej uciążliwy.

Jasne, że się spodziewali, iż wcześniej czy później tysiące tropicieli z całej Europy wpadną na ten ślad. Ale przypuszczali, że nastąpi to znacznie później. Najpierw liczniki we Włoszech i w Szwecji, a teraz znowu to. Najwyższa pora coś zrobić z tym gościem. Już oni sobie z nim pożartują. Mają dostęp do jego komputera. Wstukał na klawiaturze kilka komend. Na ekranie pojawiła się lista nazwisk, wśród nich był też Manzano. Obok informacja: „offline”. Wystarczy, że Włoch uruchomi swój laptop albo będzie online i spotka go mała niespodzianka. Niemal zrobiło mu się go żal. Przecież Manzano był im tak bliski. Przecież stał z nimi ramię w ramię naprzeciw glin, poczuł na własnej skórze ich cholerne pałki. Podobnie jak oni odważył się wejść w zakazane przestrzenie, przedarł się przez nieskończony bezkres sieci, przeniknął granice i je usunął. Aż w końcu – jak wielu pozostałych – skręcił w niewłaściwą stronę. Skoro nie sprowadzili go z powrotem na właściwą drogę, to teraz muszą usunąć go ze swojej.

Haga

– Jakie jest pana zdanie?

Bollard ze zmarszczonym czołem patrzył w kamerkę swojego laptopa. W małym okienku w górnym prawym rogu ekranu widział twarz szefa Europolu, który znowu był gdzieś w drodze. Tym razem w Brukseli, aby naradzić się z różnymi wysokimi urzędnikami innych instytucji unijnych.

– To jest ślad, który powinniśmy sprawdzić – powiedział dyrektor. – Musimy brać pod uwagę każdą ewentualność. Mamy mało czasu.

Bollard na to liczył. Współpraca Manzana z amerykańską dziennikarką potwierdziła najgorsze obawy Bollarda. Jeśli nawet Włoch, patrząc z czysto formalnego punktu widzenia, nie naruszył klauzuli poufności, on i tak coraz mniej mu ufał. Chciałby jak najszybciej pozbyć się tego pseudorewolucjonisty.

– A co pan na to, żeby wysłać Manzana jako wsparcie do Talaferu?

Niech teraz Niemcy się z nim męczą.

– Skoro pan go nie potrzebuje...

– Potrzebny jest nam każdy, ale jeśli w jego tezie tkwi choćby ziarno prawdy, to w Talaferze na pewno ucieszą się z pomocy.

– To niech im pan to zaproponuje.

Nareszcie, pomyślał Bollard. *Ciao, Piero Manzano!*

Ratingen

– Czego oni chcą? – spytał Wickley.

– Dostać się do oprogramowania – powtórzył członek zarządu do spraw technicznych.

Zdobył gdzieś telefon satelitarny, dzięki któremu miał stały kontakt z oddziałem firmy w Bangalore. – Dopiero udało się nam znowu nawiązać kontakt. Łączymy się trzy, cztery razy w ciągu dnia.

– A teraz były jakieś pytania?

Nad siedzibą firmy Talafer AG rozciągało się szare niebo. Zima tutaj była wyjątkowo ponura, zwłaszcza gdy przy dziesięciu stopniach wewnątrz biura nie dało się wytrzymać bez szalików i zimowych kurtek. Tak ubrani przedstawiali sobą zabawny widok. Wickley rozmarzył się, by znaleźć się w Bangalore.

– Trzech operatorów zgłosiło problemy w kilku elektrowniach. Nie potrafią wyjaśnić ich przyczyny. Oczekują wsparcia od nas.

– Wobec tego musimy im je zapewnić. A z czym konkretnie walczą?

– Na razie nie wiemy dokładnie. Problem polega na tym, że nasi serwisanci zazwyczaj logują się online i sprawdzają systemy w ten sposób. Dopóki internet nie działa jak należy, nie jest to możliwe.

– Wobec tego musimy posłać kogoś na miejsce.

– Powinniśmy się cieszyć, że przynajmniej tutaj mamy jeszcze jakichś kompetentnych ludzi. Jeśli się ich teraz pozbędziemy... poza tym do kogo najpierw ich wydelegować? I jak?

Potarł sobie dłonie, uniósł je do ust i chuchnął.

– Znajdźcie jakieś wyjście!

– No właśnie próbujemy. Ale jest dokładnie tak jak z tym dieslem. Wciąż jest coś pilniejszego i ważniejszego.

W uszach Wickleya powstał dziwny szum, który przerodził się w dudnienie. Miał już za sobą dwa przejściowe zaniki słuchu. Kolejny – akurat teraz – potrzebny był mu jak dziura w moście. Szmer stawał się coraz głośniejszy, dołączył do niego jakiś terkot.

– Co to jest? – spytał członek zarządu.

– Pan też to słyszy? – Wickley starał się ukryć uczucie ulgi. Nie pora teraz na oznaki słabości.

Hałas wypełniał mu głowę. Jakiś cień przesłonił okna sali zarządu. Wickley dostrzegł najpierw granatowy kadłub, a potem obracające się szaleńczo śmigło helikoptera, który powoli zniżał się nad parkingiem przed budynkiem.

– Co, u diabła...

Wszyscy rzucili się do okien i obserwowali, jak maszyna siada między samochodami. Po chwili wyskoczyły z niej cztery postacie obciążone ciężkimi torbami, które rzuciły na ziemię. Dwie z nich pobiegly skulone w stronę budynku, dwie pozostały na miejscu. Na boku śmigłowca Wickley odczytał napis.

– Policja?

– Czego oni u nas szukają? – wykrzyknął z niedowierzaniem członek zarządu do spraw technicznych.

Ze śmigłowca wysunięto skrzynie, które dwie osoby pozostałe na zewnątrz postawiły obok toreb. Potem ze środka wyskoczyły jeszcze kolejne dwie postacie. Jedna dała znak ręką, na co helikopter oderwał się od ziemi i, zataczając długi łuk, odleciał. Cała akcja nie trwała więcej niż trzy minuty.

Ktoś zapukał do drzwi.

Siedzieli w niewielkiej salce konferencyjnej, do której wprowadził ich Wickley. Prezes zarządu zmierzył wzrokiem Hartlandta, następnie odchrząknął i powiedział:

– Jakim prawem chcecie prowadzić tu dochodzenie?

Hartlandt podczas pracy w Federalnym Urzędzie Kryminalnym niejednokrotnie miał do czynienia z szefami międzynarodowych wielkich korporacji i nauczył się z nimi postępować. Nie podobała mu się arogancja Wickleya, ale był do czegoś takiego przyzwyczajony i dlatego nie stracił panowania nad sobą.

– Mówiąc wprost: jest to śledztwo w sprawie spisku terrorystycznego. Nie zakładam, że pańska firma jest w to uwikłana – zaczął delikatnie – ale niewykluczone, że ktoś z niej. Jeśli rzeczywiście miałoby tak być, z pewnością wołałby pan, żeby zostało to jak najszybciej wyjaśnione, nieprawdaż?

Wickley zastanowił się nad wypowiedzią Hartlandta.

– Chodzi o nasze systemy SCADA? – spytał. – To niemożliwe! – dodał stanowczo, nie ukrywając wzburzenia.

Hartlandt spodziewał się takiej reakcji. Wyjął analizy przysłane przez Europol. Rozłożył kartkę przed prezesem zarządu i wyjaśnił mu po kolei.

– To musi być pomyłka – upierał się Wickley.

– Pomyłka albo nie pomyłka – odparł Hartlandt. – Musimy zbadać sprawę. Proszę przygotować nam listę wszystkich osób, które pracowały przy tych projektach. Poza tym jeszcze dzisiaj chcielibyśmy porozmawiać z kadrą kierowniczą za nie odpowiadającą. Moi współpracownicy są specjalistami IT Urzędu Kryminalnego. Pomogą pańskim ludziom znaleźć ewentualne błędy.

– Obawiam się, że to nie będzie takie proste – rzekł w końcu Wickley.

Hartlandt zauważył, że to wyznanie nie przyszło mu bynajmniej łatwo. Nic nie powiedział, tylko czekał na dalszy ciąg.

– Nasze zasilanie awaryjne nie było przygotowane na taką sytuację jak obecna. Wielu naszych pracowników nie ma jak zjawić się w pracy z powodu braku benzyny i niedziałania publicznych środków transportu. Bez prądu nie możemy też sięgnąć do komputerów, w których zgromadzone są wszystkie dane.

Hartlandt darował sobie cisnącą się na usta uwagę na temat niedostatecznego zaopatrzenia w prąd wielkiego dostawcy przemysłu energetycznego i tylko lekko skinął głową.

– Proszę zostawić to nam. Postaramy się zapewnić niezbędne źródło prądu. Potrzebujemy na to czas do jutra. Pan niech zadba o to, aby pańscy pracownicy znaleźli się jutro na miejscu. Poza tym potrzebne będą tu, w budynku, trzy pomieszczenia dla mnie i dla moich ludzi oraz na centrum sterowania.

Berlin

Michelsen wyszła spod prysznica i wytarła się ręcznikiem. Szybko doprowadziła włosy do porządku, zrobiła lekki makijaż i na koniec się ubrała. Kiedy wychodziła z niewielkiej łazienki, w kolejce czekały już dwie osoby. Cztery nieduże kabiny w piwnicy ministerstwa cieszyły się ogromnym powodzeniem. To jedno z nielicznych miejsc w Berlinie, gdzie jeszcze jako tako dało się zadbać o podstawową higienę osobistą.

Michelsen wjechała windą na trzecie piętro.

W sztabie kryzysowym było głośno jak w ulu. Jeden z kolegów podniósł do góry słuchawkę telefonu i zawołał jej nazwisko.

Po drugiej stronie był Jürgen Hartlandt. Poznała go podczas rozmowy wideo, kiedy sztab kryzysowy postanowił wysłać specjalny zespół dochodzeniowy do Talaferu.

– Talafer nie ma prądu – oznajmił funkcjonariusz Urzędu Kryminalnego po krótkim powitaniu. – Potrzebujemy paru generatorów.

Michelsen przyknęła na chwilę oczy i westchnęła.

– Zajmę się tym. Oddzwonię do pana.

Doskonale wiedziała, że czas nagli. Ale w tych dniach wszystko wymagało szybkiego działania. Poszła do przedstawiciela Federalnej Agencji Pomocy Technicznej i przedstawiła mu problem.

– Wszyscy potrzebują generatorów – parsknął. – I jeszcze do nich paliwo. W ciągu dwóch ostatnich dni rozdaliśmy właściwie wszystkie.

– Rozumiem, rozumiem... Ale to naprawdę ważna sprawa.

– Wiem. – Mężczyzna wzruszył ramionami.

Otworzył na swoim komputerze mapę Niemiec. Była usiana mnóstwem punktów w różnych kolorach. Szczególnie dużo znajdowało się ich w miastach i wokół nich. Po kilku ruchach na klawiaturze pozostały jedynie te w granatowym kolorze.

– Nasze programy geoinformatyczne są nieocenione! Co prawda odpowiednio też kosztowały, ale przynajmniej teraz jesteśmy dobrze zorganizowani. Na tej mapie naniesione są wszystkie nasze systemy awaryjnego zasilania. W kolumnie po prawej widać, ile jeszcze jest ich do dyspozycji.

– Ta kolumna jest pusta – zauważyła Michelsen.

– Co za spostrzegawczość! Tak więc problem polega na tym, że generatory, których chcecie użyć w Talaferze, musimy zabrać komu innemu. Z pewnością nikt się nie ucieszy.

– Bardzo panu współczuję – odpowiedziała Michelsen. – Ale to śledztwo jest priorytetowe. Pan wie lepiej, kto, gdzie i jakie ma zasilanie. Proszę zdecydować, kto w Düsseldorfie albo w jego okolicy najszybciej mógłby zrezygnować z awaryjnego zasilania. Odpowiedzialność biorę na siebie.

Mężczyzna przewinął w dół inną listę. Następnie powiedział: – Mam tu takiego lokalnego polityka z Düsseldorfu, który dostał generatory do swojej restauracji i studia fitness na podstawie argumentu, że odpowiada za zaopatrzenie mieszkańców w żywność i za ich zdrowie.

– Byliśmy zmuszeni do paru wyjątków.

– Zmuszeni... – mężczyzna rzucił drwiąco.

– Ale przecież teraz można by się z któregoś wycofać. Co pan na to?

– Z wielką przyjemnością.

Düsseldorf

Ta sceneria przypominała mu czasy najwcześniejszego dzieciństwa. Hartlandt już dawno nie widział w niemieckich miastach tak pustych ulic. Prawie nikt nie miał już paliwa w bakach, a tankować mogli jedynie posiadacze odpowiednich talonów. Te zaś rozdawano tylko tym, którzy zajmowali się transportem najbardziej niezbędnych towarów dla ludności. Przechodniów także niemal nie było. Natomiast na chodnikach piętrzyły się góry worków pełnych śmieci. W mieście panował posepny nastrój.

Obserwował konwój we wstecznym lusterku. Tuż za nim jechała ciężarówka z dźwigiem, a za nią minibus düsseldorfskiej policji z sześcioma funkcjonariuszami w środku. Musieli być przygotowani na to, że w tych dniach nikt nie pozbędzie się dobrowolnie swojego źródła prądu, nawet jeśli nie jest ono jego własnością.

Ruchu nie regulowały ani jedno światła. Po pojedynczych próbach w pierwsze dni awarii teraz nie robili już tego także policjanci. Od czasu do czasu mignął mu gdzieś wóz patrolowy. Jechał wzdłuż Fürstenwall. Prawie nie patrzył na numery domów. Wiedział, że tak czy inaczej rozpozna obiekt.

Już z daleka dostrzegł maszyny. Ukryte w swoich obudowach wysokich na dwa metry, a szerszych na wiele więcej zajmowały niemal cały chodnik. Na wąskim wolnym skrawku leżały zwoje grubych kabli, które znikwały w drzwiach wejściowych. Po prawej ogromny szyld na murze polecał pizzerię San Gimignano, a po lewej wyłączona reklama świetlna zdradzała studio fitness.

Zaparkował w taki sposób, aby ciężarówka mogła zatrzymać się za nim dokładnie na wysokości kontenerów. Czekał, aż wszyscy wysiądą – jego koleżanka i trzech pracowników Agencji Pomocy Technicznej z ciężarówki oraz mundurowi z busa. Śmierdziało ropą i śmieciami.

Wszyscy razem weszli do pizzerii. Przywitała ich kelnerka, która od razu chciała wskazać im stolik. Hartlandt poprosił, by zawołała właściciela. Kobieta zniknęła w drzwiach za ladą.

Hartlandt rozejrzał się po lokalu. Nie brakowało w nim gości. Nic dziwnego. W środku było ciepło, można było zjeść i się napić. Klienci ukradkiem mierzyli wzrokiem ich liczną trupeę. Sięgnął po menu na zafoliowanych kartkach, zaczął je studiować. Zwyczajny Włoch z sąsiedztwa oferujący to co zawsze: pizzę, pastę, tiramisu. Na karteczkach naklejonych na dawnych cenach widniały wypisane ręcznie nowe ceny. W tej pizzerii chyba musiano dodawać do potraw złota.

– Dzień dobry państwu. Czym mogę służyć?

Za ladą ukazał się mężczyzna o szerokich ramionach i byczym karku ubrany w niebieską koszulę z białym kołnierzykiem. Miał też marynarkę i krawat. Przewyższał wcale niemałego Hartlandta o całą głowę.

– Alfons Hehnel? – spytał Hartlandt.

– Tak.

Hartlandt pokazał mu swoją legitymację.

– Zlecono nam zabranie od pana agregatów prądotwórczych, dlatego powinien pan niezwłocznie zamknąć lokal.

Właściciel ściągnął brwi, ale już po chwili jego twarz się znowu rozjaśniła.

– Nie – powiedział. – To musi być jakaś pomyłka. Przecież dostałem je specjalnie, żeby ludzie z okolicy mogli się tu żywić.

– Możliwe. Ale teraz są pilnie potrzebne gdzie indziej. Zaraz je zdemontujemy. – Dał znak pracownikom Agencji Pomocy Technicznej, którzy zaraz wyszli z sali.

Hehnel pobiegł za nimi.

– Nie! Nie wolno wam!

Hartlandt pospieszył ich śladem, policjanci także. Mężczyźni z agencji, idąc wzdłuż kabli, najpierw znaleźli się w sieni, a potem trafili do magazynku za kuchnią. Kiedy zamierzali już odłączyć przewody, Hehnel zaprotestował.

– Dosyć tego! Przecież nie możecie tak po prostu tu wparować i wyłączyć ludziom prąd!

– Owszem, możemy. Proszę pozwolić nam pracować.

– Nie ma mowy! – Zatarasował sobą gniazdko.

Z kuchni wyjrzał kucharz. Był jeszcze bardziej muskularny niż jego szef.

– Zawołaj resztę – polecił mu właściciel lokalu. – Oni chcą pozbawić nas prądu.

– Panie Hehnel – odezwał się z opanowaniem Hartlandt. – Jeśli będzie pan przeszkadzał, narazi się pan na karę. Jeszcze raz proszę, żeby pozwolił nam pan pracować.

Właściciel pizzerii skrzyżował ręce na piersi i wysunął podbródek do przodu, przypominając Hartlandtowi Mussoliniego, po czym oświadczył:

– Chyba nie wiecie, kim ja jestem.

– Członek rady powiatu z ramienia CDU. Ale to panu nic nie pomoże. Ja dostałem polecenie ze sztabu kryzysowego. I nawet jeśli obecny kanclerz należy do SPD, nie ma to, proszę mi wierzyć, nic wspólnego z polityką. Proszę odsunąć się na bok.

Z kuchni i z korytarza wtargnął do małego pomieszczenia co najmniej tuzin mięśniaków, większość była w strojach sportowych, niektórzy spoceni. Kucharz sprowadził ich pewnie z sąsiedniej siłowni.

– Co to ma znaczyć? – spytał Hartlandt.

Odwrócił się do nowo przybyłych i wyjaśnił im, z jakim zadaniem przybyła tu jego ekipa. Słuchali go niewzruszeni, czekając jednocześnie na polecenia Hehnela. Kiedy Hartlandt skończył, dał znak dwóm policjantom. Ci stanęli obok właściciela lokalu i chcieli odsunąć go na bok, ale on się bronił. Gdy funkcjonariusze przeszli do bardziej energicznego działania, zaczęła się szamotanina. Hehnel szarpał się i przeklinał, ale nie ruszał się z miejsca. Oddział mięśniaków stał zwarty, czekając tylko na odpowiedni sygnał.

Ludzie Hartlandta ustępowali tamtym pod względem liczby. Zastanawiał się, co te osiłki sobie wyobrażają. Naprawdę wierzyli, że zdołają ich zastraszyć?

Podszedł do Hehnela.

– Dostyć tego! – powiedział ostro. – Proszę nie przeszkadzać nam w wykonywaniu naszych obowiązków.

Hehnel nadal nawet nie drgnął, tylko spojrzał na niego z góry z buńczuczną miną. Hartlandt, niewiele myśląc, przewrócił go odpowiednim chwytem na ziemię – nim tamten zdążył zareagować, już leżał brzuchem na posadzce z ręką wykręconą do tyłu na plecy, przyciśnięty kolanem. Wianuszek sprowadzonych pomocników zacieśnił się wokół funkcjonariuszy, ale już w następnej chwili wszyscy cofnęli się z powrotem, ponieważ niektórzy z policjantów otworzyli swoje kabury.

– Drodzy panowie, radzę wam wrócić do domu, zanim was też aresztujemy – rozkazał Hartlandt, podczas gdy jeden z jego ludzi zapinał kajdanki Hehnelowi.

Pozostali mundurowi wypchnęli sportowców za drzwi, cały czas trzymając ręce na biodrach.

Hartlandt pomógł Hehnelowi stanąć na nogi i wyprowadził go do lokalu. Zaskoczonym gościom obwieścił:

– Pizzeria jest zamknięta. Proszę państwa o opuszczenie lokalu.

Kiedy ludzie zaczęli wychodzić, Hartlandt zatrzymał jakiegoś starszego pana.

– Często pan tu bywa?

Mężczyzna spojrzał na niego ostrożnie, po czym odpowiedział:

– Tak. A dlaczego?

Hartlandt wskazał na kartę.

– Te ceny są już od dawna takie wygórowane?

– Od kiedy nie ma prądu, rzecz jasna – odpowiedział z oburzeniem starszek.

Hartlandt nie potrafił rozstrzygnąć, czy źródłem tego oburzenia była wysokość cen, czy jego pytanie.

– Dziękuję – odpowiedział i pozwolił mężczyźnie wyjść. Następnie zwrócił się do

Hehnela: – Na dodatek jeszcze krwiopijca!

Wypchnął go na ulicę i dał znak pracownikom Agencji Pomocy Technicznej stojącym przy agregatach. Warkot maszyn ucichł. W pizzerii San Gimignano zrobiło się ciemno.

Kwadrans później pierwszy agregat, kołysząc się na ramieniu dźwigu ciężarówki, powoli osiadał na platformie ładunkowej.

Haga

Długi konwój pojazdów wojskowych i cystern przesuwiał się przez ekran. „Konwój” – Manzano przypomniał sobie film drogi z końca lat siedemdziesiątych o tak brzmiącym tytule.

– Katastrofa we Francji wywołała zaniepokojenie w innych krajach Europy. Surowo strzeżone dostawy ropy mają zagwarantować elektrowniom atomowym wystarczające zaopatrzenie w paliwo niezbędne do funkcjonowania awaryjnych systemów prądotwórczych.

Wszyscy zgromadzeni w sali konferencyjnej Europolu śledzili relację.

– Z wyjątkiem Saint-Laurent niemal wszystkie elektrownie atomowe na kontynencie europejskim i na Wyspach Brytyjskich są stabilne – oznajmił prezenter wiadomości. – Międzynarodowa Agencja Energii Atomowej donosi o jedynie nieznaczących incydentach w dwunastu z nich. Sytuacja pozostaje napięta tylko w czeskiej elektrowni Temelín. Zdecydowanie złe wiadomości docierają natomiast z uszkodzonego francuskiego obiektu.

Od dawna oglądali już tylko CNN, ponieważ wiele telewizyjnych stacji narodowych i europejskich musiało zawiesić swoją działalność. Na ekranie pojawiły się nieostre, ziarniste ujęcia wież. Jedna z budowli rozděła się w potężną chmurę.

– W uszkodzonej elektrowni doszło do drugiej eksplozji. W jej wyniku uległy poważnym uszkodzeniom budynki.

Przejmujące grozą postacie w strojach ochronnych poruszały się niczym gigantyczne insekty po terenie elektrowni, trzymając w rękach terkoczące skrzyńeczki.

– Jak wskazują pomiary, poziom skażenia radioaktywnego trzydziestokrotnie przekroczył dozwoloną normę.

Człowiek-owad, na którego kombinezonie pyszniło się logo Greenpeace’u, wyciągnął w stronę kamery urządzenie pomiarowe.

– Według organizacji ekologicznych szkodliwe dla zdrowia napromieniowanie stwierdzono już w odległości dwudziestu kilometrów od elektrowni.

Kolumny wojskowych ciężarówek wypełnionych zamaskowanymi na zielono specjalnymi oddziałami żołnierzy wyglądały tak, jakby pochodziły z planu jakiegoś filmu katastroficznego.

– Rząd francuski zapowiedział ewakuację ludności z terenów w promieniu dwudziestu kilometrów od elektrowni.

Obrazy z miejsc tymczasowego pobytu stały się w ostatnich dniach nieodłącznym elementem każdej telewizyjnej relacji.

Manzano kątem oka zauważył, jak Bollard wybiera numer na jednym z telefonów.

Teraz pokazały się zdjęcia z jakiegoś lotniska. Małe jak zabawki ciężarówki znikwały w brzuchach ogromnych samolotów, wsysane niczym plankton do paszczy wieloryba. Inne ujęcia pokazywały żołnierzy przy przeładunku skrzyń i przy manewrowaniu pojazdami.

– Stany Zjednoczone, Rosja, Turcja, Chiny, Japonia i Indie przygotowują się do wysłania oddziałów z pomocą.

Bollard odłożył słuchawkę. Najwyraźniej nie dodzwonił się tam, gdzie chciał, jak stwierdził Manzano.

– Musimy przerwać ten obłęd – powiedział ktoś z obecnych.

Pozostali milczeli.

Ratingen

Hartlandt urządził swoje centrum operacyjne w firmie Talaefer AG w jednej z sal konferencyjnych tuż za holem wejściowym. Stoły zostały zsunięte w prostokąt. Na jednym końcu stały laptopy jego ludzi. Przy drugiej części odbywano narady. Agregaty prądotwórcze umieszczone za budynkiem dostarczały dość energii dla ich komputerów, serwerów i kilku sanitariatów na parterze. Obsługa techniczna budynku odłączyła windy i wyższe kondygnacje. Sam Wickley musiał opuścić swój gabinet prezesa na ostatnim piętrze i zejść do nich, do ludzi. Urządził sobie prowizoryczne biuro w tym samym korytarzu o kilka pokoi dalej, ale teraz siedział razem z nimi i z kilkoma swoimi współpracownikami przy jednym stole i rekapitulował sytuację w firmie.

– Kadra kierownicza zajmująca się systemem SCADA składa się z siedmiu osób, z których dziś obecne są dwie, cała załoga liczy około stu dwudziestu pracowników. Szczegóły przedstawi pan Dienhof.

Wysoki, chudy mężczyzna z aureolą siwych włosów i brodą wziął kartkę do ręki i odczytał:

– Trzech naszych menedżerów jest na urlopie, na razie nie udało się nam z nimi skontaktować. Dwaj inni wprawdzie mieszkają w Düsseldorfie, ale chyba musieli wynieść się do jakichś kwater tymczasowych. Na razie nie wiemy, do których. Może pan będzie mógł nam w tym pomóc, bo na pewno ma pan lepsze dojścia do odpowiednich instytucji niż my – zwrócił się do Hartlandta.

– Zajmę się tym – obiecał.

– Do tej pory zdołaliśmy dotrzeć tylko do dziesięciu osób z reszty załogi. U innych nie byliśmy, bo nie mamy ani odpowiednio wielu ludzi, ani samochodów z paliwem.

Odłożył kartkę na bok.

– Proszę przygotować nam listę z nazwiskami i adresami – poprosił Hartlandt. – Spróbujemy ich znaleźć.

Dienhof skinął głową.

– Jeśli chodzi o systemy SCADA, mogliśmy przystąpić do analizy dopiero dzisiaj rano. Na razie nie potrafimy określić, ile czasu może nam to zająć. Oczywiście im więcej nas będzie, tym lepiej. Wprawdzie systemy opierają się na kilku wspólnych podstawowych modułach, ale dla każdego klienta są dostosowywane indywidualnie, jakby szyte na miarę. Oczywiście w pierwszej kolejności przyjrzymy się tym wspólnym elementom. Jeśli za obecne problemy rzeczywiście współodpowiedzialne są nasze systemy, to przyczyna powinna tkwić raczej właśnie tam, skoro dotyczy to aż tylu elektrowni.

– W porządku – odezwał się Hartlandt. – Proszę pracować dalej. Postaramy się odnaleźć i sprowadzić do firmy jak najwięcej waszych ludzi.

Jednym rzutem oka Hartlandt porównał nazwisko i adres na swojej liście z nazwiskiem widocznym na tabliczce na drzwiach domu jednorodzinnego. Dmitri Polejev. Dzwonić nie było sensu, więc kilkakrotnie zawołał. Kiedy nikt nie zareagował, z wprawą otworzył furtkę wytrychem.

To samo co on robiło równocześnie czterech z jego sześciu ludzi oraz pięciu lokalnych policjantów – jeździli po mieście i sprawdzali adresy współpracowników firmy Talaefer AG. Samochody dostali z niewielkiej miejscowej wypożyczalni. Każdy z nich miał wyznaczoną własną marszrutę. Blisko sto dwadzieścia osób, które chcieli znaleźć, mieszkało w promieniu siedemdziesięciu kilometrów. Każdy z mundurowych i każdy z jego ludzi zatankował do pełna swoje auto w służbowym punkcie zaopatrzeniowym, następnie wszyscy ruszyli w drogę.

Hartlandt krążył już prawie od trzech godzin. Polejev był numerem jedenastym na jego liście.

Znalazłszy się przed drzwiami wejściowymi, zapukał głośno i jeszcze raz krzyknął nazwisko. W końcu drzwi lekko się uchyliły. Zauważył cienki łańcuch zabezpieczający od środka. Gdyby pchnął je mocniej, łańcuch natychmiast by się zerwał. Przedstawił się i spytał, czy zastał pana Polejeva.

– To ja – odpowiedział mężczyzna.

– Pan i pańscy koledzy z IT jesteście potrzebni w Talaeferze – oznajmił mu Hartlandt.

Polejev zamknął drzwi, odpiął łańcuch i zaprosił gościa do ciemnego korytarza. W głębi słychać było płacz dziecka.

– Nie mam już paliwa – wyjaśnił Polejev. – A iść dwadzieścia pięć kilometrów na piechotę to nie ma sensu.

– Dlatego zorganizujemy panu dowóz – powiedział Hartlandt. – Specjalny samochód będzie przyjeżdżał rano po pana i po niektórych z pańskich kolegów, a wieczorem odwiezie z powrotem.

– Jak pan to sobie wyobraża? – Wciągnął Hartlandt za rękaw do mrocznego pokoju dziennego. Kobieta w skafandrze i ocieplanych spodniach narciarskich chodziła po pomieszczeniu z jakimś zawiniątkiem na rękach. Kołysała niemowlę. Na kanapie siedziały dwie małe dziewczynki ubrane w grube kurtki i wełniane czapki. Z kocami na ramionach bawiły się lalkami, na ile mogły ruszać palcami w niewygodnych rękawiczkach. – Mam zostawić swoją żonę zupełnie samą?

– Jest pan tam bardzo potrzebny. Być może przyczyni się pan do zakończenia całej tej biedy.

Opowiedział o konieczności sprawdzenia systemów SCADA, a potem spytał:

– Co dolega temu maleństwu?

– Zimno, głód, to samo co nam wszystkim.

– Dlaczego nie przeniesie się pan z rodziną do tymczasowego obozu? Tam przynajmniej jest ciepło. Dostaniecie jedzenie, są toalety, a nawet prysznice.

– Toalety – westchnęła żona Polejeva. – I prysznice!

– Jak się tu załatwiacie? – był ciekaw Hartlandt.

Polejev wskazał na ogródek.

– Na dworze. Wykopałem dół.

Hartlandt dostrzegł dziurę w ziemi pod żywoplotem.

Gospodarz odwrócił się w stronę regału z książkami.

– A to jest teraz nasz papier toaletowy, od kiedy skończył się nam prawdziwy.

– Bardzo pomysłowe – powiedział z uznaniem Hartlandt. – Pani Polejev, pani mąż jest bardzo potrzebny. – I jeszcze raz wyjaśnił jej powód.

– Wobec tego będę musiała pójść z dziećmi do tego tymczasowego obozu – westchnęła.

– A w tym czasie splądrują nam dom – poskarżył się Polejev.

– Przecież ty możesz tu dalej zostać – powiedziała.

– Ale kto miałby zrobić coś takiego? – próbował przekonać ich Hartlandt. – Oprócz władz właściwie już nikt nie ma paliwa, więc złodzieje nie będą mieli jak się tu dostać. A sąsiadów chyba się państwo nie obawiają.

– Tak pan mówi, bo pan ich nie zna – odezwał się Polejev, kręcąc głową. – Choć przyznaję, większość to przyzwoici ludzie. Ale w takim obozie człowiek nie ma w ogóle prywatności.

– Chyba lepsze już to, niż żeby dzieci miały się nabawić zapalenia płuc.

– On ma rację – przyznała pani Polejev.

– To gdzie jest najbliżej taka kwatera? – spytał Polejev z irytacją.
– W Ratingen są trzy. W szkole, w hali widowiskowej i w hali sportowej. W którejś z nich na pewno znajdziemy jeszcze miejsca. Zawieziemy pańską rodzinę. Proszę spakować najpotrzebniejsze rzeczy.

Niemowlę niewzruszenie krzyczało dalej. Żona Polejeva powiedziała krótko:

– W porządku.

On sam zaś wzruszył ramionami i bezradnie spojrzął na Hartlandta.

– Dobrze pan robi – zapewnił go. – Pana rodzina będzie bezpieczna, a pan będzie mógł wrócić do pracy.

Hartlandt poinformował go, że jeszcze tego popołudnia przyjedzie po niego samochód. Potem wymienił mu kilka nazwisk jego kolegów.

– Wszyscy oni są na urlopie – dodał. – Nie wie pan przypadkiem, dokąd się wybrali?

Polejev zastanowił się przez chwilę.

– Müller wybierał się na narty do Szwajcarii, ale dokąd dokładnie, nie mam pojęcia.

Dragenau wspominał coś o Bali. A Fazeri chciał zostać w domu. Planował jakiś remont.

Hartlandt podziękował mu. Ważny był przede wszystkim Dragenau, jeden z głównych mózgow. O jego urlopie na Bali napomknęła już kadrowa z Talaferu. On szczególnie przydałby się im teraz, ale skoro wyjechał na Bali, to nie mieli żadnych szans, by go ściągnąć.

Znalazłszy się z powrotem w samochodzie, przy nazwisku i adresie Polejeva postawił na liście haczyk. Następnie wpisał kolejny adres do GPS-a i ruszył dalej.

Hala widowiskowa była nowoczesną, funkcjonalną budowlą. Białe litery nad wejściem układały się w nazwę „Dumeklemmerhalle”.

Na zewnątrz stali w grupkach ludzie i rozmawiali albo palili papierosy. Hartlandt wszedł do dużego holu, w którym zazwyczaj sprzedawano bilety, umawiano się przed imprezami, kupowano sobie popcorn i napoje. Teraz pełno było tu osób w zimowych okryciach, mimo że w środku panowała nieco wyższa temperatura niż na dworze. Przez ogromne otwarte drzwi Hartlandt zajrzał do dużej hali. Przez chwilę poczuł się tak, jakby czas się cofnął. Znowu znalazł się w 1997 roku, kiedy odbywając zasadniczą służbę wojskową, przez wiele tygodni pomagał podczas wielkiej powodzi nad Odrą.

Na tablicach z cenami biletów, przekąsek i napojów powieszono teraz inne szyldy. Proste czarne litery na białym tle informowały, że tu znajdują się: Recepcja, Czerwony Krzyż, Wolontariusze, Wydawanie rzeczy. Były też strzałki wskazujące drogę do toalet, pryszniców, wydawania jedzenia. Na długiej ścianie wisiały niezliczone kartki i zdjęcia, coś w rodzaju tablicy ogłoszeniowej, pomyślał Hartlandt. Paliło się tylko kilka punktowych lampek pod sufitem. Pozostałe źródła światła prawdopodobnie wyłączono, aby oszczędzać prąd.

Podszedł do recepcji. Tęga starsza kobieta przywitała go mrukliwie. Wylegitymował się i położył przed nią listę z trzydziestoma siedmioma nazwiskami.

– Czy któraś z tych osób jest tu zakwaterowana?

Kobieta odwróciła się bez słowa w stronę wysokiej szafy z szufladami i wyciągnęła jedną z nich. Zaczęła przeszukiwać rejestr. Raz po raz zerkała na listę Hartlandta i zapisywała coś na kartce.

On obserwował ludzi w holu. Nie sprawiali wrażenia ani zdenerwowanych, ani szczególnie przybitych. Mogłoby się nawet wydawać, że czekają na początek jakiejś imprezy. Ich rozmowy zlewały się w bezkształtne trajkotanie, które wypełniało całe pomieszczenie. Jakaś kobieta szeroką szczotką zamiatła śmieci między nimi. Zgraja dzieci przetoczyła się z hałasem po kamiennej posadzce i zniknęła równie nagle i głośno, jak się zjawiała. Jeszcze przez chwilę rozbrzmiewało echo ich głosów.

Przy wydawaniu ekwipunku stało ponad dwadzieścia osób. Jakiś mężczyzna z dwójką dzieci otrzymał właśnie koce złożone w taki sam sposób jak kiedyś u Hartlandta w wojsku. Kobieta z Czerwonego Krzyża objaśniała matce z dzieckiem, co mieści się w pakiecie medycznym, który na koniec jej wręczyła.

– Jedenaście z tych osób jest tutaj – odezwała się kobieta z recepcji za plecami Hartlandta. Odwrócił się. Przed nim leżała jego lista i kartka z jedenastoma nazwiskami; obok każdego z nich widniała kombinacja cyfr i liter.

Kobieta przyłożyła do jednej z nich swój gruby palec.

– To jest jakby taki adres każdego tutaj – wyjaśniła. – Przy wejściach do dużej hali znajdzie pan plany ze schematami. Te litery i cyfry oznaczają odpowiedni sektor na schemacie, czyli miejsce, gdzie dani ludzie śpią. Ale u nas nikt nie ma obowiązku meldowania się przy wejściu i wyjściu, dlatego nie mogę panu powiedzieć, czy zastanie pan te osoby.

Hartlandt podziękował i ruszył przed siebie. Po drodze studiował listę. Ku jego zadowoleniu znajdował się na niej jeden z członków kadry kierowniczej, którego Dienhof wymienił jako szczególnie ważnego.

Do głównej hali prowadziły przesuwane drzwi z jasnego drewna – wszystkie były szeroko otwarte. Na jednych z nich rzeczywiście wisiał schemat podziału na sektory.

Hala miała kształt trapezu; wypełniało ją morze prymitywnych łóżek ustawionych w długie szeregi, a rozwieszone między nimi płachty oddzielały poszczególne strefy. Podłoga i strop były wyłożone drewnem, które nadawało całemu pomieszczeniu ciepły, przyjazny klimat. Powietrze było ciężkie, zalatywało stęchlizną, wilgotnymi ubraniami, również potem i lekko uryną. Ludzie siedzieli albo leżeli na łóżkach. Inni gawędzili, czytali, gapili się przed siebie, spali.

Hartlandt rzucił jeszcze raz okiem na plan, potem na listę i ruszył w pierwsze miejsce.

Bruksela

– Co takiego? – wrzeszczał Nagy do słuchawki. Specjalnie przełączył na tryb głośnomówiący, aby wszyscy w sali Centrum Monitoringu i Informacji mogli słuchać.

– Magazyn został całkowicie opróżniony – wyjaśniał po angielsku głos po drugiej stronie.

Należał do urzędnika łącznikowego w słowackim Ministerstwie Spraw Wewnętrznych.

Każde z państw utrzymywało mniej lub bardziej zasobne składy na sytuacje awaryjne.

Mieścił się w nich różnego rodzaju sprzęt, począwszy od przenośnych toalet, przez namioty i agregaty prądotwórcze, po telefony satelitarne. Niektóre z tych rezerw były przewidziane na przypadki współpracy międzynarodowej. Tymczasem w jednym z takich magazynów niedaleko Zvolen zastano już tylko puste regały.

– Przez noc – dodał głos w głośniku. – Oni sami nie wiedzą, jak to się mogło stać. To był główny magazyn dla całej Słowacji, no i teraz brakuje oczywiście wszystkiego, czego potrzebuje nasza obrona cywilna.

Obok Angström odezwał się szeptem duński kolega:

– Nie wierzę w żadne opowieści o złodziejach. To na pewno zrobili sami Słowacy.

Nagy rzucił mu surowe spojrzenie.

– My też liczyliśmy na część z tamtych rzeczy – przypomniał. – Nie mamy już żadnych rezerw. Musimy spróbować skierować do nich trochę więcej z pozaeuropejskich środków. Ale to też będzie zależało od rozwoju sytuacji w najbliższych dniach.

Angström słyszała w jego głosie złość i niepewność. Zaledwie pięć dni, a europejska solidarność zaczyna się już kruszyć, pomyślała. Podobnie jak między ludźmi na co dzień. Wróciła do swojego biura.

Ratingen

W siedzibie firmy Talafer AG usunięto ruchome ścianki oddzielające poszczególne salki na parterze i w ten sposób stworzono jedną dużą salę. Na ustawionych w dwa długie szeregi stołach stało naprzeciw siebie sto dwadzieścia laptopów. Co najmniej dwie trzecie miejsc pracy było zajętych, głównie przez mężczyzn. Wielu z nich już od kilku dni się nie goliło i nie kąpało. Spróbują temu jakoś zaradzić. Zespół Hartlandta zażądał od Agencji Pomocy Technicznej dwóch przenośnych kabin prysznicowych ze zbiornikami na wodę. Każdy będzie mógł z nich korzystać.

Hartlandt stał na końcu stołów razem z Dienhofem, Wickleyem i swoimi ludźmi.

– Mamy osiemdziesięciu trzech ze stu dziewiętnastu – oznajmił. – Trzydziestu jest na urlopie. Dziesięciu na razie nie znaleźliśmy. Z kadry kierowniczej są wszyscy poza Dragenauem, Kowalskim i Wallisem. Jak wynika z naszych informacji, Dragenau wypoczywa na Bali, Kowalski w Kenii, a Wallis jeździ na nartach w Szwajcarii. Z żadnym z nich nie udało się nawiązać kontaktu.

– To już całkiem niezłe – stwierdził Dienhof. – Ale tak czy inaczej analiza zajmie nam trochę czasu. Najpierw sprawdzimy standardowe biblioteki, czyli te elementy różnych rozwiązań software'owych dla poszczególnych elektrowni, które we wszystkich systemach są jednakowe. Musimy skontrolować kod źródłowy każdego pojedynczego elementu. To są miliony wierszy programu. Wiele z nich podlega ciągłej aktualizacji, co jest równoznaczne z tym, że musimy przeczesać także modyfikacje z ostatnich lat. Bo jeśli naprawdę mamy do czynienia z sabotażystą, to z całą pewnością nie udało mu się zrobić tego, co zrobił, w ciągu jednej nocy. Poza tym wszystko musi zostać zbadane co najmniej przez dwie osoby.

– Jak to? – zdziwił się Wickley.

– Bo jeżeli przypadkiem sabotażysta sam sprawdza swoją manipulację, to przecież nic nam nie powie – odpowiedział Hartlandt. – Dlatego stosujemy zasadę dwóch par oczu.

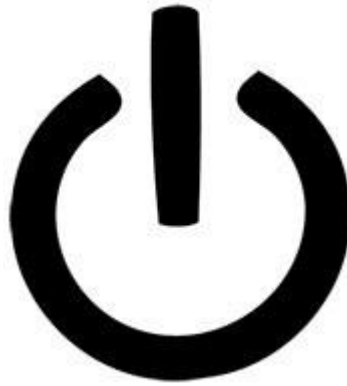
– Ale największe wyzwanie polega na tym – kontynuował Dienhof – że nie wiemy, czego szukamy. Przekopujemy się przez gigantyczny stóg siana, a nie mamy pojęcia, czy chodzi nam o igłę, kleszcza, czy pleśń.

– Albo o nic – uzupełnił Wickley.

– Albo o nic – potwierdził Hartlandt.

– Będziemy to wiedzieli najwcześniej za dwa, trzy dni – dodał Dienhof.

Dzień 6. – Czwartek



Ratingen

Hartlandt obudził się jeszcze przed świtem. Po cichu wyśliznął się ze śpiwora, ubrał się i w jednej z łazienek dla personelu odbył poranną toaletę. Na razie zrezygnował jedynie z golenia.

Swoje prowizoryczne centrum kryzysowe zabezpieczyli specjalnymi zamkami. Dostęp do niego miał wyłącznie on i jego ludzie. Zainstalowali w nim własne komputery, serwer i terminal Tetra z możliwością transmisji danych.

Oprócz zadania przydzielonego mu w firmie Talafer odpowiadał także za kierowanie grupą operacyjną dotyczącą producentów i dystrybutorów energii. Odpalił swój komputer i sprawdził najświeższe wiadomości. Berlin przysłał nowy materiał: analiza pożarów w stacjach transformatorowych. W trzech przypadkach na sześć prawdopodobnie chodziło rzeczywiście o podpalenie. Wszystkie stacje stanowiły część sieci najwyższego napięcia i służyły jego redukowaniu, umożliwiając przekierowywanie energii elektrycznej do sieci średniego napięcia. Gdy ulegały uszkodzeniu, trudne stawało się zarówno przesyłanie energii na duże odległości, jak i utrzymanie odpowiedniego napięcia w całej sieci, tak by mogła działać w niezakłócony sposób. Lista była krótka: Cloppenburg, Güstrow, Osterrönfeld. Koledzy okazali się tak mili, że zrobili kilka zestawień nie tylko według porządku alfabetycznego, ale między innymi także według przybliżonej daty wybuchu pożaru. Przy takim kryterium kolejność była następująca:

Osterrönfeld – sobota, Güstrow – niedziela, Cloppenburg – wtorek.

Ponadto wczoraj wieczorem zgłoszono kolejny incydent – w Minden.

Choć Hartlandt nie był najgorszy z geografii, nie potrafił precyzyjnie umiejscowić tych nazw, otworzył więc w komputerze interaktywną mapę Niemiec, na której – podobnie jak na swojej biurowej wielkiej ściennej mapie w Berlinie – zaznaczył wszystkie zgłoszone dotychczas przypadki. Miejscowości leżały rozrzucone w całym pasie północy kraju.

I w tym było coś nowego.

Jego kolega Pohlen, jasnowłosy barczysty mężczyzna, wszedł zaspany do sali.

– Spójrz na to – powiedział do niego Hartlandt. – W trzech stacjach transformatorowych sieci najwyższego napięcia podłożono ogień.

– W różnych miejscach północy Niemiec – zauważył Pohlen. – Czy oni mają całą armię sabotażystów?

Hartlandt podświetlił te punkty.

– Pożary nie wybuchły jednocześnie, tylko w pewnych odstępach czasu – wyjaśnił, gasząc jeden po drugim.

– Najpierw na północy, potem na wschodzie i na końcu na zachodzie – stwierdził Pohlen.

– Trochę jakby nie po kolei.

– Jakby ktoś jeździł wzdłuż i wszerz po kraju i podkładał ogień, gdzie popadnie. Ale mamy kolejny meldunek. Tutaj. Cztery kolejne maszty wysokiego napięcia wysadzone w powietrze.

Wpisał lokalizacje do systemu.

– Niestety, miejscowym ekipom nie udało się ustalić, kiedy to się dokładnie stało. Ale... – Urwał raptownie, gdy umieścił wszystkie punkty na mapie. – W tym już jest jakiś sens.

Hartlandt połączył miejsca trzech pożarów linią biegnącą z Lubeki do Güstrow na wschodzie, a stamtąd do Cloppenburga na zachodzie.

– Dwa z wysadzonych masztów leżą bardzo blisko linii Güstrow–Cloppenburg. Sprawdźmy coś.

Wprowadził do komputera wszystkie dane zniszczonych obiektów, jakby chciał zaplanować trasę w internecie. Uporządkował je od północy na południe i ze wschodu na zachód.

Nowa linia zaczynała się od jednego z masztów wysadzonych w powietrze, prowadziła przez Lubekę i drugi maszt pod Schwerinem do Güstrow, skąd wiodła dalej przez Lüneburg i Bremę do Cloppenburga, a potem jeszcze do Lingen pod holenderską granicą. Stamtąd odbijała się jak kula bilardowa od bandy i kończyła się pod Minden, gdzie doszło do ostatniego pożaru.

– Wygląda na to, że ktoś jednak jeździ według określonego planu i systematycznie niszczy strategicznie ważne obiekty.

– Wobec tego trzeba natychmiast zapewnić ochronę pozostałych! – wykrzyknął Pohlen.

– Zapomnij. Sama sieć najwyższego napięcia zawiera setki takich urządzeń. Nie sposób wszystkich ich dozorować; policja i wojsko i tak już ledwo zipią. O uszkodzonych instalacjach sieci średniego i niskiego napięcia na razie jeszcze nie słyhać, ale takich mamy w Niemczech ponad pół miliona, to są na przykład klasyczne budki trafo, pewnie je znasz. Gdybyś zatrudnił nawet całą Bundeswehrę, to i tak nie zdołałbyś postawić po jednym człowieku nawet przy co drugiej. Ale ta linia tutaj wskazuje na pewien wzór. Jeśli oni zamierzają się posuwać według mniej więcej podobnej trasy jak ta... – poprowadził palec wzdłuż przypuszczalnego przedłużenia odcinka Lingen–Minden – ...będziemy w stanie mocno ograniczyć potencjalne cele.

– Musieli to wszystko bardzo dobrze zaplanować – doszedł do wniosku Pohlen. – Po drodze nie mają gdzie zatankować, o czym wcześniej wiedzieli. Czyli pewnie z wyprzedzeniem zorganizowali sobie na trasie jakieś rezerwy. Dosyć pracochłonna akcja pod względem logistycznym.

– Niekoniecznie – nie zgodził się z nim Hartlandt. – Jeśli każda grupka nie ma nic innego do roboty, wystarczy dwoje, troje ludzi. Pewnie potrzebowali na to ze dwóch miesięcy. Musieli znaleźć kryjówki, przygotować je, stopniowo każdą zaopatrzyć, ale tak, żeby nikt niczego nie podejrzewał ani do nich się nie dobrał. Przypomnij sobie zamachy z jedenastego września 2001. Tam też nie było żadnej armii.

Sięgnął po radiotelefon.

– Sprawdźmy, jak oni to widzą w Berlinie.

Haga

– Przedyskutowaliśmy pańską teorię – Bollard zwrócił się do Manzana. – Tę dotyczącą systemów SCADA z firmy Talaefer. W ramach oficjalnej procedury wsparcia i współpracy teraz sprawę badają organa niemieckie, ale naszych ludzi nie możemy tam posłać, bo potrzebna jest nam każda para rąk tutaj.

Pochylił się do przodu, oparłszy łokcie na biurku.

– Mówiąc krótko i węzłowato: czy miałby pan ochotę pojechać do miejscowości o nazwie Ratingen pod Düsseldorfem i tam wykazać się swoimi umiejętnościami?

Manzano uniósł z zaskoczeniem brwi.

– Ale ja nie jestem specjalistą od systemów SCADA.

Bollard uśmiechnął się do niego.

– Jestem w stanie w wiele panu uwierzyć, nawet dałem wiarę pańskim teoriom, ale tego mi już pan nie wmówi. Zakładając, że jednak mówi pan prawdę, to tak czy inaczej potrafi pan przynajmniej rozpoznać błędy w systemach. A tu przecież o to chodzi. Niech pan może sobie najpierw zgra raporty, są już dostępne w naszej sieci. Z tym że nie mogę panu zagwarantować, że w Ratingen są jeszcze ogrzewane hotele z ciepłą wodą i działającą toaletą.

– Pan to potrafi zachęcić do pracy.

– Ale w zamian otrzyma pan samochód do dyspozycji. Myślę, że co do honorarium dojdziemy do porozumienia. Proszę tylko nie wspominać o tym swojej przyjaciółce.

– Ona nie jest moją przyjaciółką.

– Tak czy siak, jedzie pan?

– Od dziś masz pokój wyłącznie dla siebie – oznajmił Manzano, pakując jednocześnie swoją walizkę.

Shannon wróciła właśnie z objazdu miasta, gdzie zrobiła kilka krótkich reportaży.

– Wyjeżdżasz? Dokąd?

– Nieważne.

Usłyszała z łazienki szum spuszczonej wody, potem lejący się strumień z kranu. Po chwili wyszedł z niej Bollard.

– Ach, nasza gwiazda dziennikarstwa – przywitał ją drwiąco. – Czy mogłaby pani zostawić nas jeszcze na moment samych?

Shannon zawahała się: ostatecznie to także jej pokój. No, może nie do końca. Postawiła swoją kamerę na biurku, wyszła na korytarz i zamknąwszy drzwi, przyłożyła do nich ucho. Rozumiała tylko pojedyncze słowa, które nic jej nie mówiły. W końcu w miarę wyraźnie dotarło do niej całe zdanie.

– Pod warunkiem, że Niemcy mają pełny dostęp do internetu – usłyszała Manzana.

A więc on wybiera się do Niemiec, zaczęła gorączkowo myśleć.

– Można dużo powiedzieć o Niemcach, ale zorganizowani są jak mało kto – odparł Bollard. – Ci z Federalnego Urzędu Kryminalnego ściągnięci do Talaeferu na pewno są odpowiednio wyposażeni. Proszę, tu ma pan kluczyki do samochodu. Auto stoi w garażu pod hotelem, czarne audi A4 z holenderskimi tablicami i pełnym bakiem. Bez kłopotu dotrze pan nim do samego Ratingen – podkreślił wyraźnie nazwę – i z powrotem.

Usłyszawszy kroki zbliżające się do drzwi, Shannon na palcach pobiegła dwa pokoje dalej. Oparła się o ścianę ze skrzyżowanymi na piersi rękami, jakby czekała w tym miejscu już całą wieczność.

Bollard, mijając ją, skinął głową.

Wróciła do pokoju. Manzano stał z walizką i laptopem gotowy do wyjścia.

– Cieszę się, że cię poznałem – powiedział i podał jej dłoń. – Mam nadzieję, że się jeszcze zobaczymy, gdy to wszystko już się skończy. Może zrobisz kiedyś jakiś materiał w Mediolanie. Mój adres znasz.

Gdy tylko zatrzasnęły się za nim drzwi, zaczęła gorączkowo upychać swoje manatki w żeglarskim worku.

Nowy Jork

Wokół Tommy'ego Suareza tłoczyli się ludzie, którzy jak on jechali kolejką metra linii A w kierunku Brooklynu; strzepywali śnieg z wilgotnych ubrań, rozmawiali przez telefon, czytali albo gapili się w pustkę, kiedy nagle zgasło światło.

Pisk hamulców zlał się z krzykami pasażerów, obce ciała runęły na niego, uchwyt, za który się trzymał, wciął mu się w przegub ręki, a potem, pod wpływem bolesnych dźgnięć w żebra, plecy i nogi, Suarez poczuł się jak jedna z wielu rzeczy w bębnie pralki podczas wirowania. Z gwałtownym szarpnięciem kolejka stanęła w miejscu. Na długość jednego oddechu w wagonie zaległa cisza, po czym wszyscy zaczęli dziko się przekrzykiwać. Suarez stanął z powrotem na obu nogach. Gniew wywołany momentem bezradności ustąpił uldze, że znowu jest w stanie postrzegać granice oddzielające go od otoczenia. Lampki awaryjne oblały wszystko widmowym błękitem. Tommy poczuł, że cały tężeje. Nienawidził, kiedy przestrzeń wokół niego zamykała się jak trumna. Musi się skoncentrować i myśleć o czymś innym. Jakiś mężczyzna z brodą chwycił go za brzuch. W całym wagonie z podłogi gramolili się ludzie, inni pomagali im się podnieść. Z powrotem zajmowano swoje miejsca na ławkach, otrzepywano płaszcze, poprawiano kapelusze na głowach, sprawdzano rękawiczki, doprowadzano się do ładu. Suarez dźwignął do pionu swój ciężki suplement i mimochodem trochę odsunął mężczyznę od siebie.

– Nic się panu nie stało?

Brodacz podziękował i obciągnął swój płaszcz.

Oczy Suareza powoli przyzwyczajają się do mroku. Jakby zrobiło się jaśniej, pomyślał. To pomagało. Zauważył, że nie jest już taki spięty.

– Czy ktoś jest ranny? – krzyknął.

Odpowiedział mu przeczący pomruk.

– No co jest? – wrzasnął ktoś z przodu. – Chyba zaraz pojedziemy?

– Miejmy nadzieję – szepnęła jakaś kobieta obok Suareza.

Nie miał pojęcia, jak daleko jest do następnej stacji. Raczej nikt nie rzucił się pod pociąg. Rozmowy wokół niego stawały się coraz głośniejsze. Spojrzał na zegarek. Kwadrans przed siódmą. Czemu nie odzywa się maszynista?

– Świetnie! – odezwała się półgłosem jakaś starsza dama. – Oby to tylko nie była kolejna awaria prądu! W 2003 utknęłam w czymś takim na dwie godziny!

– Dwie godziny? – krzyknęła młoda kobieta.

Suarez rozpoznał w jej głosie zdławioną zaraźliwą panikę.

– I tak miałam szczęście! – dodała starsza pani. – Inni...

Niech ona już się lepiej zamknie!

– Na pewno zaraz ruszymy – pocieszył młodą kobietę. Nie każdy umiał zachować opanowanie w ciemnych, ciasnych pomieszczeniach wypełnionych wieloma ludźmi. A zwłaszcza wiedząc, że nie da się z nich wyjść przez wiele godzin. Bardzo dobrze ją rozumiał, ale nie lubił czarnowidztwa, w szczególności w takich sytuacjach. – Nic złego się nie stanie.

Obok jakiś nastolatek majstrował przy swojej komórce.

– Jasne, to gówno też nie działa.

– Nic dziwnego, jesteśmy pod ziemią. – To brodacze, ten, który obejmował Suareza za brzuch. – Nowomodne ustrojstwo. Kiedy się go potrzebuje, akurat nie działa.

– Normalnie zawsze działa – twierdził młody chłopak.

– Co my zrobimy, jak to potrwa dłużej? – spytał mężczyzna z aktówką wciśniętą pod pachę.

– Jak co potrwa dłużej? – rzuciła jakaś kobieta.

Jej skafander z połyskliwego materiału był ozdobiony sztucznym futerkiem przy kołnierzu. Suarez nie miał pojęcia, dlaczego zwrócił na to uwagę. Poczł jej perfumy – za mocne, za słodkie.

– Nie ma prądu, nie ma jazdy.

– Będziemy czekać. Czekać i marznąć – wtrąciła znowu tamta starsza.

Suarez najchętniej by jej przyłożył, żeby po prostu zamilkła. Ale to byłoby tak, jakby wymierzył policzek własnej matce.

– Trzeba zachować spokój i czekać na polecenia – odpowiedziała kobieta w skafandrze z futerkiem.

– Jestem uosobieniem spokoju!

– Tu jest napisane. – Ta z futerkiem wskazała na nalepkę obok drzwi. – Postępowanie w przypadku zakłóceń w ruchu.

– Gdyby było światło, każdy mógłby zobaczyć – bąknął brodac.

– Poza stacją pociąg wolno opuścić wyłącznie na wyraźne polecenie – odczytała przesadnie wyraźnie właścicielka skafandra.

– Pod warunkiem, że ktoś wyda jakieś polecenia...

Suarezowi nie podobało się to rozdrażnienie słyszalne w głosach. Czuł, że w tłumie narasta niepokój.

– A jeśli do nas też to dotarło? – spytała ta ze sztucznym futerkiem. – To samo co w Europie?

Młoda kobieta zaczęła najpierw pojękiwać, a potem, ogarnięta paniką, wybuchła krzykiem. Zauważył, że znowu cały stęzał – jej panika stopniowo zarażała jego i innych. Najchętniej by się na nią wydarł, ale wiedział, że powinien się opanować i postarać się ją uspokoić. Stuknął ją w ramię, próbował objąć.

Waliła naokoło pięściami. Wpadła w jeszcze większą histerię.

– Niech mnie pan zostawi! Ja chcę stąd wyjść!

Haga

– Wejść! – krzyknął któryś z mężczyzn.

Po wyjeździe Manzana jego opiekunowie z wyższego piętra zbierali swoje rzeczy, żeby wrócić do Europolu.

– Dwie sprawy – odezwał się jeden z nich. – Po pierwsze, ta dziennikarka też wyjechała zaraz po nim. Nie wiemy dokąd.

– Niewykluczone, że depcze mu po piętach – powiedział Bollard. – W końcu już raz dzięki niemu miała dobrą *story*.

– I jeszcze to. Odkryliśmy dopiero teraz. Musiał wysłać tego e-maila tuż przed wyjściem.

Na ekranie funkcjonariusza Bollard zobaczył wiadomość napisaną w kiepskim angielskim. „Do Talafer. Szukać wirusa. Nic nie znajduj. Będę informował na bieżąco”.

Od początku wiedziałem! – pomyślał Bollard z triumfem.

– Do kogo to poszło?

– Na jakiś rosyjski adres. Mata@radna.ru. Nic więcej nie wiemy.

– To się dowiedźcie. Dlaczego zobaczyliście to dopiero teraz?

– Musiał to jakoś przeszmułować.

– Albo wy siedzieliście i dłubaliście w nosie!

„Nic nie znajduj” – skąd on to wiedział? A może chciał przeszkodzić? Ale skoro tak, to po co w ogóle naprowadzałby ich na trop firmy Talafer AG? Żeby zapewnić sobie dostęp do niej? Ale przecież nie mógł liczyć na to, że Bollard tam go wyśle. Gdyby Manzano sam to zaproponował – wtedy to co innego. Dziwne jednak wydawało się to, że Włoch wysłał tego e-maila tak otwarcie. Przecież na pewno się orientował, że Europol go monitoruje. Trzeba poinformować szefa. Bo jeśli za tym coś się rzeczywiście kryje, to chyba mają pierwszy gorący trop. Bollard czuł, jak ogarnia go gorączka tropiciela.

– Gdzie jest dyrektor?

– W swojej siedzibie w Breitscheid.

Sięgnął po telefon, żeby zadzwonić do szefa. Przekonanie jego asystenta o niezwyklej wadze informacji, jaką ma do przekazania, nie zajęło mu dużo czasu. Został połączony. W krótkich słowach przedstawił sprawę. W gruncie rzeczy wiedział, co usłyszy z ust swojego przełożonego.

– Nie możemy już dłużej ryzykować. Proszę poinformować tego człowieka z biura kryminalnego, który prowadzi sprawę firmy Talafer... Jak to on się nazywa?

– Hartlandt – odrzekł Bollard.

– No właśnie. No więc proszę mu powiedzieć, że mają aresztować tego Włocha. I sprawdzić, co się da z niego wycisnąć. CIA na pewno pomoże im z radością.

Po co nagle amerykańska służba wywiadowcza?

– Dlaczego CIA?

– Nie dotarły do pana jeszcze te wiadomości?

– Jakie wiadomości?

Berlin

– Stany Zjednoczone?

Przez krótką chwilę centrum kryzysowe Ministerstwa Spraw Wewnętrznych wyglądało jak zatrzymane w kadrze. Każdy z obecnych zamarł w swojej pozycji i nieruchomo wpatrywał się w nieliczne działające jeszcze ekrany i w sekretarza stanu. Zegary pokazywały kilka minut po czternastej.

– To samo co u nas? – ktoś spytał.

Rhess skinął głową. Przyciskał do ucha słuchawkę telefonu i raz po raz potakiwał.

Michelsen wędrowała wzrokiem od monitorów do sekretarza i z powrotem.

– Jeśli to prawda – szepnęła do swojej sąsiadki – to jesteśmy w kompletnej dupie, przepraszam za wyrażenie.

Rhess odłożył słuchawkę.

– Ministerstwo Spraw Zagranicznych potwierdza, że znaczna część amerykańskich sieci elektroenergetycznych nie działa.

– To nie może być przypadek – zauważył ktoś inny. – Zaledwie tydzień po Europie.

– Czyli możemy zapomnieć o pomocy stamtąd – stwierdziła Michelsen.

– Świat zachodni znalazł się pod ostrzałem – skonstatował Rhess. – Dowództwo NATO zbiera się właśnie na specjalną naradę.

– Chyba nie sądzą, że to Rosjanie czy Chińczycy?

– Trzeba brać pod uwagę wszystkie możliwości.

– Niech opatrność czuwa nad nami – szepnęła Michelsen.

Centrum dowodzenia

Amerykańskie sieci energetyczne okazały się łatwiejszym celem niż europejskie, bo były gorzej zabezpieczone i jeszcze silniej powiązane z internetem. Jednak konieczność znalezienia luk w niektórych nowych programach nie pozwoliła na wcześniejszą akcję. Oczywiście chętniej zaatakowałyby na obu kontynentach jednocześnie, ale tak też nie było źle. Może nawet lepiej. Od niemal tygodnia cały świat zgadywał, kto stoi za atakami w Europie. Awaria w Stanach da pożywkę nowym plotkom. Teraz z całą pewnością jeszcze intensywniej włączy się wojsko. Agresja na taką skalę kazała dopatrywać się sprawcy w jakimś państwie. W grę wchodziło kilka: Iran, Korea Północna, Chiny, nawet Rosja. Od lat nie brakowało poszlak, że właśnie one, a także parę innych penetrują systemy informatyczne zachodniej infrastruktury krytycznej. W tej chwili jedno z nich zbierało żniwo swojego zasiewu i uderzyło. Tylko które konkretnie? Oczywiście żadne by się nie przyznało. To jasne. Nikt nie był w stanie znaleźć śladów prowadzących do sprawców. W globalnej sieci dawało się je bardzo łatwo zatrzeć. Zaczną mnożyć się teorie, a śledczy w policji, wojsku i agencjach wywiadowczych będą musieli iść za niezliczonymi nowymi tropami. Wojna? Terroryzm? Zwyczajne przestępstwo? Wszystkiego po trochu? Jeszcze bardziej druzgocący był efekt psychologiczny. Ostatnie supermocarstwo tego świata, tak czy owak osłabione przez kryzys gospodarczy, też nie zdołało się obronić. Wobec tego ataku Pearl Harbor i zamachy z 11 września 2001 roku w Nowym Jorku i Waszyngtonie były tylko niewinnym ukąszeniem muchy. Już niedługo społeczeństwo amerykańskie się przekona, że tym razem nie da się tak po prostu wysłać armii w jakiś oddalony rejon świata. Bo nie wiadomo dokąd. I nagle zda sobie sprawę, jak bardzo jest bezradne. Jak bezradny jest ich rząd, ich bogaci i moiżni przedstawiciele, tak zwane elity, cały system, w którym już od dawna nie czują się dobrze, a już na pewno nie czują się bezpiecznie, ale i tak wolą go od czegoś nieznanego. Zrozumieją, że zostali zostawieni sami sobie już dawno temu. Że nastąpiła nowa epoka, w której muszą i mogą zdobywać dla siebie własne terytoria.

Ratingen

Na początku Manzano próbował znaleźć jeszcze jakąś działającą stację radiową, ale z samochodowych głośników dochodził jedynie szum. Jechał więc w absolutnej ciszy, co nie było wcale takie złe po sensacjach ostatnich dni.

System nawigacji poprowadził go z autostrady przez osiedle domków jednorodzinnych na skraju miasta do piętnastopiętrowego kolosa z betonu i stali. Na fasadzie królował napis „Talafer AG”. Manzano zostawił samochód na parkingu dla gości. Wziął ze sobą laptopa, a resztę bagażu zostawił na razie w aucie.

W recepcji spytał o Jürgena Hartlandta. Dwie minuty później przywitał go mężczyzna w jego wieku o atletycznym wyglądzie. Miał na sobie gruby wełniany golf i džinsy. Błyskawicznie zmierzył przybysza jasnoniebieskimi oczami. Towarzyszyło mu dwóch młodych mężczyzn z krótko przystrzyżonymi włosami, równie wysportowanych jak ten starszy i też ubranych po cywilnemu.

– Jürgen Hartlandt – przedstawił się ten w golfie. – Piero Manzano?

Włoch skinął głową, na co dwaj pozostali stanęli po jego bokach.

– Proszę za mną – powiedział Hartlandt nienagannym angielskim, nie przedstawiając swoich kolegów. – Wprowadził go do małej salki konferencyjnej. Zamknął za nimi drzwi, przy których ustawił się jeden z jego towarzyszy. – Proszę usiąść. Właśnie otrzymałem pewną informację z Europolu z Hagi. Dla bezpieczeństwa muszę najpierw sprawdzić pański komputer.

Włoch zmarszczył czoło.

– To mój prywatny sprzęt.

– Czy ma pan coś do ukrycia, panie Manzano?

Manzano zaczynał czuć się nieswojo. Zastanawiał się, co ma znaczyć cała ta procedura. Zdaje się, że proszono go, aby im tu pomógł? Nie podobał mu się ton Hartlandta.

– Nie. Ale to jest sfera prywatna.

– Wobec tego może zrobimy inaczej – zaproponował Hartlandt. – Proszę mi powiedzieć, kto to jest Mata@radna.ru.

– Co to ma znaczyć?

– To ja pana pytam. Wysłał pan e-maila na ten adres.

– Na pewno nie. A nawet gdyby tak było, to skąd by pan to wiedział?

– Nie tylko pan doskonale zna się na informatyce i potrafi szybko się rozeznać w obcych komputerach. Oczywiście Europol przez cały czas pana monitorował. No więc kto to jest Mata@radna.ru?

– Powtarzam: nie mam pojęcia.

Jeden z towarzyszących Hartlandtowi pomocników sięgnął po torbę z laptopem Włocha, zanim ten zdążył się zorientować. Gdy zerwał się z miejsca, drugi mężczyzna usadził go z powrotem na krześle.

– Co to jest? – krzyknął Manzano. – Podobno miałem was tu wesprzeć?

– My też tak najpierw sądziliśmy – odparł Hartlandt, wyjmując laptopa i uruchamiając go po chwili.

– Wobec tego wracam, nic tu po mnie – oznajmił Włoch.

– Proszę tego nie robić – odpowiedział jego rozmówca, nie odrywając wzroku od monitora.

Mimo to Manzano spróbował wstać, ale powtórnie został powstrzymany.

– Proszę nie ruszać się z miejsca – rozkazał mu Hartlandt, po czym odwrócił w jego stronę komputer i powiedział: – A więc twierdzi pan, że nie wysłał pan żadnego e-maila do

Mata@radna.ru?

Na ekranie Manzano zobaczył e-maila wysłanego z jego skrzynki na adres wymieniony przez Niemca. „Do Talafer. Szukać wirusa. Nic nie znajdują. Będę informował na bieżąco”.

Przeczytał treść wiadomości jeszcze raz. Zaniemówił i spojrzał na swego oponenta.

Potem powtórnie wbił wzrok w ekran. W końcu wydobył z siebie:

– Ja tego nie napisałem ani nie wysłałem.

Hartlandt podrapał się po czaszce.

– Ale to jest pański laptop?

Manzano potaknął. Miał mętlik w głowie. Widział, o której e-mail został wysłany. Mniej więcej o tej porze zbierał się do wyjazdu z Hagi. Skrzyżował ręce na piersi.

– Powtarzam: ja tego nie napisałem. I nie mam pojęcia, kto to zrobił. Proszę sprawdzić sprzęt. Może ktoś dokonał jakiejś manipulacji. Chętnie sprawdziłbym sam, ale domyślam się, że się na to nie zgodzicie.

– Ma pan całkowitą rację. Sprzęt oczywiście zbadamy. – Podał laptopa jednemu ze swoich ludzi, a ten niezwłocznie opuścił pomieszczenie. – My tymczasem możemy dalej sobie porozmawiać o pańskich znajomych z internetu.

– Nie za bardzo jest o czym rozmawiać – odrzekł Manzano. – Nie znam ani tego e-maila, ani tego adresu, dlatego nie mam panu nic do powiedzenia.

Mówiąc to, zastanawiał się gorączkowo, jak ta wiadomość mogła zostać wysłana z jego konta. Przychodziły mu do głowy tylko dwie możliwości.

– Sam pan wspomniał, że mój laptop był pod ścisłym nadzorem Europolu. Niech więc pan poszuka autora tej wiadomości u nich.

– Niby dlaczego Europol miałby podsuwać panu fałszywe e-maile?

– Żeby mnie obciążyć, odwrócić uwagę od siebie, naprowadzić na fałszywy trop i Bóg wie co jeszcze? – Manzano był coraz bardziej zirytowany. Już kilkakrotnie przesłuchiwała go policja, ale to było lata temu. Ostatnim razem nawet zdołali mu coś udowodnić i wymierzili karę w zawieszeniu, ale wtedy jego wykroczenie było w porównaniu z tym bagatelką. – Albo jeszcze ktoś zupełnie inny włamał się do mojego komputera. I chce obciążyć mnie tym e-mailem.

To prawda, że w ciągu swego życia zdobył nie tylko przyjaciół, ale też nie narobił sobie wrogów, którzy mogliby mu wykręcić taki numer, a przede wszystkim fizycznie byliby w stanie to wykonać. Bo przecież to oczywiste, że jego laptop jest znakomicie zabezpieczony przed wszelkimi intruzami. Jeśli więc komuś by się to udało, musiałby należeć do najwyższej ligi. Poza tym ów ktoś musiałby też wiedzieć, gdzie on przebywa i jakie ma plany. A to było wiadome jedynie ludziom z Europolu.

– To wszystko są piękne teorie – zaoponował Hartlandt. – Kto oprócz pana wiedział w tamtym momencie, że wybiera się pan tutaj?

– François Bollard z Europolu. Może kilku jego kolegów, których o tym poinformował, nie wiem...

– Dyrektor Europolu i jeszcze jeden pracownik – odparł Hartlandt. – Spytałem Bollarda.

– Mam nadzieję, że powiedział panu prawdę.

Manzano zauważył, że Francuz za nim nie przepada. Ale żeby od razu coś takiego?

– Kto jeszcze?

Zastanowił się, komu wspomniał o wyjeździe. Shannon nic nie mówił.

– To wszyscy?

– Tak.

Mężczyzna otworzył na swoim własnym komputerze jakiś dokument, z którego zaczął czytać:

– To pan jest Pierem Manzanem, uznawanym w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych za znakomitego hakera, poza tym działaczem politycznym...

– To już lekka przesada. Byłem na jednej demonstracji czy dwóch. W moim kraju istniała i istnieje nadal cała masa mankamentów, przeciwko którym należało i wciąż należy demonstrować. Wystarczy być zwyczajnym zatroskanym obywatelem.

– Podczas szczytu G8 w Genewie w 2001 nawet był pan krótko aresztowany – Hartlandt niewzruszenie kontynuował.

– Boże drogi! A nie słyszał pan, co wyprawiała wtedy włoska policja? Dziesiątki funkcjonariuszy, w tym także ci z najwyższych stołków, zostali potem nawet za to skazani! Jedyne groteskowe przestarzałe przepisy obowiązujące w naszym kraju spowodowały, że większość demonstrantów trafiła do więzienia.

– Ponadto był pan oskarżony o nielegalne wdzieranie się do sieci komputerowych...

– Rany boskie, niech mi pan nie opowiada mojego życiorysu. Sam dobrze wiem, co robiłem...

– Ktoś atakuje Europę i Stany Zjednoczone! A czytając pańskiego e-maila, można...

– Jak to? Jakie Stany Zjednoczone?

– ...odnieść wrażenie, że pan ma coś wspólnego z owym kimś.

Manzano poczuł się tak, jakby krew odpłynęła mu z twarzy i kończyn i z pełnym impetem wlała się do serca, które zaczęło walić tak mocno, że aż słyszał jego dudnienie w głowie.

Oni podejrzewają jego, Piera Manzana, o przynależność do sprawców tej katastrofy! Ten Hartlandt przed chwilą uznał go za politycznego cyberdziałacza. Według nich jest terrorystą!

– To jest... to jest... absurdalne.

Dlaczego nagle zaczął się jękać? W tej sytuacji dla Hartlandta musiało to brzmieć jak przyznanie się do winy. A przecież wiadomo, że jest niewinny! To strach wkradł się we wszystkie jego członki, wyparł z nich krew i zmaścił mu umysł.

– Jeszcze się przekonamy – odparł jego rozmówca, ukazując głęboką zmarszczkę między brwiami.

– Zobaczycie... A co jest ze Stanami Zjednoczonymi?

– To nie słuchał pan po drodze radia?

– Chyba nie nadaje już żadna stacja.

– Od dzisiejszego ranka dzieje się tam to samo co u nas. Znaczne obszary kraju są bez prądu.

– Chyba... nie mówi pan poważnie.

– Proszę mi wierzyć, nie jestem w nastroju do żartów. Dobrze panu radzę, żeby zaczął pan mówić, zanim zainteresuje się panem CIA.

Shannon sięgnęła po swoją puchową kurtkę z wąskiego tylnego siedzenia porsche i włożyła ją na siebie. W aucie zrobiło się zimno. Od godziny czekała na parking przed potężnym biurowcem na skraju miasta. Nad najwyższym piętnem widniał ogromny napis „Talafer AG”. W normalnych warunkach weszłaby przez komórkę do internetu i od razu by sprawdziła, co to za firma. Ale warunki nie były normalne. Bez radia czekanie wydawało się nudne i gnuśne.

Wysiadła i przecięła parking. Jednak stoi tu trochę samochodów, pomyślała. Może w środku mają prąd z agregatów.

W holu wejściowym siedziała kobieta, która na widok Shannon uniosła wysoko brwi.

– W czym mogę pani pomóc?

Shannon dyskretnie się rozejrzała. Przy ladzie recepcyjnej na niewielkim stojaku leżały broszury, na których pierwszej stronie pyszniła się nazwa firmy. Wersja niemiecka, angielska.

Znakomicie.

– *Do you speak English?* – spytała.

– *Yes.*

– *I think I'm lost. I need to go to Ratingen.*

Twarz kobiety naprzeciwko wyraźnie się rozjaśniła. W nieporadnym angielskim objaśniła Shannon, że musi z parkingu pojechać ulicą w prawo i po jakimś kilometrze będzie już na miejscu.

Shannon podziękowała, od niechcienia przekartkowała jedną z broszur i wrzuciła ją sobie do torby.

– *Bye.*

Znalazłszy się z powrotem w samochodzie, wtuliła się jeszcze głębiej w swoją ciepłą kurtkę i zaczęła studiować prospekt, raz po raz rzucając okiem na wejście, w którym zniknął Manzano.

Nanteuil

– Skończyły się – powiedział Bertrand Doreuil, potrząsając pustym opakowaniem po tabletkach. – Potrzebuję nowych. I to pilnie.

– Ale przecież nie wolno wychodzić na zewnątrz – zwróciła mu uwagę żona.

– Wsiądę przed samym domem prosto do samochodu. Co może mi się stać?

Poszedł do kuchni, Annette Doreuil za nim. Celeste Bollard siedziała przy stole i skubała kurę. Pióra wkładała do dużego kosza, ale sporo leżało też na podłodze.

– Od lat już tego nie robiłam – westchnęła. – Całkiem zapomniałam, jakie to wyczerpujące.

W przeciwległych drzwiach pojawił się zasapany Vincent Bollard, trzymając w każdej ręce kosze pełne drewna na opał. Postawił oba z rumorem.

– Nie wiecie, gdzie może być najbliższa otwarta apteka? – spytał Bertrand Doreuil.

– Możemy sprawdzić – odpowiedział Vincent Bollard. – To pilne?

– Tak, skończyły mi się tabletki na serce.

Bollard skinął głową.

Jego żona wymieniła spojrzenie z Annette Doreuil.

– Właściwie nie powinniśmy wychodzić – stęknął wciąż zadyszany Bollard. – Ale skoro trzeba, to trzeba. – Pocałował swoją żonę w policzek. – Niedługo będziemy z powrotem.

Ratingen

Hartlandt maglował Manzana przez dwie godziny.

– Co znaczy: „niczego nie znajdą”? Czy jest coś do znalezienia, a pan przeszkodzi w dotarciu do tego? Czy też nie ma niczego do znalezienia? Zamierzał pan uzyskać dostęp do systemów i dokonać manipulacji? O czym i kogo chciał pan informować na bieżąco? Co pan już zdradził do tej pory?

Niekończące się pytania. Manzano odpowiadał też pytaniami.

– Myśli pan, że byłbym taki głupi i wysyłałbym taką wiadomość niezaszyfrowaną? I dlaczego zaraz po wysłaniu gruntownie bym jej nie usunął?

Podczas przesłuchania Hartlandt kilkakrotnie zostawił Manzana samego, zamykając drzwi na klucz. Teraz już od jakiegoś kwadransa siedział znowu przed nim, mierzył go wzrokiem i zadawał ciągle te same pytania.

A on nie mógł mu udzielić innych odpowiedzi. Odzyskał pewność siebie. Uznał, że w ten sposób najszybciej przekona tamtego o swojej niewinności. I cały czas zastanawiał się nad tym, jak tu dopaść własny komputer, żeby móc go sprawdzić.

Otworzyły się drzwi i do środka wszedł jeden ze współpracowników Hartlandta. Miał w rękach laptop Włocha. Postawił go na stole. Hartlandt nie spuszczał wzroku z Manzana.

– Nie znaleźliśmy nic szczególnego – powiedział.

Manzano jęknął i przewrócił oczami.

– To teraz ja do niego zajrzę. Już go przeszukaliście i pewnie zrobiliście kopię twardego dysku.

– Ale odkryliśmy inne e-maile, w których wysyła pan pod różne adresy informacje o swoim pobycie w Hadze.

Manzano poczuł ukłucie pod sercem.

– To jest naprawdę irytujące! – krzyknął. – O co wam chodzi?

Hartlandt otworzył klapę laptopa i odwrócił go w stronę Manzana.

– Na przykład ten z przedwczoraj. – Wstał z krzesła, obszedł stół, oparł się o blat stołu tak blisko Włocha, że niemal go dotykał, i odczytał na głos: – „Dobry kontakt z szefem operacyjnym F. Bollardem. Chyba mi ufa. Poprosiłem o dane producentów SCADA”. – Zamknął wiadomość i kliknął w następną. – Albo tutaj, wysłane wczoraj: „Podrzuciłem teorię o Talaeferze. Zobaczmy, czy się dadzą nabrać”.

Manzano wpatrywał się osłupiały w ekran.

– Ja ich nie napisałem – powiedział cicho. – Nie mam pojęcia, skąd one się tam wzięły.

Wszystkie te e-maile zostały wysłane podczas jego pobytu w Hadze. Czy Europol chce z jakichś niewiadomych powodów w coś go wkręcić? Potrzebują kozła ofiarnego? Ktoś próbuje się zemścić za jego dawne akcje?

– Niezły z pana komputerowy magik – stwierdził Hartlandt i się wyprostował. – Panie Manzano, jest pan aresztowany. Ma pan prawo do adwokata.

Dalej już go nie słuchał. W głowie miał gonitwę myśli. Ktoś od wielu dni śledził jego wszystkie poczynania, wiedział, o czym rozmawiał z Bollardem i z innymi, oraz o tym, że Europol wysłał go do Niemiec. On sam ani słowa nie zapisał na ten temat w swoim komputerze, a więc ten, kto to wszystko wiedział, musiał być wtajemniczony. Manzano widział tylko dwie możliwości. Albo ktoś w Europolu wziął się na niego, albo ktoś spoza organizacji przysłuchiwał się im – i przyglądał – przez cały ten czas. Zaczęło kiełkować w nim potworne podejrzenie, o którym nie mógł jednak powiedzieć Hartlandtowi, bo wydawało się szalone. Ale dla Manzana nie było wcale takie niedorzeczne. Dla kogoś, kto potrafił sparaliżować sieci energetyczne w

Europie, zabezpieczenia w systemie IT Europolu nie stanowiły prawdopodobnie wielkiego kłopotu. Manzano niczym robot wykonał polecenie i podniósł się z krzesła, czując mocny chwyt na swoim ramieniu, lecz miał wrażenie, że ono nie należy do niego. W jego mózgu tymczasem układał się cały scenariusz. Bywało, że on też dla żartu włamywał się do firmowych sieci i aktywował wewnętrzne kamerki i mikrofony, tak żeby ich użytkownicy niczego nie zauważyli. Dzięki temu mógł bez kłopotu podsłuchiwać ich rozmowy. Jego wyobraźnia podpowiadała mu wciąż nowe wizje. Skoro zamachowcy rzeczywiście złamali strukturę zabezpieczeń swoich ofiar, dlaczego mieliby poprzestać na Europolu? Cholera wie, kogo jeszcze podglądali i podsłuchiwali? Rządy? UE? NATO? Nawet nie zauważył, że został wyprowadzony na parking i wepchnięty do jakiegoś samochodu.

Ale dlaczego dobrali się akurat do niego, jeśli mieli tyle innych możliwości? Czy historia z Talaferem to jest ten gorący trop i z tego powodu chcą go uprzętać z drogi? No nie, teraz to już chyba trochę przesadził, to trąciło megalomanią. Gwałtownie potrząsnął głową, żeby z powrotem otrzeźwieć. Musi być jakieś prostsze wytłumaczenie. Dopiero teraz dotarło do niego, że siedzi na tylnym siedzeniu okazałego osobowego auta, obok niego jest Hartlandt, a za kierownicą jeden z jego pomocników.

– Dokąd jedziemy?

– Trafi pan do aresztu. Tam będziemy pana dalej przesłuchiwać. Zainteresowała się już panem także Federalna Służba Wywiadowcza.

– Nie może pan tego zrobić! Ja nie mam z tym wszystkim nic wspólnego!

Skoro jest już niemiecki wywiad, to pewnie zaraz zgłosi się też CIA, zwłaszcza w sytuacji, gdy doszło także do ataku na USA. Na samą myśl o metodach amerykańskiego wywiadu uznawanych nawet przez amerykańskich prezydentów zrobiło mu się niedobrze ze strachu.

Nanteuil

Na odgłos auta podjeżdżającego przed dom Annette Doreuil pospieszyła do przedpokoju. Obaj mężczyźni, ledwie łapiąc oddech, weszli do środka i szybko zamknęli za sobą drzwi.

Gdy jej mąż uniósł wysoko znajome jej opakowanie, poczuła ulgę.

Ale po chwili zmiażdżył je w swojej dużej dłoni. To była stara, pusta fiolka.

– Nic z tego – powiedział. – Teraz nie do dostania.

Düsseldorf

Kierowca Hartlandta skierował auto na parking obok dużego kompleksu budynków. Kilka miejsc zajmowały huczące agregaty prądotwórcze, których spaliny zasmradzały powietrze. Grube zwoje kabli wiły się przez wąską rabatę w kierunku jednego z gmachów.

Jechali jakieś pół godziny, minęli tablicę przy drodze, która oznajmiła Manzanowi, że znaleźli się w Düsseldorfie. Prawdopodobnie został dowieziony na miejscową komendę policji albo od razu do więzienia.

Pierwszy raz w życiu znalazłby się za kratkami. Swego czasu tylko go przesłuchali, a potem mógł iść do domu.

Ale teraz do domu miał dosyć daleko.

„Zainteresowała się już panem także Federalna Służba Wywiadowcza”. Nawet gdyby miało się skończyć tylko na niej, to i tak wolałby nie dostać się w jej obroty.

Kiedy wysiadł z samochodu, poczuł zimno. Hartlandt nie założył mu kajdanków, widocznie nie uważał tego za niezbędne.

– Muszę koniecznie do toalety – powiedział. – Nie mogę już wytrzymać. Może stanąłbym tam z boku?

Hartlandt zmierzył go krótko wzrokiem.

– Lepiej, żeby pan nie narobił w spodnie...

Manzano ruszył w stronę agregatów. Hartlandt i jego człowiek za nim. Przystanął przy jednej z maszyn i rzucił swoim opiekunom spojrzenie apelujące chociaż o minimum intymności, po czym rozpiął spodnie. Tamci dwaj zignorowali jego prośbę i stanęli tuż za jego plecami. Słyszał ich oddech, a jednocześnie ukradkiem oceniał wzrokiem agregaty i kable. Nie miał wyboru. Odwrócił się i skierował strumień na pomocnika Hartlandta.

– Co jest do cholery...!

Mężczyzna odskoczył do tyłu. Manzano wycelował teraz w Hartlandta. On też odruchowo cofnął się kilka kroków. Obaj spojrzeli na swoje spodnie. Manzano wykorzystał moment nieuwagi i puścił się pędem przed siebie.

Długimi susami przeciął parking, w biegu zamykając sobie rozporek. Za sobą słyszał wołania: – Stać! Zatrzymać się!

Ani mu się śniło. Był dobrym biegaczem. Ale czy da radę wytrenowanym policjantom – to się okaże. Krew pulsowała mu w uszach tak głośno, że prawie nie słyszał krzyków tamtych dwóch. Musi uciec z drogi. Jeden z nich na pewno będzie próbował dogonić go samochodem. Jego stopy niemal nie dotykały ziemi. Nerwowo omiół wzrokiem całą ulicę. Gdzie mógłby odbić w bok?

Znowu ktoś coś krzyczał. Skręcił w boczną ulicę, jednak natychmiast się zorientował, że także tutaj nie zdoła im umknąć. Koniecznie musi gdzieś odbić. Za nim rozlegał się szybki tupot jego prześladowcy. Nie był pewien, czy jednego, czy dwóch. Poczul pot na czole. Ciężki oddech zagłuszał bicie serca. Teraz usłyszał warkot silnika samochodu. Przed nim był ogród otoczony ogrodzeniem i żywopłotem wysokości około dwóch metrów. Jeszcze kilka kroków, wdrapał się i przeskoczył na drugą stronę. Usłyszał za sobą przekleństwa i pisk opon. Ruszył w kierunku domu, dużej willi. W oknach było ciemno. Obiegł ją z boku, za budynkiem ogród się rozszerzał, również od tej strony kończył się parkanem i żywopłotem. Nie mógł widzieć, co czeka go za nim. Jednym skokiem zdołał dopaść górnej krawędzi ogrodzenia. Podciągnął się w górę, przerzucił ciało na drugą stronę i wylądował na chodniku. Pobiegł dalej. Długo nie wytrzyma takiego tempa, był tego świadom.

Znowu usłyszał nawoływanie. Czyli nie pozbył się pościgu. Wręcz przeciwnie, głos

dochodził z bardzo bliska. Ale Manzano nic nie rozumiał. Rozległ się huk. Pędził uliczką prosto przed siebie. Z przodu znowu jakieś rozwidlenie. Kolejny huk. W tej samej chwili poczuł tępy ból w prawym udzie. Zachwiał się, lecz biegł dalej, jednak zauważył, że coraz wolniej. Nagle ktoś rzucił się na niego od tyłu i powalił na ziemię. Nie zdążył się obronić, bo wykręcono mu ręce do tyłu. Usłyszał szczęk metalu i poczuł, jak na jego nadgarstkach zatrzasnęły się zimne kajdanki.

– Idiota! – wydyszał mężczyzna. – Myślałem, że jest pan rozsądniejszy.

Manzano zobaczył obce ręce na swojej nodze.

– Niech pan pokaże.

Dopiero w tej chwili zdał sobie sprawę z bólu. Jego prawe udo płonęło, jakby ktoś przyłożył do niego rozżarzone żelazo.

– To tylko rana tkanki mięśniowej – stwierdził drugi i dźwignął go, biorąc pod ramiona. – Może pan stać?

Oszołomiony Manzano skinął głową. Kiedy jednak próbował obciążyć ranną nogę, od razu ugięła się pod nim. Drugi mężczyzna chwycił go w porę – to był kierowca, który go tu przywiózł. Włoch szukał przyczyny swojego bólu. Poniżej biodra prawa nogawka spodni była poszarpana. Wokół otworu powstała duża ciemna plama. Mężczyzna oparł go o ogrodzenie.

– Tylko niech pan nie próbuje już żadnych głupot – powiedział.

Zza rogu wyjechał samochód, którym przywieziono Manzana przed komendę policji. Zatrzymał się tuż przed nimi. Ze środka wysiadł Hartlandt.

– Potrzebny jest opatrunek – odezwał się jego pomocnik.

Hartlandt podszedł do Manzana, spojrzał mu w oczy i bez słowa pokręcił głową. Potem zbadał ranę. Powtórnie pokręcił głową i po chwili przyniósł z bagażnika auta apteczkę pierwszej pomocy.

Włoch ostrożnie przyjrzał się swojej ranie.

– Co się stało?

Hartlandt z wprawą lekarza przyłożył opatrunek i owinął bandażem udo.

– Został pan lekko postrzelony. To nic groźnego.

Ku własnemu zaskoczeniu Manzano nie był przerażony, tylko wściekły.

– Pańscy ludzie strzelali do mnie? – krzyknął.

– Nie musiał pan uciekać.

– Przecież chcecie mnie zamknąć, mimo że jestem niewinny!

– Próba ucieczki nie spowoduje, że panu uwierzę. Idziemy.

Hartlandt rozłożył koc na tylnym siedzeniu.

– Żeby nam pan tu wszystkiego nie zaświnił. Do środka!

Berlin

– Nic na to choćby w najmniejszym stopniu nie wskazuje – powiedział generał z NATO.

Każdy z dziesięciu monitorów w sali konferencyjnej centrum kryzysowego był podzielony na cztery części, z każdego okienka patrzyła co najmniej jedna twarz. W naradzie uczestniczyła większość szefów rządów państw unijnych albo ich ministrowie spraw zagranicznych, sześciu generałów z NATO znajdujących się w kwaterze głównej w Brukseli oraz prezydent Stanów Zjednoczonych. Za każdym z nich siedzi na pewno co najmniej połowa sztabu kryzysowego i zespołu doradców podobnie jak tutaj w Berlinie, pomyślała Michelsen.

– Ale ze względu na skalę ataku i niezbędne do jego realizacji zasoby w grę mogą wchodzić niewątpliwie tylko państwa – przyznał generał.

– A kto konkretnie byłby w stanie dokonać czegoś takiego? – spytał prezydent USA.

– Według naszych ocen w ostatnich latach ponad trzydzieści państw uzyskało techniczne możliwości przeprowadzenia cyberataku. Jednak wśród nich jest wiele z krajów dotkniętych awarią, między innymi Francja, Wielka Brytania, inne kraje europejskie i Stany Zjednoczone. Poza tym także członkowie ONZ-etu, jak Izrael czy Japonia.

Narady były najmniej przyjemną częścią dnia, uważała Michelsen. Zmęczenie kładło się coraz większym ciężarem na jej powieki, ale w końcu mogła przecież przysłuchiwać się rozmowom z zamkniętymi oczami. Miała wrażenie, że całe jej ciało jest jak worek z mokrym cementem bezwładnie rzuconym na krzesło. Nie było dla niej gorszej rzeczy niż tylko siedzieć i słuchać. Dopóki się ruszała, potrafiła panować nad wyczerpaniem. Zauważyła, że inni z obecnych w sali mieli podobny problem. Niejednemu nagle opadła na krótko głowa, ten i ów mrugał powiekami w obronie przed zaśnięciem. Zadawała sobie pytanie, jak to możliwe, że kanclerz i wielu pozostałych polityków są w takiej formie. Na pewno nie mieli więcej snu niż oni. Brali jakieś środki dopingujące? Głos prezydenta Stanów Zjednoczonych kazał jej szeroko otworzyć oczy.

– Więc kto wchodzi w rachubę?

– Według naszych informacji także Rosja, Chiny, Korea Północna, Iran, Pakistan, Indie i Republika Południowej Afryki byłyby w stanie wykonać coś takiego.

– Indie i Afrykę uważałbym raczej za naszych sojuszników – wtrącił brytyjski premier.

– Z wielu krajów mamy już pierwsze reakcje dyplomatyczne oraz oferty pomocy także dla USA. Nadeszły one prawie ze wszystkich wymienionych przed chwilą państw z wyjątkiem Korei Północnej i Iranu.

– Choć na razie nie znamy sprawców, musimy skupić się na sytuacji ludności – oznajmił kanclerz Niemiec. – Atak na Stany Zjednoczone każe nam na nowo skoordynować pomoc międzynarodową. Siły zmobilizowane do tej pory w USA dla wsparcia Europy w tej sytuacji zostaną wykorzystane na miejscu.

– Dzięki temu zyskaliśmy pewną niewielką przewagę czasową – zauważył amerykański prezydent. – Zaoszczędziliśmy co najmniej trzy dni na mobilizację środków.

– Powstaje pytanie, jak mamy odnieść się do pozostałych ofert pomocy – zabrał głos premier Włoch. – Czy chcemy przyjąć pomoc chińską lub rosyjską, zanim uzyskamy pewność, czy to właśnie te kraje nas zaatakowały? A może my już jesteśmy w stanie wojny z Chinami i Rosją, tylko o tym nie wiemy? A wtedy wraz z oddziałami wsparcia bez trudu przedostałby się przez nasze granice kolejni sabotażyści.

Albo to jest jakaś paranoja, pomyślała Michelsen, albo za mało się znam na prowadzeniu współczesnych wojen. Powinniśmy przyjąć każdą pomoc, jaką uda się nam zdobyć.

Minister obrony narodowej piastujący również funkcję wicekanclerza nacisnął guzik,

który wyłączył jego mikrofon, tak aby pozostali uczestnicy wideokonferencji nie mogli słyszeć jego słów.

– Muszę przyznać rację premierowi Włoch – zwrócił się do kanclerza. – Istnieje pewne ryzyko. – Ponownie nacisnął przycisk.

Kanclerz uniósł jedną brew. Michelsen obserwowała, jak w duchu rozważa przedstawiony przed chwilą problem.

– O ile wiem – zaczęła szefowa szwedzkiego gabinetu – pierwsze samoloty z pomocą z Rosji zapowiedziane są na pojutrze, na sobotę. W tym samym terminie mają wyruszyć pierwsze konwoje ciężarówek i transporty kolejowe. Chińskie transporty lotnicze oczekiwane są w niedzielę. Proponuję na razie nie przerywać przygotowań do ich przyjęcia. Jeśli w tym momencie damy publicznie wyraz naszym wątpliwościom, mogłoby dojść do dyplomatycznych tarć, które opóźniłyby to tak pilnie potrzebne wsparcie, a w najgorszym razie w ogóle by je zablokowały. Jeśli do tego czasu uzyskamy nowe przekonujące dane, w każdej chwili będziemy mogli wstrzymać transport.

Dziękuję, pomyślała Michelsen, zerknąwszy jednocześnie kątem oka na ministra obrony.

– Ponadto – dodała Szwedka – nie zapominajmy, że w przypadku tych sił pomocniczych chodzi o kilka tysięcy ludzi na całą Europę. A jeśli teraz będziemy musieli podzielić się nimi także ze Stanami Zjednoczonymi, przypadnie ich nam jeszcze mniej. Uważam, że nie uda im się zrobić wiele złego.

Ryzykowny argument, uznała w duchu Michelsen. Skoro nie mogą zrobić wiele złego, to może i dobrego również, a zatem czy ze względów bezpieczeństwa nie lepiej z nich w ogóle zrezygnować?

– Odpowiednio wykształceni ludzie – wtrącił jeden z generałów – są w stanie także w niewielkiej liczbie spowodować niewyobrażalne szkody, dlatego musimy być ostrożni. Ale sugestię pani premier uważam za niepozbawioną sensu. Na razie musimy na nowo skoordynować cywilne służby pomocnicze sił NATO. Zakładam, że niedługo się dowiemy, kto kryje się za tymi atakami.

Düsseldorf

Przed kliniką stały trzy ambulanse. Dwie grubo opatulone postacie pchające łóżko na kółkach wyszły z drzwi i ruszyły przed siebie. Manzano zauważył, że pod kocem leży pacjent. Wypełniona do połowy butelka z kroplówką kołysała się na metalowym statywie ponad jego głową. Zwisający poniżej gumowy wężyk zniknął pod przykryciem. Z tyłu biegł jakiś młody mężczyzna w białym stroju i gestykulował z ożywieniem. Dwie postacie przy łóżku pokręciły tylko głowami i dalej pchały swój ładunek w stronę ulicy. W końcu mężczyzna w białym uniformie poddał się, machnął ręką i pospieszył z powrotem w kierunku budynku.

Hartlandt przejechał obok tej osobliwej trupy i zatrzymał się za jednym z ambulansów.

– Da pan radę przejść parę kroków?

Manzano spojrział na niego gniewnie. Prawdopodobnie nie byłoby to dla niego problemem, ale dlaczego miał być miły dla kogoś, kto uważa go za terrorystę?

– Nie!

Hartlandt bez słowa zniknął w wejściu do szpitala. Jego pomocnik obserwował Włocha, który nie miał bynajmniej wiele możliwości, by wykonać jakiś ruch. Ręce skute kajdankami na plecach, w nodze pulsujący ból.

Po chwili Hartlandt wrócił z fotelem na kółkach.

– Niech pan siada.

Gdy Manzano niechętnie wykonał jego polecenie, wepchnął go na wózek do środka. Pomocnik szedł za nimi krok w krok.

Ledwie przekroczyli próg, prawie powalił go nieopisany smród. Choć wewnątrz nie było wiele cieplej niż na dworze, cuchnęło rozkładem i fekaliami, gdzieś w tle przebijały się resztki środka dezynfekującego. Od razu go zemdliło. Już drugi raz w ciągu kilku ostatnich dni z konieczności trafił do kliniki, żeby poddać się drobnym zabiegom medycznym. Nagle zrobiło mu się strasznie żal samego siebie. Nie chciał tu być. Marzył o tym, żeby znaleźć się we własnym domu albo na jakiejś słonecznej plaży czy w górskim domku przed ogniem trzaskającym w kominku. Przez głowę przemknął mu obraz z Ischgl, kiedy siedział razem z Angström w promieniach słońca. Na chwilę poprawił mu się humor. Ale zaraz uświadomił sobie znowu, gdzie się znajduje.

Także w holu wejściowym łóżka z pacjentami pchali ludzie niewyglądający na sanitariuszy czy salowe. Panował tu niemały chaos, lecz jak zauważył Manzano, niemal wszyscy zmierzali w kierunku wyjścia. Kiedy odwrócił głowę, kolejny pacjent wyjechał na dwór.

Hartlandt prowadził go przez korytarz, pod którego ścianami stały szeregi łóżek. Leżeli w nich chorzy i ranni. Jedni cicho, inni jęczeli i zawodzili. Przy niektórych stała jakaś postać – raczej ktoś z rodziny niż lekarz. Tutaj było nieco cieplej, ale też dużo poniżej normalnej temperatury pokojowej. Oprócz tego ubranego na biało młodego człowieka przed szpitalem Manzano nie zauważył dotąd ani jednego doktora czy pielęgniarki.

Wreszcie dotarli do drzwi z napisem „Ambulatorium”. W poczekalni wszystkie krzesła były zajęte. Hartlandt wyjął swoją legitymację i pokazał ją rejestratorce.

– Rana postrzałowa – powiedział krótko.

Manzano nie najlepiej znał niemiecki, ale rozumiał go na tyle, że mógł śledzić rozmowę tych dwojga. Dwa semestry na studiach w Berlinie, rok spędzony z niemiecką przyjaciółką i wizytowanie od wielu lat – nie do końca legalnie – systemów niemieckich przedsiębiorstw się opłaciły.

– Potrzebujemy lekarza natychmiast – dodał Hartlandt.

Manzano poczuł, jak żołądek opada mu na samo dno. Jak to natychmiast? Przecież

powiedzieli mu, że wcale nie jest tak źle?

Siostra pozostała niewzruszona.

– Przecież widzi pan, co tu się dzieje. Każdemu mówię, że nie możemy się już nikim zająć. Szpital powinien być dawno ewakuowany. Myśli pan, że ktoś mnie słucha? A czy pan mnie słucha?

– To niech pani teraz mnie posłucha – nie ustępował Hartlandt. – Chcę natychmiast widzieć jakiegoś lekarza. Czy mam pani wyjechać z narodowym interesem albo z innymi argumentami, żeby pani w końcu kogoś sprowadziła?

Zdesperowana kobieta podniosła ręce do góry.

– I co ja mam robić? Każdy...

– Ma pani sprowadzić lekarza – przerwał jej Hartlandt. – Bo jak nie, to zrobię to sam. Westchnęła i zniknęła za drzwiami.

W poczekalni czekało co najmniej z pięćdziesiąt osób. Jakaś kobieta usiłowała uspokoić swoje płaczące dziecko. Na krześle obok starszy mężczyzna oparł się całym ciałem o żonę, miał kredowobiałą twarz, powieki mu drżały. Żona nieustannie szeptała mu coś do ucha, głąskała go po policzku. Inna kobieta bardziej leżała, niż siedziała na swoim krześle z głową odchyloną do tyłu – woskowa skóra, jedna ręka uniesiona na wysokości piersi, na końcu przesiąknięty krwią kikut z gazy, pod którym musiała znajdować się dłoń. Manzano odwrócił wzrok. Wolał patrzeć na ścianę. Ale to niewiele go uspokoiło. Zamknął więc oczy i usiłował myśleć o czymś przyjemnym.

– Co to ma znaczyć? Za kogo się pan uważa?

Za plecami Manzana pojawiła się siostra w towarzystwie czterdziestolatka wyposażonego w lekarskie akcesoria i ubranego w fartuch, który już dawno nie był biały. Pod oczami miał ciemne sińce, jego twarz już od kilku dni nie widziała maszynki do golenia. To on teraz podjął dyskusję z Hartlandtem.

– Nagły wypadek – wyjaśnił funkcjonariusz. – Ma pierwszeństwo przed wszystkimi.

– A to niby dlaczego?

Hartlandt pokazał mu swoją legitymację.

– Bo być może ten ktoś jest współodpowiedzialny za sytuację, w której wszyscy się znajdujemy...

Manzano myślał, że się przesłyszał. Ten szaleniec robił z niego tutaj, na oczach wszystkich, kozła ofiarnego!

– To tym bardziej mam powód, by się nim nie zająć! – prychnął lekarz.

– Hipokrates nie byłby z pana dumny – zauważył Hartlandt. – Ten pacjent może też pomóc w rozwiązaniu problemu. Ale aby się tak stało, jest potrzebny w dobrej formie, z ustabilizowanym ciśnieniem, bez groźby zakażenia i infekcji.

Mężczyzna w kitlu burknął coś pod nosem, po czym zwrócił się do Hartlandta:

– Proszę za mną.

Ruszył przez poczekalnię, a Hartlandt z Manzanem na wózku za nim. Niektórzy z czekających patrzyli na nich z ciekawością, inni protestowali. Jakaś kobieta próbowała zatrzymać doktora, lamentowała, błagała. On zaś powiedział do niej:

– Nie ma pani tu co czekać. Brakuje nam personelu, materiałów opatrunkowych i lekarstw. Ten szpital zostanie dziś ewakuowany. Proszę udać się do innej kliniki.

Nie słuchając odpowiedzi kobiety, ruszył dalej. Zaprowadził ich do niewielkiego gabinetu zabiegowego i wskazał leżankę.

– Skończył się nam podkład higieniczny. Musi się pan położyć bez niczego.

Hartlandt uniósł Manzana za ramiona z fotela.

– A to co takiego? – spytał lekarz na widok kajdanków. – Zdjąć! Tak nie będę mógł go opatrzyć.

Hartlandt rozpiął je i schował do kieszeni.

Medyk rozciął opatrunek na nodze Manzana, a potem także całą nogawkę spodni. Zbadał ranę, dotknął jej bardzo ostrożnie, ale pacjent i tak wrzasnął z bólu.

– Nie jest tak tragicznie – oznajmił doktor. – Istnieje tylko jeden problem. Nie mamy już środków znieczulających. Czy chce pan...

– To Włoch – przerwał mu Hartlandt. – Czy mógłby pan mówić po angielsku?

Lekarz powtórzył ostatnie zdanie prawie bezbłędną angielszczyzną i ciągnął:

– Mogę prowizorycznie opatrzyć ranę i zostawić kulę w środku, co raczej grozi infekcją, albo usunąć pocisk i opatrzyć ranę bez znieczulenia.

Manzanowi zakręciło się w głowie. Zerknął na swoje odsłonięte udo. Z boku, na długości dziesięciu centymetrów, ciągnęło się krwawe zagłębienie o postrzępionych brzegach z dziurą na samym dnie. Czuł, że cały oblał się potem. Serce waliło mu jak oszalałe. Czy Hartlandt nie mówił przypadkiem o lekkim draśnięciu?

– Na razie ją panu zdezynfekuję – oznajmił lekarz. – Będzie miał pan przedsmak. I wtedy pan zdecyduje.

Wylał trochę jakiegoś płynu na kawałek gazy i przyłożył ją do rany. Manzano jęknął.

– To straszne – zdenerwował się doktor. – Odnoszę wrażenie, jakbym się znalazł w czasach wojny trzydziestoletniej, kiedy rannym najpierw dawano butelkę wódki, a potem odrąbывano im nogę. To już nie ma nic wspólnego z medycyną. Czuję się jak rzeźnik.

Sawed off the leg. A butcher. Manzano zamknął oczy, mając nadzieję, że straci przytomność. Ale jego krwiobieg nie wyświadczył mu tej przysługi.

Nie chciał infekcji, w wyniku której prawdopodobnie straciłby nogę, lecz nie paliło mu się także do operacji bez narkozy. Ktoś nim potrząsnął.

– No i co? – spytał lekarz.

Włoch nabrał głęboko powietrza i odpowiedział po angielsku:

– Trzeba to wyciągnąć.

– Okej. Proszę mocno zacisnąć zęby. Albo jeszcze lepiej – wetknął pacjentowi zwinięty bandaż do ręki – niech pan to zagryzie.

Znowu wylał środek dezynfekujący na kawałek gazy i wytarł nią długą pęsetę.

– Nie mamy już sterylnych instrumentów – wyjaśnił, wzruszając ramionami.

Potem ktoś wbił w udo Manzana rozżarzony pręt i zaczął obracać nim w ciełe. Piero usłyszał nieludzki odgłos – przeciągły, dobywający się z ciemnej otchłani, jednak przytłumiony kneblem ryk. Dopiero kiedy zabrakło mu powietrza, zrozumiał, że dobywa się on z jego gardła. Po chwili płuca odmówiły mu współpracy. Próbował się zerwać, ale Hartlandt przyciskał mu do leżanki ramiona, a jego pomocnik – kolana.

Przez szparę w załzawionych oczach ujrzał, jak lekarz unosi do góry pęsetę i przysuwa mu do twarzy. Między jej zakrwawionymi końcami tkwiło coś czerwonego.

– Mamy ją.

Wyrzucił kulkę do wiadra obok kozetki.

– Jeszcze tylko zszyję. Ale to już nie będzie tak bolało.

Teraz chyba już nic nie będzie bolało, pomyślał Manzano i znowu oblał się potem. Miałem głęboko oddychać, przypomniał sobie, a potem ogarnęła go ciemność.

Paryż

Laplante skierował kamerę na Jamesa Turnera ustawionego przed jakąś halą fabryczną, przeklinając w duchu Shannon za to, że zostawiła go samego z tym dupkiem. Za plecami Turnera pojawiały się co rusz pojedyncze postacie albo grupki osób taszczące ogromne paczki z wielkiej ciemnej bramy.

– Znajduję się przed centralnym magazynem dużej sieci spożywczej na południe od Paryża. Dziś w nocy wyłamano tu bramy i teraz ludzie zabierają stamtąd wszystko, co jeszcze się tam znajduje.

Laplante poszedł za Turnerem, który ruszył w kierunku grupki nadchodzącej od strony magazynu i zagroził im drogę. Nieśli całe naręcza plastikowych toreb wypchanych nie wiadomo czym.

– Co tam macie? – spytał Turner.

– Gównu to pana obchodzi – odpowiedział jeden z mężczyzn i zdecydowanym ruchem odepchnął reportera na bok.

Dziennikarz nie stracił rezonu.

– Jak widać, ludzie są u kresu psychicznej wytrzymałości. W szóstym dniu nieprzerwanego braku prądu z wyjątkiem krótkiej i częściowej dostawy w drugim dniu awarii mieszkańcom Paryża brakuje już wszystkiego. Informacja, że radioaktywna chmura z Saint-Laurent może dotrzeć do stolicy, jeszcze bardziej pogorszyła nastroje w mieście. I właśnie ta wiadomość jest głównym tematem naszego materiału.

No nie, tylko nie to, pomyślał Laplante. Turner dał mu znak, żeby zatrzymał kamerę.

– Może ustawimy się przed samym wejściem, to będziemy mieli od razu reakcje.

– Odbiło ci chyba.

– Kto tu jest dziennikarzem: ty czy ja?

– A ja jestem producentem – odpowiedział Laplante, zbyt zmęczony, by się kłócić. – I uważam, że to nie ma już sensu.

– Do jasnej cholery! – wrzasnął Turner. – Nawet jak to ma być koniec świata, to będziemy go relacjonować na żywo!

– Tylko że nie ma komu tego oglądać – wymamrotał Laplante.

– Pół świata nas ogląda! Bo nawet jeśli jakiś skurwiel wyłączył światło Europie i Ameryce, to i tak zostało jeszcze parę miliardów widzów! Nie zamierzam tylko dlatego, że ty w tym swoim ptasim mózdzku...

Laplante przemilczał jego tyradę. Po wiadomościach, jakie dotarły z USA, Turner zupełnie nad sobą nie panował. Do tej pory skrycie upajał się pozorną wyższością technologiczną swojej ojczyzny. Teraz, kiedy hańba dotknęła także jego kraj, dołączyła się jeszcze troska o bliskich, a zwłaszcza o rodziców. Turner wprawdzie się do tego nie przyznawał, ale widać było, że cała ta sytuacja doprowadza go do obłędu.

– To co, zaczynamy? – spytał dziennikarz, znowu spokojny.

– Proszę.

Turner wyciągnął zza paska płaszcza przyrząd, który od czasu swojej krótkiej wizyty w Saint-Laurent zawsze nosił przy sobie.

– A teraz obowiązkowy pomiar – oświadczył z poważną miną. – Za pomocą tego dozymetru mogę stwierdzić aktualny poziom napromieniowania.

Uniósł aparat do góry.

– Jest to urządzenie cyfrowe, czyli żadne terkoczące ustrojstwo, jakie znamy z filmów. Skonstruowano je w ten sposób, że przy stwierdzeniu dawki krytycznej lub niebezpiecznej

wydaje sygnał ostrzegawczy...

Głośne pikanie przerwało wywód Turnera. W osłupieniu spojrzął w górę na skrzyneczkę i dopiero po chwili się zorientował, że aby odczytać wskaźnik, musi opuścić aparat na wysokość oczu.

Laplante przybliżył jego twarz, na której najpierw widoczne było zdumienie, potem niedowierzanie i w końcu przerażenie.

– To...

Jeszcze raz podniósł urządzenie do góry, wyciągnął w lewą, w prawą stronę, zrobił kilka kroków. Laplante śledził jego ruchy. W tle z bramy wymykali się kolejni złodzieje.

Turner przysunął skrzyneczkę do oka kamery.

– Zero i dwie dziesiąte mikrosiwerta na godzinę! – odczytał. – Dwa razy więcej niż najwyższa dawka uznawana za nieszkodliwą! Chmura radioaktywna dotarła do Paryża!

Poruszony obraz uprzytomnił Laplante'owi, że niewiele brakowało, a upuściłby kamerę na ziemię. Najchętniej przerwałby całe to nagranie, ale chyba udzielił mu się w końcu zapal Turnera.

Amerikanin szukał teraz rozmówców. Szybkim krokiem podszedł do młodej kobiety. Spod wełnianej czapki wystawały kosmyki jasnych włosów trzepoczące na wietrze. W obu rękach dźwigała wypchane torby.

– Wie pani, co to jest? – spytał Turner, podtykając jej dozymetr pod nos. Nie czekając na odpowiedź, kontynuował: – Ten dozymetr mierzy napromieniowanie radioaktywne. I wie pani, co przed chwilą pokazał?

Düsseldorf

– Niech się pan obudzi, już po wszystkim.

Manzano potrzebował kilku chwil, żeby zorientować się, gdzie się znajduje. Leżał na plecach, czuł pulsujący ból w udzie. Nad nim pochylały się trzy twarze. I wtedy wszystko sobie przypomniał.

– Sprytnie z pana strony – powiedział nieogolony lekarz. – Dzięki temu nic pan nie czuł, jak zszywałem panu ranę.

– Jak... jak długo byłem...?

– Dwie minuty. Teraz zostanie pan parę godzin na obserwację. Potem i tak wszyscy muszą opuścić szpital.

– Dlaczego? – spytał Hartlandt.

Lekarz podciągnął Manzana za rękę do pozycji siedzącej.

– Od przedwczoraj nasze zasilanie awaryjne pracuje już na rezerwie. – Z pomocą Hartlandta przeniósł Manzana z powrotem na wózek. – A więcej paliwa nie dostaniemy – wyjaśniał dalej, opuszczając razem z nimi gabinet. – Bo nie starcza dla wszystkich placówek w Düsseldorfie. Teraz największy problem to pozbycie się pacjentów. Dziś wieczorem w szpitalu zgasną ostatnie światła.

– Nie ma żadnych planów awaryjnych na sytuacje kryzysowe? – zdziwił się Hartlandt.

– Tak ekstremalnych przypadków nie przewidziano – odrzekł lekarz. – Niech pan poszuka dla swojego człowieka jakiegoś wolnego łóżka. Zajrzę do niego potem.

– A może lepiej od razu umieścimy go gdzieś indziej?

– Musi odpocząć przez kilka godzin. Poza tym w żadnej z działających jeszcze klinik nie znajdzie pan dla niego miejsca. Łóżka i personel potrzebne są do cięższych przypadków.

– W końcu zostałem postrzelony, to nie taka bagatelka – wtrącił Manzano słabym głosem.

– To nie było groźne. Niech mi pan wierzy, że wolałby pan nie wiedzieć, jakie operacje musiałem przeprowadzać w ostatnich godzinach bez żadnego znieczulenia.

Miał rację: Włoch rzeczywiście nie chciał tego wiedzieć. W tym momencie ujrzał przed oczami średniowieczne drzeworyty przedstawiające sceny tortur.

– Niestety, nie dam panu żadnych środków przeciwbólowych, bo też już dawno się skończyły. Przez najbliższe dni będzie pan jeszcze czuł tę ranę. – Wcisnął mu do ręki dwa pudełka. – Tu ma pan przynajmniej antybiotyk. W razie gdyby doszło do infekcji, powinien pomóc. Teraz najlepiej niech się pan trochę prześpi.

Bez słowa pożegnania odwrócił się na pięcie i poszedł.

– W takim razie – Hartlandt odezwał się do swojego pomocnika – znajdź jakieś łóżko dla tego pana. Mnie też by się przydało, ale raczej nic z tego. Wracam do Talaferu, tam jest co robić. Uważaj dobrze na niego, teraz szybko nam nie ucieknie. Przyjadę później albo przyślę samochód.

Powiedziawszy to, precisiął się przez korytarz do wyjścia.

Manzano patrzył za nim, dopóki nie zniknął mu z pola widzenia.

– Jak się pan nazywa? – spytał swojego strażnika. – Skoro mamy spędzić razem najbliższe godziny...

– Helmut Pohlen – odpowiedział mężczyzna.

– No więc, panie Helmucie Pohlenie, poszukajmy łóżka dla mnie.

W korytarzach stało dużo łóżek, ale wszystkie były zajęte. Nigdzie nie widzieli sal dla pacjentów. Manzanowi było zimno. Pot, który oblał go całego podczas zabiegu usuwania kuli, nie wysychał tak szybko. Prawą gołą miał całkiem odsłoniętą. W końcu odkryli jakieś

osamotnione łóżko w jednym z przejść. Kołdra i poduszki były zmierzwione, jakby ktoś opuścił je dopiero przed chwilą. Przy pomocy Pohlena dźwignął się z wózka. Miał nadzieję, że kołdra jest dostatecznie ciepła. Ledwie się położył, od razu poczuł, jak bardzo jest zmęczony. Pohlen przesunął łóżko do małego pokoju, który mijali po drodze, wyraźnie przeznaczonego do przeprowadzania zabiegów, ale teraz pustego. Łóżko wypełniło prawie całe pomieszczenie. Pohlen zamknął drzwi, postawił jedyne krzesło między łóżkiem a drzwiami i usiadł w taki sposób, że widział i jedno, i drugie. Manzano miał w nosie jego strategię. Zamknął oczy i od razu zasnął.

Shannon odczekała kilka minut. Kiedy Manzano i jego opiekun wciąż nie wychodzili z pokoju, podeszła do drzwi. Zapukała cicho i otworzyła, choć nie słyszała, żeby ktoś powiedział „proszę”. Pokój był tak mały, że łóżko Manzana zajmowało go niemal w całości.

Włoch zdawał się spać. Jego strażnik zerwał się na równe nogi, kiedy Shannon zajrzała do środka. Ale ona już zobaczyła to, o co jej chodziło: w środku nie było ani okna, ani żadnych innych drzwi.

– *Sorry* – szepnęła i się wycofała.

Poszła kilka metrów dalej korytarzem i zatrzymała się w miejscu, z którego dobrze widziała wyjście z izolatki Manzana, sama jednak pozostawała w ukryciu.

Co ten makaroniarz zmalował, że tamci aż do niego strzelali?

A niech to szlag, jak tu cuchnie!

Ratingen

Dienhof stał przed tablicą magnetyczną, na której widniało kilka narysowanych diagramów. Piktogramy budynków połączone ze sobą liniami. Poza nim i Hartlandtem obecni byli tylko Wickley, współpracownicy Hartlandta, członek zarządu odpowiadający w Talaferze za sprawę bezpieczeństwa, szef ochrony i szefowa działu personalnego firmy.

– Jako punkt wyjścia przyjęliśmy najgorszy z możliwych przypadków – zaczął Dienhof. – To znaczy, że nasze produkty istotnie mogłyby być przyczyną problemów w elektrowniach. Dlatego zastanowiliśmy się w pierwszej kolejności nad tym, jak to możliwe, że błędy wystąpiły aż w tylu elektrowniach, i to na dodatek jednocześnie. Trzeba bowiem wziąć pod uwagę, jak zbudowane są nasze produkty i w jaki sposób są implementowane u klientów. Po pierwsze, w elektrowniach pracują systemy różnych generacji. Z danych dostarczonych przez Europol wynika, że problemy dotyczą obiektów wyłącznie drugiej i trzeciej generacji, a nie pierwszej. Te produkty opierają się na podstawowych modułach, które częściowo opracowaliśmy sami, ale także na modułach standardowych, jak na przykład protokoły, które obecnie stosowane są często w internecie. – Dienhof ilustrował swoje wywody prezentacją rysunków na tablicy. – Na tej podstawie opracujemy dla każdego z klientów rozwiązania niejako szyte na miarę. A to oznacza, że błędu czy świadomej manipulacji, której ofiarą padło tak wiele elektrowni, musimy, co zrozumiałe, szukać najpierw w którymś z modułów podstawowych.

– Ale chyba równie dobrze błąd mógłby być też gdzie indziej – przerwał mu jeden z ludzi Hartlandta.

– Teoretycznie tak, ale praktycznie nie, bo wtedy ten wywołujący awarię software też musiałby być szyty na miarę, a coś takiego wymagałoby z pewnością za dużo zachodu.

Kiedy współpracownik Hartlandta skinął ze zrozumieniem głową, Dienhof wrócił do przerwane go wątku.

– Musimy więc zadać pytanie, kto opracowuje te moduły podstawowe, ewentualnie kto ma u nas do nich aktywny dostęp. To była pierwsza grupa, która znalazła się w polu naszego zainteresowania.

W wolnym miejscu na tablicy narysował koło i napisał nad nim: „Moduły podstawowe – aktywny dostęp”.

– Czy „aktywny dostęp” – przerwał mu teraz Hartlandt – oznacza dostęp pozwalający na zmianę tych elementów?

– Tak – potwierdził Dienhof. – Proszę jednak nie myśleć, że to jest tak, iż elektrownie otrzymują od nas system i potem już w ogóle o nas nie słyszą. Nasze produkty są niezwykle złożone i są oczywiście na bieżąco doskonałe. Oznacza to, że firmy wciąż dostają od nas zaktualizowane wersje swojego oprogramowania albo poszczególnych jego fragmentów. I w tym miejscu mamy także bardzo interesującą grupę współpracowników, a mianowicie takich, którzy mają bezpośredni dostęp do bieżących systemów producentów. Ma się rozumieć, że zarówno owi współpracownicy, jak i procedury aktualizowania podlegają surowym przepisom bezpieczeństwa. Generalna zasada dotycząca bezpieczeństwa w naszej firmie opiera się na ścisłym rozdzieleniu jednostek odpowiadających za poszczególne obszary, takie jak rozwój, kontrola i współpraca z klientem.

Obok pierwszego kółka narysował dwa następne. Do drugiego wpisał „Kontrola”, a do trzeciego „Implementacja/Współpraca z klientem”.

– Osoba opracowująca oprogramowanie nie może należeć do kontrolerów ani do tych, którzy wdrażają je u klienta. Podobnie kontroler nie może zajmować się projektowaniem ani implementacją. Oczywiście to, że pracownik dokonujący implementacji nie ma dostępu do

projektowania i kontroli, nie oznacza bynajmniej, że nie potrafi czytać i analizować elementów programu. Rzecz jasna, potrafi, tylko nie może ich zmieniać. Tak więc aby podrzucić klientowi wirusa, trzeba umieć go tak genialnie napisać, żeby kontrolerzy i ich instrumenty nie mogli go odkryć. Albo mamy do czynienia z błędem w systemie upoważniającym do dostępu do archiwum kodu źródłowego.

– Co to znowu znaczy? – spytał Hartlandt.

– Kod źródłowy wolno zmieniać tylko określonym osobom. Każda taka zmiana podlega weryfikacji przez innych i musi być przez nich zaakceptowana.

– Więc jeśli mielibyście błąd w tym systemie...

– ...to znaczy, że któryś z projektantów mógłby przemycić kod mimo kontroli. Uważam to za wykluczone. Sprawdziliśmy logi archiwum kodu źródłowego i nie znaleźliśmy niczego, co by mogło wskazywać na to, że jakiś kod programowy mógłby zostać przemycony.

Dużo trybu warunkowego, pomyślał Hartlandt. Ten poczciwy Dienhof nie mógł wyraźnie pogodzić się z myślą, że to jego firma ponosi częściową odpowiedzialność za ten rozgardiasz.

– To wszystko jest logiczne, ale co, jeśli to nie była jedna osoba?

– Nad tym też się zastanawialiśmy. Uważamy to jednak za wysoce nieprawdopodobne z następującego powodu: we wszystkich częściowych zakresach ludzie pracują nad bardzo wąskimi i specjalistycznymi projektami i nie mają dostępu do danych innych, a przynajmniej nie do kompletnych. A to oznacza, że gdyby ktoś chciał przeprowadzić atak u tyłu naszych klientów, musiałby mieć więcej niż tylko jednego czy dwóch współników. Nie, moim zdaniem szukamy jednej jedynej osoby, i to takiej, która potrafi zmienić elementy wykorzystywane przez wszystkie programy. Po przeanalizowaniu dostępu do archiwum kodu źródłowego doszliśmy do wniosku, że mogą wchodzić w rachubę tylko trzy osoby. Pierwsza to Hermann Dragenau, nasz główny architekt. On oprócz projektowania programów potrafi też dostosowywać standardowe biblioteki.

Hartlandt pamiętał to nazwisko. Poszukując pracowników Talaferu, zasięgnął informacji także o nim.

– Dragenau jest na urlopie na Bali – stwierdził.

– Tak, my też to wiemy. Każdy z naszych kluczowych pracowników musi zostawić kontakt do siebie również podczas urlopu, tak by w razie pilnych sytuacji można go było znaleźć. Niestety, nie udało nam się z nim na razie porozumieć. Zostawiliśmy mu wiadomość. Druga osoba to Bernd Wallis. Przebywa w Szwajcarii na nartach, jego także nie złapaliśmy. A trzecia to Alfred Tornau. On był na liście pracowników, którzy nie mają jak dostać się do pracy. Ale o ile wiem, nie zastał go pan w domu i w ogóle nie wiadomo, gdzie się teraz podziewa.

– Jego i jeszcze paru innych szukamy nadal – odpowiedział Hartlandt. Spojrzał na Wickleya. – A jak wygląda sytuacja z członkami zarządu?

– Obowiązują nas takie same zasady bezpieczeństwa jak wszystkich pracowników – odparł ze spokojem prezes. – Z braku potrzeby mamy o wiele mniejsze możliwości dostępu niż każdy technik i żadnej możliwości zarządzania kodem źródłowym.

– To prawda – potwierdził Dienhof.

Hartlandt postanowił zadowolić się na razie tą deklaracją. Wiedział jednak z doświadczenia, że członkowie zarządu przeciętnej niemieckiej firmy nieoficjalną drogą zawsze uzyskują od swoich pracowników wszystko, co chcą. Powinien mieć to z tyłu głowy.

– Jeśli zatem dobrze rozumiem: mamy trzy osoby wchodzące w rachubę. Jedna siedzi na Bali, druga jest w Szwajcarii, a trzecia zniknęła. Wspaniałe wiadomości.

– Dobra robota, Dienhof. – Wickley wprawdzie wcale tak nie uważał, mimo to powiedział te słowa, gdy zostali już we dwóch. W rzeczywistości najchętniej urwałby mu głowę podczas tych wywodów. W Talaferze bowiem nie ma żadnych luk w zabezpieczeniach. Nie

może być! – Choć nietrudno było nie zauważyć, że panu samemu nie bardzo podobało się to, że niektórzy byliby w stanie dokonać manipulacji programów. Jestem jednak przekonany, że nawet w takim przypadku nikomu nie udało by się doprowadzić do naprawdę znaczących szkód. – Rzecz jasna, Wickley nie miał choćby odrobiny wiedzy technicznej czy organizacyjnej umożliwiającej takie twierdzenie. Ale Dienhof potrzebował teraz zielonego światła. – Chciałbym, żeby współpracował pan z władzami bez najmniejszych ograniczeń. Proszę im przekazywać wszelkie dane i materiały, jakich zażądamy. Trzeba zapewnić im nieograniczony dostęp. – Ci czterej specjaliści IT z Federalnego Urzędu Kryminalnego mieli za mało wiedzy, by cokolwiek znaleźć. Mogli jedynie wspierać personel Wickleya i w ograniczony sposób go nadzorować. – Jestem przekonany, że nie odkryjemy niczego, co miałoby coś wspólnego z wyłączeniami prądu. Może natkniemy się na taki czy inny niewinny żarcik programisty w kodzie programu. Jego nieszkodliwość da się na pewno bez trudu wyjaśnić naszym dochodzeniowcom, ale byłbym wdzięczny, gdyby meldował pan o takich przypadkach w pierwszej kolejności mnie, a nie współpracownikom Hartlandta. Aby kierownictwo firmy mogło udzielić władzom kompetentnych wyjaśnień.

– A jeśli oni sami coś znajdą?

– Oczywiście proszę poinformować mnie o tym niezwłocznie. Dobrze by było ich wtedy trochę przyhamować, dopóki pan sam nie wyrobi sobie zdania i nie zawiadomi najpierw mnie. Potem możemy nawet pozwolić im się cieszyć...

Haga

Bollard studiował w zamyśleniu ogromną ścianę w centrum kryzysowym, na której gromadzili wszystkie informacje.

Zaprzestał prób dodzwonienia się do swoich rodziców. Po ataku na Stany Zjednoczone do Hagi prawie już nie docierały żadne doniesienia na temat sytuacji w Saint-Laurent.

Amerykańskie agencje informacyjne nadawały niemal wyłącznie lokalne wiadomości. Inni nadawcy, jak Al-Dżazira czy Azjaci, chyba nie mieli żadnych swoich korespondentów na miejscu. Bollard cieszyłby się, gdyby kanały komunikacyjne między organizacjami narodowymi i międzynarodowymi działały jeszcze choćby w jakiejś szczątkowej formie. Tymczasem z kolegami z UE w Brukseli i Strasburgu wymieniali się informacjami tylko czasami, ale z kolegami we Francji – jeszcze rzadziej. Równie sporadycznie skapywały wiadomości z Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej z Wiednia. Ostatnia informacja na ten temat to 5. stopień w skali INES. W przeciwieństwie do kierownictwa grupy energetycznej EDF i francuskiego Urzędu Nadzoru Nuklearnego wiedeńska MAEA nie wykluczała częściowego stopienia się rdzenia w bloku pierwszym.

Bollard modlił się o to, aby jego rodzice i teściowie zostali w porę ostrzeżeni i ewakuowani.

Saint-Laurent nie był już jedyną elektrownią, w której zawiodły systemy awaryjne. Z francuskiego Tricastin, belgijskiego Doel, czeskiego Temelína i bułgarskiego Kozloduja meldowano o podobnych awariach. Doel leżało zaledwie sto czterdzieści kilometrów od Hagi, a od Brukseli dzieliło elektrownię zaledwie sześćdziesiąt kilometrów. Na razie w żadnym z tych obiektów nie doszło do radioaktywnego wycieku, jednak przy niekorzystnym rozwoju sytuacji i niesprzyjającej pogodzie chmura radioaktywna mogła szybko dotrzeć do belgijskiej stolicy i siedziby Rady oraz Komisji Europejskiej.

Bollard wetknął kolejną szpilkę w mapę Europy. Po dzisiejszym porannym telefonie od Niemców przekazał wszystkim obecnym oficerom łącznikowym polecenie, aby rozpoznali sytuację w swoich krajach. Do południa dotarły meldunki z Hiszpanii, Francji, Holandii, Włoch i Polski. W Hiszpanii zgłoszono pożar stacji transformatorowej i wysadzenie dwóch masztów, we Francji padły cztery maszty, w Holandii, Włoszech i Polsce – po dwa. Przy czym wszystkie kraje podkreślały, że dane nie są kompletne, ponieważ nie dysponują odpowiednią liczbą zespołów kontrolnych. Każdy zniszczony obiekt Bollard zaznaczał szpilką na mapie.

– Z Niemiec też nadeszły nowe informacje – powiedział. – Berlińska teoria tras chyba jednak się nie sprawdza. Okazuje się, że nie było pożaru w Lubece, za to doszło do podpalenia w południowej części Bawarii. Również maszty na północy zawaliły się chyba z przyczyn naturalnych. Za to z premedytacją zniszczono maszt we wschodniej Saksonii-Anhalcie.

– Czyli nie powinniśmy zakładać, że ktoś jeździ po Europie i po kolei wyłącza z sieci poszczególne obiekty?

– To musiałyby być setki oddziałów.

Ich rozważania przerwał dzwonek radiotelefonu.

– Do pana – zwrócił się do Bollarda jeden z pracowników, który podał mu słuchawkę.

Po drugiej stronie zameldował się Hartlandt.

– Od godziny próbuję się do pana przebić.

W pierwszej chwili Bollard nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał. Włoch próbował uciec i został postrzelony. Teraz leży w jednym ze szpitali w Düsseldorfie. Hartlandt powtórzył mu także, że Manzano uparcie twierdzi, iż to nie on, tylko ktoś inny musiał wysłać z jego komputera te obciążające go e-maile.

– Ktoś z Europolu – powiedział – albo ktoś, kto znał wasze plany, bo włamał się do wewnętrznego systemu komunikacyjnego.

– Daję głowę za swoich ludzi – zapewnił Bollard.

Gdy tylko odłożył słuchawkę, zerwał się gwałtownie z miejsca.

– Zaraz wracam – zwrócił się do kolegów.

Dział IT mieścił się dwa piętra niżej. Również tutaj, jak stwierdził, wiele pokoi świeciło pustkami.

Szef działu siedział w swoim gabinecie. Za jego plecami stał jeden z pracowników i obaj wpatrywali się pilnie w cztery monitory przed sobą.

– Znajdzie pan dla mnie dwie minuty? – spytał Bollard.

Kierujący działem IT Belg był sympatycznym facetem od lat pracującym dla Europolu.

– Nie za bardzo – odpowiedział.

– To ważne.

Belg westchnął ciężko, ten drugi zaś z naburmuszoną miną zmierzył spojrzeniem intruza.

– Wolałbym omówić to na korytarzu – rzucił Bollard, wskazując kciukiem za siebie.

Teraz również dyrektor obrzucił go niemiłym spojrzeniem, ale Francuz stanął z powrotem w drzwiach, dając do zrozumienia, że nie ruszy się stąd, dopóki tamten nie pójdzie za nim.

Szef IT podniósł się z krzesła z dramatycznym gestem i poczłapał w stronę Bollarda.

– Co jest takie niecierpiące zwłoki?

Bollard poprowadził go kilka kroków dalej i w skrócie opowiedział mu o Manzanie, e-mailach i oskarżeniach rzucanych przez Włocha.

– To śmieszne! – wyrzucił z siebie Belg.

– W końcu ci ludzie sparaliżowali sieci energetyczne dwóch największych stref gospodarczych świata. Czy może pan wykluczyć, że nie włamali się także do nas?

– Tak, bo nasz system jest zabezpieczony na sto różnych sposobów!

– Te inne podobno też były. Mówiąc między nami: obaj doskonale wiemy, że nie ma w pełni bezpiecznych sieci. I o ile mi wiadomo, odnotowano skuteczne próby włamania się także do naszych zasobów...

– Chodziło o całkiem marginalne zakresy!

– Czy chce pan wziąć na siebie odpowiedzialność, jeśli pewnego dnia się okaże, że nie były wcale takie marginalne? – Bollard zmierzył wzrokiem mężczyznę przed sobą, dał mu czas na zastanowienie się, ale nie na odpowiedź. – Zakładając, że ktoś naprawdę nas obserwuje i dokonuje manipulacji w naszym systemie, to czy zauważy również, jeśli zacznie go pan szukać?

– To zależy, jak byśmy to zorganizowali – warknął Belg. – Ale ja nie mam ludzi na przeprowadzenie takiej operacji. Połowa mojego zespołu w ogóle już się nie pojawia. Reszta jest na skraju wyczerpania.

– Jak my wszyscy. A poza tym mamy nóż na gardle.

Düsseldorf

Manzano obudził się przez palący ból w udzie. Nie wiedział, jak długo spał, a przez parę pierwszych sekund nie mógł się też zorientować, gdzie jest. Ale ból szybko przywołał mu w pamięci wydarzenia ostatnich godzin.

W nogach łóżka nadal siedział Pohlen.

– Jak się pan czuje? – spytał.

– Ile spałem?

– Ponad dwie godziny. Jest siódma wieczór.

– Lekarz tu nie zaglądał?

– Nie.

Manzano już w pełni był świadom tego, dlaczego się tu znalazł. Nie może dopuścić, aby ci policjanci go stąd zabrali!

– Muszę do toalety.

– Da pan radę przejść?

Manzano spróbował opuścić nogi z łóżka. Jego prawa kończyna gorzko się poskarżyła. Podparł się jednak i uznał, że mimo wszystko zdoła na niej stanąć. Odtrącił pomoc Pohlenu.

Na ciemnym korytarzu panował ścisk. Nadal pchano łóżko za łóżkiem w kierunku wyjścia, ludzie przekrzykiwali się nawzajem, słychać było pojękiwania i okrzyki bólu. Nigdzie nie dawało się zauważyć ani jednej osoby w szpitalnym kitlu.

– Co tu się dzieje?

– Nie mam pojęcia – odpowiedział Pohlen.

Kiedy w końcu dotarli do toalet, Manzano stwierdził, że noga już jakoś mniej go boli. Postanowił jednak nadal mocno utykać. Na pewno lepiej, żeby Pohlen myślał, że ledwie chodzi.

Kiedy się załatwił, powiedział do swojego anioła stróża:

– Chodźmy do ambulatorium. Może uda nam się znaleźć tamtego lekarza.

Pokuśtykał przed siebie. Pod jakimś opuszczonym łóżkiem odkrył rzucone bezładnie kule.

– Mogłyby mi się przydać – powiedział do Pohlenu.

Ten pochylił się i podał je Włochowi.

Najwyraźniej informacja o ewakuacji szpitala rozeszła się po mieście, bo w poczekalni czekała tylko garstka ludzi. W gabinecie zabiegowym, w którym usunięto mu pocisk, nie zastali nikogo.

– Raczej go już nie znajdziemy – rzekł Pohlen. – Ale zdaje się, że panu dużo lepiej.

– Co teraz?

– Musimy poczekać na samochód, który Hartlandt obiecał po nas przysłać. Zawieziemy pana do aresztu śledczego.

Manzano w żadnym wypadku nie mógł tam trafić. Gorączkowo zaczął myśleć nad jakimś rozwiązaniem albo argumentami, które przekonałyby Hartlandta o jego niewinności. Żadne nie przyszły mu do głowy. Ale gdy się tak zastanawiał, krążąc wzrokiem po gabinecie, coś zauważył.

– Tam, na dole, leżą chyba jakieś środki przeciwbólowe – powiedział, wskazując na najniższą półkę metalowego regału. – Mógłby mi pan po nie sięgnąć? Ja nie dam rady się dostać.

Pohlen się schylił.

– Gdzie?

Manzano zahaczył podpórki na dłonie swoich kul o dwa pręty metalowej półki i pociągnął gwałtownie do siebie. Regał wraz z zawartością przewrócił się z hukiem na Pohlenu i nakrył go całogo. Włoch zdążył w odpowiednim momencie wyciągnąć swoje szwedki, a teraz

słyszał tylko krzyk i przekleństwa dobywające się z ust strażnika. Szybko zatrzasnął za sobą drzwi i dyskretnie przeszedł przez poczekalnię z kulami w rękę. Przy każdym kroku bolesne dźgnięcie przeszywało jego ciało od nogi aż po mózg. Mimo to musiał się zastanowić, co dalej. Kiedy znalazł się na korytarzu, w którym ludzie wciąż przesuwali się w stronę wyjścia, wpadł na pewien pomysł.

Ze swojej kryjówki we wnęce drzwiowej Shannon obserwowała, jak Manzano wyszedł z ambulatorium, rozejrzał się nerwowo i w końcu pokuśtykał pod prąd korytarzem, po czym zniknął w jakimś bocznym przejściu. Już miała za nim pobiec, gdy w tym momencie ujrzała jego anioła stróża, jak wyłania się z tych samych drzwi. Wstrzymała oddech, tymczasem policjant, zawahawszy się chwilę, zaczął w końcu przepychać się przez tłum w kierunku wyjścia.

Shannon wyszła z kryjówki i ruszyła za Manzanem. Potraçała mijanych ludzi, sama też była poszturchiwana i popychana, aż wreszcie dotarła do miejsca, gdzie Włoch zniknął za rogiem.

Nie było go nigdzie widać.

Przed szpitalem panował chaos. Słabe światło padające z kilku okien i niebieskie pulsujące sygnały ambulansów oświetlały upiorną scenę: masy bezradnie błakających się ludzi, którzy opuścili szpital, ale nie wiedzieli, dokąd mają się udać. Karetki utknęły w miejscu i nie miały się jak ruszyć. A pośrodku tego wszystkiego wysoki jak dąb Pohlen z rozbieganym wzrokiem. Hartlandt natychmiast się domyślił, co się stało.

– Gdzie on jest? – krzyknął z wściekłością i zaczął przepychać się do niego.

– Musi być tu gdzieś blisko – wydyszał Pohlen. Miał pokancerowaną twarz, pod prawym okiem krwawą plamę.

Nawet jeśli od trzech dni nie spał, to jako byłemu żołnierzowi jednostki specjalnej i perfekcyjnie wyszkolonemu funkcjonariuszowi Federalnego Urzędu Kryminalnego nie wolno mu było dopuścić do tego, żeby uciekł mu ranny cywil.

Hartlandt powiódł wzrokiem po parkingu przed kliniką. W tym zamęciu i w niemal nieprzeniknionej ciemności nie dało się wiele dostrzec. Wprost idealne warunki, żeby zapaść się pod ziemię.

– Kiedy go pan stracił z oczu?

– Jakieś dziesięć minut temu, ale na tej swojej kulawej nodze nie mógł daleko uciec.

Patrząc z tego punktu widzenia, to szczęście w nieszczęściu, że przyjechał tu akurat teraz i Pohlen nie musiał w pojedynkę szukać tego Włocha. Mimo to przydałoby się im wsparcie. Ale bez działających sieci komórkowych nie był w stanie nikogo wezwać.

– Okej. Pan w lewo, ja w prawo.

Ruszyli każdy w swoją stronę.

W pokoju, który prawdopodobnie był gabinetem zabiegowym, zalegała ciemność. Manzano mógł bez obawy podejść do okna, bo na pewno nikt z zewnątrz go nie zauważy. Spojrzał w dół na plac przed szpitalnym budynkiem, gdzie w mrugającym świetle karetek ludzie kręcili się jak marionetki we wszystkie strony. Ta gorączkowa krzątanina jak w mrowisku stanowiła ostry kontrast wobec ciszy, jaka otaczała go tutaj, na górze, za zamkniętymi oknami.

Dotarcie na piąte piętro bez windy było uciążliwe, ale gdy tylko załapał, jak wchodzi się po schodach o kulach, w ciągu zaledwie kilku minut znalazł się na górze. Nie spotkał nikogo po drodze. Nie wiedział, ile dokładnie pięter liczy ten szpital, ale musiało ich być z siedem albo osiem. Z pełną świadomością postanowił nie zostać od razu na drugim piętrze, po zastanowieniu się doszedł bowiem do wniosku, że nikt nie będzie szukał go tak wysoko, wiedząc, w jakim stanie jest jego noga. Właściwie liczył na to, że Hartlandt nie spodziewa się zastać go już w ogóle w szpitalu, tylko myśli, że raczej złapie go gdzieś uciekającego przez Düsseldorf.

Chyba nie pomylił się w swoich kalkulacjach. Mimo oddalenia i kiepskiego światła zauważył rosłego Pohlena, jak szuka go wśród tego zamętu. Potem dostrzegł jeszcze drugiego mężczyznę błędzącego w tłumie i poruszającego się zupełnie inaczej niż reszta. To Hartlandt.

Manzano stał w miejscu, czekał, usiłował nie stracić z oczu obu swoich prześladowców. Przez dłuższą chwilę obserwował ich poczynania. W którymś momencie zobaczył, że obaj spotkali się przed nędznie oświetlonym wejściem, dwa nieruchome bieguny w kompletnym chaosie. Rozmawiali przez krótką chwilę, jeszcze raz odwrócili się plecami do budynku, po czym w końcu razem odeszli. Manzano patrzył za nimi, dopóki nie zniknęli mu z oczu.

Może pojechali po wsparcie, żeby mimo wszystko przeszukać cały szpital i zatarasować wszystkie wyjścia.

Znowu poczuł pulsujący ból w nodze, przysunął więc do okna krzesło i usiadł. Nadal miał dobrą widoczność na ulicę i liczył na to, że mimo ciemności zorientuje się w porę, gdy będzie mu groziło niebezpieczeństwo.

Pewnie niedługo, jak zapowiadał lekarz, w całym budynku pogasną światła. Potem zostanie tu zupełnie sam.

Shannon zaglądała do jednego pomieszczenia za drugim, ale poddała się już na parterze. Szpital był za duży. Nigdy nie znajdzie w nim Manzana. Może, korzystając z zamieszania i ścisunku, już dawno go opuścił. Straciwszy nadzieję, przyglądała się uciekającym naokoło niej. W końcu przyłączyła się do nich. Musi poszukać sobie jakiegoś miejsca, gdzie będzie mogła przenocować. Wraz z niepowstrzymanie płynącą falą ludzi znalazła się na zewnątrz, obejrzała się jeszcze za siebie, zawahała się, ale w końcu ruszyła do porsche, które zostawiła pod znakiem zakazu zatrzymywania się w bocznej uliczce.

– Pomocy!

Manzano nie miał pojęcia, jak długo siedział przy oknie. Plac przed szpitalem był już prawie pusty. Jedyne światło rzucała połówka księżycy. Czy to mu się przyśniło?

– Pomocy!

Głos dochodził z dosyć daleka, prawie niesłyszalny. Opierając się na kulach, Manzano wyszedł po omacku na ciemny korytarz. Zaczął nasłuchiwać. Może to jednak tylko jakieś urojenie. Wtedy usłyszał coś znowu i gdzieś w głębi odkrył w szczelinie pod drzwiami słabą smugę światła. Kuśtykając w tamtą stronę, minął po drodze kilkoro otwartych drzwi. Z jednych uderzył go w nozdrza obrzydliwy odór jakiejs zgnilizny i ekskrementów. Ociągając się, wszedł mimo wszystko do środka i po paru krokach omal nie przewrócił się na łóżko. Pochylił się do przodu, żeby z bliska zobaczyć twarz spoczywającą na poduszce. Jakiś staruszek albo staruszka, nie potrafił rozpoznać, cienka jak pergamin skóra na sterzących kościach policzkowych, zamknięte oczy, uchylone usta. Postać – chyba jednak kobieta – leżała bez ruchu.

Zapomniano o niej? A może nie żyje i dlatego ją zostawiono? Usiłował odkryć jakiś znak życia, ale na próżno.

Ruszył dalej po ciemku, wpadł na kolejne łóżko. Czyjeś ciało piętrzyło się pod kołdrą wielkie jak góra, niemal nie mieściło się na materacu, ale Manzano usłyszał słaby oddech.

Gdzie jest personel? – przemknęło mu przez głowę. Może tam, skąd dochodziło to słabe światło?

Utykając, ostrożnie wyszedł z powrotem na korytarz i najciszej jak potrafił zbliżył się do tej nikłej poświaty.

Usłyszał głosy. Drzwi były tylko przyknięte. Znajomość niemieckiego pozwoliła mu zrozumieć strzępy rozmowy.

– Nie możemy tego zrobić – powiedział błagalnie jakiś mężczyzna.

– Musimy – odparła kobieta.

Czyjś szloch.

– Nie po to zostałem pielęgniarzem – rzekł mężczyzna.

– A ja lekarką – odpowiedziała kobieta. – Ale oni w ciągu najbliższych godzin czy dni i tak by umarli, nawet w najlepszych warunkach. A żadne z nich na pewno nie przeżyje ani ewakuacji, ani zimna i braku opieki. Zostawienie ich tutaj tak po prostu oznacza narażanie na niepotrzebne cierpienia. Umrą z głodu, pragnienia i powoli zamarzną we własnych ekskrementach. Chce pan tego?

Mężczyzna płakał niepowstrzymanie.

– Nie mówiąc już o tym, że Nehrler i Kubim są nie do ruszenia bez windy. Żaden sanitariusz nie da rady nieść po schodach noszy z ponaddwustukilogramowym pacjentem.

Manzano stopniowo zaczynał rozumieć, czego dotyczy podsłuchana rozmowa. Przeszył go dreszcz.

– Myśli pan, że mnie to sprawia przyjemność? – kontynuowała lekarka. W jej głosie dało się słyszeć drżenie.

Pielęgniarz odpowiedział ponownym wybuchem płaczu.

– Żaden z pacjentów nie jest przytomny – dodała. – Nawet nie zauważą.

Więc kto wołał o pomoc? – zadał sobie pytanie Manzano. Tych dwoje niczego nie słyszało? Poczul, jak oblewa się potem.

– Idę – oznajmiła zdławionym głosem lekarka.

Manzano natychmiast oderwał się od ściany i pospiesznie ukrył w najbliższym pokoju, leżącym dokładnie naprzeciwko sali z dwoma pacjentami. Nie zamknął drzwi, żeby nie wzbudzić żadnych podejrzeń. Przyłgnął do muru, sekundę później usłyszał kroki na korytarzu.

Nadbiegła druga osoba.

– Niech pani poczeka – powiedział cicho pielęgniarz.

– Proszę – wyszeptła lekarka. – Niech pan da...

– Nie zostawię pani samej z tym wszystkim – przerwał jej mężczyzna trochę mocniejszym głosem. – Ani tych biednych ludzi.

Następnie Manzano usłyszał ciche skrzypienie gumowych zelówek w drzwiach naprzeciwko.

Ostrożnie wysunął głowę zza węgła. Ponieważ tamci dwoje mieli latarki, mógł dokładnie zobaczyć, jak podchodzą do łóżka staruszki. Lekarka, wysoka i szczupła, z włosami do ramion, położyła swoją latarkę na kołdrze w taki sposób, że snop światła padał na ścianę. Pielęgniarz, niższy od niej i bardzo delikatnej budowy, przysiadł na skraju łóżka, ujął chudą dłoń pacjentki i zaczął ją głaskać. W tym czasie kobieta przygotowywała zastrzyk. Odpięła wężyk z worka infuzyjnego, wetknęła go na czubek strzykawki i zassała środek. Następnie z powrotem przypięła gumowy przewód do worka. Pielęgniarz nie przestawał głaskać pacjentki po ręce. Lekarka pochyliła się nad chorą i pogładziła ją po twarzy. Szepnęła coś, czego Manzano nie zrozumiał. Nie mógł od nich oderwać oczu. Stał jak wmurowany, jakby krew zastygła mu w żyłach i nie był zdolny wykonać najmniejszego ruchu.

– Potrzebuję ludzi – domagał się Hartlandt.

Na próżno obszukali okolicę szpitala. Teraz w biurze komendanta düsseldorfskiej policji on i Pohlen stali naprzeciw trzech mężczyzn, którzy niewątpliwie nie zmrużyli oka od wielu dni.

– My też potrzebujemy ludzi – zaproponował sam komendant. – Przecież dobrze wiecie, co się dzieje.

– Niewykluczone, że mężczyzna, którego szukamy, jest za to wszystko współodpowiedzialny – powiedział z naciskiem Hartlandt.

Komendant tylko jęknął. Sięgnął po radiotelefon z biurka. Przycisnął guzik i bez żadnego

wstępu rzucił do mikrofonu:

– Deckert już wrócił?

Skrzekliwy głos po drugiej stronie potwierdził.

– Chodźcie za mną – polecił.

Hartlandt i Pohlen szli razem z nim korytarzami ledwo, ledwo oświetlonymi przez awaryjne lampy. W niektórych pokojach mijanych po drodze siedzieli funkcjonariusze. Z innych dochodziły głosy. Przecięli zimny dziedziniec i znaleźli się w dużym pomieszczeniu, w którym czekał na nich oddział ośmiu mundurowych. Były też cztery owczarki niemieckie.

Komendant przedstawił Hartlandtowi muskularnego czterdziestolatka.

– Karsten Deckert, dowodzący naszą ekipą psów tropicieli.

Hartlandt wyjaśnił mu, o co chodzi.

– Właśnie zamierzaliśmy zrobić sobie przerwę – odpowiedział Deckert. – Moi ludzie są od czterdziestu ośmiu godzin na nogach. Psy też.

– Obawiam się, że to niemożliwe – odrzekł Hartlandt. – Musimy koniecznie jechać do szpitala.

Lekarka wyprostowała się i podziękowała pielęgniarzowi.

Skinął bez słowa, nie puszczać ręki martwej staruszki.

Kobieta podniosła latarkę i przez ułamek sekundy snop światła musnął twarz Włocha.

Manzano cofnął się, mając nadzieję, że go nie zobaczyli. Usłyszał szepty po drugiej stronie, a potem kroki w swoim kierunku.

Oślepił go tak jaskrawy blask, że musiał zamknąć oczy.

– Kim pan jest? – rzucił gwałtownie pielęgniarz. – Co pan tu robi?

Manzano uchylił powieki, osłonił twarz dłonią i wymamrotał:

– *The light. Please.*

– Mówi pan po angielsku? – spytała lekarka w tym języku. – Co pan tu robi? Skąd pan jest?

– *Italy* – wyjaśnił.

Nie powinni wiedzieć, że jako tako zna niemiecki i podsłuchiwał ich rozmowę.

Kobieta przyjrzała mu się uważnie.

– Widział nas pan, tak?

Manzano spojrzał na nią i skinął głową.

– Myślę, że dobrze robicie – szepnął po angielsku.

Ona dalej nie odrywała od niego wzroku. Wytrzymał jej spojrzenie.

Po kilku sekundach przerwała milczenie:

– Niech pan znika. Albo niech pan pomoże tym ludziom.

Manzano nie był pewien. Czy to rzeczywiście jest pomoc? Zdawał sobie sprawę, że nie potrafi ocenić stanu tych chorych ludzi, w tej kwestii musiał zdać się na panią doktor. Ale co z odpowiedzialnością moralną? Na temat eutanazji miał jasne zdanie. Również jeśli chodzi o niego samego, nie chciałby, żeby kiedykolwiek w sztuczny sposób podtrzymywano w nim funkcje życiowe, gdy już straci świadomość. Chociaż oczywiście doskonale wiedział, jak trudno jest jednoznacznie stwierdzić ten moment. Czy w pozbawionym życia ciele kołacze się jeszcze coś takiego jak dusza? A jeśli tak, to czego pragnie? Żyć? Pożegnać się? Czy też pragnie jedynie dać innym do zrozumienia, że chciałaby podjąć decyzję sama? A jeśli tak, czy ta świadomość nie jest wystarczającą przeszkodą, by nie zostać – wręcz nie miał odwagi użyć tego słowa – uśpionym? Takie i inne myśli galopowały mu teraz w głowie. Ale tu i teraz nie chodziło już tylko o teoretyczne podejście do eutanazji. Lekarka dała mu wyraźnie do zrozumienia. „Niech pan znika. Albo niech pan pomoże tym ludziom”. Sprytna. Nie zażądała: „Niech pan nam pomoże”. Nie,

jednym prostym retorycznym trikiem podkreśliła – rzekomą – oczywistość własnego działania. Tak więc Manzano nie powinien uważać się za współsprawcę, ale raczej za dobroczyńcę. Jednak nie potrafił. Oparł się o ścianę. Dopiero teraz pojął, jak musiał czuć się ten pielęgniarz, ale także i lekarka. Objął rączki swoich kul, wyprostował się.

– Co mam robić?

– Wystarczy, że pan po prostu będzie – kobieta odpowiedziała łagodnym głosem. – Da pan radę?

Manzano kiwnął głową.

Odwróciła się ku samotnej postaci na łóżku za nimi, którą Manzano dostrzegł dopiero teraz w blasku obu latarek. Razem z pielęgniarzem ruszył za nią. Chora miała zapadnięte policzki, zamknięte oczy. Manzano nie dostrzegał oznak życia.

– Niech pan ją weźmie za rękę – poleciła lekarka.

Włoch z ociąganiem sięgnął po dłoń pacjentki. Była delikatna, o smukłych, zadbanych palcach. Wydawała się wilgotna i zdrętwiała. Nie poczuł żadnej reakcji na swój dotyk, spoczywała bezwładnie w jego dłoni. Jak nieduża martwa ryba, pomyślał, chociaż nie podobało mu się to porównanie.

Lekarka przygotowywała kolejny zastrzyk.

– Ma na imię Edda, skończyła dziewięćdziesiąt cztery lata – powiedziała szeptem. – Trzy tygodnie temu przeżyła poważny udar, trzeci w ciągu dwóch lat. W mózgu doszło do nieodwracalnych zmian. Nie ma najmniejszej szansy kiedykolwiek się obudzić. Przed tygodniem nastąpił jeszcze obrzęk płuc, przedwczoraj przestały pracować nerki i inne organy. W normalnych warunkach miałyby przed sobą może jakieś dwadzieścia cztery godziny. Ale aparatura już nie pracuje.

Wciągnęła płyn z ampułki do strzykawki. Następnie powtórzyła procedurę z plastikowym wężykiem, którą Manzano obserwował już wcześniej.

– Jej mąż nie żyje od lat, dzieci mieszkają niedaleko Berlina i Frankfurtu. Przed awarią udało im się przyjechać do niej tylko raz.

Manzano zauważył, że podczas gdy lekarka opowiadała, on mimo woli zaczął głaskać staruszkę po rękę.

– Była nauczycielką niemieckiego i historii – ciągnęła. – Wiem to od jej dzieci.

Oczami wyobraźni ujrzał obraz Eddy w młodości, w wyblakłych kolorach, jak na starych fotografiach własnych dziadków. Czy miała wnuki? Dopiero w tym momencie odkrył małe zdjęcie w ramkach na szafce przy łóżku. Musiał pochylić się do przodu, żeby cokolwiek zobaczyć. Ujrzał starszą parę, odświętnie ubraną, w otoczeniu dziewięciorga dorosłych i piątki dzieci w różnym wieku, również specjalnie wystrojonych do zdjęcia wykonanego przez fotografa w jakimś studiu. Jej mąż jeszcze wtedy żył.

Lekarka zrobiła swoje, wetknęła wężyk z powrotem do worka infuzyjnego.

– To potrwa mniej więcej pięć minut – szepnęła. – Pójdziemy do innych. Chce pan latarkę?

Manzano podziękował i popatrzył za nimi, gdy opuszczali salę. W ciemności trzymał dalej rękę Eddy, czując, jak po policzkach płyną mu łzy.

Zaczął mówić, bo nie mógł znieść ciszy. Po włosku, tak było mu łatwiej. Opowiadał o własnym dzieciństwie i młodości w niewielkim miasteczku pod Mediolanem, o swoich rodzicach, jak zginęli oboje w wypadku samochodowym, a on nawet nie mógł się z nimi pożegnać, chociaż było jeszcze tyle do powiedzenia i do wyjaśnienia. O swoich żonach i o niemieckiej przyjaciółce o francuskim imieniu Claire, Claire z Osnabrück, z którą już od dawna nie miał żadnego kontaktu. Zapewnił Eddę, że jej dzieci i wnuki chciałyby być teraz przy niej,

lecz okoliczności im na to nie pozwalały, ale że on im opowie, jak łagodnie i spokojnie przeniosła się do innego świata. Mówił i mówił o swoim życiu. Musiał chyba długo tak siedzieć, więcej niż pięć minut, o których wspomniała lekarka, dopóki nie poczuł, że w dłoni, którą trzyma, nie ma już życia. Wyraz twarzy Eddy w ogóle się nie zmienił. Nie wiedział, czy usłyszała choćby jedno jego słowo, czy poczuła, że nie była sama w swoich ostatnich minutach. W ciemności widział tylko jamę jej ust i cienie, które zatopiły się w jej powieki.

W miejscach, gdzie zaschły mu łzy na twarzy, miał napiętą skórę. Podniósł się, sięgnął po kule, przy drzwiach obrócił się jeszcze raz, a potem wyszedł.

Naprzeciwko niego nieoczekiwanie wyrosła postać pielęgniarki. Manzano uświadomił sobie, że ani on, ani lekarka się nie przedstawili. Może lepiej, żeby w tej sytuacji pozostali bezimienni.

W ciągu następnej półgodziny trzymał za ręce jeszcze trzy osoby: trzydziestotrzyletnią ofiarę wypadku samochodowego, siedemdziesięciosiedmioletniego kilkakrotnego zawałowca i czterdziestopięciolatkę, która po trzydziestoletniej karierze narkomanki zaaplikowała sobie finalną dawkę. Nikt z nich nie okazał w jakikolwiek sposób, że jest świadomy obecności Manzana, pielęgniarki czy lekarki. Jedynie narkomanka wydała jakby lekkie westchnienie, zanim ucichła na wieki. Kiedy Manzano położył jej rękę z powrotem na pościeli, poczuł w sobie nieopisaną pustkę.

Lekarka mu podziękowała.

W zamyśleniu pokiwał głową.

Pokazała na jego udo.

– Wszystko w porządku?

Powoli uprzytomnił sobie na nowo, dlaczego w ogóle tu jest. Bolała go noga, ale w tym momencie niemal cieszył się z tego, że coś czuje. Że żyje. Wstał, utrzymał się prosto bez kul.

– Zwieziemy ich jeszcze wszystkich do jednej sali i przykryjemy – oznajmiła lekarka. –

W tym akurat chyba pan nam nie pomoże. Co pan zamierza zrobić? Ktoś po pana przyjedzie?

– Tak – odpowiedział i właściwie nawet nie skłamał.

Kobieta wyciągnęła do niego rękę. W milczącym porozumieniu poprzestali na wzajemnej anonimowości.

– Przyda się panu – rzekła lekarka i wręczyła mu swoją latarkę.

Manzano podziękował i pokuśtykał w stronę klatki schodowej.

Nie miał pojęcia, co ma zrobić, dokąd pójść. Skoro Hartlandt nie pojawił się do tej pory, to już pewnie nie przyjdzie. Może więc powinien zostać na noc w szpitalu, zawsze tu trochę cieplej niż na dworze, są łóżka i koce. Na myśl o tym poczuł się trochę nieswojo. Nie przychodziło mu jednak do głowy nic innego. Nie chciało mu się jeść, choć od rana nic nie miał w ustach. Które łóżko powinien sobie wybrać? We wszystkich leżeli chorzy, pocili się, niewykluczone, że też się załatwiali. Obok wind znalazł tablicę informującą, jakie oddziały znajdują się na poszczególnych piętrach. Po przeczytaniu całej listy uznał, że w rachubę może wchodzić tylko jedno miejsce. Ruszył na drugie piętro, na oddział położniczy.

Hotelowe lobby zostało zamienione przez zrozpaczonych ludzi w obóz tymczasowy. Nie znalazłoby się tu miejsce nawet dla małego dziecka, a co dopiero mówić o Shannon. Podobnie sytuacja wyglądała w dwóch innych budynkach, które zastała jeszcze otwarte. Wszystkie inne hotele przestały już dawno działać, jak zdążyła się do tej pory przekonać. Marznący ochroniarze pilnowali wejść do opuszczonych gmachów.

Shannon marzyła tylko o łóżku. Fotele w porsche były zbyt niewygodne do spania, poza tym w nocy w aucie byłoby zdecydowanie za zimno. Termometr samochodowy pokazywał dwa stopnie powyżej zera.

Zastanów się, Shannon! Gdzie jeszcze da się znaleźć jakieś miejsce do przekimania?
Przyszło jej coś do głowy.

Wróciła do szpitala, do którego pojechała wcześniej za Manzanem. Jutro wybierze się chyba do amerykańskiego konsulatu, o ile jest taki w tym mieście. Może zaoferują jej prysznic albo coś do jedzenia. Przydałoby się też zasięgnąć jakichś informacji. Od wyjazdu z Hagi była praktycznie odcięta od świata, w radiu samochodowym nie łapała żadnej stacji.

Tym razem zostawiła samochód w garażu podziemnym, którego wjazdowe barierki chyba już od wielu dni musiały być otwarte. W budynku panowała teraz nieprzenikniona ciemność. W kufierku z narzędziami znalazła niewielką latarkę. Zarzuciła na ramię swój worek żeglarski i poszła na górę do holu wejściowego. Szpitalne korytarze przedstawiały przerażający obraz – wszędzie leżały porzucane prześcieradła, jakieś szmaty, materiały opatrunkowe. Rozchodził się obrzydliwy fetor. Snop światła jej latarki prześlizgnął się po tablicy informacyjnej przy windach.

Piętro drugie, oddział położniczy. Jedyne łóżka, w których mogłaby się chyba poczuć w miarę znośnie. Ruszyła po schodach obok wind.

– Cicho – upomniał Hartlandt – żeby go nie ostrzec, jeśli tu jeszcze jest.

Weszli do szpitala przez wyjazd z podziemnego garażu, który leżał nieco z boku i nie był widoczny z okien kliniki. Za nim szło ośmiu policjantów z czterema psami i Pohlenem. Po drodze badali każdy mijany kąt i zakamarek.

Hartlandt odnalazł drogę do ambulatorium, w którym usunięto Manzanowi kulę. Z wylewającego się kosza na śmieci wygrzebał kawałek jego dżinsów odcięty przez lekarza i podał go przewodnikowi psów. Mężczyzna podetknął szmatę wszystkim czworonogom pod nos, żeby mogły złapać trop. Zwierzaki obwąchiwały ją nerwowo, wyciągały szyje, obracały głowy we wszystkie strony, opuszczały pyski w dół, aż wreszcie jeden z nich ruszył do drzwi. Pozostałe poszły za nim, ciągnąc za sobą na długich smyczach swoich opiekunów.

Leżąc pod czterema kocami, Manzano wpatrywał się w ciemność za oknem. O zaśnięciu mógł co najwyżej pomarzyć. Chwile spędzone na piątym piętrze zbyt mocno nim wstrząsnęły. Poza tym odór fekaliów, rozkładu i śmierci, który całkowicie opanował pozostałe kondygnacje, zaczął rozchodzić się już także po oddziale położniczym.

Pierwszy raz od wielu dni Manzano był zupełnie sam. Uzmysłowił sobie, że do tej pory prawie wcale nie zastanawiał się nad tym, co tak naprawdę się dzieje. Wydarzenia następowały jedno po drugim, na jego barki spadły nieoczekiwane zadania i odpowiedzialność. Kiedy leżał teraz w wypełnionym ciszą pomieszczeniu, po raz pierwszy uświadomił sobie skalę katastrofy oraz to, że dotychczas żył w raju. Jego myśli powędrowały do Bondoniego i jego córki. Przypuszczał, że stary sąsiad został w górskiej wiosce. Miał tam dach nad głową, drewno na opał, a może znalazły się też jakieś zapasy żywności na dobrych kilka dni. Wodę dawało się bez kłopotu uzyskać ze śniegu. Życie jak dwieście lat temu. Ale tak czy inaczej życie, gdy tymczasem tutaj widział naokoło śmierć i zniszczenie. Angström w Brukseli też pewnie nie miała łatwo. Manzano zadał sobie pytanie, jak te wszystkie instytucje i organizacje unijne, państwowe, krajowe i komunalne miały jeszcze funkcjonować, skoro ich pracownicy w którymś momencie w ogóle przestaną pojawiać się w pracy, bo będą pochłonięci codzienną walką o pożywienie, wodę i przetrwanie. A może wszyscy ci ludzie korzystają z przywilejów i lepszych warunków?

Przez chwilę mu się wydawało, że słyszy kroki i widzi błysk światła. Nie, przecież nie może jeszcze na dodatek ulec paranoi!

Niespokojnie przewrócił się na drugi bok. Znowu odniósł wrażenie, że coś słyszy. Na korytarzu jakby przesunęła się jakaś jaśniejsza smuga i zaraz zniknęła. Wstał i utykając, podszedł do drzwi. Teraz kroki stały się całkiem wyraźne. I ciche głosy. I jeszcze jeden odgłos, którego nie

mógł zidentyfikować. Jakby ktoś plastikowymi łyżkami postukiwał w kamienną posadzkę. Czy to złodzieje?

Potem do jego uszu doszło skomlenie. Psy. Wyszcany przez zęby rozkaz. Manzano zrobił się cały mokry od potu. Szybko pokuśtykał z powrotem do łóżka i chwycił kule. Ostrożnie wyszedł z sali i nasłuchiwał.

Odgłosy dochodziły z klatki schodowej. Manzano rozejrzał się gorączkowo wokół siebie. To chyba jednak Hartlandt przyszedł go znowu szukać. Włamywacze lub bezdomni nie mieliby powodu, by zachowywać się cicho.

Manzano stał przed windami i słyszał, że kroki i głosy są coraz bliżej. Schodami nie mógł już uciec. Dokąd prowadziły te korytarze, tego nie wiedział. Niewykluczone, że to ślepe uliczki albo wyjścia z nich są pozamykane. Widział tylko jedno rozwiązanie. Przykucnął za pojemnikiem na śmieci. Kiedy spróbował zgiąć nogę, omal nie krzyknął. Zaciśnął zęby, a w tym samym momencie otworzyły się drzwi na klatkę schodową. Stożki światła rzucały owalne plamy na sufit, podłogę i ścianę naprzeciwko. Manzano wstrzymał oddech i rozpoznał Hartlandta, który wywijał latarką na prawo i lewo, za nim szli czterej inni mężczyźni i dwa psy.

Włoch na chwilę zamknął oczy. Skulił się jeszcze mocniej i pogodził z nieuniknionym. Ale Hartlandt dał znak ręką i dwaj z policjantów skřęcili z jednym psem w korytarz na lewo, dwaj inni w prawo, on sam zaś sprawdzał pokój, w którym jeszcze trzy minuty temu leżał Manzano, po czym poszedł za tymi w prawo.

Manzano gorączkowo ocenił własne możliwości. Dopóki tamci przeszukują korytarze, on mógłby uciec po schodach. Podniósł się i wyprostował z bólem, po czym ostrożnie podpełznął do drzwi na klatkę schodową. Otworzył je cicho i przeszedł za próg, gdy usłyszał dobiegające z dołu kroki i ziajanie kolejnych psów. Nie wahał się ani chwili. Nie miał wyjścia – musiał iść wyżej. Gdy postawił stopę na pierwszym stopniu, a automatyczne ramię nie zdążyło jeszcze do końca przyciągnąć skrzydła drzwi, usłyszał z korytarzy za sobą szczekanie psów i nawoływanie głosów.

– Policja! Kim pani jest? Proszę wyjść!

Shannon w przerażeniu zasłoniła sobie dłońmi oczy, w które świeciły latarki.

– *I am a journalist!* – krzyknęła. – *I am a journalist!*

– Co ona mówi?

– Ręce do góry, niech pani wyjdzie z łóżka!

– *I am a journalist! I am a journalist!*

– Wychodzić, no już!

Ujadanie psów.

Shannon nic nie widziała, krzyczała dalej, usiłując wyplątać nogi z koców.

– To kobieta!

– Co ona mówi?

– Że jest dziennikarką.

Shannon oswobodziła w końcu stopy, stanęła na podłodze, z jedną ręką wciąż przed oczami, a drugą podniesioną jakby w pozdrowieniu. Warczenie psów.

– Kim pani jest? – spytał wysoki, wysportowany mężczyzna o krótkich włosach dobrą angielszczyzną, choć z lekkim niemieckim zaśpiewem. – Co pani tu robi?

– Nie znalazłam żadnego hotelu, w którym dałoby się przenocować – wyjaśniła Shannon zgodnie z prawdą.

Mężczyzna zbadał ją snopem światła od góry do dołu. Teraz go rozpoznała. To on eskortował Manzana, ścigał go, a potem przywiózł do szpitala.

– Widziała tu pani kogoś?

– Nie.

Mężczyźni przeszukali jeszcze pozostałe łóżka, ale niczego nie znaleźli. Wychodząc, dowodzący nimi rzucił do niej:

– Powinna sobie pani znaleźć lepszą kwatere.

Shannon stała nadal przy łóżku, podczas gdy tamci wpadli do następnej sali. Czuła, że drży, ale nie wiedziała, czy z przerażenia, czy z zimna. Wślizgnęła się z powrotem pod koce, nasłuchując, jak policjanci przeszukują po kolei salę za salą. Głosy i kroki stopniowo stawały się cichsze, potem wróciły, minęły znowu jej drzwi i ponownie się oddaliły.

Na trzecim i czwartym piętrze Hartlandt i jego ludzie także niczego nie znaleźli. Już dawno minęła północ. Wszyscy – i funkcjonariusze, i psy – byli śmiertelnie zmęczeni. Ciemny gmach pełen opustoszałych i zdemolowanych sal robił jeszcze bardziej przygnębiające wrażenie niż zazwyczaj każdy szpital. Walcząc z sennością, policjanci przeczesywali korytarz piątego piętra, gdy nagle psy zaczęły coraz głośniejszemu skomleć.

– Czy to może być on? – spytał Hartlandt jednego z opiekunów zwierzątek.

– Niewykluczone. Choć na moje ucho to brzmi na coś innego.

– To znaczy.

– Mam nadzieję, że nie chodzi o to co zwykle przy takich sygnałach.

Zwierzęta ciągnęły z ogromną siłą, mężczyźni biegli za nimi, aż wreszcie dotarli do ostatniej sali. Stożki światła rzucane przez latarki przesuwwały się po wybrzuszonych zarysach łóżek, których w tym niewielkim pomieszczeniu wciśnięto aż osiem. Prześcieradła zakrywały szczelnie każde z nich, od końca do końca.

Hartlandt podszedł do pierwszego z brzegu, uniósł prześcieradło i spojrzał w bladą, wymizerowaną twarz jakiejś staruszki. W swojej karierze widział wystarczająco dużo trupów, by od razu wiedzieć, czy ktoś żyje, czy nie. Odwrócił się do następnego łóżka – na nim znalazł zwłoki chudej kobiety, która chyba musiała być narkomanką, na co według niego wskazywał stan jej skóry i zębów.

Dwaj z kolegów sprawdzili w tym czasie łóżka po drugiej stronie.

– Chyba wstawili tutaj tych, którzy zmarli przed samą ewakuacją – stwierdził jeden z nich.

Psy, skomląc, siedziały w drzwiach z podkulonymi ogonami.

– Widocznie personel już nie zdążył przetransportować ich do kostnicy – powiedział inny.

Światło latarki Hartlandta prześlizgnęło się po pozostałych łóżkach, na dwóch musiały chyba leżeć zwłoki prawdziwej wagi ciężkiej.

– Spójrzcie na tamte. Przecież żaden człowiek nie dałby rady znieść takiego kolosa po schodach. – Odwrócił się. – Zresztą po co? Chłodnie i tak pewnie nie działają.

Dał znak mężczyznom i opuścił pomieszczenie.

– Idziemy dalej.

Kroki wyraźnie się oddalały. Manzano leżał przygnieciony ciężarem ciała. Głowa zmarłego spoczywała tuż przy jego głowie, tułów przykrywał jego całego. Włoch wciąż jeszcze nie miał odwagi zaczerpnąć powietrza. Strach, obrzydzenie i groza odebrały mu oddech.

W desperacji uciekł na sam szczyt klatki schodowej. Znalazłszy się tam, pomyślał o sali ze zwłokami jako o ostatniej desce ratunku. Wsunął się pod trupa na samym końcu. Smród był nie do zniesienia, zmarły leżał w zaschniętej krwi i własnych ekskrementach oraz jakiejś wydzielinie, którą Manzano zauważył dopiero wtedy, gdy już do połowy wsunął się pod sztywne ciało. Kilka razy był bliski wymiotów. Być może poczułby nawet ulgę, gdyby go tu odkryli, ale najważniejsze, że teraz mógł wreszcie opuścić tę upiorną kryjówkę.

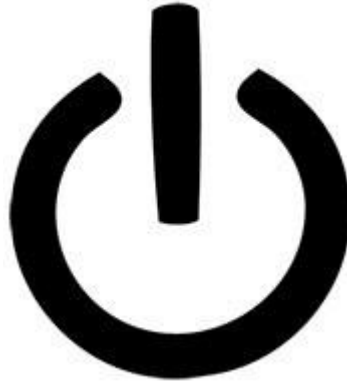
Powoli i mozolnie wy dobył się spod zwłok, zrzucił z siebie bezwładne członki i wyciągnął kule, które cały czas trzymał przy sobie, zatoczył się aż na ścianę, z przerażonym

wzrokiem utkwionym wciąż w niewyraźnych konturach rysujących się w ciemnej sali. Nadal ledwie oddychał. Poczuł, że po policzkach płyną mu łzy. W końcu zdobył się na to, by zrobić kilka kroków dzielących go od drzwi.

Jeszcze raz pilnie wsłuchał się w ciszę. Z korytarza nie dochodziły żadne odgłosy. Lekko uchylił drzwi, nie było nic widać. Ruszył po omacku wzdłuż korytarza. Lekarka i pielęgniarz prawdopodobnie poszli stąd jeszcze przed pojawieniem się Hartlandta i psów. Stwierdził, że dygocze na całym ciele. Po wyjściu z kryjówki jego spodnie zrobiły się wilgotne i odrażająco cuchnęły. Ściągnął je. Został w samych spodenkach. Prysznic! Gorący, bez końca, z pieniącym się mydłem!

Niedługo potem przedostał się z powrotem na drugie piętro. Mężczyźni z psami zniknęli. Manzano wrócił do sali, w której kilka godzin temu zaczął swoją wycieczkę. Wśliznął się pod koce na tym samym łóżku co przedtem, skulił się, wciąż dygocząc na całym ciele, i raczej nie liczył na to, że tej nocy uda mu się jeszcze zmrużyć oko.

Dzień 7. – Piątek



Haga

Bollard stał w kuchni. Ubrany już w płaszcz odkroił sobie kromkę chleba z połówki bochenka. Następnie zawinął pozostałą część w papier i włożył z powrotem do szafki obok dwóch puszek marchewki z groszkiem. Za oknem zalegała jeszcze ciemność.

Jego wzrok zatrzymał się na produktach żywnościowych. Niewiele ich mieli. Ponieważ wcześniej wysłał Marie z dziećmi na wieś, nie pomyśleli o zrobieniu zapasów. A po powrocie stamtąd wszystkie sklepy i markety były już splądrowane.

Jak każdego ranka wstał bardzo wcześnie i bezszelestnie wymknął się z sypialni, żeby nie obudzić żony. Ona i dzieci wstaną dopiero za godzinę albo jeszcze później.

– Chyba mam gorączkę – jęknęła żona, stojąc w drzwiach.

Ze skulonymi ramionami i z golfem naciągniętym aż na brodę, oplótlszy tułów rękami, opierała się o framugę. Mimo zimna panującego w mieszkaniu jej blada twarz była pokryta warstewką potu. Miała zaczerwienione oczy.

– Nie dam rady pójść dzisiaj do punktu wydawania żywności.

Bollard przyłożył dłoń do jej czoła. Rozpalone. Myślami był już przy zadaniach, które czekały go w biurze.

– Wracaj do łóżka. Mamy coś przeciw grypie?

– Tak, zaraz coś wezmę. Tam trzeba być wcześniej, inaczej nic się nie dostanie.

– Dokąd mam jechać?

Düsseldorf

Manzano ocknął się pod wpływem ciszy. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz zdarzyło mu się coś takiego. Głowę miał głęboko zakopaną w dwie poduszki, nad nim piętrzył się stos koców. A może to jednak ból w nodze wyrwał go z głębokiego, ale niespokojnego snu? Rana go paliła. Nie wstając z łóżka, spojrzął w okno, za którym zaczynał się szary świt, i zastanowił się, co powinien teraz zrobić. Najchętniej leżałby tak dalej. Ale to przecież nic nie da.

Kiedy przypomniał sobie minioną noc i trupy kilka pięter wyżej, łóżko od razu przestało mu się wydawać przytulnym miejscem. Zwłaszcza że żołądek też wyraźnie dawał mu znać, że od wczoraj rano nie miał nic w ustach.

Wygrzebał się spod góry koców. Na opatrunku były widoczne rozmaite plamy – własnej krwi i płynów wydzielanych nie przez jego ciało. Cuchnął. Musi znaleźć jakieś porządne spodnie. Na szczęście została mu ciepła kurtka.

Przede wszystkim potrzebował czegoś do jedzenia. Przecież w tym szpitalu jeszcze wczoraj znajdowali się pacjenci i chyba dostawali jakieś posiłki. Przynajmniej miał taką nadzieję. Stwierdził, że wprawdzie daje radę poruszać się bez kul, ale z ich pomocą szło mu łatwiej. Wziął je zatem ze sobą.

Ciemne korytarze na parterze wyglądały tak, jakby przeszedł przez nie tajfun. Z boku holu wejściowego Manzano odkrył kafeterię, ale zamkniętą masywną żaluzją. Gdzie mogła być szpitalna kuchnia? Błąkając się w jej poszukiwaniu, przez cały czas nie mógł uwolnić się od strachu, że zaraz dokona jakiegoś nieoczekiwanego i niezbyt miłego odkrycia. Piętnaście minut później natknął się wreszcie na drzwi z napisem „Kuchnia”.

Za nimi było podobnie jak w całym budynku. Szafy i szafki stały pootwierane, szuflady były powyciągane, podłogę zaścielały naczynia, sztućce i pojemniki do przechowywania. Zawartość rozerwanego opakowania cukru rozsypała się na blat roboczy i na ziemię.

W jednym z regałów Manzano znalazł kawałek czerstwego białego chleba, gdzie indziej otwartą plastikową torebkę z resztką rozmrożonego groszku. Poodkręcał wszystkie krany, ale z żadnego nie chciała skapnąć choćby jedna kropla wody.

Kolejny raz dotarło do niego, jak komfortowo żył przez ostatnie dni. Zaczął powoli żuć chleb, potem włożył sobie do ust garść groszku. Koniecznie musiał to czymś popić.

Haga

Bollard przypiął rower łańcuchem do znaku drogowego. Dalej nie dało się już z nim iść. Na niewielkim placu okolonym przez stare domy cisnęły się setki ludzi, pomiędzy nimi dostrzegł dwa wozy zaprzęgnięte w konie, szczelnie otoczone przez potężnych wyrostków uzbrojonych w pałki i widły. W oddali rozległ się ryk silnika ciężarówki, z każdą chwilą słyszalny coraz bliżej. W tłumie dało się zauważyć wyraźne poruszenie. Z ulicy po przeciwległej stronie placu przedarł się słaby blask światła, stopniowo stawał się coraz jaśniejszy, w końcu duży samochód dostawczy wjechał w morze ludzi. Czekaający natychmiast zaczęli się wspinać na schodki i zderzaki pojazdu. Bollard próbował precyzyjnie się na środek placu, ale nie był jedyny. Zakleszczony między napierającymi ludźmi nie mógł zrobić żadnego ruchu, po prostu musiał dać się nieść z innymi. Wszyscy przeklinali, pomstowali, krzyczeli. Pewnie dokładnie tak to wygląda, jeśli człowiek zostanie porwany przez prąd rzeki, pomyślał. Mimo oporu, jaki próbował stawiać, był spychany coraz bardziej na bok, a nie w kierunku ciężarówki, którą ludzie tymczasem oblegli niczym pszczoły pszczelarza.

Pojazd zatrzymał się na środku placu i najpierw przez jakąś minutę nic się nie działo. Potem w końcu załodze udało się otworzyć drzwi zablokowane przez napierających. Następnymi kilka minut zajęło im dotarcie w asyście dwóch policjantów do tylnej części wozu. Otworzyli obie połowy wielkich drzwi, wdrapali się na platformę, podczas gdy policjanci z prawej i lewej strony pałkami odganiaли tych najbardziej natarczywych, którzy chcieli wdrzeć się do środka.

Ludzie cisnęli się bez opamiętania, krzyczeli jeden przez drugiego, wyciągali ręce. Bollard dostrzegł dwoje małych dzieci uniesionych wysoko nad tłumem, pewnie w geście rozpaczliwych rodziców wołających o szczególną pomoc. Z tyłu doszło już do pierwszych rękoczynów.

Mężczyźni z ciężarówki ze stoickim spokojem podawali paczki tym, którym udało się przedrzeć do samej platformy. W ładowni za ich plecami piętrzyły się aż po dach stopy podobnych pakietów. Bollard był o wiele za daleko, by mieć choćby cień szansy na dostanie takiego przydziału.

W mrowiu ludzi tu i ówdzie wybuchały bójki. Pozostali wykorzystywali sytuację i przepychali się obok tych pniaczy do przodu. Bollard nie mógł pojąć, jak Marie dzień wcześniej zdołała zdobyć tu coś do jedzenia.

Policjanci, mimo ostrych ciosów, jakie rozdzielali na wszystkie strony, z coraz większym trudem bronili ładunku. Jeden z nich coś krzyknął, wreszcie wyciągnął swoją służbową broń i kiedy nic nie pomagało, wystrzelił w powietrze.

Na krótką chwilę tłum znieruchomiał. Mężczyźni rozdający pakiety skorzystali z okazji i zamknęli oba skrzydła drzwi, po czym wcisnęli jeszcze policjantom po jednej paczce i zeskoczyli na ziemię. Oślaniani przez mundurowych z wyciągniętą bronią precyzyjnie się na przód samochodu i zniknęli w szoferce.

Bollard usłyszał głębokie bulgotanie silnika i bezradnie patrzył, jak pojazd powoli przesuwa się przez tłum zawiedzionych ludzi. Kto próbowałby zagrozić mu drogę, musiał liczyć się z tym, że zostanie przejechany.

Mimo szalejącego tłumy Bollard usłyszał charakterystyczny huk, gdy kamień wyrwany z bruku trafił w szybę samochodu. Ciężarówka ruszyła szybciej, nie zważając na ludzi przed maską. Wreszcie dotarła do ulicy i jeszcze bardziej przyspieszyła. Jeden za drugim pasażerowie na gapę uczeplieni szoferki lub tyłu pojazdu puszczali się sami lub po prostu spadali. Niektórzy od razu zrywali się znowu na nogi i z wykrzywionymi bólem twarzami obmacywali swoje ciała, inni leżeli nieruchomo na ziemi.

Düsseldorf

Manzano nie wiedział, gdzie mogą znajdować się w tym mieście oficjalne punkty wydawania żywności, ale i tak nie miałby odwagi tam pójść. Bardzo możliwe, że dostarczono tam jego opis. Przeszukawszy jeszcze raz kuchnię, wrócił do holu wejściowego. Po drodze zaglądał do każdego pomieszczenia i wypatrywał jakiegoś ubrania. Znalazł plastry z opatrunkiem, bandażę, taśmy samoprzylepne i środki dezynfekujące i wszystko to wepchnął sobie do kieszeni kurtki. Oprócz tego jedno nożyczki i dwa skalpele. W końcu odkrył magazyn pełen białych spodni i koszul. Były używane. Nigdzie nie widział pralek. Prawdopodobnie szpital nie prał na miejscu, tylko zlecał to jakiejś firmie usługowej. Wrócił na drugie piętro, gdzie oprócz oddziału położniczego znajdowała się też ginekologia i oddział chorób wewnętrznych. W jakiejś szafie wygrzebał dwie pary spodni, których ktoś musiał widocznie zapomnieć albo zostawił je specjalnie. Jedne były za małe, drugie natomiast wyglądały na w miarę czyste i w odpowiednim rozmiarze.

Usiadł na łóżku, zmienił sobie opatrunek i wciągnął spodnie, które rzeczywiście całkiem nieźle pasowały. Teraz będzie mógł przynajmniej odważyć się wyjść na ulicę, nie zwracając na siebie od razu uwagi. Tylko gdzie ma pójść?

– Piero?

Manzano aż podskoczył. Ogarnięty paniką rozejrzał się wokoło.

– Cześć, Piero.

W drzwiach stała Lauren Shannon.

– Co... ty tu robisz? – wydusił z siebie.

– Spędziłam ostatnią noc w szpitalu.

– Ale skąd ty się tutaj w ogóle wzięłaś?

– Pojechałam za tobą z Hagi. Jak wiesz, mam dosyć szybkie auto.

– Ale...

– Śledziłam cię aż do Talaferu. Wszystko widziałam: jak cię odwieźli, potem twoją ucieczkę, jak zostałeś postrzelony. Dopiero tu, w szpitalu, straciłam cię z oczu wczoraj wieczorem, gdy obezwładniłeś swojego opiekuna. Możesz mi powiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi?

– Sam chciałbym wiedzieć.

Usiadł z powrotem na łóżku.

– Jesteś tu sama? – spytał na wszelki wypadek.

– Nie bój się, nie przywlokłam za sobą twoich wczorajszych aniołów stróżów.

Manzano zastanawiał się, czy może jej wierzyć. Skoro za nim pojechała, to musiała wcześniej wiedzieć, dokąd on się wybiera. Czy to ona wysłała tamte e-maile z jego komputera i zmieniła datę? Kiedy miała okazję to zrobić? I co by jej to dało?

Błyskawicznie zrekonstruował w pamięci przebieg ostatnich dni. Shannon, jak twierdziła, przyjechała do Hagi, żeby odszukać Bollarda, i ostatecznie wylądowała u niego, Manzana. Skąd wiadomo, czy od samego początku nie chodziło jej właśnie o to? Ale dlaczego? Wyciągnęła z niego informacje, które w ciągu jednej nocy zrobiły z niej czołową reporterkę. Widział jej relacje w internecie i w telewizji. Nie miał podstaw, by wątpić, że rzeczywiście jest dziennikarką. Jednak może nie tylko? Nie byłaby pierwszą korespondentką pracującą dla wywiadu. To z kolei ponownie nasuwało pytanie, po co miałyby umieszczać tamte e-maile w jego komputerze. Czymś takim mogliby być zainteresowani ci, którzy wyłączyli prąd. Czy należała do nich? Lecz czy wtedy jako pierwsza podałyby do publicznej wiadomości informację o ich manipulacjach? Właściwie dlaczego nie...

- Co jest? – spytała. – Tak dziwnie mi się przyglądasz.
 - Od kogo wiedziałaś, dokąd wybieram się z Hagi?
 - Od nikogo. Zobaczyłam, że się pakujesz, więc zrobiłam to samo i ruszyłam za tobą.
- Siedział, mierząc ją uważnie wzrokiem, czuł, jak rana na jego udzie wciąż mu pulsuje.

Mógł polegać wyłącznie na swojej intuicji.

W końcu zaczął jej opowiadać.

Haga

Ścisk na placu był już trochę mniejszy. Jedyne wokół chłopów na ich wozach zaprzężonych w konie zebrały się zwarte grupy ludzi przekrzykujących się nawzajem i próbujących przebić ceny, żeby zdobyć kilka ziemniaków, buraków, marchwi, główek kapusty czy pomarszczonych jabłek z zimowych zapasów. Obrońcy musieli raz po raz odpychać zbyt natarczywych klientów widłami albo fuzjami. Bollard wyciągnął portfel i sprawdził jego zawartość. Trzydzieści euro. Czy uda mu się za to cokolwiek kupić?

Musi spróbować. Wcisnął się między innych, uniósł do góry swoje banknoty i krzyknął:
– Tutaj! Tutaj!

Chłop na wozie nawet nie zwrócił na niego uwagi. W innych wyciągniętych dłoniach były o wiele większe kwoty. Francuz zadał sobie pytanie, dlaczego policja nic nie robi, żeby ukrócić ten proceder. Jako obcokrajowiec nie miał tu żadnej mocy sprawczej i nie mógł nic na to poradzić. Zresztą bez broni i tak nie dałoby się tu wiele wskórać, policyjną legitymację ci ludzie tylko by obśmiali. Zrezygnowany, dał się zepchnąć na bok.

Na obiad dla Marie i dzieci wystarczy jeszcze konserwy, rozmyślał, wracając do roweru. Ale co zjedzą dziś wieczorem?

Düsseldorf

- No i? – spytała Shannon.
- Nie mam pojęcia – odpowiedział Manzano.
- Przecież jesteś geniuszem komputerowym. Jeśli to prawda, czego się domyślasz, że to ktoś obcy wysłał te e-maile z twojego komputera, to przecież powinieneś potrafić ustalić, jak do tego doszło, a jeszcze lepiej, kto to zrobił?
 - Możliwe. Wszystko zależy od tego, na ile profesjonalnie ten ktoś działał. Jeśli jest dobry, to nie zostawił żadnych przydatnych śladów. Ale żeby to stwierdzić, musiałbym dostać się do swojego laptopa.
 - Jego noga wciąż pulsowała.
 - Drugie pytanie: skąd ci ludzie znali twoje plany?
 - Też je sobie zadałem – powiedział Manzano. – To mógłby być tylko ktoś z Europolu.
- Albo osoba zorientowana w planach tej instytucji.
 - Lub ci policjanci z Düsseldorfu, którzy wiedzieli o twoim przyjeździe.
 - Tylko jaki interes mógłby mieć którykolwiek z nich, żeby wpędzić mnie w taki paszтет?
 - Potrzebują podejrzanego, bo nie potrafią znaleźć prawdziwych sprawców.
 - Ale to i tak nie rozwiązałoby problemu.
 - Kto to wie, do czego zdolni są ludzie w desperacji.
 - Ja wiem – szepnął Manzano, przypominając sobie swoją ostatnią noc.
 - Założmy zatem, że nasi kochani współpracownicy są porządnymi urzędnikami i sumiennie wykonują swoją robotę. Więc jak w takim razie zamachowcy dowiedzieli się o twoim wyjeździe?
 - Przychodzi mi do głowy tylko jedna możliwość. W jakiś sposób podsłuchują Europol.
 - Ale jak?
 - Po prostu. To, że potrafią się włamać do zabezpieczonych na wszelkie sposoby systemów, udowodnili już w koncernach energetycznych. Dlaczego więc nie mieliby się też dostać do systemu Europolu? I prawdopodobnie także do innych. A jak już tam przenikniesz, możesz zrobić Bóg wie co. Sam widziałem, jak Bollard rozmawiał z szefem Europolu przez komputer. I takie rozmowy można wtedy słyszeć i oglądać w czasie rzeczywistym.
 - Ale jak dostali się do twojego laptopa, żeby wysłać te e-maile?
 - Bollard kazał monitorować wszystko, co na nim robię. Tym samym mógł otworzyć atakującym bramkę.
 - Może trzeba by mu to powiedzieć? Mogłabym to zrobić.
 - Wtedy od razu się zorientują, że kontaktowałaś się ze mną, i wpadniesz w takie same tarapaty jak ja. A poza wszystkim innym i tak nie uda ci się już dodzwonić do Hagi.
 - Myślisz, że oni sami wpadną na to samo?
 - Hartlandtowi powiedziałem o swoich podejrzeniach. Ale nie wiem, czy mnie słuchał, a jeśli tak, to czy wziął moje słowa na poważnie.
 - To ten typ, który chciał cię wczoraj aresztować?
 - Tak. Teraz kieruje specjalnym zespołem niemieckiej policji szukającym w Talaferze ewentualnych szkodliwych kodów.
 - Czy jeśli ktoś rzeczywiście przeniknął do systemu Europolu, to da się odkryć to włamanie?
 - Prawdopodobnie tak, pod warunkiem że będzie się szukać odpowiednio dokładnie i długo. Ale ich specjaliści od oprogramowania mają niestety ważniejsze rzeczy do roboty.
 - Okej. Zostań tutaj. Spróbuję coś załatwić.

- A co ja mam tu robić?
- Odpoczywać. Uwierz mi, lepszego miejsca raczej nie znajdziesz. Przyjadę po ciebie za parę godzin.

Haga

Bollard nie musiał nawet zsiadać z roweru, by się przekonać, że oddział banku jest zamknięty. Pojechał dalej. Za drugim z kolei skrzyżowaniem znalazł następny. Ale tutaj też na drzwiach wisiała napisana odręcznie kartka, że filia jest nieczynna do odwołania. Coraz bardziej zrezygnowany popedałował w kierunku Europolu. I tak był już porządnie spóźniony! Po drodze minął kolejne trzy banki. W żadnym nie zauważył ani światła, ani pracowników. Przyszła mu do głowy jeszcze jedna możliwość. Na tej samej trasie leżał hotel Gloria, w którym wcześniej zakwaterował Włocha. Jako zarezerwowany specjalnie dla gości Europolu był lepiej zaopatrzony niż większość tego rodzaju placówek w mieście.

W holu wejściowym świeciło się zaledwie kilka lampek. Bollard pokazał portierowi swoją legitymację. Mężczyzna skinął głową i o nic już nie pytał. Francuz przeszedł przez restaurację, w której było prawie pusto, do kuchni.

Drogę zagroził mu kucharz.

– Wstęp tylko dla pracowników – oświadczył.

Również jemu Bollard pokazał legitymację.

– Potrzebuję jedzenia dla kilku osób. Co pan ma?

– Czy pan jest gościem hotelu?

– A chce pan zachować swoją pracę?

– Ziemniaki na zimno albo ziemniaki na ciepło. Do wyboru – odparł oschle mężczyzna.

– Wezmę jedno i drugie. Na wynos.

– Nie mam żadnych pojemników.

– Wobec tego wstąpię później z jakimiś naczyniami. Jeśli zależy panu na pracy, proszę mi odłożyć kilka porcji.

Düsseldorf

Shannon znalazła w szpitalu kilka gumowych przewodów, skalpele, lejek i kubek. W garażu stało kilka porzuconych samochodów. Z latarką między zębami zmierzyła otwór wlewu paliwa w swoim porsche, potem przeszła do następnego pojazdu. Pokrywa wlewu paliwa była zamknięta. Wróciła do własnego auta, w kasetce z narzędziami znalazła klucz płaski i jakiś inny, którego zamierzała użyć jako dźwigni. Za ich pomocą wyważyła dekiel w obcym samochodzie. Zakrętka pod spodem dała się już otworzyć bez klucza. Miała taki sam wymiar, czyli silnik był też na benzynę. Wprowadziła wężyk do środka, przykucnęła z boku i zaczęła zasysać. Czuła opór płynu. Musiała kilka razy oderwać usta i zatkać otwór przewodu palcem, bojąc się za każdym razem, że w dowolnej sekundzie może poczuć obrzydliwy smak benzyny na języku. Przy piątej próbie wreszcie się udało. Z obrzydzeniem wypluła to, co miała w ustach, i skierowała gumowy przewód do wiadra. Paliwo sikało cicho do środka, a wokół rozszedł się charakterystyczny odór.

Siła napędowa naszej cywilizacji, pomyślała. Jak długo jeszcze?

W końcu stróżka się wyczerpała. Shannon wyciągnęła wężyk. Wiadro było prawie pełne. Zniosła je do porsche i przez lejek wlała całą zawartość do baku.

Potem wyważyła dekiel w kolejnym samochodzie. Tutaj wlew był większy niż w porsche. Czyli diesel. Takim paliwem zabiłaby swój silnik. Poza tym dawał się otworzyć tylko kluczykiem. Ale sąsiednie auto okazało się znowu na benzynę.

Po jeszcze dwóch podobnych akcjach miała bak swojego auta pełny po brzegi. Wszystkie pomoce użyte do wyważania i tankowania wrzuciła do bagażnika – być może jeszcze kiedyś się przydadzą. Skalpele wsunęła do kieszeni na drzwiach kierowcy. W pustej przestrzeni podziemnego garażu rasowy układ wydechowy jej wozu brzmiał dwa razy głośniejszy niż na ulicy.

Ratingen

– Nie, nie natrafiliśmy jeszcze na tego Włocha – przyznał Hartlandt. Połączenie z Francuzem w Hadze przez łącze satelitarne było przerywane nieustannymi trzaskami. Zbyt wielu ludzi próbowało komunikować się w ten sposób. – Co pan powiedział?

Musiał chwilę poczekać na odpowiedź Bollarda.

– ...zdziwiłem się, że Berlin odwołał meldunki o aktach sabotażu.

– Tak, ja też dostałem tę wiadomość. Ale nie miałem jeszcze czasu porozmawiać o tym z kolegami. Właśnie zamierzam to zrobić. Jeśli chodzi o Manzana, będę pana informował na bieżąco. Sprawdził już pan wasze systemy IT?

– Mam ten sam problem co pan. Jeszcze nie zdążyłem. Każdemu z nas przydałoby się teraz dziesięć głów i dwadzieścia ramion.

– Jak u tej hinduskiej bogini.

– I sto godzin na dobę.

– Bez snu.

– Zdzwonimy się potem.

Hartlandt otworzył na ekranie komputera wiadomość, która nadeszła wczoraj w ciągu dnia.

„KOREKTA” – widniał tytuł na samej górze, żeby każdy od razu zobaczył. Wiadomość rzeczywiście miała swoją wagę, ale jednocześnie anulowała jedyny ewentualny trop, który mógłby doprowadzić do zamachowców.

W komunikacie Berlin prostował informacje z poprzedniego dnia dotyczące podpaień w stacjach transformatorowych i wysadzeń masztów wysokiego napięcia. Pożar w Lubece powstał w wyniku spięcia, dwa maszty na północy zawaliły się pod ciężarem lodu i śniegu na linach przesyłowych. Za to w południowej części Bawarii znaleziono podejrzenie złamany maszt, a pożar stacji transformatorowej w Saksonii-Anhalcie również wydawał się nietypowy. Jeszcze nie zakończono dochodzenia. Francuz miał jednak rację, sądząc, że te dwa wydarzenia nie dają już podstaw do teorii o wcześniej wytyczonej trasie. Jeśli w tych przypadkach w ogóle chodziło o sabotaż, to miano do czynienia raczej z jakimiś pasożytami społecznymi, a nie z zamachowcami.

Za pośrednictwem specjalnego systemu cyfrowej łączności radiotelefonicznej przeznaczony dla służb połączył się z berlińską centralą.

– Jest pan już trzecią osobą, która mnie tym wkurza – odparł na pytanie Hartlandta mężczyzna odpowiadający za przekazywanie aktualnych meldunków. – Ja nie wysłałem żadnego komunikatu. I nic mi też nie wiadomo, żeby ktokolwiek od nas to zrobił. Poza tym w ogóle nie otrzymaliśmy takich informacji od naszych informatorów.

– Ale przecież do mnie dotarł taki meldunek – zaproponował Hartlandt.

– Wiem – rzekł tamten. – I na dodatek on wyszedł z mojego komputera. Mimo to powtarzam jeszcze raz...

Hartlandt wołał usłyszeć potwierdzenie tego, co przemknęło mu przez głowę: – Czyli chce mi pan powiedzieć, że ktoś wysłał z pańskiego komputera informacje, ale nie był to ani pan, ani pańscy koledzy?

– To...

– Czy to znaczy, że poprzednie informacje są nadal aktualne?

– Właściwie tak – niechętnie odrzekł indagowany. – Oprócz tej ostatniej wszystkie się zgadzają, ktoś chyba do mojego...

– To niech pan to natychmiast sprawdzi! – wrzasnął Hartlandt, lecz po chwili się opanował i spytał spokojniej: – Żadnych nowych doniesień na ten temat na razie pan nie dostał i

nie przekazał dalej?

– Kilka minut temu coś przyszło, właśnie chciałem to rozesłać – odrzekł szorstko jego rozmówca.

– No to niech pan to zrobi – polecił mu Hartlandt i się rozłączył.

Wszyscy byli u kresu wytrzymałości nerwowej.

Jeszcze raz zadzwonił do Bollarda.

– Nie uwierzy pan, czego się przed chwilą dowiedziałem – zaczął i zrelacjonował mu swoją rozmowę. – Znowu mamy do czynienia z danymi, których nikt nie wysłał. Dokładnie to samo co w przypadku Włocha.

Na parkingu przed Talafer AG stało jeszcze mniej samochodów niż w dniu poprzednim. Zaparkowała swoje porsche nieco z boku, żeby nie rzucało się w oczy. Samochód Manzana tkwił nadal w tym samym miejscu, w którym go zostawił. Zawiesiła sobie na ramieniu torbę z kamerą i laptopem.

W recepcji siedziała ta sama kobieta co wczoraj, gdy Shannon udawała, że szuka drogi.

– Znowu nie może pani trafić? – spytała w kiepskim angielskim.

– Chcę się widzieć z panem Hartlandtem – oznajmiła dziennikarka.

– Kto to jest?

– Jeden z policjantów, którzy pracują tutaj od wczoraj. – Miała nadzieję, że ta kwoka rozumie, co ona do niej mówi.

– Ja nic nie wiem.

Czy dostała polecenie, żeby zaprzeczać obecności śledczych w firmie, czy rzeczywiście nie ma pojęcia?

– Ale ja wiem. I będę czekać tu tak długo, aż zostaną do niego wpuszczona albo on opuści budynek. W końcu kiedyś będzie musiał.

Po dezorientowanym spojrzeniu kobiety Shannon domyśliła się, że to było zdecydowanie za dużo angielskiego naraz. Powtórzyła więc jeszcze raz, wolniej.

W odpowiedzi usłyszała:

– Jeśli pani sobie nie pójdzie, wezwę ochronę.

– Bardzo proszę. Jestem dziennikarką i tego tak nie zostawię.

Kobieta w recepcji westchnęła, po czym sięgnęła po słuchawkę. Shannon nie rozumiała, co tamta mówi po niemiecku przez telefon. Na twarzy recepcjonistki odbijały się emocje – od wściekłości, przez powagę, do obojętności. Odłożyła słuchawkę i uśmiechnęła się drwiąco.

Shannon nie była pewna, czy nie powinna się stąd zmyć, zanim zostanie wyrzucona z hukiem przez ochroniarzy? Nie dano jej jednak czasu do namysłu. Za ladą recepcji pojawili się dwaj rośli faceci. Odwróciła się więc na pięcie, ale w tym samym momencie z jednego z korytarzy wyszły trzy inne osoby. Jedną z nich rozpoznała natychmiast.

– To pana szukam! – krzyknęła po angielsku.

Hartlandt i jego ludzie, jeden mężczyzna i jedna kobieta, przystanęli. Shannon poczuła się nieswojo, gdy obrzucił ją wzrokiem. Czy pamiętał ją ze szpitala wczoraj?

– Czego pani chce? – spytał też po angielsku.

Od tyłu zbliżyli się do niej ochroniarze.

– Jestem dziennikarką CNN. Interesuje mnie, co niemieccy śledczy robią w siedzibie jednego z najważniejszych producentów systemów sterowania dla elektrowni na całym świecie?

Hartlandt zmierzył ją znowu i powiedział:

– Przepraszam, ale nie usłyszałem pani nazwiska.

Shannon posłała ku niebiosom żarliwą modlitwę, mając nadzieję, że ten facet nie oglądał ostatnio zbyt dużo telewizji i ominęło go jej *fifteen minutes of fame*, że Bollard nic mu nie

wspomniał o jej znajomości z Manzanem oraz o jej zniknięciu z Hagi i że jakoś wyjdzie obronną ręką z sytuacji, w którą tak naiwnie się wmanipulowała.

– Sandra Brown.

– Nadaje pani relacje bez kamery, pani Sandro Brown?

Poklepała ręką po torbie.

– Baterie są puste. I mam kłopot z ich naładowaniem, jak zapewne się pan domyśla.

Faceci z ochrony delikatnie kierowali ją ku wyjściu.

– Spróbujemy temu zaradzić – powiedział jeden z nich.

Przez twarz Hartlandta przemknęło przez moment coś na kształt szyderczego uśmiechu.

– Nie tak szybko, panowie. Czym mogę pani służyć, pani Brown?

Shannon rzuciła obu mężczyznom, którzy już chwycili ją za ramiona, pełne triumfu spojrzenie. Obaj z lekkim ociąganiem zwolnili uchwyt, ale nie puścili jej całkiem.

– Proszę mi opowiedzieć, o co tu chodzi. Wiadomo już przecież, że wyłączenia prądu są efektem świadomego działania. Czy Talafer odegrał w tym jakąś rolę?

– Proszę za mną.

Z pełnym współczucia wzruszeniem ramion zostawiła obu mięśniaków z ochrony w miejscu.

Hartlandt zaprowadził ją do małego biura na parterze. Całe pomieszczenie było zastawione skrzynkami i komputerami.

– Napije się pani czegoś? Kawy? Może jakąś przekąskę?

Tak, tak, tak! – najchętniej zawołałaby na cały głos, ale się opanowała.

– Tak, chętnie.

Hartlandt zniknął. Shannon rozejrzała się wokoło. Miejsce wyglądało na zaimprovizowany pokój do pracy. Na szafce pod ścianą leżał stos twardych dysków i laptopów. Widoczny na samej górze wyglądał identycznie jak ten, na którym nieustannie pracował Manzano. Zerwała się z miejsca, podeszła kilka kroków. Taka sama zielona nalepka jak na jego komputerze.

To chyba za dużo szczęścia.

Usiadła znowu na swoim miejscu, akurat w porę, bo niemal w tym samym momencie wrócił Hartlandt. Kiedy postawił przed nią kawę, butelkę wody i kanapkę, musiała bardzo się pilnować, żeby nie połknąć wszystkiego naraz.

– No więc – powiedział z uśmiechem. – Proszę pytać. Ponieważ, jak widzę, nie ma pani żadnych urządzeń do nagrywania, możemy rozmawiać otwarcie.

– A może mogłabym podładować u was swoją kamerę?

– Przykro mi, ale energia jest teraz bardzo cenna. Potrzebujemy prądu do ważniejszych rzeczy – oznajmił Hartlandt.

– To znaczy? – spytała Shannon.

Wbiła zęby w kanapkę. Chyba nigdy nie jadła nic pyszniejszego! Przeżuwała powoli i z namaszczeniem.

– Wspomniała już pani o tym – odparł.

– Czyli potwierdza pan, że szukacie w Talaferze ewentualnych przyczyn awarii?

Jeszcze jeden kęs. Do tego łyk gorącej kawy z mleczkiem! W ogóle jej nie przeszkadzało, że była przesłudzona, wręcz przeciwnie.

– W obecnej sytuacji robi to każdy producent – wyjaśnił. – Talafer nie jest wyjątkiem.

– I każdemu pomaga w tym policja kryminalna?

Hartlandt wzruszył ramionami.

– Tego nie wiem.

– Znaleźliście już coś?

– Na razie nie.

Shannon nie zadała kolejnego pytania, tylko dalej jadła kanapkę. Jednocześnie zastanawiała się, jak niepostrzeżenie zwinąć laptop Manzana.

– Smakuje pani?

Jedynie skinęła głową.

– Ma pani jeszcze na coś ochotę?

– Jeśli można prosić o jeszcze jedną kawę?

Ledwie wyszedł za próg, ona chwyciła komputer Włocha i wepchnęła go do torby między swoje rzeczy. Nie usiadła z powrotem. Kiedy po kilku minutach Hartlandt wrócił z kawą, wzięła ją od niego, wypila duszkiem i powiedziała: – Domyślam się, że pewnie nie zechce mi pan opowiedzieć wiele więcej, prawda? Dziękuję, że poświęcił mi pan trochę czasu.

– Udaje się pani jeszcze w ogóle skontaktować ze swoim nadawcą? – spytał Hartlandt przy wyjściu.

– Nie jest to łatwe, ale jakoś sobie radzę.

– Czy on jeszcze coś nadaje?

– A dlaczego nie?

Czyżby coś przegapiła podczas swojej informacyjnej abstynencji?

– Gdzie pani była w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin?

Miała nadzieję, że nie zrobiła się czerwona!

– Cały czas w drodze, zbierałam materiał.

– I nie miała pani kontaktu ze swoimi ludźmi?

– To nie takie proste.

Znaleźli się w holu wejściowym.

– Nic pani nie wie o tym, że wczoraj zaatakowano także Stany Zjednoczone?

Shannon znieruchomiała.

– Co takiego? – niemal krzyknęła.

– Myślałam, że to panią zainteresuje. Ta wiadomość już się przedostała do opinii publicznej. Ale jak się okazuje, nie wszyscy jeszcze o tym słyszeli...

Zanim zdążyła odpowiedzieć, wypchnął ją już na dwór.

– Swoją drogą, nie wiedziałem, że CNN ma w Düsseldorfie swoje biuro – powiedział na pożegnanie.

– Bo nie mamy – odrzekła kompletnie nieobecna duchem. Po chwili odzyskała kontrolę nad sobą. – Przyjechałam tu specjalnie. Miałam jeszcze trochę benzyny w baku.

– Wobec tego życzę pani szczęśliwej drogi powrotnej.

Hartlandt został przed wejściem i patrzył za oddalającą się kobietą. Kiedy odjechała swoim kolorowym porsche, skinął jeszcze głową. Gdy tylko opuściła parking, szare audi 6 z Pohlenem za kierownicą ruszyło jej śladem w bezpiecznej odległości. Hartlandt wyjął z kieszeni wydruk z komputera ukazujący Lauren Shannon, jak mówiąc do mikrofonu, demaskuje zaplanowany atak na sieci energetyczne, oraz jej zdjęcie z kamery monitoringu w haskim hotelu Gloria razem z Pierem Manzanem.

– Masz nas za idiotów, dziewczyno?

Shannon zerknęła we wsteczne lustro już po raz drugi. Szare audi pojawiło się znowu. Ulice były tak puste, że niemal każde auto zwracało uwagę, niezależnie od tego, czy jechało z naprzeciwka, czy z tyłu. Przez kilka minut próbowała złapać jakąś radiostację, ale w głośnikach rozlegało się tylko charczenie. Nie mogła skupić się na jeździe, jej myśli pobiegły daleko, ku rodzicom, a potem ku żyjącym jeszcze dziadkom rozsianym po całych Stanach. Przypomnieli się

jej przyjaciele, koledzy ze studiów, których nie widziała od lat. Boston, Nowy Jork, gdzie przez jakiś czas mieszkała przed swoim wyjazdem w świat. Czy grozi im teraz to samo, czego ludzie tutaj doświadczają już od tygodnia? Szare audi wciąż było za nią. To przypadek?

Przez kilka minut skupiła się na ciągnącym się z kilometr konwoju wojskowym na przeciwległym pasie. Na granicy miasta audi pokazało się znowu. Pomyślała o laptopie Manzana w swojej torbie. Jeśli Włoch ma rację i nie myli się w swoich domysłach, nie wolno jej teraz ryzykować. Kradnąc jego komputer, automatycznie stała się współwinna.

Wyjeżdżając ze szpitala, wpisała do GPS-a jego dokładne dane. Dlatego teraz mogła pozwolić sobie na okrężną drogę, bo system i tak pokieruje ją z powrotem. Niewiele myśląc, odbiła więc z właściwej trasy, ciągle wodząc wzrokiem między jezdnią a lusterkiem wstecznym.

Audi wciąż jechało.

Jeszcze jeden test.

Jej podejrzenie się potwierdziło.

Kto siedzi w tym samochodzie za nią? W grę mogli wchodzić wyłącznie ludzie Hartlandta. Zdążyła już poznać ich metody. Z zimną krwią postrzelili Włocha, kiedy próbował uciekać. W filmach kierowcy w takich sytuacjach dodawali gazu i w brawurowej ucieczce zostawiali swoich prześladowców w tyle. Ale wyścig z dwustu końmi mechanicznymi pod maską i policyjnymi zawodowcami na karku prawdopodobnie skończyłyby się bardzo szybko na ścianie pierwszego lepszego domu. Czy ma jakiś wybór?

Shannon gwałtownie przyspieszyła. Poczuela, jak wcisnęło ją w siedzenie. Zrobiła test pedału gazu. Krótkie spojrzenie w lusterko. Audi zostało z tyłu. Silnik ryczał, wskazówka prędkościomierza powędrowała na sto trzydzieści kilometrów na godzinę. Oby tylko nikt nie wyskoczył jej teraz na jezdnię ani nie wyjechał z bocznej ulicy. Przed następnym skrzyżowaniem ostro zahamowała, skręciła w prawo i znowu dodała gazu. Nie patrząc za siebie, powtórzyła manewr na kolejnym skrzyżowaniu. Nie miała bladego pojęcia, gdzie się znajduje. Chyba trafiła na jakiś teren przemysłowy. Po siódmym czy ósmym skręcie odważyła się spojrzeć w lusterko. Audi zniknęło. Zwolniła i odetchnęła z ulgą.

Kobięcy głos w urządzeniu nawigacyjnym podał jej nową trasę. Shannon posłusznie robiła to, co jej kazano.

Poczuela, jak żołądek podszedł jej do gardła, gdy w lusterku znowu odkryła audi. Po tej nieudanej próbie ucieczki jej prześladowcy musieli przynajmniej zdać sobie sprawę, że ich odkryła. Teraz będą jeszcze bardziej uważni, ale na pewno nie będą się starali być dyskretni. Nie zachowywali już dla pozorów sporej odległości i bez najmniejszych ceregieli jechali niemal tuż za nią.

Shannon wygrzebała laptop z torby leżącej na fotelu pasażera, potem wyciągnęła swoje kamery i resztę rzeczy. Ze skrytki wyjęła instrukcję obsługi grubą jak książka telefoniczna i włożyła ją do torby. Jednym przyciśnięciem guzika otworzyła swoją szybę i wyrzuciła tobolek za okno. W bocznym lusterku widziała, jak torba odbiła się kilka razy od nawierzchni. Audi zwolniło. Ktoś wyskoczył z samochodu i podniósł pakunek. Shannon przycisnęła pedał gazu do dechy. Samochód z tyłu robił się coraz mniejszy. Na najbliższym skrzyżowaniu odbiła w bok i zniknęła w płataninie niedużych uliczek jakiegoś osiedla mieszkaniowego.

Tym razem audi nie pokazało się już w lusterku.

Shannon uśmiechnęła się nieznacznie, nie ciesząc się jeszcze. Po kolejnych dziesięciu minutach odważyła się znowu zdać się na GPS. To piractwo drogowe pozbawiło ją jednej czwartej zawartości baku. Będzie musiała znowu „zatankować” w szpitalu.

Ratingen

Wy przekłete tępaki! – najchętniej wrzasnąłby tak do słuchawki. Daliście się wykiwać jakiejś lasce! Na szczęście miał za sobą wystarczająco dużo godzin szkoleniowych z motywowania współpracowników i kierowania zespołem oraz jeszcze trudniejsze przypadki na koncie, by wiedzieć, że zniewagi i poniżanie innych nic nie dadzą. W końcu nie bez powodu osiągnął swoją pozycję dzięki opanowaniu.

– Wczoraj w nocy to ją nakryliśmy w szpitalu. Była wystraszona i w świetle latarek po prostu jej nie rozpoznaliśmy. Ale to na pewno nie przypadek, że znajdowała się w tym samym miejscu, w którym straciliśmy z oczu Włocha. Jedźcie tam jeszcze raz i sprawdźcie, czy ona się tam przypadkiem nie pojawi.

Na zastrzeżenie obu swoich współpracowników mógł odpowiedzieć tylko pytaniem:

– A skąd niby mam wziąć to wsparcie? Jesteście najlepsi z najlepszych. Dacie radę.

W co powoli zaczynał wątpić. Było ich za mało i byli zbyt zmęczeni. Tak jak wszyscy.

Nanteuil

Annette Doreuil przestraszyła się dwóch mężczyzn w ochronnych uniformach stojących za drzwiami. A przyszli przecież po to, by pomóc i Bollardom, i Doreuilom.

– Jedna sztuka bagażu na osobę – powiedział jeden z nich metalicznym głosem dobiegającym zza maski.

Na platformie ciężarówki za ich plecami siedzieli stłoczeni ludzie o wylęknionych spojrzeniach.

„Jedna sztuka bagażu na osobę” – ogłaszano już przez głośniki samochodu, który dwie godziny wcześniej jeździł ulicami Nanteuil.

– Ale potem będziemy mogli tu wrócić, prawda? – spytała Celeste Bollard.

– Nie mamy na ten temat informacji – odpowiedział mężczyzna w ochronnym stroju. –

My zajmujemy się ewakuacją.

Annette Doreuil przypomniała sobie relacje z Czarnobylią i Fukushima. Za każdym razem zadawała sobie wtedy pytanie, jak czuli się ci wszyscy ludzie, którzy na łeb na szyję musieli opuścić swoje domostwa, nie mając pewności, czy kiedykolwiek do nich powrócą. Porzucali wszystko, co było im drogie. Przejęci paniką, że być może zostali już ciężko albo nawet śmiertelnie napromieniowani. Mając nagle w perspektywie to, że zamiast spędzić schyłek życia w znajomym otoczeniu, będą musieli zaczynać wszystko od początku nie wiadomo gdzie. Ciężko chorzy. Taki właśnie strach usłyszała w tej chwili w głosie Celeste Bollard. Od jedenastu pokoleń, przez ponad trzysta lat, jej rodzina żyła w tym domu, przetrwała nawałnice francuskiej rewolucji, a także dwóch światowych wojen.

Annette Doreuil miała przed oczami także inne fale uciekinierów, obrazy znane jej z telewizji. Nigdy by nie pomyślała, że kiedyś przyjdzie jej znaleźć się w takim konwoju.

Sama nie wiedziała, co czuje. Kiedy razem z Bertrandem opuszczała Paryż, mogła jeszcze sobie wmawiać, że wybierają się na krótki urlop. Ale gdy zabrakło już i kur, i konserw i gdy zabroniono im wychodzić z domu, wtedy przyznała sama przed sobą, że jest jednym z uchodźców.

Jedna sztuka bagażu na osobę. Chwyciła za jedną rączkę dużej torby, Bertrand za drugą. On dźwigał też ciężką walizkę.

Oni nie musieli się specjalnie zastanawiać, co mają zapakować, w przeciwieństwie do Bollardów. Annette Doreuil nie wiedziała, co ich gospodarze upchnęli w swoich dwóch walizkach. Czy już w tym momencie musieli zdecydować, co chcą ocalić?

Próbowała wsłuchać się w swój organizm. Czy czuła się trochę dziwnie? Inaczej? Czy coś wskazywało na to, że promienie radioaktywne wżerają się już w jej komórki?

Podczas gdy dwaj mężczyźni w uniformach pakowali ich bagaże do specjalnego schowka pod pojazdem, Bertrand pomógł jej wdrapać się na platformę. Ludzie zsunęli się na drewnianych ławkach, żeby zrobić im miejsce. Obok nich usiadła Celeste Bollard, ostrożnie, jakby ławka była mokra; nie odrywała wzroku od swojego domostwa.

Z gwałtownym szarpnięciem samochód ruszył. Annette Doreuil widziała tylko tył głów obojga Bollardów. Cały czas patrzyli na malejące z każdym metrem gospodarstwo, które wreszcie zupełnie zniknęło im z oczu, pozostawiając ich w niepewności, czy kiedykolwiek jeszcze je zobaczą.

Düsseldorf

Shannon postawiła porsche w garażu tuż przy wejściu na klatkę schodową. Oparła ręce na kierownicy i przez kilka sekund oddychała głęboko. W jej głowie odbywała się dzika galopada myśli. Hartlandt coś podejrzewał. Może nawet ją rozpoznał. Niewykluczone, że specjalnie ułatwił jej zabranie komputera Manzana, żeby zaprowadziła go do Włocha. A ona dała się wciągnąć w tę pułapkę jak małe dziecko.

Albo tylko sobie to wmawiała?

Jeśli Hartlandt ją rozpoznał, to czy także minionej nocy już wiedział, kim ona jest? Czy dopiero później zrozumiał, kogo miał przed sobą? Może wiedział od Bollarda, że w Hadze poznała Manzana? Czy powinna się teraz obawiać, że jeszcze raz wyśle za nią tutaj swoich ludzi?

Chwyciła laptopa i latarkę, wyskoczyła z samochodu i pobiegła na drugie piętro. Bez tchu wpadła do sali, w której zostawiła Manzana. Leżał na łóżku przykryty grubą warstwą koców, z głową przekręconą na bok.

– Piero? – wydyszała.

Ponieważ się nie poruszył, krzyknęła głośnie i rzuciła się w stronę łóżka.

– Piero!

Jego powieki drgnęły, ociężale uniósł głowę.

– Musimy stąd uciekać! – oznajmiła.

Pokazała mu komputer.

– No, rusz się!

– Skąd... skąd go wytrzasnąłeś?

– Później!

Zerwała koce z jego nóg. Na prawym udzie wyrosła ciemna, błyszcząca plama wielkości dłoni. Kiedy zaniemówiła na jej widok, on powiedział tylko: – W porządku. Podaj mi kule.

Kuśtykał za nią tak szybko, na ile pozwalał mu ból. Na schodach Shannon oświetlała mu drogę. Przed drzwiami do garażu przyłożyła palec do ust i kazała zaczekać. Wyłączyła latarkę, uchyliła odrobinę drzwi i wyjrzała. Nie dostrzegła niczego w ciemnościach, również żadnego audi.

– Porsche stoi zaraz za drzwiami – szepnęła. – Otworzę je pilotem, wyjdiesz i wsiądziesz.

Shannon pchnęła mocniej drzwi. Gdy przycisnęła guzik pilota, w aucie błysnęły światła i odblokowały się zamki.

Manzano ruszył, utykając. W tym samym momencie zobaczył, jak Shannon nakrywa jakiś cień. Drugi stanął w wejściu i zagroził mu drogę. Włoch rozpoznał potężną sylwetkę Pohlena. Z całej siły wbił mu swoje kule w brzuch. Mężczyzna złożył się jak scyzoryk, więc Manzano najmocniej jak mógł uderzył go jedną z kul w głowę – raz, drugi i trzeci. Pohlen osunął się na ziemię, unosząc w obronie jedną rękę. Manzano przygniótł mu zdrową nogą tułów, chora niemal ugięła się pod nim, usłyszał jakiś świst, nadepnął stopą jeszcze mocniej. Pohlen obrócił się na bok, ale już się nie bronił. Za porsche nad Shannon klęczał drugi napastnik. Manzano zobaczył tylko tył jego głowy. Nim tamten zdążył cokolwiek zrobić, Włoch z furią wymierzył mu dwa ciosy w czaszkę. To wystarczyło, żeby przeciwnik bezwładnie runął na ziemię.

Shannon dźwignęła się na nogi, rozejrzała się w panice dookoła i krzyknęła: – Kluczyki! Laptop!

Na czworakach po omacku dotarła do latarki, której samotny promień przeświecał spod samochodu.

Manzano zauważył, że Pohlen wstał z posadzki. Pokuśtykał do niego i powtórnie zdzielił

go kulą.

– Mam! – krzyknęła Shannon.

Gdy Włoch odwrócił się w stronę samochodu, Pohlen próbował chwycić go od tyłu. Drzwi pasażera były już otwarte, Shannon uruchomiła silnik. Manzano rzucił się na siedzenie, samochód ruszył z rykiem motoru i piskiem opon, drzwi same się zatrzasnęły.

– Wszystko w porządku z tobą? – rzuciła do niego.

– Nie mam pojęcia. A z tobą?

– Ujdzie.

Wzięła ostry zakręt, po czym zahamowała tak gwałtownie, że Manzano niemal rąbnął o deskę rozdzielczą. Zatrzymała się obok szarego samochodu. Otworzyła szeroko drzwi porsche i wyciągnęła coś z bocznej kieszeni.

– Au!!! Jasna cholera! – przyklekła obok tamtego auta i wbiła coś w przednią oponę.

Kiedy pobiegła do tyłu, zauważył w jej ręce coś błyszczącego. Przedziurawiła jeszcze jedno koło, rzuciła skalpel na ziemię i zanim przebrzmiał brzęk metalu o beton, już siedziała w porsche.

Manzana wcisnęło w fotel, gdy pędzili ku jasnej plamie wyjazdu. Shannon ostrożnie skręciła na ulicę. Manzano zauważył, że jej prawa ręka krwawi.

– Dokąd jedziemy? – spytał.

– Jak najdalej stąd – odpowiedziała.

Berlin

– Zapraszam do sali konferencyjnej – szepnął do Michelsen sekretarz kanclerza.

Szedł dalej energicznym krokiem, ruszyła więc za nim. Przed monitorami, za których pośrednictwem utrzymywano łączność z innymi centrami kryzysowymi, czekali już członkowie gabinetu i inni przedstawiciele sztabu kryzysowego. Brakowało tylko kanclerza. Z ekranów patrzyli szefowie niektórych europejskich rządów, ministrowie albo inni wysocy urzędnicy.

– Zwołana w trybie pilnym narada kryzysowa – objaśnił minister obrony.

Poszeptywanie, szemranie.

– O co chodzi? – zawołał kanclerz, wkraczając z rozmachem do sali.

Minister obrony wzruszył ramionami.

Kanclerz federalny usiadł na miejscu objętym przez kamerę, przycisnął guzik uruchamiający mikrofon i rzucił swoje pytanie ku wirtualnym gościom, którzy tymczasem byli już w komplecie widoczni na ekranach. Każde państwo nie zawsze było reprezentowane przez tę samą osobę, ale zwykle ograniczano się do maksymalnie trzech przedstawicieli, których delegowano na zmianę.

W ciągu minionych dni Michelsen poznała już wszystkie twarze. Ale w hiszpańskim okienku odkryła jakąś nową postać. Przyjrawszy się bliżej, zauważyła, że mężczyzna jest w mundurze. Poczula się nieswojo.

Hiszpan, krępy wojskowy z wąsem i z wyraźnymi workami pod oczami, odpowiedział:

– W obliczu zaistniałych okoliczności chcielibyśmy jak najszybciej poinformować naszych sojuszników, że premier naszego kraju nie czuje się na siłach dalej sprawować swój urząd. To samo dotyczy wicepremiera i całego rządu. Aby zatem zapewnić utrzymanie porządku publicznego, zagwarantować ludności bezpieczeństwo i uczynić wszystko, co w naszej mocy, by z powrotem ustabilizować sytuację, dowództwo armii pod moim kierownictwem ogłosiło gotowość czuwania nad interesem państwa aż do odwołania.

Michelsen poczuła się tak, jakby przegalopowało po niej stado byków podczas dorocznej fiesty w Pampelunie. Mówiąc krótko: w Hiszpanii wojsko dokonało puczu i przejęło władzę. Mężczyzna na ekranie nie obwieścił im przecież nic innego.

– Nie oznacza to żadnej zmiany w stosunkach międzynarodowych naszego kraju. Nasi przyjaciele w Europie i w Stanach Zjednoczonych mogą nadal w stu procentach na nas liczyć.

Michelsen spostrzegła, że zaczęła się trząść. Dyskretnie sprawdziła, czy jej reakcja zwróciła uwagę siedzących obok niej osób. Wszyscy jednak mieli osłupiałe i blade twarze.

Jako pierwszy zabrał głos kanclerz Niemiec:

– Zakładamy, że chodzi o stan przejściowy i że osoby kompetentne wkrótce z powrotem obejmą swoje stanowiska.

– Oczywiście – odparł hiszpański generał. – Gdy tylko sytuacja na to pozwoli i odpowiednie osoby zadeklarują gotowość, bezzwłocznie oddamy sprawy państwowe we właściwe ręce. Do tego momentu ze względu na bezpieczeństwo ludności ogłosiliśmy stan wojenny.

I znowu znalazła się pod kopytami byków. Nie miała pewności, czy w prawie Unii Europejskiej przewidziana jest jakaś procedura w przypadku takich wydarzeń.

– Gdzie przebywa obecnie pan premier? – spytał wyraźnie bladej twarzy prezydent Włoch. – Czy możemy z nim porozmawiać?

– Obecnie jest to niestety niemożliwe – odrzekł Hiszpan. – Wycofał się i zwrócił się do mnie z prośbą, abym to ja o tym poinformował.

– Proszę przekazać mu od nas pozdrowienia – odezwał się premier Wielkiej Brytanii,

sznurując usta. – I że chcielibyśmy jak najszybciej usłyszeć go znowu.
– Nie omieszka – odparł generał.

Centrum dowodzenia

Był zadowolony. Początek zrobiony. W niektórych krajach spodziewali się puczów. W innych nie istniała taka tradycja. Tam społeczeństwo wcześniej czy później samo zmiecie skruszałe struktury. Sytuacja się radykalizowała, już teraz zmuszała ludzi do organizowania sobie życia niejako obok tradycyjnych systemów lub do tworzenia nowych. Państwowo ukonstytuowane komuny już dawno temu przestały mieć rację bytu, na ich miejsce powstaną nowe, samodzielne, trwałe, będą się mnożyć, dzielić, znikać i odradzać. Niedługo dotrze to także do wojska. Przejęcie władzy przez armię to tylko środek przejściowy. To oniemiałe społeczeństwo, które już nie jest społeczeństwem, bo gdzieś po drodze zapodziało swe wartości i swoją wspólnotowość, w desperackim pędzie za odurzeniem przez posiadanie coraz więcej, przez wieczny wzrost. Doszło do końca swojej drogi.

Haga

– Miałem coś ważnego do załatwienia – powiedział zniechęcony Bollard. Nie miał ochoty tłumaczyć się z tego, że musiał znaleźć coś do jedzenia dla swojej rodziny. Zupełnie jak w jakimś kraju Trzeciego Świata podczas epidemii głodu, pomyślał. Albo w epoce kamienia łupanego. – Jeśli władze nie potrafią zadbać o wystarczające zaopatrzenie obywateli w żywność, musimy robić to sami.

Opatulony ciepłą kurtką siedział razem z szefem Europolu i resztą kierownictwa. Od wczorajszego wieczoru administracja budynku ograniczyła do minimum zużycie energii. Temperaturę w pomieszczeniach obniżono do osiemnastu stopni. Większość wind wyłączono z użytku. Ci, którzy dotarli jeszcze do pracy, chodzili okutani, w co się dało.

– Powinniśmy zorganizować dla pracowników Europolu i ich rodzin specjalne zaopatrzenie – zaproponował Bollard. – W przeciwnym razie już niedługo nie będziemy w stanie wykonywać naszych zadań. Połowa personelu i tak już się nie pojawia.

– Zobaczę, co da się zrobić – powiedział powściągliwie dyrektor Ruiz.

Od szwedzkich i włoskich kolegów nie nadeszły żadne nowe wiadomości. Prowadzone przez nich poszukiwania fałszywych pracowników spółek energetycznych nie przyniosły żadnych rezultatów. Pewne częściowe sukcesy odnotowywały przynajmniej operacyjne zespoły IT u poszczególnych operatorów sieci. Niektóre posuwały się nawet szybciej do przodu, niż oczekiwano. W pewnych przypadkach spodziewano się przywrócenia zdolności do pracy poszczególnych obiektów już w najbliższych dniach.

Jeśli chodzi o jego kolegów z działu IT, Bollard zaglądał do nich od wczoraj trzy razy. Wciąż na nic nie natrafili, ale nie mieli też dużo czasu na szukanie. Posprzeczał się z Belgiem, musiał jednak ustąpić wobec argumentu, że to zdecydowanie za dużo pracy dla zbyt małej garstki ludzi.

– Właśnie przyszło coś z Interpolu! – krzyknął ktoś na całą salę. Bollard widział, jak kolega wpatruje się uważnie w monitor i mamrocze coś pod nosem. Wreszcie powiedział głośno:

– Nie wiem, czy to są dobre, czy złe wiadomości.

Bollard podszedł do niego.

– Nie mów zagadkami.

Na ekranie widoczna była tylko twarz, ale Francuz od razu rozpoznał, że należy do martwej osoby.

Kolega otworzył kolejne zdjęcia. Ukazywały inne części zwłok. Mężczyzna został zamordowany kilkoma strzałami w klatkę piersiową.

– Kto to jest?

Szybko przebiegli wzrokiem notatkę. Niezidentyfikowany Europejczyk, znaleziony dziś rano czasu lokalnego w lesie blisko wsi Gegelang na Bali przez miejscowych chłopów. Nie wyklucza się, że może chodzić o poszukiwanego niemieckiego obywatela Hermanna Dragenaua.

Bollard powtórzył to nazwisko, gorączkowo przeczesując swoją pamięć.

– To jest główny projektant, którego Niemcy szukają w Talaferze!

Porównali posiadane przez nich fotografie Dragenaua ze zdjęciami ofiary.

– Wyglądają podobnie – stwierdził kolega Bollarda.

– Piszą coś o sprawcy albo o podejrzanym? – spytał Francuz.

– Nie, przy ciele nie znaleziono ani pieniędzy, ani żadnych wartościowych przedmiotów, ani też dokumentów. To mógł być zwykły mord rabunkowy.

– A wiadomo już, gdzie mieszkał?

– Chyba nie. Jeszcze trwają ustalenia.

– I co, mamy uwierzyć, że to przypadek? – spytał Bollard. – Jedna z nielicznych osób, które mogły być odpowiedzialne za ewentualne włamanie do systemów jednego z najważniejszych producentów SCADA, wyjeżdża z Europy na krótko przed masową awarią energetyczną, której może być współwinna, i kilka dni później zostaje znaleziona martwa. Cokolwiek on wiedział, już nikomu tego nie powie. – Bollard się wyprostował. – Nie wierzę w przypadek. Hartlandt musi natychmiast prześwietlić biografię tego Dragenaua i każdy jego dzień co do najmniejszego drobiazgu!

Sięgnął po najbliższy telefon i wybrał numer niemieckiego policjanta w firmie Talafer. Miał nadzieję, że uda mu się połączyć.

Ratingen

Dom Hermanna Dragenaua leżał kilka kilometrów na południe od Ratingen, blisko wsi. Budynek musiał pochodzić z początku lat siedemdziesiątych – świadczyły o tym proste linie, duże przeszklone drzwi i szalunek z ciemnych desek poniżej płaskiego dachu. Wejście osłaniały wysokie dęby. Dragenau mieszkał w nim sam. Jego koledzy opowiadali, że sześć lat temu rozstał się z żoną, która wraz z ich córką osiedliła się pod Stuttgartem. Umeblowanie było nowoczesne i praktyczne, kilka designerskich mebli wśród zwykłych sprzętów. Właściciel wydawał się osobą lubiącą porządek. Prawdopodobnie pomagała mu w jego utrzymaniu jakaś dochodząca sprzątaczką, pomyślał Hartlandt.

Dragenau nie miał żadnych bezpośrednich sąsiadów, których można by wypytać. Żeby dowiedzieć się o nim czegoś więcej, musieliby chyba chodzić w okolicznych miejscowościach od drzwi do drzwi i pytać – czy ktoś widywał go w gospodzie, w sklepie. Ale na to mieli za mało personelu. Poza tym wielu mieszkańców wyniosło się pewnie ze swoich domów do któregoś z tymczasowych obozów. Chyba jeszcze nigdy praca policji nie natrafiła na tyle przeszkód.

– Do takiej akcji przydałby się co najmniej z tuzin ludzi – westchnął Pohlen. Miał twarz pokrytą otarciami i siniakami.

– Nie ma co marzyć – odpowiedział Hartlandt. – Musimy dać sobie radę sami.

Po obejściu całego domu zaczęli od pokoju do pracy zmarłego. Systematycznie opróżniali każdą szafkę, każdą komodę i szuflady biurka. Znaleźli deklaracje podatkowe z ostatnich lat, dokumenty ubezpieczeniowe, umowy o pracę z firmą Talaefer AG, stare świadectwa szkolne, indeksy studenckie, wiele twardych dysków i dwa komputery starej daty.

– Przekopanie się tylko przez to zajmie tygodnie – stwierdził Pohlen.

Na zachód od Düsseldorfu

- Chce mi się pić – rzucił Manzano.
- Mnie też – odpowiedziała Shannon.

Wyjechali z Düsseldorfu w kierunku południowo-zachodnim i posuwali się przed siebie bez celu. Shannon unikała autostrad i trzymała się dróg lokalnych. Jechała z umiarkowaną prędkością, żeby oszczędzać paliwo. Miała jeszcze więcej niż połowę zbiornika. Z szarego nieba zaczęły spadać pojedyncze krople. Termometr samochodowy pokazywał jeden stopień poniżej zera.

Manzano na razie jakoś się nie spieszył i nie otworzył swojego komputera.

- Może jednak sprawdzimy, co tam jest...

Odnalazł e-maile, które pokazał mu Hartlandt. W sumie siedem. Sprawdził daty.

Wszystkie zostały wysłane z jego konta podczas pobytu w Europolu.

- Ale nie przeze mnie – szepnął.

– No i? – spytała Shannon.

– Te e-maile naprawdę tu są.

– Ale kto je wysłał?

– Albo ktoś z Europolu, albo ktoś z zewnątrz. W pierwszym przypadku nic się nie da zrobić. Ale ten drugi wariant mogę ewentualnie sprawdzić.

– W jaki sposób?

– Przede wszystkim mam w laptopie dodatkową zaporę sieciową, firewall. Samej zaporce windowsowej nie ufam. Wiesz, co to jest?

– To dzisiaj wie każde dziecko. Zabezpiecza komputer przed nieproszonymi gośćmi.

– No właśnie. Zaprogramowałem ją w taki sposób, żeby cały ruch sieciowy był monitorowany i zapisywany do dziennika, czyli do tak zwanego logu.

Oczywiście log miał założony nie tylko przy firewallu. Specjalne oprogramowanie kontrolowało inne opcje dostępu, na przykład wejścia USB i wszystko, co w ogóle przechodziło przez komputer, na przykład, czy pobierano jakieś pliki albo jakieś przesyłano.

– I teraz chcesz sprawdzić te protokoły, tak? A czy one nie są przypadkiem dosyć obszerne?

– To są tysiące, jeśli nie miliony plików tekstowych. Ale nie muszę przeglądać ich wszystkich sam osobiście. Mam do tego małych pomocników.

Manzano wystukał coś na klawiaturze.

– Mam zainstalowanych w komputerze kilka oprogramowań, na przykład system zarządzania bazą danych, który każdy może ściągnąć sobie z internetu. Dzięki niemu mogę administrować dużymi ilościami danych.

Jego palce śmigały po klawiszach.

– Stworzę sobie niewielki program, który pozwoli mi wgrać pliki z zapory sieciowej do bazy danych.

Kątem oka zauważył, że mijali właśnie jakąś grupę ludzi. Ciepło opatuleni szli skrajem drogi z ogromnymi pękami większych i mniejszych gałęzi na głowach i pod pachami. Ktoś ciągnął wózek drabiniasty wyładowany po sam czubek drewnem. Manzanowi przypomniał się urlop w Indiach, podobne obrazki widział też na zdjęciach robionych zaraz po drugiej wojnie światowej. Idący drogą ludzie patrzyli na ich kolorowe porsche jak na pozaziemski statek kosmiczny.

Pochylił się znowu nad komputerem. Niecałe pół godziny później z zadowoleniem popatrzył na swoje dzieło i wydał polecenie załadowania danych z zapory sieciowej do bazy

danych.

– I co, znalazłeś coś? – spytała Shannon.

– Jeszcze do tego nie doszedłem. Teraz ładuję dane, to trochę potrwa. Jak już skończę, za pomocą mojego małego programu będę mógł poszukać konkretów.

– To znaczy?

– Niestandardowych poleceń, dziwnych wzorów komunikatów...

Przed nimi pokazały się jakieś zabudowania. Manzano odłożył komputer na tylne siedzenie. Znowu poczuł głód. Minęli już parę miejscowości. Nigdzie nie było widać specjalnie dużo ludzi. Tu też spotkali jedynie pojedynczych zbieraczy gałęzi. Zatrzymali się przy przydrożnej gospodzie. Shannon wysiadła z wozu i zapukała do drzwi. Odczekała. Zapukała jeszcze raz. Nikt nie otworzył. Wróciła do samochodu.

– Jak wszędzie – stwierdziła.

– Ale przecież ludzie muszą tu jakoś żyć – wtrącił Manzano. – Chyba, u licha, coś jedzą i piją?

Shannon wzruszyła ramionami.

– A może już nic nie mają?

Przekręciła kluczyk i powoli ruszyła dalej. Zaglądała w okna domów po obu stronach szosy.

– Czy mogłabyś przykręcić trochę ogrzewanie? – poprosił Włoch. Pocił się.

Shannon spojrzała na niego, przyłożyła dłoń do jego czoła.

– Masz gorączkę.

Zmniejszyła temperaturę w samochodzie. Zatrzymała auto na wolnym biegu obok pierwszego napotkanego przechodnia. Nieogolony mężczyzna spojrzał na nią i jej drogi sportowy wóz podejrzliwie.

Manzano opuścił szybę.

– Przepraszam – odezwał się, wykorzystując skromną znajomość niemieckiego. – Gdzie tu można dostać coś do jedzenia?

– Nasze wszystkie pięciogwiazdkowe restauracje są niestety dzisiaj zamknięte – odpowiedział zapytany szorstkim głosem.

– Miałem na myśli... – Włoch szukał odpowiedniego słowa – ...miejsce, gdzie wydawane jest jedzenie.

– A na porsche to ich stać – bąknął mężczyzna.

Manzano zrozumiał dopiero po chwili.

– To jedyny samochód, jaki dało się jeszcze wypożyczyć.

– To mieliście szczęście. Ja nie zdobyłem żadnego.

– Jedzenie? Picie? – Manzano spytał jeszcze raz cierpliwie.

Mężczyzna wskazał drogę na wprost.

– Na głównym placu przed ratuszem jest punkt wydawania żywności. Ale dzisiaj nic tam już nie dostaniecie. Dostawy są zawsze z rana. I błyskawicznie znikają.

Włoch zrozumiał tylko strzępy z tego, co usłyszał.

– Dziękuję – powiedział i zamknął szybę.

Shannon jechała we wskazanym kierunku aż do placu z rondem pośrodku. Mogła spokojnie się zatrzymać, żeby się rozejrzeć, bo nie hamowała żadnego ruchu.

– To chyba tam – powiedziała.

Okrążyła pół ronda i zatrzymała się przed dużym zabytkowym budynkiem z czerwonego kamienia, na którym pysznił się ogromny napis „Ratusz”.

Na drzwiach wisiało odręcznie napisane ogłoszenie.

– Poczekaj tutaj – poleciła i wyłączyła silnik.
– Mogę stąd przeczytać – powiedział Manzano. – Wydawanie żywności codziennie od godziny siódmej do godziny dziewiętej – przetłumaczył od razu na angielski.
– Super. A jeśli kogoś później dopadnie głód?
– Ten system nie jest dostosowany do podróżujących – zauważył Włoch.
Złapał go atak kaszlu. Zaczął szukać czegoś po kieszeniach i w końcu wyciągnął antybiotyk. Chociaż nie miał pewności, czy mu rzeczywiście pomoże, połknął jedną tabletkę. Utkwiła mu w gardle jak za duży kartofel, prawie się zadławił, zanim ją przełknął.
Całkowicie pustymi ulicami Shannon wyjechała z miasta. Pod szarym niebem zmierzch zapadł wcześniej niż zwykle. Krajobraz zrobił się bardziej płaski.
Manzano sięgnął po swój komputer.
– Co będziesz teraz robił?
– Dane już się załadowały. Więc zadam kilka pytań bazie danych. – Po wklepaniu poleceń do laptopa spytał: – Dokąd jedziemy?
– Gdzieś, gdzie znajdziemy na noc dach nad głową i przede wszystkim dostaniemy coś do jedzenia i picia. Może do jakiegoś gospodarstwa.
Wyrzwał przez okno, jakby w tym gołym zimowym pejzażu mógł znaleźć jakąś odpowiedź.
– Skręć tam, w prawo – polecił Shannon.
Skręciła posłusznie z lokalnej drogi na jakiś wąski trakt prowadzący do niewielkiego lasku. Przed nimi wznosiły się po lewej i po prawej stronie barierki.
– Most – stwierdziła i zatrzymała samochód.
W dole płynął potok.

Ratingen

Jego ludzie byli w domu Dragenaua i w Talaferze, a on sam jechał właśnie do najbliższej osady. Po drodze zatrzymał się przy czterech kolejnych domach. W trzech nikt nie zareagował na jego wołanie i pukanie. W czwartym otworzył mężczyzna w średnim wieku.

– Policja?

Hartlandt pokazał mu zdjęcie Dragenaua.

– On mieszka tam dalej – potwierdził właściciel.

– Zna go pan bliżej?

– Nie. Może zamieniłem z nim w sumie pięć słów.

– Nie wie pan, czy miał tu w okolicy jakichś przyjaciół?

– Nie sędzę. Znam większość tych, co tu mieszkają. A o nim jakoś nigdy od nikogo nie słyszałem. Ani dobrego, ani złego. Mieszkał tutaj, owszem, ale raczej nie szukał z nikim kontaktu.

– A nie widział go pan czasem w towarzystwie innych osób, może ktoś go odwiedzał?

– Nie zauważyłem. Ale znowu tak dokładnie to tego nie śledziłem. A skoro jest pan z policji, to niech mi pan powie, kiedy wreszcie skończy się ten koszmar? Może pan ma pojęcie?

– Miejmy nadzieję, że wkrótce.

Osada składała się głównie z domków jednorodzinnych z lat sześćdziesiątych. W miejscowym komisariacie zastał samotnego funkcjonariusza. Jemu także pokazał zdjęcie Dragenaua.

– Nie znam – oświadczył mężczyzna. – Ale proszę za mną. Możemy popytać parę osób, które tu mieszkają.

Hartlandt przeszedł za nim przez ulicę. Weszli do jakiegoś większego budynku.

– To nasz ośrodek kultury i sportu – wyjaśnił funkcjonariusz. – Teraz mieści się tu obóz tymczasowy. Może znajdziemy kogoś, kto go zna.

W hali łóżko stało przy łóżku. Było duszno. Niektórzy leżeli i gapili się w sufit, inni czytali, dzieci biegały jak szalone.

Policjant przedstawił mu krępego mężczyznę z bujnym siwym wąsem.

– To właściciel naszej gospody. Właśnie niedawno mu się spaliła.

Poklepał siwowłosego po ramieniu.

– W porządku? – Po czym zwrócił się do Hartlandta: – On zna całą masę ludzi z okolicy.

Hartlandt pokazał mu portret Dragenaua.

Karczmarz pokręcił głową.

Mundurowy poprowadził go w inny kąt do zaimprovizowanego przedziału. Między dwoma drągami wisiał rozciągnięty koc i oddzielał od sąsiedniego łóżka.

Przedstawiona kobieta okazała się przewodniczącą miejscowego stowarzyszenia kulturalnego.

– Nie – powiedziała, patrząc na pokazane jej zdjęcie. – Ten ktoś ma mieszkać w naszej osadzie?

– W pobliżu.

– Przykro mi.

– Mamy jeszcze dwóch lekarzy i aptekarkę. Przychodzą do nich ludzie z całej okolicy.

Możemy też zajrzeć do księdza i pani pastor. Jeśli ich znajdziemy. Nie wszyscy są zakwaterowani tylko tutaj.

Na zewnątrz zapadał już zmierzch.

Między Düsseldorfem a Kolonią

Reflektory porsche przecinały mrok.

– Jasna cholera – zaklął Manzano.

– Co jest?

Słyszała, jak gorączkowo stuka w klawisze. Przez ostatnie pół godziny siedział skupiony nad swoim laptopem. Mamrotał coś niezrozumiałego pod nosem, co jakiś czas rzucał jakieś okrzyki wskazujące na zaskoczenie.

– No co znowu?

– Tu jest adres IP – zaczął w podnieceniu wyjaśniać. – Potrzebny nam prąd. I dostęp do internetu. Pilnie.

– Co za problem – odparła Shannon. – Do wyboru, do koloru.

– Mówię poważnie. Co noc o godzinie pierwszej pięćdziesiąt pięć mój komputer wysyła dane na konkretny adres IP. Wiesz, co to adres IP?

– IP, czyli protokół internetowy. To coś jakby adres danego komputera w obrębie jakiejś sieci, także w internecie.

– Zgadza się. Dzięki niemu można w zasadzie zlokalizować każdy komputer. A mój laptop dokonywał transmisji danych na adres, którego ja nie znam. Na dodatek nie wydałem mu takiego polecenia ani nic o nim nie wiedziałem.

– To znaczy, że takie polecenie wydał mu ktoś inny. Europol?

– Możliwe.

– Ale jak dostał się do twojego komputera?

– Nie mam pojęcia. Tak czy owak ten ktoś wysłał e-maile mające związek z moją pracą w Europolu. Dlatego przypuszczam, że włamał się poprzez sieć Europolu.

– Czyli jednak tamtejsi policjanci?

– Nie wiem. Potrzebny mi dostęp do internetu, żeby dowiedzieć się więcej.

Uderzył dłonią w czoło.

– Ale ze mnie dureń! Wiem, dokąd powinniśmy pojechać!

Pochylił się do przodu, przyjrzał się GPS-owi.

– Znasz się na tym?

– No, dokąd?

– Do Brukseli.

Shannon nacisnęła kilka guzików; po chwili na wyświetlaczu pokazała się trasa i odległość.

– Dobre dwieście kilometrów – stwierdziła. Rzuciła okiem na tablicę rozdzielczą. – Na tyle nam starczy. A dlaczego Bruksela?

– Znam tam kogoś.

– A ten ktoś ma prąd i dostęp do internetu?

– Jeśli Centrum Monitoringu i Informacji przy Unii Europejskiej nie ma w takiej sytuacji jak obecna prądu i dostępu do internetu, to rzeczywiście jesteśmy w ciemnej dupie. Przepraszam cię za to wyrażenie.

– No dobrze. Nasze urządzenie mówi nam, że będziemy tam za dwie godziny.

– Ale przedtem muszę coś zjeść.

– Niby skąd mam wziąć coś do jedzenia?

Bruksela

Angström szybko wepchnęła sobie kawałek chleba do ust, podczas gdy inni powoli złazili się w salce konferencyjnej. Jako ostatni pojawił się kierownik EUMIC, Zoltán Nagy. Bez zbędnych wstępów przeszli do rzeczy.

– O pomocy ze Stanów możemy zapomnieć – stwierdził od razu. – Oprócz tego ta od Rosjan, Chińczyków, z Turcji, Brazylii i innych państw teraz musi być podzielona między Europę i Amerykę.

Przez kilka sekund zalegała bezradna cisza. Następnie przeszli do ustalonego porządku dnia i wspólnie wysłuchali najświeższych raportów.

– Naczelne dowództwo NATO ogłosiło *casus foederis* – oznajmił Nagy ponurym głosem. – Według oświadczenia sojusz wystąpi zdecydowanie przeciw agresorom. Tyle że nadal nie ma jasności, kto ponosi odpowiedzialność za ten atak.

Angström pomyślała w tym momencie o Pierze Manzanie. Nie miała od niego żadnych wieści. Czy udało mu się pomóc Europolowi?

Międzynarodowa Agencja Energii Atomowej nadała awarii w Saint-Laurent już stopień 6., czyli tylko o jedną kategorię niżej, niż sklasyfikowano katastrofy w Czarnobylu i Fukushima.

– Strefa ewakuacyjna została rozszerzona do trzydziestu kilometrów – relacjonował zorientowany w temacie kolega. – Znalazły się w niej między innymi miasta takie jak Blois i dzielnice Orleanu. Obszar wokół elektrowni, w tym wpisana na listę dziedzictwa kulturowego UNESCO dolina Loary, pozostanie niezamieszkały przez dziesiątki, a może setki lat. Francja zwróciła się do nas z oficjalną prośbą o pomoc. Japonia zaoferowała wysłanie ekspertów.

– No, oni powinni się na tym znać – zauważył ktoś z sarkazmem.

Angström była ciekawa, czy ten Francuz, który odebrał ich w Hadze z lotniska, miał gdzieś w okolicy rodzinę albo przyjaciół.

– Podobny scenariusz grozi okolicy czeskiego Temelína, gdzie jest już 4. stopień w skali INES – kontynuował kolega. – Nie ma nadal jasności co do stanu reaktora. Eksperti uważają, że mogło dojść do częściowego stopienia rdzenia.

W siedmiu innych europejskich elektrowniach atomowych MAEA stwierdziła incydenty stopnia 1. i 2.

– Wprawdzie to nas nie dotyczy bezpośrednio – dodał jeszcze sprawozdawca – ale doniesiono także o poważnej awarii w amerykańskiej elektrowni atomowej Arkansas One. Tam też przestało działać zasilanie awaryjne.

Niewiele natomiast wiedzieli o sytuacji ludności cywilnej w całej Europie. Gruntownie znali jedynie warunki w Brukseli, bo oni sami i ich rodziny doświadczali ich każdego dnia. Powszechna solidarność zaczęła się poważnie kruszyć. Podczas gdy jeszcze kilka dni temu ochoczo pomagano zupełnie obcym ludziom, obecnie dobre uczynki ograniczały się najczęściej do najbliższego kręgu przyjaciół i bliskich.

– Z wielu miast napływają meldunki o niepokojach i grabieżach – powiedziała jedna z koleżanek.

Brak dobrych wiadomości, pomyślała Angström przygnębiona. Sytuacja była tak ponura jak noc za oknami.

Między Düsseldorfem a Kolonią

W ciemności wyłoniły się niedaleko przed nimi jakieś zabudowania.

– Tam z przodu jest światło – powiedział Manzano.

Shannon skierowała samochód w tamtą stronę. Z szosy prowadziła wąska asfaltowana droga, która zawiodła ich pod duże chłopskie obejście. Na parterze domu mieszkalnego w dwóch oknach paliło się światło. Zatrzymali się i wysiedli z wozu. Mieszkańcy musieli usłyszeć warkot silnika, bo ktoś otworzył już drzwi. Pod światło padające z głębi widzieli tylko zarys postaci.

– Czego chcecie? – spytał mężczyzna, trzymając na wysokości piersi strzelbę.

– Szukamy tylko czegoś do jedzenia – odpowiedział Manzano łamanym niemieckim.

Gospodarz popatrzył na nich podejrziwie.

– Skąd jesteście?

– Ja jestem Włochem, a ona jest amerykańską dziennikarką.

– Eleganckie macie autko. – Mężczyzna wskazał lufą na porsche. – I jeszcze nawet jeździ.

Mogę zobaczyć? – Zrobił krok w ich kierunku, opuścił broń.

Shannon zawahała się przez moment, ale podeszła z nim do wozu.

– Jeszcze nigdy w czymś takim nie siedziałem – powiedział. – Mogę?

Shannon otworzyła drzwi, nieznajomy usiadł za kierownicą. Manzano zbliżył się do auta.

– Kluczyki – poprosił mężczyzna i wyciągnął rękę.

Gdy Shannon nie zareagowała, wycelował w nią lufę swojej flinty.

– Kluczyki – powtórzył.

Podawała mu.

Wziął je od niej i uruchomił silnik. Drzwi zostawił otwarte, strzelbę położył sobie na kolanach, tak aby nadal była skierowana na nią.

– Brzmi nieźle. I nawet ma jeszcze benzynę w baku.

Zatrzasnął drzwiczki i zanim tamtych dwoje zdążyło zareagować, wjechał w otwarte wrota stodoły.

Oboje ruszyli za nim. Kiedy dobiegli do progu, on właśnie wysiadł i wymierzył w nich broń.

– Zjeżdżajcie stąd!

– Przecież pan nie może... – krzyknęła Shannon po angielsku, ale Manzano ją powstrzymał.

– Już się przekonaliście, co mogę.

– Sprowadzimy policję.

Mężczyzna się roześmiał.

– Jak ją znajdziecie... – Znowu machnął strzelbą w ich stronę. – A nawet gdyby ci się udało, panienko, to ja i tak bym powiedział, że daliście mi ten samochód z własnej nieprzymuszonej woli. W podziękowaniu za jedzenie. A teraz...

Kolejny ruch bronią.

Manzano słyszał, jak tamten parska i pieni się ze złości.

– Nasze rzeczy – odezwał się Włoch. – Niech pan nam przynajmniej da nasze rzeczy ze środka.

Mężczyzna zastanowił się przez chwilę, po czym wyciągnął plecak żeglarski Shannon z tylnego siedzenia i cisnął go jej pod nogi.

– I jeszcze komputer – poprosił Manzano i pospiesznie dodał: – Tylko proszę nie rzucać!

Podszedł kilka kroków w stronę auta; gdy tamten uniósł lufę wyżej, od razu się zatrzymał.

– A do czego wam komputer?

– Panu do niczego się nie przyda – odpowiedział Włoch. I powtórzył: – Proszę.
– Niech pan sam go sobie weźmie – rzucił opryskliwie tamten. – Tylko żadnych głupich ruchów.

Manzano posłuchał. Pokuśtykał do wozu.

– Co z pana nogą?

– Zostałem ranny.

– I w głowę też?

Włoch nic nie odpowiedział. Wyjął laptopa spod siedzenia pasażera, gdzie się zsunął.

– A teraz zjeżdżajcie stąd!

Zamknął wrota od środka.

Manzano i Shannon spojrzeli nawzajem na siebie, podeszli ostrożnie kilka kroków w stronę drzwi domu, które wciąż stały otworem i skąd padało słabe światło.

– Co za oprych – syknęła Shannon.

W drzwiach ukazał się cień.

– Mówiłem przecież: zjeżdżać mi stąd! – wrzasnął.

Tuż potem pojedynczy strzał rozdarł ciszę. Sprzed stóp Manzana wystrzeliły w górę grudki ziemi i kamyki.

– Cholera! – krzyknęła Shannon i odskoczyła do tyłu.

Kiedy następny strzał trafił tuż obok niej, Piero chwycił ją za łokieć i odciągnął dalej.

– I żebyście nie próbowali mi tu wracać! – ryknął jeszcze za nimi. – Następnym razem wyceluję gdzie trzeba!

Haga

– To jest niedobre!

Bernadette cisnęła łyżkę w papkę jarzynową, którą Bollard przyniósł z hotelu Gloria.

– Nic innego nie dostaniesz – powiedział do córki.

– Ja chcę spaghetti!

Marie wzniosła oczy do góry. Środek przeciw grypie pomógł, gorączka opadła.

– Przecież widzisz, że kuchnia nie działa. Gdzie mam ugotować wodę na makaron? W kominku?

Właściwie dzieci nie mają tak źle, uznał Bollard. Nie muszą chodzić do szkoły, całymi dniami mogą się bawić, a z powodu tej wyjątkowej sytuacji i on, i jego żona byli wobec nich bardziej pobłażliwi niż normalnie.

– Wszystko mi jedno! I chcę obejrzeć telewizję!

– Bernadette, już dość!

– Nie! Nie! Nie!

Zeskoczyła ze swojego krzesła i wybiegła z kuchni.

Żona rzuciła ku niemu pełne rozpaczy spojrzenie. Wstał więc i poszedł za córką.

Siedziała w pokoju na podłodze przed kominkiem, w którym migotały płomienie. W skupieniu czesała jedną ze swoich lalek. Jedyne jej wydęta dolna warga zdradzała dalek ducha przekory.

Bollard usiadł na podłodze naprzeciw niej.

– Posłuchaj, skarbie...

Bernadette opuściła głowę niżej, gniewnie ściągnęła brwi, jeszcze bardziej wysunęła wargę do przodu i zaczęła czesać lalkę dwa razy szybciej.

– Ja wiem, że to nie jest łatwe, ale my wszyscy...

Usłyszał ciche pochlipywanie, drobne ramionka córki drżały. Takiego płaczu nie widział u niej dotąd jeszcze nigdy. To nie były tylko złość i upór. Dzieci z pewnością nie rozumieją, co się dzieje, ale czują, pomyślał. Wyczuwają naszą bezradność, nasze napięcie, nasz lęk. Bollard pogłaskał ją po głowie i przytulił do siebie. Delikatnym ciałkiem wstrząsał teraz szloch, łzy skapywały na jego koszulę, podczas gdy on trzymał córkę w objęciach i lekko kołysał.

My wszyscy tak się czujemy, skarbie, wszyscy.

Między Düsseldorfem a Kolonią

Choć Shannon pożyczyła Manzanowi sweter, który miała w swoim worku żeglarskim, on nadal dygotał. Musiała go podpierać, ponieważ nie powinien był obciążać chorej nogi. Wrócili na szosę, którą wcześniej jechali. Ostatnia miejscowość leżała ładnych parę kilometrów za nimi. Nie daliby rady dojść do niej przez noc, a już na pewno nie z jego nogą.

– Co za pieprzony szubrawiec! – przeklęła Shannon.

– Nie dam rady – jęknął Manzano.

– Co zamierzasz zrobić? – spytała go. – Przecież nie możemy zostać na samym środku drogi. To pewna śmierć.

Włoch sapał ciężko. Po chwili powlókł się dalej.

– Spójrz tam!

W świetle księżycy wyłonił się zarys jakiejś krzywej chatki na polu.

Przebrnęli przez rozoraną ziemię. Drewniana chałupka mierzyła pięć na pięć metrów, nie miała żadnego okna, a na drzwiach wisiała zardzewiała kłódka. Shannon kopnęła ją kilka razy butem, ale rygiel nie puszczał. Spróbowała więc odgiąć deski w drzwiach, które z trzaskiem zaczęły ustępować. Wyłamała szczelinę na tyle dużą, żeby dało się wpełznąć do wnętrza.

Pogrzebała w swoim worku i znalazła zapalniczki, które zapakowała jeszcze w Paryżu. Położyła się na brzuchu, zapaliła jedną i poświeciła do środka. O ile mogła dojrzeć w słabym blasku zapalniczki, poza kilkoma starymi pniakami i odrobiną siana nic więcej tam nie było. Płomień zgasł. Shannon wsunęła najpierw swoją torbę, potem przeczołgała się pod drzwiami. Kilkoma mocnymi kopniakami udało się teraz wyważyć je od wewnątrz.

– Tu wcale nie jest cieplej – stwierdził Manzano.

– Zaraz będzie lepiej – powiedziała Shannon.

Przez dużą dziurę w dachu migotał księżyc.

Zgarnęli porozrzucane wszędzie siano na kupę pośrodku. Na wierzchu Shannon położyła kawałek deski wyłamanej z drzwi. Próbowowała podpalić zapalniczką żdźbła, ale tylko kilka z nich się zajęło i zaczęło dymić.

Spróbowała ponownie – tym razem pojawiło się kilka małych płomyków, którym przez umiejętne dmuchanie nie pozwoliła zgasnąć. Ogień objął resztę siana i wkrótce jego języki zaczęły lizać szczapę leżącą na samej górze. Manzano pochylił się nad stosem i wyciągnął dłonie ku ciepłu.

– Cudnie – westchnął. – Gdzie się tego nauczyłaś?

– W harcerstwie – odpowiedziała. – Moja mama przez ładnych parę lat posyłała mnie na obozy. Nie przepadałam za nimi. Nigdy bym nie pomyślała, że kiedyś to mi się przyda.

Wiedziała, że zaśnięcie przy tym ogniu wiąże się z niebezpieczeństwem. Od iskier mogła się zająć cała chatka, a oni udusiliby się wtedy od dymu.

Przez chwilę wpatrywali się bez słowa w płomienie.

– Co za nonsens – odezwał się w końcu Manzano.

Shannon nic nie powiedziała.

– Ciągle zastanawiam się nad jednym – mówił dalej. – Jaki cel mają zamachowcy w tym, żeby pozbawić nas energii, która jest podstawą naszej cywilizacji. Czy właśnie o to im chodzi? Żebyśmy nawzajem się ograbiali i rozbijali sobie czaszki? I zachowywali się jak ludzie z epoki kamiennej?

– Już im się to udało – stwierdziła z goryczą Shannon.

Następnie wstała i wysypała na ziemię całą zawartość swojego plecaka. Podążyła mu jakieś ubrania. Niewiele tego było. Do położenia na podłodze i do przykrycia.

– Ale nie do końca.

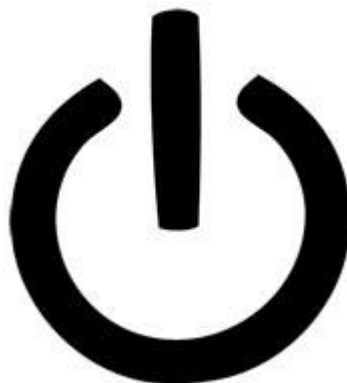
– Co?

– No, chodzi mi o to zachowanie jak w epoce kamiennej.

Manzano zwinął dwa T-shirty i sweter w poduszkę pod głowę. Shannon to samo zrobiła z jakimiś spodniami. Położyli się naprzeciw siebie, patrząc w ogień. Czuła zimno na plecach, ale nie tak dotkliwie jak na dworze. Jej towarzysz zamknął już oczy.

Popatrzyła jeszcze raz na drobne iskry, który strzelały pojedynczo z rozżarzonego bierwiona. Też opuściła powieki, mając nadzieję, że w najbliższy ranek znowu się obudzi.

Dzień 8. – Sobota



Ratingen

– Włoch i jego amerykańska znajoma przepadli – powiedział Hartlandt, spoglądając z boku na Pohlana. – Jeśli chodzi o Dragenaua, też nie mamy nic nowego. – Potoczył wzrokiem po obecnych. Przed nim siedzieli Dienhof, cała kierownicza drużyna firmy Talafer AG, nawet sam Wickley. – Z Bali dostaliśmy opis miejsca przestępstwa i raport po obdukcji. Wynika z nich, że Dragenau został zastrzelony tam, gdzie go znaleziono, dwoma strzałami: w klatkę piersiową i w brzuch. Przeszukano jego pokój w hotelu. Żadnych odcisków palców, może jakieś DNA, ale nie wiadomo, jak bardzo skrupulatny jest tamtejszy personel hotelowy i ile może być tam materiału po poprzednich gościach. Nigdzie nie natrafiono na jego paszport, zniknęły też pieniądze i karty kredytowe. – Celowo podał te szczegóły, ponieważ miał jeszcze coś więcej do przekazania. – Jest jednak bardzo interesujący detal: Dragenau nie był Dragenauem. A przynajmniej w hotelu. W nim zameldował się jako Charles Caldwell. Czy komuś mówi coś to nazwisko?

Wszyscy zgromadzeni pokręcili głowami.

– Dlaczego tak postąpił? – kontynuował Hartlandt. – Moja teza brzmi: Dragenau to jest nasz człowiek. On nie pojechał na Bali po to, aby wypoczywać, tylko żeby się ukryć. Ku jego i naszemu nieszczęściu jego wspólnicy albo zleceniodawcy mu nie ufali, dlatego zmusili go do milczenia. Mamy pecha, bo teraz nic nam już nie powie.

– To są tylko spekulacje – obruszył się Wickley. – A może ten zabity to naprawdę jest Charles Caldwell? Dlaczego Dragenau miałby bawić się w coś takiego?

– Dla pieniędzy? – zasugerował Hartlandt.

– Ze zranionej dumy? – wtrącił Dienhof. – Taka spóźniona zemsta.

Wickley rzucił mu złowrogie spojrzenie.

– Nie rozumiem – powiedział Hartlandt. – Przecież on należał do ścisłego kierownictwa przedsiębiorstwa. Za co miałby się mścić?

– Wiele lat temu – westchnął Wickley – jeszcze jako student Dragenau założył firmę wytwarzającą oprogramowanie do automatyzacji dokumentów. Miał błyskotliwy umysł, ale brakowało mu zdolności biznesowych. Mimo wyśmienitych produktów tak naprawdę nigdy nie udało mu się wejść na rynek. Przez moment stanowił nawet konkurencję, ale na dłuższą metę nie miał szans w walce z Talaferem. Pod koniec lat dziewięćdziesiątych odsprzedał nam swoją firmę i został naczelnym projektantem. Na tym stanowisku otwierał nowe pola technologicznego rozwoju.

– Ale nadal nie rozumiem, za co chciałby się zemścić – odezwał się Hartlandt. – No bo wygląda na to, że zarobił sporą kasę i jeszcze dostał pracę, która sprawiała mu przyjemność.

– Kasy nie zarobił. Jego firma była bardzo zadłużona, między innymi w wyniku różnych zatargów prawnych z firmą Talafer. Nabycie jej przez nas to był przede wszystkim krok strategiczny, żeby dostać głowę Dragenaua. W następnych latach ten ruch bardzo się nam opłacił, bo to jemu zawdzięczamy wiele naszych doskonałych rozwiązań.

– A zatrudniając go jako współpracownika, nie widzieliście w nim, doprowadzonym do bankructwa konkurencie, skrajnego zagrożenia dla własnego bezpieczeństwa? – spytał z niedowierzaniem Hartlandt.

– Na początku owszem – odpowiedział Wickley. – Ale z upływem lat miał tak pozytywny wizerunek, że wszystkie wątpliwości jakoś zniknęły. Był nawet brany pod uwagę jako przyszły szef całego działu rozwoju.

– No cóż, jak się okazuje, chyba się myliliście w swoich ocenach. Teraz wspólnie musimy skupić się w naszym dochodzeniu na obszarach, do których miał dostęp Dragenau.

Między Kolonią a Düren

Shannon otworzyła oczy i spojrzała w popiół. Tu i ówdzie żarzyły się jeszcze pojedyncze pomarańczowe gniazda. Manzano nadal spał, ciężko oddychając.

Jego blada twarz była złana potem. Przez dziury w dachu zaglądało niebieskie niebo.

Shannon, wciąż nie ruszając się z miejsca, zaczęła zastanawiać się nad swoim położeniem. Oto leży w jakiejś nędznej chatynce gdzieś w kraju, którego języka nie zna i nie rozumie. Jest zima, obok niej śpi poważnie ranny mężczyzna. Skradziono jej jedyny środek transportu. Nie ma nic do jedzenia i do picia. Telewizja i pozostałe media, z których mogłaby się czegoś dowiedzieć o aktualnej sytuacji, nie działają. Podobnie telefony, więc nie może zadzwonić do bliskich, przyjaciół i kolegów z pracy po pomoc.

Zauważyła, że ogarnia ją panika. Znała to uczucie z dawnych lat, ze szkoły, kiedy myślała, że nie da rady zdać egzaminów, z podróży, kiedy nie wiedziała, co ze sobą począć albo zabrakło jej pieniędzy. Ale nauczyła się sobie z nią radzić. Wiedziała, co ma zrobić. Nie wolno jej zastygnąć jak królik na widok węża, tylko trzeba wykonać pierwszy krok. Ruszyć się, działać, zmierzać do celu.

Jakiego celu?

Podniosła się po cichu, włożyła jeszcze jedną szczapę do paleniska, delikatnie podmuchała, aż buchnęły pierwsze płomienie. Manzano oddychał coraz ciężiej, ale się nie obudził. Shannon ostrożnie wyszła na dwór i załatwiła za domkiem co trzeba. Pola i najbliższe zagajniki nocny mróz pokrył białą szatą, która teraz iskrzyła się w słońcu. Przez ułamek sekundy poczuła się bardzo lekko.

Nie potrafiła ocenić, jak bardzo oddalili się wieczorem od gospodarza, który ich obrabował. Ale jego zabudowań nie było widać na horyzoncie.

Męczyła ją suchość w ustach. Oparła się o drewnianą ścianę ogrzaną porannym słońcem, przymknęła oczy i upajała się ciepłymi promieniami muskającymi jej twarz. Stała tak przez dobrą chwilę, próbując pozbierać myśli i ułożyć jakiś plan. Znaleźć kierunek. Jeszcze przedwczoraj jej cel był oczywisty. Zrobić z tej niewiarygodnej historii najlepszy w świecie materiał. Doskonale zdawała sobie sprawę, jak dobrze się jej powodziło w ostatnich dniach. Setki milionów Europejczyków żyło w warunkach, które z każdym dniem stawały się coraz bardziej nieznośne. Dla niej stanowiły one dotychczas tylko przedmiot reportaży, po których zrobieniu mogła wrócić do ciepłego pokoju w hotelu. Wsłuchiwała się w siebie. Czego nowego chciałaby się jeszcze dowiedzieć? Właściwie tylko jednego: że to się wreszcie skończyło. I wszystko znowu jest dobrze.

Bardzo by chciała przekazać taką pomyślną wiadomość. Ale aby mogło się tak stać, najpierw musiałaby się zmienić rzeczywistość wokół niej. Może więc najwyższa pora już nie tylko relacjonować o tym, co robią inni, ale zrobić też coś samej. Manzano nie siedział z założonymi rękami, kiedy odkrył kod we włoskich licznikach.

Suchość w ustach i burczenie w brzuchu przypomniały jej mimo wszystko o tym, że najpierw musi zadbać o podstawowe potrzeby. Od wczorajszej popołudniowej wizyty u Hartlandta nic nie jadła, a napiła się tylko raz wody z potoku. Z Włochem było jeszcze gorzej.

Wróciła do chatki.

Manzano otworzył oczy, zakaszłał.

Przyłożyła dłoń do jego czoła. Było rozpalone. Być może także od płomieni.

Mamrotał coś pod nosem.

– Musimy znaleźć ci lekarza – stwierdziła.

To pierwszy krok.

Haga

Marie Bollard dopchnęła się do jednego z handlarzy rozstawionych wokół placu. Sprzedawał kalarepę, buraki i plamiste jabłka. Wyjęła zegarek, który dostała od rodziców po zdaniu matury, oprócz niego miała też w dłoni dwa złote pierścionki i jeden łańcuszek, ich ostatnią żelazną rezerwę na czarną godzinę. Wyciągnęła w stronę mężczyzny jeden z pierścionków.

– Prawdziwe złoto! – krzyknęła. – Ten pierścionek jest wart czterysta euro. Co za niego dostanę?

Jednak na uwagę handlarza bardziej zasłużył ktoś nieco dalej, kto oferował gotówkę. Marie Bollard pokazała obrączkę jednemu z cerberów, którzy z argusowym wzrokiem pilnowali towarów.

– Szczerze złoto! – powtórzyła. – Osiemnaście karatów!

Dozorca nie zareagował. Ze stoicką miną obserwował, jak powtórnie zwróciła się do sprzedawcy.

Krzyknęła do niego kilka razy, aż wreszcie mężczyzna krótko rzucił na nią okiem.

– A skąd mam wiedzieć, że to nie podróbka? – spytał.

Zanim Bollard zdążyła mu odpowiedzieć, znowu wziął od kogoś pieniądze i podał w zamian dwie wypchane siatki.

Wyczerpana wycofała się ze zbitego tłumu. Ale nie zamierzała się poddać. Na placu stało co najmniej ze trzydziestu handlarzy. Rój głodnych ludzi przepychał się od jednego do drugiego jak na pchlim targu w leniwy jesienny poranek, tylko o wiele bardziej nerwowo i agresywnie. Pośrodku całej tej rzeszy tkwił mężczyzna z długą brodą, owinięty białą chustą wokół tułowia, połączenie Jezusa i guru. Z uniesionymi wysoko w górę rękami powtarzał nieustannie:

– Koniec się zbliża! Biada wam!

Marie Bollard, pokręciwszy głową, ruszyła dalej. Zewsząd dobiegały odgłosy kłótni, okrzyki gniewu. Szczególnie dużo osób zebrało się w jednym końcu placu i przysłuchiwało się jakiemuś wściekle wrzeszczącemu mówcy.

Przedzierając się między stoiskami, natrafiła w końcu na takie, na którym na pozór nie było nic do kupienia. Stół był mniejszy niż wszystkie inne, za to strzeżony przez sześciu osiłków o byczych karkach i wrogich twarzach. Wepchnęła się głębiej. Przez lupkę wciśniętą do prawego oczodołu jakiś mężczyzna szacował cenny przedmiot.

– Dwieście – rzucił do kobiety stojącej przed nią.

– Ale to jest warte co najmniej osiemset! – krzyknęła.

– No to niech pani sprzeda komuś, kto da pani osiemset! – wrzasnął i oddał jej broszkę.

Kobieta zawahała się, ale w końcu wzięła od niego swoją ozdobę i zacisnęła ją w dłoni. Mężczyzna sięgnął już po kolejny podsunięty mu klejnot.

Marie Bollard dotknęła palcami własnych precjozów schowanych w kieszeni płaszcza. Zagryzła wargi, potem się odwróciła.

Stała bezradna w tym roju i zamęcie. Nie była jeszcze gotowa na takie lichwiarskie geszefty. Tłum wokół mówcy jeszcze bardziej zgęstniał, zajmował już połowę placu. Zgodnym chórem krzychał coś, co Bollard zrozumiała dopiero za którymś razem.

– Chcemy jeść! Chcemy pić! Zwróćcie nam nasze życie!

Między Kolonią a Düren

Shannon stała na skraju szosy, obok niej siedział Manzano oparty o jej żeglarski worek. W jego stanie nie mogli już iść dalej. Od pół godziny na próżno wypatrywali jakiegokolwiek pojazdu. Jeśli chcieli się stąd ruszyć, musieli zaryzykować. Na szczęście świeciło słońce i trochę łagodziło przenikliwie zimno.

Usłyszała odgłos silnika, zanim jeszcze zobaczyła samochód. Po chwili od lewej strony wyłoniła się ciężarówka.

– Oby tylko nie wojsko i nie policja – wymamrotał Manzano. – Jeśli rozesłali nasze zdjęcia...

– Sądząc po kolorze, to chyba żadni z nich – uspokoiła go Shannon. – Spróbujemy.

Na ukrycie się i tak było już za późno. Wyciągnęła rękę z kciukiem uniesionym do góry.

W szoferce siedziały dwie osoby. Samochód zatrzymał się tuż obok. Przez otwarte okno spozjrzał na nich z góry młody krótko ostrzyżony mężczyzna z zarostem na policzkach. Spytał o coś, ale Shannon go nie rozumiała. Rzuciła więc, czy któryś z nich mówi po angielsku.

Mężczyzna w oknie popatrzył na nią zdziwiony, ale odpowiedział: „tak”.

Shannon wyjaśniła mu, że Manzano jest chory i że muszą dostać się do najbliższego miasta. Krótko ostrzyżona głowa zniknęła w szoferce, z której doszedł teraz głos kierowcy. Po chwili otworzyły się drzwi. Shannon najpierw pomogła wsiąść Włochowi, a potem wgramoliła się sama.

Za kierownicą siedział starszy mężczyzna z dużym brzuchem, też nieogolony od kilku dni. Młodszy przedstawił go jako Carstena, on sam miał na imię Eberhart.

– A gdzie wyście się tu podziewali? – spytał, pociągając nosem. – W jakiejś wędzarni?

– Można tak powiedzieć.

W kabinie ciężarówki było wreszcie ciepło. Za fotelami Carstena i Eberharta znalazło się dość miejsca dla niej, Manzana i ich skromnego dobytku.

Kiedy zapięli pasy, kierowca wrzucił bieg i wielki pojazd ociężale ruszył znowu. Włoch oparł się o ścianę kabiny i zamknął oczy. Położyła mu dłoń na czole. Miała wrażenie, że tkwił w nim żar z nocnego paleniska.

– Jesteśmy reporterami – oznajmiła. – Po drodze w naszym samochodzie zabrakło benzyny...

– Jak tak patrzę na pani kolebę, to chyba dosyć ostre musicie robić te reportaże – zauważył Eberhart, wskazując na ranę na głowie Włocha.

– Miałem wypadek, gdy wyłączyła się sygnalizacja w mieście – wyjaśnił Manzano zgodnie z prawdą.

– ...a nasz hotel zamknięto po paru dniach – ciągnęła dalej Shannon. – Teraz chcemy dostać się do Brukseli.

W chwili gdy to powiedziała, sama zauważyła, jak idiotycznie musiało to zabrzmieć.

– Myślicie, że Unia wam coś pomoże? – roześmiał się Eberhart.

– ...albo do najbliższego dużego miasta, gdzie będzie jakiś konsul albo ambasada – szybko dodała. – Albo gdzieś tam, gdzie jest prąd. Nie wiecie przypadkiem, gdzie są takie miejsca?

– Nie. Na naszej trasie nigdzie. Coś mi się wydaje, że takie miejsca są tylko na końcu tęczy...

Berlin

– Musimy teraz, podkreślam: teraz, zdecydować, co powiemy Rosjanom – oświadczył kanclerz Niemiec. – Za dwie godziny zaczynają się pierwsze starty.

– Wciąż brak ustaleń dotyczących sprawców – odpowiedział minister obrony.

– Potrzebna jest nam każda pomoc – wtrąciła Michelsen. – Poza tym jakich byśmy użyli argumentów, żeby ją teraz wstrzymać? A przede wszystkim: dlaczego tylko rosyjską, a nie turecką czy egipską?

– A jeśli za tym wszystkim stoją Rosjanie?

– Jeśli, jeśli... – obruszyła się Michelsen.

Miała już dość ciągłych obiekcji tych, którzy sobie uroili, że są w stanie wojny. Minister obrony od samego początku skłaniał się ku tej tezie, podczas gdy kanclerz przyjął postawę wyczekującą i również po agresji na Stany Zjednoczone nadal nie wykluczał ataku terrorystycznego. Po swojej stronie miał ministra spraw wewnętrznych, który pospieszył mu teraz ze wsparciem.

– Rosja w pierwszym etapie wysłała niemal wyłącznie siły cywilne – dodał. – Siły zbrojne mają za zadanie jedynie koordynować akcję.

Wszyscy uczestnicy dyskusji zdawali sobie sprawę, że chodzi w niej nie o argumenty, ale o władzę. Minister spraw wewnętrznych był zwierzchnikiem policji, a ta odpowiadała za dochodzenie w przypadku zamachów terrorystycznych. Tymczasem od chwili ataku na USA minister obrony zwęszył szansę dla siebie. Stojąc na czele mniejszej partii koalicyjnej, w razie konfliktu wojennego jako zwierzchnik sił zbrojnych zyskałby zdecydowanie na znaczeniu nawet wobec samego kanclerza. Michelsen nie mogła wręcz oprzeć się wrażeniu, że ten facet byłby gotów w tym celu nawet sprowokować jakąś wojnę.

Ktoś zapukał do drzwi sali konferencyjnej. Jeden z sekretarzy kanclerza otworzył, wytknął głowę na korytarz, następnie pospieszył do szefa rządu i szepnął mu coś do ucha.

Kanclerz powoli wstał.

– Powinni to państwo zobaczyć – powiedział do obecnych, po czym opuścił salę.

Pozostali ruszyli za nim zaskoczeni. Kanclerz wyszedł ze strefy chronionej i zmierzał do jednego z korytarzy, z których okna wychodziły na ulicę.

Michelsen poczuła, jak gęsia skórka wędruje jej po plecach aż po kark, a potem po sam czubek głowy.

– Doskonale ich rozumiem – powiedziała do swojej sąsiadki, która podobnie jak ona i wszyscy pozostali ze sztabu kryzysowego niczym zaklęta obserwowała tłum ludzi, którzy zebrali się kilka pięter niżej pod siedzibą Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Musiały ich tam być tysiące. Wołali coś chórem, ale przez grube szyby ich słowa nie były słyszalne. Widziała tylko otwarte usta, zaciśnięte pięści i transparenty.

Jesteśmy głodni!

Marzniemy!

Chcemy wody!

Chcemy ciepła!

Chcemy prądu!

Całkiem skromne życzenia, pomyślała Michelsen. A jednak trudne do spełnienia. Zdawała sobie sprawę, jak oni muszą być odbierani przez tamtych na dole – nie mają na sobie płaszczy, grubych swetrów, szali i rękawic, za szybami oświetlonego i wyraźnie ogrzewanego budynku patrzą jak z twierdzy na oblegających stojących na zimnie.

Tłum ruszał raz po raz z miejsca, morze głów podchodziło co rusz pod drzwi,

odstępowało i zbliżało się znowu. Michelsen wiedziała, że wejścia na dole strzeżone są przez policję.

– Wracam do pracy – powiedziała i odwróciła się na pięcie.

Nagły głuchy odgłos kazał jej jeszcze raz spojrzeć za siebie. Jej koledzy cofnęli się kilka kroków i patrzyli z przerażeniem w stronę okien. Znowu jakiś cień uderzył w szybę, po której rozeszła się pajęczyna pęknięć. Coraz więcej kamieni ciskano w fasadę, w dwóch kolejnych oknach powstały rysy. Choć szkło hartowane było wystarczająco wytrzymałe, zgromadzeni w korytarzu wycofywali się nerwowo. Jeden za drugim pospiesznie wracali do sal centrum kryzysowego zabezpieczonych specjalnymi drzwiami otwieranymi za pomocą kodu. Na miejscu została tylko garstka.

To jest właśnie moja rola, pomyślała Michelsen, powinnam była czemuś takiemu zapobiec. Poczucie porażki ogarnęło ją całą, szczękała zębami, jakby dygotała z zimna. Oparła się o ścianę i przyglądała się kamieniom, które dudniły o szyby.

Potem grad pocisków ustał. Pięć z szesnastu okien w korytarzu zostało uszkodzonych.

– Nie odmówimy Rosjanom – powiedział kanclerz do ministra spraw zagranicznych.

Michelsen ostrożnie podeszła znowu do okien. Przed budynkiem unosił się dym. Ogień czy gaz łzawiący? – zadała sobie pytanie.

Gdzieś pod Düren

– A wy? – spytała Shannon kierowcę i jego towarzysza. – Co wy tutaj robicie?
– Carsten pracuje dla dużego koncernu spożywczego – odpowiedział Eberhart. – W normalnej sytuacji zaopatruje w towar wszystkie okoliczne filie.

Na wspomnienie jedzenia żołądek Shannon jeszcze bardziej się skurczył.

– Dobrze pan mówi po angielsku.

– Normalnie studiuję – wyjaśnił Eberhart. – Tylko teraz pomagam.

– A co wieciecie?

– To, co jeszcze nadaje się do spożycia. Konserwy, mąkę, makaron. W miejscowościach na naszej trasie część sklepów została zamieniona przez lokalne władze w punkty wydawania żywności. Rozdajemy w nich ustalone ilości z ciężarówki. Ale to i tak już długo nie potrwa. – Wyrzwał w zadumie przez okno.

– Dlaczego?

– Bo nasz centralny magazyn jest prawie pusty. To jedna z ostatnich tras, jaką robimy. Już teraz musimy wszystko bardzo racjonować.

Shannon zawahała się przez chwilę, jednak w końcu zdecydowała się spytać: – Wieciecie artykuły spożywcze. Od wczoraj rano nie mieliśmy nic w ustach. – Kiedy żaden z nich nie zareagował, dodała: – Zostało mi trochę pieniędzy.

Eberhart zmierzył ją zza przymrużonych powiek.

– Jeszcze ma pani pieniądze?

Shannon zrobiło się trochę nieswojo, co jednak nie złagodziło bolesnego ssania w żołądku.

– Niewiele – skorygowała. – Pomyślałam, że mogłabym coś od was odkupić.

Eberhart podrapał się w brodę.

– Nie wolno nam. Regulacje wyjątkowe. Musimy to wszystko rozdać za darmo. Wszystko jest skrupulatnie wyliczone. – Spojrzał na nią tak przenikliwie, jakby oczekiwał od niej jakiejś oferty.

– Małą paczuszkę – spróbowała jeszcze raz. – Dla mojego kolegi i dla mnie. Przecież widzicie, w jakim on jest stanie.

Eberhart rzucił okiem na Manzana, który nie był zdolny do jakiegokolwiek reakcji.

Shannon zaczęła szperać w swojej torbie.

– Mam pięćdziesiąt euro. To chyba dobra zapłata za taką paczkę? Bardzo dobra.

– Sto – rzucił Eberhart i chwycił banknoty.

Shannon je cofnęła.

Mężczyzna zwrócił twarz do szyby i patrzył na drogę, jakby nic się nie stało. Jechali tak przez jedną minutę.

W końcu Shannon się poddała.

– Sześćdziesiąt.

– Teraz to już sto dwadzieścia.

Zaklęła w duchu. Po kolejnej propozycji pewnie wyrzuci ich z wozu.

– Osiemdziesiąt.

– Dzisiaj rano zjadłem całkiem przyzwoite śniadanie. – Eberhart wciąż patrzył na drogę. – A niedługo będę miał porządny obiad. Jeśli pani też ma ochotę, to sto pięćdziesiąt.

– Tyle nie mam!

– Jak ktoś nie ma pieniędzy, żeby się targować, to nie powinien w ogóle zaczynać.

Fuck! Co za świnia!

– Okej. Stówa. Więcej się nie da.

Poczuła, jak ze złości napływają jej łzy do oczu.

Eberhart dał znak Carstenowi. Samochód zwolnił, w końcu się zatrzymał.

Młody mężczyzna odwrócił się do Shannon i wyciągnął rękę.

– Najpierw jedzenie – zażądała.

Pomocnik kierowcy wysiadł i po chwili wrócił z paczką.

Zgrzytając zębami, Shannon wymieniła ją na sto euro.

Rozerwała opakowanie i w środku znalazła zawinięty w folię bochenek chleba, dwie puszki groszku i kukurydzy, butelkę wody mineralnej, tubę skondensowanego mleka, torebkę mąki i pudełko makaronu. Super! Zapłaciła sto euro za mąkę i kluski, których nie wykorzysta bez kuchni albo przynajmniej bez ognia. Pospiesznie odwinęła chleb z folii, odłamała kawałek i podała Włochowi. Potem oderwała następny i łączywie go pochłonęła. Manzano jadł obok niej równie zachłannie jak ona, wycisnął sobie też trochę mleka na chleb.

Eberhart i Carsten roześmiali się z czegoś.

Shannon miała to w nosie.

Ratingen

– Sprawdziliśmy około trzydziestu procent wierszy kodu, które wchodzi w rachubę z naszego punktu widzenia – relacjonował Dienhof. – Jak na razie wszystko wygląda normalnie.

– Czyli zostało jeszcze siedemdziesiąt procent. Dlaczego to idzie tak powoli? – spytał Hartlandt.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– A czego się pan spodziewał? Musimy sprawdzić każdy pojedynczy wiersz programu i zrozumieć kryjącą się w nim logikę programistów. Taka procedura jest bardzo pracochłonna nawet w normalnych warunkach, a co dopiero w obecnych.

Hartlandt zakończył spotkanie i przeszedł do sąsiedniego pomieszczenia – centrum operacyjnego swojego zespołu.

Jego współpracownica wisiła na radiotelefonie. Kiedy zobaczyła Hartlandta, zakończyła rozmowę i odłożyła słuchawkę.

– To był Berlin. Wysłałam im coś, co powinni przekazać do Europolu i także do innych. Spójrz.

Otworzyła na swoim komputerze plik ze zdjęciami.

– To są dane odtworzone ze starych stałych dysków i komputerów, które znaleźliśmy u Dragenau. Gość nie był specjalnie staranny albo miał w nosie, czy ktoś się na to natknie.

Grupowe zdjęcie ukazywało co najmniej sześćdziesiąt osób różnych narodowości na tle jakiegoś miasta, którego Hartlandt nie potrafił rozpoznać. Twarze też były nie najlepiej widoczne.

„Szanghaj 2005”, głosił napis na pasku pod zdjęciem.

– W roku 2005 Dragenau uczestniczył w konferencji w Szanghaju na temat bezpieczeństwa informatycznego. Poprosiłam już dział personalny Talaferu o wydanie mi wszelkich materiałów, jeśli jakieś w ogóle mają. Nie była to podróż prywatna. To zdjęcie musiało zostać zrobione podczas tej konferencji. Dragenau jest tutaj, a tam stoi ktoś, kogo też chyba znamy.

Powiększyła fotografię, by wyraźnie pokazać twarz. Dobrze wyglądający młody mężczyzna o śniadej cerze i czarnych włosach uśmiechał się do obiektywu.

– Cholernie podobny do... – otworzyła drugie zdjęcie.

Hartlandt rozpoznał jeden z portretów pamięciowych, jakie dostali z Włoch, stworzonych podejrzanym o sabotaż we włoskich licznikach inteligentnych.

Umieściła go obok twarzy widocznej na fotografii z Szanghaju.

– Pięć lat różnicy. Teraz ma krótsze włosy, ale poza tym...

– Berlin, Europol, Interpol i wszyscy inni poinformowani. Zobaczymy, kto to jest i czy coś o nim wiadomo.

„Wszyscy inni” to służby wywiadowcze i informacyjne poszczególnych państw. W obecnej sytuacji mogli liczyć przynajmniej na to.

Za Düren

– No, najedliście się? – spytał Eberhart.

Shannon była wprawdzie wściekła, że ci dwaj tak bezczelnie wykorzystali ich beznadziejną sytuację, ale potrzebowała ich jeszcze, jeśli razem z Manzanem chciała dostać się gdzieś dalej.

– Gdzie my właściwie jesteśmy? – spytała.

Eberhart wyjął postrzępiony atlas samochodowy ze skrytki, przekartkował go, a kiedy znalazł odpowiednią stronę, pokazał jej płataninę dróg usianych mnóstwem małych miejscowości. Na samym skraju mapy Shannon odkryła większe miasta: Düsseldorf, Kolonia, Akwizgran.

– Jaka jest wasza trasa?

– Objedźdżamy wsie i małe miasteczka – wyjaśnił mężczyzna, zakreśliwszy czubkiem palca kółko na mapie.

– A jakie większe miasto jest waszym celem?

– Stacja końcowa to Akwizgran.

– Moglibyście nas tam zawieźć?

– To zależy, ile zapłacicie.

Tylko nie to, pomyślała Shannon. Zaciśnęła mocno zęby, wypuściła powietrze.

– Przecież już mówiłam, że nie mam nic więcej.

– Szkoda. Wobec tego zostawimy was w najbliższej miejscowości. Zaraz w niej będziemy.

Rzeczywiście wzdłuż drogi zaczęły pojawiać się pojedyncze domy.

– Zaraz się zacznie rejwach – zapowiedział lakonicznie Eberhart.

Główna ulica rozszerzyła się w którymś momencie w spory plac, na którym przed jakimś marketem tłoczyły się setki ludzi.

– No dobrze – rzuciła. – Za ile do tego Akwizgranu? Znalazłabym jeszcze siedemdziesiąt.

– Na pewno ma pani więcej.

– Nie – odparła Shannon zdecydowanym głosem. – Siedemdziesiąt. Moje całe bogactwo. Może być wasze, jeśli weźmiecie nas do Akwizgranu. Jak nie, to dostanie je ktoś inny.

Ciężarówka zbliżała się do zwartej tłumu.

Eberhart zamienił parę słów z Carstenem, po czym odwrócił się do nich.

– W porządku. To zajmie nam z godzinę.

Manzano opierał się o nią. Miał zamknięte oczy, pocił się. Co prawda zażywał lekarstwa, które dostał w szpitalu, ale chyba nie działały.

– Czy moglibyśmy w tym czasie poszukać lekarza dla mojego kolegi? – spytała Shannon.

– Spróbujcie. Ale za godzinę odjeżdżamy. Tu nie uda się wam wsiąść, zaraz się przekonacie dlaczego. Będziemy na was czekać na następnym skrzyżowaniu za placem.

Carsten powoli torował sobie drogę przez mrowie ludzi i zatrzymał się dokładnie pośrodku. Dopiero teraz Shannon zauważyła w tej wrzawie trzy wozy konne, z których coś sprzedawano. Ziemniaki.

Carsten i Eberhart nie wysiadali. Niektórzy z czekających wdrapali się już na stopnie przy kabinie i na zderzaki. Shannon z niepokojem obserwowała, jak coraz więcej twarzy zagłada do środka, otwarte usta coś krzyczały.

– Tak jest już od paru dni – powiedział Eberhart. – Musimy poczekać.

Po kilku minutach twarze zniknęły, a zamiast nich pojawiły się nowe, w policyjnych czapkach. Shannon poczuła, jak serce podeszło jej do gardła.

Kierowca i jego pomocnik otworzyli drzwi.

– Jak chcecie do tego lekarza, to musicie wyjść teraz – rzucił do nich Eberhart.

Shannon pomogła Włochowi wysiąść. Policjanci w ogóle nie zwracali na nich uwagi.

Eberhart zatrzęsął za nimi drzwi.

– Macie godzinę! – krzyknął jeszcze, pokazując na zegarek.

Shannon skinęła głową i zaczęła holować za sobą Manzana przez tłum. Po angielsku pytała potrąconych ludzi o lekarza, ale nikt nie odpowiadał. Dopiero na samym skraju placu znalazła kogoś, kto udzielił jej informacji.

Do gabinetu lekarskiego było tylko pięć minut na piechotę. Czyli mają jeszcze czterdzieści pięć minut do odjazdu.

Centrum dowodzenia

Znaleźli zatem zwłoki Niemca na Bali. Tym skrupulatniej będą teraz szukać w firmie Talafer AG. Mogą sobie długo szukać. Milionów wierszy programu z kilku dziesiątek ostatnich lat nikomu nie uda się przeczesać w ciągu paru dni, nawet gdyby zatrudnili do tego całą policję kryminalną. Przecież do tej pory nie byli w stanie złapać choćby jednego zwykłego hakera.

Pomyślał o tym, jak to jeszcze niewiele dni temu był w ojczyźnie tego Manzana. Po zmanipulowaniu inteligentnego licznika pojechał do Bari i wsiadł na jeden z ostatnich promów. To samo zrobili dwaj pozostali. Zespół szwedzki samochodem wycofał się przez Finlandię do Rosji. Tam kupili bilet na samolot i trzy dni później dołączyli do nich.

Ich wewnętrzne dyskusje na temat sytuacji w Saint-Laurent i w innych elektrowniach atomowych, a także w różnych fabrykach chemicznych po jednej i drugiej stronie Atlantyku tymczasem ucichły. Świadomie nie przeniknęli do systemów informatycznych tych obiektów. Odpowiedzialność za incydenty i awarie spoczywała wyłącznie na operatorach i ich wadliwych systemach awaryjnych. Ten argument musieli zaakceptować także mający wątpliwości sceptycy w ich gronie. Żeby dane społeczeństwa nie pozwoliły potem wykręcić się firmom i politykom wymówkami i kłamstwami, kiedy już będzie po wszystkim. I gdy już oswoją się z nową sytuacją – pociągnęły ich do odpowiedzialności i zaczęły rzeczywiście coś zmieniać!

Langerwehe

Shannon znalazła się w domu z muru pruskiego, kilka ulic od punktu wydawania artykułów spożywczych. Już w sieni ludzie stali oparci o ściany albo siedzieli na podłodze. Powtarzając jak katarynka *Sorry, sorry*, precyzyjnie się z Manzanem dalej, żeby stwierdzić, że poczekalnia jest jeszcze bardziej zapchana, a powietrze w niej nieświeże i duszne.

Znowu bariera językowa. W końcu starszy mężczyzna w kapeluszu i płaszczu jej wyjaśnił. Oni wszyscy czekają do doktora, niektórzy od kilku godzin. Musi stanąć w kolejce w korytarzu. On był tu już wczoraj, ale się nie dostał. Nie, nie orientuje się, jak długo dzisiaj lekarz będzie przyjmował.

Shannon zrozumiała, że nie mają co liczyć na pomoc. Muszą poszukać jakiegoś innego rozwiązania.

Spytała mężczyznę, czy nie wie, w których rejonach jest prąd i jak się tam dostać.

– Uważa pani, że jeszcze bym tu był? – odpowiedział jej pytaniem.

Jakieś dziecko rozdarło się na cały głos, pozostali czekający odwrócili się w jego stronę z irytacją lub ze współczuciem, matka wzięła je na ręce, zaczęła szeptem uspokajać, ono zaś krzyczało coraz głośniejsze. Shannon poczuła, że ten hałas działa także jej na nerwy.

– Zna pan kogoś, kto mógłby nam pomóc?

– Może policja albo ktoś z ratusza. To dwie ulice dalej.

Budynek ratusza przedstawiał mieszkankę stylów w kolorze żółtym i czerwonym oraz szkła. Tu też natrafili na kolejkę. Grube zimowe płaszcze, czapki, szale, rękawiczki, ciepłe buty lub długie botki. Druga w kolejności zapytana osoba wyjaśniła Shannon w kiepskim angielskim, na co wszyscy czekają.

– Na różne rzeczy. Głównie na kartki żywnościowe.

– Kartki żywnościowe?

– Bez nich nic się nie dostanie w punkcie wydawania żywności.

– A skąd one się biorą? Kto je drukuje i przywozi?

Kobieta spojrzała na nią zdumiona.

– Chyba nikt. Urzędniczka bazgrze na kartce, czego kto potrzebuje, i przystawia stempelek.

– Trzeba długo czekać, żeby się do niej dostać?

Zapytana wzruszyła ramionami. Nie potrafiła udzielić odpowiedzi także na pytanie o regiony mające prąd. A więc, chcąc nie chcąc, muszą jechać dalej z Eberhartem i Carstenem.

Nic nie załatwiwszy, opuścili ratusz i po niewielu minutach dotarli w umówione miejsce.

Shannon obserwowała z daleka, jak ciężarówka rusza z placu. Parę osób uczepliło się pojazdu, spadło jednak na ziemię, kiedy kierowca przyspieszył.

Eberhart dobrze ocenił odległość dzielącą ich od nich. Kiedy samochód zatrzymał się przed Shannon i Manzanem, ludzie z placu nie byli już w stanie ich dogonić.

– Wsiadać! – polecił im nerwowo Eberhart.

Jeszcze oboje nie zdążyli na dobre zająć miejsc, gdy Carsten dodał gazu.

Orlean

Annette Doreuil poprawiała sobie fryzurę przed pokrytym plamami lustrem. Kiedy do jej nozdrzy doszła kolejna smuga smrodliwego powietrza z toalet, wstrzymała oddech. Szybko przeciągnęła palcami po włosach, gdy nagle zauważyła, że między nimi został jej spory kosmyk. Prerażona zapomniała o feterze i otworzyła usta. Z irytacją strząsnęła to coś do umywalki. Jeszcze raz ostrożnie przejechała po włosach. Ponownie zobaczyła siwe nitki w dłoni. Człowiek zawsze traci trochę włosów, pomyślała, przez całe życie tak było. Przecież i tak odrosną. Jednocześnie przypomniały się jej obrazy z filmu o wojnie atomowej z lat osiemdziesiątych. Główni bohaterowie w kilka dni po napromieniowaniu po eksplozji bomb jądrowych zaczęli tracić włosy. Kilka tygodni później ci sami ludzie umarli w strasznych mękach. Poczula, że pali ją twarz.

Po lewej jakaś kobieta w jej wieku myła sobie całe ramiona myjką, po prawej młoda matka kąpała niemowlę w umywalce.

Drżącą dłonią Doreuil przeciągnęła jeszcze raz po włosach. Tym razem nic w niej nie zostało. Ale nie miała odwagi ciągnąć mocniej. Pospiesznie opuściła wspólną łazienkę, której kafelkowa posadzka była tak brudna, że Annette nie chciała po niej chodzić nawet w butach.

W szerokim korytarzu biegnącym wokół hali powietrze było zawiesiste i zimne, z sufitu sączyło się światło kilku jarzeniowych lamp. Mieszanina szeptów, rozmów, chrapania, płaczu i przekleństw wypełniała przez cały dzień dużą salę, która normalnie służyła sportowcom i publiczności.

Doreuil poszła do holu wejściowego, gdzie wolontariusze przydzielali miejsca nowo przybyłym, rozdawali jedzenie i koce, odpowiadali na pytania. Jakiś mężczyzna w mundurze, mniej więcej w wieku jej córki, sortował konserwy.

– Przepraszam pana – odezwała się Annette Doreuil.

Przerwał swoje zajęcie i zwrócił się do niej z przyjazną twarzą.

– Przyjechaliśmy wczoraj z okolic Saint-Laurent – zaczęła. Zauważyła, że ma ochrypły głos, więc odchrząknęła. – Kiedy w końcu zostaniemy zbadani?

Mężczyzna podparł się pod boki.

– Proszę się nie martwić, madame – odparł.

– Ale czy nie powinniśmy zostać zbadani?

– Nie, madame. Ta ewakuacja ma charakter wyłącznie profilaktyczny.

– Po katastrofie w Japonii w roku 2011 pokazywali w telewizji, jak ludzie w obozach tymczasowych byli badani takimi aparatami...

– Nie jesteśmy w Japonii.

– Ale ja chcę sprawdzić, jak bardzo jestem napromieniowana! – zażądała Doreuil. Jej głos wydawał się krzykliwy i obcy.

– Na razie brakuje nam na to zarówno aparatury, jak i personelu. Ale jak powiedziałem, nie powinna się pani w ogóle martwić. W Saint-Laurent nic...

– Ja się boję! – krzyknęła. – Wobec tego dlaczego zostaliśmy ewakuowani?

– Przecież już powiedziałem – odparł mężczyzna zdecydowanie ostrzej. –

Profilaktycznie. – Po czym zajął się z powrotem konserwami.

Annette Doreuil czuła, że cała drży. Do oczu napłynęły jej łzy. Przymknęła powieki, by je powstrzymać.

Blisko Akwizgranu

Eberhart i Carsten rozdali żywność jeszcze w dwóch miejscowościach. Manzano i Shannon siedzieli w tym czasie w samochodzie. Czoło Włocha nie wydawało się już takie rozpalone. Może jednak lekarstwa ze szpitala stopniowo zaczęły działać.

Niebo było ciemne. Znajdowali się już niedaleko Akwizgranu. Przejeżdżali przez rzadko zabudowany teren, otoczony przez pola i zagajniki, gdy Carsten zahamował tak raptownie, że pas bezpieczeństwa zablokował się na Shannon. Kiedy już ochłonęła, spostrzegła, że w poprzek jezdni leży drzewo.

Drzwi Eberharta i Carstena otworzyły się gwałtownie od zewnątrz, rozległy się męskie głosy, pokrzykiwania. Shannon zobaczyła lufy broni, potem czyjeś głowy z szalami owiniętymi wokół twarzy, w czapkach i kapturach naciągniętych na oczy.

– Wysiadać! – wrzeszczeli zamaskowani, wspinając się do kabiny.

Carsten usiłował wrzucić wsteczny bieg, ale jeden z uzbrojonych uderzył go kolbą w rękę, a drugi przyłożył mu lufę do czoła. Krzyknawszy z bólu, kierowca puścił dźwignię zmiany biegów i podniósł ręce. Napastnicy szarpali go z całej siły, niewiele brakowało, a wypadłby z szoferki na ziemię, lecz gdy odzyskał równowagę, szybko wysiadł o własnych siłach, podobnie jak Eberhart z drugiej strony. Shannon słyszała głucho uderzenia i pojękiwania. Przycisnęła się do oparcia fotela i instynktownie też podniosła ręce. Mężczyźni wymachiwali teraz bronią przed ich twarzami, pokrzykiwali. Shannon odpięła pas Manzana, usiłowała jak najbardziej pomóc mu przy opuszczeniu kabiny. Swoją torbę z laptopem zarzuciła sobie na ramię. Jeden z napastników próbował wywlec Włocha jak najszybciej na zewnątrz. Shannon pociągnęła swojego towarzysza do tyłu, precyzyjnie się obok niego i krzyknęła: „*Easy! Easy!*”. Manzano opadł na jej ramiona i w ten sposób wysiadł razem z nią, unikając upadku na asfalt. Na skraju drogi Eberhart i Carsten leżeli skuleni na ziemi – jeden trzymał się za głowę, drugi w kroku.

Tymczasem siedzenie kierowcy zajął już jeden z zamaskowanych. Dwaj kolejni wpełchnęli się do tyłu kabiny, na fotelu pasażera zasiadło trzech. Zatrzasnęli za sobą drzwi.

Kierowca cofnął, skręcił na polną drogę, zawrócił i ruszył w kierunku, z którego właśnie przyjechali.

Najpierw wymuszenie przez Eberharta, potem napaść obcych ludzi. Tak to się dzieje, kiedy organy władzy przestają funkcjonować. Pomyślała o swoich dawnych kolegach szkolnych ze Stanów, którzy sympatyzowali z radykalnymi przeciwnikami państwa kryjącymi się za Partią Herbacianą. Ciekawa była, czy u niej w domu sytuacja wygląda już podobnie jak w Europie. Prawdopodobnie tak. A niech to szlag, pomyślała, przecież niedługo nie będziemy się niczym różnić od jaskiniowców.

– Sukinsyny! – wrzeszczał Carsten za ciężarówką, która w obłoku kurzu stawała się coraz mniejsza i wreszcie całkiem zniknęła.

Znalazło się niewiniątko, przemknęło Shannon przez głowę.

Eberhart tymczasem dźwignął się do pozycji siedzącej, ale ciągle jeszcze pojękiwał.

Shannon wcale nie było go żal. Zasłużył sobie na to tym swoim szantażowaniem, uznała w duchu. Mimo to spytała:

– Wszystko w porządku?

– I tak w ładowni nic już nie zostało – powiedział, wciąż postępując.

Również Carsten usiadł.

– Jak daleko stąd do Akwizgranu? – spytała.

Eberhart wskazał na drogę.

– Jakież cztery kilometry.

– Myślisz, że dasz radę? – zwróciła się do Manzana.

– Nie mam wyjścia – odpowiedział.

Zawiesiła sobie worek na jedno ramię i wsparłszy Włocha, ruszyła razem z nim przed siebie.

– Hej! – krzyknął za nimi Eberhart. – A nasze siedemdziesiąt euro?

– Nie dowieźliście nas na miejsce, jak się umawialiśmy – rzuciła do tyłu, nie zatrzymując się.

Widziała kątem oka, jak młody mężczyzna wstał z trudem i chciał za nimi pobiec. Po kilku potknięciach zrezygnował. Shannon skupiła się na drodze przed nimi.

– *On the road again* – westchnął Manzano.

Haga

– Przykro mi – powiedział Ruiz. – Żadne specjalne racje żywnościowe dla pracowników Europolu nie są przewidziane.

Bollard gniewnie przejechał dłonią po swojej świeżo zapuszczonej brodzie. Aby oszczędzać wodę, już od wielu dni się nie golił, podobnie zresztą jak większość jego kolegów.

– A kiedy słyszę najświeższe wiadomości – zwrócił się do Bollarda – zadaję sobie pytanie, czy w ogóle jeszcze cokolwiek dostaniemy.

Nic już nie działało. Komunikacja zewnętrzna była coraz trudniejsza. Z wieloma urzędami i organizacjami przez całe długie godziny nie było żadnego kontaktu. Oczywiście nie ułatwiało to Europolowi koordynacji działań dochodzeniowych, co stanowiło jego główne zadanie. Na przykład o sytuacji w Saint-Laurent Bollard nie słyszał już nic od przedwczoraj. Ostatnia wiadomość, jaka dotarła do niego na ten temat, mówiła o ewakuacji ludności w promieniu trzydziestu kilometrów. Poziom radioaktywności w Paryżu podobno przestał już wzrastać. Bollard nie był jednak pewny, na ile w tej sprawie może wierzyć francuskim władzom. W jego ojczyźnie energia atomowa nie podlegała do tej pory żadnej krytyce, a związany z nią przemysł miał mnóstwo trwałych związków z polityką i stanowił bardzo wpływową sferę. Tak czy inaczej, sytuacja w innych zagrożonych obiektach nie uległa pogorszeniu, o ile dane wiedeńskiej MAEA z przedwczoraj nadal są aktualne. Jednak z kilku donoszono o poważnych brakach paliwa do dieslowskich agregatów. Bollard zadawał sobie pytanie, co będzie dalej. Czy poszczególni operatorzy i rządy po ogłoszeniu kryzysu nie zadbali o dodatkowe dostawy? Niewątpliwie wszyscy zmagali się z podobnymi problemami jak on – z martwymi systemami łączności, brakiem ogólnego rozeznania w całej sytuacji, niedostatkiem cystern i kierowców.

Nawet z międzynarodowych służb policyjnych docierały jedynie sporadyczne, na dodatek często i tak spóźnione informacje. W sprawie zamordowanego Dragenaua balijska policja nie przysłała żadnych nowych ustaleń. Nie natrafiono ani na narzędzie zbrodni, ani na sprawcę, ani choćby na jakichkolwiek świadków. Nie nadeszło też nic od Włochów i od Szwedów w kwestii inteligentnych liczników. Bollard wpatrywał się w zadumie w mapę Europy, gdy nagle ktoś odchrząknął tuż za nim.

Kiedy się odwrócił, spojrzał prosto w twarz Belgowi z działu IT, który bez słowa dał mu znak, aby Bollard wyszedł za nim. Na korytarzu tamten oparł się o ścianę, wsunął ręce do kieszeni spodni i wypiął brzuch.

– Mamy problem – powiedział cicho.

Akwizgran

Na nieoświetlonych ulicach prawie nie było przechodniów. Wszędzie na chodnikach piętrzyły się góry śmieci i rozsiewały cuchnący odór. Shannon i Manzano, kierując się tablicami drogowymi, dotarli do kamiennej budowli przypominającej zamek.

– To jest dworzec – wyjaśniła Shannon.

Drzwi wydawały się zamknięte. Szarpnęła za klamkę.

– Tu nic nie jeździ – stwierdziła.

– Bollard mówił, że kolejowy transport towarowy działa – odezwał się Manzano. – Bo kolej ma własną sieć energetyczną, która mniej ucierpiała.

– To w takim razie dlaczego dworzec jest zamknięty?

– Bo sam dworzec, w przeciwieństwie do pociągów, podłączony jest do sieci zewnętrznej.

– Tu jest rozkład jazdy – powiedziała Shannon i pochyliła się do przodu, żeby cokolwiek dojrzeć w ciemności. Zapaliła zapalniczkę. – Stąd do Brukseli normalnie jedzie się niewiele ponad godzinę.

Spojrzała na zegarek.

– Nie mamy wyjścia. Musimy poczekać, czy jutro nie będzie przejeżdżał tędy jakiś transport. Jest wpół do dziewiątej. Przydałoby się gdzieś przenocować. Myślisz, że możemy zaryzykować i zatrzymać się na tę noc w jakimś obozie tymczasowym?

– Najpierw musielibyśmy go znaleźć.

Ruszyli ulicami i wkrótce natknęli się na jakiś hotel. W oknach było ciemno. Zapukali do drzwi. Oczekali. Zapukali znowu. Kiedy nikt nie zareagował, zastukali w wychodzące na ulicę okna, w których pożółkłe zasłony wisiały związane po obu stronach szyb. Shannon rzuciła konspiracyjne spojrzenie na Włocha.

– Jeśli w środku tak czy owak nikogo nie ma, to jak myślisz, może moglibyśmy...

Przycisnęła twarz do szyby, żeby móc cokolwiek dojrzeć.

– Czego szukacie? – zagrział nieprzyjazny głos za ich plecami.

Na chodniku stało trzech mężczyzn. Shannon nie słyszała, jak nadeszli. Jeden z nich miał w rękę kij bejsbolowy, drugi – żelazny pręt, a trzeci, ze skórzanym paskiem na ramieniu, trzymał w rękę broń skierowaną luźno do przodu. Pierwszy był wzrostu Manzana, pozostali dwaj – trochę niżsi. Na ich prawych ramionach widniały pomarańczowe opaski, na których było napisane coś odręcznie. Shannon zdołała odczytać tylko ostatnie litery.

...rheits

...ife

– *Do you speak English?* – spytała.

– *A little* – odpowiedział zaskoczony mężczyzna z bronią.

– *We are journalists* – wyjaśniła, po czym dodała powoli, aby ją zrozumiano: – *We are looking for a place to stay overnight.*

Tamci trzej nadal mierzyli ją podejrziwym wzrokiem.

– Dziennikarze – powtórzył mężczyzna. – Aha... – Przechylił na bok głowę, złożył razem dłonie, oparł na nich policzek. – Noc... spać...

Następnie wyjaśnił swoim towarzyszom, choć tamci i tak już zdążyli zrozumieć. Wskazał na głowę Manzana.

– *What happened?*

– *Accident* – odpowiedziała Shannon.

Dotknęła opaski na jego rękawie.

– *What is this?*

– *We security* – odparł z mieszaniną powagi, dumy i próżności. – *Guards* – dodał.

– *Ah, very good!* – Shannon udała entuzjazm.

Samozwańcza straż obywatelska, pomyślała. To niebezpieczne typy, znała coś takiego jeszcze z domu. Paranoidalni stróże osiedli i fanatycy broni, których rozpierała radość, jeśli inni się ich bali. Trzeba mieć się na baczności.

– *You know a place for us to stay?*

Zanim tamten zdążył się przyznać, że jej nie rozumiał, Shannon odczytała to już z wyrazu jego twarzy i powtórzyła swoje pytanie bardzo wolno i w prostszej formie:

– *Do you know a place where we can sleep?*

Mężczyzna przetłumaczył swoim partnerom, jednocześnie obrzucił Shannon spojrzeniem i dodał z uśmiechem coś, czego nie rozumiała: „Dlaciebielaleczko znalazłbym łóżeczko”.

Pozostali dwaj roześmiali się lubieżnie.

– Chodźmy dalej – powiedział do niej Manzano.

– *Maybe there is an emergency shelter around?* – spytała jeszcze. – *Or a police station?* – Zatoczyła koło dłońmi, jakby szukała odpowiednich słów. Rzuciła: – *Polizei?*

To jedno małe słówko przygasiło butę trzech mężczyzn.

– *Polizei* – powtórzył jeden przeciągle.

– *Yes. Or a place... you know... where people sleep... who can not sleep in their houses.*

Mężczyzna zdawał się przetrwać w duchu usłyszane zdanie, aż wreszcie jego twarz się rozjaśniła.

– A... obóz tymczasowy...

Na próżno szukał angielskiego odpowiednika.

– *It is completely full. You must find a different place.*

Berlin

Michelsen sprawdzała właśnie dane dotyczące dostępnych jeszcze federalnych rezerw żywności, gdy ktoś szepnął jej prosto do ucha:

– Do salki konferencyjnej. Wszyscy. Natychmiast.

Od początku awarii każda nowa wiadomość była obwieszczana im jawnie albo przez kogoś z biura, albo przez media.

Tym razem było inaczej. Ktoś pospiesznie przemierzał salę i szemrał jednej osobie za drugą do ucha tych samych pięć słów, jakby chodziło o jakąś tajemnicę, właśnie tutaj, w tym zabezpieczonym pomieszczeniu, ich ostatnim azylu, jedynym miejscu, które każdemu z obecnych dawało jeszcze iskierkę nadziei, że może jednak uda się odzyskać kontrolę nad sytuacją. Ten syczący szmer dobywający się z ust posłańca był niczym pierwszy strumień wody wlewający się do wnętrza „Titanica”.

Michelsen wstała z miejsca jak automat i podobnie jak inni posłusznie wykonała polecenie. Idąc przez krótki korytarz, nikt nie odzywał się ani słowem.

W sali konferencyjnej nie znalazła już wolnego krzesła. U szczytu długiego stołu siedział kanclerz Niemiec wraz z połową gabinetu. Żaden z nich nie nosił już krawata ani marynarki. Również tutaj nikt nie odważył się nic powiedzieć. Wreszcie posłaniec wszedł do środka jako ostatni i zamknął za sobą drzwi.

– Proszę państwa – zaczął minister spraw wewnętrznych. – Atak osiągnął nowy stopień eskalacji. Jak poinformowali nas przed kilkoma minutami nasi eksperci IT, nasze systemy komunikacyjne są infiltrowane przez zamachowców. Na razie nie wiemy, jak oni tego dokonali ani do czego dokładnie mają dostęp. Ale jedno nie ulega wątpliwości: państwa komputery są pod ich kontrolą. Podobne informacje dotarły do nas z Europolu, z francuskiego, brytyjskiego, polskiego i kilku innych sztabów kryzysowych na kontynencie. Pozostałe sztaby nie zdołały jeszcze sprawdzić swoich systemów, należy jednak przypuszczać, że również tam doszło do częściowej infiltracji. – Uniósł ręce w obronnym geście. – Aby nie było nieporozumień: nie uważamy oczywiście, że ma z tym coś wspólnego ktokolwiek z tu obecnych. Włamanie się do systemów musiało zostać przygotowane przez dobrze zorganizowany podmiot zewnętrzny podobnie jak atak na infrastrukturę energetyczną. – Opuścił dłonie, odchrząknął i ciągnął: – Atakujący nie poprzestają jedynie na obserwowaniu naszej komunikacji. Oni manipulują nią w bardzo celowy sposób, aby sabotować nasze działania, dezorganizować je lub wręcz uniemożliwiać! Niestety, na ślad tych intruzów naprowadziły nas dopiero liczne incydenty. Muszą zatem państwo liczyć się z tym, że każda z waszych wiadomości jest przez kogoś czytana, każda rozmowa i każda narada jest podsłuchiwana.

Michelsen, która do tej pory przysłuchiwała się temu wszystkiemu jak w jakimś transie, odnotowała czyjś niewyraźny szept w kącie sali.

– Tak, narada – powtórzył minister, który widocznie lepiej zrozumiał. – Wasze komputery są wyposażone w mikrofony i kamerki, które ktoś jest w stanie za pomocą odpowiedniego oprogramowania aktywować z zewnątrz. Dzięki temu słyszy i widzi wszystko, co odbierają kamera i mikrofon. Tak więc zamachowcy mają swoje oczy i uszy tutaj, w samym środku naszego centrum kryzysowego! A także u Francuzów, Polaków, w Europolu, w unijnym Centrum Monitoringu i Informacji, o NATO na razie nie słyszeliśmy. Ale nie zdziwiłbym się wcale... – Musiał zaczerpnąć powietrza, aby się uspokoić. – Oprócz tego mają tu także swoje palce i usta. W naszym imieniu mogą przysyłać dane i być może nawet prowadzić rozmowy. A to oznacza, że musimy radykalnie zmienić sposób komunikowania się. Jak on będzie teraz wyglądał, nad tym pracuje właśnie strategiczny zespół ekspertów. Atakujący nie powinni na razie

się dowiedzieć, że wiemy o ich infiltracji, dlatego nikomu z nas nie wolno poza tym pomieszczeniem rozmawiać na ten temat! To bardzo ważne. To, co zostało tutaj powiedziane, nie może wyjść poza te ściany! Proszę dalej pracować jak do tej pory. Z jednym wyjątkiem: wiem, że mnie za to zniechęcicie, bo ten zabieg oznacza jeszcze więcej czynności do wykonania, a przecież mamy ich i tak niemało. Każda wymiana informacji z podmiotami zewnętrznymi, czy to w kraju, czy za granicą, od tej chwili musi być potwierdzona na drodze oddzielnej procedury. Jeśli więc będziecie przysyłać komuś dane na jakiś temat albo wydacie jakieś polecenie czy jeszcze co innego, ów ktoś musi oddzwonić drogą radiową do nadawcy, potwierdzić, że otrzymał dane albo odebrał polecenie czy co innego, i przynajmniej w przybliżeniu porównać treść. Możemy obecnie założyć, że działające jeszcze fragmenty naszej służbowej sieci radiowej nie są infiltrowane i są bezpieczne. – Spojrzał po zebranych, aby się upewnić, czy wszyscy go zrozumieli. – Mam nadzieję, że za kilka godzin będziemy mogli podać państwu dalsze zasady postępowania. Na razie proszę wrócić do pracy.

– A czy nie da się prześledzić, do jakich serwerów zostały przekierowane dane? Czy to nie byłaby wskazówka prowadząca do sprawców?

– Jeden ze śladów prowadzi do serwerów w Tonga opłacanych skradzionymi kartami kredytowymi. To ślepa uliczka. Również dwa inne wiodą raczej donikąd.

Otworzono drzwi.

– Jeszcze chwileczkę – powiedział minister spraw wewnętrznych i drzwi ponownie zamknięto. – Chcę, aby byli państwo w pełni świadomi, jak istotne jest to, by pod żadnym pozorem nie komunikować się poza tym pomieszczeniem: ktoś, kto jest w stanie kontrolować naszą komunikację, równie dobrze może ją całkiem przerwać.

Akwizgran

– Niech to szlag, ale zimno! – zaklęła Shannon.

Manzano przyglądał się jej, jak szuka jakiegoś swetra w swoim worku.

– Mam już tego dość – jęknęła wyczerpana. – Chcę wrócić do ciepłego łóżka w swoim pokoju, marzę o gorącym prysznicu, a jeszcze bardziej o gorącej kąpieli!

A co on miał powiedzieć? Dygotał na całym ciele, pewnie z gorączki, zimna, wycieńczenia albo ze wszystkiego po trochu.

– Chcę coś ciepłego do jedzenia i jakichś cywilizowanych ludzi wokół siebie! – lamentowała dalej Shannon. – Chcę...

Czyjś gardłowy głos przerwał jej wrzaskliwie. Zirytowany mężczyzna wymachiwał rękami; Manzanowi rzuciły się w oczy długie paznokcie, a u jego stóp leżało kilka tobołków i toreb.

– *Sorry, I don't understand* – powiedziała Shannon.

– Oh, ei dont anderstend – przedrzeźniał ją. – Tis is mei pleis!

– *Your place? Here?* – spytała obcego mężczyznę.

Jego twarz była poorana zmarszczkami, nos napuchnięty, górna warga dziwnie zapadnięta, za to dolna wyginała się nad zarosniętą brodą.

– *Fuck off!* – krzyknął nieznajomy. – *I sleep here!*

– *Nice place* – odpowiedziała Shannon. – *You can keep it.*

– No, tak myślę. Nie zgarniesz mi go! Jeszcze by tego brakowało! – wrzasnął tamten.

Manzano nie rozumiał, co to znaczy, ale domyślał się, że chyba nic miłego. Facet chwiał się na nogach. Był pijany?

– A teraz jeszcze cudzoziemcy będą zabierać nam nawet miejsce na ulicy – bełkotał.

Co on mówi?

W końcu Włoch zmobilizował resztki swoich umiejętności i spytał po niemiecku o obóz tymczasowy czy jakieś inne schronienie.

Bezdomny najpierw burknął coś pod nosem, a potem opisał im niezrozumiałą mieszanką niemieckiego i angielskiego drogę do schroniska dla bezdomnych i obozu tymczasowego. Następnie rozpostarł na chodniku brudny śpiwór i zagrzebał się w nim.

– Może znajdziemy sobie lepiej jakiś dach nad głową – zaproponował Manzano.

Ratingen

– Czyli ten przeklęty Włoch miał rację! – krzyknął Hartlandt do słuchawki swojego radiotelefonu. – Halo, wy tam, słuchacie nas teraz?! – wrzasnął, po czym spytał na poważnie swojego rozmówcę w Berlinie: – Czy teraz też jesteśmy podsłuchiwani?

– Raczej nie – odpowiedział tamten. – Musieliby mieć urządzenie, które nie zostało zgłoszone jako ukradzione lub zagubione. Albo włamać się bezpośrednio do Federalnego Urzędu Bezpieczeństwa w Technologiach Informatycznych, gdzie opracowywane są aktualne cyfrowe klucze do tych urządzeń.

– Biorąc pod uwagę to, gdzie oni się już podostawali, wcale bym się nie zdziwił, że i tam im się udało – zauważył Hartlandt. – Ale proszę, przejdźmy do rzeczy.

– No więc chodzi o to, że pierwotne informacje o podpaleniach i wysadzonych masztach były prawdziwe.

– Czyli jednak trasa ze Szlezwika-Holsztynu przez Güstrow do Cloppenburga?

– Doszedł jeszcze jeden maszt. Pod Brunszwikiem.

– A więc tamte rzekome korekty były zmanipulowane?

– Na to wygląda.

– Zatem posuwają się znowu na wschód. Ale ta wiedza i tak niewiele nam daje. Nie ustawimy przy każdym maszcie ochrony. Może przynajmniej przy stacjach transformatorowych sieci wysokiego napięcia na tej potencjalnej trasie, jeśli rzeczywiście coś tam jeszcze będą próbowali robić.

Berlin

– Ale do czegoś takiego potrzeba setek ludzi! – krzyknęła Michelsen. – A brakuje nam ich już do zaopatrywania mieszkańców w żywność, do zapewnienia porządku publicznego, do...

– Zdajemy sobie z tego sprawę – odparł generał z NATO.

Wprawdzie Bundeswehra oficjalnie nadal tylko udzielała wsparcia w związku z trudną sytuacją cywilną, jednak od chwili ataku na USA ton i zachowanie strony wojskowej zdecydowanie się zmieniły. A odkrycie podsłuchów jeszcze tę postawę wyostrzyło. Wielu analityków uważało, że zdolny do takiego ataku mógł być tylko jeden naród: Chiny. A w sytuacjach o charakterze wojennym kompetentna jest armia, a nie policja. Lecz na razie brakowało dowodów.

– A jak inaczej chce pani dopaść tych szaleńców? – spytał minister obrony. Także jemu ostatnie wydarzenia wyraźnie dodały skrzydeł. – Te domniemane podróżujące oddziały są na razie naszym najgorętszym tropem.

– To są tylko spekulacje – odpowiedział oficer łącznikowy policji kryminalnej. – Nasi eksperci w sprawach terroryzmu uważają, że takie zespoły, o ile rzeczywiście istnieją, najprawdopodobniej nie są częścią ścisłej grupy zamachowców, tylko najemnikami nieznanymi nawet swoich zleceniodawców.

– A co, jeśli są to żołnierze wrogiej armii? – wtrącił minister.

– Jest pan przecież strategiem wojskowym – rzekł przedstawiciel policji kryminalnej. – Czy również dla wrogich sił nie byłoby korzystniej zatrudnić najemników, żeby w razie złapania tych ludzi inspiratorzy pozostali nieznani?

Minister obrony zerknął na generała, licząc na pomoc z jego strony, ale ten nie przyszedł mu w sukurs.

– Jedno nie ulega wątpliwości – włączył się do dyskusji kanclerz. – Owe konsekwentnie i profesjonalnie przeprowadzane ataki dowodzą jednego: kimkolwiek jest ten, kto nas atakuje, nie odpuszcza. Ataki są kontynuowane. Zwiększają straty. Musimy wykorzystać każdą możliwość, aby powstrzymać agresorów albo ich schwytać. Być może przez krótki czas zabraknie nam personelu w innym miejscu, ale jeśli w średniej czy dłuższej perspektywie ma to pomóc w położeniu kresu tej katastrofie, to nie ma w ogóle o czym mówić. Poza tym musimy tak czy inaczej powstrzymać zniszczenia, niezależnie od tego, kto ich dokonuje.

Akwizgran

– Przecież sami widzicie – powiedział do Shannon po angielsku kierownik obozu tymczasowego. – Tu już nie da się nikogo wcisnąć.

W mrocznym świetle awaryjnych lamp Shannon nie ujrzała wprawdzie wiele, ale wystarczyło jej to, co zobaczyła. Obóz tymczasowy urządzono w pustym kinie. Nie udało się im nawet dojść do drzwi sali, bo również na korytarzach leżał człowiek przy człowieku. Niektórym nie starczało miejsca, żeby się wyciągnąć, więc siedzieli oparci o ściany. Powietrze, mimo zimna, było gęste jak zupa. Ktoś po raz drugi opisał im drogę do schroniska dla bezdomnych.

– Dasz jeszcze radę? – spytała Manzana.

– Muszę, to chyba nie tak daleko.

W wielu wejściach do domów spali ludzie zawinięci w śpiwory, nierzadko wśród gór worków śmieci, które może nawet trochę grzały i dawały miękkie oparcie.

Drzwi do schroniska otworzył mężczyzna z lampą, w której środku paliła się świeczka. Śień za jego plecami była ciemna. Mówił słabo po angielsku.

Shannon spytała o miejsce.

– To jest schronisko dla mężczyzn – wyjaśnił. – Normalnie – dodał.

– Ale teraz macie tu też kobiety?

– Parę.

– A znajdzie się miejsce dla nas dwojga? On – wskazała na Manzana – jest mężczyzną.

– W kilku salach jest jeszcze trochę wolnego na podłodze – bąknął ich rozmówca. –

Macie śpiwory?

– Nie.

– No to będzie niewygodnie.

– Wygodniej niż na dworze.

– Skoro tak uważacie.

Wpuścił ich do środka, sam poszedł przodem, oświetlając drogę lampką.

Shannon podparła Manzana. Po lewej i po prawej stronie głównej sieni znajdowały się sale oddzielone od niej tylko cienkimi zasłonami. Zza nich dobiegały przytłumione rozmowy, przekleństwa, płacz, chrapanie.

– Nie macie tu żadnego światła? – spytała.

Mężczyzna podniósł lampę, nie odwracając się za siebie.

– Tylko to.

– Gdzie są toalety i łazienki?

– Na końcu sieni. Ale nie działają. Musicie się załatwić do kubła, który tam stoi. Ale uwaga, nie mamy papieru. I ostrożnie przy wejściu. Nie każdemu udaje się trafić do wiadra.

Wyobrażenie tego miejsca w połączeniu z zapachem sprawiło, że Shannon zrobiło się niedobrze.

Mężczyzna otworzył drzwi, jedyne, jakie do tej pory widziała. Zdjął z regału dwa koce. Widok plam na nich sprawił, że Shannon z obrzydzeniem wykrzywiła twarz.

– Nie mamy jak prać – rzucił ostro mężczyzna.

Wypchnął ich z pomieszczenia i zamknął drzwi na klucz. Przeszli aż do samego końca sieni, gdzie fetor zrobił się jeszcze bardziej nie do zniesienia. W końcu ich przewodnik zsunął zasłonę w wejściu do jakiegoś pokoju i poświecił do środka. Pod gołymi ścianami stały cztery metalowe łóżka. Wszystkie były zajęte, w jednym tłoczyły się nawet dwie osoby. Pod łóżkami leżały tobołki. Niemal wypalona świeca rzucała trochę słabego światła. Lokatorzy unieśli głowy. Shannon spojrzała w wyniszczone twarze.

– Spieprzajcie stąd! – zagrzmiął czyjś głos.
– Oni będą spać na podłodze – oznajmił przytomnie człowiek z lampą.
– Wynocha stąd, poszukajcie sobie innego miejsca! – domagał się ktoś inny.
– Może jednak pozwolimy tej *lady* z nami przenocować – wtrącił trzeci.
– Do cholery! Dajcie spokojnie spać!
– Spokój już! – zarządził mężczyzna. – Albo zaraz wszyscy stąd wyfruniecie! – Po czym wskazał na podłogę i przeszedł na angielski. – Tu się możecie położyć. Tylko pilnujcie swoich rzeczy. Łatwo znikają. – I z tymi słowami poszedł.
– Ja nie mogę tu zostać – Shannon szepnęła do Manzana. Czuła, jak zaciska się jej gardło, ale nie od mdłości, tylko od łez. Uniosła koce. – Jak myślisz, po czym są te plamy?
– Czuję to samo co ty – odpowiedział jej cicho. – Wolisz spać na ulicy? Tam byśmy zamarli.

Haga

Bollard przetarł sobie oczy. To nie miało sensu, był zbyt zmęczony. Potrzebował chociaż kilku godzin snu. Kiedy wstał, żeby wyjść, zadzwonił telefon.

– Dobry wieczór – powiedział czyjś głos po angielsku. – Mówi Jürgen Hartlandt.

Bollardowi natychmiast przypomniał się ten Niemiec, którego pracownik najpierw postrzelił Manzana, a potem pozwolił mu uciec.

– Znalazł pan Manzana? – spytał.

– Nie. Czy wciąż pan uważa, że on miał coś wspólnego z zamachowcami?

– Nie możemy tego wykluczyć.

Bollarda irytowało to, że ten Włoch, jak się okazało, znowu miał rację, gdy podejrzewał, że doszło do infiltracji sieci komunikacyjnych. Jednocześnie cieszył się, że dzięki temu odkryli, iż są inwigilowani. A w rzadkich chwilach nie potrafił sam przed sobą ukryć wstydu na myśl o tym, że prawdopodobnie niesłusznie go oskarżali. A ów wstyd tylko podsycił w nim złość na Manzana.

– Jestem innego zdania – oświadczył Hartlandt.

Bollard nic nie powiedział.

– W tym momencie ważniejszy jest Dragenau – rzekł policjant. – Czy są jakieś nowe ustalenia dotyczące jego i mężczyzny na zdjęciu?

– Wszystkie służby intensywnie przekopują swoje banki danych. Europol, Interpol, policje w całej Europie, CIA, FBI, Agencja Bezpieczeństwa Narodowego. Mamy pierwsze wskazówki. Gdy tylko będziemy wiedzieć więcej i uporządkujemy dane, poinformujemy.

Niemiec nieco zmienił ton. Mówił trochę cieplej, kiedy spytał:

– A jak jest tam u pana, w Hadze? To znaczy, jak ludzie dają sobie radę? Teraz już nie ma jak się dowiedzieć.

– Moja żona właśnie walczy na czarnym rynku o coś do jedzenia – wyznał Bollard. – Zaopatrzenie państwowe już nie istnieje.

Przez moment w słuchawce zalegała cisza, po czym Hartlandt rzekł:

– Tutaj jest tak samo.

– Musimy znaleźć tych drani i ich powstrzymać – rzucił Bollard.

– Tak jest – odrzekł Hartlandt, znowu chłodno i urzędowo. – Będziemy w kontakcie.

Mam nadzieję, pomyślał Francuz. Bo przecież ich rezerwy energetyczne też nie są wieczne i nie da się bez końca utrzymywać łączności między sztabami operacyjnymi.

A6

Manuel Amirá zamrugał powiekami w ciemności. Od trzydziestu lat jeździł ciężarówkami po całej Europie. Był przyzwyczajony do długich tras, czterdzieści, pięćdziesiąt godzin za kółkiem to dla niego nic nadzwyczajnego; przepisowe przerwy potrafił bez trudu obejść przez lekką manipulację urządzeń kontrolnych. Woził ogórki z południowej Hiszpanii do Szwecji, polskie świnie do Włoch, ukraińską paprykę na Wyspy Brytyjskie, niemieckie mleko do Portugalii i chyba każdy inny towar, jaki podlegał spedycji międzynarodowej na kontynencie. Ta robota nigdy nie była łatwa, ale z każdym rokiem stawała się coraz trudniejsza. Po zniknięciu żelaznej kurtyny firmy transportowe i kierowcy z byłego bloku wschodniego zepsuli rynek cen, a rosnące z każdym rokiem standardy bezpieczeństwa, coraz częstsze kontrole i coraz wyższe kary sprawiały, że ta praca stała się właściwie nieopłacalna. Dziesiątki lat spędzone na fotelu kierowcy zrujnowały mu kręgosłup, a brak ruchu i – owszem, w tym jego żona miała rację – niezdrowe odżywianie spowodowały kłopoty z ciśnieniem. W gruncie rzeczy już od dawna nadawał się na wcześniejszą emeryturę. Ale Manuel Amirá miał nieduży domek na południe od Léon do splacenia, jego córka jeszcze studiowała, a on nie nauczył się żadnego innego fachu. Przy stopie bezrobocia w Hiszpanii na poziomie blisko dwudziestu pięciu procent powinien czuć się szczęśliwy, że w ogóle pracuje. We wstecznym lusterku połyskiwała brzuchata bryła zbiorników oświetlona przez reflektory cysterny, która, jak to zwykle bywało w konwojach ciężarówek, jechała tuż za nim, żeby wykorzystać pęd powietrza, mimo że przez to bezpieczna odległość między dwoma pojazdami nie była zachowana.

Kiedy zaczęła się awaria prądu, Amirá załadował właśnie w Norwegii głęboko zamrożone półcie wołowiny, aby zawieźć je do Grecji. Diabli wiedzą, dlaczego akurat Grecy musieli jeść norweskie krowy. Ale potem w samym środku Niemiec zabrakło mu paliwa. Na stacjach nie działały pompy. Po jednym dniu jego wołowina nie nadawała się już do niczego, a on był uziemiony na jakiejś stacji między Hanowerem a Norymbergą przez trzy dni. Przez cały ten czas nie miał żadnego kontaktu z rodziną. Trzeciego dnia na stacji zjawiono się wojsko, wykopało kilka latryn, rozdało trochę wody i coś do jedzenia i odjechało. Po dwóch kolejnych dniach wrócili. Zaczęli rekrutować kierowców ciężarówek. Proponowali dach nad głową, wyżywienie, a nawet zapłatę, tyle że w jakimś późniejszym terminie. Pilnie potrzebowano kierowców i samochodów do zaopatrywania ludności w wodę i podstawowe artykuły spożywcze. Amirá chętnie się zgłosił. Wlali mu trochę ropy do baku i wskazali drogę do najbliższego centralnego magazynu. Przez dwa dni jeździł tam i z powrotem między składami a punktami dystrybucji. Drugiego dnia jego ciężarówka została unieruchomiona przez jakąś usterkę silnika. Podczas gdy wojskowi mechanicy starali się teraz ją naprawić, co w obliczu trudno ściągalnych części zamiennych nie było wcale łatwe, on przesiadł się za kierownicę samochodu cysterny. Miał zaopatrywać w paliwo awaryjne systemy prądotwórcze służb ratowniczych i szpitali, zakładów chemicznych, urzędów państwowych i firm. Teraz zmierzał właśnie na zachód, do elektrowni atomowej gdzieś między Karlsruhe a Mannheimem. Nie miał pojęcia, do czego może im tam być potrzebna ropa, ale ktoś mówił, że też do agregatów awaryjnych. Amirá nigdy się tym nie zajmował, ale zachodził w głowę, po co w elektrowni atomowej potrzebne są awaryjne agregaty. Czy ona sama nie może wyprodukować sobie prądu? To musiał być jakiś bardzo ważny transport, bo przed nim i na końcu kolumny składającej się z trzech ciężarówek, każda z przyczepą, jechały pojazdy wojskowe z uzbrojonymi żołnierzami.

Amirá znowu energicznie zamrugał powiekami, żeby odpędzić sen, kiedy tuż przed nim rozbłysły czerwone światła stopu samochodu jadącego z przodu. Nacisnął na pedał gazu, jednak był za blisko. Gwałtownie skręcił kierownicę, żeby swoją masą nie zmiażdżyć żołnierzy,

wyskoczył na lewy pas, uderzył w barierę ochronną, obrócił kierownicę z powrotem i wbił się w lewy bok wojskowego pojazdu, spychając go swoją masą przez prawą balustradę na pole, gdzie wraz z pasażerami zniknął do połowy pod jego kabiną, podczas gdy Amirá czuł, jak zbiorniki z tyłu za nim przechylają się na bok. Próbował jeszcze odbić w drugą stronę, bo choć nie widział tego we wstecznym lusterku, nie miał wątpliwości, że cysterna jadąca za nim właśnie wpada prosto na stojącą w poprzek drogi przyczepę pełną paliwa, która zamienia się w wielką żółtą chmurę ognia. W rytm kolejnych wbijających się jeden w drugi samochodów pojawiała się druga, trzecia, czwarta chmura, zrastając się w gigantyczną kulę ognia, wokół której czas jakby stanął w miejscu. Potem płomienie objęły kabinę Amiry, szyby w jej oknach popękały i w ciągu ułamka sekundy wszystko w promieniu dwustu metrów zamieniło się w popiół.

Akwizgran

Manzano nie wiedział, od czego się obudził. Mimo smrodu, twardej podłogi i podejrzanego towarzystwa w schronisku dla bezdomnych musiał chyba w końcu przysnąć. Za nim leżała przyciśnięta do ściany Shannon. Jej głęboki oddech wskazywał na to, że też spała.

Manzano usłyszał jakiś szelest. Lekko uchylił powieki. Świeca już dawno wypaliła się do samego końca. Mimo to obok niego przemykał po podłodze jakiś słaby blask.

Oprócz tego poczuł bardzo blisko siebie czyjś oddech. Obecność tuż obok jeszcze kogoś innego poza Shannon. A właściwie nie obok, tylko nad sobą. Otworzył szeroko oczy i ujrzał w gorze cień, nogi na wysokości swojej twarzy. Ktoś pochylał się nad nim i próbował sięgnąć Shannon.

Manzano zerwał się i wbił temu komuś swoją głowę i łokieć prosto w brzuch. Tamten zachwiał się i upadł między łóżka na podłogę. Po posadzce potoczyła się nieduża latarka prętowa.

Włoch poczuł, że ten ktoś wciąż jeszcze trzyma coś ciężkiego w ręce. Worek żeglarski Shannon! Przecież mężczyzna, który ich tu wczoraj przyjął, ostrzegął przed złodziejami.

Hałas obudził pozostałych.

– Złodziej! – wrzasnął Manzano. – Pomóżcie!

Ktoś rzucił się na napastnika, ale czyjeś ręce szarpały także jego. Światło latarki oślepiło go na chwilę, przesunęło się gorączkowo po pomieszczeniu. Manzano czuł się spętany, podczas gdy tamten razem z workiem wypadł już za zasłonę.

– Stać! Pomocy! – krzyczał.

Z głuchym odgłosem uchwyt pętający jego ciało nagle ustąpił, ktoś upadł tuż za nim na podłogę, a obok, z latarką w ręku, Shannon pędem rzuciła się przed siebie.

W pokoju znowu zrobiło się zupełnie ciemno.

Najszybciej jak mógł pospieszył za nią. Za plecami słyszał jeszcze pohukujących i przeklinających współlokatorów.

Posuwając się po omacku przez sień do wyjścia, kipiał z oburzenia. Ci ludzie tutaj nie mieli lekkiego losu. I przecież dobrze wiedzieli, jak to jest, kiedy ktoś kradnie człowiekowi ostatni dobytek! Choć oczywiście nie mogli przewidzieć, że w komputerze znajdującym się w worku Shannon kryje się być może jedyny trop prowadzący do sprawców całej tej katastrofy.

Shannon wyszła mu naprzeciw.

– Gdzie on jest? – wydyszała.

– Nie wiem – odpowiedział. – Myślałem, że go dopadłaś.

– Jasna cholera! – zaklęła. – Jasna cholera! Przecież tam są wszystkie moje rzeczy! I twój komputer! Ale ten gość jeszcze stąd nie wyszedł, bo z pewnością bym go widziała. Czyli musi być w którejś z tych nor.

Pobiegła aż do wyjścia, odsunęła na bok pierwszą zasłonę i poświeciła latarką. Po drugiej stronie zrobiła to samo. I dalej, po kolei. Kolejną dziurę Manzano przeszukał razem z nią. Shannon zaglądała pod każde łóżko. Z jednego rzucił się na nią jakiś mężczyzna, przewrócił ją na podłogę i popchnął Włocha, który kątem oka zdążył jeszcze zauważyć, że ten typ wyciągnął spod innego łóżka jakiś tobolek, który mógł być znajomym workiem żeglarskim.

Tymczasem Shannon zdążyła się już pozbierać i puściła się za nim pędem. Manzano potrzebował trochę więcej czasu, ale za to miał teraz latarkę.

W sieni dostrzegł tylko, jak zarys postaci Shannon znika w drzwiach wyjściowych. Ona dosłownie rzuciła się przez nie na łeb na szyję! Gdy Manzano usłyszał krzyk, pokuśtykał w tamtą stronę najszybciej, jak potrafił. Na zewnątrz zastał dwoje splecionych w zwarcu ludzi

turlających się po chodniku. Dopadł do nich, złapał złodzieja za włosy i pociągnął go za nie do góry. Z rozdzierającym krzykiem mężczyzna puścił Shannon. Manzano zaczął go bić i kopać, nie czuł nic, tylko pełne furii ruchy własnego ciała, aż wreszcie ktoś chwycił go od tyłu i wydyszał:

– Wystarczy! Już dość!

Shannon musiała ścisnąć go jeszcze mocniej, żeby się w końcu opanował. Na ziemi przed nim leżał człowiek, próbował się dźwignąć, ale nie dał rady, odczołgał się więc na bok, wyklinając, plując, kaszląc i charcząc. Shannon puściła Manzana i sięgnęła po swój plecak.

Z drzwi schroniska wyszedł kierownik schroniska, za nim jeszcze dwóch innych.

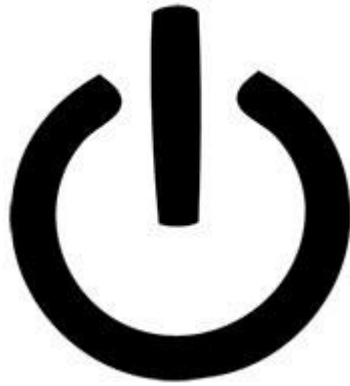
Pochylili się nad pełzającym.

– On chciał nas okraść! – krzyknął Manzano.

– Spieprzajcie stąd! – zażądał kierownik. A do rannego, który siedział teraz oparty o ścianę domu, rzucił: – Ty też. Nie chcę tu już widzieć żadnego z was!

Powiedziawszy to, wszedł do budynku i zamknął za sobą drzwi.

Dzień 9. – Niedziela



Akwizgran

Pojedyncze płatki śniegu topiły się na ich twarzach. Zrezygnowani wlekli się przez lodowate ulice.

– Która godzina? – spytał Manzano. Przynajmniej czuł się już trochę lepiej.

Zegarek Shannon pokazywał za kwadrans czwartą.

– Chodźmy z powrotem na dworzec – zaproponowała. – Może jakoś stamtąd uda nam się wydostać dalej.

– Powinniśmy iść na policję – stwierdził Włoch. – Może oni mają dostęp do internetu.

– Chodzi ci o ten adres IP?

– Prawdopodobnie nic się za tym nie kryje. Ale muszę chociaż spróbować.

– Myślisz, że oni na cokolwiek ci pozwolą, jak się zorientują, że jesteś zbiegiem?

– Nie.

– No właśnie. Musimy dostać się albo do Brukseli, albo do którejś z tych wysp energetycznych.

– O których nie mamy pojęcia, gdzie leżą. A możliwe, że to w ogóle jakaś mityczna kraina. Jak Atlantyda. Albo Ogród Edenu. Niech to szlag, ale zimno!!!

Śnieg padał coraz mocniej.

Dotarli do dworca. Obeszli go wkoło. Na zadaszonych peronach leżały dziesiątki ludzi, jedni przy drugich, zawinięci w śpiwory i koce. Podziemne przejścia prowadzące do głównej hali były zagrodzone żelaznymi kratami. Przed nimi też tłoczyli się śpiący.

Shannon i Manzano znaleźli sobie miejsce. Tu byli przynajmniej nieco osłonięci przed wiatrem i śniegiem. Ale musieli się sporo naszukać, bo większość niezajętych miejsc śmierdziała uryną. W końcu jednak natrafili na jakiś wolny kąt. Włoch usiadł i wcisnął się plecami w kąt.

– Oprzyj się o mnie – powiedział do Shannon. – W ten sposób trochę się nawzajem ogrzejemy.

Usiadła więc między jego nogami, przycisnęła plecy do jego torsu, dłonie wsunęła sobie pod pachy i podciągnęła nogi. On zaś otoczył ją ramionami. Czowała jego ciepły oddech przy swoim uchu, stopniowo także ciepło jego ciała przenikające przez warstwy ubrania.

– Przynajmniej odrobinę lepiej – szepnęła.

Obróciła się, chciała zobaczyć, jak on się miewa.

Oparł głowę o ścianę za sobą, zamknął oczy. Jego klatka piersiowa unosiła się i opadała miarowo, ręce stały się bezwładne. Ostrożnie wsunęła je pod swoje, odchyliła głowę do tyłu i położyła ją na jego piersi, wlepiła wzrok w ciemną konstrukcję dachu nad halą, przez którą przedostawały się zagubione płatki śniegu, aż wreszcie zapadła w sen.

Haga

Bollard pokroił reszkę chleba na osiem kromek. Na cztery grube i cztery cienkie jak pergamin. Musi koniecznie postarać się o jakieś zaopatrzenie. W domu nie mieli już zupełnie nic do jedzenia. Przyłapał się na tym, że gapi się tępo przed siebie przez okno w kuchni. On, zwykle mający nad sobą żelazną kontrolę. Trawnik niewielkiego ogródka był zielony nawet zimą. Krzewy stały pozbawione liści, podobnie jak żywopłoty na granicy z sąsiadami. Za jednym z nich zobaczył na tarasie przykucniętego mężczyznę. To chyba Luc. Siedział bez ruchu, z ręką wysuniętą do przodu. Bollard dostrzegł teraz kilka metrów dalej kota, który powoli zbliżał się do sąsiada. Zdaje się, że mężczyzna czymś go nęcił. Zwierzę uniosło ogon i podeszło trochę szybciej, a gdy znalazło się przy Lucu i zaczęło obwąchiwać mu palce, on błyskawicznie capnął je za kark, drugą ręką zaś, w której trzymał jakiś kanciasty przedmiot, zdzielił kota w głowę. Dopiero po chwili Bollard się zorientował, że ten przedmiot to młotek. Sąsiad wstał z zakrwawionym narzędziem w dłoni. Z drugiej bezwładnie zwisały dyndające łapy martwego zwierzaka.

Delikatnie odłożył nóż, którym kroił chleb.

Dzieci wpadły do kuchni, za nimi weszła zmęczona Marie, ale już w zdecydowanie lepszej formie niż przedwczoraj. Bollard, ciesząc się, że ma się czym zająć, położył po jednej grubej kromce na każdym talerzyku i postawił je na stole. Potem wziął te cienkie i podsunął je dzieciom pod nos.

– Wyobraźcie sobie, że to są plasterki pysznej kielbasy, które położymy sobie na chleb.

Umieścił cienkie kromki na grubych, popatrzył wyczekująco na dzieci. Wciąż jednak nie mógł uwolnić się od obrazu, który widział przed chwilą.

– To jest chleb, nie kielbasa – zaoponowała Bernadette, patrząc wrogo na swój talerz.

– A ja widzę kielbasę – upierał się Bollard. Przecież w zabawie dzieci potrafią wyobrażać sobie wprost niestworzone rzeczy! Demonstracyjnie odgryzł kawałek swojej kanapki. – Mmmhhh! Ale pycha!

Bernadette sceptycznie obserwowała całe to przedstawienie. Marie także wzięła kęs do ust i również głośno dała do zrozumienia, jak bardzo jej smakuje. Bollard przeżuwał z rozkoszą. Spojrzał na swoją córkę, a potem na syna.

– Py-szno-ści! Dużo tracie.

Georges, siedzący obok siostry z równie nieufną miną, dał się namówić – poprawił „plasterkę kielbasy” na chlebie i też odgryzł porządny kęs, wydając „ochy” i „achy”.

Bernadette niepewnie musnęła swoją kromkę, podczas gdy rodzice i brat coraz intensywniej dawali wyraz rzekomo doznawanej przyjemności. Kręcąc głową, dziewczynka wzięła ją wreszcie do ręki i powiedziała:

– Ściemniacie! – po czym wbiła zęby w chleb i odgryzła kęs.

Bollard cały czas myślał już o następnym posiłku, który powinien im zapewnić. Nie chciałby być zmuszony do takiego kroku jak sąsiad.

Akwizgran

– Dzień dobry – Manzano szepnął Shannon do ucha.

Mimo lodowatego zimna i niewygodnej pozycji chyba przespał się kilka godzin. Czuł się trochę lepiej niż poprzedniego dnia, raczej nie miał już gorączki.

Shannon drgnęła, niespokojnie obróciła głowę w jedną i drugą stronę, po czym przycisnęła twarz do jego szyi i spała dalej. On tymczasem i z zimna, i z niewygody nie czuł nóg i rąk, pleców i pośladków. Nieco dalej przed nimi ktoś poruszył się w swoim śpiworze. Stopniowo budził się cały dworzec. Zmęczone twarze, zmierzwione fryzury. Większość zdawała się stałymi bywalcami ulicy, świadczyły o tym zniszczone oblicza i skołtunionie włosy.

Od Brukseli dzieli ich według rozkładu niecałe półtorej godziny jazdy, pomyślał. Na piechotę ponad dwa dni. Delikatnie zakołysał Shannon, powtórnie szepnął jej coś do ucha, aż wreszcie otworzyła oczy.

Zamrugła powiekami.

– Koszmar – jęknęła.

– Przyśnił ci się?

– Nie, kiedy się obudziłam, znalazłam się w nim znowu.

Siedziała jeszcze przez chwilę, po czym podniosła się ociężale i rozciągnęła się porządnie. Manzano spróbował zrobić to samo, ale od razu poczuł chorą nogę.

– Co teraz?

– Muszę na stronę.

– Ja też.

Kiedy załatwili to w osobnych kątach, ruszyli peronem w poszukiwaniu jakiejś mapy albo jakichkolwiek wskazówek, jak dotrzeć do Brukseli.

Spytali kilka osób, które tak jak oni zaczynały swój dzień.

– Czy przejeżdżają tędy jakieś pociągi?

– Bardzo rzadko. Towarowe – usłyszeli od kogoś.

– A dokąd?

– Nie mam pojęcia.

– Czy można dostać tu gdzieś w pobliżu coś do jedzenia?

– Na ulicy przed dworcem wydają zupę. Ale nie przez cały czas.

Wczoraj nic takiego nie widzieli. Poprosili, żeby dokładnie opisano im drogę. Pospieszyli we wskazanym kierunku. Zobaczyli kolejkę opasującą pół kompleksu budynków.

Godzinę później Shannon siedziała obok Manzana w pomieszczeniu ogrzewanym piecem kaflowym. W punkcie wydawania jedzenia nikt ich o nic nie pytał. Dostali do blaszanych misek po dwie duże chochle zupy jarzynowej, którą, ściśnięci wśród innych przy długich stołach, siorbali teraz łyk za łykiem. Łyżek nie było.

Ludzie prawie się nie odzywali. Większość miała na sobie po kilka warstw ubrań, nikt nie zwracał uwagi na styl czy elegancję. Po zjedzeniu każdy proszony był przez porządkowych o ustąpienie miejsca następnym zgłodniałym, co prowadziło do tego, że podczas gdy jedni nie spieszyli się z opróżnianiem swoich misek, inni błakali się między rzędami zajętych ławek. Shannon i Manzano też się specjalnie nie spieszyli. Wciąż byli przemarznięci po minionej nocy.

Jednak po kilkakrotnym wezwaniu wstali w końcu od stołu i znowu znaleźli się na ulicy, na zimnie. Z budynku naprzeciwko jakieś okutane postacie wносиły meble i sprzęty elektryczne. Nie wyglądały na właścicieli domu. Nikt się nimi nie interesował.

– Co oni robią? – spytała Shannon.

– Chyba powinniśmy na to machnąć ręką – odpowiedział Manzano. – Mamy ważniejsze

sprawy na głowie. Wracamy na dworzec.

Najpierw chodził wzdłuż torów tam i z powrotem, w końcu zdecydował się na kierunek i pociągnął Shannon za sobą. Po jakichś dwustu metrach przeszli pod wiaduktem, za którym tory rozwidlały się w kilka stron. Dwa z nich znikwały we wnętrzu budynków, pozostałe po kilkuset metrach schodziły się znowu. Stało na nich kilkadziesiąt różnych pojazdów szynowych, od zwykłych lokomotyw, przez niepełne składy pociągów regionalnych i wagony towarowe, po przedziwne urządzenia służące chyba do kładzenia szyn albo do ich naprawiania. Jedno z nich wyglądało jak krótka żółta ciężarówka jeżdżąca po szynach.

Manzano wdrapał się na stopień obok drzwi kierowcy, usiłował je otworzyć. Po chwili siedział już w środku i przyglądał się armaturze.

Shannon patrzyła na niego sceptycznie z drabinki na zewnętrznej ścianie.

– To coś nie potrzebuje prądu?

– Nie, jeździ na ropę.

– O ile zbiornik nie jest pusty.

Manzano zdjął panel pod deską rozdzielczą, spod którego ukazała się płatanina kabli. Sprawdził je po kolei, szarpnął wybrane, połączył na nowo i nagle silnik zaskoczył z głośnym nierównym warkotem.

– Na co czekasz? – spytał. – Sprawdź, czy jest tutaj coś w rodzaju schematu sieci kolejowej.

– To coś nie ma wbudowanego żadnego systemu nawigacji? – spytała, po czym wskoczyła do środka, usiadła na siedzeniu pasażera i zaczęła przeszukiwać przepastną skrytkę podręczną. W końcu znalazła w niej grubą książkę pełną diagramów i map.

– Jest!

Manzano sprawdzał, czy uda mu się uruchomić ten pojazd. Z szarpnięciem ruszył do przodu.

Shannon studiowała opasłą cegłę, którą trzymała na kolanach. Na podwójnej stronie, między wieloma liniami i cyframi, doszukała się wreszcie Akwizgranu i Brukseli.

– Teraz trzeba tylko ustalić, co to znaczy.

– Ty będziesz systemem nawigacyjnym, a ja maszynistą! – krzyknął i przyspieszył do marszowego tempa.

– Od kiedy to facet prowadzący samochód zdaje się na czytanie mapy przez swoją pasażerkę?

– Od kiedy nie prowadzi samochodu, tylko jakieś... ach, nieważne, po prostu mi mów!

Berlin

„Rodzynkowe bombowce” – tak jej matka i wszyscy berlińczycy nazywali amerykańskie samoloty, które po drugiej wojnie światowej przewoziły zaopatrzenie dla zachodniego sektora Berlina. Michelsen była ciekawa, czy dzisiejsi młodzi ludzie w ogóle jeszcze znają to określenie. Tak czy owak, również obecnie, podobnie jak sześćdziesiąt lat temu, lądowały na lotnisku Tegel maszyny z pomocą, tak jak wtedy – wojskowe, ale tym razem rosyjskie.

Samoloty pasażerskie, które znalazły się na lotnisku na samym początku awarii, zostały odsunięte na bok, a ich miejsce zajęły nieprzebrane szeregi ciemnozielonych kolosów o pękatych brzuchach, na których usterzeniach widniały symbole Federacji Rosyjskiej. Między nimi roilo się od ludzi w różnych mundurach.

Spojrzawszy w niebo, Michelsen ujrzała łańcuch świateł nadlatujących maszyn i formacje już odlatujących.

Berlin nie był ich jedynym celem. W tym samym czasie podobne sceny rozgrywały się w Sztokholmie, Kopenhadze, we Frankfurcie, w Paryżu, Londynie i na wielu innych lotniskach północnej i środkowej Europy, podczas gdy na południe przybywały transporty głównie z Turcji i Egiptu. Jednocześnie konwoje ciężarówek i kilometrowe składy pociągów wiozły towary z Rosji, państw Kaukazu, Turcji i Afryki Północnej.

– To wygląda jak inwazja – bąknął minister spraw zagranicznych.

NATO ciągle jeszcze nie zajęło stanowiska w sprawie oferty pomocy z Chin. Wśród dogmatyków coraz bardziej umacniał się pogląd, że właściwi sprawcy tej katastrofy tkwią właśnie w Państwie Środka. Dopóki istnieje takie podejrzenie, nie chciano widzieć chińskich żołnierzy ani nawet sił cywilnych na własnej ziemi.

– Chodźmy przywitać generała – powiedziała Michelsen.

Między Liège a Brukselą

Nie jechali szybciej niż siedemdziesiąt kilometrów na godzinę. Nie chcieli przegapić żadnych zwrotnic ani ewentualnych przeszkód, ale mimo wszystko posuwali się do przodu, choć z małymi przerwami – jak ta teraz.

– Znowu – jęknęła Shannon.

Przed nimi linia kolejowa rozdzielała się na dwa tory.

– Chyba powinniśmy pojechać na prawo – zastanawiała się głośno.

– Obyś się nie myliła. Bo ja nie mam pojęcia, gdzie jesteśmy.

– Gdzieś w Belgii, między Liège a Brukselą, o ile się orientuję.

– A ile zostało jeszcze do Brukseli?

– Może godzinę? Albo dwie? Jeśli nic się nie wydarzy.

Ręczne przestawianie zwrotnic kosztowało trochę czasu. Manzano był przekonany, że w tym ich pojeździe na pewno jest jakieś urządzenie do automatycznego sterowania zwrotnic, ale nie udało mu się go znaleźć.

Na samym początku wpadli w rozpacz. Według schematu odczytywanego przez Shannon powinni byli na pierwszym rozwidleniu odbić w prawo, ale zwrotnica skierowała ich na lewo. Manzano cofnął, po czym wysiedli oboje i dokładnie przyjrzeni się zwrotnicy. Szybko odkryli, że można ją ustawić mechanicznie pod warunkiem, że dysponuje się odpowiednim narzędziem. Znaleźli je w tylnej części pojazdu – było to coś w rodzaju ogromnych rozmiarów klucza francuskiego.

Shannon chwyciła żelazną sztangę, wyskoczyła z wagonu, przestawiła zwrotnicę i wdrapała się z powrotem.

Ruszyli dalej. Shannon studiowała schemat. Nie była do końca pewna, czy wybrali właściwy kierunek, bo zwrotnica nosiła inny numer niż na schemacie.

– Stój!

Manzano zahamował.

– Chyba jednak źle jedziemy.

– Mam się cofnąć?

– Tak.

Wrzucił wsteczny bieg.

– Co to za światło tam z tyłu?

W kierunku, z którego przyjechali i dokąd teraz się cofali, zobaczyli migoczące niewielkie światło.

– Nie mam pojęcia. Ale robi się coraz jaśniejsze i większe – stwierdziła Shannon.

Zbliżali się do zwrotnicy.

– Bardzo szybko robi się jaśniejsze i większe – dodała. – Na torach. To jest pociąg. I pędzi.

Manzano prawie już dojechał do zwrotnicy.

– Pociąg?

– Właśnie zmierzasz dokładnie w jego kierunku.

– Na naszym torze?

– Nie mogę zobaczyć.

Po cofnięciu się za zwrotnicę Manzano zatrzymał ich pojazd.

– To jest pociąg – powtórzyła Shannon nerwowo. Widziała już lokomotywę. – Jeśli jest na naszym torze, wjedzie na nas! Jedź, no już, na co czekasz!

Manzano też zdał sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Nie przestawiając już zwrotnicy,

dodał gazu. Ale ich pojazd szynowy rozpędzał się bardzo powoli. Od pociągu dzieliło ich może sto metrów.

– Szybciej! – krzyknęła Shannon.

Minęli kolejną zwrotnicę, Shannon poczuła wreszcie, jak ich wehikuł przyspiesza. Tuż przed zwrotnicą pociąg się zatrzymał. Oboje odetchnęli z ulgą.

– Dokąd on jedzie?

– Może do Brukseli – odpowiedziała.

– Trzeba spytać.

Po raz drugi zaczęli cofać się po torze. Zbliżając się, ujrzeli za lokomotywą dziesiątki wagonów towarowych. Ich dachy były dziwnie nierówne, jakby porośnięte mnóstwem kolców. Kiedy znaleźli się na wysokości lokomotywy, maszynista akurat przestawiał zwrotnicę.

– Dokąd pan jedzie? – krzyknęła Shannon po francusku z bocznego okna.

– Bruksela – odpowiedział mężczyzna.

– Musimy się do niego doczepić – rzucił Manzano.

Gdy pociąg przejeżdżał obok nich, Shannon przekonała się, skąd się brały te nierówności na dachach wagonów.

– To są ludzie! – krzyknęła.

Pociąg wiózł setki pasażerów na gapę.

– Jak w Indiach – zauważył Manzano. – Tyle że ci tutaj marzną jak diabli.

Długi skład towarowy mijał ich kilka minut. Manzano cofnął się za zwrotnicę i ruszył za ostatnim wagonem.

– Niewykluczone, że my też niedługo będziemy tam marznąć jak oni – powiedział.

– Jak to?

Pokazał na wskaźnik paliwa. Została już tylko rezerwa.

– A niech to szlag! Trzeba by jeszcze zdążyć się przesiąść.

– Miejmy nadzieję, że wystarczy nam ropy do najbliższej zwrotnicy, przy której pociąg będzie się musiał zatrzymać.

Berlin

– O Boże – wyrzuciła z siebie Michelsen.

– Jak to się mogło stać? – spytał kanclerz Niemiec. Jego twarz była kredowobiała.

– Zdaje się, że doszło do wypadku – powiedział sekretarz stanu w Ministerstwie Środowiska, Ochrony Przyrody i Bezpieczeństwa Reaktorów Atomowych. – Właśnie dotarły do nas zdjęcia. Ale nie w samej elektrowni. Stamtąd był tylko nerwowy telefon z pytaniem, co jest z dodatkową dostawą ropy. Wysłany patrol zastał już tylko resztki piekła.

Na ekranie pokazały się obrazy zwęglonych szkieletów ciężarówek rozrzuconych po autostradzie i sąsiednich polach. Na twarzach niektórych obecnych w sali malowało się przerażenie, inni tylko z niedowierzaniem kręcili głowami.

– Nie wiemy, co było przyczyną – dodał sekretarz. – Dochodzenie nadal trwa. Te trzy cysterny miały przyczepy, a cały konwój eskortowały dwa wozy operacyjne, z przodu i z tyłu, po dziesięciu żołnierzy w każdym.

Wskazał na czarne szczątki w dwóch miejscach na polu.

– Nikt nie przeżył. Śledztwo zajmie trochę czasu. Mamy mało ludzi i środków do dyspozycji.

– Czy to był wypadek, czy atak? – spytał kanclerz.

– W tej chwili nie jesteśmy w stanie powiedzieć. Jedno jest pewne: od pytania z elektrowni atomowej w Philippsburgu do ustalenia miejsca wypadku upłynęło dziesięć godzin.

– Dlaczego aż tyle?

– Bo nie było się jak skontaktować! – jęknął sekretarz. – Bo w ogóle coraz mniej możemy. Bo system cyfrowej łączności radiotelefonicznej służb bezpieczeństwa i ratownictwa w wielu rejonach nie działa. Bo... – Zabrakło mu słów. Wargi zaczęły mu drżeć, wyraźnie walczył ze łzami.

Tylko się nie rozklejaj, panuj nad sobą, modliła się w duchu Michelsen. Stracili już w ten sposób dwoje ludzi, którzy nie wytrzymali psychicznie.

– Kolejny transport z zapasem paliwa mógł wyruszyć dopiero dzisiaj przed południem i dotrze do Philippsburga najwcześniej za sześć godzin.

Na ekranie pojawił się teraz ogromny zbiornik wodny przypominający kryty basen.

– To jest odstożnik przeznaczony do zużytych prętów paliwowych w elektrowni atomowej Philippsburg I. W tym basenie leżą pręty paliwowe, które nie są już używane. W niektórych elektrowniach liczba prętów znajdujących się w takich zbiornikach przewyższa nawet liczbę prętów aktywnych. Ponieważ wciąż są rozgrzane, muszą być chłodzone przez całe lata. Odstożnik w Philippsburgu I zawsze pozostawiał sporo do życzenia pod względem bezpieczeństwa, ponieważ leży poza obudową bezpieczeństwa reaktora, w górnej części budynku, otwarty, pod dachem. System zasilania awaryjnego przeznaczony specjalnie dla niego przez długi czas był zdecydowanie niewystarczający albo w ogóle nie istniał, dopiero po przedterminowym unieruchomieniu bloku jako tako go doposażono. Ale na przykład przed rozbiciem się samolotu nad terenem elektrowni nie jest zabezpieczony do dzisiaj. Lecz jak właśnie widzimy, dziś nie ma to już znaczenia. Według informacji operatorów paliwo potrzebne do chłodzenia odstożnika w ciągu minionej nocy definitywnie się skończyło, a kierownictwo elektrowni nie odważyło się odebrać ropy z awaryjnego systemu chłodzenia reaktora i od tamtej chwili woda w odstożniku nie jest oziębiana. Wskutek wysokiej temperatury prętów paliwowych w dużej części już wyparowała. Zanim na miejsce dotrze dostawa paliwa, prawdopodobnie nie zostanie ani kropla. Należy przypuszczać, że elementy paliwowe już teraz się topią, a chyba nie muszą nikomu tłumaczyć, co to oznacza. Chociaż może jednak powinienem, ponieważ odstożnik znajduje się

poza obudową bezpieczeństwa i to topienie się następuje w samym środku budynku, wskutek czego jego wnętrze zostaje tak silnie napromieniowane, że wejście do niego właściwie nie jest już możliwe. Nie chcę tu kreślić czarnych scenariuszy, ale w razie eksplozji zagrożone będą nawet Mannheim i Karlsruhe.

– Niech to diabli! – wrzasnął kanclerz i uderzył pięścią w stół. – Wydawałoby się, że najgorsze mamy już za sobą, a tu mimo wszystko jeszcze coś się wydarza!

– To jest tak często cytowane ryzyko uboczne – bąknęła Michelsen.

– Czy mamy ewakuować całą okolicę? – spytał kanclerz.

– Nawet gdybyśmy chcieli, szybko nie uda nam się tego przeprowadzić – odpowiedział sekretarz stanu. – Łączność z wszelkimi lokalnymi służbami ratowniczymi już od dawna szwankuje. Jeśli wzięlibyśmy pod uwagę choćby obszar w promieniu kilku kilometrów, to i tak potrzebowalibyśmy setek pojazdów plus kierowców i paliwa. W obecnej sytuacji... – z zakłopotaniem utkwiał wzrok w białce stołu i pokręcił głową – ...możemy się tylko modlić.

Bruksela

Do najbliższej zwrotnicy starczyło im paliwa. Tam, niewiele myśląc, przyczepili swój pojazd do pociągu. Maszynista daleko na początku składu nawet nic nie zauważył.

Trzy kwadranse później zatrzymali się w gęsto zabudowanej okolicy. Po ogromnej liczbie torów łatwo było się domyślić, że dotarli do jakiegoś dużego dworca.

Wzdłuż pociągu po obu stronach stali żołnierze w odstępach około dwudziestu metrów, każdy z bronią na wysokości piersi.

– Mam nadzieję, że to nie na nas czekają – powiedział Manzano.

– Nie bądź taki zarozumiały – odparła Shannon. – Chodzi im na pewno o szabrowników.

Żołnierz bez broni, ale z megafonem w rękę patrolował peron i wzywał ludzi po francusku, aby wysiedli i spokojnie opuścili dworzec. Pasażerowie na gapę schodzili nieporadnie z kontenerów i zwykłych wagonów, po czym, nienagabywani przez stojących nieruchomo żołnierzy, szli między nimi, dźwigając swój dobytek. Manzano i Shannon wmieszali się w tłum. Nikt nie zwracał na nich uwagi.

– Przecież ci mówiłam – odezwała się Shannon, kiedy razem z innymi zmierzali przez tory do budynku dworca. – Wojsko jest tu ze względu na ładunek.

Tablice potwierdzały, że dotarli do Brukseli.

– Musimy dostać się do Centrum Monitoringu i Informacji, zanim zrobi się ciemno.

– Najpierw musimy się dowiedzieć, gdzie to jest.

Również tutaj w hali dworca setki ludzi urządziły sobie prowizoryczne posłania. Okienka kasowe były zamknięte, ale Manzano zauważył mężczyznę w żółtej kamizelce ochronnej obserwującego z boku całe to zamieszanie.

– Czego szukacie? – spytał ich, gdy oboje zwrócili się do niego po angielsku.

– Unijnego Centrum Monitoringu i Informacji – powtórzył Manzano.

Ich rozmówca wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia, gdzie to może być. Znam tylko siedzibę Komisji Europejskiej.

– A jak się tam dostać?

– Taksówką.

– Tutaj jeżdżą taksówki?

– Jasne, że nie – odpowiedział ktoś inny. – Tu już nic nie jeździ. Musicie iść na piechotę.

Wskazał na wyjście.

– Cały czas w prawą stronę. Potem na drugiej dużej ulicy znowu skręćcie w prawo. To będzie Avenue Leopold III. Pójdziecie nią aż do Boulevard General Wahis i na rondzie w prawo...

– Nigdy tego nie zapamiętam – jęknął Manzano.

– Ja na razie nadażam – powiedziała Shannon. – Ty zapamiętaj drugą część.

– Okej – zgodził się Włoch. – No więc rondo i co dalej?

– W Chaussée de Louvain, potem w lewo w Avenue Milcamps, na jej końcu w Rue des Patriotes i zaraz w Rue Franklin. I tą ulicą dojdziecie prosto do głównego budynku Komisji.

– Zapamiętałeś? – upewniała się Shannon.

– Mam nadzieję. Jak to daleko? – spytał jeszcze mężczyzną.

– Około godziny.

Manzanowi było do tego stopnia zimno, że mimo chorej nogi cieszył się z ruchu, który go czekał.

Centrum dowodzenia

Najpierw się zaniepokoiłi. Od poprzedniego dnia coraz więcej komputerów, za których pośrednictwem śledzili komunikację w sztabach kryzysowych i w najważniejszych organizacjach, takich jak Europol, zostało na pewien czas wyłączonych. Także wymiana e-maili wyraźnie osłabła. Czyżby odkryto ich podsłuch? Oczekali, nie podejmowali żadnych aktywnych działań. Właściwie to było wręcz aż za proste. Przez sieci społecznościowe, jak Facebook, Xing czy LinkedIn i inne, zebrali tysiące adresów e-mailowych pracowników największych spółek energetycznych i urzędów państwowych. Wysłali do nich spersonalizowane e-maile z zaproszeniem do odwiedzenia strony internetowej oferującej „wybranych osobom” wyjątkowo atrakcyjne oferty podróży wakacyjnych.

Na stronie rzeczywiście znajdowały się tanie wycieczki, które rzeczywiście można było zarezerwować. Nic nadzwyczajnego, tego rodzaju propozycje dostają na przykład członkowie klubów automobilowych czy posiadacze określonych kart kredytowych. Ważną rolę do odegrania miały w tym wszystkim filmiki wideo i załączniki PDF wysyłane dla uzupełnienia informacji. Wystarczyło, by ktoś je obejrzał, a ukryty w nich szkodliwy kod od razu próbował zainfekować dany komputer. Wykorzystywał do tego ściągany z innej strony program EXE. Jeśli operacja się udała, program zapisywał się na twardym dysku i uruchamiał przy każdym kolejnym starcie komputera.

W ciągu niewielu miesięcy zainfekowali w ten sposób praktycznie wszystkie wybrane obiekty, liczne firmy i systemy największych państw europejskich, a także Stanów Zjednoczonych. Po uruchomieniu danego komputera szkodliwy program zaczynał ostrożnie rozglądać się po otoczeniu sieciowym. Obserwował ponadto nawyki użytkownika i sondował jego uprawnienia. W ten sposób powoli przedostawał się do serwerów. Szczególnie interesujące były oczywiście tzw. *shares*, czyli współdzielone miejsca na serwerze, do których miało dostęp wielu pracowników. Tam program instalował się w następnej kolejności. Gdy już się załadował, zbierał ważne informacje, jak konta użytkowników, informacje o pracownikach z książki telefonicznej i systemu działu personalnego, wszystkie plany techniczne budynków i sieci komputerowych, detale zastosowanego oprzyrządowania i wiele, wiele innych informacji. Następnie w nocy przesyłał je na serwer zewnętrzny. Tam czekali już programiści, których zwerbowało przez anonimowe fora internetowe i których zadaniem było teraz przeanalizowanie informacji i na przykład złamanie haseł do kont. W ten sam sposób dokonywano identyfikacji laptopów, na których był zainstalowany Skype lub inne komunikatory internetowe. Wbudowane w nie kamerki i mikrofony aktywowali bez powiadamiania o tym użytkowników.

Ale oto teraz ich komputery coraz częściej się wyłączały, przez co przestawali mieć swoje oczy i uszy w głównych siedzibach przeciwników.

W jednym z e-maili wysłanych z francuskiego sztabu kryzysowego automatyczna wyszukiwarka natrafiła wreszcie na wiadomość, która pochodziła bezpośrednio z biura prezydenta. Wzywano w niej wszystkich współpracowników urzędów państwowych, aby w celu oszczędzania prądu włączali komputery i wszelkie inne urządzenia techniczne wyłącznie w koniecznych przypadkach. W ciągu zaledwie kilku godzin odkryli podobne e-maile w wielu innych systemach rządowych.

To było pozytywne zaskoczenie. Skoro zaledwie po tygodniu już najważniejsze instytucje państwowe musiały oszczędzać energię, to do całkowitej katastrofy nie zostało już wiele. Im szybciej, tym lepiej. Bo każdy koniec to początek. Podobnie jak dżungla wchłania ruiny, tak ludzie będą musieli na nowo odzyskać swoje życie.

Bruksela

Musieli jeszcze dwa razy pytać o drogę. Dotarcie na miejsce zajęło im ponad godzinę. Zapadał już zmierzch, kiedy stanęli przed potężną budowlą, przy wejściu do której ogromny napis głosił: Europepe Commissie – Commission Européenne.

W środku paliło się światło. Pojedynczo lub w niewielkich grupkach ludzie opuszczali przeszklone foyer lub do niego wchodzili. Za szybami stało kilku ubranych na granatowo mężczyzn i patrzyło na ulicę.

Shannon zmierzyła Manzana wzrokiem od zszytej rany na czole po brudne buty. Wyglądał jak jakiś włóczęga. Rzuciwszy okiem na siebie samą, uprzytomniła sobie, że wcale nie prezentuje się lepiej.

– No tak – odezwał się Włoch. – Na pewno można nas wziąć za dostojnych i oczekiwanych gości. Pachniemy też nęcąco.

Jeszcze nie zdążyli pchnąć drzwi, gdy naprzeciwko nich stanął jeden z ochroniarzy.

– Wstęp tylko dla pracowników – oznajmił po francusku.

– Jestem pracownikiem – oświadczył z pewnością siebie Manzano, próbując prześliznąć się obok niego. Natrafił jednak na wyciągnięte ramię.

– Pańska legitymacja – zażądał mężczyzna, teraz też po angielsku.

– Proszę zaprowadzić mnie do recepcji – domagał się Włoch.

Sytuacja przypominała mu do złudzenia tę z poranka od razu po wyłączeniu prądu, gdy w Mediolanie udał się do siedziby Enelu. Wtedy też musiał wywalczyć sobie prawo wstępu. Aby zaraz potem, niczego nie wskórawszy, trafić z powrotem na ulicę.

– Jestem współpracownikiem Centrum Monitoringu i Informacji – zełgał. – Proszę spytać Sonję Angström, która w nim pracuje. Jeśli mnie pan nie przepuści, narazi się pan na prawdziwe kłopoty, mogę to panu obiecać.

Człowiek z ochrony lekko się zawahał.

– Proszę za mną.

Manzano odetchnął. Razem z Shannon ruszył za mężczyzną w stronę wyjątkowo długiej lady recepcyjnej.

– Chcemy się widzieć z Sonją Angström z Centrum Monitoringu i Informacji – oznajmił pracownikowi po drugiej stronie. – Proszę jej powiedzieć, że czeka na nią Piero Manzano.

Recepcjonista obrzucił ich krytycznym spojrzeniem.

– Proszę – dodał Włoch. Na plecach czuł oddech gościa z ochrony.

Portier nacisnął jakiś guzik przed sobą i bąknął coś do mikrofoniku przy ustach.

Odczekał, odezwał się znowu. Przez cały czas nie spuszczał ich z oczu. Wsłuchiwał się w guzik tkwiący w jego uchu. Wreszcie podziękował cicho.

Zwrócił się do Manzana:

– Proszę tam poczekać. – Wskazał na rząd krzeseł dla gości.

Facet z ochrony nie poszedł już za nimi, ale raz po raz zezował na nich ze swojego miejsca przy drzwiach.

Angström wyszła z windy i rozejrzała się po holu. Dopiero po chwili rozpoznała Piera Manzana. Obok niego siedziała jakaś młoda kobieta ze zmierzwionymi włosami, która w innych okolicznościach mogłaby być całkiem ładna. Podeszedłszy bliżej, rozpoznała także jej twarz.

– Piero! Boże drogi, jak ty wyglądasz! – Zrobiła krok do tyłu. – I jak... pachniesz.

– Wiem. To długa historia. A to jest Lauren Shannon, amerykańska dziennikarka.

– Znam ją – powiedziała Angström. – Jako pierwsza poinformowała o ataku na sieci energetyczne. A teraz już wiem, skąd pani miała te wiadomości – zwróciła się do Shannon. –

Piero tutaj...

– Poznaliśmy się w Hadze – wyjaśnił Manzano – przez François Bollarda, pamiętasz go?

Kolejna długa historia...

Angström mimo woli zadała sobie w duchu pytanie, czy Włoch przeżył z młodą Amerykanką coś więcej niż tylko te „długie historie”.

– Co ty robisz w Brukseli? Jeszcze jedna długa historia? Czy wysłał cię Europol?

– Niewykluczone, że natrafiłem na trop zamachowców – odparł.

– Cały świat zachodzi w głowę, kto ponosi odpowiedzialność za tę katastrofę, a ty po prostu to wiesz?

– Tego nie powiedziałem. Ale być może natrafiłem na odpowiedni ślad. Już raz udowodniłem, że mam nosa.

Angström skinęła głową.

– Ale żeby to sprawdzić, potrzebny mi jest prąd i dostęp do internetu. Pomyślałem sobie, że tylko ty możesz mi to zapewnić.

– Chyba żartujesz – roześmiała się Angström. – Myślisz, że tu każdemu wolno tak sobie wparadować i...

– Ja nie jestem każdy, Sonju – przerwał jej Manzano.

To bezpośrednie zwrócenie się do niej imieniem lekko ją zirykowało.

– A dlaczego nie w Europolu?

– Oni wysłali mnie do Niemiec. A stamtąd było bliżej tutaj. Mówiąc w skrócie.

Westchnęła.

– Niektórzy koledzy nie przychodzą już do pracy, bo za daleko mieszkają... więc miejsce by się znalazło. – Przygryzła wargi. – Ach, wszystko mi jedno. Tu i tak panuje totalny bałagan. – Ruchem głowy dała im znak, żeby ruszyli za nią. – To może mnie kosztować utratę pracy. Ale najpierw musicie się zameldować i wziąć prysznic.

– Z ogromną przyjemnością.

– Mamy tu całkowicie wyposażone łazienki, więc najpierw pójdziemy tam. Potrzebujecie czegoś do przebrania się?

– Ja nie – powiedziała Shannon.

– Ja tak – przyznał Manzano.

– Może uda mi się coś skombinować – obiecała Angström.

Stali przy recepcji.

– Proszę dwie karty wstępu dla gości – zwróciła się do portiera, który pokręcił nosem.

Otrzymała dwie plastikowe plakietki do przypięcia do ubrania.

– Jesteście w kontakcie z Europolem? – spytał Manzano po drodze do windy.

– Niespecjalnie.

– Chciałbym zająć się swoimi ustaleniami na własną rękę. Dopiero potem się im zamelduję – oznajmił Angström.

Spojrzała na niego podejrzliwie, ale powiedziała:

– W porządku. A jeśli chodzi o panią – zwróciła się do Shannon, wchodząc do windy – wszystko, co pani tu usłyszy i zobaczy, jest objęte oczywiście całkowitą tajemnicą.

– Naturalnie – odrzekła Shannon.

Ratingen

– Mamy ich – powiedział przez radiotelefon dzwoniący z Berlina. – Zespół nadzorujący stację transformatorową wysokiego napięcia nakrył ich, jak podkładali ogień.

– Gdzie?

– W pobliżu Schweinfurtu.

Schweinfurt. Hartlandt nawet nie próbował zgadywać jak to daleko. Otworzył na swoim komputerze mapę Niemiec. Około trzystu kilometrów na południowy wschód od Ratingen.

– Dopadli drani?

– Wezwali helikopter. Już jest w drodze i będzie kontynuował obserwację z bezpiecznej wysokości. GSG 9² została już poinformowana.

– Ja też muszę tam być.

– Śmigłowiec wyląduje za jakieś dwadzieścia minut na parkingu przed Talaferem.

Bruksela

Dwie minuty i ani chwili dłużej, oznajmiła mu Angström. Jeszcze nigdy z taką rozkoszą nie korzystała z prysznic. Kiedy z ręcznikiem wokół bioder wyszedł z kabiny, Szwedka czekała na niego z ubraniem.

– Spodnie i koszula jednego z kolegów, który trzymał je na wszelki wypadek w szafie, ale od kilku dni już się nie pokazuje. Może trochę za krótkie, ale lepsze to niż nic. Twoje rzeczy wrzuciłam do pralki. Mamy tu nawet coś takiego. Wstawili ich kilka specjalnie dla pracowników.

Starła się tak wciągać spodnie, żeby nie zobaczyła rany na jego nodze.

– Co ci się stało? – spytała, pokazując na szew.

– Głupio upadłem – skłamał.

– Nie najlepiej to wygląda.

– To prawda. A ty jak sobie dajesz radę? – zmienił temat, ubierając się dalej.

– W gruncie rzeczy prawie tu mieszkam – odpowiedziała, wzruszając ramionami. – Do domu jeżdżę tylko się przespać. I to też nie zawsze. Specjalne autobusy dla pracowników już nie kursują o tej porze. A rowerem to dobre półtorej godziny, ale przynajmniej w czasie jazdy się rozgrzewam, no i mam sport, którego nie zdążyłam zażyć w czasie wyjazdu na narty w góry.

– Masz jakieś wieści od swoich przyjaciółek i od Bondoniego?

– Od naszego wyjazdu żadnych – przyznała ponuro.

Przed łazienkami natknęli się na Shannon.

– Chyba zostanę tu na zawsze – westchnęła z rozkoszą.

Miała na sobie świeże dżinsy i sweter.

– Niestety – rzekła Angström. – Idziemy do Centrum.

Manzano wyobrażał sobie centralną instytucję zajmującą się monitorowaniem sytuacji kryzysowych i koordynacją operacji ratowniczych i humanitarnych w przypadku wystąpienia poważnej sytuacji nadzwyczajnej, jedną z największych tego typu organizacji na świecie, zdecydowanie bardziej okazale.

Angström wprowadziła go do niewielkiego biura na szóstym piętrze.

– To nasza mała salka konferencyjna – wyjaśniła. – Mamy tu sieć dla gości. Wejdiesz do niej przez WLAN.

– Nie wejdę. – Pokazał swojego laptopa. – Bateria jest wyczerpana. Potrzebny mi kabel. Macie coś takiego?

Angström sprawdziła wejście, po czym otworzyła szafkę.

– Tutaj są dwa laptopy. Może coś znajdziesz.

Manzano sięgnął po kable. Jeden pasował.

– Jeśliby ktoś się tobą zainteresował, odeślij go do mnie – powiedziała jeszcze.

– Mów, że jesteśmy z IT. Przecież są tu was tysiące i na pewno nie wszyscy się znają.

– To prawda. Ja siedzę dwa pokoje dalej, po lewej stronie. Zajrzę tu od czasu do czasu.

Opuściła pomieszczenie i zamknęła za sobą drzwi.

Manzano usiadł na jednym z foteli i uruchomił komputer.

Shannon zajęła miejsce po drugiej stronie biurka.

– Jak sobie wyobrażę, że miliony ludzi od ponad tygodnia funkcjonują w takich warunkach jak my ostatniej nocy – odezwała się, patrząc w zadumie przez okno – to dziwię się, że jeszcze jest tak spokojnie.

– Nie do końca tak jest – odparł Manzano. – Po prostu większość myśli tylko o tym, jak przetrwać. Nie mają ani czasu, ani energii na zamieszki.

Lekko podskoczył, gdy nieoczekiwanie otworzyły się drzwi.

Angström wkroczyła do środka i postawiła na stole tacę.
– Gorąca kawa i coś do jedzenia. Sprawiacie wrażenie, że nie odmówicie.
Włoch musiał bardzo się hamować, żeby nie rzucić się natychmiast na wszystko.
– Dzięki.
– W razie czego, jak mówiłam, jestem dwa pokoje dalej. Wewnętrzny do mnie –
dwadzieścia siedem. Na razie – powiedziała i znowu zamknęła drzwi.
– Jeszcze trochę, a poda ci rozmiar miseczki – zadrwiła Shannon z pełnymi ustami. –
Podobasz się jej.
Poczuł, jak się zaczerwienił.
Shannon nie mogła powstrzymać się od śmiechu.
– A ona tobie też!
– Daj spokój. Mamy co zrobić.
– To ty masz co zrobić. – Chichotała dalej, przełykając kolejny kęs. – Ja mogę sobie tylko
popijać kawę, pojadać... – Przynęła swoje krzesło do jego. – I przyglądać się tobie.

Ratingen

Z pochylonymi plecami Hartlandt przebiegł pod obracającym się szaleńczo śmigłem helikoptera EC 155 i wskoczył do środka, gdzie siedziało już dziewięciu ludzi z GSG 9. EC 155 był jedną z mniejszych i szybszych maszyn używanych przez jednostkę antyterrorystyczną. Przy prędkości ponad trzystu kilometrów na godzinę dotrą do celu w ciągu godziny. Hartlandt nie zdążył jeszcze usiąść, a śmigłowiec już oderwał się od ziemi. Jeden z mężczyzn podał mu hełm, dzięki któremu mógł porozumiewać się z innymi. Kamizelkę kuloodporną włoży przed samą akcją. Komendant oddziału poinformował go o aktualnej sytuacji.

– Dwa nieoznakowane samochody śledziły na zmianę zamachowców. Mamy z nimi połączenie radiowe. Do tej pory sabotażyści niczego nie podejrzewają, w każdym razie nie próbowali uciekać. Drugi helikopter jest już w połowie drogi, ale aż do naszego przybycia nie podejmie żadnych działań, tylko będzie z odpowiedniej wysokości ich obserwował.

– Mam nadzieję, że do tej pory oddziały naziemne ich nie zgubią.

– Jeśli nawet, to mamy dokładny opis – ciemnozielony mercedes transporter.

– Bardzo sprytne. Jeśli jeszcze cokolwiek porusza się po drogach, to samochody właśnie w tym kolorze. Nie możemy tam wysłać jakiegoś drona?

– Nie mamy żadnego w pobliżu. Ale wcale nie tak dużo wojskowych transporterów akurat tego modelu kręci się po tamtej okolicy.

– Nasze zadanie polega nie tylko na zatrzymaniu tych osób. Musimy także je przesłuchać.

– To ma najwyższy priorytet.

– Robi się ciemno.

– Pilot może nawigować z noktowizorem. Wprawdzie to nie ułatwia interwencji, ale po ciemku większy jest efekt zaskoczenia.

Bruksela

Shannon nie wiedziała, kiedy ostatni raz tak smakowała jej zwykła piaskowa babka.

– Co teraz robisz? – spytała.

– Pamiętasz ten podejrzaną adres IP, który odkryłem, zanim baterie wyzionęły ducha i skradziono nam porsche?

– Pod który twój laptop co noc wysyłał nielegalnie dane?

– Właśnie go wybieram.

Wprowadził adres IP w pole adresowe przeglądarki internetowej. W okienku u góry po lewej ukazał się wyraz „RESET”, a pośrodku okienka dwa pola jedno nad drugim. Nad górnym znajdowało się „user”, nad dolnym „password”.

– Popatrz, popatrz – szepnął Manzano.

– To już go mamy – zauważyła Shannon.

– Na razie nie. Ktoś tu był bardzo pewny siebie.

– Jak to?

– Bo nie używał serwera anonimizującego ani nie stosował żadnych innych metod szyfrujących. Ktokolwiek wrzucił mi do komputera te e-maile, korzystał z miejsca chronionego przez nazwę użytkownika i hasło. A za tym mogło się kryć coś ważniejszego.

– Albo jakiś trik.

– Albo jakiś trik. Zaraz się przekonamy.

– A jak chcesz się przekonać? Przecież nie znasz ani nazwy użytkownika, ani hasła.

– Na razie.

Shannon objęła filiżankę obiema dłońmi i wypila nieduży łyk.

– Czy RESET w tym przypadku oznacza polecenie? – spytała. – Czy to nazwa? Albo jeszcze co innego?

– Restart – bąknął Manzano.

Kiedy najechał kursorem na wyraz, nic się nie wydarzyło. Mimo to nie kliknął. Kto wie, co się za tym mogło kryć.

– Najpierw zajmiemy się nazwą użytkownika i hasłem – wymamrotał.

– Jak chcesz dojść do nazwy użytkownika i hasła nieznanej ci strony? Nie masz żadnych punktów zaczepienia.

Ktoś zapukał do drzwi i zanim ktokolwiek z nich zdążył się odezwać, już się otworzyły.

Mężczyzna w modnych designerskich okularach wetknął głowę do środka i spojrzał na nich zaskoczony.

– O, przepraszam, myślałem... Kim państwo są?

– Z działu IT – odpowiedział Manzano. – Musimy coś naprawić.

– Aha, rozumiem, nie będę przeszkadzał.

Zamknął drzwi. Oboje znowu zostali sami.

– No więc – Shannon nie ustępowała – jak chcesz dojść do nazwy użytkownika i hasła nieznanej ci strony, skoro nie masz żadnych punktów zaczepienia?

– Może wcale ich nie potrzebuję – odparł Manzano. Wprowadził nowy adres. – Istnieją specjalne programy dla ludzi, którzy chcą włamać się do obcych komputerów...

– I można je tak po prostu znaleźć w internecie?

– Tak po prostu – potwierdził, nie odrywając wzroku od ekranu, z którego jakiś mały chłopiec wpatrywał się w niego przez duże okulary. – Na przykład taki Metasploit.

– A co on potrafi?

– Za jego pomocą możesz przeprowadzić testy penetracyjne...

– ...albo znaleźć luki w zabezpieczeniach.

– No, widzę, że załapałaś. Mam nadzieję, że uda mi się go załadować.

Kliknął w odpowiednie okienko. Już po paru sekundach program był ściągnięty. Manzano zainstalował go i uruchomił.

– Co robisz? – chciała wiedzieć Shannon.

– Wprowadzam podejrzany adres IP. Potem wybieram technikę, za pomocą której sprawdzę tę stronę. Najpierw zacznę od iniekcji kodu SQL. Oszczędzę ci szczegółów, bo żeby je zrozumieć, musiałabyś przejść chociaż podstawowy kurs informatyki. – Oparł się wygodnie na krześle. – To trochę potrwa.

Haga

Wybrali specjalną salkę konferencyjną, w której nie stały żadne komputery poza laptopem Bollarda. A ten nie był połączony z siecią wewnętrzną. Po prezentacji Bollard usunie wszelkie jej ślady i dopiero potem podłączy swój sprzęt do sieci.

– Ten człowiek nazywa się Jorge Pucao – powiedział. – Urodzony w osiemdziesiątym pierwszym w Buenos Aires. Tam też spędził młodość. Już jako uczeń był aktywny politycznie, został zauważony na demonstracjach przeciwko zaczynającemu się kryzysowi gospodarczemu.

Na ekranie pojawiła się gniewna twarz wrzeszczącego młodego chłopaka, który w tłumie jemu podobnych wyciąga przeciwko nieznanemu wrogowi zaciśniętą pięść.

– W szczytowej fazie kryzysu na przełomie tysiącleci studiował w Buenos Aires nauki polityczne i informatykę, nadal się angażował, brał udział w demonstracjach i korzystał z lokalnego systemu wymiany i handlu, który w owym czasie w Argentynie cieszył się popularnością, ponieważ waluta narodowa peso radykalnie straciła na wartości wskutek kryzysu gospodarczego i finansowego lub bankructwa państwa i znaczna część klasy średniej bardzo zubożała. W 2001 Jorge Pucao zostaje aresztowany podczas protestów przeciwko szczytowi G8 w Genui.

Nawet niekorzystne policyjne zdjęcia ukazujące Pucao z przetłuszczonymi lokami nie pomniejszały jego atrakcyjności.

– Mniej więcej w tym samym czasie jego ojciec w następstwie kryzysu odbiera sobie życie. Pucao wraca do ojczyzny i prowadzi jeszcze intensywniejszą działalność. Tyle że jego ówczesna aktywność nie wydaje się ukierunkowana na nic konkretnego, być może tylko wypróbował najbardziej dla niego interesujące warianty albo się jedynie bawił.

Na szarej betonowej ścianie kępi mchu w cudowny sposób zrosły się w hasło *Cultivar la equidad* – „Pielęgnujcie równość”.

Jako ekspert do spraw terroru Bollard zetknął się oczywiście także z łagodniejszymi formami protestu, np. z *guerilla gardening*, którego działacze nanosili na betonowe ściany na przykład mieszaninę maślanek i mchu, wskutek czego mech, mając tak żyzne podłoże, rozrastał się w dosłownie żywe hasła, jak to pokazane przed chwilą.

– Jego aktywność sięgała od partyzantki ogrodowej, przez partyzantkę komunikacyjną, aż do wspierania przedsięwzięć, które zaczynały się same rządzić, jak to w tamtym okresie często bywało.

Grupowa fotografia ukazywała młodych ludzi o różnych kolorach skóry, w tym zarówno osobników z dreadami, jak i studentów w niebieskich oksfordzkich koszulach. Pośrodku stał z zaczesanymi do tyłu włosami i w jasnej koszuli wyrzuconej na dzinsy Jorge Pucao; wyróżniał się żywym spojrzeniem.

– W 2003 roku Argentyna ma już najgorsze za sobą i Pucao zaczyna studia magisterskie w School for Foreign Service przy Georgetown University w Waszyngtonie. Szkoła uchodzi za kuźnię przyszłych kadr dla polityki oraz dla organizacji międzynarodowych i charytatywnych. Sam finansuje sobie studia dzięki swoim umiejętnościom jako poszukiwany niezależny specjalista IT, i to w dziedzinie bezpieczeństwa online, co dodaje wszystkiemu pewnej pikanterii. Równocześnie angażuje się w ruch antyglobalistyczny. Jego poglądy coraz bardziej się radykalizują, o czym świadczą artykuły i tak zwany manifest, które opublikował na swojej stronie. Wszystkie dokumenty, także późniejsze, znajdziecie w bazie danych pod „Pucao_lit” – dodał Bollard, spodziewając się, że każdy z obecnych weźmie to sobie do serca. On sam przejrzał kilka z nich, ale nie zagłębiał się w nie jakoś szczególnie. Uwagę zwracała przede wszystkim dyscyplina argumentacji, nieobecna w większości pamfletów rozmaitych radykałów, których

tyrady gubiły się w bezładnych hasłach i oskarżeniach. – W Stanach Zjednoczonych nawiązuje też kontakt z przedstawicielami prymitywizmu. Wszystkim tym, którym to nic nie mówi, wyjaśniam: zwolennicy tego ruchu opowiadają się w gruncie rzeczy za powrotem do przedindustrialnych form egzystencji, wielu odrzuca też naszą postać cywilizacji. Ale nie były to chyba jakieś szczególnie intensywne kontakty, czemu raczej trudno się dziwić, biorąc pod uwagę to, że Pucao zarabiał pieniądze na najnowszymi technologiach. Choć, jak zdążyliśmy się już zorientować, ambiwalencja to jego znak firmowy. W 2005 kończy z sukcesem studia w Waszyngtonie. Podczas szczytu G8 w szkockim Gleneagles pojawia się znowu. Po powrocie do Stanów pracuje nadal jako specjalista IT. Istnieją przypuszczenia, ale niepoparte żadnymi dowodami, że we wszystkich tych latach był także aktywny jako haker.

Teraz Bollard przeszedł do grupowego zdjęcia z konferencji w Szanghaju przekazanego mu przez Niemców.

– Także w 2005 bierze udział w konferencji poświęconej bezpieczeństwu w internecie zorganizowanej w Szanghaju. Na tej samej konferencji obecny jest również Hermann Dragenau, co potwierdza niniejsza fotografia. Niemiec kieruje departamentem produktu w koncernie technologicznym Talaefer podejrzanym o to, że dostarczane przez tę firmę oprogramowanie do sterowania elektrowniami mogło zostać poddane manipulacji.

– Czy ja dobrze rozumiem – spytał współpracownik Christopoulos – że na podstawie podobieństwa (przynaję: dużego) między portretem pamięciowym i zdjęciem człowieka, który kilka lat temu uczestniczył w tej samej konferencji co Hermann Dragenau, konstruujemy obraz terrorysty?

– Mamy też trochę więcej – odpowiedział Bollard.

Pokazał wizualnie mało spektakularną listę liter i szeregów cyfr.

– Jak wszyscy wiemy, Stany Zjednoczone po atakach terrorystycznych z jedenastego września 2001 roku zaczęły gromadzić dane pasażerów samolotów, a od 2007 Unia Europejska zgłosiła gotowość przekazywania Stanom Zjednoczonym takich danych o pasażerach przylatujących z USA. Dzięki temu wiemy, że Pucao w latach 2007 i 2010 często krążył między Ameryką a Europą. Nierzadko celem jego podróży był Düsseldorf oddalony dosłownie o rzut beretem od miejsca zamieszkania Dragenaua. Co więcej: w 2011 Dragenau spędza urlop w Brazylii. Są poświadczające to zdjęcia, a nawet dokumenty podróży. W tym samym czasie leci tam również Pucao i zostaje na dwa dni. Za krótko jak na wypoczynek.

– Ale nie ma żadnych dowodów na to, że ci dwaj się spotykali? – dopytał Christopoulos.

– A nawet gdyby, to też jeszcze nic nie znaczy.

– To oczywiście prawda, lecz...

– Przepraszam, że ci przerywam, jednak czegoś tu nie rozumiem. Jeśli oni dwaj są takimi geniuszami komputerowymi i planują apokalipsę, to przecież wiedzą, że po każdej ich aktywności pozostają cyfrowe ślady. Dlaczego nie zachowują się ostrożniej albo nie zacierają wszystkiego?

– Ponieważ czują się bardzo pewni? – odpowiedział pytaniem Bollard. – Bo jest im wszystko jedno? W tym momencie możemy tylko spekulować na ten temat.

– Nie wspomniałeś nic o jego działalności politycznej w ostatnim dziesięcioleciu.

– Właśnie zamierzałem do tego przejść. Jeśli więc o to chodzi, po roku 2005 Pucao zdecydowanie zmienia swoje postępowanie. Nie pokazuje się ani razu przy okazji różnych wydarzeń, przy których dotychczas się aktywizował, czyli na przykład podczas G8 czy w podobnych okolicznościach, przy czym trzeba tu na marginesie dodać, że protesty przeciwników globalizacji w kolejnych latach stają się coraz słabsze. Pucao zawiesza również swoje publikacje. Ostatni polityczny wpis na jego blogu pochodzi z osiemnastego listopada 2005 roku. W mediach

społecznościowych nie jest aktywny, a przynajmniej nie pod swoim nazwiskiem.

– Twoim zdaniem mogą być pewnie dwie tego przyczyny – rezonował znowu Christopoulos. – Albo Pucao zrezygnował ze swojej działalności, albo świadomie prowadzi ją dalej, tylko nie chce już tak bardzo się afiszować...

– ...ponieważ po kryjomu coś przygotowuje. Dokładnie tak. Przypomnij sobie zamachowców z jedenastego września. Na pierwszy rzut oka mniej lub bardziej poczciwi studenci. Niepozorni, zasymilowani. A tymczasem w tajemnicy planują najpotworniejszy zamach terrorystyczny od końca drugiej wojny światowej. Albo ten szaleniec z Norwegii z 2011.

– Ale przecież on musiał się liczyć z tym, że mimo wszystko mamy go na muszce.

– Oczywiście. Jest w naszej bazie danych. Tyle że ze zdjęciami, na których program do rozpoznawania twarzy nie znalazł wystarczającego podobieństwa z portretem pamięciowym.

– A ile milionów kosztował ten program? Nie rozpoznał żadnej z tych twarzy?

– Jeszcze to ustalamy.

– Ale jeśli nawet ten cały Pucao istotnie należy do zamachowców, to i tak brakuje nam pozostałych. – Christopoulos nadal nie wychodził z roli krytyka, co Bollardowi bynajmniej nie przeszkadzało, wręcz przeciwnie. – We dwóch na pewno nie daliby rady przygotować takiego masowego ataku.

– Masz rację. Możesz być pewien, że obecnie każda służba wywiadowcza w Europie, Stanach Zjednoczonych i we wszystkich państwach zaprzyjaźnionych weryfikuje każdy kontakt znaleziony u Dragenaua i Pucao.

– O ile mają na to możliwości – westchnął Christopoulos. – Jeżeli w Stanach sytuacja jest podobna jak u nas, to nie będzie im łatwo znaleźć tych ludzi. Ale nie dlatego, że są terrorystami, tylko z tego prostego powodu, że pewnie śpią w hali sportowej czy w centrum gminnym wśród setek innych na jakimś materacu albo stoją w kolejce w punkcie wydawania żywności.

Bruksela

– Nie wierzę – szepnął Manzano.
– Co takiego? – spytała także szeptem Shannon.
– Pole wejściowe użytkownika – powiedział. – To czuły punkt. Praktycznie rzecz biorąc, nie wprowadzając nazwy użytkownika, mogę przejść do danych strony.

- Jak to możliwe?
- Złe zabezpieczenia osób odpowiedzialnych.
- A co to za dane?
- Zaraz zobaczymy.

Na ekranie ukazała się długa lista.

blond
tancr
sanskrit
zap
erzwo
cuhao
proud
baku
tzsche
b.tuck
sarowi
simon

...

– Co to jest?
– Przy odrobinie szczęścia będziemy mieli listę użytkowników tej strony – wyjaśnił Manzano. – A potem poszukamy sobie haseł.

Ściągnął dane na komputer i kilka sekund później mógł je już otworzyć.

W oknie pojawił się nieprzebrany galimatias cyfr i liter.

Downloaded table: USERS

sanskrit:36df662327a5eb9772c968749ce9be7b

sarowi:11b006e634105339d5a53a93ca85b11b tzsche:823a765a12dd063b67412240d5015acc

tancr:6dedaebd835313823a03173097386801

b.tuck:9e57554d65f36327cadac052a323f4af

blond:e0329eab084173a9188c6a1e9111a7f89f ...

– Popatrz, popatrz... – powiedział tylko Manzano.

Ktoś zapukał do drzwi, które znowu zaraz się otworzyły. Włoch chwycił klapę laptopa, żeby w razie czego szybko ją zamknąć.

Do środka weszła Angström.

– Ale nas przestraszyłaś – rzucił.

– Robicie coś zakazanego?

– Nie. Tylko mamy tu coś bardzo interesującego.

– Proszę podejść bliżej – odezwała się Shannon. – To fascynujące, co on tu wyprawia.

Choć całkiem niepojęte...

Angström spojrzała na ekran.

– To dla mnie czarna magia – stwierdziła.

– Dla mnie też – przyznał Manzano. – Jak można być tak nieostrożnym. Popatrzcie tutaj.

– Pokazał na początki szeregów. – To są nazwy użytkowników tej strony internetowej. Jasne i wyraźne, zarchiwizowane bez żadnego kodowania. To znaczy, że górne pole możemy już sobie spokojnie wypełnić. Kombinacje cyfr są hasłami albo, i to może być kłopot, tak zwanymi haszami haseł, czyli ich zaszyfowaną postacią.

– To z nimi nie da się już chyba wiele zrobić – zauważyła Shannon.

– To zależy – odrzekł Manzano. Jego palce znów fruwały po klawiaturze. – Jeśli ci ludzie pracowali czysto, to nie mamy tu nic do roboty. Ale powszechnie wiadomo, że właśnie zawodowcy są w tej dziedzinie strasznie niechlujni.

Ponownie rozległo się pukanie do drzwi. Angström obróciła się nerwowo, otworzyła, zagradzając jednocześnie wejście. Manzano dostrzegł za nią w korytarzu tego samego mężczyznę w designerskich okularach.

– Ach, oni ciągle tu jeszcze są... – powiedział.

– To ja ich wezwałam z IT – wyjaśniła Angström.

Manzano widział, że tamten usiłuje zajrzeć przez ramię Szwedki do pokoju.

– IT, mówisz – powtórzył za nią. – A jak ja ich potrzebuję, to muszę czekać ze dwa tygodnie, aż się zjawią. Widocznie trzeba mieć taki wygląd jak ty...

– Dzięki – rzekła Angström.

– Wobec tego...

Rzucił jeszcze przelotne spojrzenie do środka i zniknął.

Szwedka zamknęła drzwi, po czym wróciła do biurka.

– Czego on chciał?

– Moim zdaniem zżera go ciekawość.

– Chyba tak – potwierdziła Shannon. – No to co to są te hasze?

– Haszowanie, czyli inaczej funkcja skrótu, przyporządkowuje dowolnie dużej liczbie krótką, niespecyficzną quasi-losową wartość, tak zwany skrót nieodwracalny. Ale w taki sposób, że powrót do postaci wyjściowej nie jest możliwy. Co prawda można próbować, ale to bardzo pracochłonny proces. Wyobraź sobie hasło złożone z dziesięciu znaków, w tym z dużych i małych liter, a także z cyfr. Takie hasło da się zmienić na osiemset czterdzieści bilionów sposobów. A to oznacza, że trzeba by wypróbować osiemset czterdzieści bilionów – bilionów! – wariantów. Żeby wykonać coś takiego, nawet najszybszy komputer świata musiałby pracować nad tym całą wieczność.

– Ale jak w ogóle strona rozpoznaje, czy ktoś wprowadził właściwe hasło?

– Upraszczając: w celu zwiększenia bezpieczeństwa w bazie danych przechowuje się skrót hasła zamiast tekstu jawnego. Hasło wprowadzone przez użytkownika jest haszowane i dopiero wtedy porównywane ze skrótem w bazie danych.

– Czyli komputer wcale nie porównuje haseł, tylko hasze.

– Tak jakby.

– Więc jak mimo wszystko zamierzasz dotrzeć do haseł?

– Liczę na ludzkie słabości. Po pierwsze, mam nadzieję, że programista nie zastosował żadnych dodatkowych zabezpieczeń. Po drugie, przypuszczam, że niektórzy użytkownicy byli zbyt leniwi, żeby wprowadzać długie czy skomplikowane hasła. A im krótsze i prostsze hasła, tym mniejsza liczba możliwości do wypróbowania przez komputer, koniecznych, aby złamać zakodowane hasło.

– Ale chyba i tak niemało.

– Po to są tak zwane tęczowe tablice.

– Mam wrażenie, jakbym słuchała neurochirurga mózgu – rzuciła Angström.

– Bo faktycznie dokonuję operacji na systemie nerwowym naszej cywilizacji.

- A co tu teraz masz?
- Jestem na stronie, na której tęczowe tablice mogą mi pomóc w złamaniu haseł.
- A jak one działają, te tęczowe tablice?
- W gruncie rzeczy to taka baza skrótów obliczonych przez kogoś dla wszystkich prostych haseł. Tęczowa tablica jest tworzona przez zapisywanie łańcuchów ze skrótów z możliwych haseł. Dzięki temu zapisywany jest jeden skrót na kilkaset, a nawet kilka tysięcy wygenerowanych. Więc komputer tylko sprawdza, czy zna już taki hasz. – Z rozmachem przycisnął klawisz Return i czekał.
- To też chwilę potrwa.

Bruksela

– Przysięgam, to ona tam siedzi – powiedział Daan Willaert do swojego kolegi, wskazując na ekran komputera, na którym uruchomił filmik z YouTube. Przedstawiał ładną młodą kobietę o ciemnych włosach; tło było zbyt niewyraźne, żeby cokolwiek rozpoznać.

„Lauren Shannon, Haga”, głosił napis poniżej.

Na czerwonym pasku na samym dole okna wideo można było przeczytać: „...podejrzenie ataku terrorystycznego. Włochy i Szwecja potwierdzają manipulację...”.

– No dobra, a jeśli...

– Sonja mówi, że oni są z naszego IT. I bardzo się starała, żebym, broń Boże, nie wszedł do środka.

– Po prostu chciała pracować, a nie tracić czas na plotki. Ostatecznie roboty nam nie brakuje.

– Jak długo tu już pracujesz?

– Osiem lat.

– Czy choć raz, kiedy poprosiłeś o wsparcie z IT, przysłali ci jakąś ładną kobietę?

– Hm...

– Sam widzisz. Mogę się założyć, że w tym dziale nie ma w ogóle żadnych kobiet.

– Szowinista.

– Realista.

Willaert sięgnął po telefon i zadzwonił do działu pomocy technicznej.

– Tu Centrum Monitoringu i Informacji. Chciałem tylko spytać, czy ktoś już do nas się wybiera. Niedawno zgłosiłem problem i prosiłem o pomoc.

– ...

– Nikogo nie wysłaliście? Okej, wobec tego mam jasność.

– ...

– Nie, to nie jest pilne. Dziękuję.

Rozłączył się i spojrzął na kolegę.

– Nikogo nie wysłali.

Jeszcze raz wziął słuchawkę do ręki i wybrał numer recepcji.

– Czy Sonja Angström z Centrum Monitoringu i Informacji miała dzisiaj jakichś gości?

– ...

– Dziękuję. – Odłożył telefon. – Owszem, ma gości, ale nie z IT – oznajmił. –

Wiedziałem!

– To kto to może być? Co zamierzasz zrobić?

– I znowu galimatias cyfr – stwierdziła Shannon.

Wykorzystanie tęczyowych tablic do rozszyfrowania haseł dało długą listę znaków:

36df662327a5eb9772c968749ce9be7b:NunO2000

1cfdb52d6e51a01f939cc7afd79c7ac:kiemens154

11b006e634105339d5a53a93ca85b11b:

99a5aa34432d59a38459ee6e71d46bbe:

9e57554d65f36327cadac052a323f4af:gatinhas_3

59efbbebd85ee7cb1e52788e54d70058:fusaomg

823a765a12dd063b67412240d5015acc:43942ac9

6dedaebd835313823a03173097386801:

8dcaab52526fa7d7b3a90ec3096fe655:0804e19c

32f1236aa37a89185003ad972264985e:plus1779

794c2fe4661290b34a5a246582c1e1f6:xinavane
e0329eab084173a9188c6a1e9111a7f89f:ribrucos – Przyjrzyj się im dokładniej – rzucił Manzano.

– Za niektórymi ciągami liter i cyfr stoją krótsze szeregi – zauważyła Angström. – Niektóre wyglądają jak...

– ...hasła. One nie tylko tak wyglądają. To są hasła: NunO2000, kiemens154, gatinhas_3, fusaomg... I jak same widzicie, w większości są krótsze lub wykorzystują albo tylko małe, albo same duże litery czy też w ogóle są prostsze. No i oczywiście mamy szczęście, że nie zastosowano żadnych innych zabezpieczeń.

– Ale za niektórymi ciągami nie ma nic – spostrzegła Shannon. – Czy to znaczy, że ta twoja tęczowa tabela nie odkryła w tym przypadku hasła?

– Masz rację. Ale to nie szkodzi. Bo mamy dosyć innych nazw użytkowników i haseł, za pomocą których uda nam się wejść.

– Czy to znaczy, że teraz możesz po prostu zalogować się na tej stronie, na którą każdej nocy były przesyłane dane z twojego komputera?

– Właśnie zaraz to zrobię.

Manzano wypełnił puste okienka przeznaczone do wpisania nazwy użytkownika i hasła odpowiednią kombinacją znaków.

Użytkownik: blond

Hasło: ribrucos

– Enter.

– I znowu listy, tabele... – stwierdziła Shannon. – Co one nam mówią? Na przykład ta linijka?

Wskazała na jedną z wielu.

tancrtopic 93rm4n h4rd \$4b07493

– Pierwszy wyraz to użytkownik, który zainicjował dyskusję. Znamy go już z tabeli użytkowników.

– A reszta? – spytała Angström.

– To temat dyskusji. To wygląda mi na *leet*, język włamywaczy komputerowych. Używa się go, żeby uniknąć cenzury nakładanej przez niektórych usługodawców sieciowych na treści stron kolidujące z obowiązującym prawem. Jest dosyć prymitywny, bo w gruncie rzeczy prosty do odszyfrowania, tylko trochę skomplikowany w pisaniu i czytaniu, jeśli człowiek nie jest z nim oswojony. Obecnie tak już znany, że dziwię się, iż go tu widzę. W żargonie *leet* po prostu zastępujesz litery przez inne znaki z klawiatury, choćby przez cyfry przypominające wyglądem zastępowaną literę.

Otworzył nowe okienko i wpisał w nie wyraz „LEET”.

– Na przykład LEET w języku *leet* pisze się w ten sposób. – Szybko coś wklepał, a na ekranie ukazało się: „L33T”.

– A jeśli weźmiemy to 93rm4n, co ono może znaczyć?

– O rany, w coś takiego to ja bawiłam się w podstawówce – jęknęła Shannon.

– To prawda. Hakerzy pod pewnymi względami są dosyć dziecinni... Może chcesz spróbować?

– Jeśli masz tyle czasu...

Manzano kliknął w topic 93rm4n h4rd \$4b07493.

– Myślę, że to znaczy „topic german hard sabotage”. Sprawdźmy, co się za tym kryje.

date: sun, 10, 11:05 GMT

tancr: 734m 1 Obj 9 (0nph1rm; 3xp3(7 Obj 10 70m0rr0w tzsche: 734m 2

tancr: Obj 12(0nph1rm

tzsche: 734m 3

tancr: Obj 7 (0nph1rm, Obj 5, 6 p3nd1n9

tzsche: 734m 4

tancr: Obj 7 (0nph1rm, Obj 3, 6 p3nd1n9; 3v3r¥0n3 w3| | 0n 7r(|\7b

– Teraz to przetłumaczę – zaproponował Manzano.

Date: sun, 10, 11:05 GMT

tancr: team 1 obj 9 confirm; expect obj 10 tomorrow tzsche: team 2

tancr: obj 12 confirm

tzsche: team 3

tancr: obj7 confirm, obj 5, 6 pending

tzsche: team4

tancr: obj 7 confirm obj 3, 6 pending; everyone well on track.

Tancr potwierdza jakieś obiekty teamom 1, 2, 3 i 4. Niektórych obiektów jeszcze brak, cokolwiek to znaczy. Na koniec wyraża zadowolenie, że wszystko przebiega zgodnie z planem.

– A mógłbyś jeszcze to tak przetłumaczyć, żeby było wiadomo, co przebiega zgodnie z planem?

– Żeby się tego dowiedzieć, musimy prześledzić dalszą dyskusję, może znajdziemy w niej jeszcze coś więcej.

Zjechał na dół strony – pojawiły się setki nowych szeregów.

– Wow, całkiem długa ta dyskusja. Zdaje się, że tu jest początek.

date: mon, 03, 12:34 GMT

tancr: 734m 2 Obj 190nph1rm; w4171n9 ph0r 734m 1,3,4

– Date: mon, 03, 12:34 GMT

Tancr: team 2 obj 1 cofirm; waiting for team 1, 3, 4.

Czyli tutaj pierwszy raz potwierdził jakiś obiekt, konkretnie dla zespołu drugiego.

Manzano przesunął kursor trochę wyżej.

– To ciekawe. Na początku każdej nowej rozmowy jest data. Przy pierwszej był poniedziałek, trzeciego...

– Ale ostatni trzeci nie przypadał w poniedziałek.

– Zgadza się. Przy ostatniej rozmowie widnieje data: niedziela, dziesiątego.

– Niedziela jest dzisiaj – powiedziała Shannon.

– Ale też nie dziesiąty – uzupełniła Angström.

– Poczekajcie, poczekajcie! – zawołał Manzano. – Dajcie mi chwilę!

Liczył w myślach.

– W piątek przed tygodniem zaczęła się awaria. Do dzisiaj minęło...

– ...dziesięć dni – skończyła za niego Shannon.

– Czyli odliczanie czasu w tym czacie zaczyna się w dniu zerowym awarii.

– To znaczy, że ostatnia rozmowa pochodzi z dzisiejszego przedpołudnia.

– Jeśli nasze założenie jest słuszne.

– Ale o co chodzi, nadal nie wiemy.

Manzano zamknął dialog i wrócił do pierwotnej listy.

– Tutaj są pokazane różne rozmowy.

– À propos rozmowy – odezwał się czyjś głęboki głos od drzwi. – Chciałaby z wami porozmawiać policja.

Angström obróciła się gwałtownie. W drzwiach stał Nagy, szef Centrum Monitoringu i Informacji, za nim trzy bycze karki w ciemnych mundurach ochrony. Zanim Angström zdążyła cokolwiek powiedzieć, niespodziewani goście wkroczyli już do środka. Kątem oka dostrzegła,

jak Manzano gorączkowo wystukał coś jeszcze na klawiaturze i szybko zamknął komputer. Sekundę później chwycił go jeden z mundurowych, drugi zaś podszedł do amerykańskiej dziennikarki. Obojgu brutalnie wykręcili ramiona na plecy; Shannon aż krzyknęła.

– Co oni tu robią? – spytał Nagy lodowatym głosem. – To nie są pracownicy naszego działu IT.

– Nie! – krzyknął Manzano. – Ale ja właśnie...

Gdy ochroniarz szarpnął mu rękę do góry, Włoch natychmiast zamilkł, wykrzywiając twarz z bólu.

– Jestem obywatelką amerykańską! – protestowała Shannon. – Chcę natychmiast rozmawiać z kimś ze służby konsularnej Stanów Zjednoczonych!

Angström czuła, jak odpływa jej krew z głowy. Spojrzała na Manzana, który niemo zwiesił głowę.

– Ja właśnie... – zaczął znowu, lecz jego opiekun bolesnym szarpnięciem ponownie zmusił go do milczenia.

– Jestem... – chciała powtórzyć Shannon, jednak mężczyzna za jej plecami gwałtownym ruchem dał jej do zrozumienia, że nie chce niczego słyszeć.

Angström nie miała pojęcia, co ma powiedzieć. Kiedy dziś po południu nieoczekiwanie stanął przed nią znany jej Włoch, mimo jego łachmaniarskiego wyglądu się ucieszyła, i to bardziej, niż skłonna była przyznać. Ufała mu.

– Ten człowiek zwrócił uwagę Europołowi i nam wszystkim na prawdziwą przyczynę awarii – odezwała się, stwierdzając z zaskoczeniem, że drży jej głos. Brak pewności siebie zupełnie nie był w jej stylu. Próbowała przybrać ton bardziej zdecydowany. – A kilka minut temu odkrył portal komunikacyjny zamachowców.

Zanim skończyła zdanie, krew znowu uderzyła jej do głowy na myśl o tym, że być może Manzano przez cały czas znał tę stronę. Czyżby tylko odegrał przed nią przedstawienie?

Nagy dał znak dwóm ochroniarzom, którzy natychmiast wyprowadzili Manzana i Shannon z pokoju.

– Proszę posłuchać, panie Nagy – zaczęła. – Moim zdaniem to jest naprawdę bardzo... Szef skinął w stronę trzeciego mundurowego.

– ...ważne – zamilkła, gdy mężczyzna chwycił ją mocno za przedramię.

– Opowie to pani policji – rzucił.

EC155

Oddział naziemny podał parametry trasy. Gdy EC155 znalazł się we właściwym obszarze, zrobiło się już ciemno. Lecieli dostatecznie wysoko, aby osoby będące celem ich akcji nie usłyszały helikoptera. Za pomocą noktowizora umocowanego na hełmie Hartlandt wypatrywał na lokalnej drodze, która wiła się pod nimi jak wąska ścieżka, poszukiwanego pojazdu. Włożył już kamizelkę kuloodporną.

– Mam ich – obwieścił drugi pilot. – Mniej więcej na godzinie pierwszej, około dwustu metrów.

Hartlandt wyrzwał na lewą stronę śmigłowca, pod którym szosa akurat skręcała w prawo i dlatego była w tym momencie poza zasięgiem jego wzroku.

– Zespół drugi, jaka sytuacja z przodu? – spytał kierujący akcją dowódcę w drugim helikopterze.

– Otwarty teren – odpowiedział mocny głos. – Dobry punkt dostępowy do przechwycenia obiektów za jakieś mniej więcej dwa kilometry. Trzy ostre zakręty, na których będą musieli zwolnić. Sugeruję przechwycenie tuż przed trzecim wirażem.

– Zrozumiałem, zespół drugi – odpowiedział dowodzący.

Auto pod nimi jechało z prędkością mniej więcej dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę. A to oznaczało – Hartlandt szybko obliczył w głowie – że nie ma już czasu na wybranie innego miejsca akcji przez załogę ich śmigłowca. Musieli zdać się na to, że koledzy krążący nad celem już od dwudziestu minut zrobili dobre rozeznanie.

Hartlandt obserwował, jak mężczyźni przygotowują się do operacji. Po raz kolejny sprawdzano broń, poprawiano kamizelki i hełmy. Równocześnie przez radio odbywały się ostatnie ustalenia między dowódcami obu oddziałów, niemal całkowicie zagłuszone przez hałas śmigieł.

– Schodzić – rozkazał dowódca.

Teraz wszystko musiało przebiegać z maksymalną precyzją. W ciągu zaledwie kilku sekund piloci powinni opuścić swoje maszyny na poziom drogi, żeby huk silników nie ostrzegł ściganych zbyt wcześnie.

Hartlandt zobaczył, że droga w szalonym tempie coraz bardziej się przybliża, zauważył też drugi helikopter wykonujący identyczny manewr. Podniósł noktowizor na hełm.

Kiedy byli jakieś sześćdziesiąt metrów nad samochodem, piloci włączyli reflektory. Jaskrawy krąg światła otoczył pojazd.

Hartlandt widział, jak auto gwałtownie zwolniło, podczas gdy śmigłowce zniżały się coraz bardziej. Poczł, jak opadł mu żołądek, gdy pilot zawisł w końcu kilka metrów nad ziemią za transporterem. Druga maszyna zablokowała mu już drogę, kierując reflektory prosto do kabiny kierowcy. Światła stopu zaświeciły na czerwono, po chwili samochód zaczął cofać, zręcznie obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni i teraz pruł prosto na nich.

Ich pilot zareagował błyskawicznie i niemal usiadł płozami na szosie. Transporter zahamował tak gwałtownie, że przodem prawie zarył w podłoże, po czym po obu stronach otworzyły się drzwi. W migotliwym świetle włączonych samochodowych reflektorów z helikoptera wyskoczyli ludzie z GSG 9. W huku obracających się śmigieł nie było sensu wydawać zatrzymanym jakichkolwiek rozkazów czy poleceń, bo nawet przez megafon nie zrozumieliby ani słowa.

Hartlandt poczuł twardy asfalt pod swoimi stopami.

Obok transportera zamigotał ogień z lufy karabinu. Hartlandt dał szczupaka w bok poza jezdnię i przeczołgał się poza zasięg reflektorów.

– Nie strzelać! – wrzasnął. – Wstrzymać ogień!

W słuchawkach hełmu słyszał krótkie, ostre rozkazy obu dowódców.

Lampy samochodu zostały rozbite kulami, reflektory helikopterów oblewały podziurawiony jak sito pojazd jaskrawym blaskiem. Obok drzwi pasażera leżało nieruchomo czyjeś ciało, członkowie oddziału z drugiego śmigłowca przykucnęli z tyłu transportera, kryjąc się za nim. Jeden z nich przesunął się powoli do trafionego, kopnął nogą karabin, szybko obmacał ciało, sprawdzając, czy nie ma przy nim innej broni, podczas gdy pozostali zabezpieczali z boku kabinę kierowcy.

Po chwili z drugiej strony transportera nadszedł meldunek. Jeden z zamaskowanych policjantów przyłożył palec do szyi niedającego znaku życia mężczyzny, odczekał kilka sekund, po czym Hartlandt w słuchawkach swojego hełmu usłyszał „brak pulsu”. Dwaj inni funkcjonariusze GSG 9 wdrapali się do kabiny kierowcy i przez szybę oddzielającą szoferkę od części bagażowej ostrożnie zajrzeli do tyłu.

– Czysto.

Hartlandt podniósł się z ziemi i podbiegł do samochodu.

– Jeden z obiektów nie żyje – usłyszał znowu w słuchawkach hełmu.

Na to przynajmniej wskazywał wygląd mężczyzny leżącego przed nim na drodze. Jego tułów i głowa zostały trafione licznymi kulami, twarz tylko w połowie była rozpoznawalna. Hartlandt nie potrafił określić pochodzenia tego człowieka. Leżał w ciemnej kałuży, która robiła się coraz większa. Od niego już niczego się nie dowiedzą.

Z wściekłością przeszedł na drugą stronę samochodu. Policjanci nie mieli wyboru – to faceci z transportera zaczęli pierwsi strzelać. Unieszkodliwienie obiektów bez uśmiercenia nie było w tej sytuacji możliwe. Obok lewego przedniego koła na ziemi leżał drugi mężczyzna o ciemniejszej karnacji, w podobnym stanie jak poprzedni. Trzeciego trafili kilka metrów dalej w polu. Klęczało przy nim dwóch policjantów, inny biegł do nich z torbą pierwszej pomocy. On też dostał kilka kul. Jego rysy wydawały się najbardziej przypominać typ środkowoeuropejski, ale koloru krótko ostrzyżonych włosów nie dało się na razie określić.

Hartlandt wrócił do transportera.

Obok zamaskowanych funkcjonariuszy GSG 9 przy samochodzie skupiło się też kilku żołnierzy w normalnych mundurach. Chociaż dowódca GSG 9 nie miał żadnej władzy zwierzchniej nad członkami Bundeswehry, polecił im zablokować drogę na odpowiednim odcinku. Co prawda nie należało się spodziewać żadnego wielkiego ruchu, ale nigdy nie wiadomo. Mężczyźni wykonali rozkaz bez dyskusji. Na szczęście przynajmniej w tej sytuacji nikt nie licytuje się kompetencjami, pomyślał Hartlandt.

W tym czasie inni członkowie oddziału operacyjnego otworzyli ostrożnie tylne drzwi transportera. Sabotażyści nie zamontowali żadnych materiałów wybuchowych czy innych pułapek przeznaczonych dla nieuprawnionych. W środku znaleziono kilkadziesiąt kanistrów i paczek. Hartlandt stawiał na materiały łatwopalne i materiały wybuchowe. W wielkiej skrzynce było jedzenie i spiwory. Sądząc po niewielkich zapasach prowiantu, musieli zbliżyć się do końca swojej podróży albo znajdowali się blisko jakiegoś kolejnego magazynu.

Równolegle drugi zespół sprawdzał szoferkę. Dwa znalezione laptopy będą musieli dokładnie zbadać. Postrzępiona mapa Europy Środkowej była pierwszym interesującym znaleziskiem. Widniała na niej narysowana fioletowym flamastrem trasa sabotażystów. Jeszcze dwa miejsca były zaznaczone na terenie Niemiec, a potem linia prowadziła przez Austrię na Węgry i do Chorwacji, na której kończyła się mapa. Pewnie gdzieś znajdują jej drugą część. Wzdłuż trasy naniesiono trzy rodzaje znaczków. Hartlandt szybko je rozszyfrował.

– Te tutaj to stacje transformatorowe – wyjaśnił, wskazując na nieduże prostokąty, z

których najbardziej wysunięty na północ znajdował się na obszarze Danii, a następny pod niemiecką Lubeką. – Podpalili je. Trójkąty oznaczają maszty wysokiego napięcia. Te między Bremą a Cloppenburgiem już wysadzili. Natomiast z miejscowości zaznaczonych kółkiem nie mamy żadnych meldunków o aktach sabotażu, dlatego przypuszczam, że to są ich punkty zaopatrzenia w prowiant i broń.

– To powinno się zgadzać – odezwał się jeden z dowódców. – To, co jest z tyłu w samochodzie, w żadnym razie nie wystarczyłoby na to, co jeszcze zamierzali zrobić – dodał, wiodąc palcem po mapie.

– Na razie nie znaleźliśmy żadnych telefonów ani jakichkolwiek innych narzędzi komunikacji – oznajmił któryś z mężczyzn.

– Bo ich nie potrzebowali – zauważył Hartlandt. – Ponieważ trasa była wcześniej ustalona, mogli działać samodzielnie.

– Może mają jakieś środki łączności tylko w tych pośrednich punktach zaopatrzenia i stamtąd odmeldowywali się swoim szefom.

– To musiałyby być telefony satelitarne, bo nic innego nie działa. Ale to raczej mało ekonomiczne rozwiązanie – lepiej chyba mieć jeden przy sobie niż trzymać takie drogie urządzenie w każdym punkcie.

Dołączył do nich jeden z policjantów.

– Sprawdziliśmy już transporter i numery. Tablice rejestracyjne zostały skradzione dwa tygodnie temu we Flensburgu, a samochód już cztery miesiące temu w Stuttgarcie.

– Można było się spodziewać – stwierdził Hartlandt. – To byli zawodowcy albo przynajmniej przez takich wyszkoleni i wyposażeni.

Błyski flesza na ułamki sekund dodatkowo rozświetlały jaskrawy blask rzucany przez reflektory helikopterów. Jeden z policjantów zaczął fotografować detale. W pierwszej kolejności ofiary. Ich zdjęcia i odciski palców zostaną bezzwłocznie przekazane do baz danych Europolu, Interpolu i służb śledczych.

– Tu jest druga mapa – powiedział jeden z zamaskowanych.

Rozłożył przed Hartlandtem i dowódcą mniej zniszczoną mapę, na której fioletowa linia prowadziła aż do Grecji.

– Ktoś chciał być bardzo dokładny – zauważył dowódca.

– Chyba się nie spodziewali, że dotrą aż tam.

– Może to była prowokacja? – powiedział Hartlandt. – Albo byli fanatykami. Za albo przeciw, to już nie ma znaczenia.

Kątem oka obserwował walkę policjantów o życie jednego z zamachowców. Oby udało się im go nie stracić.

Bruksela

– Spokój! – rozkazał policjant.

Przycisnął palec Manzana do poduszczyki z tuszem, a potem przyłożył go w odpowiednie miejsce na formularzu.

– Przecież potwierdzam, że jestem Pierem Manzanem – powiedział. – Nie musi pan mi brudzić palców.

Funkcjonariusz podał mu chustkę.

– To nie wystarczy. Chcę umyć sobie ręce.

Mundurowy albo nie rozumiał po angielsku, albo dostał polecenie, żeby nie rozmawiać z zatrzymanym.

Mężczyzna obszedł stół naokoło i szturchnięciem w bok dał Włochowi znak, że ma się podnieść. Wąskim korytarzem, po którego obu stronach znajdowały się masywne drzwi z judaszami, zaprowadził go do celi. Pomieszczenie miało może trzy metry na dwa, a w środku tłoczyło się siedem osób. Smród, jaki od razu uderzył Manzana, pozbawił go oddechu. Policjant wepchnął go bez słowa za próg i zamknął za nim drzwi. Włoch tkwił w miejscu, usiłując zapanować nad odruchem wymiotnym. Obrzyganie obecnych nie byłoby najlepszym początkiem.

Siedmiu mężczyzn w różnym wieku zlustrowało go zmęczonym wzrokiem. Wszyscy, podobnie jak Manzano, mieli zarośnięte twarze. Przez zaciśnięte zęby wciągnął powietrze, oparł się plecami o drzwi i osunął się po nich na posadzkę.

– *I am Piero Manzano* – oznajmił.

Dwóch z mężczyzn skinęło ku niemu głową, inni nie zwracali sobie nim głowy.

Siedzieli tak przez jakiś czas w milczeniu, po czym Manzano spytał, czy któryś z obecnych mówi po angielsku albo po włosku.

– Po angielsku – odpowiedział jeden z młodszych. – Jak się pan tu znalazł?

– To długa historia – westchnął.

– Czasu nam nie brakuje – odparł tamten.

– Ale zainteresowania – odezwał się ktoś starszy gardłowym głosem. – Zamknijcie się!

Manzano zaklął w duchu. Wiele wskazywało na to, że natrafił na ważny trop prowadzący do sprawców katastrofy, ale zamiast zbadać go do końca, musiał tracić czas w zasmrodzonej celi. Żałował też, że przed wyprowadzeniem przez policjantów zamknął tamtą stronę i zatarł na swoim komputerze najoczywistsze ślady. Gdyby nie to, może Angström udałoby się przekazać to jego odkrycie policji.

– Czy jak zacznę krzyczeć, to usłyszą mnie na zewnątrz? – Manzano spytał chłopaka.

– Jak ktoś rozrabia, to przychodzą i sprawdzają, co się dzieje. Czasami.

– Co to w ogóle za cele? – spytał Włoch. – Na dobrą sprawę każda nadaje się co najwyżej dla jednej osoby.

– To izba wytrzeźwień – usłyszał w odpowiedzi. – Ale teraz wpychają tu ludzi złapanych na tym, jak próbowali zorganizować sobie coś do jedzenia albo do picia. – Wzruszył ramionami.

– Podobno co wieczór wszyscy przewożeni są do centralnego więzienia.

– Już jest wieczór.

Manzano poczuł, jak za jego plecami otwierają się drzwi. Zdążył złapać równowagę i spojrzał w górę. Kiedy zobaczył policjanta, odsunął się na bok. Funkcjonariusz trzymał broń na wysokości piersi, za nim stał jeszcze jeden mundurowy z karabinem.

Warknął jakiś rozkaz, na co pozostali osadzeni wstali i przycisnęli się obok Włocha.

Na korytarzu czekali już w dwóch rzędach lokatorzy wszystkich pozostałych cel. Po lewej krótszy szereg kobiet, po prawej – dłuższy mężczyzn. Na samym przedzie dostrzegł Shannon i

Angström. Miał wyrzuty sumienia, że wciągnął Szwedkę w cały ten kram.

Któryś z funkcjonariuszy wrzasnął na cały głos coś, czego Manzano nie zrozumiał; wszyscy ruszyli przed siebie.

Przed budynkiem kobiety zapakowano do niedużego busa, mężczyzn – do większego z zakratowanymi oknami. Eskortowało ich czterech uzbrojonych policjantów. Pod siedzeniami znajdowały się pręty z kajdankami, w które musieli wsunąć swoje nogi. Policjanci sprawdzili wszystkich po kolei i zamknęli kajdanki na klucz.

Traktują mnie jak ciężkiego przestępcę, pomyślał Manzano. Przez zakratowane szyby wpatrywał się w ciemność. Jedyne samochody, jakie widział na ulicy, to opancerzone pojazdy wojskowe, a na chodnikach oprócz żołnierzy chodzących dwójkami nie było żywej duszy. Na hełmach mieli lampki. Jak w jakimś filmie katastroficznym, pomyślał. W przyszłości będę oglądał wyłącznie kliwne romanse. O ile w ogóle jest jakaś przyszłość.

Pod Norymbergą

Reflektory śmigłowca oświetliły jakąś szopkę pośrodku łąki. Mogła mieć pięć metrów na pięć, oszacował Hartlandt. Pilot posadził maszynę kilka metrów obok chałupki. Gdy płozy znalazły się tuż nad ziemią, Hartlandt i ludzie z GSG 9 wyskoczyli na zimno. Pochyleni biegli spod trzepoczącego śmigła w stronę domku.

Silnik śmigłowca pracował coraz wolniej, przycichał. Członkowie jednostki specjalnej ostrożnie przedzierali się przez ostatnie metry. Przez szparę pod drzwiami wsunęli miniaturową kamerkę z oświetleniem. Na monitorze ukazującym obrazy z kamery Hartlandt ujrzał puste wnętrze, jedynie na podłodze leżało trochę słomy. Policjant zdalnie sterujący sondą skierował ją na drzwi od środka i sprawdził je dokładnie.

– Czysto – potwierdził w końcu.

Dwóch funkcjonariuszy wyważyło drzwi łomem. Kolejni, którzy weszli za nimi, oświetlili wnętrze mocnymi lampami. Chatka była pusta. Nogami zgarnęli na bok cienką warstwę słomy. Jeden z policjantów tupnął mocniej.

– Pod spodem coś jest.

Szybko znaleźli wąskie szczeliny przy klapie wpuszczonej w podłogę.

Policjant obsługujący sondę z kamerą znowu zabrał się do roboty.

Gdy tylko spuścił na dół małe mobilne oko, Hartlandt od razu rozpoznał pakiety w białej plastikowej folii po lewej stronie i kanistry po prawej. Między nimi leżały trzy zestawy konserw owinięte przezrystą taśmą. Kamera badała dokładnie każdy szczegół, również zamek pod klapą.

Kamerzysta dał znak, że wszystko jest okej, po czym wyważyli klapę. Dwaj z funkcjonariuszy przyklękli, ostrożnie rozcięli białą folię i zbadali zawartość.

– Materiał wybuchowy – powiedział jeden z nich. – Nieoznakowany. Analiza wykaże, co to jest dokładnie.

W kanistrach była ropa.

– Materiał wybuchowy, paliwo i żywność – stwierdził na koniec dowódca. – Nic więcej tu nie ma.

– Znowu żadnego telefonu ani nadajnika – dodał Hartlandt.

– Czyli w drodze byli zdani tylko na siebie. Ten trop tutaj na razie się urywa.

Bruksela

Autobus zatrzymał się przed prawie nieoświetlonym budynkiem. Otworzyła się potężna metalowa brama, pojazd wjechał na duży dziedziniec. Po chwili dołączył do niego także transport kobiet. Naokoło stały cztery trzypiętrowe skrzydła, których fasady oblane były słabym żółtawym światłem rzucanym przez umieszczone w równych odstępach nieliczne lampy. Bus z kobietami skręcił na lewo, z mężczyznami skierował się na wprost i przejechał pod wysokim łukiem kolejnej bramy. Za nim czekał na nich kordon uzbrojonych policjantów. Eskortujący ich funkcjonariusze odpięli kajdany, wrzasnęli coś do uwięzionych, na co wszyscy jak jeden mąż wstali, a Manzano zrobił to co reszta. Opuścili autobus i zostali poprowadzeni długim przejściem. Na jego końcu czekali kolejni mundurowi przed wysokimi wahadłowymi drzwiami. Gdy dwaj z nich je otworzyli, ukazała się ogromna ponura sala, z której buchnął potworny smród.

Wszystkich wepchnięto do środka i drzwi zatrzasnęły się z powrotem z metalicznym odgłosem.

Pod sufitem paliły się cztery jarzeniowe lampy, dwie wciąż migotały. Światło było zbyt słabe, by oświetlić wszystkie kąty sali. Manzano dostrzegł zarysy piętrowych metalowych łóżek, których rzędy szczelnie wypełniały całe pomieszczenie. Między nimi i na posłaniach roilo się od ludzi. Musiały być ich setki. Ja nie chcę tu być, pomyślał.

Z grupą nowo przybyłych tkwił nieruchomo przy drzwiach i czekał, co się wydarzy. Strażnicy więzienni nie dali im żadnych poleceń ani nie przydzielili miejsc. Paru mężczyzn przycupniętych na podłodze przed stojącymi najbliższymi łóżkami zagadnęło do nich wrogo.

Manzano wprawdzie ich nie rozumiał, ale po gestach domyślił się, że najlepiej będzie, jeśli zostaną tam, gdzie stoją.

– Nie ma wolnych łóżek – szepnął mu po angielsku młody mężczyzna z izby wytrzeźwień.

Jeden z ich grupy wdał się w rozmowę, chłopak obok tłumaczył Włochowi, co najważniejsze.

– Ewakuowano tutaj więźniów z kilku brukselskich więzień. Wszystkie cele są przepełnione. To jest właściwie sala gimnastyczna – wyjaśniał. – Siedzą tu różni kryminaliści. Od kieszonkowych złodziei, przez przestępców gospodarczych, po wielokrotnych morderców. Mamy zachowywać się spokojnie i robić, co nam każą.

Jeszcze kiedy mówił, z przejścia między łóżkami wyszła grupa facetów, którzy ani trochę nie podobali się Manzanowi. Każdy z nich był co najmniej jego wzrostu i wyraźnie spędzał czas głównie na podnoszeniu ciężarów. Kiedy podeszli bliżej, zobaczył tatuaże pokrywające ich ręce, ramiona, szyję i nawet część twarzy oraz ogolonych na łyso czaszek. Pozostali więźniowie wycofali się między łóżka.

Najwyższy i najbardziej muskularny gość z całej grupy, prawdopodobnie ich herszt, podszedł do stojącego najbardziej z przodu nowego i o coś go spytał. Ten, mniej więcej w wieku Manzana, tylko trochę niższy i z małym brzuszkiem, zrobił krok do tyłu. Góra mięśni powtórzyła swoje pytanie, spytany odpowiedział wystraszony, chyba czemuś zaprzeczył. Herszt uderzył go tak mocno w twarz, że biedak aż się zatoczył na stojących za jego plecami. Z płaczem pozbierał się jakoś i wyprostował, trzymając rękę na krwawiącym policzku. Wytatuowany dał znak i podczas gdy dwaj z jego ludzi chwycili pobitego i trzymali go jak w kleszczach, on sam zaczął przeszukiwać mu kieszenie. Kiedy nic nie znalazł, odpiął mężczyźnie pasek i spuścił mu spodnie. Pomocnicy, którzy wciąż nie zwolnili uchwytu, obrócili go tyłem, a gdy biedak zaczął krzyczeć, byczy kark wymierzył mu potężnego kopniaka. Kopnięty, nie mogąc złapać tchu, zamilkł. Wtedy mięśniak złapał go za pośladki i rozciągnął je na boki. Jeden z pomocników zaświecił latarką w odbyty zawodzącego mężczyzny. Herszt bandy wetknął do środka krótki kij, ofiara wydała z

siebie bulgoczący krzyk, na co tamten puścił go wreszcie, ale jeszcze raz kopnął go między nogi, a pomocnicy przewrócili go na podłogę, gdzie leżał skulony jak dziecko, cicho szlochając. Wytatuowany schwytał następnego za szyję. Manzano miał wrażenie, że poczuł ucisk jego łapsk na własnej krtani.

Ten parszywy drań wydzierał się na nich wszystkich. Włoch nie rozumiał, o co chodzi. Widział tylko, że niektórzy z nowo przybyłych lękliwie kręcą głowami, poklepują się po kieszeniach kurtek, wywracają na drugą stronę kieszenie spodni. Manzano zrobił to samo, aby pokazać, że nic nie ma.

Pozostali wytatuowani ustawili się w taki sposób, że utworzyli krótki szpaler, przez który ich herszt popychał teraz tego, którego trzymał za gardło. Wśród poszturchiwań, kopniaków i śmiechu przeszukiwali go w taki sam sposób, jak przed chwilą robił to przywódca całej bandy, oszczędzono mu jedynie finalnej penetracji. Ze spodniami opuszczonymi do kostek mężczyzna został wreszcie wypchnięty ze szpaleru. Manzano zauważył, że niektórzy z więźniów spod ściany próbowali czmychnąć na bok. Ale tam czekali już na nich kolejni napakowani pomocnicy i od razu zaganiali ich z powrotem. Zamknął oczy i zadał sobie pytanie, czy każdy z nich będzie musiał przejść przez taką torturę. Bolała go noga, był cały mokry od potu, kręciło mu się w głowie. Właściwie to chyba nawet wolałby stracić przytomność, żeby nie musieć oglądać tego, co go czeka. Pokuśtykał w stronę pobitego, przyklęknął przy nim i powiedział po angielsku:

– Pomogę panu.

Podciągnął mu spodnie, mimo że mężczyzna się bronił, bojąc się, że znowu ktoś będzie się nad nim znęcał. Manzano przemawiał do niego łagodnie. Jeszcze ktoś inny z ich grupy pochylił się nad biedakiem i też próbował mu pomóc.

Herszt bandziorów capnął Manzana za kołnierz i cisnął nim wysoko jak zabawką. Wydarł się na niego i roześmiał się szyderczo. Włoch zrozumiał jedynie „Samarytanin”. Wtedy tamten odkrył ranę na jego czole, uderzył w nią otwartą dłońią i spytał o coś.

– *Sorry, I don't understand you* – odpowiedział Manzano, starając się nie pokazać bólu.

Jego przeciwnik popatrzył zaskoczony, odwrócił się do kompanów, którzy przerwali poszukiwania, i coś wrzasnął. Tamci wybuchnęli śmiechem.

– *I have nothing* – odezwał się znowu Manzano, pokazując wywrócone na lewą stronę kieszenie spodni.

Mięśniak pchnął Manzana między swoich ludzi, którzy od razu rozpoczęli wiadomą procedurę. Kiedy jeden z nich ściągnął mu spodnie i mocno uderzył w chorą nogę, Włoch złożył się jak scyzoryk. Ale pozostali chwycili go znowu i szarpnęli do góry. Wtedy zobaczyli bandaż, na którym rozlewała się czerwona plama.

– *What is that?* – spytał któryś.

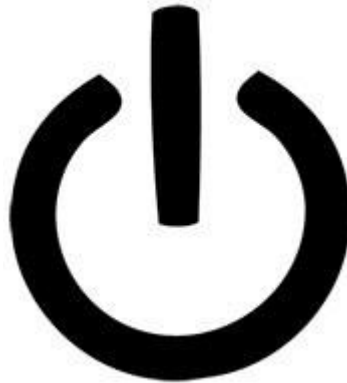
– *Police shot me* – odpowiedział Manzano.

Bandzior wbił w niego wzrok, popchnął przed siebie, ale nie tak brutalnie jak poprzednio. Potem dał mu znak, że może odejść. Niezaczepiany przez pozostałych Manzano pokuśtykał na bok.

Podczas gdy banda łobuzów dalej maltretowała innych nowo przybyłych, Włoch poszukał sobie wolnego skrawka miejsca na podłodze. Bolała go noga, czuł się zmęczony i rozbity, nie mógł spokojnie myśleć o Angström i Shannon – miał nadzieję, że na kobiecym oddziale obchodzono się z uwięzionymi mniej brutalnie. Przez chwilę przemknęło mu także przez głowę, czyby nie zorganizować oporu przeciwko temu terrorowi, ostatecznie kilkuset mężczyzn mogłoby się przeciwstawić tuzinowi mięśniaków. Musiał jednak przyznać się sam przed sobą, że za bardzo się boi, bo zanim on zdąży namówić wystarczającą grupę ochotników, tamci siepacze na pewno już się zorientują. W ostatnich dniach chyba za często odgrywał bohatera. Wystarczy

mu rana postrzałowa. Daruje sobie wybite zęby czy połamane nogi i ręce. Siedział więc cicho, snując jedynie odważne wizje, co by zrobił tym bandzirom, gdyby tylko miał taką możliwość.

Dzień 10. – Poniedziałek



Bruksela

Manzana obudziły krzyki i zanim jeszcze zdążył otworzyć oczy, poczuł dziwny zapach, który przebijał się nawet przez potworny fetor wypełniający pomieszczenie.

Pali się.

W panice zerwał się na równe nogi między piętrowymi łózkami i od razu zobaczył płomień buchające na wysokość człowieka pośrodku sali. Czarny dym sięgał sufitu i kłębił się pod nim.

Wielu więźniów cofnęło się pod ściany, spory tłum oblegał drzwi, inni szaleli wkoło ognia, krzyczeli, rzucali w płomień materace. Manzano nie potrafił stwierdzić czy chcieli je ugasić, czy podsycić nimi pożar.

Dym robił się coraz gęstszy, powoli opadał spod sufitu.

Okna znajdowały się na wysokości około sześciu metrów nad ziemią i były tak wąskie, że nawet gdyby ktoś się tam dostał, i tak by się przez nie przecisnął.

Coraz więcej więźniów napierało na wielkie drzwi, niektórzy rzucili się też do mniejszych, które Manzano zauważył dopiero teraz, wołali o pomoc, walili w nie pięściami, próbowali staranować metalowymi konstrukcjami łóżek albo jakoś wyważyć.

Dym drapał go w gardle, wszyscy wkoło kaszleli, zasłaniali sobie usta i nosy chustkami albo jakimiś ubraniami.

Niektórzy zaczęli ustawiać piramidy z łóżek pod oknami i w końcu do nich dosięgnęli. Wybili szyby i za wszelką cenę usiłowali wydostać się na zewnątrz, ale na próżno. Wrzeszczeli o pomoc, aż wreszcie także te ich piramidy zniknęły w płomieniach, gdy podpalacze rzucili na łóżka płonące kawałki materiału.

Manzano przywarł do ściany i oczami łzawiącymi od dymu obserwował w osłupieniu ten chaos. Ścisk pod drzwiami stawał się coraz większy, więc wołał trzymać się z boku, aby nie został uduszony lub stratowany w tłumie.

Padły strzały.

Nagle jedno skrzydło ogromnych drzwi się otworzyło, więźniowie zaczęli dziko przecie jeden przez drugiego, kolejne strzały nie zdołały zahamować piekielnego tumultu i wrzawy. Coraz więcej zdesperowanych mężczyzn próbowało tamtędy się wydostać, natrafiali jednak na opór, zatrzymywali się, za chwilę napierała następna fala i też była witana salwą z broni.

Nagle otworzyło się drugie skrzydło i mimo nieustających strzałów uwięzieni w środku ludzie wydostawali się tłumnie na zewnątrz. Dym w sali zgęstniał, bo ciąg powietrza między otwartymi drzwiami a powybijanymi szybami w oknach podsyczał ogień. Płomień obejmowały coraz więcej sąsiednich łóżek.

Fantastyczny wybór, pomyślał Manzano, udusić się, spłonąć żywcem albo dostać kulkę w łeb. Ale odgłosy wystrzałów zdawały się coraz radsze i jakby dochodziły z większej odległości. W czarnych kłębach dymu podpełzł na czworakach do wyjścia, zostawił ostatnich tańczących wokół ognia szaleńców za sobą.

Pod drzwiami leżały w kałużach krwi dziesiątki rannych albo martwych mężczyzn, nikt się nimi nie przejmował. Manzano minął dwa nieruchome ciała w mundurach. Czy więźniowie zabili policjantów i wydarli im broń? Skryty w tłumie dotarł do wejścia na ogromny dziedziniec. W bramie zwieńczonej łukiem przycupnęło kilku mężczyzn z bronią wycelowaną na zewnątrz; oddawali strzały. Syreny nawracającymi falami zagłuszały zgiełk.

Manzano osunął się na ziemię, rozejrzał się wokół siebie. Nie miał gdzie uciekać. To była jedyna droga. Mógł jedynie odczekać w tym zamieszaniu, aż wszystko minie.

Uzbrojeni więźniowie odważyli się wyrwać do przodu, strzelając dziko na wszystkie

strony; puścili się pędem przez dziedziniec, jeden został trafiony, zachwiał się, upadł, inny, kulejąc i potykając się, parł dalej naprzód, jednak też się przewrócił i już nie wstał. Ich broń chwycili inni i ruszyli z miejsca, w którym tamci zostali zatrzymani.

Po drugiej stronie dziedzińca jakiś człowiek spadł z budynku. Manzano nie widział, czy to więzień, czy funkcjonariusz. Jeden z uciekinierów podbiegł do niego, chwycił jego broń i przycisnąwszy się do muru, wypalił.

Dym z płonącej sali dotarł aż do Manzana, dławił i nie pozwalał oddychać, palił w oczy. Włoch zasłonił sobie twarz zgiętym w łokciu ramieniem – nic nie pomogło. Musiał się stąd wydostać. Niestety, jedyna droga wiodła na dziedziniec, na którym nie było żadnych kryjówek, żadnej osłony, gdzie nadal ze wszystkich stron świstały kule. Mimo wszystko się zdecydował. W każdej chwili spodziewał się najgorszego.

Berlin

– Chciałbym w końcu usłyszeć jednoznacznie, co dzieje się w Philippsburgu – zażądał kanclerz.

Na liście Michelsen również dzisiaj nie było żadnego pozytywnego wpisu. Zewsząd dochodziły hiobowe wieści. Ich kulminację stanowiły doniesienia z Philippsburga i dyskusja, która potem nastąpiła.

– Robimy, co w naszej mocy – zapewniała przedstawicielka Ministerstwa Środowiska. – Ale łączność nadal jest szczątkowa. Nie jesteśmy na bieżąco informowani o sytuacji ani przez władze krajowe, ani przez Międzynarodową Agencję Energii Atomowej. Według doniesień sprzed godziny z elektrowni wydostały się niewielkie ilości radioaktywnej pary. Już wczoraj skierowano apel do ludności zamieszkałej w promieniu pięciu kilometrów o nieopuszczanie domów i obozów tymczasowych.

– A czy chociaż wszystkie pozostałe elektrownie atomowe mają wystarczające rezerwy paliwa? – warknął kanclerz.

Gdy urzędniczka z ministerstwa nie odpowiedziała od razu, Michelsen zdała sobie sprawę, że trzęsą się jej ręce.

– No więc? – dopytał kanclerz grobowym głosem.

– Zdaje się, że w elektrowni Brokdorf nad Łabą doszło do poważnego incydentu, ale nie znamy jeszcze szczegółów.

– Nie znamy jeszcze szczegółów? – Kanclerz Niemiec niemal eksplodował. – A co ci przekleci operatorzy w ogóle wiedzą? Nie mają pojęcia, kto wsadził im robaka do sieci, dlaczego ich elektrownie nie działają, kiedy znowu zaczną pracować, nic, absolutnie nic! Chcę widzieć prezesów operatorów Philippsburga i Brokdorfu, osobiście albo na ekranie. I to zaraz!

– Tak jest... zajmę się tym – wyjąkała zrugana pracownica ministerstwa.

Kanclerz przymknął oczy, po chwili otworzył je znowu.

– Przepraszam – zwrócił się do niej. – To nie pani wina. Mam nadzieję, że to wszystko?

Kobieta przygryzła wargi.

Kanclerz znowu opuścił powieki.

– No, proszę już powiedzieć.

– Francuska elektrownia Fessenheim nad Renem też zgłasza poważny incydent z powodu nieznanymi bliżej kłopotów z systemami awaryjnego chłodzenia. – Na mapie Europy rozwieszanej na ścianie wskazała punkt przy niemieckiej granicy blisko Stuttgartu. – Według Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej wypuszczono tam lekko radioaktywną parę. Zdaniem operatorów nie ma potrzeby ewakuacji. Na razie. Plan przewiduje strefę ochronną o promieniu dwudziestu pięciu kilometrów, czyli w normalnych okolicznościach znalazłoby się w niej około pół miliona ludzi, w tym Fryburg.

– Pół miliona... – jęknął kanclerz.

– No i jeszcze Temelín – uzupełniła urzędniczka. – Tam mogło dojść, jak w Saint-Laurent, do stopienia rdzenia. Czeskie władze przystąpiły już do ewakuacji. Ale ten obiekt znajduje się osiemdziesiąt kilometrów od niemieckiej granicy. Poza tym akurat teraz wiatr wieje z północnego zachodu, więc raczej w kierunku Austrii, a nie naszego kraju.

– Ale może zmienić kierunek – wtrącił kanclerz.

Kobieta nic na to nie powiedziała.

– Czy mamy kontakt z władzami czeskimi?

– Tak, stały.

– Są też jakieś dobre wiadomości?

– Inne elektrownie są stabilne – odrzekła przedstawicielka ministerstwa. – Według posiadanych informacji wszystkie oprócz Grohnde i Gundremmingen C dysponują rezerwami paliwa na co najmniej dwa tygodnie. Dostawa do dwóch wspomnianych jest już w drodze.

– Philippsburg, Brokdorf, Fessenheim, Temelín, Grohnde i Gundremmingen – wyliczył kanclerz. – Chcę co godzina dostawać raport o każdym z tych obiektów po kolei. I oczywiście natychmiast, jeśli tylko w którymś z nich sytuacja ulegnie zmianie.

Bruksela

Z głośnym kliknięciem drzwi celi się otworzyły. Angström zauważyła to pierwsza, bo jako jedyna nie próbowała wyglądać przez okno na dziedziniec.

Chwyciła Shannon za ramię.

– Otwierają! – krzyknęła i wyciągnęła Amerykankę na korytarz.

Tam zostały niemal przewrócone przez inne kobiety. Z całym tłumem dobiegły do klatki schodowej i zatrzymały się dopiero we wjeździe na dziedziniec. Strzelanina ustała. Ze skrzydeł dla mężczyzn setki więźniów płynęły ku wyjściu. Z większości okien buchały dym i płomień.

– Może lepiej poczekać, aż uciekną? – spytała Shannon. – Tłum pędzących w amoku facetów, wśród nich nie brakuje prawdziwych zbrodniarzy...

– Nie – rzuciła Angström. – W tym chaosie nikt nie zwróci na nas uwagi. Chodź!

Puściły się pędem. Szwedka modliła się, żeby strzelanina rzeczywiście skończyła się na dobre.

Bez żadnego uszczerbku dotarły do wielkiej bramy. Była otwarta. Na ulicy wszyscy uciekinierzy rozpiechli się w różne strony.

– Gdzie my jesteśmy? – spytała Shannon, biegnąc obok Angström.

– Na peryferiach miasta.

– I co teraz?

– Musimy spróbować dostać się do domu. Policja nie będzie nas tak szybko szukać. Ma teraz gorszych łobuzów do schwytania.

Haga

Hartlandt niezbyt dobrze rozumiał Bollarda przez telefon satelitarny. Wrócił do Ratingen, podczas gdy ludzie z GSG 9 penetrowali kolejne punkty zaopatrzeniowe sabotażystów.

– Zidentyfikowaliśmy tych mężczyzn – oznajmił. – Klasyczni najemnicy. Jeden z Afryki Południowej, jeden Rosjanin i jeden Ukrainiec. Są w bazach danych wielu służb śledczych. Jeden z nich pracował ostatnio dla Blackwater w Iraku, dwaj pozostali też, ale wcześniej.

– Da się przesłuchać tego, który przeżył? – spytał Bollard.

– Nie. Dostał dwanaście kul. Trzy tkwią w mózgu. Od niego nie dowiemy się już niczego.

– Ma pan coś jeszcze?

– Niedługo będę miał. W samochodzie znaleźliśmy mapę z zaznaczoną całą trasą, celami ataku i punktami zaopatrzeniowymi. Ale ani przy sabotażystach, ani w tych punktach nie znaleźliśmy żadnych środków łączności. Międzynarodowe służby wywiadowcze i służby narodowe sprawdzają teraz w różnych państwach najświeższą przeszłość tych trzech i ich sytuację finansową. Ja takim gościom płaciłbym w gotówce, ale kto wie... Jak to się mówi?
Follow the money.

Bruksela

Manzano kuśtykał przez ulice w tempie, na jakie pozwalała mu boląca noga. Z daleka słyszał syreny wozów operacyjnych. W ciągu pierwszych minut ucieczki jego krokami kierował czysty instynkt. Teraz powoli odzywał się też rozsądek. Przede wszystkim musi sobie znaleźć jakąś kryjówkę, a potem spróbować jakoś dostać się do internetu, żeby mógł dokładniej przyjrzeć się stronie RESET. Nie mógł przestać o tym myśleć. Zastanawiał się, dokąd mógłby pójść. Nie znał nikogo w tym mieście. Nikogo poza Sonją Angström. Czy kobietom też udało się uciec? Nie zwrócił na to uwagi.

Adres Szwedki miał cały czas w głowie, odkąd dała mu w Hadze swoją wizytówkę. Powinien kogoś spytać, jak tam trafić. I ewentualnie znaleźć jakiś środek transportu, jeśli jej mieszkanie leży daleko. Sprawdzał każdy rower przypięty łańcuchem do stojaków albo znaków drogowych. Po kilku próbach natrafił na taki, którego właściciel okazał się nieostrożny.

Haga

Podobnie jak dzień wcześniej Marie Bollard na próżno czekała w punkcie wydawania żywności na ciężarówkę z towarami. W którymś momencie również lichwiarze i szabrownicy uciekli w obawie przed coraz bardziej rozwścieczonym tłumem. Mówcy przemawiający z furją na placu zdołali wreszcie porwać zgromadzonych i przekonać do tego, że winni muszą zostać pociągnięci do odpowiedzialności, a za takich uważano przede wszystkim polityków. Ludzkie masy ociężale ruszyły przed siebie i przesuwwały się niepowstrzymanie niczym fala mułu po przerwaniu tamy. Przepelniona dziwną mieszaniną emocji – od fascynacji, przez gniew, do ciekawości – dała się porwać napierającej ciżbie i poszła ze wszystkimi aż do Binnenhofu, siedziby holenderskiego parlamentu.

Po drodze przez miasto nieustannie przyłączali się kolejni demonstranci. Paru policjantów próbowało zatrzymać skandujący tłum, ale zepchnięto ich na bok. Potężny wewnętrzny dziedzińiec parlamentarnego kompleksu nie mógł pomieścić tysięcy, które w końcu dotarły na miejsce. Mrowie ludzi wypełniało sąsiednie ulice, aż po siedzibę Drugiej Izby.

Marie Bollard ostatni raz uczestniczyła w demonstracji jeszcze jako studentka, i to tylko dlatego, żeby zrobić na złość rodzicom. Czuła się nieswojo wśród tych wszystkich rozwrzeszczanych, wzburzonych ludzi, a jednocześnie ów wielki, ciepły i poruszający się organizm zdający się wołać jednym głosem i oddychać jedną piersią, dawał jej swego rodzaju poczucie bezpieczeństwa. Zaniepokojona, a zarazem pełna odwagi czerpała z niego energię. Nie posunęła się do tego, żeby wykrzykiwać razem z innymi, pozostała opanowana, skupiona na tym, aby zachować dystans, nie mogła jednak nie zauważyć, że coraz trudniej się jej bronić przed dziką siłą nieposkromionych emocji. Niektórzy mieli ze sobą transparenty – pokryte napisami kawałki materiału rozpięte między kijami od szczotek. Ich okrzyki nie cichły, wręcz przeciwnie, zdawały się przybierać na sile. Jak fale wzburzonego morza zapowiadające potężny sztorm rozbijały się raz po raz o skały, sięgały coraz wyżej, były coraz bardziej rozszalałe.

Berlin

– Coraz więcej wskazuje na to, że za atakiem stoją Chiny – oświadczył z ekranu głównodowodzący NATO.

Za nim dawało się zauważyć nerwową krzątaninę w centrum dowodzenia sztabu kryzysowego Paktu.

– Ślady niektórych szkodliwych programów znalezione w systemach europejskich operatorów sieci prowadzą do adresów IP w Chinach.

– Ale prowadzą też na Tonga – wtrącił kanclerz Niemiec – a nie chce pan chyba przypisać winy za to wszystko maleńkiemu archipelagowi na południowym Pacyfiku?

– Serwery na Tonga i w innych krajach służyły atakującym tylko do zawołowania – odpowiedział cierpliwie generał.

– A skąd wiadomo, że w przypadku chińskich adresów IP nie mamy do czynienia z identycznym manewrem?

– Przeczy temu ich lokalizacja. Czy mówią coś panu nazwy: uniwersytet Jiao Tong w Szanghaju i szkoła Lanxiang? – Nie czekając na odpowiedź kanclerza czy kogokolwiek innego ze sztabu kryzysowego na to retoryczne pytanie, ciągnął: – Czy przypomina pan sobie ataki hakerów na Google i inne firmy amerykańskie, o których było głośno w mediach w 2010 i 2011? Dochodzeniowcy, między innymi z północnoamerykańskiej Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, doszli odkrytym wówczas tropem właśnie do tych dwóch chińskich placówek edukacyjnych. Jedna z nich kształci informatyków dla armii. Dlaczego wydaje się to tak bardzo interesujące, najlepiej wyjaśni państwu Jack Guitierrez, ekspert United States Cyber Command. Proszę, Jack!

W mniejszym oknie ekranu pojawił się mężczyzna o krótko obciętych włosach i w okularach w drucianych oprawkach.

– Reżimy takie jak Rosja czy Chiny stosują przy tego rodzaju atakach inne strategie niż Stany Zjednoczone lub NATO – zaczął wyjaśniać. – U nas używa się w tym celu specjalnych jednostek armii lub służb wywiadowczych. Natomiast Chiny czy Rosja wolą posługiwać się w takich przypadkach rzekomo ochotniczymi „hakerami-patriotami”. Jako przykład można podać rosyjską akcję przeciw Estonii w 2007 roku. Ataki typu Denial of Service zablokowały strony internetowe estońskich partii, mediów, urzędów państwowych, banków i numerów alarmowych. Z opanowanych komputerów na będące celem ataku strony wysłano tyle zapytań, że pod ich zalewem serwery w końcu padły. Przez kilka dni nie było możliwe wypłacanie pensji i opłacanie rachunków. Kraj uległ całkowitemu paraliżowi, choć nie oddano ani jednego strzału, nie zrzucono ani jednej bomby. Z dzisiejszej perspektywy można chyba uznać tamto wydarzenie za pierwszą wojnę przeprowadzoną za pośrednictwem internetu. Przez długi czas nie wiedziano, kto się za tym kryje. W 2009 młodzieżowa organizacja Kremla Naszi przyznała się do sabotażu. I na tym właśnie polega problem. Bo nawet gdybyśmy wiedzieli wtedy od razu, kto stoi za zamachem na członka NATO, Rosja i tak wykręciłaby się bajeczką o paru młodzieńcach o rozpalonych głowach działających w patriotycznym amoku. A że są oni tylko kamuflażem dla armii i tajnych służb, to trzeba dopiero umieć udowodnić.

– No cóż – bąknęła Michelsen. – Dowody można szybko znaleźć, jeśli są potrzebne. Wystarczy pomyśleć o rzekomym powodzie wojny w Iraku...

Generał jej nie usłyszał, ale minister obrony rzucił w jej stronę druzgocące spojrzenie.

– Wprawdzie wszczynano wojny z różnych błahych motywów, ale żeby z przyczyny kilku podrostków?

– Chiny co najmniej od dziesięciu lat intensywnie infiltrują systemy IT państw i firm

zachodnich. Proszę przypomnieć sobie trojana, który już w 2007 roku znalazł się w komputerach Urzędu Kanclerskiego i niemieckich ministerstw. To samo stało się w Białym Domu w 2008, w firmach energetycznych i paliwowych w 2009. Mógłbym tak wyliczać bez końca.

– Ale nadal zagadką pozostaje dla mnie motyw – wtrącił minister spraw wewnętrznych. – Już nieraz dyskutowaliśmy na ten temat. Przecież światowa gospodarka od długiego czasu jest tak spleciona wzajemnymi zależnościami, że zniszczenie Europy i Stanów Zjednoczonych miałyby katastrofalne skutki także dla reszty świata.

– Chiny stoją w obliczu mnóstwa problemów. Nierówność społeczna, niezbędne przekształcenie gospodarki, kwestia starzenia się społeczeństwa w następstwie długotrwałej polityki jednego dziecka w rodzinie. Partia komunistyczna walczy na wielu frontach, a jak wszyscy doskonale wiemy, wspólny wróg to doskonały sposób, by odwrócić uwagę od wszystkich bolączek. A takiego wspólnego wroga najchętniej znajduje się poza własnymi granicami, w wojnie. – Po raz pierwszy od rozpoczęcia tej dyskusji generał poruszył czymś więcej niż tylko własnymi ustami. Pochylił się nieco do przodu, bliżej kamery.

– Widzi pan, szanowny panie kanclerzu, ja jestem wojskowym starej daty. Pierwsze lata swojej służby spędziłem w leopardzie. Ale również ja pojąłem, że wojny przyszłości nie będą koniecznie potrzebowały broni, czołgów czy odrzutowców bojowych, tylko będą przebiegać mniej więcej tak, jak właśnie obserwujemy. Nie możemy; więcej: nie wolno nam czekać na to, aż ktoś wystrzeli pierwszy pocisk albo zrzuci na któreś z naszych miast pierwszą bombę. Wróg tego nie uczyni, bo wcale nie musi. Dlaczego miałby wysyłać swoich żołnierzy na grad naszych kul i dział, jeśli równie dobrze może nas zniszczyć, siedząc sobie wygodnie za biurkiem dziesięć tysięcy kilometrów stąd? Rozumieją państwo? Pierwszy ruch został wykonany! Przeciwnik nie potrzebuje nawet broni atomowej. Bo to my sami doprowadzimy do eksplozji jądrowych. Pierwsza spustoszyła już sporą część Francji. Kolejne są jedynie kwestią czasu. Ale jeśli teraz zareagujemy, może zdołamy im zapobiec.

– Nasze przeciwuderzenie zniszczy obiekty, zabije ludzi w Chinach, ale bynajmniej nam nie zagwarantuje, że w naszych domach znowu popłynie prąd – wtrącił minister spraw wewnętrznych.

– Ale przynajmniej zmusi przeciwnika do zakończenia ataku na nas – włączył się do dyskusji minister obrony.

– Albo raczej do kontrataku – nie zgodził się minister spraw wewnętrznych.

– Stany Zjednoczone i NATO w 2011 roku ustaliły wspólną strategię w takich sytuacjach. Ataki na infrastrukturę informatyczną są uznawane za akt o charakterze wojennym. I uprawniają nas do odwetu przy użyciu broni konwencjonalnej lub cyfrowej.

Ponownie odchylił się nieco do tyłu, aby pewnie nie sprawiać zbyt wojowniczego wrażenia, jak oceniła Michelsen.

– Nie musimy od razu wysyłać na Pekin rakiet z głowicami nuklearnymi – wyjaśnił. – My też potrafimy prowadzić wojnę w sposób nowoczesny. W pierwszej fazie nasza reakcja mogłaby mieć podobną postać, czyli doprowadzić do wyłączenia prądu w kilku ważnych metropoliach.

– A kto by to potrafił? – spytał minister spraw wewnętrznych.

– Sądzi pan, że zachodnie armie przez ostatnie lata spały? – spytał generał. – Szanghaj, Pekin. – Pstryknął palcami. – Dajcie nam tylko zgodę, a w ciągu kilku sekund także tam nic nie będzie działało.

Michelsen widziała po twarzach obecnych, że usłyszana deklaracja zrobiła jednak na nich wrażenie.

– Powtarzam jeszcze raz, panie kanclerzu – dodał z naciskiem. – W tym konflikcie nie ma jednoznacznych poszlak. Ale jeśli wyjdzie pan przed drzwi, przekona się pan, że jednak do nas

wypalono. I ciężko nas zraniono. Odpowiedzmy zatem, zanim się wykrwawimy.

Bruksela

Angström zostawiła skradziony rower przed czteropiętrową czynszową kamienicą, Shannon oparła swój obok.

Szwedka mieszkała na najwyższym piętrze. Gdy tylko znalazły się w mieszkaniu, właścicielka zamknęła drzwi na wszystkie cztery zamki.

Obie wyglądały przerażająco. Zakopcone, spocone, ze zmierzwionymi włosami.

– Chodź – rzuciła Angström. W łazience podała Amerykance kilka pojedynczych chusteczek odświeżających. – To musi ci wystarczyć, przykro mi.

Shannon oczyściła się jako tako. Przynajmniej zdołała usunąć warstwę sadzy z twarzy i dłoni. Nawet została jej jedna chusteczka na przetarcie szyi i pod pachami.

W kuchni Angström otworzyła opakowanie chleba, postawiła na stole miód i jedną butelkę wody.

– Mam jeszcze jakąś konserwę z wołowiną, jeśli masz ochotę na mięso na śniadanie – zaproponowała gościowi.

– Dzięki, wystarczy to.

– Poznałeś Piera w Hadze?

Shannon opowiedziała całą historię, jak szukała Bollarda i przez przypadek natknęła się na Manzana. Ponieważ nadal odnosiła wrażenie, że Angström interesuje się Włochem, przemilczała, że dzieliła z nim pokój.

– A potem znaleźliście się w Niemczech?

Shannon zastanowiła się, ile może zdradzić Sonji. Zdecydowała się na łagodny wariant. Niech lepiej Manzano opowie jej kiedyś całą prawdę, jeśli ona nadal będzie chciała ją poznać.

– Ale nie do końca rozumiem, dlaczego musieliście uciekać? – przyznała Angström, kiedy Amerykanka już skończyła.

– Tak czy owak, teraz jesteśmy tutaj. Myślisz, że policja nie będzie nas tu szukać?

– Sama widziałas, jakie tłumy wydostały się z więzienia. W tym niejeden morderca.

Dlaczego mieliby przyjść akurat do mnie?

Przez chwilę jadły w milczeniu.

– Co się wydarzyło w ostatnich dniach? – spytała w końcu Shannon. – Przypuszczam, że masz dosyć dobry ogląd ogólnej sytuacji.

– Czyli natura dziennikarki nie śpi?

Shannon wzruszyła ramionami.

– Przed kamerą na razie i tak nie stanę. A jeśli nawet, to kto by to oglądał?

– Wcale nie mamy pełnego oglądu sytuacji – zaczęła Angström. – Większość środków komunikacji nie działa. Nie ma telefonu, urzędowa łączność specjalna też szwankuje, trochę opieramy się na radioamatorach i radiowej łączności wojskowej, mamy parę telefonów satelitarnych. Zasadniczo opieramy się na komunikacji z narodowymi sztabami kryzysowymi, ale poszczególne państwa mają też szcątkową wiedzę na temat tego, co się u nich dzieje. Do sztabów docierają jedynie wrywkowe informacje i wszystkie bez wyjątku są złe. Czarny rynek kwitnie, oficjalne struktury i urzędy są zastępowane inicjatywami prywatnymi i strukturami równoległymi, policja i wojsko nie są już w stanie zapewnić publicznego bezpieczeństwa i porządku. Dochodzi do samosądów.

– W Niemczech natknęliśmy się na coś w rodzaju straży obywatelskiej.

– Ja też widziałam coś podobnego w Brukseli. Po Hiszpanii także w Portugalii i Grecji władzę przejęło wojsko. Wiele wskazuje na to, że we Francji doszło do potężnej awarii elektrowni atomowej, podobnie w Czechach. Kilkanaście innych obiektów w całej Europie

znajduje się w stanie krytycznym. W wielu krajach odnotowano mnóstwo wypadków w zakładach przemysłowych, głównie w fabrykach chemicznych, a ich następstwem była śmierć kilkudziesięciu, a w jednym wypadku nawet setek ludzi, oraz poważne zanieczyszczenie środowiska. Ale także tutaj nie mamy dokładnych danych. W części państw istnieją niewielkie obszary mające zaopatrzenie w prąd, ale sytuacja w nich nie jest wcale lepsza, ponieważ te małe enklawy są niemiłosiernie oblegane przez uciekinierów.

– A w Stanach Zjednoczonych?

– Masz tam rodzinę?

Shannon skinęła głową.

– Nie jest wcale lepiej. Co najmniej w dwóch elektrowniach atomowych doszło już do niebezpiecznych awarii, z trzech innych nie dostajemy żadnych rzetelnych informacji, co nie oznacza nic dobrego. Poza tym ten sam dramat, tylko przesunięty o kilka dni w czasie. Całkowite załamanie zaopatrzenia w żywność, w wodę, brak opieki medycznej. Wypadki w fabrykach, identyczna katastrofa. Podobno już teraz dochodzi do poważnych wykroczeń i przestępstw, zwłaszcza w regionach, gdzie dominuje ludność upośledzona socjalnie.

Rozległo się pukanie do drzwi.

Shannon serce podeszło do gardła.

– Kto to? – szepnęła.

– Nie mam pojęcia – odpowiedziała jej również szeptem Angström. – Może sąsiadka.

– Policja?

– Raczej by nie pukała...

Paryż

– Wyśpisz się po śmierci.

Blanchard uważał to powiedzonko za idiotyczne. Nie spał już od wielu dni, a śmierci był coraz bliższy.

– Komputery w centrum zawiadującym siecią zaprogramowaliśmy prawie wszystkie od nowa – oświadczył stojącemu przed nim Tollému, sekretarzowi prezydenta Francji, w niepojęty sposób wyglądającemu wciąż jak model z eleganckiego magazynu dla mężczyzn i nierozsiewającemu wokół siebie nieprzyjemnego zapachu.

Na wielu monitorach Centre National d'Exploitation Système zamiast niebieskiego tła znowu świeciły szeregi cyfr i diagramy. Na ogromnej tablicy na ścianie około osiemdziesięciu procent zaopatrywanego obszaru było niezmiennie zaznaczone na czerwono, gdzieś gdzieś widniały żółte plamy, reszta była zielona.

– Czy to znaczy – spytał Tollé – że jesteście znowu w stanie kontrolować przesył energii w sieciach?

– W zasadzie tak – odpowiedział mu Proctet. – Również większość serwerów, które sterują ruchem w sieci, udało się nam na nowo uruchomić. Od jutra rana zaczniemy tworzyć pierwsze małe sieci. Jeśli się to powiedzie, będziemy kontynuować prace przez cały dzień.

– Co znaczy „jeśli się powiedzie”? Przewiduje pan jakieś trudności?

– Wszystkie systemy i procesy są bardzo złożonej natury. I zależą od różnych okoliczności.

– Czy możemy jakoś pomóc? Proszę tylko powiedzieć.

– Obawiam się – odpowiedział Blanchard – że nie jest pan w stanie udostępnić nam niezbędnych urządzeń ani pomóc w podniesieniu sieci szybko i w niezakłócony sposób, co jest konieczne, ponieważ elektrownie w tej wstępnej fazie pracują przy niekorzystnych dla nich parametrach i mogą je wytrzymać tylko przez kilka godzin. Oprócz tego niezwykle trudno jest stwierdzić, ilu odbiorców w takiej sytuacji można rzeczywiście przyłączyć, aby móc utrzymać stabilną częstotliwość. Może dojść do automatycznych wyłączeń bezpieczeństwa. Chce pan wiedzieć jeszcze więcej? Mówiąc krótko: to nie jest takie proste, a pan niestety nie jest nam w stanie w niczym pomóc.

Tollé skinął głową, jakby wszystko zrozumiał, tylko nie miał już nic do powiedzenia.

Blanchard upajał się tą chwilą, chętnie rzuciłby jeszcze więcej fachowych określeń, ale się opanował.

– W zależności od postępu już za dzień albo dwa będziemy mogli znowu zaopatrywać znaczne obszary kraju w prąd. Od większości operatorów europejskich wiemy, że też wkroczyli w podobne stadium. Co prawda nadal walczą z problemami w elektrowniach.

– W pierwszej kolejności muszą być aktywowane...

– ...regiony, w których znajdują się elektrownie atomowe Saint-Laurent, Tricastin, Fessenheim i Cattenom. Spróbujemy skupić się na nich być może już dzisiaj wieczorem.

– A zatem mogę poinformować pana prezydenta, że zaopatrzenie w prąd zostanie przywrócone?

– Proszę się tak nie spieszyć. Przede wszystkim nie należy niczego komunikować opinii publicznej, dopóki nie będziemy mogli wykazać się choćby pierwszym sukcesem.

– Nawet pan sobie nie wyobraża, jak bardzo prezydent chciałby już przekazać taką wiadomość społeczeństwu.

– Nie tylko on – rzekł Blanchard.

Haga

Kiedy w jednym końcu budynku parlamentu pokazały się pierwsze obłoki dymu, tłum krzyknął ekstatycznie. Z okien na pierwszym piętrze buchnęły płomienie, spowijając wkrótce tę część gmachu w gęstych szarych kłębach. Wśród ludzi stłoczonych na dziedzińcu zaczął się ruch – najpierw niespokojny, po chwili gorączkowy.

Marie Bollard stała ściśnięta na samym końcu placu, pośrodku którego wznosił się posąg Wilhelma I. Zgiełk osiągnął nową tonację. Zamiast rytmicznych, tętniących siłą haseł teraz panowała nerwowa kakofonia dźwięków przerywana ostrymi, przesyconymi strachem krzykami. Bollard czuła za plecami coraz mocniej napierające masy, ale okoliczne ulice były zbyt wąskie i zbyt zapchane, by mogły dla tylu osób naraz stanowić drogę szybkiej ucieczki. Mimo woli przez głowę przemknęły jej obrazy ogarniętego paniką tłumu, w którym ludzie ginęli pod nogami innych albo umierali wskutek uduszenia lub zmiżdżenia. Poczwała, jak panika ścisła ją za gardło. Mogła jedynie, niesiona prądem, posuwać się powoli razem z resztą. Jak to możliwe, że dała się tu porwać? Przecież jest potrzebna dzieciom!

Bruksela

– Muszę koniecznie wejść na tę stronę – powiedział Manzano.

Wyglądał już trochę lepiej niż jeszcze pół godziny temu. Kiedy Angström otworzyła drzwi, zobaczyła wlepione w nią podbiegłe krwią oczy błyskające z czarnej twarzy.

– Za każdym razem, kiedy cię widzę, wyglądasz gorzej niż ostatnio! – wymknęło się Szwedce.

Radość, że widzi go żywego, zdominowała złość, iż to przez niego miała za sobą najgorszą noc swojego życia.

Przyjechał do niej rowerem. Za pomocą kilku ostatnich chusteczek i pół butelki bezcennej wody oraz mydła udało im się obu doprowadzić go chociaż do takiego stanu, że już nie straszyl, jeśli nie zwracało się uwagi na czerwone oczy, na nowo pękniętą szramę na czole i kilka siniaków na twarzy, które, jak domyślała się Angström, zdobył na pewno ostatniej nocy.

Obie opowiedziały mu o swoim pobycie w więzieniu, o ciasnocie i katastrofalnych warunkach higienicznych, ale ich towarzyszkami były przynajmniej w miarę cywilizowanymi osobami. Wszyscy troje mogli jedynie zgadywać, co skłoniło personel więzienny do otworzenia cel. Prawdopodobnie strach przed odpowiedzialnością za śmierć w płomieniach setek więźniów.

– Jak się pewnie domyślasz, nie mam w domu internetu – powiedziała Angström.

– Ale ja muszę – upierał się Manzano.

Zachowywał się jak opętany maniacką obsesją. Może to przez przeżycia minionej nocy, pomyślała, albo przez brak snu. Migoczące świece na stole w kuchni dodatkowo pogłębiały to wrażenie.

– Która godzina? – Spojrzał na kuchenny zegar nad drzwiami.

Dochodziła szósta.

– Nie wiesz, czy gdzieś w pobliżu nie ma wysp z prądem, do których dałoby się jakoś dotrzeć?

– Nie. Nie ma żadnych w okolicy, najbliższa jest dobre sto pięćdziesiąt kilometrów stąd, w Niemczech. Przy czym to jest stan z przedwczoraj. Bardzo możliwe, że dzisiaj już nie istnieje. Zresztą jak byś się tam dostał?

Manzano wpatrywał się w nią uparcie, jego szczęki wciąż się poruszały.

– Wobec tego muszę koniecznie iść do ciebie do pracy.

Angström sądziła, że się przesłyszała.

Kiedy mu nie odpowiedziała, on ciągnął:

– Nie ma innej możliwości, żeby dokładnie sprawdzić tę stronę. Rozumiesz?

Niewykłuczone, że odkryliśmy platformę komunikacyjną zamachowców! Ja muszę to sprawdzić!

W swoim rozgorączkowaniu w ogóle nie dostrzegając, że na razie wzbudzał w niej tylko irytację.

– Niecałe dwadzieścia cztery godziny temu właśnie stamtąd zabrano nas do więzienia. A ty chcesz znowu się tam pchać?

– Muszę spróbować. Zrozumiem, jeśli obie nie chcecie mieć z tym nic wspólnego. Ale ja muszę się tam dostać. Jak mogę wejść do środka?

Angström pokręciła głową.

– Ty chyba zwariowałeś. Nijak. Bez legitymacji to niemożliwe.

– Nie ma szansy?

Centrum dowodzenia

Zdjęcia ukazały się najpierw na stronie internetowej japońskiego nadawcy. Jego korespondent w Hadze wysłał je przez satelitę. Holenderska siedziba parlamentu stała w płomieniach. To cieszy, zauważył jeden z jego sojuszników, Lekue Birabi. Przypominał sobie, jak poznał tego Nigeryjczyka podczas swoich studiów w brytyjskiej stolicy. Syn wodza plemiennego z delty Nigru pisał pracę doktorską w renomowanej londyńskiej School of Economics and Political Science. Od samego początku obaj poczuli do siebie sympatię. Birabi od młodych lat angażował się w działania przeciwko wyniszczającej eksploatacji delty Nigru przez rząd centralny i międzynarodowe koncerny naftowe. Po fikcyjnym procesie i egzekucji aktywisty Kena Saro-Wiwy przez rząd nigeryjski w połowie lat dziewięćdziesiątych, co wywołało oburzenie na całym świecie, znalazł się nawet na krótko w więzieniu, gdzie był torturowany. Jego rodzice zmarli podczas ataku konkurencyjnej grupy etnicznej finansowanej przez jeden z koncernów naftowych. Birabi zdołał uciec i dzięki stypendium mógł zacząć studiować.

Razem z Birabim i jeszcze kilkoma innymi zaczął nadawać konkretny kształt idei, która zrodziła się podczas długich nocnych dyskusji. W następnych latach dołączyli do nich kolejni. Osoby najróżniejszego pochodzenia, narodowości, z rozmaitych warstw społecznych i o różnym poziomie wykształcenia, obojga płci, zjednoczone tą samą wizją i tym samym celem. Wykonały właśnie pierwszy krok prowadzący do jego osiągnięcia. Obywatele w Europie i USA nie zadowalali się już dyskusjami, petycjami i demonstracjami. Po kilku dniach odrętwienia wywołanego szokiem i iluzji, że należy wspólnymi siłami utrzymać stary porządek na pokojowej drodze, teraz tym gwałtowniej dawali o sobie znać. Z Rzymu, Sofii, Londynu, Berlina i wielu innych miast europejskich korespondenci donosili o atakach na instytucje publiczne, jak ten w Hadze, nawet ze Stanów Zjednoczonych nadchodziły pierwsze podobne meldunki.

Skinął ku Birabiemu, który nie krył satysfakcji. To, co jeszcze kilka lat temu było jedynie konstrukcją myślową, stawało się rzeczywistością. Zaczęła się rebelia.

Haga

– Dzięki współpracy międzynarodowej uzyskaliśmy wiedzę o ewentualnych kompanach Jorge Pucao – poinformował Bollard zgromadzone gremium. – Udowodniono, że z sześcioma z nich był w kontakcie. Poza tym z analizy terminów lotów wynika, że w minionych latach wszyscy oni w tym samym czasie przebywali w tych samych miejscach.

Na ekranie pokazało się zdjęcie czarnoskórego Afrykańczyka.

– Jednym z nich był doktor Lekue Birabi z Nigerii. Jego szczegółową biografię znajdziecie w bazie danych. Ma wiele wspólnego z Jorge Pucao. Członek warstwy średniej na granicy z wyższą, z kraju rozwijającego się, zaangażowany politycznie, zwalczany przez panujący reżim, nadzwyczaj inteligentny, wykształcony na jednej z najlepszych na świecie uczelni wyższych, przeżył rodzinny dramat. Wydał wiele publikacji, prowadził blogi w internecie. Komplet jego tekstów jest w bazie danych pod „Birabi_lit”. Co prawda jeszcze nie wszystkie zostały przeanalizowane, ale już w tej chwili można powiedzieć, że ich autor jest bardzo radykalny. W roku 2005 pisał, że „obecny system gospodarczo-polityczny cementuje istniejący układ sił. Ponieważ w minionych dziesięcioleciach wszelkie pokojowe próby reform podejmowane od wewnątrz nie przyniosły efektu, trzeba zastanowić się nad możliwością sanacji systemu przez brutalne zniszczenie go”. Również tutaj mamy paralelę do Pucao. Łączy go z nim także udział w wielu demonstracjach przeciwko G8, po raz pierwszy, podobnie jak tamten, w roku 2001 w Genewie.

Bollard pokazał teraz mapę świata, na której różne miejsca na kontynentach połączone były czerwonymi liniami. Przy każdej linii i przy każdej miejscowości znajdowały się różne kombinacje cyfr.

– To są udokumentowane podróże Jorge Pucao od 2007 roku.

Jednym kliknięciem pilota dodał do czerwonych linii niebieskie. W niektórych miejscach jedno i drugie się spotykały.

– A to są podróże Lekue Birabiego w tym samym czasie. Jak widać, ich celem były często te same miejsca na świecie. Ostatnio Birabi mieszkał w Stanach Zjednoczonych. Jednak jesienią 2011 znika. Od tamtej pory przepadł po nim wszelki ślad. Amerykanie sprawdzają teraz jego komputer, który zostawił. Właściciel mieszkania wynajmowanego przez Birabiego odstawił go do pomieszczenia gospodarczego. Wprawdzie jest starannie wyczyszczony, ale parę danych udało się zrekonstruować. Między innymi fragmenty jego korespondencji e-mailowej. Wynika z nich, że od roku 2007 Afrykańczyk był w żywym kontakcie z niejakim „Donkunem”, który, sądząc po adresach IP, znajdował się zazwyczaj tam, gdzie w tym samym czasie przebywał też Pucao. Poza tym natrafiono także na inne osoby na całym świecie świetnie pasujące do tego środowiska i prowadzące korespondencję z jednym z tych dwóch. Niektórzy z nich również zniknęli i im należy poświęcić szczególną uwagę. Na przykład Sitiemu Jusufowi z Indonezji, mniej więcej w tym samym wieku i o podobnym życiorysie co tamci dwaj. W czasie finansowego kryzysu azjatyckiego pod koniec lat dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia jego rodzina straciła cały majątek i stała się ofiarą niepokoju będących następstwem załamania waluty i gospodarki. Oprócz niego jest jeszcze dwójka rodaków Pucao: Elvira Gomez i Pedro Munoz, też aktywni politycznie, dwójka Hiszpanów: Hernandez Sidon i Maria de Carvalles-Tendido, dwóch Włochów, dwóch Rosjan, jeden Urugwajczyk, jeden Czech, jedna Greczynka i dwóch Greków, Francuz, Irlandczyk...

– Bardzo międzynarodowe towarzystwo – zauważył ktoś.

– ...dwóch Amerykanów, Japończyk, Finka i dwóch Niemców. Niektórzy z nich to, podobnie jak Pucao, uznani eksperci IT. W sumie mamy obecnie około pięćdziesięciu

podejrzanych utrzymujących kontakt z jedną lub z wieloma z wymienionych osób.

– A to wszystko oparte jest na jednym jedynym zdjęciu i jednym portrecie pamięciowym?
– spytał ktoś inny.

– To był punkt wyjścia – odrzekł Bollard. – W chwili gdy się dowiedzieliśmy, gdzie powinniśmy szukać, narodowe i międzynarodowe służby wywiadowcze ruszyły do pracy. Obecnie setki ludzi sprawdzają niezliczone tropy na całym świecie i nawet w obecnych warunkach napływa bardzo dużo informacji. Zebrane dane pozwalają przynajmniej postawić hipotezę, że mamy do czynienia z grupą ludzi, których postawa ideologiczna, osobiste losy i umiejętności predestynują do przygotowania tego rodzaju ataku terrorystycznego. Podobne profile znamy z ruchów rewolucyjnych na całym świecie. Ich główni aktorzy jedynie w nielicznych przypadkach rekrutują się z biednych czy najbardziej upośledzonych środowisk, najczęściej zaś pochodzą z warstwy średniej czy wyższej danego społeczeństwa. Tutaj mielibyśmy do czynienia z tego rodzaju zjawiskiem w skali globalnej.

– Czy naprawdę mamy uwierzyć w to – wtrącił ktoś z sali – że paru wiecznych chłopców jest w stanie wpędzić zachodnią cywilizację w największy kryzys i wywołać na świecie jedną z najgroźniejszych sytuacji po drugiej wojnie?

– A dlaczego nie? – spytał Bollard. – W Niemczech lat siedemdziesiątych wystarczyła garstka terrorystów Frakcji Armii Czerwonej, żeby całkowicie zmienić życie około sześćdziesięciu milionów mieszkańców republiki. Skutki społeczne, od specjalnych środków bezpieczeństwa po zakazy zatrudnienia w administracji państwowej osób podejrzanych o radykalne tendencje polityczne, były odczuwalne przez dziesięciolecia. Grupa założycielska włoskiej Brigate Rosse liczyła zaledwie piętnastu członków, a ataki z jedenastego września przeprowadziło niespełna dwadzieścia pięć osób. Tak więc mamy jak najbardziej prawo zakładać, że kilkadziesiąt osób dysponujących wystarczającym *know-how* i odpowiednimi środkami finansowymi jest zdolnych do wykonania takiej operacji.

– To ważny warunek – wtrącił Christopoulos. – Środki finansowe. Jeśli nawet ci goście mają odpowiednią wiedzę i umiejętności, to dla przygotowania tego rodzaju przedsięwzięcia potrzeba trochę więcej niż parę datków.

– I tu przechodzimy do Balduina von Ansen, Jeanette Bordieux i George'a Vanminstera. Od pozostałych osób, po których wszelki ślad zaginął, różni ich to, że są dziedzicami znacznych majątków. Von Ansen, syn angielskiej arystokratki i niemieckiego bankiera, Vanminster, obywatel amerykański, spadkobierca konglomeratu przemysłowego Vanminster Industries, i Bordieux, córka francuskiego króla medialnego, w sumie są posiadaczami ponad miliarda euro. Wszyscy troje hojnie finansują projekty społeczne i polityczne. Cała trójka jest od lat w ścisłym kontakcie z Pucao i innymi podejrzanymi.

– Dlaczego tacy ludzie mieliby...?

– A dlaczego nie? Przykładów jest niemało. Włoskiemu wydawcy Giangiacomo Feltrinellemu, synowi jednego z najbogatszych rodów Italii, zawdzięczamy publikację literackich światowych bestsellerów, jak *Doktor Żywago* i *Lampart*, ale także słynnego wizerunku Che Guevary, który jeszcze dzisiaj zdobi miliony T-shirtów i pokojów nastolatków. Jednocześnie ten sam człowiek miał powiązania z włoskimi ugrupowaniami ekstremistycznymi, założył też własne, potem przeszedł do podziemia, zaopatrywał niemieckich terrorystów w broń i zginął podczas próby wysadzenia masztu wysokiego napięcia. Innego milionera i ojca chrzestnego terroryzmu, Osamy bin Ladena, nie muszą chyba bliżej przedstawiać. Tak więc również wśród bogaczy są ekstremiści wszelkich odcieni.

Orlean

Annette Doreuil trafiła wreszcie na swoje łóżko między setkami innych obozu tymczasowego. Do zapachów i hałasu już się przyzwyczaiła, ale niezmiennie przygnębiały ją twarze. Miejsca ich czworga znajdowały się w jednym z sektorów na samym końcu. Zaletą takiego położenia było to, że przechodziło tamtędy mniej ludzi, natomiast mieli trochę dalej do łazienek i toalet. Kobieta z Czerwonego Krzyża przydzieliła im obojgu oraz Bollardom cztery łóżka obok siebie.

Doreuil wielokrotnie domagała się, aby ich zbadano i określono stopień napromieniowania, jednak za każdym razem słyszała tę samą odpowiedź: za mało personelu albo brakuje odpowiednich urządzeń. A w ogóle to nie ma się czym martwić.

Od strony wejścia słyszała nerwowe głosy. Kilka osób pospiesznie rozpierzchło się między łóżkami, wołając coś po drodze do mijanych towarzyszy losu. Niektórzy z zagadniętych nie ruszali się z miejsc, tylko wołali coś za biegnącymi. Inni zrywali się z łóżek i zwracali się do sąsiada lub do swoich bliskich, natomiast ci, którzy spowodowali to poruszenie, dotarli już do swych celów w morzu łóżek i pospiesznie zbierali własne manatki, chwyтали dzieci za ręce albo głośno wykrzykiwali ich imiona przez hałę, w której nieustanny przytłumiony szmer nabrzmiewał teraz do huk.

Doreuil zatrzymała się na chwilę, zanim podeszła do swoich. Próbowwała się zorientować, co tak wszystkich poruszyło. Już ze środka hali zobaczyła, że także jej mąż i Bollardowie zauważyli tę nerwowość i próbowali dowiedzieć się czegoś od sąsiadów. Coraz więcej ludzi płynęło ku wyjściu, obładowanych plecakami, torbami, walizkami. Większość klęła! Przed drzwiami uformowały się zwarte gromady.

– W elektrowni był jeszcze jeden wybuch! – wyrzucił z siebie Bollard, gdy już się do niego przepchnęła. – Wiatr niesie radioaktywną chmurę prosto na Orlean!

Zaczął upychać do walizki parę rzeczy leżących na ich łóżkach.

– Kto tak powiedział? – spytała Doreuil.

– Wszyscy mówią – odparł Bollard, nie przerywając pakowania.

– Musimy się stąd wynieść! – krzyknął teraz także jej mąż.

Annette Doreuil zawahała się przez chwilę. Czy w takiej sytuacji organizatorzy nie ogłosiliby kolejnej ewakuacji przez megafony albo głośniki? Czy nie apelowaliby o spokój, opanowanie i opuszczanie hali po kolei? I czy mimo wszystko nie rozsądniej było pozostać w murach budynku?

Jej mąż i Bollardowie wyraźnie nie zawracali sobie głowy takim deliberowaniem. Już spakowali torby i walizki.

– No, chodź – ponaglał żonę Bertrand, wciskając jej lżejszą torbę do ręki, podczas gdy on sam sięgnął po walizkę.

Chwycił się za pierś, a jego twarz wykrzywił grymas bólu.

Annette Doreuil wzięła torbę i szła za resztą szybkim krokiem między łóżkami. Już niemal wszyscy przepychali się do wyjść, które były zbyt wąskie na takie masy ludzi. Bertrand Doreuil krzyknął coś do żony, odwracając głowę do tyłu, ale w powszechnym zgiełku nie zdołała go zrozumieć. Zachwiał się, upuścił walizkę, oparł się na najbliższym łóżku i podniósł na nią wzrok. A ona natychmiast rozpoznała w jego oczach ból i panikę.

– Bertrand! – wrzasnęła i chwyciła męża za ramię.

W pierwszym odruchu chciała pobiec za Bollardami, żeby ich zatrzymać, wykrzyknęła ich nazwisko z taką mocą w głosie, jakiej nigdy by się po sobie nie spodziewała. Rodzice ich zięcia odwrócili się, zawahali się krótko, po czym rzucili swoje walizki i zaczęli przeciskać się

pod prąd przez tłum.

Bertrand Doreuil osunął się na łóżko i leżał teraz na boku. Jego twarz była kredowobiała i pokryta potem, sine wargi drżały. Palce konwulsyjnie wpijały się w pierś. Annette chwyciła go za rękę, drugą dłonią głaskała go po policzku. Wpatrywał się w nią w taki sposób, jakiego nigdy dotąd u niego nie widziała.

– Serce! – krzyknęła Annette Doreuil do Bollardów, którzy stali już obok. – Lekarza! On potrzebuje lekarza!

Celeste Bollard jako pierwsza się ocknęła. Obróciła się na pięcie i pobiegła z powrotem w stronę wyjścia. Jej mąż ruszył za nią.

– Zaraz sprowadzimy ci lekarza – mówiła uspokajająco Annette Doreuil. – Wszystko będzie dobrze. Za chwilę będzie lekarz.

Jego twarz była lodowato zimna i wilgotna. Powieki drżały. Usta otwierały się bezgłośnie i zamykały jak u ryby. Chciał coś powiedzieć, ale nie mógł z siebie nic wydobyć.

– Lekarza! – krzyknęła powtórnie najgłośniejszym jak potrafiła. – Potrzebujemy lekarza!

Nikt nie zwracał na nią uwagi. Wszyscy parli do drzwi. Do jej oczu napłynęły łzy.

– Czy nie ma tu żadnego lekarza? – szepnęła.

Bertrand przestał łapczywie chwytać powietrze.

Bruksela

– Nie mogę uwierzyć, że to robię – szepnęła Angström, kiedy odstawiali rowery przed budynkiem Komisji Europejskiej.

– Ja też nie – powiedziała Shannon.

– A do jakiego więzienia mieliby nas teraz wtrącić? – rzucił Manzano.

– To nie najlepszy moment na głupie żarty – prychnęła Angström.

Szli jak gdyby nigdy nic do głównego wejścia. Bez przeszkód wkroczyli do holu.

Szwedka przyłożyła swoją kartę zbliżeniową będącą jednocześnie dokumentem identyfikacyjnym do elektronicznego zamka przy drzwiach wewnętrznych. Nie otworzyły się.

– Niech to szlag! – syknęła przez zęby. – Dezaktywowali!

Zauważył ich ochroniarz i już ruszył w ich stronę. Angström szukała wzrokiem najdogodniejszej drogi ucieczki, ale poza nim było jeszcze kilku wartowników, mimo że o tej porze nie kręciło się tu wiele osób.

– Proszę pokazać legitymację – zażądał mężczyzna.

Angström podała mu plastikowy prostokąt – najpierw przyjrzał się jemu, a potem jej samej. Następnie zwrócił kartę i spojrzał pytającym wzrokiem na Manzana i Shannon.

– Oni są ze mną – oznajmiła Szwedka.

– Ze względów oszczędnościowych dostęp elektroniczny jest od dzisiaj nieaktywny – wyjaśnił ochroniarz. Otworzył drzwi kluczem i spojrzał na zegar nad recepcją. Pokazywał kwadrans po ósmej. – Proszę nie pracować zbyt długo.

Angström zdobyła się na uśmiech.

– Nie będziemy, dziękuję.

Prawdopodobnie również przez oszczędność na korytarzu pali się pod sufitem tylko co czwarta lampa, uznała Shannon.

– Poczekajcie chwilę – szepnęła Angström.

Ostrożnie przemykała dalej, rzucając okiem do każdego pokoju po lewej i po prawej stronie. W końcu dała znak Shannon i Manzanowi, żeby ruszyli za nią. Oboje dołączyli do niej cicho. Wepchnęła ich za jakieś drzwi i zaraz je zamknęła. To było to samo pomieszczenie, z którego zabrano ich w poprzedni wieczór.

– O, mój worek żeglarski wciąż tu leży! – zdziwiła się Shannon.

– Ale mój laptop zniknął – stwierdził Manzano.

Haga

– Zastanawiam się, czy nie powinniśmy stąd uciec – odezwała się Marie Bollard do swojego męża.

Owinięci w koce siedzieli przed płonącym kominkiem. Dzieci już spały. Opowiedziała mu o wydarzeniach przed Binnenhofem. Okazało się, że już o nich słyszał.

– Część chciała iść do innych instytucji – dodała. – Do nowego ratusza, a niektórzy nawet do Paleis Noordeinde. Jeśli Holendrzy podnoszą rękę na swoją królową, to już naprawdę jest źle.

– Gdzie indziej nie jest wcale lepiej – zauważył Bollard. Wyglądał na potwornie zmęczonego. – Zaraz wrócę. – Podniósł się. Usłyszała, jak schodzi do piwnicy. Dwie minuty później wrócił z niewielkim zawiniątkiem w dłoni. Rozpakował je. W migoczącym blasku płomieni ukazał się pistolet.

– Skąd go masz? – spytała Marie przerażona. – Przecież nie myślisz chyba...

– Nigdy nie wiadomo – odpowiedział. – Wziąłem go z pracy na wszelki wypadek. Przez cały czas leżał dobrze schowany w piwnicy.

Poszli na górę do sypialni. Bollard położył broń na nocnej szafce obok siebie.

Bruksela

- Masz tu inny komputer – szepnęła Angström.
- Zamknęła za sobą drzwi i postawiła maszynę na stole.
- Manzano szybko go włączył.
- Szwedka została przy drzwiach i pilnie nasłuchiwała.
- Na szczęście Manzanowi udało się zapamiętać adres IP. Zalogował się w sieci WLAN dla gości, aktywował ją, przeszedł na stronę RESET i wpisał nazwę użytkownika i hasło, którymi posłużył się za pierwszym razem.
- Pokazał się katalog rozmów. Zszedł niżej i odkrył podkatalog.
- Całkiem ich tu sporo – zauważyła Shannon.
- Owszem.
- Manzano kliknął w jedną z nich.
- Rany boskie, znowu to pismo dla półgłówków – Shannon nie mogła się powstrzymać, kiedy zobaczyła rozmowę w języku *leet*. – Przetłumacz – zwróciła się do Manzana.
- To znaczy:
date: tue, -736, 14:35 GMT.
Proud: dostałeś kody od deelta23?
Baku: Tak. Zorganizował sympatyczne tylne wejście. Zobacz załącznik.
Proud: OK.
- Tylne wejście?
- Manzano nie odpowiedział. Kliknął w jeden z załączników dołączonych do wiadomości.
- Na ekranie otworzył się dokument pełen niezrozumiałych ciągów liter i cyfr.
- Co to jest?
- Włoch milczał, czytał w skupieniu.
- To jest fragment kodu – wyjaśnił w końcu. – Do czegoś w rodzaju tylnego wejścia do systemu komputerowego. Programiści wpisują coś takiego w program, żeby potem w razie czego też mieć do tego dostęp, mimo że właściwie to nie jest przeznaczone dla nich. Oczywiście jeśli jest się odpowiednio sprytnym, można też wbudować coś takiego do każdego już działającego programu.
- Czy to znaczy, że oni rozmawiają tu na przykład o tym, jak dokonują manipulacji w sieci?
- Nie tylko rozmawiają – Oni to organizują... Powiniennem...
- Co takiego?
- Nic, nic...
- Roztargnienie Manzana trochę już irytowało Shannon. W każdej chwili znowu mógł tu ktoś wparować, a on się teraz rozmarza.
- Minus siedemset trzydzieści sześć przy dacie oznacza, że rozmowa jest prawie sprzed dwóch lat?
- O ile nasza teza o odliczaniu czasu się zgadza.
- To oni przygotowują się już tak długo...
- Chyba nawet dłużej. Spójrz tutaj. – Przewinął dalej, otworzył inną rozmowę.
date: thu.-1203, 14:35 GMT
- Kensaro: B.tuck podpisał Stanbul – odczytał Manzano. – Transakcja powinna być zrealizowana do końca miesiąca. Simon: OK. Wysyłam przez Costa Ltd. i Esmeralda pół na pół.
- Co to znaczy?
- Cholera wie, jakaś transakcja. Może jakiś przekaz pieniężny.

– Co to jest Stanbul?
– Nie mam zielonego pojęcia... Stambuł?
– Jak to Stambuł?
– No brzmi podobnie.
– Hm. Minus tysiąc dwieście trzy zgodnie z naszą hipotezą to dawniej niż trzy lata temu – stwierdziła Shannon.

Manzano przewijał stronę dalej w dół.
– Tu są tysiące wpisów – szepnęła Shannon.
– Rzeczywiście tysiące – powiedział Manzano niewiele głośniej.
– Co tam szepczecie? – spytała Angström spod drzwi. Podeszła do nich. – Co znaleźliście?

– Świętego Graala – odrzekł cicho Manzano. – Może.
– Co ty wygadujesz?
– Zdaje się, że szanowni państwo popełnili podstawowy błąd, kiedy wprowadzili mi do komputera tamte e-maile. Zrobili to prosto ze swojej centralnej platformy komunikacyjnej, bez żadnych dróg okrężnych. Tak to przynajmniej wygląda. A jeśli to prawda, to...

– To co?
– To mamy kłopot – powiedział Manzano. – Tam są wszystkie informacje potrzebne, żeby skończyć tę katastrofę i może nawet dopaść tych gnojków.

– W tej korespondencji? – spytała Shannon. – A jeśli nawet, to są przecież jakieś gigantyczne puzzle! Tu jakiś ochłap, tam jakiś strzęp. Żeby to chociaż przeczytać, potrzeba lat!

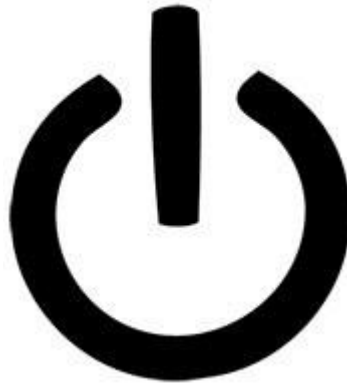
– No i dlatego powiedziałem, że mamy kłopot. – Obrócił się do obu kobiet. – Sami nie mamy rady. To zadanie dla profesjonalistów. Oni muszą wszystko przeanalizować, poskładać tę układankę. I to szybko.

– Kto mógłby to zrobić?
– Nie mam pojęcia! NSA, CIA, każda cholerna służba wywiadowcza i każdy urząd antyterrorystyczny.

– Jasne, przecież policja od samego początku była ci bardzo życzliwa – docięła mu Shannon.

– No, wiem, wiem – westchnął Manzano. Zamknął oczy i zacisnął palce na grzbiecie nosa. – A mamy jakieś inne wyjście?

Dzień 11. – Wtorek



Haga

Bollarda obudziło głośne pukanie. Kto o tej porze robi taki hałas? Oby to nie byli żadni wandale.

– Co to? – spytała zaspana Marie obok niego.

Po raz pierwszy sięgnął nie tylko po latarkę z nocnego stolika, ale chwycił także pistolet. Znowu ktoś zabębnił w drzwi.

– Kto tam?

– Janis.

Bollard ukrył broń za plecami i otworzył.

– Zwariowałeś? Która jest godzina?

– Trzecia nad ranem.

Z daleka dobiegał odgłos syren.

– Na twoim miejscu postarałbym się o dobrą wiadomość.

Christopoulos pokiwał głową.

– No nie wiem. Dzwonił ten Włoch.

– Jaki Włoch?

– Manzano. Mówi, że to sprawa życia i śmierci. I że chyba znalazł dojście do zamachowców. Ale chce rozmawiać wyłącznie z tobą.

Bollard dopiero teraz na dobre się obudził. Co skłoniło tego Włocha, mimo uwięzienia i ucieczki, że znowu się do niego odzywa? Kpi sobie? Czy to rzeczywiście coś ważnego? Tak czy siak musiał się z nim spotkać.

– A skąd dzwonił?

– Nie chciał zdradzić.

– Poczekaj chwilę. Tylko się ubiorę.

Pospieszył na górę do żony.

– Muszę wyjść – wyjaśnił, wciskając jej pistolet do ręki. – Wiesz w razie czego, jak się z tym obchodzić.

– Ale ja...

Ubrał się, ucałował Marie i poszedł.

Kiedy siedział już w samochodzie obok Christopoulosa, spytał: – I nic w ogóle nie powiedział?

– Nie, chce mówić tylko z tobą.

Przez klimatyzację wdzierał się do środka zapach dogasających pożarów.

– Jaka sytuacja w mieście?

– Binnenhof spalił się doszczętnie. Tłumy poszły dalej, do Paleis Noordeinde i do nowego ratusza. Podobno pod siedzibę królowej ściągnięto wszystkie dostępne jednostki policji.

– Jedź tam.

Nie nadłożyli wiele drogi. Już z daleka zobaczyli nocne niebo rozświetlone pomarańczową łuną. Po kilku minutach dotarli do okolicy wokół pałacu. Mimo zimna coraz więcej ludzi ciągnęło ulicami. Przy blokadzie w poprzek ulicy zatrzymał ich kordon policji. Bollard musiał się wylegitymować.

– Tu jest w miarę spokojnie – oznajmił mu jakiś oficer. – Ale pod ratuszem jest gorzej.

Pojechali dalej. Niebo robiło się coraz bardziej ogniste. Po chwili nie mogli się już przedostać przez masy ludzi.

– Poczekaj tutaj – powiedział Bollard. – Uważaj na samochód. Zaraz wracam.

Wysiadł i na piechotę przeciskał się dalej, dopóki nie dotarł do placu przed imponującą

nową budowlą, gdzie wprost roilo się od ludzi. Z wielu okien do niedawna białego budynku buchały płomienie, pokrywając sadzą fasadę, z innych wypadały meble i rozbijały się z hukiem o ziemię. Bollard dostrzegł niedaleko mundurowych w hełmach z wizjerami. Byli w zatrważającej mniejszości wobec szalejącego tłumu. Sypały się na nich wyrwane z bruku kamienie, które oni odrzucali z powrotem między demonstrujących. Padły strzały. Bollard przez parę sekund przyglądał się bitwie, po czym wrócił do samochodu.

Marie Bollard słyszała dobiegający z daleka odgłos wystrzałów. Leżąc na boku, wpatrywała się w ciemność za oknem, która miała dziwny czerwony odcień, jakby gdzieś w oddali migotały zorze polarne. Na materacu obok poduszki François spoczywał pistolet. Kiedy w przedpokojku zaskrzypiała podłoga i otworzyły się drzwi do sypialni, w panice chwyciła za broń. Ścisnęła zimny metal, odwróciła się, ale w nieprzeniknionym mroku nie mogła niczego rozpoznać.

– *Maman*, co to za hałas na dworze? – zakwiliła zaspana Bernadette od progu.

Marie z głośno bijącym sercem wsunęła rewolwer pod poduszkę.

– To nic takiego, skarbie – powiedziała.

– Czy możemy spać z wami? – spytał Georges.

– Tata pojechał już do pracy – wyjaśniła Marie. – Chodźcie do mnie.

Dziecięce stópki potupały przez pokój, małe ciała wdrapały się na łóżko i przytuliły się do niej. Bollard, przesunawszy się na środek, objęła syna i córkę. Czuła pod głową twarde przedmiot i modliła się, żeby dzieci przypadkiem go nie odkryły.

– Wow – to wszystko, co Bollard wydobyl z siebie.

Siedział jak zaklęty przed komputerem i przebijał się przez stronę RESET, na którą przed kilkoma minutami wprowadził go Manzano. Oprócz Christopoulosa jeszcze dwóch innych pracowników śledziło ponad jego ramieniem kolejne ruchy.

– Musi pan jak najszybciej zapisać te dane – polecił mu przez telefon Manzano. – Zanim odkryją naszą wizytę.

Bollard potaknął, w głowie szalało mu tysiące myśli. Szepnął do Christopoulosa: – Zawiadom IT! Niech zaraz się do tego wezmą.

Greki chwycił za telefon na sąsiednim biurku.

– Ale skąd mam wiedzieć, że to wszystko jest autentyczne? – spytał Bollard.

A co, jeśli ten Włoch sam sfabrykował tę stronę, żeby naprowadzić na fałszywy trop? Jednocześnie klikał na chybił trafił w różne miejsca dyskusji. Na szczęście trochę znał język hakerów i potrafił odszyfrować jej przebieg.

– Niech pan przestanie! Przecież sam pan widzi, ile tego jest. Trudno by było sfingować coś takiego.

– Jak pan na to wpadł? – spytał Bollard.

– Miałem trochę szczęścia. Aż trudno uwierzyć w niedbalstwo i niefrasobliwość tych gości, jeśli chodzi o zabezpieczenia. Kiedyś panu opowiem.

Bollard przestał równolegle sprawdzać bazę danych. Zobaczył już wystarczająco dużo. Jeśli to nie jest żadne fałszerstwo, to ten przeklęty Włoch trafił w dziesiątkę.

Mimo to nadal nie był do końca przekonany, ale musiał przyznać, że upór i gorliwość tego faceta zrobiły na nim wrażenie.

– Słyszałem, że został pan postrzelony. Jak się pan czuje?

Po drugiej stronie nastąpiła chwila ciszy. A potem: – Dziękuję. Bywało lepiej.

Bollard walczył ze sobą, w końcu jednak powiedział: – Jeśli ta platforma rzeczywiście zawiera to, co powiada...

– Tego jestem raczej pewien. Tyle że potrzebuje pan potężnego wsparcia, żeby móc to

szybko przeanalizować. Kogo pan wykorzysta?

– Wszystkich.

– Czyli kogo?

– Począwszy od amerykańskiej NSA, przez Police Nationale, po niemiecką BKA.

Dosłownie wszystkich. – Bollard jeszcze raz się przełamał i spytał: – A co z panem?

Bruksela

– To znaczy? – dopytał Manzano.

– Pan też powinien w tym uczestniczyć – rozległ się głos Bollarda w zestawie głośnomówiącym, który Włoch uruchomił, żeby Shannon i Angström mogły przysłuchiwać się rozmowie. Już nie starali się być dyskretni. – W końcu to pan na to wpadł. Posyłam samochód po pana. Za kilka godzin będzie pan w Hadze.

Manzano nie mógł uwierzyć w to, co słyszał.

– Zostałem aresztowany i postrzelony, potem byłem ścigany i znowu aresztowany, dziś w nocy siedziałem w więzieniu, jeśli można tak nazwać to miejsce, gdzie niewiele brakowało, bym spłonął żywcem albo został zabity. Kto mi zagwarantuje, że nie wyda mnie pan prosto w ręce zbirów z CIA? Naprawdę oczekuje pan ode mnie, że znowu zaufam pańskiej organizacji?

Cisza.

– Niech pan spróbuje – poprosił Bollard.

McLean

– Skąd pan to ma? – Richard Price spytał jeszcze raz z niedowierzaniem.

Elmer Shrentz udał się z materiałami od razu bezpośrednio do zastępcy dyrektora National Counterterrorism Centre. Od pierwszych chwil awarii w USA wszyscy pracownicy NCTC w Liberty Crossing, kompleksie położonym w McLean, niedaleko znacznie bardziej znanej głównej siedziby CIA w Langley, nawet nie zmrużyli oka. Założona w 2003 roku po atakach z 11 września 2001 roku organizacja zbierała informacje napływające z najrozmaitszych instytucji, od CIA, przez Departament Transportu, po Nuclear Regulatory Commission, aby skuteczniej zapobiegać atakom terrorystycznym.

Mimo to znowu ich trafiło. A oni nie mieli zielonego pojęcia.

– Z Departamentu Stanu, Departamentu Obrony i Białego Domu.

– Oni wszyscy to dostali?

– Europejczycy wykorzystali wszelkie kanały zabezpieczone przed podsłuchami. Chcieli mieć pewność, że te informacje dotrą do nas. Jak najszybciej to możliwe.

– Już je przeanalizowaliśmy?

– Na tyle, by potwierdzić ich autentyczność.

– I w nich naprawdę jest wszystko?

– Na to wygląda. Musimy tylko nad nimi usiąść. Razem.

Ratingen

– Dlatego Europol zaproponował plan, co kto ma analizować – wyjaśniał osobiście Hartlandtowi szef berlińskiego Centrum Przeciwdziałania Terroryzmowi przez telefon satelitarny. – Przyda się każdy będący do dyspozycji pracownik i każda pracowniczka. Proszę odłożyć na bok sprawę oprogramowania SCADA w firmie Talafer. Prześlemy wam plik danych, nad którymi musicie natychmiast usiąść.

– Skąd Europol ma te dane?

– Odkrył je tamten Włoch, którego pan... no tak, może nie będę posypywał solą otwartej rany.

Hartlandt zaklął w duchu. Sam nie wiedział, co bardziej go irytowało. To, że ten Manzano natrafił na informacje, czy że on się go pozbył, zamiast z nim współpracować.

– Chcemy mieć wyniki za dwie godziny.

Bruksela

Mnie jeszcze nigdy tak nie uścisnął, pomyślała Shannon, widząc, jak Manzano zegna się z Angström. Poczła lekkie ukłucie zazdrości, chociaż tak naprawdę nie do końca wiedziała, czego od niego oczekuje. Sporo razem przeszli.

Wreszcie Włoch odsunął się od Szwedki. Jakiś mężczyzna czekał na niego przy SUV-ie zaparkowanym tuż przed budynkiem Komisji.

– Nie potrzebuję kierowcy – Manzano usiłował wymigać się od towarzystwa i przejąć kontrolę nad podróżą.

Shannon domyślała się, że on wciąż nie ufa Bollardowi.

Mężczyzna był po trzydziestce, wysportowany. Wskazał na nogę Manzana.

– Podobno jest pan ranny. Mam na pana uważać...

Dlaczego miał na niego uważać? Żeby znowu im nie uciekł? Czy może grozi mu jakieś niebezpieczeństwo?

– Nie chcę, żeby wiózł mnie ktoś, kto nie jest w pełni sprawny – oświadczył trzydziestolatek.

Shannon wdrapała się na tylne siedzenie, Manzano zajął miejsce przy niej. Mężczyzna usiadł za kierownicą. Z torby wyjął cztery kanapki oraz dwie duże butelki wody i podał im wszystko do tyłu.

– Z najlepszymi pozdrowieniami od *monsieur* Bollarda – powiedział i dodał: – Proszę zapiąć pasy, mimo że na drogach niewiele się dzieje.

Służbista, pomyślała Shannon. Niezależnie od sytuacji. W gruncie rzeczy to dobrze. Rozpakowała swoje kanapki.

– W torbie z przodu jest też świeże ubranie dla pana – poinformował mężczyzna. Po krótkiej pauzie dodał: – Może się panu przydać.

Manzano zastanawiał się, po co mu czyste rzeczy bez prysznic. Niech gość włączy sobie nawiew, jeśli nie odpowiada mu powietrze. Pilnie śledził każdy ruch kierowcy, gdy ten wiózł ich ulicami belgijskiej stolicy. Ciągle nie mógł pozbyć się podejrzliwości. Zabezpieczenie drzwi przed dziećmi nie było uruchomione, więc w razie czego mógłby nawet wyskoczyć, jak zwołnią na jakimś skrzyżowaniu. Ale co by mu to dało?

Jechali ulicą, po której obu stronach stały metalowe szkielety spalonych aut. Ze śmieci porzrzucanych po całej jezdni unosiły się tu i ówdzie chmury czarnego dymu. Ofiarą płomieni padło też kilka domów przy ulicy.

– Co tu się stało?

– Robi się coraz bardziej niespokojnie – odpowiedział ich szofer lakonicznie.

Próbował złapać jakąś stację radiową, ale na każdej częstotliwości rozlegał się tylko jednostajny szum. Oprócz patroli policyjnych Manzano zauważył też inne, chyba wojskowe, minęły po drodze także dwa czołgi. Rzeczywiście robi się niespokojnie, pomyślał. Nie widział żadnych znaków wskazujących drogę do Hagi. Może kierowca wybrał mniej uczęszczaną trasę. Albo miasto jest kiepsko oznakowane. Poczł, jak ogarnia go senność. Oparł głowę z tyłu na siedzeniu, żeby trochę odpocząć.

Haga

Marie Bollard aż podskoczyła, gdy usłyszała strzały całkiem blisko. Dzieci patrzyły na nią pytająco, Georges chciał podejść do okna.

– Nie podchodź! – krzyknęła, słysząc panikę we własnym głosie. – Idźcie do tyłu, pod ścianę! – poleciła.

Zza okna dobiegały nawoływania, wrzaski, tupanie. Pobiegnęła szybko na piętro. W najgłębszym zakamarku swojej szafy schowała pistolet. Ostrożnie podeszła do okna, odważyła się wyjrzeć przed dom. Nie było nikogo, poza psem, który pyskiem grzebał w śmieciach.

– *Maman?* – usłyszała z dołu głos Bernadette.

– Nie ruszajcie się z miejsca!

Spojrzała na ulicę, w lewo, w prawo. Kilku policjantów biegło za grupą osób, po chwili wszyscy zniknęli za najbliższym rogiem.

Czuła, jak powoli się uspokaja. Zostawiła broń na miejscu i wróciła na dół. Nie mogąc dać się zwariować, powtarzała sobie w duchu raz za razem, nie mogę teraz dać się zwariować.

Na ulicach Hagi oczom Manzana ukazał się taki sam widok jak w Brukseli przed wyjazdem. Spalone domy i samochody, tłące się śmieci.

– Dokąd jedziemy? – spytał kierowcę.

– Hotel jest zajęty – odpowiedział mężczyzna. – Zostaną państwo umieszczeni w prowizorycznej kwaterze przy Europolu.

Po drodze napotkali wozy pancerne patrolujące okolicę.

– Czy to strzały? – spytała Shannon, kiedy w oddali rozległ się huk.

– Możliwe – odparł szofer.

Aby podjechać bliżej budynku, musieli minąć blokadę strzeżoną przez uzbrojonych żołnierzy.

– To wygląda jak na wojnie – stwierdziła Amerykanka.

– Bo tak tu mniej więcej jest – zgodził się mężczyzna.

Przy wejściu do siedziby Europolu zostali sprawdzeni przez policjantów w kuloodpornych kamizelkach i hełmach z wizjerami. Szofer zaprowadził ich na trzecie piętro do opuszczonego biura. Osiem składanych łóżek tworzyło wspomnianą tymczasową kwaterę. Sześć było w miarę porządnie nakrytych kocami i śpiworami, dwa wydawały się nietknięte. Na każdym z tych dwóch leżały na kupce starannie poskładane po dwie koszule, po dwie pary spodni, po dwa swetry i po jednej kurtce puchowej.

– To dla was.

Shannon przesunęła dłonią po kocu, potem przyłożyła do siebie spodnie, żeby sprawdzić, czy pasują.

– Pysznic możecie wziąć w łazienkach na końcu korytarza – wyjaśnił kierowca. – Pan Bollard czeka w centrum operacyjnym. Jeszcze chyba pan pamięta, gdzie to jest? – zwrócił się do Manzana. – Na razie.

Centrum dowodzenia

Wprawdzie algorytmy porządkowały według haseł monitorowaną korespondencję, która w ostatnich dniach uległa znacznemu ograniczeniu, ale i tak byli w stanie sprawdzić dokładnie tylko znikomą jej część. Dlatego odkryli tego e-maila dopiero teraz. Pochodził już sprzed czterech dni. Berlińskie Centrum Przeciwdziałania Terroryzmowi wysłało go w minioną sobotę co najmniej do Europolu i Interpolu. Proszono w nim o sprawdzenie tożsamości mężczyzny, który mógł mieć bliskie kontakty z Hermannem Dragenauem. W załączniku znajdowało się grupowe zdjęcie z konferencji w Szanghaju z 2005 roku. Twarz mężczyzny na skraju fotografii była obwiedziona kolorowym markerem.

Jeśli identyfikacja zakończyła się sukcesem, mieliby już pierwszy punkt zaczepienia, który pozwoliłby im szukać dalej. Potrafił sobie wyobrazić, jak maszyneria wszystkich służb wywiadowczych na całym świecie została puszczona w ruch i pracuje na najwyższych obrotach.

Gorączkowo przystąpili do przeszukania monitorowanej korespondencji z kolejnych dni przy zastosowaniu odpowiednich haseł. Po kilku godzinach nerwowego oczekiwania Birabi odwołał alarm. Znaleźli zaledwie garstkę dalszych e-maili na ten temat, z których większość potwierdzała jedynie odbiór pytania, ale nie rezultat. Mimo to powinni być bardziej uważni. Jeszcze sporo brakuje im do osiągnięcia celu.

Haga

– Co ona tu robi? – spytał Bollard, wskazując na Shannon.

Zamiast udzielić odpowiedzi, Manzano podszedł do okna i spojrzął na miasto. W wielu miejscach wznosiły się ku niebu wysokie słupy dymu. Z daleka dobiegało wycie syren pojazdów ratowniczych i terkotanie helikopterów przecinających krajobraz.

– Bez niej nie odzyskałbym swojego laptopa i nie znalazłbym RESET-u – odrzekł w końcu.

Bollard przymknął powieki i zazgrzytał zębami.

– Tylko żadnych relacji – zażądał.

– Daję słowo honoru – przysięgła Shannon. – Chyba że pan pozwoli.

Szepnęła do Manzana:

– Ale przydałby mi się pilnie jakiś sprzęt – kamera, laptop.

– Potrzebujemy dwóch laptopów – zwrócił się Włoch do Bollarda. – A dla niej kamerę.

Zauważył, że ich gospodarz był bliski eksplozji, uznał jednak, że mają prawo stawiać warunki.

Bollard posłał im pełne złości spojrzenie, po czym fuknął: – W porządku, postaram się, żeby dostarczono wam sprzęt. Ale to nic nie zmienia: żadnych relacji.

Shannon skwapliwie skinęła głową:

– Chyba że sam pan będzie chciał, aby dokumentacja pańskiej pracy była znana opinii publicznej.

– Niech pani robi sobie głupka z kogo innego – odparł Bollard.

– Jak daleko posunęliście się z pracą? – zmienił temat Manzano.

– Dane są już w Interpolu, przekazaliśmy też część NATO, Secret Service, NCTC i kilku innym instytucjom – wyjaśnił Bollard. – Rozdzieliliśmy zadania.

W sali konferencyjnej siedziało przy komputerach ponad dwudziestu mężczyzn. Bollard, Manzano i Shannon przystanęli za jednym z nich.

– Według jakich parametrów sprawdzacie? – spytał Włoch.

– Różnych. Na przykład według określonych pojęć. Znaleźliśmy czaty, w których wyraźnie chodziło między innymi o *zero-days*.

– Co to takiego? – spytała Shannon.

– To są czule punkty, dziury w nowych systemach i oprogramowaniach, o których nic nie wiedzą nawet sami ich producenci i dlatego mogą być wykorzystywane przez cyberprzestępców – objaśnił Manzano.

– Poza tym szukamy według różnych użytkowników – kontynuował Bollard. – Z kolei ich rozmowy filtrujemy według określonych haseł. I tak dalej.

– Według haseł, powiada pan – odezwał się Manzano. – A według mnie też już szukaliście?

– Jasne – odrzekł Bollard. – Na samym początku. I co znaleźliśmy?

Mężczyzna przy komputerze wklepał coś na klawiaturze, po czym na ekranie pojawił się tekst: 6, 11:24 GMT

tancr: Wygląda na to, że Włoch zwił Niemcom.

b.tuck: Ale wciąż jest podejrzewany?

tancr: Nie wiem, chyba tak.

b.tuck: Wkurzył nas.

tancr: No cóż, kiedyś w końcu ktoś musiał na to wpaść. We W., w N.

– Włoch to ja – wtrącił Manzano. – A Niemcy to ten Hartlandt.

– To jeszcze nie koniec – powiedział Bollard.

4, 9:47 GMT

b.tuck: Kim jest ten gość?

tancr: Nie mam pojęcia. Zaraz sprawdzę.

– No, ciekaw jestem, co też on znalazł? – rzucił Manzano.

Bollard kiwnął głową i jego współpracownik otworzył inną rozmowę.

5, 10:11 GMT

b.tuck: Mam już trochę więcej o tym Włochu.

Piero Manzano, haker od niepamiętnych czasów. Jego nick? Chyba „towind”.

Manzano poczuł się nieswojo. Ci goście mają jednak niezłe rozeznanie. B.tuck dobrze przypuszczał. „Towind” to jeden z jego pseudonimów, którego jednak nie używał już od dobrych paru lat.

Brał udział w demonstracjach na rzecz „Mani pulite” w latach dziewięćdziesiątych. W 2001 roku był też w Genui. Hej, on mógłby być jednym z nas. Zna go ktoś?

tancr: Nie.

„On mógłby być jednym z nas” – Manzano poczuł, że robi się czerwony. Jeszcze Bollard pomyśli na koniec, że on należy do tych szaleńców.

– I jest jeszcze coś – dodał człowiek Bollarda.

5, 13:32

tancr: Ten Włoch mnie wnerwia. Stawia na Talaefer. Chętnie podłożyłbym mu jakieś jajo.

b.tuck: Jakież?

tancr: *Fake mail*.

b.tuck: OK.

– Dzięki! – wykrzyknął z ulgą Manzano i spojrzął triumfalnie na Bollarda. – Mam nadzieję, że to w końcu przekonało pana o mojej niewinności.

– Jeśli jest pan częścią tego wszystkiego – odparł Francuz z niewzruszoną twarzą – to mógł pan kazać swoim kompanom zainscenizować coś takiego.

Manzano ciężko westchnął.

– Czy pan jeszcze komukolwiek wierzy?

– Nie.

Paryż

– No, szybciej, szybciej – krzyknął Blanchard ze złością.

Na tablicy demonstracyjnej w Centre National d'Exploitation Système zielone linie tworzyły co prawda już sporo wysp w czerwonej sieci Francji, ale wciąż nie tyle, na ile liczył.

– Już prawie czterdzieści procent obszaru mamy z powrotem w sieci – relacjonował Tollé. – Przy pierwszych mniejszych wyspach powiodła się nam nawet synchronizacja. Jeśli tak dalej pójdzie, do jutra prąd będzie prawie w całym kraju.

– Zdaje się, że już wczoraj tak miało być? A co z Cattenom i Tricastin? – spytał sekretarz prezydenta.

– Hm, no cóż...

– Czy to znaczy...?

– Oba obiekty stanowią jeden z największych problemów – pospieszył mu z pomocą Proctet. – W sumie w dwunastu z pięćdziesięciu ośmiu francuskich reaktorów doszło do lżejszych lub cięższych incydentów. Nie biorąc pod uwagę Saint-Laurent.

Przez chwilę zalegała cisza.

– A to znaczy, że w najbliższych dniach musimy wciąż jeszcze się liczyć z niestabilną sytuacją w sieci. Niewykluczone, że w niektórych regionach ponownie dojdzie do wyłączeń. Ale tym razem potrważą one najwyżej kilka godzin.

– W Cattenom i Tricastin grożą najcięższe z możliwych awarii, a pan opowiada mi tu jakieś banialuki! – wybuchnął Tollé. – Od ostatecznej katastrofy mogą dzielić nas może już tylko dwadzieścia cztery godziny!

Haga

– Ciekaw jestem – zaczął Manzano – jak te typy wpadły w ogóle na pomysł, żeby wrzucić tamte e-maile do mojego laptopa, i skąd wiedziały, że wybieram się do Talaferu.

Bollard zmierzył go uważnie wzrokiem.

– Kiedy uparcie przekonywał pan Hartlandta, że te informacje musiały wyjść od nas, z Europolu, nasi informatycy na wszelki wypadek sprawdzili nasz system.

– I coś znaleźli?

Bollardowi wyraźnie nie w smak było się do tego przyznać.

– Wykryli oprogramowanie, które śledziło korespondencję e-mailową na większości naszych komputerów, a poza tym aktywowało też kamerki i mikrofony.

– No, nie chciałbym być na miejscu pańskiego szefa od zabezpieczeń wewnętrznych...

– Ja też nie. Ani od zabezpieczeń rządu niemieckiego, francuskiego, brytyjskiego lub innego czy też sztabów kryzysowych. Jak się zdaje, ci goście przeniknęli wszędzie: czytali, oglądali i słuchali wszystko, co tylko chcieli.

– Czytali, oglądali, słuchali – a teraz już tego nie robią?

Podskoczyli, gdy na zewnątrz rozległy się strzały. Podbiegli do okna.

– Tu też się zaczyna? – bąknęła Shannon.

Na ulicy nie było nikogo.

– Na najwyższych szczeblach decyzyjnych postanowiono, że nie zostaną podjęte żadne działania przeciw infiltracji – kontynuował Bollard. – Tyle że teraz komunikacja odbywa się dwutorowo. To, co ważne i tajne, jest przekazywane wyłącznie specjalnymi kanałami i nie jest omawiane w pobliżu podsłuchiwanym komputerów.

– No, to chyba nie jest takie proste do...

– Ale przez infiltrowane media możemy rozpowszechniać fałszywe informacje, które mogą wprowadzić zamachowców w błąd.

– Czyli inżynieria społeczna na dużą skalę. Hm...

– Powiedzmy.

– Zbyt pracochłonne. Jeśli ci goście są bystrzy, to w którymś momencie zauważą te zmiany. Ale to zależy od programu analitycznego, który prawdopodobnie też zainstalowali. Bo skoro weszli, jak pan mówi, do tylu systemów, to nie są w stanie śledzić takiej ilości korespondencji, i to jeszcze w różnych językach, tylko przy pomocy ludzi. Potrzebowaliby zbyt dużego personelu.

– Też tak zakładamy – powiedział Bollard. – Przypuszczalnie specjalne oprogramowanie w tle skanuje rozmowy według predefiniowanych haseł i sformułowań i jeśli coś wytropi, samo wypluwa ostrzeżenia.

– To akurat nie jest takie pracochłonne – zauważył Manzano. – Agencja Bezpieczeństwa Narodowego i inni robią to na całym świecie od lat. Jedyna zaleta polega na tym, że tego rodzaju algorytmy są napisane raczej po to, żeby coś znaleźć, a nie żeby coś przeoczyć.

Paryż

Direction Centrale du Renseignement Intérieur, czyli dyrekcja francuskiej wewnętrznej służby wywiadowczej, miała swoją siedzibę na przedmieściach Paryża, w Levallois-Perret. Dyrektor Jacques Servé objął osobiście nadzór nad analizą danych. François Bollarda spotkał przy kilku formalnych okazjach, ale nigdy nie poznał go bliżej. Jako pracownik Europolu w Hadze Bollard właściwie zamknął sobie drogę do dalszej kariery w Paryżu, choć on sam był wręcz przeciwnego zdania i dzięki tej operacji z powrotem wywindował swoje nazwisko na samą górę listy. Na szczęście instytucja kierowana przez Servé przyswoiła sobie w ostatnich latach całkiem obszerną wiedzę związaną z cyberwojną i cyberprzestępczością oraz z terroryzmem w sieci. Toteż gdy dostali te pliki z Hagi, mogli natychmiast przystąpić do analizy.

Louis Peterevsky prezentował właśnie pierwsze rezultaty pracy – wyświetlił na ścianie zrzuty fragmentów czatu z RESET-u.

– Ta rozmowa jest co najmniej sprzed trzech lat – powiedział Peterevsky. – Jeden z jej uczestników pojawia się bardzo często. Dwa pozostałe nicki rzadziej. Przypuszczamy, że żaden z nich nie należy bezpośrednio do ścisłego kręgu zamachowców, to raczej zewnętrzni dostawcy. Chodzi o elementy software'u, które prawdopodobnie umożliwiają manipulację centrali niektórych operatorów sieci. Kiedy zeskanowaliśmy RESET według tych nowych nicków, znaleźliśmy wiele innych rozmów potwierdzających tezę, że ci dwaj to niebezpieczni hakerzy, których można zwerbować do wykonania takich zleceń.

– Da się ich jakoś dopaść? – spytał Servé.

– Raczej nie, a przynajmniej nieprędko. Ale już sama treść rozmów jest wyjątkowo ciekawa. Przede wszystkim prowadzi nas do następnych osób. – Peterevsky pokazał kolejny zrzut. – A wszystko razem zaczyna się układać w jeden spójny obraz. Dowiadujemy się, co, kiedy i gdzie zostało przemycone do różnych systemów. Na przykład tutaj omawiają najrozmaitsze metody, między innymi taką, że do pracowników operatora zostaje wysłany e-mail, który wygląda tak, jakby trafił do adresata przez przypadek. Mail zostaje wysłany ze „zdobyczej” skrzynki nadawczej pracownicy działu personalnego. W niektórych wiadomościach w załączniku znalazł się dokument o nazwie „personell_cut”. Oho, myśli sobie niemający o niczym pojęcia odbiorca, to pewnie lista najbliższych wypowiedzeń. I oczywiście chce się przekonać, czy się na niej znajduje. Otwiera dokument i – ups! – na jego desktopie instaluje się wbudowane w tle szkodliwe oprogramowanie.

– Jak to możliwe, że program antywirusowy nie podniósł alarmu?

– Program antywirusowy łatwo odkrywa tylko to, co już zna. Prawdopodobnie atakujący wykorzystali różne dziury oprogramowania. Przed tym nie byliśmy zabezpieczeni.

– Znane od dawna i nadal skuteczne metody – stwierdził Servé.

– Owszem. Musimy się temu jeszcze dokładnie przyjrzeć, ale w gruncie rzeczy na tej platformie omawiano i planowano wszystkie kolejne fazy ataku. Trzeba przyznać, że od strony bezpieczeństwa technicznego jest to dosyć słabe. Ci ludzie muszą czuć się nietykalni.

– Albo jest im to obojętne – wtrącił jeden z kolegów.

– To może być też coś w rodzaju manii wielkości – zauważył Peterevsky. – Przecież znasz naszych kolegów od tej strony, mają do tego skłonność.

– Nie tylko oni – odpowiedział zagadnięty.

Haga

Manzano nie widział sensu w tym, żeby jeszcze on miał zabierać się do analizy RESET-u. Zajmowały się tym tysiące wysoko wykwalifikowanych specjalistów na dwóch kontynentach. Zirykowało go twierdzenie Bollarda, że Talaefer rzekomo nic nie znalazł w swoich systemach SCADA, dlatego wycofał się do jakiegoś spokojniejszego pomieszczenia i studiował raporty o błędach z elektrowni, które dotarły tymczasem do niemieckiego producenta oprogramowania.

Mimo niekompletnej wiedzy i bez zagłębiania się w fachowe opisy mniej więcej po godzinie zasadniczo zrozumiał, co się stało. Praktycznie we wszystkich elektrowniach doszło do licznych błędów. Zwrócił uwagę także na jeden charakterystyczny szczegół: w wielu przypadkach osoba znajdująca się w generatorowni obserwowała coś zupełnie innego niż pracownicy w centrum dyspozycyjnym.

Takie zjawisko mogło mieć wiele powodów.

– Czy ty nigdy nie czujesz się zmęczony? – spytała Shannon.

Obserwował ją przez cały dzień: jak zaglądała wszystkim przez ramię, jak studiowała mapę na ścianie, jak filmowała i fotografowała. Bollard udzielił jej błogosławieństwa, kiedy Manzano jeszcze raz z naciskiem uświadomił mu rolę, jaką odegrała przy odkryciu RESET-u.

– Może to nawet nie taki głupi pomysł – stwierdził w końcu Francuz – że ktoś dokumentuje naszą pracę.

Manzano przeciągnął się, czuł, jak trzeszcza mu kości. Ona miała rację – powinien zrobić sobie przerwę.

– Kawy? – spytała go.

Razem ruszyli do małej kuchni znajdującej się kilkoro drzwi dalej. Przy stole siedzieli dwaj pracownicy Europolu o zmęczonych twarzach, przed nimi stały parujące filiżanki.

Manzano sięgnął po kapsułkę z kawą i włożył ją do maszyny. Jakie to szczęście, że w Europolu działa jeszcze awaryjne zasilanie i pozwala na taki luksus. Co prawda nie przepadał za tymi nowomodnymi urządzeniami, do których wkładało się już poręcznie spakowane kapsułki, ale w tej sytuacji lepsze to niż nic. Wsunąć pudełeczko, nacisnąć guzik, gotowa kawa płynie do kubka. Tak naprawdę to komputer umiejący robić kawę, podsumował Manzano i wetknął drugą kapsułkę dla Shannon.

– Małą, ale mocną – poprosiła.

Przycisnął po raz drugi, odczekał, podał jej naczynie. Czerwona lampka sygnalizowała, że pojemnik na zużyte kapsułki jest już pełny i należy go opróżnić. Manzano wyciągnął kasetkę, ale stwierdził, że w środku są tylko kapsułki ich dwojga. Mimo to wyjął je, wsunął szufladkę z powrotem, wziął swoją kawę i dosiadł się razem z Shannon do mężczyzn przy stole.

Ledwie usiadł, znowu wstał i jeszcze raz zainteresował się automatem do kawy. Czerwona lampka wciąż się paliła, mimo że przecież opróżnił pojemnik. Wyciągnął go znowu i wepchnął z powrotem. Czerwone światelko mrugało nadal.

– Wskaźniki – szepnął. – To prawdopodobnie wskaźniki.

– Co tam mamrocześ? – spytała Shannon.

Manzano wypił swoją kawę jednym haustem.

– W tych powiadomieniach o błędach przypuszczalnie chodzi tylko o wskaźniki!

– O jakie wskaźniki?

– Oprogramowania SCADA.

– I to podpowiedział ci automat do kawy?

– No właśnie.

Madryt

blond tancer sanskrit zap

erzwo cuhao proud baku tzsche b.tuck sarowi simon – Tych dwanaście nicków prowadzi ze sobą większość rozmów – powiedział do obecnych Hernandez Durán, zastępca kierownika wydziału przestępczości cybernetycznej i terroru w sieci należącego do La Brigada de Investigación Tecnológica w Madrycie. – Niektórzy z nich, jak blond i erzwo, mają jednoznaczne osobowości. Ten jest chyba fanem *Gwiezdnych wojen*. Intrygujący wydają się proud, zap, baku, tzsche, b.tuck i sarowi. – Zrobił znaczącą pauzę, po czym ciągnął: – Nasz kolega Belguer ma interesującą tezę, która może nam nieco przybliżyć motyw. Proud, zap, baku, tzsche, b.tuck mogłyby być (zwracam uwagę na tryb przypuszczający), tak więc mogłyby być skrótami od nazwisk. Takich jak: Proudhon, Zapata, Bakunin, Nietzsche i Benjamin Tucker.

Przejęcie władzy przez wojsko na szczęście na razie nie sparaliżowało ich pracy, nawet jeśli każdy w sali obawiał się konsekwencji. Ale po raz pierwszy pojawiła się słaba nadzieja, że wpadli na ślad sprawców katastrofy.

– Zapata i Nietzsche coś mi nawet mówią – wtrącił jeden ze słuchaczy. – O innych co prawda już kiedyś słyszałem, ale...

Na początku otrzymane pliki analizowali sami specjaliści IT. Wkrótce jednak dołączyli do nich także inni fachowcy. I wtedy socjolog Belguer wysunął swoją tezę.

– Pierre-Joseph Proudhon – wyjaśnił Durán – to Francuz żyjący w dziewiętnastym wieku. Jest uważany za pierwszego anarchistę. Znana jest wypowiedziana przez niego złota myśl: *La propriété c'est le vol*: „Własność jest kradzieżą”. Michał Bakunin, rosyjski arystokrata, też był wpływowym anarchistą dziewiętnastego stulecia. Benjamin Tucker należał już do następnej generacji. Ten Amerykanin przetłumaczył i wydał pisma Proudhona i Bakunina. Pod koniec dziewiętnastego i na początku dwudziestego wieku był jedną z najważniejszych osobowości sceny anarchistycznej w USA.

– Sami rewolucjoniści i anarchiści – powiedział ktoś inny. – O ile ta teza jest słuszna. Ale to wcale nie wydaje się takie niedorzeczne, jeśli wziąć pod uwagę, do czego oni doprowadzili.

Berlin

– Wreszcie dobre wiadomości.

Michelsen zadała sobie pytanie, czy ona też przez minione dziesięć dni postarzała się o dziesięć lat jak jej rozmówczyni.

– Tylko częściowo – sprostowała pani minister środowiska i wskazała na ekran poprzecinany zielonymi i czerwonymi liniami. – Wprawdzie pierwsi operatorzy mają już kontrolę nad swoimi centrami dyspozycyjnymi i serwerami, ale niestety nie ci, na których obszarze znajdują się elektrownie atomowe Philippsburg, Brokdorf, Gundremmingen i Grohnde. Sytuacja w Grohnde jest nieznana, prawdopodobnie większa liczba prętów paliwowych stopiła się w odstojnikach. Przystąpiono do ewakuacji w promieniu pięciu kilometrów od obiektu, mimo że na razie nie stwierdzono szkodliwych dla zdrowia wartości promieniowania. Operator Brokdorfu utrzymuje, że sytuacja się poprawiła, gdy na miejsce dotarły niezbędne części zamienne do agregatów prądotwórczych. W Gundremmingen dzięki zaimprovizowanym systemom chłodzenia prawdopodobnie udało się zapobiec stopieniu się rdzenia. Przynajmniej na razie.

– Ale nie wie pani tego na pewno? – zwrócił uwagę Rhess.

Pani minister pokręciła głową.

– Poza Brokdorfem nigdzie nie stwierdzono podwyższonego poziomu promieniowania radioaktywnego w otoczeniu.

– A Grohnde?

– Martwi nas najbardziej. Jedyne jeszcze jako tako funkcjonujący system awaryjnego zasilania ciągle szwankuje. Jakie to mogło mieć skutki dla reaktora, nie wiadomo. Można przypuszczać, że jest w stanie krytycznym. Jeśli przestanie działać i on, wtedy...

– Jak długo jeszcze jesteśmy w stanie mieć kontrolę nad reaktorami? – spytała Michelsen.

– Operatorzy twierdzą, że panują nad sytuacją – odpowiedziała pani minister. – Natomiast niektórzy z naszych ekspertów uważają, że za dzień lub dwa może być gorzej. A w Grohnde nawet za kilka godzin.

– A co wiadomo o wydarzeniach w placówkach wymiaru sprawiedliwości? – spytał kanclerz.

– Rząd Nadrenii-Palatynatu od wczoraj nie ma żadnego kontaktu z zakładem karnym w Trewirze – przyznał minister sprawiedliwości. – Nikt nie wie, czy udało się zapanować nad masowym buntem i ucieczką tamtejszych więźniów. Ucieczkę dosłownie wszystkich osadzonych potwierdzają zakłady w Waldheimie, Schwerte, Fuhlshüttel, Neuburgu-Herrenwörth i Rottweil.

– O jakiej liczbie przestępców na wolności mówimy?

– Nie potrafię określić dokładnie – przyznał szczerze minister. – Z Drezna nadeszła wiadomość, że wzburzony tłum zaatakował siedzibę saksońskiego parlamentu i próbował rozprawić się ze sztabem kryzysowym. Doszło do starć z policją, nie obyło się bez ofiar śmiertelnych. Ich liczba nie jest jeszcze znana.

Nagle zamarł. Ze wzrokiem utkwionym w czymś, co nagle zobaczył, podniósł się z krzesła i podszedł do okna, które wychodziło wprost na Szprewę. Pozostali zrobili to samo.

Michelsen nie mogła uwierzyć własnym oczom. Przeciwnym brzegiem rzeki szła za bezlistnymi drzewami żyrafa z dwójką młodych. Widok majestatycznie kroczących zwierząt wprowadził ich wszystkich w nieoczekiwaną zadumę. W absolutnym milczeniu śledzili spacer tego osobliwego trio, dopóki nie zniknęło im całkiem z pola widzenia.

– Co to było? – spytał minister spraw wewnętrznych.

– Zwierzęta z zoo – odezwał się sekretarz stanu Rhess. – Leży zaledwie dwa i pół

kilometra stąd. I chyba jest całkiem bezpieczne.

– A zwierzęta? – spytał ktoś z sali. – Lwy, tygrysy?

– Obawiam się... – bąknął Rhess.

Ratingen

– Proszę – powiedział Dienhof. – Nie mam pojęcia, jak ci z Europolu na to wpadli, ale mają rację. Uważają, że powinniśmy szukać widżetów w standardowych bibliotekach...

Wickley nie był pewien, czy już kiedyś doznał czegoś podobnego. Odnosił wrażenie, jakby stanął na skraju przepaści, a za swoimi plecami miał stado psów obronnych spragnionych krwi.

– Odkryliśmy ten kod jakieś pół godziny temu. Dla uproszczenia przełożyliśmy go na pseudokod. Żeby każdy zrozumiał, o co chodzi.

– To bardzo uprzejme z pana strony – wtrącił Wickley tonem dającym Dienhofowi do zrozumienia, że on rozumiałby także kod oryginalny.

Co oczywiście nie było prawdą, ale przecież, jako prezes zarządu, musiał starać się zachować pozory własnej kompetencji.

Pochylił się nieco do przodu, aby móc dojrzeć wspomniane zdania:

po terminie i we wszystkich strefach czasowych
kiedy godzina = 19:23 (dowolna liczba od 1 do 40)

dla 2% wszystkich obiektów,
zmienić status obiektu na inną wartość,

pokazać odpowiedni inny kolor

przesłać do wyjściowego programu informację zwrotną o zmianie statusu.

– To znaczy – zaczął wyjaśniać Dienhof – że...

– ...wskaźniki w centrach dyspozycyjnych sygnalizują na chybił trafił błąd, który w ogóle nie wystąpił. – Wickley zakończył za niego tłumaczenie. – To jest – dodał szeptem – bardzo perfidne.

W głowie kotłowały mu się myśli, co ma zrobić dalej. Jeśli prawdą jest to, co Dienhof próbował mu powiedzieć, to jednym z głównych odpowiedzialnych za tę masową katastrofę jest Talafer.

– Istotnie – potaknął Dienhof. – Mylne sygnały wskaźników same w sobie w żaden sposób nie szkodzą urządzeniom i nie zakłócają ich pracy, bo one wciąż działają bez zarzutu. Tak więc elektrownie mogły bez problemu pracować dalej. Ten, kto to zaimplementował, oparł się na najbardziej krytycznym punkcie systemu...

– ...i ludzi.

W głębi ducha Wickley był pełen podziwu dla autora tej minimalnej zmiany. Ten ktoś doskonale zrozumiał, o co chodzi. Mądra głowa. Diabolicznie mądra głowa.

– Oznacza to, że wszystkie mechanizmy elektrorni są w pełni sprawne, tylko że...

– ...personel w centrum dyspozycyjnym otrzymuje meldunek o jakimś błędzie – dokończył Dienhof.

– Na przykład, że liczba obrotów generatorów jest za niska. A wcale nie jest. W reakcji na taką informację obsługa podejmuje kroki, żeby zwiększyć liczbę obrotów.

Dienhof skinął głową.

– I generatory zaczynają pracować na wyższych obrotach, niż powinny – kontynuował Wickley. – W najgorszym wypadku ulegają samozniszczeniu, dochodzi do wahania napięcia i wreszcie do wyłączenia prądu.

Dienhof uzupełnił:

– Ale wystarczy zafalszować wskaźnik nawet paru wentyli, żeby personel stracił głowę i zaczął podejmować złe decyzje.

Im dłużej Wickley się nad tym zastanawiał, był pod tym większym wrażeniem.

Ktokolwiek wprowadził ten szkodliwy kod, niewielkim nakładem pracy i czasu osiągnął maksymalny efekt. I mógł sobie jeszcze nawet wmawiać, że w gruncie rzeczy nie zrobił nic szczególnie złego. Najwyżej spowodował, że kilka lampek zapalało się nie wtedy, kiedy trzeba. Do rzeczywistej szkody doprowadzili sami pracownicy elektrowni, którzy na podstawie fałszywych wskaźników na pulpicie sterowniczym podejmowali z gruntu niewłaściwe kroki.

- Czy ludzie z Federalnego Urzędu Kryminalnego wiedzą już o tym?
- Najpierw chciałem pana poinformować.
- Słusznie. Czy ten element oprogramowania jest przyczyną problemów we wszystkich elektrowniach, z których otrzymaliśmy zgłoszenia?
- Do tej pory sprawdziliśmy zmodyfikowany podprogram w pięciu z naszych systemów SCADA. I w każdym znaleźliśmy ten wirus. Nie zdziwiłbym się, gdyby tkwił także we wszystkich pozostałych.
- Ale jak on się mógł tam w ogóle znaleźć? I przez kogo?
- Tego powinniśmy się dowiedzieć z logów w naszym systemie administrowania kodem źródłowym. O ile nie upłynęło już za dużo czasu.
- A jak to możliwe, że przedostał się przez nasze zabezpieczenia? I dlaczego uaktywnił się dopiero teraz?
- Zadaje pan dużo pytań – westchnął Dienhof. – Na większość nie znamy jeszcze odpowiedzi.
- A na które znamy?
- Wiemy, kiedy nastąpiła aktywacja. Prawdopodobnie kod został zainstalowany na tej samej zasadzie co bomba zegarowa. A coś takiego daje się skutecznie ukryć przed testami bezpieczeństwa. Taką bombę można uruchomić na wiele sposobów: przez wprowadzenie prostego polecenia, określonej daty, wstawienie jakiejś globalnej niezmienniczej gdzieś w innym miejscu lub jeszcze inaczej. Będziemy to wiedzieć za kilka dni.
- I co jeszcze? Jak to możliwe, że dotkniętych zostało tyle elektrowni? Przecież systemy SCADA nie wychodzą spod jednej sztancy, to są systemy szyte na miarę.
- To prawda. Ale w odniesieniu do pewnych standardowych funkcji wymaganych przez każdą elektrownię stosujemy, począwszy od drugiej generacji SCADA, we wszystkich systemach sterowania jednakowe standardowe biblioteki.
- Czyli ta bomba z opóźnionym zapłonem drzemała w takiej bibliotece?
- Konkretnie w bibliotece widżetów mieszczącej najczęściej stosowane symbole graficzne.
- One są takie same dla wszystkich elektrowni?
- Podlegający kontroli element działa: światełko zielone. Nie działa: światełko czerwone. Tak jest we wszystkich elektrowniach, które wyposażaliśmy. Nie miałyby najmniejszego sensu tworzenie za każdym razem całkiem od nowa podstawowych elementów systemu sterowania, które w każdej elektrowni mają jednakowe zadanie do wykonania. To oznaczałoby dodatkowe koszty, poza tym byłoby bardziej skomplikowane w konserwacji, a także przy aktualizacji oprogramowania.
- I Dragenau dostał się właśnie do takiej standardowej biblioteki?
- Tak. Ale ci dwaj pozostali też.
- Dla Wickleya nie najistotniejsze było to, kto i kiedy przesznuł bombę do ich programów. Tym nieszczęśliwie zawracał sobie teraz głowę. Najważniejsze, żeby straty Talaferu były jak najmniejsze.
- Jak możemy rozwiązać ten problem?
- Opracujemy nową wersję biblioteki bez szkodliwego kodu i zainstalujemy ją w

elektrowniach. Przy działającym internecie po obu stronach to kwestia zaledwie kilku godzin.

Wickley ostro zmierzył go wzrokiem.

– Przecież jeszcze nie wszyscy go mają.

– Możemy wysłać posłańców ze zaktualizowanymi danymi.

– Elektrownie są rozsiane po całej Europie.

– Przypuszczam, że w zaistniałych okolicznościach Federalny Urząd Kryminalny zadba o to, aby dać nam do dyspozycji odpowiednią liczbę ludzi i środków transportu.

– Czy nie możemy wyłączyć policji kryminalnej z tej operacji?

– Jeśli sami znajdziemy tylu kurierów... – odpowiedział Dienhof.

– Ale nawet wtedy i tak się raczej rozejdzie, że po tym, jak Talafer rozesłał swoich ludzi, problemy się skończyły. Zaczną się pytania. Musimy znaleźć sposób wzbudzający mniej podejrzeń. Czy nie przeprowadzamy jakichś rutynowych aktualizacji, w ramach których moglibyśmy skorygować także te dane?

– Oczywiście. Ale nie da się tego zrobić we wszystkich elektrowniach jednocześnie. Poza tym również wtedy wcześniej czy później wyszłoby na jaw, że wraz z tą aktualizacją problemy ustąpiły, czyli że źródłem problemów były systemy Talaferu.

Wickley powstrzymał się od głośnego przekleństwa.

– Proszę zacząć prace nad pozbawionym błędów oprogramowaniem – polecił Dienhofowi.

– Prace już trwają.

– Tymczasem zastanowimy się, w jaki sposób zaimplementujemy je w elektrowniach. – Zauważył pełne irytacji spojrzenie Dienhofa. – Na razie jest to wyłącznie nasza wewnętrzna sprawa – dodał. – Europolowi, policji kryminalnej i innym instytucjom nie chce pan chyba przysparzać kłopotów, tylko raczej zaprezentować im gotowe rozwiązanie.

Londyn

– „*Struck the motherlode*” – zaśpiewał Phil McCaff gdzieś głęboko w zakamarkach centrali Secret Intelligence Service, powszechnie nazywanej MI6.

Już od tygodnia nie opuszczał budynku w Vauxhall Cross. Jego sąsiedzi przy komputerach podnieśli wzrok.

– Spójrzcie! – krzyknął.

Przez projektor wideo rzucił na ścianę widok ze swojego ekranu. Zaznaczył dwa wiersze analizowanej rozmowy:

erzwo: ok, got it.

tzsche: almost midnight. time to go to bed.

Enjoy your breakfast.

– To zdanie pochodzi z rozmowy, która odbyła się kilka tygodni temu – wyjaśnił. – Tzsche i erzwo już znamy, obaj należą do ścisłego kręgu. U tzsche jest już prawie północ, tymczasem erzwo zamierza właśnie zjeść śniadanie. Co to nam mówi?

– Że obaj siedzą w dwóch różnych końcach świata – stwierdziła Emily Aldrige.

– Zgadza się. A tu mam jeszcze jeden wpis, starszy.

Fry, -97, 6:36 GMT

baku: Raining coats and dogs. Thought it was a sunny country.

zap: full moon here. No cloud.

– Czy oni nie mają nic innego do roboty niż paplać o pogodzie? – spytał Donald Kean.

– To jest genialne – powiedziała w zamyśleniu Aldrige. – Nie macie tego więcej?

– Całe mnóstwo – odrzekł McCaff. – Szukałem według określeń pogody i pór dnia.

Rzucił na ścianę mapę świata.

– Do tej mapy mogę załadować pozycję słońca, fazy księżyca, prognozy pogody i wiele innych rzeczy z różnych baz danych. I tak też zrobiłem. Znając datę i godzinę rozmowy, jestem w stanie dosyć dokładnie ustalić lokalizację zapa.

– To gdzieś w Ameryce – stwierdziła Aldridge.

– A u drugiego właśnie pada i dlatego tęskni za słońcem.

– Czyli tam jest jeszcze dzień – podsumował Kean. – Albo znowu dzień.

– Po przeanalizowaniu jeszcze innych tego rodzaju wypowiedzi doszedłem do wniosku, że mamy do czynienia z co najmniej dwiema grupami. – Popatrzył po wszystkich, odczekał, aby ta informacja do nich dotarła. – Chciałbym, żebyście to jeszcze raz sprawdzili, ale jestem raczej pewny, że jedni siedzą w Ameryce Środkowej, a drudzy na wschodnim wybrzeżu Morza Śródziemnego.

Haga

– To bardzo nam pomoże! – krzyknął Bollard. – Wyciągnął kartkę z drukarki, przebiegł tekst wzrokiem. – *Bien!* – bąknął. – *Très bien.*

Wydruki, zdjęcia, notatki z najrozmaitszymi ustaleniami pokrywały już trzy ściany centrum dochodzeniowego. Ostatnia część, zajmująca całą krótszą ścianę, była poświęcona wyłącznie podejrzanym. Wciąż jeszcze nie byli pewni, czy ów Jorge Pucao i jego osoby kontaktowe rzeczywiście mają coś wspólnego z wyłączeniami prądu. Jednak podejrzenie, że są coś zamieszani, właśnie znowu się potwierdziło.

Na ścianie wisiało ponad trzydzieści portretów. Zwłaszcza wokół jednego nagromadziło się w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin mnóstwo notatek. Zdjęcie ukazywało twarz szczupłego trzydziestolatka z trzydniowym zarostem, w modnych, kanciastych okularach i ze starannym przedziałkiem po lewej stronie półdługich włosów. Powyżej widniał napis: „Balduin von Ansen”. Pozostałe wizerunki też były opatrzone nazwiskami. Pod fotografiami wisiało sześć kartek A4 ze skomplikowanymi grafikami. Dziesiątki linii biegło od kwadratu do kwadratu, w które wpisano nazwiska i przeróżne kombinacje liter i cyfr.

– Mamy już potwierdzenie – oświadczył Bollard stojącym wkoło – że te dwa miliony z konta Karyon Ltd. na Guernsey zostały przelane w siedmiu transzach w ciągu sześciu miesięcy na konto Utopia Enterprises na Kajmanach, a także na rachunek Hundsrock Company w Szwajcarii. Stamtąd poszły dalej na konto Bugfixu w Liechtensteinie i jakieś konto numerowe w Szwajcarii. Wspólnikiem Bugfixu, zgodnie z rejestrem handlowym firmy konsultacyjno-software’owej z siedzibą w Tallahassee, USA, jest Siti Jusuf. Kolejny to John Bannock, jeden z dwóch Amerykanów, którzy mieli kontakt z Jorge Pucao i po których od jesieni 2011 ślad zaginął.

Na schemacie z licznymi prostokątami i liniami Bollard naniósł odpowiednie informacje.

– Ale z tych kont pieniądze przelano bezpośrednio na inne. Staramy się o dostęp do nich. Powinniśmy uzyskać go w ciągu najbliższych godzin. Instytucje finansowe są bardzo chętne do współpracy. Także z kolejnymi czternastoma milionami Ansena mamy sobie radę. Kiedy trzeba sięgać do rezerw, gotowość kooperacji rośnie – zauważył. – Mimo braku prądu w niektórych krajach. Albo właśnie dlatego.

Dokumentację kazał sobie przysłać bezpiecznym kanałem komunikacji. Zamachowcy nie musieli wiedzieć, że Europol i parę innych instytucji są na ich tropie.

– Właśnie dostałem informację od londyńskich analityków, że według nich podejrzani pracują w dwóch siedzibach: jedna z nich jest w Meksyku, a druga we wschodniej części basenu Morza Śródziemnego albo na Bliskim Wschodzie. Czyli musimy sprawdzić transfery pieniężne głównie w tamtych kierunkach.

Follow the money. W przypadku najemników ta droga zaprowadziła ich donikąd, ale jeśli chodzi o niemieckiego dziedzica fortuny, sytuacja wyglądała zdecydowanie lepiej. Najwyraźniej od swojego ojca, bankiera, ów młody człowiek nie nauczył się zbyt wiele w kwestii dyskretnego przepływu gotówki.

– To przecież było... – usłyszał mamrotanie Manzana.

Włoch oparł się o blat stołu obok jednego z analityków.

– Niech pan poszuka według... nie, to nie to... Stambul! Niech pan wrzuci Stambul! I... jakie to były nazwy? Chyba b.tuck. Proszę spróbować!

Mężczyzna wpisał zasugerowane hasła, pojawiło się kilkadziesiąt rozmów.

– To była stara dyskusja – myślał na głos Manzano. – Zwróciliśmy na to uwagę... Co najmniej sprzed trzech lat. Niech pan doda jeszcze 1200.

Na ekranie pojawił się jeden jedyny element.

date: thu, -1203, 14:35 GMT

– Kensaro: B.tuck podpisał Stanbul – Manzano przeczytał głośno wpis, który widział już w Brukseli. – Transakcja powinna być załatwiona do końca miesiąca. Simon: OK. Prześlę przez Costa Ltd. i Esmeralda pół na pół.

– Stanbul – powiedział Manzano. – Czy to nie przypadkiem Stambuł? Wschodnia część basenu Morza Śródziemnego. To by pasowało.

– Costa Ltd. i Esmeralda – odezwał się Bollard, który stanął obok Włocha. – To są nazwy firm. – Ogarnął spojrzeniem określenia na ścianie.

– Tam – powiedział wreszcie. – Esmeralda już była. Liechtenstein. Zwróciliśmy się o wykaz transakcji. Jak tylko je dostaniemy, zrobimy wydruk.

– Okej, a my sprawdzimy wszystkie wątki zawierające Stanbul, Stambuł czy Turcję. Shannon i Manzano szli przez ciemne korytarze do pokoju zastawionego łózkami.

– Myślisz, że dorwą tych gości? – spytała Shannon.

– Wcześniej czy później na pewno – odpowiedział wyraźnie zmęczony. Znaleźli się w pokoju. Oprócz nich nie było w nim nikogo. Podeszli do okna. Nad miastem unosiła się czerwonawa luna, w niektórych miejscach intensywniejsza, w innych bledsza. – Najważniejsze, żeby to wreszcie przerwali.

Zamilkli pogrążeni w myślach o wydarzeniach ostatnich dni. Shannon z zaskoczeniem odkryła, że jest w stanie przekroczyć granice, których by się po sobie nie spodziewała. Z Manzanem było jeszcze gorzej. Od kiedy został postrzelony, wyraźnie się zmienił. Stał się bardziej milczący. Nie opowiedział nikomu, co działo się w szpitalu tamtej nocy, kiedy Hartlandt znalazł Shannon, a nie jego. Jak uciekł przed psami. „Miałem szczęście” – tak to skwitował. Ona przypomniała sobie ostatnią noc. Poranek, kiedy obudziła się w ramionach Manzana. Nie było to niemiłe.

– Dziękuję – powiedział niespodziewanie w ciszy.

– Za co?

– Za to, że mnie tutaj mimo wszystko dowlokłaś.

Zdała sobie sprawę, że sytuacja robi się trochę niezręczna.

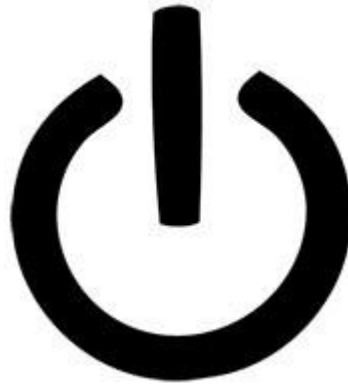
– A miałam jakiś wybór? – spytała. – Kto oprócz ciebie znalazłby RESET?

Usiadł na łóżku, ściągnął buty i się położył.

Shannon trochę niepokoiło to, że do tego pomieszczenia miały swobodny wstęp całkiem obce osoby. Swoją drogą w ciągu minionego dnia poznała wielu członków zespołu przynajmniej powierzchownie. Poza tym w ostatnie noce sypiała przecież w przeróżnych miejscach. Gdzie można się czuć bezpieczniej niż w siedzibie międzynarodowej policji? – zadała sobie pytanie i położyła się na swoim łóżku.

Słyszała głęboki, regularny oddech Manzana. Zasnął w ciągu dosłownie kilku sekund. Przykryła go kocem, wyłączyła światło i też wśliznęła się pod drapiący wełniany koc. Jej ciało zdawało się ważyć setki kilogramów. Leżała w ciemności, przysłuchiwała się miarowemu posapywaniu Włocha, odgłosom z zewnątrz, niektóre brzmiały jak strzały. Najlepiej byłoby zasnąć, może sny będą lepsze niż rzeczywistość.

Dzień 12. – Środa



Haga

Bollard przypiął zdjęcie budynku obok wydruków dotyczących Balduina von Anseny. Architektura domu nie od razu stała się dla Manzana przejrzysta.

– Ten kompleks w azjatyckiej części Stambułu kupiła półtora roku temu firma o nazwie Süper Kompüter, która według naszych tureckich informatorów wynajmuje go sześciu przedsiębiorstwom różnych branż. Nieruchomość leży w ruchliwej dzielnicy miasta, gdzie swoje siedziby ma wiele międzynarodowych firm, dlatego widok cudzoziemca nie jest tu niczym nadzwyczajnym. Nasi tureccy koledzy wniknęli trochę głębiej w relacje właścicielskie przedsiębiorstw i przyjrzeni się bliżej ich interesom, badając relacje z bankami i urzędami skarbowymi w ubiegłych latach. Pierwszy celny strzał odnotowali już przy właścicielach. Dyrektorem zarządzającym jednego z nich jest John Bannock, którego już znamy. Udziałowcem drugiego jest doktor Lekue Birabi, znajomy Pucao z Nigerii. – Mówiąc to, powiesił na ścianie kolejny wydruk. – Na konto Süper Kompüter wpłynęło w sumie około dwóch milionów euro od Costa Ltd., Esmeralda i dwóch innych firm. – Stuknął palcem w zdjęcie pozbawionej jakiegokolwiek wyrazu budowli. – Należy przypuszczać, że właśnie tutaj siedzi część terrorystów. Nasi koledzy z Turcji mają go już pod obserwacją.

Ratingen

- Czy sprawdziliście tę sugestię? – spytał Hartlandt.
- Wskaźniki aparatury? Tak – odpowiedział Wickley. – Niczego nie znaleźliśmy.
- Proszę pokazać te elementy oprogramowania moim ludziom – zażądał Hartlandt. –

Niech oni też się im przyjrzą.

Wickley i Dienhof wymienili krótkie spojrzenia, które nie umknęły uwadze Hartlandta.

– W czym problem? – rzucił ostro.

– Oczywiście, otrzyma pan to, co pan chce – odparł prezes zarządu. – Dienhof, proszę się tym zająć.

Hartlandt odniósł wrażenie, że Dienhof obrzucił swojego szefa dziwnym wzrokiem, i w ogóle miał poczucie, że oni obaj coś przed nim ukrywają. Wickleya raczej nie uda mu się złamać, ale Dienhof dawał pewną szansę.

– Działające elektrownie są nieodzowne dla podniesienia sieci – Hartlandt powiedział coś, co dla tamtych dwóch było oczywiste. Musiał jednak zwłaszcza Dienhofowi uzmysłwić wagę tego twierdzenia. – Operatorzy sieci są już bliscy odzyskania równowagi, jednak potrzebują odpowiednio wielu producentów będących w stanie dostarczać prąd. W dwóch elektrowniach atomowych sytuacja jest bardzo krytyczna. Ja wiem, że wasza firma nie dostarcza oprogramowania dla elektrowni atomowych, ale oba te obiekty potrzebują pilnie zasilania z regularnej sieci. Słyszeli panowie o katastrofie we Francji?

Uważnie obserwował reakcję obu na swój wykład.

– Potworność – powiedział Wickley.

Dienhof tylko pokiwał głową.

– Nie wolno nam dopuścić do czegoś takiego u nas.

Czekał.

– Chciałbym panu, hmm... – Dienhof odchrząknął – coś pokazać.

Wickley na moment przymknął oczy, a kiedy je otworzył, Hartlandt zrozumiał, że wygrał.

Berlin

– Sześćdziesięcioosobowy zespół GSG 9 i grupa brytyjskich sił specjalnych są już w drodze, żeby ewentualnie wesprzeć tureckich kolegów – relacjonował minister spraw zagranicznych.

– Jak to ewentualnie? – spytał kanclerz Niemiec.

– Bo nie mamy jeszcze potwierdzenia, czy podejrzani tam się znajdują.

– Poza tym aresztowanie ich czy unieszkodliwienie prawdopodobnie i tak nam nie pomoże w szybszym przywróceniu sieci do pracy – wtrącił minister spraw wewnętrznych.

– Z Philippsburga i Grohnde napływają niepokojące wiadomości – dodała minister środowiska. – Dostawy ropy już jakiś czas temu dotarły na miejsce, mimo to nadal nie udaje się odzyskać kontroli nad systemem awaryjnego zasilania.

– Zarządzono ewakuację w promieniu pięciu kilometrów – wyjaśniła Michelsen w odpowiedzi na pytające spojrzenie kanclerza. Czuła się nieopisanie zmęczona. – Sztab kryzysowy Badenii-Wirtembergii ma trudności z utrzymaniem komunikacji z miejscowymi czynnikami decyzyjnymi. W drodze są jednostki specjalne Bundeswehry. W Dolnej Saksonii mają więcej szczęścia. Na wschód od Grohnde, wokół Hildesheim, istniała wyspa energetyczna, którą w ostatnich godzinach udało się sukcesywnie poszerzyć. W takich warunkach łatwiej jest koordynować ewakuację. Dopóki i wyspa nie zostanie też objęta ewakuacją.

– Zdaje się, że istnieją co najmniej dwie centrale terrorystów? – spytał kanclerz.

– Przypuszcza się, że ta druga znajduje się w Meksyku – potwierdził minister spraw wewnętrznych. – Niewykluczone, że tamta kieruje atakiem na Stany Zjednoczone.

– Czy to dzisiaj ma jakiegokolwiek znaczenie? – zdziwił się kanclerz. – Skoro atakują nas za pośrednictwem internetu, to mogą to robić z każdego miejsca na świecie. Co nam to da, jeśli unieszkodlimy tych ze Stambułu? Wtedy zastąpią ich tamci z Meksyku. Przypuszczalnie tak to jest pomyślane.

McLean

– Mexico City to istny moloch – powiedział Shrentz. – Był pan tam kiedyś?
– Dla mnie wystarczającym molochem jest już Waszyngton – odpowiedział Price.
– Dziewięć milionów mieszkańców – dodał Shrentz. – Wymarzone miejsce, żeby się zaszyć.

– Przejdźmy do rzeczy.

Shrentz rozłożył przed Price'em wydruki list i zdjęć. Niektóre pokazywały twarz jakiegoś mężczyzny, a inne, mniej ostre – jego całą sylwetkę. Były też fotografie budynku.

– Przepływy pieniężne dokonywane przez podejrzanych, którymi Europol zajmował się już od paru dni, doprowadziły do tego budynku w Mexico City. Został kupiony dwa lata temu przez niejakiego Norberta Butlera. To obywatel amerykański pozostający od lat w ścisłym kontakcie z innymi głównymi podejrzаныmi, fanatycznymi antypaństwowcami, aktywny przy założeniu Partii Herbacianej w roku 2009, cztery miesiące temu gdzieś się zamelinował.

– To on współpracuje z takimi lewicowymi anarchistami jak Pucao czy Afrykańczyk Lekue Birabi?

– Nieważne, czy z lewicowymi, czy z prawicowymi; grunt, że zwracają się przeciwko państwu. Jednoczy ich nienawiść do panującego porządku i cel, jakim jest zastąpienie go innym.

– Ale przecież on nigdy nie podniósłby ręki na amerykańskich obywateli.

– A dlaczego nie? Najpotworniejszy atak terrorystyczny przeprowadzony przez obywatela USA przeciwko swoim rodakom na terenie Stanów Zjednoczonych miał źródło też w tej samej postawie politycznej: w nienawiści do państwa. Timothy McVeigh nie miał najmniejszych skrupułów, by podczas swojego zamachu w Oklahoma City w 1995 wysadzić w powietrze nawet przedszkole.

– Wielu obywateli amerykańskich kupuje nieruchomości w Meksyku.

– Ale tylko Butler już od lat miał kontakty z podejrzаныmi. Z informacji uzyskanych od meksykańskich władz wyłania się podobny obraz jak w Stambule. Zagmatwana struktura firm, potężne łącza internetowe w ich siedzibach. Policja meksykańska przystąpiła do obserwacji.

– Poinformuję prezydenta.

Haga

– Ty chcesz teraz wyjechać?

Bollard słyszał panikę w głosie swojej żony.

– Oczywiście, że nie chcę. Ale muszę. Jesteśmy bliscy zakończenia tej katastrofy i ujęcia jej sprawców.

Stali przed kominkiem, w jedynym ciepłym miejscu ich domu. Dzieci przyłgnęły do matki, patrząc na niego wylęknionymi oczami. Wskazał na paczki, które postawił przy drzwiach.

– W środku jest jedzenie i woda na trzy dni. Może jutro będziecie już znowu mieć prąd. A pojutrze pewnie będę z powrotem.

– Czy to jest niebezpieczne, co tam robisz, tatusiu? – spytała Bernadette z z troskaniem.

– Nie, skarbie.

Zauważył spojrzenie żony.

– Naprawdę – zapewnił ją. – Do operacji krytycznych używa się sił specjalnych.

Marie odsunęła dzieci nieco na bok.

– Idźcie się pobawić.

Posłuchały jej niezbyt chętnie i pozostały jednak w pobliżu.

– Przecież wszędzie panuje anarchia – syknęła przez zęby.

– Masz pistolet. – Jej pełne przerażenia spojrzenie mówiło mu, że broń, którą jej zostawił, była dla niej bardziej zagrożeniem niż ochroną. – Pojutrze, kiedy już będzie prąd.

– Możesz to zagwarantować?

– Tak – skłamał najlepiej, jak potrafił.

Jego żona przyjrzała mu się uważnie, po czym spytała: – Masz jakieś wiadomości od rodziców?

– Na razie nie. U nich na pewno wszystko w porządku.

Orlean

– Nie powinnaś na to patrzeć – powiedziała Celeste Bollard i położyła dłoń na ramieniu Annette Doreuil.

Annette Doreuil nie pozwoliła, by Celeste Bollard uniemożliwiła jej obserwowanie sceny, która się przed nimi rozgrywała.

W odległości około pięćdziesięciu metrów mężczyźni w rękawicach i w maskach na twarzy zdejmowali z platformy ciężarówki martwe ciała. Trzymając je za ręce i nogi, rzucali do dołu o długości mniej więcej dwudziestu metrów i szerokości pięciu metrów. Głębokości nie potrafiła ocenić.

Na skraju wykopu stał ksiądz i kropił zwłoki święconą wodą. Z kamienną twarzą i ze splecionymi dłońmi śledziła ten spektakl w milczeniu. Kilka kroków od niej stała samotnie starsza kobieta, nieco dalej młoda para zalewała się łzami, w sumie dobrze ponad dwadzieścia osób uczestniczyło w tym prowizorycznym pochówku.

Doreuil rozpoznała szczupłe ciało swego męża w ramionach mężczyzn. Zamachnęli się i ciało zniknęło w dole. Annette Doreuil szepnęła *Adieu* i przygryzła wargi. Pomyślała o córce i wnukach, o ich wizycie, na którą on się tak cieszył i której nie doczekał.

Kiedy mężczyźni wrzucili do masowego grobu ostatnie zwłoki, sięgnęli po worki i wysypali z nich na wierzch jakiś biały proszek. Na koniec spychacz zsunął pryzmę ziemi do dołu.

Doreuil słyszała, jak ktoś obok niej płacze. Czowała, że drży jej dolna warga, mocno przygryzła ją zębami. Stała tak przez kilka dobrych minut – nic nie widziała, nic nie czuła, tylko głęboką pustkę. Wreszcie poddała się lekkiemu naciskowi Celeste Bollard. Miały jeszcze długą drogę do pokonania na piechotę z powrotem do obozu tymczasowego. Przeżegnała się, szepnęła ostatnie *Adieu* i ruszyła przed siebie.

Centrum dowodzenia

Siti Jusuf to zauważył. Analizował monitorowaną komunikację od początku awarii i dokonał istotnej obserwacji. Gdy sprawdził częstotliwość określonych słów kluczy, natrafił na interesującą prawidłowość. Właśnie interesującą – tak ją nazwał. Od niedzieli nie tylko zmniejszył się zakres wymienianej korespondencji, ale zmianie uległ także zestaw najczęściej pojawiających się słów kluczy. W pierwszym tygodniu po ataku centra kryzysowe i instytucje państwowe wymieniały się informacjami na temat zorganizowania pomocy, lecz również poszukiwania sprawców. Pojęcia takie jak „śledztwo” czy „terroryści” znajdowały się na szczycie listy używanych słów. Tymczasem osłabieniu komunikacji towarzyszyło też coraz rzadsze używanie właśnie tych konkretnych określeń. Drastycznie rzadsze. W gruncie rzeczy one zniknęły prawie całkowicie.

W niedzielę zwrócili uwagę na e-maila, w którym pracownicy instytucji państwowych otrzymali polecenie, by uruchamiali swoje komputery wyłącznie w sytuacjach naprawdę koniecznych. To stanowiło wyjaśnienie ograniczonej ilościowo komunikacji.

A co, jeśli ta wiadomość wcale nie była przeznaczona dla wspomnianych pracowników, tylko dla nich?

Jeśli ktoś odkrył, że są monitorowani, i dlatego wysłał takiego e-maila, aby monitorujący go przeczytali? I w ten sposób wytłumaczyli sobie zmianę w schemacie komunikacji?

Rozgorzała gorąca dyskusja. Niektórzy się zdenerwowali. Przypomnieli e-mail, który odkryli dopiero poprzedniego dnia, z zaznaczonym zdjęciem. Mail, który został wysłany dzień przed wiadomością o oszczędzaniu energii.

Czy to dlatego nie znajdowali już żadnej komunikacji na ten temat? Bo prowadzono ją poza monitorowanymi kanałami? Czyżby policja i służby wywiadowcze z połowy świata już dawno deptały im po piętach?

Ale nawet jeśli ktokolwiek dotarłby do ich nazwisk, zauważył ktoś inny, i tak nie miałyby szansy ich znaleźć, bo starannie pozacierali ślady, wprowadzili fałszywe. Nie mają się czego obawiać. Przygotowali wszystko także już na później. Nowe nazwiska, nowe paszporty, nowe życie. Tylko teraz muszą bardziej uważać. Ale również na wypadek całkiem nieprawdopodobnej sytuacji, gdyby ktoś spróbował przeszkodzić im w doprowadzeniu ich misji do końca, przygotowali plan B. Ich można było zatrzymać. Ale podjętego przez nich dzieła – nie.

Transall

– Bingo – szepnął Bollard, pochylając się nad laptopem.

Wśród huku samolotu nikt nie słyszał, co powiedział.

Zaraz po odkryciu potencjalnej centrali terrorystów w Stambule Bollard udał się helikopterem na lądowisko wojskowe Wahn przy lotnisku Kolonia/Bonn. Tam przesiadł się do maszyny niemieckiej Bundeswehry, którą przyleciały już jednostki GSG 9 z pobliskiego Sankt Augustin.

W samolocie była łączność satelitarna. Podczas całego lotu Bollard śledził na bieżąco najświeższe ustalenia wynikające z analizy RESET-u, a także informacje o wszelkich innych wydarzeniach.

Oczywiście nie zamierzał brać bezpośredniego udziału w ewentualnej akcji – nie miał do tego ani kompetencji, ani odpowiedniego wykształcenia. Dyrektor Ruiz życzył sobie jednak, aby na miejscu był obecny przedstawiciel Europolu zorientowany w śledztwie. I tak oto znalazł się w głośniejszej maszynie między sześćdziesięcioma wytrenowanymi mężczyznami, po których w ogóle nie dało się zauważyć zmęczenia ostatnich dni. Bollard nie rozumiał, o czym rozmawiają. Sądząc po sporadycznych wybuchach śmiechu, niewykluczone, że nawet żartowali. On siedział przy miniaturowym stoliku, wokół którego były jeszcze trzy miejsca. Dwa z nich zajęli dowódcy oddziałów. Obrócił komputer w taki sposób, aby również oni mogli widzieć ekran.

Pokazał im najnowsze zdjęcia domu w Stambule. Nieostre, ziarniste fotografie ukazywały dwóch mężczyzn opuszczających siedzibę i wchodzących do niej oraz trzeciego i jakąś kobietę w oknach budynku.

– Pedro Munoz – obwieścił triumfalnie Bollard, wskazując na pierwsze ujęcie. Po chwili wyświetlił także powiększony portret wymienionego. – John Bannock, Maria Carvalles-Tendido, Hernandez Sidon. – Również ich wizerunki wrzucił na ekran, aby siedzący przy stoliku mogli skojarzyć twarze z sylwetkami ze zdjęć z obserwacji. – Myślę, że wasi ludzie mogą przygotowywać się do akcji.

Brauweiler

Jochen Pewalski kierujący systemem sieci Amprion GmbH siedział w napięciu przed monitorami i obserwował, jak właściwy operator próbuje podnieść sieć w południowej części wschodnich Niemiec. On i jego rodzina do tej pory przetrwali tę trudną sytuacją całkiem niezle. Dzięki agregatowi prądotwórczemu w piwnicy mieli elektryczność, a zamontowany specjalnie na takie okazje bojler zaopatrywał ich w wodę. O wiele trudniej było poradzić sobie z nachodzącymi ich sąsiadami i krewnymi z najbliższej okolicy. Pewalski kategorycznie odsyłał ich z kwitkiem, jego żona natomiast nie zawsze była konsekwentna. Od czasu do czasu wpuszczała na kilka godzin do domu marznących, karmiła zgłodniałych i spragnionych. Oczywiście uszczuplało to ich własne rezerwy. Pewalski zrobił zapasy na trzy tygodnie. Na razie nie musiał się jeszcze martwić.

Od przedwczoraj, gdy zużyta została ostatnia kropla ropy, natłok potrzebujących wyraźnie zelżał.

On sam niewiele z tego korzystał, miał tylko pewność, że przynajmniej jego rodzinie nie dzieje się szczególna krzywda. Większość czasu bowiem spędzał w centrali. Już od wielu dni pracował ze zdziesiątkowaną załogą, a ostatnio nie był w stanie nawet obsadzić wszystkich stanowisk w jednej z najważniejszych w Europie central sterowania siecią. Często musiał sam podchodzić do jednego z licznych pulpitów z wieloma monitorami. Tak jak teraz. Jego sąsiad trochę się przesunął. Wciąż mając swój ekran na oku, próbował przy okazji śledzić, czy kolegom na wschodzie udaje się podnieść kolejny fragment sieci po tym, jak terminale i serwery ich centrum dyspozycyjnego znowu zaczęły pracować.

– Markersbach i Goldisthal już działają – stwierdził Pewalski.

Obie elektrownie szczytowo-pompowe blisko czeskiej granicy były gotowe do próbnego odpalenia. Trzeba tylko puścić wodę z położonych wyżej zbiorników na turbiny, a prąd znowu będzie wytwarzany. A to oznaczało, że bez pomocy z zewnątrz są w stanie na nowo podjąć pracę. Modlił się, aby osoby decyzyjne w porę pojęły, jak ważne dla przywrócenia sieci do ruchu jest to, aby rezerwuary były pełne, i miał nadzieję, że w kryzysowych chwilach czy pod naciskiem regionalnych polityków zabiegających o chwilową popularność nie zostały opróżnione.

Gdyby to się udało, wówczas operatorzy, korzystając z linii przesyłowej prowadzącej z Markersbach, przez Röhrsdorf, do Bärwaldu, mogliby podjąć próbę odpalenia Boxbergu, miejscowej elektrowni na węgiel brunatny. Elektrociepłownie takie jak Boxberg nie były zdolne podnieść się same, jeśli zostały wyłączone, a ich generatory uległy wychłodzeniu. Aby wystartować na nowo, potrzebowały dużej ilości energii z zewnątrz. Pewalski liczył na to, że łączność z Markersbachem przebiega bez zakłóceń. Elektrownia Lippendorf, również napędzana węglem brunatnym, otrzymałaby zasilanie z Goldisthal linią prowadzącą przez Remptendorf.

Gdyby odbudowanie tego małego fragmentu sieci się powiodło, wówczas wysunięty najbardziej na wschód obszar republiki stopniowo odzyskiwałby prąd, a potem dotarłby on także do strefy środkowej.

– No, dawaj! – szepnął sąsiad Pewalskiego. – Dawaj!

Berlin

Po raz kolejny na ekranach ukazały się znajome twarze, ale tym razem pojawiły się też nowe osoby z Portugalii, Hiszpanii i Grecji. Dowództwu NATO musiał dzisiaj wystarczyć tylko jeden monitor, bo do kryzysowego gremium dołączyły też Stany Zjednoczone.

Na ekranach w najniższym szeregu Michelsen obserwowała różne twarze z siedzib w Stambule i Mexico City widziane z perspektywy kamer monitoringu lub kamerek umieszczonych na hełmach. Obrazy z Turcji, gdzie panowała już noc, były zielone i niewyraźne, w Meksyku świeciło słońce.

Michelsen nie śledziła wcześniejszych dyskusji, ale od chwili odkrycia ewentualnych siedzib terrorystów ani przez chwilę nie wątpiono, że należy najszybciej jak to możliwe je zająć, a destruktorów unieszkodliwić. Cała komunikacja na ten temat odbywała się przez kanały stuprocentowo zabezpieczone przed podsłuchem, zamachowcy nie mogli choćby podejrzewać, że zostali zdemaskowani. Jednostki specjalne tureckiego Bordo Bereliler zaatakują cel w Stambule wspólnie z ludźmi GSG 9 i Secret Service. Do Mexico City przybyło właśnie dwustu żołnierzy Navy Seals, którzy przystąpią do podobnej operacji razem z oddziałami meksykańskimi.

Na jeden rozkaz w dwóch końcach świata uderzą równocześnie dwa zespoły operacyjne. W pierwszej kolejności siedziby zostaną za jednym zamachem pozbawione łączności internetowej i zaopatrzenia w energię elektryczną. Potem wkroczą oddziały specjalne.

– Dowody są porażające – powiedział kanclerz Niemiec. – Dajemy zielone światło. Czy ktoś ma jakieś zastrzeżenia?

Nawet generałowie NATO, których „chińska” hipoteza legła w gruzach, nie zabrali głosu.

Policjanci i żołnierze otrzymali jednoznaczny rozkaz, że za wszelką cenę mają dostarczyć podejrzanych żywych. Chociaż reaktywowanie sieci elektroenergetycznych w Europie z każdą godziną postępowało, nie chciano dopuścić do tego, by wraz ze śmiercią sabotażystów utracono szansę dostępu do prawdopodobnie ważnej wiedzy. Zwłaszcza że w Stanach Zjednoczonych cała operacja przebiegała inaczej, a więc niemożliwe było poznanie jej mechanizmów na podstawie wniosków wyciągniętych z europejskich wydarzeń.

– Wobec tego pora dać naszym ludziom rozkaz do rozpoczęcia akcji – podsumował prezydent Stanów Zjednoczonych.

Stambuł

Potrzebował świeżego powietrza. Każdy z nich siedział codziennie osiemnaście godzin albo więcej przed monitorami, więc chociaż krótkie wyrwanie się stamtąd było niezbędne. Wybrał drogę przez piwnicę. Specjalnie zrobili to dodatkowe przejście. Wprawdzie wiedział, że inni nie przestrzegali zasad bezpieczeństwa, on jednak o nich nie zapominał. Dlatego na świeże nocne powietrze wyszedł dwieście metrów dalej od ich siedziby, przez bramę sąsiedniego domu. Na dworze było nie więcej niż pięć stopni powyżej zera, mimo to na ulicy panował jak zwykle o tej porze ożywiony ruch, robiły się korki. Aż trudno sobie wyobrazić, że zaledwie kilkaset kilometrów stąd życie praktycznie zamarło. Za kilka tygodni czy miesięcy skutki tego staną się odczuwalne również tutaj i wcześniej czy później przyniosą ten sam ozdrowieńczy efekt jak w Europie czy w USA. Zapiął kurtkę i głęboko wciągnął powietrze. Szedł zrelaksowany wzdłuż wystaw sklepowych. Same zbędne śmieci. Wkrótce ludzie skupią się na czymś ważniejszym. Będą musieli. Czy samochody będą się palić również tutaj, tak samo jak działo się to teraz w europejskich i amerykańskich miastach, skąd nadawali relacje korespondenci azjatyckich i południowoamerykańskich stacji?

Spodziewał się, że w Turcji przed rozpoczęciem właściwej przemiany najpierw dojdzie do przejścia władzy przez wojsko, co na dłuższą metę i tak nic nie zmieni. Trąbienie klaksonów w narastającym korku robiło się coraz głośniejsze, wszystko stało. Kiedy usłyszał za sobą głuchy huk, odwrócił się. Kilka domów dalej z okien budynku błyskało światło, ponad jego dachem z hałasem opuszczał się helikopter, stopniowo zanurzając się w poświacie.

Przechodnie przystawali i jak zakłęci patrzyli na rozgrywającą się scenę. Reflektory oblały teraz ze wszystkich stron jaskrawym światłem jedną z fasad. To była ich siedziba. Rozległy się komunikaty, których nie rozumiał. Ale szybko domyślił się, co znaczą. Czuł, jak w kieszeniach zaciskają mu się pięści. Rozejrzał się ostrożnie, obserwował ludzi, popatrzył na samochody. Musi zachowywać się teraz tak, żeby jak najmniej rzucać się w oczy. Większość przechodniów gapiła się nadal, inni ruszyli swoją drogą. Kawałek dalej z przodu zauważył ciężarówkę z przyciemnionymi szybami. Tylne drzwi były otwarte, w środku siedziały dziesiątki policjantów. Jednego z nich rozpoznał natychmiast. To był Francuz z Europolu. Czyżby on naprawdę ich znalazł? Tak szybko?! W tym chaosie panującym na ulicy mógłby dosyć łatwo zbliżyć się do niego, żeby wyeliminować przynajmniej jego i jeszcze paru innych. Hałas był ogłuszający.

Haga

Rany boskie, to przecież nie jest transmisja meczu piłki nożnej, pomyślał Manzano. Przyrzekł sobie, że nie będzie oglądał operacji. Jednak nie mógł się oderwać od monitorów, na których były widoczne rozchwiane ujęcia z czterech różnych kamer w Stambule i Mexico City. Zachodził w głowę, kto wybierał te perspektywy. Czy gdzieś w Langley albo Berlinie – a może w Hollywood? – siedział przy pulpicie jakiś reżyser i krzyczał do swojego zespołu: „Ekran pierwszy, przejście do kamery numer trzy na helmie!”.

W Stambule jednostki specjalne wtargnęły właśnie przez ciemny korytarz do pomieszczenia pełnego stanowisk pracy i komputerów. Obecni w nim ludzie zerwali się z miejsc. Niektórzy unieśli ręce do góry, inni rzucili się pod biurka albo schowali się za krzesła. Kamery na hełmach pokazywały pełne paniki, strachu i jednocześnie gniewne twarze. Mikrofony przekazywały wrzaski, okrzyki komend, tupot nóg, strzały.

Potem obrazy stały się spokojniejsze. Wielu uwięzionych leżało na brzuchu ze skutymi rękami na plecach. Na opuszczonych stanowiskach pracy świeciły ekrany komputerów, na których Manzano nie potrafił nic rozpoznać. Dwóch policjantów przeszło ostrożnie do pomieszczenia obok, gdzie nie było nikogo, ale aż po sam sufit piętrzyły się szafki na serwery.

Shannon wzięła kamerę do ręki i zrobiła ujęcie całej sali, ale głównie skupiła się na pełnych napięcia twarzach obecnych, na dłoniach zaciśniętych na oparciach krzesel. Siedziba w Stambule była już chyba pod kontrolą sił operacyjnych. Od Bollarda nie mieli jeszcze żadnych wiadomości. Cekał w jednym z wozów w bocznej ulicy i miał wejść do środka dopiero po zabezpieczeniu całego obiektu. W Mexico City dwaj żołnierze klęczeli przy rannym, zakładali mu opaskę uciskową. Mężczyzna wyklinał ich, ale po chwili uśmiechnął się szyderczo i wysyczał coś przez zęby. Pozostali *seals* przeszukiwali następne pomieszczenia.

Dziesięć minut później ze Stambułu przyszedł meldunek: „Zadanie wykonane, obiekt przejęty, jedenaście osób schwytanych. Trzy lekko ranne, trzy nie żyją”.

Dwie minuty później podobnie brzmiąca informacja wpłynęła z Mexico City: „Trzynaście osób schwytanych. Jedna ciężko ranna, dwie nie żyją”.

– Gratulacje – z głośników rozległ się głos amerykańskiego prezydenta.

Pozostali politycy przyłączyli się do niego we własnych językach.

– Do zobaczenia następnym razem na żywo na pańskim ulubionym kanale – szepnęła Shannon za kamerą.

Stambuł

W Stambule nie mógł już nic więcej działać. Miejskimi środkami komunikacji pojechał na lotnisko Atatürk. Kluczyk do swojej skrytki zawsze nosił przy sobie. Trzymał w niej fałszywe dokumenty i pieniądze. Ruch lotniczy odbywał się normalnie, na tablicach informacyjnych brakowało tylko rejsów na kontynent europejski i północnoamerykański.

Skoro policja znalazła ich centralę, to prawdopodobnie wiadoma jest też przyczyna awarii i pewnie wkrótce będzie usunięta. Przepuszczalnie już wkrótce zostaną wznowione loty do najważniejszych miast w Europie. Nie wiadomo tylko, na ile dokładnie odpowiednie służby są zorientowane w składzie ich grupy. Prawdopodobnie jest podejrzewany o przynależność do niej. Niewykluczone, że lotnisko jest pod obserwacją, ale on ufał swoim nowym papierom, zmienionej fryzurze i wąsom. Ciekawe, czy odkryli też Mexico City? Spojrzał na telewizor, w którym podawano wiadomości. Same obrazy, bez głosu, powiedzą mu wystarczająco dużo. Ma czas. Oni będą podejmować kolejne kroki w przekonaniu, że zbliżają się do celu. Niech sobie myślą, że to już koniec. On wiedział lepiej.

Haga

– Koniec – oznajmił Bollard z ekranu. Z powodu kiepskiej jakości transmisji jego twarz rozbita była na setki pikseli, a ruchy przypominały robota. – Mamy wszystkich z naszej listy poza Pucao i Jusufem.

Mimo to w centrali Europolu jakoś nikt nie był w nastroju do świętowania. Minione dni odcisnęły na każdym zbyt mocne piętno. Poza tym wszyscy byli świadomi, że to wcale jeszcze nie koniec katastrofy.

– Czy mamy jakieś podejrzenia, gdzie oni mogą przebywać? – spytał dyrektor Ruiz.

– Na razie nie. Nie wiemy nawet, czy się tam znajdowali. Macie znowu prąd?

– Niestety nie – odpowiedział Christopoulos.

– Janis, mam do ciebie prośbę: czy mógłbyś pojechać do mojej żony i powiedzieć jej, że u mnie wszystko w porządku? Wyświadczysz mi tę przysługę?

– Jasne – odparł Grek.

– Tylko postaraj się tak wyglądać, żeby od razu mogła cię rozpoznać – upomniał go jeszcze Bollard. – W ostatnich dniach Marie jest bardzo przewrażliwiona. To tyle. Zgłoszę się później. – Jego twarz zniknęła z ekranu.

– A ja idę teraz spać – oznajmił Manzano prosto do kamery Shannon, która ciągle jeszcze filmowała.

Ybbs–Persenbeug

Herwig Oberstätter spoglądał na trzy czerwone kolosy w turbinowni elektrowni południowej. W jego lewej ręce trzeszczał głośnik krótkofalówki.

Trzy godziny temu specjalny wojskowy posłaniec dostarczył im update z Talaferu.

– To wszystko? – zdziwili się technicy z IT.

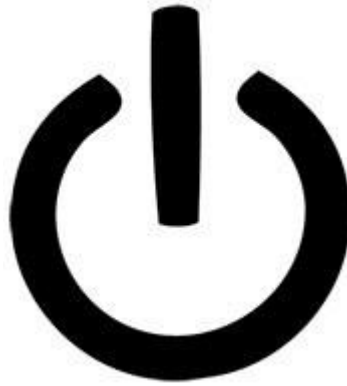
Wskaźniki. Ktoś dokonał manipulacji przy jednym elemencie oprogramowania, wskutek czego wskaźniki na pulpicie kontrolnym zaczęły wariować.

Firma, która ma to na sumieniu, już jest bankrutem, doszedł do wniosku Oberstätter. Może pożegnać się ze zleceniami, a roszczenia o odszkodowanie zrobią resztę.

Kiedy technicy wgrali skorygowany widżet, Oberstätter i jego koledzy w centrum dyspozycyjnym przystąpili do testów i przygotowań do uruchomienia elektrowni. Żadnych kłopotów. Mimo to, wchodząc do turbinowni, Oberstätter nie do końca pozbył się wątpliwości. Wiedział, że koledzy stoją teraz w dyspozytorni pochyleni nad pulpitem, kontrolują wskaźniki i czekają na kolejne meldunki o błędach.

Na razie nic nie słyszał. Jedyne po wibracjach powietrza rozpoznał, że siła wód Dunaju z turbin przeniosła się na generatory, czego wynikiem było zjawisko indukcji w szpulach. Z drżenia powietrza stopniowo rodził się cichy, głęboki pomruk, który narastał, brzmiał coraz intensywniej i w końcu przeszedł w łagodne buczenie, które Oberstätter powitał jak pierwszy krzyk noworodka.

Dzień 13. – Czwartek



Rzym

Również ostatniej nocy Valentina Condotto nie zmrzyła oka. Siedziała teraz na swoim miejscu w centrum dyspozycyjnym, ponieważ technicy IT uznali, że aparatura jest z powrotem gotowa do pracy. Na zewnątrz było jeszcze ciemno, ale z większości elektrowni, które przestały działać, nadeszły meldunki o usunięciu błędów. Te obiekty były już gotowe do pracy. Ponadto operatorzy sieci przesyłowych w sąsiedniej Austrii i Szwajcarii zgłaszali już napięcie w międzynarodowych ważnych węzłach. Na dużej tablicy pierwsze linie w pobliżu północnej granicy przybierały zielony kolor. Węzeł za węzłem przyłączano kolejne, jedna zielona linia po drugiej zastępowała linie czerwone. Jednocześnie od poszczególnych elektrowni rozchodziły się promienie i pokrywały cały kraj jak szybko rozrastające się gałęzie.

Haga

– Są nieźle wyposażeni – rozległ się głos Bollarda, podczas gdy kamera przy jego helmie pokazywała zdjęcia ze stambulskiego centrum dowodzenia. – Wszyscy aresztowani i zabiści są rzeczywiście na naszej liście. Ale paru osób brakuje.

Bollard odczytał nazwiska. Manzano i Shannon przysłuchiwali się jego słowom, ale nie tak uważnie jak Christopoulos i pozostali pracownicy centrali Europolu.

– A mówią coś? – spytał Christopoulos, poruszony tym, że w międzynarodowej grupie terrorystycznej jest dwóch jego rodaków.

– Niektórzy aż za dużo – odpowiedział Bollard. – Ale same bzdury. Zresztą sporo z tego czytaliśmy już w różnych ich publikacjach. Chodzi mniej więcej o to, że oni chcieliby zbudować nowy porządek świata: sprawiedliwszy, uczciwszy, o bardziej ludzkim obliczu. Uważają jednak, że nie da się go stworzyć w oparciu o obecne relacje, tylko trzeba doprowadzić do wielkiego bum. Myślą, że tylko w ten sposób mogli obudzić ociężałych, zgnuśniętych i wygodnickich mieszkańców naszej planety, zwłaszcza na Zachodzie. Ale jeszcze trochę potrwa, zanim...

– Wyjrzyjcie na dwór! – krzyknął któryś z mężczyzn.

Zatopiona w myślach Marie Bollard wpatrywała się w zimowy ogród, gdy nagle lodówka wydała z siebie ciężki pomruk. Charakterystyczny szum nie ustawał. Obejrzała się zaskoczona, po czym, wciąż nie dowierzając, podeszła do niej. Otworzyła drzwi. Pospiesznie przycisnęła włącznik światła na ścianie obok. Lampa pod sufitem rozbłysła.

– *Maman!* – usłyszała wołanie dzieci z salonu. – *Maman!*

Pobiegła do nich. Lampy stojące przy kanapach też się paliły. Georges sięgnął po pilot do telewizora. Na ekranie ukazał się szary śnieg, z głośników dochodził szum. Bernadette bawiła się wyłącznikiem dużego żyrandola, podnosiła bolec do góry i opuszczała na dół, do góry i na dół.

– Tata miał rację! – krzyknął Georges. – Znowu jest prąd!

Miejmy nadzieję, że już tak będzie, pomyślała Bollard. W domu naprzeciwko również było światło! Podeszła do okna, za nią podbiegły dzieci i przycisnęły buzie do szyby. Jak daleko sięgali wzrokiem, wszędzie migotały jasne żółte punkty.

Marie czuła, jak pęka w niej wielki, ciemny kamień, rozpada się na kawałki i znika, pozostawiając jedynie okruchy wątpliwości, czy to rzeczywiście już koniec.

Z domów wychodzili ludzie, rozglądali się wkoło, jakby nagle zniknęło zagrożenie, przepadł wróg, mimo że coś wróciło. Bollard widziała, jak sąsiedzi rzucają się sobie nawzajem na szyję. Ona też objęła dzieci ramieniem, przytuliła je do siebie, czując, jak mocno przyciskają się do jej ciała.

– Czy teraz tata już wróci? – spytała Bernadette, podnosząc na nią wzrok.

Bollard uścisnęła ją jeszcze czulej.

– Tak, na pewno. Na pewno niedługo zadzwoni.

– To wreszcie będziemy mogli pojechać do dziadka i babci do Paryża – powiedział Georges.

– Tak, pojedziemy.

Manzano rzucił się wraz z innymi do okna. Niebo zasnuwały ciężkie chmury, na dworze panował mrok. Ale za niektórymi szybami pobliskich domów zrobiło się jasno. Nikt nie słuchał Bollarda nadal widocznego na ekranie, jedynie Christopoulos krzyczał do mikrofonu w komputerze:

– U nas jest prąd! Mamy z powrotem prąd!

Z każdą chwilą jaśniało coraz więcej okien, w niektórych światło znowu zgasło, ale w innych paliło się nadal, jakby ludzie wypróbowywali każdy poszczególny wyłącznik, nie mogąc

uwierzyć, że naprawdę znowu płynie prąd. Nagle ulice zamieniły się w rozbłyskujące i migoczące tunele, z każdą chwilą coraz jaśniejsze. Manzano rozumiał, że ludzie chcieli się upewnić, że ich dawny świat rzeczywiście wrócił. Shannon także podbiegła do okna i wszystko gorączkowo filmowała.

Cały zespół Europolu stał jak zamurowany, obserwując spektakl, aż wreszcie Christopoulos chwycił Manzana i śpiewając, zaczął tańczyć z nim po sali. Także inni współpracownicy ściskali się, poklepywali nawzajem po ramionach, ktoś wiwatował. Manzano ze śmiechem wycofał się z tańca, wskazując na swoją obolałą nogę. W radosnym zamęcie wszyscy się obejmowali, zachowywali się jak szaleńcy. Już nikt zdawał się nie czuć zmęczenia.

Mniej więcej po dziesięciu minutach zabawa światłem ustała, za to na ulicę z każdą chwilą wylegało coraz więcej ludzi, przystawali w grupkach, rozmawiali, gestykulowali z ożywieniem.

– Wspaniale! – bąknęła po raz kolejny Shannon, wciąż z kamerą skierowaną na rozgrywające się za oknem sceny. – Wychodzę – oznajmiła w końcu. – Muszę mieć ujęcia z bliska!

Bruksela

Angström stała z innymi przy oknie i patrzyła na miasto. W wysokich biurowcach tu i ówdzie rozbłyskiwały światła, również w niedużych kamienicach, których nie ewakuowano albo których lokatorzy nie zdecydowali się opuścić swoich mieszkań. Włączyły się reklamy świetlne, na fasadach korporacji znowu paliły się dekoracyjne lampy. Jej koledzy śmiali się, mówili jeden przez drugiego. Rozdzwoniły się telefony, ale przez kilka minut nikt nie odbierał. Angström przypomniała się noc spędzona w więzieniu, pomyślała też o amerykańskiej dziennikarce i o Pierze Manzanie. Od ich wyjazdu do Hagi nie rozmawiała z nimi ani razu. Zostawili tylko jedną wiadomość, że dotarli na miejsce, ale ona akurat wtedy spała u siebie w domu. Dziś rano widziała w internecie krótką relację Shannon na temat wydarzeń w Stambule. Manzano pojawił się gdzieś w tle obrazu. Angström, trochę nieobecna duchem, poklepała jeszcze po ramieniu koleżankę, która ją ścisnęła, po czym usiadła przy pierwszym lepszym biurku i wybrała numer do swoich rodziców w Göteborgu. Linia była zajęta. Spróbowała połączyć się ze swoją siostrą. Odezwała się automatyczna sekretarka, więc zostawiła tylko krótką wiadomość.

Coraz więcej kolegów wracało na swoje miejsca, prawie każdy gdzieś dzwonił. Najczęściej – jak Angström zdążyła się zorientować – do rodziny i przyjaciół, bo każdy pragnął usłyszeć tych, którzy byli dla niego najważniejsi. Ona też chciała dowiedzieć się jeszcze od kilku osób, czy u nich wszystko w porządku. Poszła do swojego pokoju. Właśnie odezwał się telefon. Podniosła słuchawkę.

– Cześć – usłyszała głos Piera Manzana. – Jak się miewasz?

Berlin

– A więc przystępujemy do największego sprzątnia – stwierdził sekretarz stanu Rhess. Wszyscy uważnie go słuchali. – Priorytet ma przywrócenie zaopatrzenia w wodę, żywność i lekarstwa. Nie wszędzie uda się to zrobić od razu, ale więcej na ten temat powie państwu koleżanka Michelsen.

I znowu to ja muszę przekazywać złe wiadomości, pomyślała.

– W miarę stabilne zaopatrzenie w prąd stworzyło podstawowe warunki, by... – zaczęła.

– Jak to tylko „w miarę”? – przerwał jej minister spraw wewnętrznych. Wciąż jeszcze nie przeboleał klęski w walce o wyższość swojej interpretacji i utrudniał pracę, jak tylko potrafił.

Michelsen nie dała się wyprowadzić z równowagi. Tylko patrzeć, jak kanclerz pozbędzie się tego zrzędy z gabinetu.

– Ponieważ w wyniku awarii niektóre obiekty zostały bardzo poważnie uszkodzone. I dlatego wydajność nie jest wystarczająca. Ale popyt też nie osiągnął jeszcze poziomu sprzed katastrofy, bo wiele zakładów przemysłowych będzie mogło podjąć produkcję dopiero w ciągu najbliższych dni lub tygodni.

W tym momencie rzuciła z projektora na ścianę powiększony obraz zwykłego kranu, jaki można znaleźć w milionach gospodarstw domowych.

– Siedemdziesiąt procent obszaru całej republiki było pozbawione zaopatrzenia w wodę.

Znalazła zdjęcie z reklamy płynu do WC przedstawiające zanieczyszczenia w toalecie pod postacią jakichś komiksowych potworków i wyświetliła je na ścianie.

– Ponieważ niemożliwe było przepompowywanie wody do odbiorców, doszło do zapowietrzenia przewodów lub do ich całkowitego wysuszenia. A to z kolei sprzyja rozwojowi w rurach w krótkim czasie zarasków. Innymi słowy, woda, która popłynęłaby teraz tymi przewodami, byłaby szkodliwa dla zdrowia. Dlatego zanim na tych obszarach powróci się do korzystania z systemu zaopatrzenia w wodę, konieczne jest podjęcie wielu działań w celu ponownego uzdatnienia tego systemu. Czynności te wymagają zaangażowania wielu osób, są bardzo czasochłonne i mogą zająć prawdopodobnie kilka tygodni. Tak więc ludność na wspomnianych terenach musi nadal korzystać z punktów wydawania wody.

Zapchane toalety i ścieki były często fotografowane podczas pierwszych dni awarii; Michelsen pokazała teraz tylko jedno z takich zdjęć. Niektórzy z obecnych skwitowali je okrzykami obrzydzenia.

– Nie lepiej przedstawia się sytuacja w kwestii usuwania odpadów – kontynuowała niewzruszenie. Tylko za pomocą drastycznych obrazów mogła uzmysłowić ludziom, którzy spędzili minione dwanaście dni w relatywnie znośnych warunkach, z czym zmagali się mieszkańcy niemal całego kraju. – Począwszy od pierwszej nocy, większość toalet nie była splukiwana. Wprawdzie można było używać do tego celu wody z butelek, rozpuszczonego śniegu czy deszczówki, ale ta niewielka ilość płynu nie starczała do transportu nieczystości w przewodach kanalizacyjnych. W wyniku tego dochodziło do zatykania się rur zarówno w domach, jak i w całym systemie, a także do ich wysuszenia. Tak więc również tutaj najpierw konieczne będzie rzetelne udrożnienie i oczyszczenie całej sieci. Instytucje za to odpowiedzialne przewidują, że może to zająć, w zależności od rejonu, od kilku godzin do kilku dni, a w sporadycznych przypadkach nawet do paru tygodni.

Na ścianie ukazał się obraz oczyszczalni ścieków.

– Przy uzdatnianiu ścieków krótkie przerwy w dostawie prądu nie są problemem. Główną pracę w oczyszczalniach ścieków wykonują bowiem kultury bakterii. Ale po tak długiej przerwie ich zasoby zostały zdziesiątkowane i teraz muszą zostać na nowo wyhodowane w basenach.

Biorąc pod uwagę potrzebne ilości, też potrwa to kilka dni albo tygodni.

Michelsen pokazała zdjęcie zdemolowanego, świecącego pustkami supermarketu.

– Również zaopatrzenia w żywność nie da się tak szybko przywrócić. Wszystkie artykuły mrożone uległy zepsuciu, natomiast świeże produkty zostały w ciągu trwania awarii rozdane lub skradzione. Konserwy i żywność o dłuższej przydatności do spożycia są dostępne w minimalnej ilości. Wprawdzie w najbliższych dniach zaczną działać wiele placówek sieci handlowych, ale po niezbędnych pracach remontowych i porządkowych będą na początku oferować bardzo ograniczony asortyment towarów. W wielu rejonach kraju konieczna będzie pomoc służb pomocniczych, aby przynajmniej w minimalnym zakresie zapewnić tam zaopatrzenie.

Na koniec na ścianie ukazał się obraz fermy drobiarskiej.

– Równie ważne jest teraz zastanowienie się nad średnio-i długoterminowymi skutkami ostatnich zdarzeń i znalezienie w miarę szybko odpowiednich rozwiązań. Liczne zakłady produkcyjne, na przykład hodowcy bydła czy drobiu, straciły absolutnie wszystko. Pominąwszy już problemy związane z utylizacją milionów sztuk padłych zwierząt, nie ulega wątpliwości, że przez wiele najbliższych lat będziemy skazani na import mięsa. Ale jednocześnie rodzimym firmom należy udzielić niezbędnego wsparcia, aby mogły na nowo podjąć własną produkcję. To samo dotyczy hodowców owoców i warzyw szklarniowych. Wprawdzie Niemcy nie ucierpiały pod tym względem tak bardzo jak inne kraje, na przykład Holandia czy Hiszpania, mimo to również u nas nie brakuje poszkodowanych. Jak zatem państwo widzą, stoimy nadal przed ogromnymi problemami. W wielu przypadkach dobrze byłoby nawet, gdyby ludzie pozostali jeszcze w kwaterach tymczasowych, dopóki w ich miejscach zamieszkania nie zostanie w pełni przywrócone zaopatrzenie w wodę i żywność. W związku z tym w najbliższych dniach bardzo istotne znaczenie będzie miała komunikacja z ludnością. Należy się spodziewać, że obywatele będą oczekiwali dostępności wszystkiego w takim zakresie jak przed awarią znacznie szybciej, niż to jest możliwe. Nie możemy tu lekceważyć mechanizmów psychologicznych. Skoro znowu jest prąd, to znaczy, że życie musi toczyć się tak samo jak dawniej. Przygotowujemy wiele rozwiązań informacyjnych, aby uzmysłwić obywatelom rzeczywistą sytuację i doradzić, jak mają postępować, dopóki nie powróci normalność.

Michelsen zadawała sobie pytanie, kto ma to wszystko sfinansować. Po ostatnim kryzysie finansowym i ekonomicznym w gruncie rzeczy wszystkie państwa europejskie były poważnie zadłużone lub wręcz znalazły się na granicy bankructwa. Na jakiegokolwiek programy społeczne i pomocowe właściwie nie było żadnych środków, a skutków dla finansów państwa nie dało się jeszcze do końca przewidzieć. Ale o nich miał mówić później kolega z Ministerstwa Finansów.

Haga

– Terrorysty zostali ujęci – obwieściła Shannon z ekranu. – Na razie nikt nie potrafi w pełni ocenić konsekwencji ataku, ale już dziś nie ulega wątpliwości, że był to najpoważniejszy zamach terrorystyczny w historii. Liczba ofiar w Europie i Stanach Zjednoczonych wynosi setki tysięcy, a może miliony. Straty gospodarcze szacuje się na biliony dolarów, gospodarki wielu krajów jeszcze długo nie dźwigną się z upadku.

Shannon zakwaterowała ich oboje na koszt nadawcy w jednym z najdroższych hoteli w Hadze. Każdego we własnym pokoju. Manzano nie mógł się nacieszyć świeżą pościelą, łazienką i spokojem. Dopiero co wyszedł spod prysznic i leżał na łóżku, otulony w miękki płaszcz kąpielowy zaskakująco szybko udostępniony przez hotel. Cieszył się za Shannon. To była jej chwila. Jako pierwsza dziennikarka na świecie mogła opowiedzieć nie tylko o swoim uwięzieniu, ale dostarczyć też wyjątkowy materiał z ostatnich wydarzeń. Był zachwycony jej wyglądem. Chociaż przez wiele nocy prawie nie spała, a ostatnią całą przepracowała, wyglądała jak po pobycie w spa. A może pomogła jej kosmetyczka?

– Kim są przestępcy winni tylu tragedii i cierpienia wielu ludzi? Jakie są ich motywacje?

W tle pokazały się po kolei portrety ujętych i ich już nieżyjących towarzyszy, te same, które przez cały czas prowadzenia śledztwa wisiały u Bollarda na ścianie, tylko teraz oczy mężczyzn były przesłonięte czarnymi paskami.

– Władze nie podają jeszcze żadnych nazwisk – Shannon też tego nie zrobiła, mimo że je zna, pomyślał Manzano – ale pierwsze tropy wskazują na osobliwą mieszaninę radykalnych anarchistów, którzy kapitalizmowi, nowoczesnej technice i nieudolnym, skorumpowanym politykom przypisują zniszczenie ludzkości, sprawiedliwości i środowiska naturalnego. Zjednoczyła ich fanatyczna nienawiść do współczesnego porządku społecznego, niezależnie od tego, na jakich podstawach się on opiera, i niepoahamowane dążenie do zburzenia go. Mam właśnie połączenie z kierującym śledztwem przedstawicielem Europolu, który uczestniczył także w ujęciu sprawców.

Na ekranie pojawił się w okienku Bollard przebywający nadal w Stambule.

– Panie Bollard, co to są za ludzie, którzy dopuścili się czegoś takiego?

– To wyjaśni za kilka dni nasze dochodzenie. Wśród aresztowanych są osoby, które można by przypisać radykalnej lewicy, jak również przedstawiciele skrajnej prawicy. Większość pochodzi z rodzin należących do klasy średniej, wszyscy są wysoko wykształceni.

– Czy profile sprawców świadczą o tym, że nasze myślenie o pochodzeniu terrorystów jest schematyczne i przestarzałe i ma się nijak do rzeczywistości społecznej?

– Niewykluczone. Wśród terrorystów wszelkich odmian, niezależnie od ich światopoglądowych preferencji, szczególnie często występuje jeden określony typ: nazywamy go typem „sprawiedliwego”. On albo ona, bo do zamachowców należą też kobiety, święcie wierzą w to, że jedynie im dostępna jest błogosławiona prawda, co samo w sobie nie byłoby jeszcze takie złe, bo pewnie każdy z nas zna kogoś, kto myśli podobnie. Ale ta właściwość staje się niebezpieczna, kiedy ludzie tego typu są jeszcze na dodatek przekonani, że wolno im ową prawdę przekuć w rzeczywistość za pomocą wszelkich dostępnych środków. Aby osiągnąć ten rzekomo wyższy cel, nie cofną się nawet przed niewinnymi ofiarami.

– Czy wszyscy sprawcy zostali ujęci, ilu ich jest, no i gdzie oraz kiedy zostaną postawieni przed sądem?

– Na te pytania nie mogę pani na razie udzielić odpowiedzi. Przypuszczam, że zostaną oskarżeni przez każdy z krajów dotkniętych ostatnimi katastrofalnymi wydarzeniami, ale gdzie odbędą się procesy, tego dzisiaj nie da się jeszcze określić.

– Być może nawet tutaj, w bezpośrednim sąsiedztwie Europolu, w Międzynarodowym Trybunale w Hadze?

– Kto wie?

Stambuł

Z ekranów telewizorów w porcie lotniczym dowiedział się wszystkiego. Zaledwie kilka godzin po szturmie na siedzibę niektóre stacje pokazały pierwsze obrazy. Ku jego rozczarowaniu – również z Mexico City. Nie dość na tym: w rozległych częściach Europy i Stanów Zjednoczonych wrócił prąd. Ale jeszcze się zdziwił.

Teraz, kilka godzin po końcu awarii, siedział już w samolocie ze Stambułu do Hagi. Linie lotnicze, co prawda nie wszystkie, wznowiły rejsy do Europy najszybciej, jak to było możliwe.

Inaczej planowali. Wszystko miało się toczyć tak jak na początku. Żadnego prądu, nigdzie. Liczył na to, że upłyną co najmniej trzy do czterech dni, zanim ktoś w tym chaosie wpadnie na przyczynę wyłączeń. A minimum dwa tygodnie, zanim centra dyspozycyjne sieci znowu będą mogły pracować. Na odkrycie manipulacji w systemie SCADA przewidział ładnych parę tygodni. Po pierwszej fali Europa miała być pozbawiona prądu co najmniej przez miesiąc. Gdyby nie pojawił się ten Włoch. Jego twarz mignęła mu krótko na ekranie. Powinni byli zająć się nim wcześniej. Od razu wtedy, kiedy zgłosił się do Europolu z podejrzeniem, że coś jest nie tak z licznikami. I być bardziej konsekwentni. Ale kto mógł przypuszczać, że ten facet będzie taki uparty. Możliwe, że przez niego oni nie doczekają owoców swojej wieloletniej pracy, a świat szansy na nowy początek. Włoch musi im za to zapłacić. Przyznał sam przed sobą, że traktował tę sprawę bardziej osobiście, niż pozwalało na to profesjonalne podejście.

Nie wiedział, kto zablokował przewidzianą drugą falę. Przecież osobiście wysłał wczoraj rozkaz, jakoś tak około południa. Czyli jest jeszcze trochę czasu. Akurat tyle, żeby znaleźć Włocha. Dobrze wiedział, gdzie go szukać.

Haga

Marie Bollard siedziała skulona przed komputerem i szukała w internecie najnowszych doniesień z Saint-Laurent. Gdy parę godzin temu na ekranie telewizora pojawiły się pierwsze obrazy, nie mogła się powstrzymać i przez cały czas albo w telewizji, albo w sieci wypatrywała wiadomości, z których mogłaby dowiedzieć się czegoś o losie swoich rodziców. Była obezwładniona zalewem doniesień o katastrofach, z każdą chwilą odkrywała ich coraz więcej, także w USA. Po raz pierwszy zdała sobie w pełni sprawę z rozmiaru nieszczęścia i spustoszenia.

Przeszył ją dreszcz, gdy przeczytała dyskusję o ewentualnej wojnie światowej. Obrazy sprzed kilku dni ukazujące eksplozje w Saint-Laurent i relacje na ten temat budziły w niej rozpacz, informacje o ewakuacji rozpały natomiast nadzieję, że rodzice jej i François w porę znaleźli się w bezpiecznym miejscu. Z dziesiątków miast napływały zdjęcia niewyobrażalnych zniszczeń, do jakich doprowadzili wzburzeni mieszkańcy i wicherzyciele. Prowizoryczne groby masowe, palące się stosy zdechłych zwierząt, sięgające nieba słupy dymu nad obiektami przemysłowymi, ziejące ogniem czołgi. I po co to wszystko? Na temat motywów terrorystów na razie trwały tylko chaotyczne spekulacje. Nieustannie próbowała dodzwonić się do krewnych, przyjaciół i znajomych we Francji i innych krajach, ale linie były przeciążone albo nadal martwe. Również przez połączenia internetowe nie zdołała się z nikim skontaktować.

Raz po raz natykała się za to na apele i aktualne informacje kierowane przez władze do obywateli. Wprawdzie powrót do normalności jest wreszcie możliwy, ale nie nastąpi tak szybko, jak powszechnie się spodziewano. Dlaczego to wszystko trwa tak długo? Przecież prąd już jest! Zagłębiła się znowu w relacje z Francji.

Ratingen

– Udało się nam prześledzić pochodzenie szkodliwego kodu w widżecie SCADA – oznajmił Dienhof. – Dragenau wprowadził go jeszcze w poprzednim tysiącleciu.

– To tak długo przygotowywał ten wyczyn? – spytał Hartlandt.

– Tego nigdy się nie dowiemy. Może to było tylko ćwiczenie, a może chciał mieć coś w zanadrzu, żeby zemścić się kiedyś za przejęcie jego firmy.

– Dlaczego nikt nie zauważył tej manipulacji?

– Dragenau wybrał sobie bardzo dogodny moment. Przypominacie sobie historię przed rokiem 2000? Strach przed pluskwą milenijną? Wszystkie komputery miały paść z powodu zmiany daty. Mieliśmy wtedy pełne ręce roboty, ponieważ do tej pory rok zapisywany był tylko dwiema ostatnimi cyframi, co nie pozwalało przechować informacji o stuleciu. Prawie wszystkie z naszych programów musiały być w taki lub inny sposób zmodyfikowane. Informatycy koncentrowali się niemal wyłącznie na tym zagadnieniu. W końcu, jak pamiętamy, nic się nie stało, zapowiadana katastrofa nie nastąpiła. Ale fachowcy IT zbili wtedy majątek. Tymczasem w całym tym chaosie przeoczono parę wierszy. A potem też ich nie znaleziono.

– I on trzymał je tam przez jedenaście lat.

– W jaki sposób terroryści trafili akurat na Dragenaua, pewnie niedługo się dowiemy.

Prawdopodobnie zwracali się do różnych wtajemniczonych osób w niejednej firmie. Dostyc ryzykowne przedsięwzięcie, ale jak widać, w końcu się udało.

– Niewykluczone, że Dragenau nie był poinformowany o zakresie ich planów – wtrącił Hartlandt. – Może uznał tylko, że nadeszła pora na zemstę. A jeszcze oferowano mu za to pieniądze.

– W każdym razie aktywacją kodu zajął się kilka dni przed swoim wyjazdem na Bali dzięki obejściu, które stworzył także te jedenaście lat temu. I w określonym momencie instrumenty w elektrowniach zaczęły po prostu wariować.

– Wiele nie zyskał na tej swojej zdradzie – zauważył Hartlandt.

Dienhof pokiwał w zadumie głową.

– Dziękuję, panie Dienhof. Także za to, że tak szybko udostępnił pan wersje oczyszczone ze szkodliwego kodu – dodał jeszcze.

Zwrócił się teraz do Wickleya, który z kamienną twarzą przysłuchiwał się wywodom Dienhofa.

– A co się tyczy pana, mamy niestety za mało, aby pana aresztować. Ponieważ jednak próbował pan zataić odkrycie szkodliwego kodu, to mimo wszystko spotkamy się w sądzie.

Hartlandt podał Dienhofowi rękę na pożegnanie, natomiast w stronę Wickleya nawet nie skinął głową. Teraz czekała go jeszcze rozmowa, której nie tylko nie mógł się doczekać, której wręcz potrzebował.

Haga

– Manzano – powiedział, podnosząc słuchawkę w hotelowym pokoju.

Recepcjonista oznajmił:

– Pan Hartlandt do pana.

Włoch zawahał się przez chwilę, po czym powiedział: – Proszę połączyć.

Niemiec przywitał się po angielsku i spytał go, jak się czuje.

– Już lepiej – odrzekł Manzano podejrzliwie.

Czego chciał ten człowiek, którego pracownik strzelał do niego i który groził mu przesłuchaniami przez CIA?

– Odwalił pan kawał świetnej roboty – rzekł Hartlandt. – Bez pana by się nam nie udało.

A przynajmniej nie tak szybko.

Manzano milczał zaskoczony.

– Chciałem podziękować panu za pomoc. I przeprosić za to, jak pana potraktowaliśmy.

Ale w tamtym momencie...

– Przeprosiny przyjęte – odparł Włoch. Nie spodziewał się, że jeszcze kiedykolwiek w swoim życiu usłyszy o Hartlandcie. – To była wyjątkowa sytuacja. Sądzę, że my wszyscy nie zachowywaliśmy się wtedy całkiem rozsądnie.

Czy nie był dla niego zbyt ugodowy? Miał mu tak po prostu puścić wszystko w niepamięć?

– Życzę panu wiele szczęścia – powiedział Hartlandt.

– Dziękuję. Wszystkim nam się ono przyda. Proszę powiedzieć swojemu koledze, żeby następnym razem najpierw się zastanowił, zanim do kogoś strzeli.

– Myślę, że wyciągnęliśmy z tego odpowiednią lekcję.

– Ja też życzę panu wszystkiego dobrego.

Berlin

– Nie mamy jeszcze wiarygodnych danych dotyczących liczby ofiar – oświadczył Torhüsen z Ministerstwa Zdrowia. – Ale według wstępnych szacunków śmierć bezpośrednio w wyniku awarii poniosło w całym kraju kilkadziesiąt lub nawet kilkaset tysięcy osób.

Michelsen poczuła, jak na krótką chwilę wszyscy obecni w sali wstrzymali oddech.

– Jak wspominałem, są to dane szacunkowe. Nie można wykluczyć, że ta liczba okaże się jeszcze wyższa. W całej Europie musimy liczyć się z ponad milionem ofiar. W tych statystykach nieuwzględnione są oczywiście osoby, które na przykład wskutek przerwania terapii chorób chronicznych, mam tu na myśli chorych na serce, cukrzyków i pacjentów dializowanych, być może powiększą tę liczbę w najbliższym czasie. Podobnie jak ci, którzy zostali napromieniowani. W odległości dziesięciu kilometrów od elektrowni Philippsburg odnotowano szkodliwą dla zdrowia emisję radioaktywną. Czy tamtejsza ludność została w porę ewakuowana, pokażą dopiero następne lata i dziesięciolecia, o ile ktoś zada sobie trud i zbada indywidualne historie choroby. Mówimy w każdym razie o dziesiątkach tysięcy ludzi, których może dotyczyć ten problem. Również dopiero przyszłość pokaże, czy ewakuowane tereny będą mogły być z powrotem zamieszkałe w dającym się przewidzieć czasie. Wokół elektrowni Brokdorf i Grohnde też zarejestrowano podwyższony poziom radioaktywności, ale na razie nie mamy żadnych dokładniejszych informacji na ten temat. Nie można wykluczyć, że również w tych przypadkach następstwa będą przesunięte w czasie.

Torhüsen zastąpił zdjęcia elektrowni atomowych obrazami cmentarzy z niekończącymi się polaciami świeżo usypanej ziemi.

– Nie mniej ważnym aspektem jest usunięcie ludzkich zwłok. W minionych dniach zmarli z konieczności chowani byli w anonimowych masowych grobach. Rodziny zaginionych osób z pewnością będą domagać się teraz ekshumacji i co za tym idzie, także identyfikacji zwłok.

Zdjęcia pustych, zdemolowanych szpitali pochodziły z Berlina.

– Dosyć szybko, ale też nie z dziś na jutro, można udostępnić szpitale i zacząć przyjmować pacjentów. W tym przypadku szczególnie ważne będzie zaopatrzenie w wodę, żywność i lekarstwa. Na razie musimy się przygotować na braki różnych leków. Część z nich jest co prawda jeszcze dostępna w hurtowniach, ale ponieważ łańcuch produkcyjny uległ przerwaniu i zostanie dopiero wznowiony, należy liczyć się z przejściowymi trudnościami. Zakładamy, że mniej więcej za tydzień większość wymagających opieki medycznej obywateli ją otrzyma. Również gabinety lekarskie mogą już podejmować pracę, co prawda z ograniczeniami i w zmniejszonym wymiarze godzin. W ciągu najbliższych dni zostaną też otwarte apteki i otrzymają nowe dostawy leków.

Haga

Shannon ze śmiechem skierowała kamerę prosto na Manzana. Zajrzała do niego na chwilę. Nie miała wiele czasu.

– Jesteś bohaterem! – zawołała. – Teraz będziesz sławny!

Manzano zasłonił sobie twarz dłonią.

– Lepiej nie.

– Ale udzielisz mi wywiadu, prawda?

– A może odwrócimy role i ja przepytam ciebie. Ostatecznie to ty ocaliłaś komputer, dzięki któremu natrafiliśmy na trop.

Odezwwał się telefon komórkowy Shannon. Zamieniła z kimś kilka słów i z powrotem schowała aparat.

– Miałabym za dużą tremę – odpowiedziała kokieteryjnie.

– To ty jesteś gwiazdą – powiedział.

– Ja jestem tylko posłańcem przekazującym wiadomości.

Wyhamowała nieco swoją swawolną wesołość, opadła na kanapę i spojrzała na niego uważnie.

– Co jest? – spytała.

– A co ma być?

Nagle jej głos zrobił się łagodny, wciąż jednak pozostawał stanowczy.

– Sorry, ale tyle razem przeszliśmy, więc od razu potrafię zauważyć, że coś nie daje ci spokoju.

– Może właśnie to, przez co przeszliśmy.

Jeśli miała tak czerwoną twarz, jak jej się wydawało, to raczej nie wyglądała najlepiej, pomyślała lekko zmieszana. Wciąż jeszcze nie była pewna, co tak naprawdę czuje do Manzana. Bardzo się zbliżyli podczas tej odysei, i to pod wieloma względami. Ale kiedy wnikliwie wsłuchiwała się w siebie, musiała przyznać, że traktuje go jak kogoś w rodzaju starszego brata, którego nigdy nie miała.

Chyba zauważył jej zakłopotanie.

– Miałem na myśli to, co razem widzieliśmy i przeżyliśmy. Te wszystkie skutki obłąkańczego zamachu.

Poczuła się jakby nieco zawiedziona, lecz odpowiedziała mu mimo wszystko z ulgą:

– Tego nikt szybko nie zapomni.

Potaknął głową i spojrzał w okno.

– Jednego nie mogę zrozumieć – powiedział. – Ci faceci i te kobiety musieli zadać sobie mnóstwo trudu, aby przeprowadzić taki atak. Ta myśl nie daje mi spokoju.

Czy on nigdy z tym nie skończy? – przebiegło Shannon przez głowę.

– Wciąż zadaję sobie pytanie, w którym momencie by uznali, że osiągnęli swój cel. Czy doszli już do tego punktu? W opublikowanych przez nich pamfletach i manifestach mowa jest o bardziej sprawiedliwym i bardziej solidarnościowym porządku. Według nich da się go osiągnąć jedynie przez rozpoczęcie wszystkiego od początku, przez RESET. Przez cofnięcie systemu do punktu zerowego. Innymi słowy: jeśli zostaniemy pozbawieni podstaw naszej cywilizacji, będziemy musieli wszystko zorganizować na nowo. Co prawda nie znamy jeszcze długofalowych następstw tej katastrofy, nie trwała ona jednak na tyle długo, aby całkowicie unicestwić dotychczasowe systemy. W większości państw dotkniętych awarią nadal u steru są te same wybrane rządy, stopniowo odbudowują się tradycyjne struktury. Dwanaście dni nie wystarczyło. Czy spodziewali się tego? Czy zamierzali dłużej podtrzymywać ten stan? Cały czas się

zastanawiam, jak zachowałbym się na miejscu tych szaleńców...

Shannon zacytowała teatralnym tonem dialog b.tucka i tancra z RESET-u:

– „On mógłby być jednym z nas...”.

Manzano zareagował tak, jak się spodziewała: zacisnął usta i spojrzał ponuro. Zanim zdążył odpowiedzieć, szybko dodała:

– Ale nie jesteś. Dlatego nie wiem, czy...

– Gdybym posunął się tak daleko jak ci goście... – Manzano kontynuował swoje rozważania – ...podjąłbym odpowiednie kroki na wypadek, gdyby ktoś zdemaskował mnie przedwcześnie. Zadbaliśmy o to, żeby moje cele mimo to zostały osiągnięte. Przypomnij sobie tamte ujęcia z momentu aresztowania i zaraz po nim. Dla mnie oni wszyscy sprawiają wrażenie niemal zadowolonych albo wręcz triumfujących.

– Prawdopodobnie chcieli tylko być sławni, jak zresztą wszyscy masowi mordercy. I to im się udało, z czego zdają sobie sprawę.

Manzano pokręcił głową i wbił wzrok w podłogę, jakby tam tkwiła odpowiedź na jego pytania.

– Nie mogę pozbyć się uczucia – odezwał się po chwili – jakby coś jeszcze miało się wydarzyć.

– Wiesz co? – przerwała mu Shannon. – Wybieram się do Brukseli, mam tam umówionych parę spotkań z czołowymi politykami...

– Jesteś teraz pożądaną kobietą...

– Może uda mi się namówić też Sonję na wywiad. W końcu to dzięki niej mogliśmy do końca odkryć RESET. Masz ochotę wybrać się ze mną? Może przestaniesz o tym wszystkim myśleć.

Stambuł

– Co zrobiliby pan na miejscu zamachowców? – spytał Bollard.

Jego pokój miał okno, za którym rozżarzone do czerwoności słońce chyliło się nad dachami miasta.

– Nie znam najświeższych wyników analizy RESET-u – odpowiedział Manzano na ekranie komputera. – Czy elementy szkodliwego programu zostały już zrekonstruowane?

– Pierwsze fragmenty.

– Czy dotyczą ataków z ubiegłych tygodni?

– Jeszcze nie wiemy. To są tysiące rozmów, w których dokonuje się jakichś ustaleń z twórcami oprogramowania, i miliony szeregów kodu. A do czego pan zmierza?

– Zdaje się, że dotychczasowe ataki zostały wszystkie wywołane pierwszego dnia. Czy coś wskazuje na to, że terroryści nadal manipulują systemem?

– Nie.

– Spytał mnie pan, co ja bym zrobił na miejscu zamachowców. No więc postarałbym się, aby nadal dochodziło do ataków, nawet kiedy ja nie byłbym w stanie już do nich doprowadzać. Ukryłbym w systemach energetycznych bomby z opóźnionym zapłonem, które uruchomią się, jak tylko sieci zaczną na nowo działać.

Bollard przez kilka sekund wpatrywał się bez słowa w monitor. Terroryści w swojej konwersacji nie mylili się: Manzano myślał jak oni. Albo miał już po prostu paranoję po tym wszystkim, przez co przeszedł.

– Kiedy pierwszy raz znalazłem się na stronie RESET-u, natknąłem się na rozmowę, w której była mowa o jakimś obejściu – kontynuował Manzano. – Po co obejście, skoro jest się już w samym środku?

– Żeby znowu dostać się do środka, kiedy wszyscy będą przekonani, że systemy są już bezpieczne – dopowiedział do końca myśl Włocha, który tylko wzruszył ramionami.

– Na pewno nie ja pierwszy wpadłem na taki pomysł – rzekł. – Są jakieś ślady Pucao, Jusufa i Ansena?

Bollard odpowiedział mu pytaniem:

– Czyli uważa pan, że to jeszcze nie koniec?

– Nie wiem – przyznał Manzano. – Jadę teraz do Brukseli. Odezwę się stamtąd.

Ekran zrobił się czarny.

Następnie Bollard po raz nie wiadomo który wybrał numer osoby kontaktowej w Czerwonym Krzyżu.

– Witaj, François – przywitała go pomarszczona twarz pod siwą czupryną. – Przykro mi, ale wciąż jeszcze nie znaleźliśmy twoich rodziców i teściów.

Orlean

Większość zakwaterowanych tłoczyła się w holu otaczającym halę. Niektórzy zmierzali już do drzwi wyjściowych, niosąc swój dobytek w walizkach i na ramionach i trzymając dzieci za ręce. Inni próbowali dopchać się do któregoś z żołnierzy czy pomocników w recepcji. Annette Doreuil i Vincent Bollard musieli zmobilizować wszystkie swoje siły, żeby przesunąć się choć trochę.

– Nie! – krzyknął jakiś żołnierz do kilku osób daleko z przodu tak głośno, że również oni oboje usłyszeli jego słowa. – Powrót do strefy zamkniętej jest na razie zabroniony!

Wiadomość o przywróceniu prądu rozeszła się błyskawicznie. Kiedy z dworu przyszło kilka osób, opowiadając o oświetlonych oknach okolicznych domów, najpierw tylko niektórzy ruszyli do wyjścia, żeby przekonać się na własne oczy, a potem zaczął się wielki exodus. Pilnujący porządku na próżno usiłowali powstrzymać falę napierających ludzi. Wielu po prostu wymknęło się chyłkiem. Jak się bowiem okazało w ostatnich dniach, nie wszyscy zakwaterowani pochodzili ze strefy ewakuacyjnej. Część mieszkała w wieżowcach Orleanu, które zostały opróżnione z czysto higienicznych względów. Może w mieszkaniach płynie już woda? Doreuil też nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie będzie mogła wziąć prysznic we własnej łazience.

– To co mamy ze sobą zrobić? – wołali jeden przez drugiego.

– Zostać tutaj! – oświadczył żołnierz.

– Nie zostanę tu ani sekundy dłużej! – krzyknęła Doreuil do swojego towarzysza, chcąc przebić się przez hałas.

Vincent Bollard nic nie powiedział. Dostrzegła w jego oczach strach, że już nigdy nie będzie mógł wrócić do swojego domu.

– Do Paryża jest tylko sto trzydzieści kilometrów! Jakoś się tam dostaniemy. Skoro znowu jest prąd, to można pewnie tankować paliwo, czyli da się zamówić taksówkę albo wynająć jakiś samochód. Zapłacę każdą cenę. Kto wie, czy nie jeżdżą też pociągi.

Bollard z powątpiewaniem pokiwał głową.

– Tak czy owak, w naszym mieszkaniu jest na pewno przyjemniej niż tutaj! – krzyknęła.

Spostrzegła, że powiedziała „w naszym” jako coś zupełnie oczywistego. Nie zdążyła się jeszcze oswoić z faktem, że Bertrand nie żyje. Nie potrafiła znieść myśli, że została sama.

– Ty i Celeste jedzicie ze mną, bez dwóch zdań! – oznajmiła Bollardowi. Wyciągnęła go za rękę z tłumu i powlokła za sobą do hali z łózkami, gdzie było trochę spokojniej.

Celeste Bollard siedziała na łóżku i pilnowała rzeczy całej trójki.

Doreuil zakomunikowała jej swoją decyzję:

– Zamieszkacie u nas – u mnie – tak długo, dopóki nie będziecie mogli wrócić do siebie.

– Po czym pospiesznie chwyciła swoją torbę.

Bollardowie patrzyli na nią w milczeniu. W końcu Celeste Bollard położyła walizkę na połowym łóżku i zaczęła upychać w niej ubrania.

Berlin

– Przecież sami byliśmy świadkami gniewu obywateli – przypomniał Rolf Viehinger z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. – Liczba grabieży, włamań, aktów rozboju i jeszcze cięższych przestępstw nie jest na razie znana choćby w przybliżeniu i prawdopodobnie nigdy jej nie ustalimy. Co najmniej w dwudziestu gminach i powiatach, co prawda dopiero w ciągu ostatnich trzech dni, radni ewentualnie przedstawiciele oficjalnych władz zostali zmuszeni przez część miejscowej społeczności do ustąpienia ze swoich stanowisk. Jak jednak należało się spodziewać, inicjatorzy tych zmian okazali się w jeszcze mniejszym stopniu zdolni do zapanowania nad porządkiem i bezpieczeństwem, w niektórych miejscach wręcz nie było to ich celem. Mamy też doniesienia o przypadkach samosądu niekiedy posuniętego do linczu. Na razie nie byliśmy w stanie ich zweryfikować. Oficjalne służby dbające o bezpieczeństwo starają się objąć z powrotem na tych obszarach swoje funkcje. Na ogół przebiega to sprawnie, choć niektórzy z samozwańczych gospodarzy terenu sięgają w obronie nawet po broń. Trudno im się dziwić, bo czekają ich stosowne konsekwencje prawne. W obliczu tego wszystkiego wymiar sprawiedliwości w bliskiej, ale również w dalszej perspektywie stoi przed potężnym problemem, dla którego musimy znaleźć odpowiednie rozwiązanie. Ściganie wszystkich czynów karalnych, jakich dopuszczono się podczas awarii, doprowadziłoby do zablokowania aparatu sprawiedliwości na całe lata. Musimy więc albo szybko pomnożyć nasz personel, co uważam za mało realne, albo znaleźć inny sposób, żeby poradzić sobie z tą sytuacją.

– Może na przykład amnestia dla drobnych przestępstw – zaproponował minister sprawiedliwości. – Ale trzeba by ją ogłosić jak najszybciej, żeby obywatele poczuli się bezpieczni. Albowiem – dodał, unosząc palec do góry – odbudowanie poczucia bezpieczeństwa we wszystkich aspektach życia społecznego jest pilnym nakazem chwili. Przepraszam – zwrócił się do Viehingera, dając mu do zrozumienia, że może już kontynuować swój wykład.

– Trochę czasu zajmie nam jeszcze schwytanie zbiegłych więźniów – ciągnął dalej przedstawiciel Ministerstwa Sprawiedliwości. – Według wstępnych szacunków są to blisko dwa tysiące delikwentów. Około jednej czwartej z nich to groźni przestępcy stanowiący poważne zagrożenie dla bezpieczeństwa innych. Bardzo dużo zależy tu od pomocy ludności, ale jednocześnie komunikacja w tym zakresie wymaga najwyższej delikatności. W końcu ludzie nie mogą się czuć osaczeni przez ciężkich przestępców, lecz nie powinni też próbować działać na własną rękę.

Przerwał na chwilę i popił wody.

– Czy to rzeczywiście będzie takie proste? – spytał minister spraw zagranicznych. – Ludzie przyzwyczaili się brać sprawy we własne ręce. Czy podporządkują się wytycznym oficjalnych władz, skoro one nie potrafią w stu procentach wykonywać swoich zadań?

– Nie przesadzajmy z tą własną inicjatywą, wcale aż tak dużo jej nie było – zaproponował Viehinger. – Prawie jedna trzecia ludności przeniosła się do kwater tymczasowych, które oddano im do dyspozycji, osiemdziesiąt procent korzystało z żywności i wody wydawanej w specjalnych punktach, co oznacza, że polegano na pomocy zorganizowanej przez państwo. Większość obywateli przez następne tygodnie, miesiące, a może i lata będzie nadal zmagać się z konsekwencjami tej katastrofy. Bo to, że długofalowe skutki mogą być równie druzgocące jak te bieżące, nie ulega najmniejszej wątpliwości.

Bruksela

Manzano, śmiejąc się, objął starego mężczyznę.

– Jeszcze nigdy nie byłem w Brukseli – wyznał Bondoni rozbawiony. – Więc pomyślałem sobie, że jest okazja. – Poklepał Włocha po plecach. – Oj, nie najlepiej wyglądasz, chłopaku! Czy to prawda, co o tobie mówią? Że sam jeden pokonałeś terrorystów?

– Nawet się do nich nie zbliżyłem – odpowiedział Manzano.

Uścisnął też córkę Bondoniego, która dzieliła ze swoim ojcem luksusowy hotelowy apartament, dopóki w jej mieszkaniu nie pojawi się woda.

– A twoje przyjaciółki też wróciły całe i zdrowe?

– Jak najbardziej.

– Pozwól, że ci przedstawię: Antonio Salvi – powiedział Bondoni i popchnął lekko do przodu chudego mężczyznę o wyjątkowo rzadkich włosach, który do tej pory trzymał się z tyłu. – To jego stacja płaci za to wszystko. – Wskazał na pokój. – A także za lot prywatnym dżetem z Innsbrucka. Antonio chciałby zrobić o mnie reportaż. Jakoś dowiedział się nie wiadomo skąd, że mój stary fiat zawiózł cię do Ischgl, a stamtąd ty...

Manzano uścisnął dłoń dziennikarzowi. Już wczoraj jego koledzy po fachu z całego świata wydzwaniali bez przerwy do Den Haager Hotel i koniecznie chcieli rozmawiać z Włochem. Poprosił więc w recepcji, aby nie łączono ich z jego pokojem. Diabli wiedzą, w jaki sposób wytropili, gdzie on się zatrzymał. Na szczęście jego telefon komórkowy wciąż znajdował się w Niemczech, w których ów nieszczęsny Hartlandt skonfiskował mu samochód i rzeczy. Bollard obiecał mu, że zadba o to, aby wszystko do niego wróciło. W Brukseli nie wywahał go na razie żaden reporter.

– Może będę mógł zadać kilka pytań także panu... – zaczął Salvi, zerkając na Shannon, która na razie jeszcze w ogóle się nie odezwała.

W tym momencie otoczyła Manzana ramieniem i lekko przyciągnęła do siebie.

– Ale dopiero po tym, jak stanie przed moją kamerą...

– A jak było w górach? – zmienił temat Manzano.

– Tak jak można było się spodziewać – odpowiedział Bondoni – lepiej niż w większości innych miejsc. Jedzenie, woda, ciepło, urocze młode kobiety, czego chcieć więcej? Ani trochę mi nie brakowało całej tej nowoczesności.

– I właśnie dlatego zaraz potem przeniosłeś się prywatnym odrzutowcem do tego wytwornego hotelu – skwitował Manzano ze śmiechem. – Nie ma to jednak jak odrobina nowoczesnego luksusu, prawda?

Bondoni niechętnie pokiwał głową.

– A gdzie jest czarująca Szwedka, którą nam porwałeś?

Orlean

Annette Doreuil i Bollardowie taszczyli swoje ciężkie torby i walizki przez lodowato zimne ulice miasta. Rzucone bezładnie śmieci pokrywały chodniki i jezdnie i wypełniały powietrze piekielnym smrodem. Publiczne środki komunikacji jeszcze nie kursowały, widać było tylko samochody policji i wojskowe wozy pancerne. Mijali stacje benzynowe, przed którymi już tworzyły się długie kolejki, chociaż na wielu nawet jeszcze nie paliło się światło. Kawiarnie, bary i inne lokale nadal nie działały. Do tej pory nie spotkali ani jednej taksówki. Dowiedzieli się o drogę do wypożyczalni samochodów, ale nikogo w niej nie zastali. Czego się spodziewali?

Na dworcu głównym tysiące ludzi tłoczyło się w hali pod wygiętym szklanym dachem. Sklepiki były oczywiście zamknięte, również kasy biletowe świeciły pustkami.

Zmęczeni długim marszem postawili swoje bagaże. Celeste Bollard miała ich pilnować, podczas gdy Annette Doreuil i Vincent zamierzali się dowiedzieć, czy kolej uruchomiła już połączenie z Paryżem.

Po kilku pytaniach Doreuil uzyskała informację, że na samym początku awarii odjechały stąd dwa pociągi, ale od tygodnia ani jeden. Chodziły jednak słuchy, że jeszcze dzisiaj ma ruszyć skład do Paryża. Tyle że nikt nie wiedział kiedy, czy trzeba mieć bilety i skąd je wziąć. A może to były tylko plotki, bo nikt nie potrafił potwierdzić, ile jest w tych zapowiedziach prawdy. Mówiono też po kątach, że również Paryż został z powodu radioaktywnej chmury strefą zamkniętą i że dlatego na pewno nie zostaną wpuszczone do stolicy żadne pociągi.

– Nie sposób dowiedzieć się niczego konkretnego – stwierdził zawiedziony Vincent Bollard, kiedy zeszli się z powrotem w jednym miejscu. – Co prawda prąd już jest, ale personelu kolei nie ma.

– Wszystko wyłączyć idzie szybko – powiedziała jego żona. – Ale żeby teraz na nowo wszystko uruchomić, potrzeba więcej czasu. Za wcześniej się cieszyliśmy.

Berlin

Sekretarz stanu Rhess przez ostatnie dwanaście dni schudł chyba z sześć kilogramów, pomyślała Michelsen, kiedy wstał.

– Na początek dobra wiadomość. Systemy komunikacji działają na znacznym obszarze republiki. Wszyscy mieliśmy już możliwość zadzwonić do rodziny i przyjaciół, przeczytać wiadomości w internecie albo usłyszeć je w telewizji. To wiele ułatwia w obecnej sytuacji, bo właśnie w najbliższych dniach będziemy mieli dużo do zrobienia w zakresie komunikacji. Musimy przekazać jak najwięcej informacji na temat samopomocy, ewentualnie o zaopatrzeniu w wodę i żywność. Kiedy już przez wszystkie stacje przetoczą się dyskusje i podsumowania rozmiarów katastrofy, zaczną narastać oskarżenia i krytyka. Kryje się w tym dla rządu oraz dla wszystkich instytucji państwowych zarówno duże niebezpieczeństwo, jak i szansa. Pojawi się wiele pytań. Dlaczego nasze systemy były tak łatwe do zaatakowania? Jaką odpowiedzialność ponoszą firmy energetyczne i z jakimi konsekwencjami muszą się liczyć? Dlaczego systemów awaryjnego zasilania było tak mało? Dlaczego łączność radiowa przeznaczona specjalnie dla instytucji państwowych wyzionęła ducha już po paru godzinach? Jak to możliwe, że zamachowcy mogli knuć swoje plany zupełnie niezauważeni? Jak mogło dojść do katastrof w elektrowniach jądrowych, które przecież zdały testy stresu? Na ile rzeczywiście inteligentne są liczniki inteligentne i cała przyszła sieć inteligentna. A przede wszystkim: na ile są bezpieczne? Dlaczego już dzisiaj w każdym niemieckim gospodarstwie domowym nowo budowanym lub odnawianym musi zostać zamontowany licznik inteligentny, podczas gdy dostawcy prądu nie mają obowiązku zagwarantowania, że są one zupełnie bezpieczne? Czy to jest odpowiednia podstawa do modernizacji sieci energetycznych?

– To na pewno jest temat do dyskusji – wtrąciła minister środowiska. – Ale nie możemy wyłączyć dziecka z kąpielą. Dotychczasowy system został wyeliminowany. Nie oferuje on zatem większego bezpieczeństwa niż ewentualny przyszły. W gruncie rzeczy może być tylko lepiej, czyż nie?

– Nie jestem tu po to, aby zajmować w tej kwestii stanowisko – odparł spokojnie Rhess – lecz by przygotować wszystkich na spodziewane debaty. To będzie jedna z wielu.

Bruksela

Angström zauważyła, że śmieje się za głośno i za dużo, ale po piątej lampce wina było jej już wszystko jedno. Fleur van Kaalden, Chloé Terbanten, Lara Bondoni oraz Lauren Shannon i tak nie zwrócą na to uwagi, bo same wypily jeszcze więcej. Wciąż bawiła je ta historia, jak to włoski dziennikarz próbował przez Bondoniego dostać się do Manzana i Shannon i w tym celu skłonił swoją stację nawet do wynajęcia prywatnego odrzutowca, który przywiózł ich do Brukseli.

Hotel szybko powrócił do normalnej pracy. Przede wszystkim podczas awarii nie zostały zużyte rezerwy alkoholu, dzięki czemu Szwedka i reszta mogły teraz stać oparte o bar i beztrzesko wychylać kieliszek za kieliszkiem. Ojciec Lary po skromnym posiłku poszedł spać. Włoski dziennikarz próbował u każdej z nich swego szczęścia, teraz akurat pracował nad van Kaalden. Angström bardzo to odpowiadało. Podobnie jak tamtego wieczoru w górskiej chatce również dzisiaj podczas całej kolacji jej koleżanka dosłownie kleiła się do Manzana. A on naprawdę źle wyglądał: blizna na czole, w której nadal tkwiły szwy; ostre, niemal jak wykute dłutem rysy twarzy. Dopóki się nie poruszał, ten, kto nie wiedział, nie zauważał rany na jego nodze. Ale przynajmniej się ogolił. Wołała nie pamiętać, w jakim był stanie, kiedy pojawił się u niej w mieszkaniu dwa dni temu.

Van Kaalden i włoski dziennikarz stali oparci o bar, inni tańczyli. Angström ani trochę się nie dziwiła, że ludzie są tacy weseli i zachowują się tak beztrzesko, jakby nic się nie stało. Chcieli dzisiaj odegnać od siebie strach, cierpienie i rozpacz minionych tygodni.

Manzano przyglądał się tańczącym.

– Też bym może zatańczył – powiedział i opróżnił swój kieliszek. – Ale jestem zmęczony. Jak ojciec Lary. Starzeję się.

– Ja też będę się chyba zbierała – rzekła Angström, a kiedy zeszła z barowego stołka, poczuła, że kręci się jej w głowie.

Puknęła van Kaalden w ramię, pomachała jej i reporterowi na dobranoc. Z pozostałymi koleżankami się nie pożegnała.

Po drodze do hotelowego lobby Manzano zwrócił się do Angström:

– Chciałem cię jeszcze raz przeprosić za to, w co cię wciągnąłem. Po prostu... nie wiedziałem, gdzie miałbym z tym pójść.

– Nie musiałam was brać do siebie do biura – odparła. – Ale na szczęście to zrobiłam.

– Uda ci się złapać taksówkę? – spytał.

– Na pewno. Stacje benzynowe znowu działają. Tylko nie ma jeszcze wody w mieszkaniach. – Roześmiała się. – Ale do tego zdążyłam się już przyzwyczaić.

– Możesz wziąć prysznic u mnie – zaproponował Manzano. – To nie byłby pierwszy raz.

– Chcesz mnie po prostu zwabić do swojego pokoju.

– Oczywiście.

Doszli do wyjścia z hotelu, przed którym rzeczywiście stało kilka taksówek. Uściskali się na pożegnanie. Ucałowali. I jeszcze raz. Sonja poczuła dłonie Piera na swoich plecach, ramionach i nagle odkryła, że jej ręce spoczywają na jego biodrach, chwytają go za szyję. Nie odrywając się od siebie i nie zwracając uwagi na innych gości, pospieszyli do windy, na drugim piętrze szybko przemierzyli korytarz, Manzano wygrzebał kartę zbliżeniową z kieszeni spodni i otworzył drzwi pokoju. Wepchnął Angström do środka, a ona wciągnęła jego, wsuwając mu ręce pod sweter. Dłonie Piera nerwowo wędrowały pod jej bluzką, zsunęły się na pośladki; potknęli się w ciemności, omal się przewrócili. Sonja oprzytomniała na chwilę, wyjęła kartę z jego ręki i włożyła ją w specjalny otwór przy drzwiach.

Z cichym kliknięciem rozbłysło dyskretne, ciepłe światło.

– Skoro już je mamy... – szepnęła, podczas gdy on całował ją po szyi – ...chciałabym cię widzieć.

Jego dłoń po omacku znalazła wyłącznik, niemal całkowicie przygasila światło.

– Ale powinniśmy obchodzić się z nim oszczędnie. Poza tym nie stanowię szczególnie pięknego widoku.

Pocałowała go delikatnie obok blizny na czole.

– Tylko na razie.

Berlin

Michelsen i kilku kolegów zdobyli samochód z kierowcą, dzięki czemu pierwszy raz od ponad tygodnia udało się jej pojechać do domu. Była ostatnia na długiej trasie.

Jazda przez miasto robiła upiorne wrażenie. Na większości domów znowu świeciły reklamy, logo firm. Na chodnikach piętrzyły się na wysokość mniej więcej dwóch metrów góry worków śmieci. Wiele było rozerwanych, ich zawartość wysypywała się na ulicę. Foliowe torby walały się też po jezdni i nieoczekiwanie pojawiały się w świetle samochodowych reflektorów. Między nimi wałęsały się psy i przemykały szczury.

W wielu domach w oknach paliło się światło. Ludzie nawet się nie spodziewali, że będą mogli opuścić obozy tymczasowe i wrócić do swoich mieszkań. Ale już jutro, pomyślała Michelsen, znowu poczują złość i zawód, kiedy przyjdzie im stwierdzić, że z kranów nie leci woda, a sklepy pozostają nadal zamknięte. Wprawdzie nadawano przez radio apele, aby mieszkańcy na razie jeszcze nie opuszczali obozów, ale przecież trudno było się im dziwić. Ona sama też właśnie jechała do siebie. Tyle tylko, że ona wiedziała, iż następnego dnia zostanie w ministerstwie wszystko – począwszy od toalety i prysznic, po całodniowy prowiant.

Między dwoma wrakami samochodów sterczały na skraju jezdni dziwnie wygięte żerdzie długości co najmniej metra. To żebra, stwierdziła Michelsen, gdy przejeżdżali obok, gigantyczne żebra jakiegoś zdechłego zwierzęcia. Na krowę były o wiele za duże.

– Co to takiego? – krzyknęła do kierowcy.

– Resztki słonia z ogrodu zoologicznego, o ile dobrze słyszałem – odpowiedział obojętnie. – W ostatnich dniach z zoo uciekło dużo zwierząt.

Przypomniała się jej żyrafa z młodymi.

– Większość została zabita przez głodujących – dodał kierowca.

Czy da się jeść mięso słonia? – zastanowiła się Michelsen dogłębnie wstrząśnięta.

W radiu podawano wiadomości. W większości krajów europejskich w znacznym stopniu przywrócono już podstawowe zaopatrzenie w prąd i do mediów powoli docierały informacje o kolejnych przerażających wydarzeniach. O tragedii w Saint-Laurent i katastrofie w Philippsburgu pierwsze stacje doniosły dziś w południe. No cóż, pomyślała Michelsen, w najbliższych dniach nadawcy nie będą mogli narzekać na brak mrozących krew w żyłach wiadomości. Od wypadków w zakładach chemicznych w Hiszpanii, Wielkiej Brytanii, Niemczech, Polsce, Rumunii i Bułgarii, przez niezliczone i najrozmaitsze ludzkie nieszczęścia, po skutki odczuwalne dopiero po jakimś czasie. Ze Stanów Zjednoczonych napływały podobne doniesienia.

Kierowca zatrzymał się, uzgodniła z nim godzinę, o której ma jutro po nią przyjechać, po czym wysiadła. Poczula na twarzy kilka zimnych kropli deszczu. Znalazła lukę między cuchnącymi stosami śmieci i po kilku krokach weszła do domu.

Powietrze w mieszkaniu było zimne i ciężkie. Światło działało. Właściwie podobnie wyglądały jej powroty z dłuższych urlopów, stwierdziła. Cieszyła się, że po nieustającym stresie w centrum kryzysowym może znowu być sama. Przyniosła z biura kilka butelek wody. Zawartością dwóch z nich splukała toaletę.

Czuła, że na razie nie będzie mogła jeszcze zasnąć. Otworzyła więc butelkę czerwonego wina, naląła sobie kieliszek i stanęła w ciemnej kuchni przy oknie. Wypiła spory łyk i patrzyła w noc, na światła miasta, które nagle zaczęły się jej rozmywać przed oczami. Przeszyło ją drżenie, nad którym nie potrafiła zapanować. W końcu wybuchła płaczem.

Haga

Wyprowadził się, oznajmił portier. Do innego hotelu, a o co chodzi? Wyjaśnił, że jest reporterem, i spytał, czy portierowi nic nie wiadomo o tym, że ów Manzano odegrał istotną rolę przy rozwiązaniu całej tej historii. Nie tak ważną jak tamta amerykańska dziennikarka, ale zawsze. Aha, to z nią wyjechał. Czy mógłby podać, jak się nazywa ten nowy hotel, bo zależy mu na zrobieniu z Włochem wywiadu. Niejeden by chciał, odparł portier. Najpierw powiedział, żeby nie łączyć żadnych telefonów z jego pokojem. A potem się wyprowadził. Dlaczego? Pański hotel mu nie odpowiadał? Możliwe, odrzekł portier. W końcu teraz wszędzie jest prąd. No cóż, tak to już jest z tymi gwiazdami, prawda? Mężczyzna wzruszył ramionami. Chcąc jeszcze bardziej wkupić się w jego łaski i usłyszeć nazwę nowego lokum Manzana, podsunął mu przez ladę banknot o nominale stu euro. Potem złapał taksówkę.

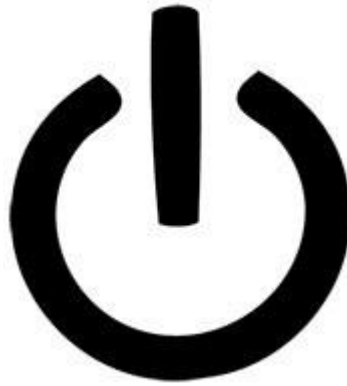
Menedżerowi eleganckiego hotelu powiedział, że jest kolegą Lauren Shannon i że ona z nim się tutaj umówiła. Mężczyzna wyraźnie się oburzył.

– To nic panu nie powiedziała? – spytał. – Przecież ona dzisiaj wyjechała do Brukseli.

– To co ja mam teraz zrobić, widocznie zapomniała mnie poinformować. Byłbym panu bardzo wdzięczny, gdyby zechciał mi pan podać adres jej hotelu w Brukseli.

Menedżer zapisał mu na kartce.

Dzień 14. – Piątek



Orlean

– Tuż po dziesiątej – powiedziała Annette Doreuil, nie mogąc złapać tchu. – Powinniśmy już iść na perony. Nie wiadomo, ilu ludzi będzie chciało się dostać do pociągu.

I ona, i Bollardowie spędzili noc, siedząc oparci o walizki. Bruzdy na ich twarzach pogłębiły się jeszcze bardziej. Jak okiem sięgnąć, czekający leżeli stłoczeni na posadzce, niemal nie dawało się przejść między nimi.

Doreuil rzuciła tęskne spojrzenie ku dworcowej piekarni zamkniętej za roletami. Pomogła podnieść się Celeste Bollard, a następnie także jej mężowi. Vincent Bollard zdjął czapkę i poprawił sobie włosy. Annette Doreuil odruchowo też przesunęła ręką po swojej głowie. Ukradkiem spojrzała na dłoń, żeby sprawdzić, czy nie ma w niej włosów. Nie odkryła ani jednego. Chwyciła torbę i ruszyła ku peronom, gdzie panował już taki ścisk, że raz po raz ktoś był spychany na tory. Niech się dzieje co chce, ale oni muszą dostać się do tego pociągu.

Haga

Chyba oczekiwała za wiele. Marie Bollard stała zawiedziona przed zamkniętym na cztery spusty supermarketem. Po skromnym śniadaniu od razu wyruszyła razem z dziećmi. Brudne ulice z powrotem trochę ożyły, ale nadal były patrolowane przez wojsko, a nad dachami huczały helikoptery. Czuć było zgnilizną i dogasającym popiołem. Po pierwszym niepowodzeniu chciała sprawdzić jeszcze dwa inne sklepy w okolicy. Po drodze rozglądała się za otwartymi restauracjami czy kawiarniami. Jednak wszystkie lokale były wciąż zamknięte. I nic nie wskazywało na to, by wkrótce miało się to zmienić – ani żadne szyldy, ani krzątający się personel.

Nie ona jedna się nabrała. Klienci klęli, patrząc na opuszczone rolety, pytali, dyskutowali. – *Maman*, zimno mi – poskarżyła się Bernadette. – Chodźmy do domu.

Marie odbiła jeszcze kawałek w bok, żeby podejść do banku. Przynajmniej on był otwarty! Iskierka nadziei! Ale wokół okienka cisnęła się gromada ludzi sięgająca prawie do wyjścia.

Z tyłu, za nimi, dwie uniesione wysoko do góry ręce machały energicznie, starając się uspokoić wzburzony tłum. Czyjś głos obwieszczał coś po holendersku, raz po raz powtarzał to samo. Niektóre transakcje bankowe są już od dzisiaj możliwe, ale gotówki nie można jeszcze podejmować. Dopiero od jutra. I to też w ograniczonym zakresie.

Czyli przyjdzie jutro. Ruszyła z dziećmi z powrotem do domu. Zanim zdjęła płaszcz w przedpokoju, podeszła do telefonu stojącego na stoliku i wybrała numer swoich rodziców w Paryżu. Próbowała się do nich dodzwonić już wczoraj i kilkakrotnie także dzisiaj. Odczekała dziesięć sygnałów, po czym się rozłączyła i wykreśliła numer Bollardów. Również u nich nikt nie odbierał.

Bruksela

– Dzień dobry – powiedział Manzano, kiedy Angström otworzyła oczy. Zaspana spojrzała na niego spod przymkniętych powiek, a potem rozejrzała się wkoło.

– To mój pokój hotelowy – wyjaśnił. – Zostałaś, żeby wziąć prysznic.

– Przypominam sobie. – Wyciągnęła się, a potem zniknęła w łazience.

Manzano podszedł do okna, zsunął na bok firanki i wyjrzał na zewnątrz. Z łazienki dobiegał szum prysznica. Portier oznajmił im wczoraj, że w hotelu są doskonałe warunki, ponieważ często goszczą w nim dyplomaci i politycy, i na przykład teraz jest już w nim woda, podczas gdy w większości brukselskich domów można o niej tylko pomarzyć.

Ubrali się i zeszli na dół na śniadanie. Na długim bufecie zastali jeden rodzaj chleba, jeden gatunek żółtego sera i kielbasy. Poza tym odpakowaną czekoladę, karafki z wodą, herbatę i kawę. Na odręcznie napisanej kartce przeproszano gości za skromny wybór. Kierownictwo hotelu dokłada wszelkich starań, by jak najszybciej przywrócić dawny standard.

– Dzień dobry! – Shannon przywitała ich z szerokim uśmiechem.

Siedziała sama przy jednym ze stołów, przed nią stał laptop i filiżanka kawy. Zmierzyła Manzana i Angström wzrokiem od góry do dołu.

– Dobrze się wczoraj bawiliście?

– A ty?

– Nawet nie wiem, jak długo tańczyliśmy.

– Gdzie podziewa się Bondoni?

– Pewnie jeszcze śpi.

– A twój włoski kolega?

– Na szczęście też się jeszcze nie pojawił. Ale trudno się dziwić po tym, ile wczoraj wypił. – Szybko wpisała coś do komputera. – Przepraszam, muszę wysłać e-maila. A potem zaraz ruszam dalej. Słyszeliście może coś nowego od Bollarda? – Ponownie przyjrzała się im wnikliwie.

– Aha. Zdaje się, że mieliście coś ciekawszego do roboty.

Manzana trochę już irytowały te jej przytyki.

– Jestem potwornie głodny i marzę o kawie.

Shannon zamknęła laptopa i zerwała się z miejsca.

– Mam teraz własnego operatora – oznajmiła. – Ale dacie mi znać, jeśli Bollard się odezwie, okej?

I poszła.

Manzano odetchnął głęboko.

– Niewyobrażalna energia – zauważył.

Angström objęła go za biodra.

– Wobec tego i my naładujmy baterie – zaproponowała i pociągnęła go w stronę termosów z kawą.

Stambuł

Bollard obserwował przez lustro weneckie przesłuchanie jakiegoś Japończyka. Mężczyzna wyglądał na spokojnego i opanowanego. Podobnie jak inni od początku nie krył, że świetnie rozumie i mówi po angielsku.

Kiedy wiele dni temu odkryli go w grupie podejrzanych, niektórzy bardzo się zdziwili. Japończyk terrorystą? Bollard przypomniał im jednak kilka wydarzeń, na przykład zamach w tokijskim metrze w 1995 roku przeprowadzony przez sektę Aum z użyciem gazu trującego czy masakrę na lotnisku w Tel Awiwie w 1972 roku.

Od chwili aresztowania pozwolono Japończykowi tylko na dwie godziny snu. W siedmiu sąsiadujących ze sobą pomieszczeniach przesłuchiwali siedmiu mężczyzn i jedną kobietę. Trzech z nich miało rany postrzałowe, więc tych przepytywano krócej i pod okiem lekarza. Rano, bezpośrednio po akcji, przybyli współpracownicy kilku europejskich służb wywiadowczych oraz CIA. Na zmianę z tureckimi funkcjonariuszami lub wspólnie z nimi prowadzili przesłuchania. Na temat przebiegu całej operacji zamachowcy nie chcieli na razie nic mówić. Ale się jej nie wypierali, wręcz przeciwnie. Uważali ją za niezbędny krok, by świat mógł wkroczyć w nową epokę. Bollard uznał za interesujące, że dotychczas żaden z nich nie wyrażał się negatywnie o mniejszościach. A taka postawa była przecież typowa dla terrorystów – w zależności od antypatii przyporządkowywano ich do lewego lub prawego skrzydła.

– Ile wam za to płacą, żebyście nas tu trzymali i torturowali? – spytał Japończyk.

– Nie jesteście torturowani.

– Odbieranie ludziom snu to tortura.

– Mamy dużo pilnych pytań. Jak nam pan na nie odpowie, będzie mógł pan spać.

– Czy za swoją pensję może pan sobie pozwolić na rolls-royce'a?

Turecki funkcjonariusz pozostał niewzruszony.

– Moja pensja nie ma tu nic do rzeczy.

– Wręcz przeciwnie, właśnie ma – spokojnie odparł Japończyk. – Bo pańscy przełożeni mogą. A ludzi, którzy opłacają pańskich szefów, stać na całą flotę luksusowych limuzyn. Kiedy pan odwala tu czarną robotę, oni siedzą sobie w ogromnych willach i jeszcze za tego życia dają się rozpieszczać dwustu siedemdziesięciu dziewczynom.

– Muszę pana rozczarować, ja nie wierzę w takie rzeczy.

– Uważa pan, że to sprawiedliwe? Że pan spędza noc z kimś takim jak ja, podczas gdy oni odbywają sobie przejażdżki ferrari z pięknymi kobietami?

– Tu nie chodzi o sprawiedliwość.

– To o co panu chodzi?

Laptop Bollarda obudził się ze stanu uśpienia. W okienku wideocztu pokazała się twarz Christopoulosa.

– Popatrz tutaj – powiedział Grek i w innym oknie wyświetlił szeregi jakiegoś kodu. – To jest już pseudokod.

brak kodu blokującego w ostatnich czterdziestu ośmiu godzinach
aktywować fazę 2.

– Co aktywować? – spytał Bollard.

– Na razie nie wiemy – odpowiedział Christopoulos. – Ustaliliśmy tylko, że to nie służyło do aktywowania kodu SCADA Dragenaua ani szwedzkich czy włoskich liczników inteligentnych. Co najważniejsze: jak wynika z dotychczasowych analiz strategii przeprowadzenia ataku, takie polecenie nie jest wymagane w oprogramowaniu.

Bruksela

– Właśnie takie polecenie miałem na myśli! – krzyknął Manzano.

Twarz Bollarda wydawała się zielona, ale być może to była tylko kwestia światła. Manzanowi przemknęło przez głowę pytanie, kiedy wreszcie kamery w laptopach przestaną deformować ich użytkowników, czynić z nich zombi.

– Gdzieś w systemach wciąż tkwią ukryte bomby z opóźnionym zapłonem – powiedział Manzano. – Może nie we wszystkich, ale w niektórych. One nie są aktywowane, tylko aktywnie blokowane. Co najmniej co czterdzieści osiem godzin. Jeśli nie, to bum! I wszystko zacznie się od początku.

Shannon i Angström zaglądały Włochowi przez ramię, starając się nie wejść w obiektyw komputerowej kamery.

– Ile czasu minęło od dostępu? – szepnęła Angström.

Manzano szybko przeliczył.

– Trzydzieści godzin – odpowiedział jej również szeptem.

– Ale polecenie zablokowania wcale nie musiało być koniecznie wydane tuż przed dostępem – powiedziała cicho Shannon. – Może zostało wysłane już dzień wcześniej.

– To w tej chwili już byś relacjonowała jego skutki – odrzekł Włoch przytłumionym głosem.

– Co pan tam szepcze? – spytał Bollard.

– Niech mi pan załatwi dostęp do bazy danych RESET-u! – zażądał Manzano. – I potrzebne są mi logi każdego sprzętu w Stambule i Mexico City!

Berlin

– Trudno jest w tej chwili ocenić konsekwencje ostatnich wydarzeń dla gospodarki – zaczął Helge Domscheidt z Ministerstwa Gospodarki.

Michelsen stwierdziła, że prawie wszyscy z obecnych wyglądają dzisiaj lepiej niż do tej pory. Mniej podkrążone oczy, prostsze plecy, ogólnie lepszy nastrój. Nie sprawiali już wrażenia osób nerwowych i w stresie, tylko raczej skupionych. Jej też udało się w końcu zasnąć ostatniej nocy.

– Większość przedsiębiorstw przemysłu wytwórczego musiała zawiesić produkcję – stwierdził Domscheidt. – Wiele firm będzie unieruchomionych jeszcze przez wiele dni lub tygodni, ponieważ brakuje surowców i materiałów. Urządzenia produkcyjne często uległy uszkodzeniu albo całkowitemu zniszczeniu, na przykład piece hutnicze w przemyśle metalurgicznym. Liczne produkty, które akurat znajdowały się w procesie produkcyjnym, są nie niewarte. Aby podać choćby jeden przykład z interesującej nas dziedziny: elementy wiatraków muszą być niejako wypiekane w bardzo wysokich temperaturach. Jeśli zabraknie prądu i automatycznie przestaną działać piece, te rzeczy nadają się już tylko do wyrzucenia. O problemach w przemyśle spożywczym zostaliśmy już poinformowani. Jeśli chodzi o dostawy energii, oczywiście powstają wąskie gardła. Około dziesięciu procent elektrowni jest poważnie uszkodzonych i usunięcie usterek zajmie niekiedy kilka miesięcy. Oznacza to, że gałęzie przemysłu szczególnie uzależnione od energii, jak produkcja papieru, cementu czy aluminium, będą musiały jeszcze trochę poczekać. Należy rozważyć, czy nie tak dawno wyłączone elektrownie jądrowe nie powinny, jeśli to możliwe, zostać przynajmniej przejściowo przywrócone do pracy.

– To zupełnie nie wchodzi w rachubę! – przerwała mu z oburzeniem minister środowiska. – Po awariach w Philippsburgu i Brokdorfie nie jest to dla nikogo do przyjęcia.

– Z całą pewnością przemysł zacznie stawiać żądania. Musimy być na to przygotowani. Ostatnie tragiczne wydarzenia dotknęły oczywiście także małe i średnie firmy, rdzeń niemieckiej gospodarki. One stoją w obliczu jeszcze większych kłopotów, ponieważ, co zrozumiałe samo przez się, im poświęca się mniej uwagi niż wielkim koncernom i trudniejsze jest też dla nich uzyskanie finansowania od banków. Aby zapobiec załamaniu się niemieckiej gospodarki w najbliższych miesiącach i latach, musimy stworzyć gigantyczny program pomocy. Ale nawet wtedy – dodał ponuro – nie jest pewne, czy jeszcze kiedykolwiek odzyskamy naszą pozycję w świecie. Tym razem bowiem nie możemy liczyć ze strony USA na żaden plan Marshalla, bo Stany Zjednoczone są również zdewastowane. Poza tym wsparcia potrzebujemy nie tylko my, ale wszystkie kraje europejskie. A to oznacza, że straciliśmy wielu z naszych najważniejszych partnerów handlowych i nieprędko, jeśli w ogóle, ich odzyskamy. To jednak dopiero początek. W średniej perspektywie kraje rozwijające się odczuwają w dotkliwy sposób brak rynków europejskich i rynku północnoamerykańskiego. A to oznacza, że również Chiny, Indie, Brazylia i inne kraje już niedługo będą się zmagać z wysokim bezrobociem i w konsekwencji z konfliktami społecznymi, a także z brakiem stabilizacji politycznej. Tym samym nie będzie już wielkich rozwijających się rynków, czyli mamy błędne koło. Również u nas bez odpowiednich programów wsparcia stopa bezrobocia zacznie szaleńczo rosnać. Pełen wymiar skutków społecznych trudno jest dziś przewidzieć. Niektórzy eksperci ekonomiczni przewidują, że pod względem struktury społecznej upodobnimy się do krajów Ameryki Łacińskiej z nieliczną, ale bardzo bogatą klasą wyższą, zanikającą klasą średnią i przeważającą częścią społeczeństwa żyjącą w bardzo skromnych, by nie powiedzieć, nędznych warunkach.

– Za pomocą właściwych działań politycznych da się temu oczywiście zapobiec – wtrącił

kanclerz federalny.

– Jeśli znajdzie się odpowiednia większość... Obawiam się, że wielu ludzi, włącznie z obecnymi tutaj w sali, nie jest jeszcze świadomych możliwych długoterminowych skutków takiej zmiany oraz tego, do czego doprowadziły podobne warunki społeczne i gospodarcze w przeszłości. Chciałbym jednak podkreślić, że wcale nie musi się tak stać.

– A skąd wziąć środki na programy rozwojowe? – spytał minister spraw zagranicznych. – Większość państw była już wcześniej zadłużona albo wręcz w stanie upadłości.

Domscheidt odpowiedział na spojrzenie ministra niewiele mówiącą miną.

– To z pewnością państwu wyjaśni minister finansów.

Haga

– Co to jest ten kod blokujący i co się stanie, jeśli go zabraknie? – spytał Bollard.

Przechylony przez stół do przodu, podparł się na nim jednym ramieniem, a palcem wskazującym drugiej ręki stuknął kilka razy w blat dla nadania swoim słowom większej mocy.

– Mówiłem już przecież, że nie wiem – odpowiedział siedzący naprzeciw niego mężczyzna, jeden z uwięzionych Francuzów.

Bollard mógł porozumiewać się z nim w swoim ojczystym języku. Był wściekły, że jego rodak należy do zamachowców. Zdawał sobie jednak sprawę, że w ich kraju już od jakiegoś czasu głośno domagano się zmian, nierzadko odwołując się nawet do przemocy.

– Niech pan mnie posłucha – wysyczał Bollard przez zęby tak cicho, aby w filmujących ich kamerach jego słowa nie były zrozumiałe, i jednocześnie chwycił tamtego za kołnierz – jeśli gdziekolwiek w Europie czy w Stanach Zjednoczonych znowu wyłączy się prąd i zginie jeszcze więcej ludzi tylko dlatego, że pan mi teraz nie powie, do czego służy ten kod blokujący, to porozmawiamy wtedy ze sobą inaczej. Zupełnie inaczej. Wtedy będzie się pan skarżył nie tylko na brak snu.

Bollard dobrze wiedział, że za takie groźby może zostać postawiony przed sądem. Cofnął się znad stołu, wściekły na samego siebie.

– Nie ma pan prawa – wrzasnął uwięziony Francuz. – Nie ma pan prawa grozić mi torturami.

– A kto panu grozi?

– Pan! To jest niezgodne z prawami człowieka!

Bollard ponownie pochylił się do przodu, jego czoło niemal stykało się z czołem tamtego.

– I pan będzie mi tu wyjeżdżał z prawami człowieka? A te miliony zagłodzonych, zamrzniętych i zmarłych z powodu braku lekarstw? Ci ludzie pana zdaniem nie mieli żadnych praw? No, do czego służy ten kod blokujący?

– Naprawdę nie wiem – uparcie powtarzał podejrzany.

Był trupio blady, na jego czole pojawiły się krople potu. Facet nie był przygotowany do ostrych przesłuchań. W którymś momencie pęknie. Bollard zastanawiał się, jak daleko jeszcze będzie musiał się posunąć.

Ale co, jeśli ten gość rzeczywiście nic nie wie?

Berlin

– Dobra wiadomość jest taka – zaczął Volker Bruhns, sekretarz stanu w Ministerstwie Finansów – że większość oddziałów banków jest znowu otwarta. Obywatele mają zapewniony dostęp do pieniędzy. Ale są też mniej pomyślne wiadomości. Na razie, aby zapobiec wyczyszczeniu rezerw bankowych, każdy klient może podjąć jednego dnia nie więcej niż sto pięćdziesiąt euro. Giełdy europejskie nie pracują jeszcze do połowy przyszłego tygodnia, podobnie parkiety amerykańskie. Pod względem technicznym otwarcie sesji byłoby jak najbardziej możliwe, jednak rynki powinny najpierw ochłonać i przetrwać wszelkie nowości. Do ostatniego dnia notowań w ubiegły piątek najważniejsze europejskie i północnoamerykańskie indeksy straciły około siedemdziesięciu procent. Niektóre firmy niemieckie, które jeszcze dwa tygodnie temu były warte po kilkanaście miliardów euro, teraz są na skraju bankructwa. Euro się wywróciło, mimo że Europejski Bank Centralny zasilął rynki. To oznacza oczywiście katastrofę w zakresie importu ropy i gazu, który w tej sytuacji wręcz ekstremalnie podrożeje, co może doprowadzić do załamania zaopatrzenia w energię teraz z zupełnie innego powodu: po prostu nie będziemy w stanie pozwolić sobie na sprowadzanie tych surowców. Na szczęście, jeśli można tak cynicznie powiedzieć, w tym tygodniu, po ataku na USA, załamał się także dolar, co obniża nieco koszt importu, bo jak wiadomo, za ropę i gaz płacimy w dolarach. Warto dodać, że strategicznych rezerw ropy i paliw wystarczy nam jeszcze na kilka miesięcy, ponadto do podwyżek dojdzie też dopiero za kilka miesięcy, jako że w większości przypadków mamy do czynienia z długoterminowymi umowami handlowymi.

Krótko zaczerpnął powietrza i zaraz kontynuował:

– Rozwój sytuacji na rynkach papierów wartościowych i surowców jest trudny do przewidzenia. Możliwe, że po zakończeniu awarii dojdzie do pozytywnych zjawisk. Niemniej jednak rynki nie miały jak zareagować podczas ostatnich tygodni na pogorszenie się warunków. Przewroty wojskowe w Hiszpanii, Portugalii i Grecji na pewno nie pozostaną bez wpływu. Oprocentowanie kredytów nawet dla niemieckich pożyczek państwowych przewyższa, i to znacznie, poziom znany nam z Grecji, Irlandii, Włoch czy Hiszpanii w najgorszym okresie kryzysu finansowego. De facto finansowanie za pośrednictwem rynku kapitałowego jest teraz niemożliwe. Oznacza to, że Niemcy jako kraj za kilka miesięcy nie będą w stanie obsłużyć swoich kredytów ani wypłacić pensji, rent i emerytur urzędnikom i uprawnionym. Wiele państw europejskich stanie przed tym problemem już wcześniej. Tak więc międzynarodowe rynki finansowe czeka załamanie, w porównaniu z którym wszystkie dotychczasowe fale kryzysu finansowego były niczym. Obecnie potrzebna jest polityka, która pozwoli zapobiec przynajmniej temu najgorszemu. Potencjalne scenariusze zostaną za... – spojrzął na swój zegarek – ...cztery godziny przedstawione i przedyskutowane podczas wideokonferencji szefów rządów państw wchodzących w skład G20 z udziałem przedstawicieli Europejskiego Banku Centralnego, Rezerwy Federalnej, Międzynarodowego Funduszu Walutowego i Banku Światowego.

Paryż

Jazda pociągiem z Orleanu do Paryża trwała całą wieczność. Ku przerażeniu Annette Doreuil zatrzymywali się w każdej większej miejscowości po drodze. Najważniejsze jednak, że zmierzali do domu. I udało się im nawet zdobyć miejsca siedzące. Bollardowie niemal natychmiast zasnęli, ona zaś przez cały czas patrzyła przez okno. Ile martwych i pospiesznie pogrzebanych ciał leży wszędzie na tych polach? W końcu stukot pociągu trochę zagłuszył w niej te ponure myśli. Przypomniała sobie o dzieciach. Miała nadzieję, że Bernadette i Georges czują się dobrze.

Późnym popołudniem dotarli wreszcie do Paryża. Razem z kilkudziesięcioma innymi podróżnymi Bollardowie czekali na postoju taksówek, podczas gdy Doreuil wróciła do hali dworcowej, żeby zasięgnąć informacji. W okienku nawet ktoś siedział, ale przed nim kłębił się taki tłum, że wróciła do Bollardów. Kiedy pojawiła się jakaś taksówka, czekający zaczęli się brutalnie przepychać. Nadjechały dwa kolejne samochody; wprawdzie nie miały tabliczki „taxi”, ale mimo wszystko się zatrzymały. Jedno z aut stanęło tuż przed Vincentem Bollardem. Kierowca opuścił szybę po stronie pasażera i spytał: – Dokąd?

Annette Doreuil podała adres.

– Sto pięćdziesiąt euro – zażądał mężczyzna.

– To jest... – rzuciła Doreuil, ale zaraz się opanowała.

Normalna taryfa za odcinek z dworca do jej domu wynosiła około trzydziestu euro.

– Zgoda – powiedziała z kamienną twarzą.

– Wsiadajcie.

Właściciel samochodu otworzył centralny zamek. Inni czekający próbowali wepchnąć się do środka, proponując bezczelnemu wyzyskiwaczowi jeszcze więcej pieniędzy. Ale oni troje siedzieli już w aucie.

– Połowa z góry – oświadczył mężczyzna i wyciągnął rękę do tyłu.

Doreuil zapłaciła.

– Skąd przyjechaliście? – spytał ciekawie i ruszył jak szalony przed siebie.

– Z Orleanu – odpowiedziała zdawkowo Annette. Nie miała najmniejszej ochoty na rozmowę z tym lichwiarzem.

– A niech to...! – wykrzyknął. – Myślałem, że to strefa zamknięta. Tak mówili w wiadomościach.

Doreuil pomyślała o włosach znalezionych między palcami.

– Orlean nie jest w strefie zamkniętej. Przebywaliśmy tam w obozie tymczasowym.

– Mówili, że tak – upierał się mężczyzna.

Stolica była jeszcze bardziej zawałona śmieciami niż Orlean, gdzieś tam leżały nawet rozdęte ciała padłych zwierząt. Po ulicach jeździły głównie pojazdy służb porządkowych i ratowniczych oraz wozy pancerne, mimo to prędkościomierz ich samochodu wskazywał osiemdziesiąt kilometrów na godzinę.

Kierowca roześmiał się głośno:

– A w Paryżu nie jest wiele lepiej!

Doreuil nienawidziła go za te aluzje, nie mogła jednak się powstrzymać i spytała: – To znaczy?

– Możliwe, że chmura z tej elektrowni na południu, gdzie był wybuch, dotarła aż tu do nas. Ale władze mówią, że nie jest tak źle. – Wzruszył ramionami. – Podobno deszcz wszystko zmył i nie ma już zagrożenia, tak przynajmniej twierdzi się oficjalnie. – Wykonał lekceważący gest. – Ja w każdym razie w to wierzę. Inaczej nie mógłbym dalej spokojnie żyć.

Doreuil nic nie powiedziała. Niby mimochodem przesunęła palcami po włosach i ukradkiem zerknęła na swoją dłoń.

– Potrzebujecie czegoś? – spytał bez ceregieli mężczyzna. – Jedzenia? Czegoś do picia? Mogę wam załatwić. Nie tak łatwo jest teraz cokolwiek dostać.

– Dziękuję, niczego nie potrzebujemy – odrzekła stanowczo Annette.

Gdy zajechali przed dom, zapłaciła mu wygórowaną kwotę i postarała się zapamiętać numery rejestracyjne. Miała nadzieję, że w mieszkaniu nie cuchnie tak jak na ulicy. Razem z Bollardami musiała najpierw przedrzeć się przez góry śmieci, żeby dotrzeć do wejścia.

Kiedy otworzyła drzwi do mieszkania, westchnęła: – Nareszcie!

Powietrze było w nim całkiem znośne; najgorszy fetor został na zewnątrz. Postawiła walizkę na podłodze i podeszła do telefonu. W słuchawce nie usłyszała żadnego sygnału. Pospieszyła do komputera w gabinecie Bertranda, a za nią Bollardowie. Od kiedy dzieci z wnukami przeniosły się do Hagi, również ona nauczyła się obsługiwać nowoczesne środki komunikacji. Uruchomiła maszynę, włączyła Skype'a i wybrała imię swojej córki. Po kilku sekundach na ekranie pojawiła się lekko rozmyta twarz Marie. Doreuil nabiegły do oczu łzy. Słyszała, jak córka woła: „Dzieci! Chodźcie! Babcia i dziadek do nas dzwonią!”. Następnie Marie odwróciła się znowu do niej: – *Maman*, Boże, jak ja się cieszę, że wreszcie cię widzę! Wszystko u was w porządku?

Bruksela

- Przecież tego są miliony! – wykrzyknęła Shannon. – Żeby je przeszukać, trzeba lat! Manzano gorączkowo stukał w klawisze klawiatury.
- W gruncie rzeczy powinnaś to już wiedzieć. Właśnie piszę mały skrypt. Pamiętasz, to samo robiłem, kiedy szukałem logów mojego firewala, w którym znaleźliśmy potem adres IP RESET-u. Zaraz skończę.
- Czego będzie szukał ten skrypt?
- Tego samego albo czegoś podobnego jak wtedy. Śladu przesyłania danych pod zawsze ten sam adres IP regularnie co czterdzieści osiem godzin lub mniej. Gotowe. Przcisnął klawisz Return i program zaczął przeczesywać bazę logów.
- Manzano przełączył się na wideoczat i wybrał Bollarda. Czekał, ale Francuz się nie zgłaszał.

Stambuł

– François? François! Jesteś tam?

Bollard słyszał głos Marie dochodzący z komputera jak przez watę. Patrzył tępo w monitor, pociągła, blada twarz jego żony rozmyła się przed jego oczami. Przełknął łzy.

– Trzeba... – jej głos się załamał – trzeba go stamtąd... wykopać. Żeby mógł być pochowany w Paryżu.

Mówiła to już po raz drugi. Sposób pochówku wstrząsnął nią równie mocno jak sama wiadomość o śmierci jej ojca.

– Ja... tak mi przykro – odpowiedział Bollard zdławionym głosem. – Muszę teraz skończyć. Uważajcie na siebie. Niedługo się zobaczymy. Kocham was.

Przez kilka sekund siedział zupełnie nieruchomo. Myślał o swoich dzieciach, o Marie. Musi jechać do domu. To on posłał tam jej rodziców, bo chciał, żeby byli bezpieczni wśród idyllicznych wzgórz nad Loarą. Przez chwilę zobaczył siebie, jak przed laty biega po łące przed zamkiem Chambord i próbuje złapać motyla. Nigdy więcej nie będzie mógł wrócić do miejsc swojego dzieciństwa. Również jego dzieci, Bernadette i Georges, nigdy nie będą mogły tam beztrudno się bawić.

Zerwał się z krzesła, ruszył ku kabinom przesłuchań i wpadł do pierwszej z brzegu. Dwóch amerykańskich funkcjonariuszy maglowało jednego z Greków. Na jego koszuli pod pachami i przy szyi widoczne były wilgotne plamy, usta mu drżały.

Nie zwracając uwagi na Amerykanów, Bollard chwycił go za kołnierzyk koszuli.

Ochryplym szeptem rzucił mu prosto w twarz:

– Mój teść zmarł kilka dni temu niedaleko Saint-Laurent. Na zawał. Nikt nie był w stanie wezwać pomocy. Saint-Laurent. Ty wiesz, co tam się stało?

Greki wpatrywał się w niego szeroko otwartymi oczami, nie miał odwagi nawet się ruszyć. Oczywiście, że wiedział.

– A moi rodzice – dyszał Bollard – musieli porzucić dom, w którym nasza rodzina żyła od pokoleń. Ja też w nim się wychowałem. Moje dzieci kochały to miejsce. A teraz już żadne z nas nigdy nie będzie mogło tam wrócić.

Przycisnął zaciśnięte w pięści dłonie do krtani mężczyzny, widział jego strach.

– Wiesz, jak to jest – ciągnął dalej – kiedy człowiek jest świadom, że musi umrzeć w męczarniach i że nikt mu nie pomoże?

Czuł, że Grek prawie się osuwa, więc ścisnął go jeszcze mocniej. Oczy zaczęły mu błyszczeć, wypełniły się łzami. Chyba zrozumiał, że to nie przelewki.

– Ten kod blokujący – spytał Francuz jeszcze ciszej i jeszcze bardziej ochryplym głosem – który musi być wysyłany regularnie co czterdzieści osiem godzin, do czego on służy? Ile czasu nam jeszcze zostało? Mów, ty parszywa świnio!

Mężczyzna dygotał na całym ciele, po jego okrągłych policzkach płynęły łzy.

– Ja... nie wiem – łkał. – Ja naprawdę nie wiem!

Bruksela

Niemal podbiegł do recepcji; spieszył się tak bardzo, że prawie nie odwrócił się do recepcjonistki, tylko lekko musnąwszy dłonią ladę, całym ciałem był już dalej.

– W którym pokoju zastanę Piera Manzana, bo zapomniałem? – rzucił do niej jakby mimochodem.

Miała na sobie coś w rodzaju niebieskiego mundurka z apaszką na szyi, prawie jak stewardesa. Aby podkreślić, jak bardzo się spieszy, nerwowo zerknął na zegarek na ręce. Kobieta gorliwie sprawdziła w komputerze. Jakie to proste, wystarczy tylko być odpowiednio pewnym siebie.

– Pokój 512.

– Dziękuję.

– No i jest tu ich trochę – wymamrotał Manzano pod nosem.

– Co takiego? – spytała Shannon, która cały czas filmowała.

– W miarę regularne logi pod jednakowe adresy IP.

Manzano wskazał kilka adresów sieciowych. Shannon i Angström zajrzały mu przez ramię, a Bondoni przysunął bliżej swoje krzesło, żeby lepiej widzieć.

– Ten, ten i ten znamy. To jest centrala w Mexico City.

Wywołał Christopoulosa w Hadze. Po kilku sekundach w oknie wideocztatu pojawiła się twarz współpracownika Bollarda.

– Mam tu listę adresów IP – wyjaśnił Manzano. – Chciałbym, żeby ktoś najszybciej, jak to możliwe, sprawdził, co się za nimi kryje, i przysłał mi zestawienie.

W tym samym momencie przekazał listę e-mailem.

– To jest naprawdę pilne.

– To ma związek z pańskim podejrzeniem?

– Tak.

– Zobaczą, co się da zrobić.

Co za szczęście, pomyślał Manzano, że łączność internetowa znowu działa bez zarzutu. Dopóki płynie prąd.

– A ja tymczasem popatrzę dalej – rzekł na zakończenie i się wyłączył.

– Na ich miejscu nie wysłałbym polecenia zablokowania dopiero w ostatnim momencie – myślał na głos. – Żeby przypadkiem nie zapomnieć.

– Poza tym – wtrąciła Shannon – chyba więcej osób musi być w stanie je wysłać. Na wypadek gdyby któraś z jakiegoś powodu wypadła z gry.

– Gdybyśmy to my siedzieli w tej centrali – zastanawiała się również głośno Angström – i odpowiedzialibyśmy za zablokowanie wyzwalacza, to co byśmy zrobili?

– Ja na przykład wysłałabym takie polecenie w dowolnym momencie w ciągu dnia – powiedziała Shannon. – Tak dla bezpieczeństwa.

– Jeśli tak samo robiłoby więcej osób, można wtedy założyć, że blokada zostanie utrzymana tak długo, dopóki centrala jest obsadzona.

– A ja zamontowałbym poza tym alarm – rzucił Manzano. – Gdyby przed upływem terminu nikt nie zablokował.

– Ale po co w ogóle ta blokada? – spytał Bondoni. – Skoro bez niej ma dojść do kolejnego wyłączenia prądu, a tym gościom przecież właśnie na tym zależy.

– Żeby na próżno nie wystrzelać się z amunicji – wyjaśnił Manzano. – Blokada nie dopuszcza do tego, żeby te wszystkie bomby z opóźnionym zapłonem aktywowały się w systemach energetycznych. Dopóki i tak nie było prądu, nie potrzeba było ich odpalać. Te bomby

zegarowe powstały z myślą o dokładnie takiej sytuacji, w jakiej znajdujemy się obecnie. Sieci znowu działają, zamachowcy są wykluczeni. A jeśli teraz bomby aktywują nowe szkodliwe programy, wszystko zacznie się od nowa.

– Czyli możemy szukać według takich wzorów? – upewniła się Shannon.

– Oczywiście – potwierdził Manzano. – Tylko pozostaje pytanie, czy nasza teza jest słuszna. Ale najpierw sprawdźmy może prostszy przypadek. – Podczas dyskusji zmienił parametry wyszukiwania. – W pierwszej kolejności sprawdzę resztę adresów IP, czy z którymś z nich nawiązywano kontakt w regularnych odstępach czasu. – Wydał polecenie. Po kilku sekundach na monitorze ukazał się rezultat. – Nic. Wobec tego wypróbujemy inny wariant. Więcej osób wysyła w nieregularnych odstępach czasu pod ten sam adres. – W okienku czatu pojawiła się informacja, że ktoś chce z nim rozmawiać. Christopoulos. Manzano odebrał. – Tak?

– Posłałem panu listę adresów IP. Adresy rozszyfrowane są zaznaczone.

– Dziękuję. – Manzano otworzył załącznik. Ponad połowa adresów była zakreślona na żółto. – OK. To jeszcze bardziej zawęży nasz wybór. Wobec tego porównajmy to z wynikiem naszych ostatnich poszukiwań... – Zaktualizował listy w swojej bazie danych. – Ciągłe jeszcze za dużo. – Ponownie zadzwonił do Christopoulosa. – Posyłam panu listę logów – oznajmił. – Proszę sprawdzić jak najszybciej się da, jakiego rodzaju dane szły pod poszczególne adresy. Szukamy polecenia blokady.

– Niestety, w tym momencie jesteśmy kompletnie przeciążeni pracą – odpowiedział Christopoulos. – Wyślę panu kod dostępu do tych danych. Będzie mógł pan sam poszukać.

– Ale to zajmie mi za dużo czasu!

– Przykro mi! Naprawdę mamy pełne ręce roboty!

– No dobrze, niech pan prześle – burknął Włoch.

Tuż potem do jego skrzynki wpadł e-mail. Zalogował się w bazie danych, w której dochodzeniowcy zgromadzili w celu analizy parametry serwerów i komputerów z obu siedzib terrorystów.

Sprawił pliki, które w interesującym go czasie zostały wysłane pod pierwszy adres. Na początek chciał pod każdym adresem obejrzeć tylko jeden plik. Istniało duże prawdopodobieństwo, że ten pierwszy został stworzony specjalnie dla przechowania mechanizmu aktywacji bomby zegarowej. W każdym razie on tak by zrobił.

Ktoś zapukał do drzwi.

– Otworzę – zaproponowała Angström.

Strasznie to żmudne, pomyślał. Za każdym razem musiał najpierw na liście adresów IP sprawdzić czas i komputer, aby potem w jego plikach zabezpieczających poszukać odpowiednich danych. I niebezpieczne. Bo jeśli miał rację, to liczyła się każda minuta. Usłyszał, jak ktoś za drzwiami powiedział „Serwis pokojowy”.

Przy siódmej próbie wreszcie trafił.

– To może być on – stwierdził.

Spojrzał na godzinę, o której wysłano ostatnie polecenie.

Czterdzieści siedem godzin i dwadzieścia pięć minut temu.

– Same cyfry i litery – mamrotał Bondoni. – Jak się w tym człowiek ma rozeznaczyć...

– On to potrafi – odezwał się czyjś głos za jego plecami po angielsku.

Manzano się odwrócił. Angström stała w drzwiach, na jej szyi połyskiwało ostrze noża. Za jej głową ujrzał szopę ciemnych kręconych włosów. Mimo wąsów natychmiast rozpoznał twarz mężczyzny. W ciągu ostatnich dni dość się na nią napatrzył w sztabie operacyjnym Bollarda.

Jorge Pucao popychał kobietę przed sobą w kierunku Włocha, który widział w jej oczach

strach. Poczul, jak jego ciało sztywnieje.

– Lauren Shannon, niech pani odwiąże sznury z zasłon i spęta nimi swoich przyjaciół.

Shannon wykonała rozkaz drżącymi rękami. Rozplątała supły i związała ręce na plecach najpierw Bondoniemu.

– Gdyby pan tylko chciał, mógłby pan nadal z nami pracować – zwrócił się Pucao do Manzana.

– Was już nie ma – odpowiedział Włoch.

Mężczyzna roześmiał się z politowaniem.

– Ależ oczywiście, że jesteśmy. I są nas miliardy. To ludzie, którzy mają dość i nie chcą się już dłużej pozwolić gnębić i wyzyskiwać przez zachodnią cywilizację i krwiożerczy kapitalizm. Którzy mają dość kłamstw i ograbiania przez garść przestępców nazywających się politykami, bankierami i menedżerami. Którzy nie mogą znieść tchórzliwej ospałości w osiedlach szeregowców, blokowiskach i biurowych kombinatach. A ty, Piero, też należysz do tych ludzi, którzy mają tego po dziurki w nosie. – Podsunął mu nóż pod samą brodę. Jego ton zmienił się z kaznodziejskiego w niemal przyjacielski. – Ty jesteś jednym z nas. I dobrze o tym wiesz. Czy już może zapomniałeś, jak wyszedłeś na ulicę przeciwko skorumpowanej kaście włoskich polityków? Jak w Genui walczyłeś przeciwko niesprawiedliwościom globalizacji? Pewnie się zestarzałeś, pewnie straciłeś złudzenia. Ale nie mów mi, że straciłeś swoje marzenia.

– W moich marzeniach nigdy setki tysięcy ludzi nie ginęły z głodu, pragnienia, braku opieki medycznej...

– W twoich marzeniach może nie, ale w rzeczywistości tak się właśnie dzieje! Od dziesięcioleci, codziennie, na całym świecie! To przeciwko temu buntowałeś się w Genui! Przeciwko temu burzysz się jeszcze dzisiaj! Ale tylko z dawnymi towarzyszami przy kieliszku dobrego wina, tak? – Przyjrzał się Włochowi uważnie i spytał: – Czy nie jest tak?

Manzano musiał przyznać w głębi ducha, że Pucao trafił w czuły punkt. Ale teraz nie mógł sobie tym zawracać głowy. Musieli koniecznie wysłać polecenie blokady.

– Jeśli nawet moje marzenia były takie same jak pańskie – powiedział – to metody ich urzeczywistnienia na pewno się różnią.

– I dlatego aż do dzisiaj nic się nie zmieniło – odparł Pucao pobłaźliwie. – Tak samo było w sześćdziesiątym ósmym. Młodzi ludzie demonstrowali, tworzyli komuny, rzucali kamieniami. A dzisiaj? Są dyrektorami banków, lekarzami, prawnikami czy lobbystami i splacają swoje wystawne wille. Co osiągnęli? Bogaci stali się jeszcze bardziej bogaci, a biedni biedniejsi. Dzisiejsza młodzież jest równie konserwatywna, apolityczna i służalcza jak jej pradziadkowie. Jeszcze nigdy nie rujnowaliśmy naszego świata tak bardzo jak teraz. Czy mam wyliczać dalej? – Sprawdził węzeł sznura na nadgarstkach Manzana, który Shannon zawiązała podczas jego przemowy. Następnie kontynuował: – Kiedy i dzięki czemu dokonały się rzeczywiste zmiany? Kiedy społeczeństwa istotnie się przeobraziły, kiedy wprowadzono nowe systemy? Kiedy demokracja zwyciężyła w Europie nad panowaniem arystokracji, a potem nad faszyzmem, w Stanach Zjednoczonych zaś nad kolonializmem? Jedyne po wielkich katastrofach. Szerokie masy muszą doświadczyć egzystencjalnego zagrożenia. Dopiero wtedy, kiedy nie mają już nic do stracenia poza własnym życiem, są gotowe walczyć o nowe.

– Bredzi pan głupoty! – krzyknęła nagle Shannon. – A co z Gandhim i Martinem Lutherem Kingiem? A co z upadkiem komunizmu we wschodniej Europie? Z przejściem od wojskowych dyktatur do systemów demokratycznych w wielu krajach Ameryki Łacińskiej? Albo z arabską wiosną? Do tego nie było potrzeba żadnych wojen światowych!

– Trzymaj buzię na kłódkę i rób swoje! – rozkazał Pucao i machnął nożem w jej kierunku. – Upadek komunizmu poprzedziła trwająca dziesięciolecia wojna na całym świecie. Zimna

wojna! Już się nie pamięta? Ach tak, pani była jeszcze wtedy małą dziewczynką.

– A pan co? Był już sędziwym mędrcom? – odpowiedziała Shannon.

Manzano próbował pohamować ją wzrokiem.

Pucao ta dyskusja wydawała się podobać, może upajał się tym, że ma słuchaczy.

– Pani w ogóle nie ma pojęcia, co to jest wojna – pouczył Shannon. – W Ameryce Łacińskiej USA i Europa za pomocą marionetkowych dyktatorskich rządów prowadziły swoje brutalne kampanie, których ofiarami padły setki tysięcy ludzi. A potem te same państwa wykorzystywały Międzynarodowy Fundusz Walutowy i Bank Światowy jako instrumenty służące zdławieniu konkurencji tak zwanych krajów rozwijających się. To samo działo się w świecie arabskim, dlatego w którymś momencie ludzie w końcu podnieśli głowy. Jedynie w Europie i Ameryce Północnej cierpienie nie było jeszcze na tyle duże, aby doszło do buntu, do przełomu prowadzącego ku lepszemu, ale teraz właśnie nastąpiła ta chwila. Tylko nie wolno nam przestać za wcześnie. Musimy wytrwać, a wtedy wszystko się zmieni.

Pucao sprawdził, czy Angström ma wystarczająco mocno związane ręce.

– Czy pan słyszy, co pan mówi? – spytała Szwedka. – Brzmi to dokładnie tak samo jak głos tych, których rzekomo pan atakuje. Imbecylne slogany o ofierze niezbędnej, by dostać się do raju, o oczyszczeniu przez ogień, o bolesnych krokach, zanim wszystko stanie się lepsze...

Kazał im usiąść na sofie.

– Niech pani przyniesie jeszcze jeden sznur dla siebie – zwrócił się do Shannon. – Nie uda się pani mnie sprowokować – powiedział do Angström, związując ręce dziennikarce. – Ja mówię o wiedzy, jaką posiadli już starożytni. Wystarczy zajrzeć do Seneki. *Non est ad astra mollis e terris via*: „Droga do gwiazd nie jest łatwa”. Już w dawnych mitach trzeba najpierw pokonać bestię, żeby dotrzeć do skarbu.

– Tutaj umierają ludzie!

– To jest straszne, potworne, ale nieuniknione. To tak jak z uprowadzonym samolotem, który trzeba zestrzelić, aby nie stało się nic gorszego. Niektórzy muszą umrzeć, aby wielu zostało ocalonych.

– Ty kreaturo! – wrzasnęła Shannon. – Ty nie jesteś tym, który decyduje o zestrzeleniu, tylko jesteś porywaczem!

– On zwariował – Angström szepnęła do Manzana.

Pucao mocno zacisnął sznur na rękach Shannon i pchnął ją do pozostałych.

– Mam nadzieję, że nie muszę pani kneblować. Jeszcze jeden taki krzyk i od razu będzie po was wszystkich.

Bądź rozsądny, człowieku, chciał powiedzieć Manzano, wiedział jednak, że apelowanie do jego rozsądku nie ma najmniejszego sensu.

– Bez obaw, już się z panem nagadałam – odparowała mu opryskliwie Shannon.

Pucao zignorował ją, usiadł przy komputerze i zaczął studiować pliki. Manzano zaś gorączkowo się zastanawiał, co mógłby zrobić.

– Łajdak – szepnęła Pucao i gwałtownie obrócił się do nich. – Widzę, że nic nie rozumiales! Nic zupełnie. Nawet jak zostałeś postrzelony przez policję, niczego cię to nie nauczyło.

Manzano czuł, jak wzbiera w nim gniew, ale zdawał sobie sprawę, że to nieodpowiedni moment, aby stracić kontrolę nad sobą.

– Widzę, że jest pan dobrze poinformowany – powiedział więc z wymuszonym opanowaniem.

– Zawsze byłem. W każdym razie bardzo długo... – poprawił się. Przez chwilę jego spojrzenie zatopiło się w pustce. – Jak nas znalazłeś? – spytał w końcu.

Manzano rozważał przez moment, czy powinien powiedzieć mu prawdę. Mężczyzna przed nim, jak wszyscy megalomani, był niemiłosiernym narcyzem. Najdrobniejsza krytyka mogła wywołać jego nieobliczalną reakcję.

– To pan umieścił e-maile na moim komputerze?

– Czy ty...?

Manzano zamilkł. Bo jeśli to rzeczywiście był Pucao, to właśnie w tym momencie zrozumiał swój fatalny błąd.

Rozmawiając z nim, Włoch cały czas próbował poluzować swoje więzy. Jednak Shannon mocno je zacisnęła.

– Ja je pisałem – powiedział Pucao. – Załadował je kto inny.

– Sprytnie napisane – odparł Manzano. – Policja dała się nabrać. Ale tego gościa, który prosto z waszego serwera komunikacyjnego przerzucił to na mój komputer, powinien pan odprawić.

Pucao wyszczał coś po hiszpańsku, czego Manzano nie zrozumiał. Brzmiało to jak przekleństwo.

– I przy okazji też wszystkich, którzy odpowiadali za zabezpieczenie serwera – dodał Włoch. – Piekielnie dziś trudno o dobrych fachowców, prawda?

– Dosyć! – Pucao zrobił gwałtowny gest. – Myślisz, że nie widzę, do czego zmierzasz? Chcesz mnie zabajerować.

– Możemy też pana zwymyślać. Z przyjemnością – wtrąciła chłodno Shannon. – Cholerny psychol!

Pucao się uśmiechnął.

– Z pani to taki *bad cop*. Ale powiedziałem już przecież, że nie dam się sprowokować. – Wstał. – Ta rozmowa mnie nudzi. Pożegnajcie się ze sobą. Żałuję, że zastałem was tu wszystkich, bo tak naprawdę przyjechałem tutaj tylko z powodu Piera. Byłeś wyjątkowo upierdliwy, wiesz o tym?

– Ostatnio dosyć często słyszałem o sobie coś takiego.

– No cóż, moi panowie i panie, chyba każdy z was zdążył już zrozumieć, że nie mam najmniejszych problemów z ubocznymi ofiarami.

– To dobrze się pan dobrał z tymi innymi panami – burknął Bondoni.

Pucao podszedł od tyłu do kanapy z nożem w dłoni i próbował chwycić Angström za włosy.

Manzano zerwał się z miejsca. Po chwili grozy inni poszli w jego ślady. Zamiast chwycić ręką włosy, Pucao trafił w pustkę. Włoch cofnął się kilka kroków, pozostali także.

Pucao odzyskał już rezon. Zamknął drzwi do pomieszczenia obok, powoli obszedł sofę.

– Myślisz, że mi się wymkniesz?

Manzano odsuwał się dalej, w stronę stołu, na którym stał komputer. Shannon i Angström – w przeciwnym kierunku, rozeszły się po pokoju.

Pucao podszedł do Bondoniego.

– Stary człowiek jest najpowolniejszy – rzekł.

Bondoni stanął szybko po drugiej stronie kanapy.

Pucao wskoczył na siedzenie.

– Teraz! – wrzasnął Manzano, rzucił się do przodu i z impetem walnął głową w nerki mężczyzny.

Pucao zachwiał się i przez oparcie spadł na podłogę. Bondoni, zamiast uciekać, z całą siłą kopnął go w kolano. Pucao zgiął się wpół. Tymczasem Manzano pozbierał się z kanapy, co ze związanymi z tyłu rękami nie było wcale łatwe, wspiał się przez oparcie i tułowiem uderzył

napastnika w ramię. Razem zatrzymali się na ścianie. Włoch poczuł palący ból w klatce piersiowej. W tym momencie Shannon potężnym kopniakiem trafiła Pucao od tyłu między nogi. Mężczyzna złożył się jak scyzoryk. Manzano zauważył w jego dłoni nóż, ostrze było zakrwawione aż po rękojeść. Shannon kopnęła jeszcze raz. Manzano nie mógł oddychać, mimo to nie dawał za wygraną i całym swoim ciężarem rzucił się na Pucao tak, że obaj przewrócili się na podłogę. Włoch zobaczył, jak obok jego głowy but Angström ląduje na twarzy tamtego. Trysnęła krew z pękniętych ust. Koszula Pucao była cała czerwona. Manzano pozbierał się jakoś, klęknął i po chwili rzucił się na niego, przygniatając go kolanami.

– Nóż! – wydyszał Manzano. – Gdzie jest nóż? – Kręciło mu się w głowie.

W rękach Pucao, którymi ten osłaniał sobie głowę, nie było go widać.

– Tutaj – powiedział Bondoni.

Trzymał go w związanych dłoniach i przecinał nimi więzy Shannon.

Manzano dalej klęczał na Pucao, który już się nie ruszał. Oswobodzona właśnie Shannon postawiła nogę na jego głowie, wykorzystując cały swój ciężar. Rozcięła sznur Bondoniemu i Angström, a potem Manzanowi. Jego kawałkami związali Pucao ręce i nogi. Ich napastnik miał krwawiącą ranę na ustach i cięcie nad brwiami. Ciężko oddychając, zamrugał powiekami i otworzył oczy.

– Za dużo błędów – stęknął Manzano i przycisnął lewą dłoń do klatki piersiowej, którą staranował Pucao. Chyba złamał sobie żebro. – A zwłaszcza jak na kogoś tak nieomylnego jak pan.

Pospieszył do komputera. Zrobiło mu się czarno przed oczami, potknął się, ale się pozbierał.

Jeszcze dziesięć minut. Gdzie było to polecenie? Tutaj. Wysłać do... Oby to był właściwy kod. Skąd tyle krwi na tej klawiaturze? Chyba wszystko zrobił prawidłowo. Ekran rozmywał mu się przed oczami. Okno wideocztatu. Christopoulos.

– Tak?

Nie mogą złapać tchu, powiedział:

– Wysłałem panu adres IP i kod blokujący. Myślę, że to było to, czego szukałem.

Dlaczego nie mogę złapać powietrza? – pomyślał.

– Co się panu stało? – krzyknął Christopoulos.

Zamiast mu odpowiedzieć, Manzano poprosił:

– Niech pan mimo wszystko jeszcze sprawdzi. Proszę. Szybko. Natychmiast. – Głowa opadła mu niemal na blat stołu. Podniósł ją, wychrypiał cicho: – Mamy jeszcze dziewięć minut.

– Słucham?

– Niech pan to zrobi!

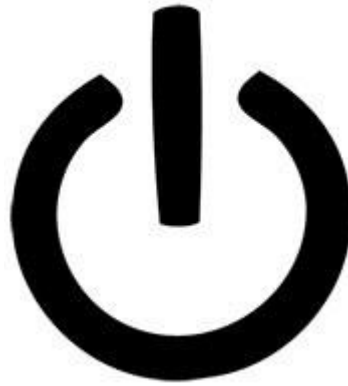
– Piero! – krzyknęła Angström.

Rzuciła się do niego, tuż za nią Shannon. Szwedka dotknęła jego piersi, gdzie z niewielkiego otworu pod rozciętą koszulą ciekła krew. Przycisnęła do tego miejsca swoją dłoń.

Manzano poddawał się bólowi, czuł, jak bezsilnie osunął się z krzesła w ręce Shannon. Było mu zimno. Nad nim pochylona Angström, skąd ta panika w jej oczach? Słyszał z oddali, jak woła jego imię, raz po raz, coraz ciszej, pragnął jedynie spać, tylko spać. Opuścił powieki.

Czy Christopoulos zdążył? – przemknęło mu przez głowę. Zimno. Spać.

Dzień 19. – Środa



Paryż

Grad fleszy przywitał Bollarda, gdy wszedł do holu. Zatrzymał się, osłonił sobie oczy dłonią, ciekaw, jakiego to prominenta tu oczekują. Potem usłyszał swoje nazwisko. Dziennikarze wyciągali w jego stronę mikrofony, bombardowali go pytaniami. Bollard opiekuńczo otoczył dzieci ramieniem. Bernadette wyrwała mu się, roześmiała się do kamery i w końcu pokazała wszystkim – ku przerażeniu jej rodziców – język. Fotoreporterzy pstrykali jeszcze bardziej gorliwie, ale wielu też się roześmiało, co rozładowało napięcie Bollarda. Skąd oni wiedzieli o jego przyjeździe i w ogóle dlaczego ich to interesuje?

Wśród czekających dostrzegł swoich rodziców i matkę Marie. Bernadette i Georges natychmiast rzucili się ku nim i znaleźli się w ich objęciach. Piękny obrazek. Na kilka sekund wszystkie obiektywy zwróciły się w tamtą stronę. Bollard i jego żona skorzystali z okazji, aby przemknąć obok reporterów.

– Czy to prawda, że zostanie pan odznaczony Krzyżem Wielkim Legii Honorowej? – usłyszał z tłumu.

– Czy ujęto już wszystkich zamachowców?

– Jak pańska rodzina przetrwała te tygodnie w Hadze?

– James Turner, CNN! Czy to prawda, że chce pan odejść z Europolu?

– Kiedy przyjmie pana prezydent?

– Co pan na to, że wymienia się pana jako kandydata na przyszłego ministra spraw wewnętrznych?

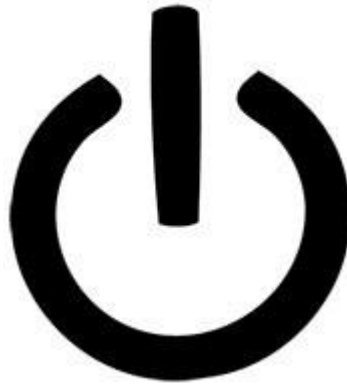
Bollard nie odpowiadał nikomu. Trzymając Marie pod rękę, dotarł do reszty rodziny. Dzieci z ożywieniem opowiadały coś swoim dziadkom. Dla nich śmierć dziadka Bertranda była w tym momencie bardzo odległa. Bollard ścisnął Marie za rękę, zanim ona padła w ramiona swojej matki.

W końcu przyszło mu z pomocą kilku funkcjonariuszy służby bezpieczeństwa, którzy odgradzili ich od medialnej zgrai. Pod eskortą dotarli do postoju taksówek. Gdy rodzina wsiadła już do minibusa, Bollard zwrócił się wreszcie do oblegającej go hordy dziennikarzy:

– Dziękuję wam za emocjonujące powitanie. Ale ja byłem tylko jednym z wielu, którzy unieszkodlili zamachowców. Proszę im podziękować. Nie mam nic więcej do powiedzenia.

Wsiadł do busika, który zaraz ruszył, a okrzyki za nim wkrótce umilkły.

Dzień 23. – Niedziela



Mediolan

Na dachu katedry wiał rześki wiatr. W dole migotały światła miasta. Na placu przed świątynią od wielu dni tysiące ludzi demonstrowało przeciwko rządowi i domagało się poprawy zaopatrzenia. Chwilami ich okrzyki zagłuszały nawet grzmienie ulicznego ruchu.

– Możesz sobie wyobrazić, że ja nigdy jeszcze tu nie byłem? – spytał Manzano.

– Bo to tak już jest – odpowiedziała Angström. – Jak się gdzieś mieszka, to człowiek myśli sobie, że zawsze zdąży zrobić to czy tamto. Ale nie robi. Dopiero kiedy ktoś przyjeżdża z wizytą i trzeba mu pokazać miasto.

Ostrze noża rozcięło tkankę mięśniową i drasnęło płuco, ale nie spowodowało rany niebezpiecznej dla życia Manzana. Kilka dni musiał spędzić w szpitalu, który pracował w prowizorycznych warunkach. Potem zostali jeszcze trochę w Brukseli. Angström wzięła urlop i razem odpoczywali w hotelu; dzwonili do krewnych i przyjaciół, wymieniali e-maile, próbując ustalić, jak wszyscy przetrwali te dwa tygodnie.

Internet i telewizja działały bez zarzutu, w mediach istniał tylko jeden temat. Jorge Pucao, podobnie jak jego kompani ze Stambułu i Mexico City, był wciąż przesłuchiwany. Balduina von Ansen, który próbował uciec, policja ujęła na lotnisku w Ankarze. Sitiego Jusufa też pewnego dnia dopadną. Analiza całej operacji zajmie prawdopodobnie lata, a przewyciężenie jej następstw z pewnością jeszcze więcej.

Mimo przywrócenia podstawowych dostaw prądu ogólna sytuacja zaopatrzeniowa w wielu regionach była nadal zła, a katastrofy w elektrowniach jądrowych i zakładach chemicznych sprawiły, że całe połacie kraju nie nadawały się do zamieszkania i miliony ludzi musiały szukać sobie nowego domu. Gospodarka popadła w stan ruiny na długie lata, spodziewano się recesji o niewyobrażalnej skali. Wciąż jeszcze nie ustalono ostatecznej liczby ofiar, ale mowa była o milionach, licząc razem Europę i Stany Zjednoczone, bez uwzględnienia przyszłych zgonów będących następstwem minionych wydarzeń. A mogło być jeszcze znacznie gorzej. Po ujęciu Jorgego Pucao specjaliści IT znaleźli kolejne szkodliwe programy, które mogły na nowo sparaliżować sieci elektroenergetyczne w Europie i USA. Kiedy ludzie dowiedzieli się o motywach zamachowców, zapanowało powszechne oburzenie, nierzadko mówiono o linczu, ale już po kilku dniach gniew ludzi obrócił się przeciwko rządzącym, którzy nie zapobiegli katastrofie, a teraz nie potrafili odbudować normalnych warunków tak szybko, jak oczekiwali tego obywatele. Niepokoje przybierały na sile, a żaden z młodych wojskowych rządów w Portugalii, Hiszpanii i Grecji nie przekazał z powrotem władzy wybranym demokratycznie organom.

Manzano często zadawał sobie pytanie, czy zamierzone przez Pucao i jego współników dzieło zniszczenia rzeczywiście się dokonało, ale akurat teraz nie chciał o tym myśleć. Otoczył Angström ramieniem i mimo bólu w klatce piersiowej z radością objął spojrzeniem miasto żarzące się światłami pod ciemniejącym wieczornym niebem. Z dołu dobiegały przytłumione okrzyki tłumu. Stali tak w milczeniu przez kilka chwil.

W kieszeni jego spodni rozległo się ciche kliknięcie, jakim nowy telefon komórkowy oznajmiał nadejście wiadomości.

Manzano wyjął aparat i przeczytał esemesa.

– Lauren dotarła szczęśliwie do Stanów – szepnął Angström do ucha.

– Uważam, że ten Pucao nie ma racji – powiedziała, patrząc na demonstrantów małych jak mrówki na placu przed katedrą.

– Ja też. Potrafimy dokonać tego samego inaczej, lepiej.

Powiódł wzrokiem po rozległej panoramie, objął ją w pół.

– Dlatego zejdziemy teraz na dół i przyłączymy się do nich.

Posłowie i podziękowanie

Blackout jest fikcją. Jednak podczas pracy nad manuskrytem rzeczywistość kilkakrotnie prześcignęła moją fantazję. I tak szkic książki z 2009 roku opierał się na manipulacji w systemach SCADA w elektrowniach. W tamtym momencie nawet w gremiach fachowców uważano taki scenariusz za mało realny lub wręcz za nedorzeczny – aż do odkrycia Stuxneta. Podobnie było z zagrożeniem, jakie rodzą awaryjne systemy chłodzenia w elektrowniach jądrowych – do katastrofy w Fukushima.

Mam nadzieję, że rzeczywistość nie będzie już konkurować z moją wyobraźnią i poprzestanie na tych dwóch wydarzeniach.

Zbierając materiał do książki, korzystałem z wielu źródeł. Rozmawiałem z ekspertami, między innymi z branży energetycznej i informatycznej, a także z fachowcami od zapobiegania katastrofom. Na ogół osoby takie nie mają nic przeciwko wspomnieniu o nich w książce, ale nie w tym przypadku. Wprawdzie każdy chętnie dzielił się swoją wiedzą, nikt jednak nie chciał być wymieniony z nazwiska. Trudno się dziwić, biorąc pod uwagę informacje, jakich mi udzielili.

Niewyczerpaną skarbnicą wiedzy jest oczywiście internet. Niektóre z jego źródeł chciałbym podkreślić szczególnie:

Bez encyklopedii online w postaci Wikipedii i jej dziesiątków tysięcy autorów twórca takiej książki jak ta musiałby znacznie dłużej zbierać do niej materiały (uprzedzając ewentualne pytanie: tak, wspieram Wikipedię finansowo).

Tuż przed skończeniem manuskryptu w maju 2011 roku moje ustalenia znalazły potwierdzenie w raporcie Komisji ds. Edukacji, Badań i Oceny Skutków Rozwoju Techniki (komisja 18.), którego tytuł brzmiał: *Zagrożenie i podatność współczesnych społeczeństw – na przykładzie długotrwałego i wielkopowierzchniowego wyłączenia prądu*. Wyniki studium wykorzystałem w książce. Raport znajduje się na stronie internetowej Ministerstwa Spraw Wewnętrznych Republiki Federalnej Niemiec. Autorzy tego opracowania opublikowali swoje ustalenia także w Edition Sigma pod tytułem *Co dzieje się podczas blackoutu – skutki długotrwałego i wielkopowierzchniowego braku prądu*.

Inspiracji do scen rozgrywających się w szpitalu dostarczył mi wyróżniony Nagrodą Pulitzera artykuł Sheri Fink zamieszczony 25 sierpnia 2009 roku w „New York Timesie” poświęcony dramatycznym dniom w Memorial Medical Centre w Nowym Orleanie po huraganie Katrina z 2005 roku.

Opisując odbudowywanie sieci, oparłem się na artykule Freda Prillwitza i Manfreda Krügera z Instytutu Elektrycznej Techniki Energetycznej uniwersytetu w Rostocku.

Również wspomnienia moich dziadków i rodziców – wtedy jeszcze dzieci – z okresu głodu po drugiej wojnie światowej znalazły swoje miejsce w tej opowieści.

Przedstawiony scenariusz jest jednym z wielu możliwych. Nikt nie może przewidzieć, co może się zdarzyć w takiej sytuacji. Ponieważ nie chciałbym w żadnym razie dostarczyć nikomu wskazówek do przeprowadzenia ataku terrorystycznego, pewne wrażliwe detale techniczne pominąłem w ogóle lub je zmieniłem. Kierując się dramaturgią narracji, niektóre okoliczności i elementy opisałem w sposób uproszczony, na przykład centra dyspozycyjne sieci przenieśliśmy do siedzib przedsiębiorstw, wydłużyłem działanie łączności telefonicznej i internetowej podczas awarii i zmieniłem wiele innych detali technicznych. Tak więc niektóre odstępstwa od stanu realnego czy brak precyzji mają swe źródło w tym zamierzeniu formalnym lub też wynikają z moich błędów, za które przepraszam.

Pragnę serdecznie podziękować wszystkim wymienionym i niewymienionym źródłom.

Bez nich nie byłbym w stanie napisać tej książki.

Szczególne podziękowania należą się mojemu agentowi Michaelowi Gaebowi i jego drużynie, którzy wierzyli w tę książkę, mojej lektorce Eléonore Delair i wydawczyni Nicoli Bartels oraz redaktorce Kerstin von Dobschütz, które pomogły mi w jej stworzeniu, a także całemu zespołowi wydawnictwa Blanvalet. Na osobne podziękowania zasługuje także chcący zachować anonimowość pomocnik, który niezmordowanie zaopatrywał mnie w informacje dotyczące przede wszystkim aspektów IT i nawet przejrzał cały maszynopis. Niech mi wolno będzie podziękować również swoim rodzicom, bo dla rodziców nigdy dość podziękowań. Na koniec, ale jednocześnie bardziej niż wszystkim pozostałym, dziękuję mojej żonie za jej niewyczerpaną cierpliwość, surową krytykę, liczne sugestie i nieustającą zachętę.

I dziękuję oczywiście wam, droga czytelniczko, drogi czytelniku, za wasze zainteresowanie i cenny czas poświęcony na lekturę.

Marc Elsberg

¹ *Blue screen of death* (ang. niebieski ekran śmierci) – żargonowe określenie ukute na przełomie lat 80. i 90. XX wieku. Niebieski ekran monitora oznacza zwykle poważną awarię komputera (przyp. tłum.).

² *Grenzschutzgruppe 9* (GSG 9 Federalnej Straży Granicznej) – niemiecka organizacja antyterrorystyczna, uznawana za jedną z najlepszych na świecie (przyp. tłum.).

Przekład: Elżbieta Ptaszyńska-Sadowska Redakcja: Jerzy Szeja

Korekta: Anna Jagiełło, Magdalena Marciniak Skład i łamanie: Dariusz Ziach

Projekt okładki i grafika wykorzystana na okładce: © www.buerosued.de

Adaptacja okładki: Krzysztof Rychter Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.

00-372 Warszawa, ul. Foksal 17

tel./faks (22) 646 05 10, 828 98 08

e-mail: biuro@gwfoksal.pl

www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-1685-9

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
i Marcin Kapusta / Virtualo Sp. z o.o.

VIRTUALO
Digital platform of tomorrow

